

David Irving

DREZNO

Apokalipsa 1945

Od autora

„W roku 1963 - napisał Alexander McKee - David Irving opublikował książkę *The Destruction of Dresden*. Zrobiła ona furorę. Bezsprzecznie wydarzenia będące jej treścią dręczyły wiele umysłów. Jednakże pan Irving ujął temat w sposób tak historycznie wyważony i tak precyzyjnie, że moim zdaniem nie mógł z całą ekspresją odmalować piekła, które opisywał. Mimo to niektórzy adwersarze zarzucali mu, że opisał za dokładnie ów horror, powodowany wyłącznie pragnieniem ubarwienia skutków nalotów. Reakcja tych ludzi dowodzi, że albo nie zrozumieli, co właściwie stało się w Dreźnie, albo też związane z nalotami obrazy z przeszłości są po prostu ponad miarę szokujące”.

Czytanie o tamtych wydarzeniach nie jest zajęciem dla osób wrażliwych, choć, co jest samo przez się zrozumiałe, najgorsze nigdy nie zostanie powiedziane. Ci, którzy mogliby o rym opowiedzieć, zginęli tamtej nocy, a do tego bynajmniej nie śmiercią szybką i łagodną, lecz najstraszliwszą i najbardziej makabryczną.

Dreznem zainteresowałem się w marcu 1960 roku. Po studiach na Uniwersytecie Londyńskim podjąłem pracę w stalowni

w Miilheim w Zagłębiu Ruhry, chcąc poznać lepiej Niemców oraz ich język. Pewnego wieczoru, odpoczywając w sypialni hotelu zakładowego, przeczytałem w jakimś piśmie ilustrowanym o tym, że w roku 1945 bomby zrzucone przez Brytyjczyków zabiły jakieś ćwierć miliona Niemców w jednym tylko nalocie. Przeraziłem się. „Już tylko ten pierwszy nalot - pisał autor artykułu - wystarczyłby, żeby zniszczyć miasto i zabić dziesiątki tysięcy pozbawionych osłony oraz schronienia uchodźców zgromadzonych w prowizorycznych obozowiskach na brzegach Łaby. Jednak tej samej nocy bombowce powróciły... To również nie wystarczyło: następnego dnia w południe nieprzyjaciel powrócił po raz trzeci nad Drezno, dopełniając dzieła zniszczenia”. Aż do owej chwili nic nie wiedziałem o tym okrucieństwie. Nie wiedziało o nim także, jak sądzę, wielu moich rodaków. Sąsiad z sypialni powiedział mi, że to, o czym czytam, istotnie się zdarzyło - on pochodził z Drezna i przeżył nalot. Wtedy postanowiłem zająć się sprawą.

Trzy lata później, 30 kwietnia 1963 roku, w kilkunastu krajach opublikowano moją książkę *The Destruction of Dresden*.

Po upływie roku od tej daty umożliwiono mi, w dowód szczególnego wyróżnienia, zwiedzenie usytuowanych pod ziemią pomieszczeń Gabinet War, skąd niekiedy operacjami wojennymi dowodził Winston Churchill - czyli jego „bunkra”. Pomieszczenia te można było obejrzeć wyłącznie po uzyskaniu pozwolenia ministra; były w takim stanie, w jakim pozostawił je Churchill, gdy w lipcu 1945 roku złożył swój urząd. To, co zobaczyłem, wywarło na mnie ogromne wrażenie. Zauważyłem ustawioną w narożniku jednej z sal i przeznaczoną w latach wojny do użytku VIP-ów wyświetlarkę do zdjęć stereoskopowych. Włączyłem aparat - i oto ujrzałem trójwymiarowe fotografie pozostawione przez premiera do dyspozycji gości. Przedstawiały widok Drezna z lotu ptaka po nalotach przeprowadzonych w lutym 1945 roku.

Całe osiedla, ulice, hektary wypalonych, martwych ruin. Churchill nie czuł żadnego wstydu czy zażenowania: wprost przeciwnie - chełpił się swoim wyczynem. Doprawdy nie pamiętam, żeby w późniejszych latach, gdy gromadziłem materiały do *Wojny Hitlera*, ktoś z najbliższych współpracowników fuhrera wspomniał o podobnej „galerii zdjęciowej” w Berghofie albo w Wilczym Szańcu, chyba że do kategorii tej zaliczymy podarowany Heinrichowi Himmlerowi przez brigadenfuhrera S S von Stroopa oprawny w skórę album fotografii zatytułowany „Warszawa jest już wolna od Żydów”*.

Czy pomiędzy Drezniem a Oświęcimiem są jakieś paralele? Uważam, że obie te tragedie dowodzą jednego, mianowicie tego, że prawdziwą zbrodnią zarówno czasów wojny, jak i pokoju nie jest genocydium, ludobójstwo - wraz z nieodzownym następstwem w postaci współczucia, jakim potomność darzy tylko jeden wybrany naród. Jest nią „innocentycidium”, czyli zabijanie niewinnych. Oświęcim stał się miejscem zbrodni nie dlatego, że ludzie, którzy tam zginęli, byli narodowości żydowskiej, lecz dlatego, że byli oni niewinni. Jestem świadom, że to, co piszę, może budzić sprzeciw. Nie wszyscy Anglicy odczuwali lub odczuwają zażenowanie z powodu Drezna. Ale cieszę się, że znaczna ich liczba nie podzielała dumy Churchilla, zwłaszcza gdy Donald McLachlan, pierwszy wybitny wydawca dziennika „Sunday Telegraph”, rozpoczął publikację mojej książki w odcinkach. W efekcie książka ta została zauważona. Była przedmiotem

interpelacji poselskich w Izbie Gmin, a czasopismo „Private Eye” opublikowało całostronicowy rysunek przedstawiający sir Winstona - który miał wtedy przed sobą jeszcze niemal dwa lata życia - niszczącego Drezno w napadzie dziecięcej złości.

Moją książkę chwalono na całym świecie w licznych recenzjach, co między innymi skłoniło mnie do podjęcia decyzji, żeby zostać historykiem. Ale były również przykrości i rozczarowania. Gdy magazyn „Esquire” nie zdołał wynegocjować z wydawnictwem Kimber warunków dotyczących przedruku *Dresden*, Rt. Hon. Richard Crossman, czołowy przywódca Labour Party (jego nieoficjalna dewiza: „Co twoje, jest moje”), podpisał z pismem tym umowę na dokonanie streszczenia. Ani mój wydawca, ani ja sam - autor nie otrzymaliśmy z tego tytułu żadnego wynagrodzenia. Było to moje pierwsze przykre i bolesne zderzenie z etyką obowiązującą w świecie mediów.

Upłynęło ponad 30 lat od chwili, gdy postanowiłem zlokalizować i zbadać ścieżki wiodące do kulis nalotu, rozwikłać splątany węzeł oszustwa* oraz propagandy wojennej ukrywający prawdziwy sens tragedii, jak również dociec, jakie historyczne znaczenie miała ofensywa lotnicza prowadzona w lutym 1945 roku, w tym trzy potężne naloty na Drezno. Podjąłem próbę dokładnego odtworzenia przebiegu nalotu - minuta po minucie -trwającego 14 godzin i 10 minut, potrójnego ciosu, który kosztował życie od 50 do 100 tysięcy mieszkańców miasta. Liczba jego ludności wzrosła dwukrotnie w porównaniu z czasami po-

Aluzja do fragmentu poematu *Marmion* Waltera Scotta: Jakże splątana sieć pleciemy, *Gdy pierwszy raz oszukujemy. Canto VI. 17*

koju na skutek napływu uchodźców ze Wschodu, obecności rosyjskich i alianckich jeńców wojennych oraz tysięcy cudzoziemskich robotników przymusowych.

Kiedy w roku 1960 przystępowałem do pracy, ostrzegano mnie słusznie, że miałbym przed sobą łatwiejsze zadanie, gdyby naloty na Drezno przeprowadzono w początkowych latach wojny. Wiele bowiem dokumentów dotyczących tej sprawy przejęli pod koniec wojny oficerowie brytyjscy i amerykańscy - w czym miał swój udział nawet oficer RAF-u pełniący podczas nalotu obowiązki „mistrza ceremonii” (*Master Bomber*). Jako pamiątki wojenne papiery te nigdy nie trafiły do archiwów Air Historical Branch (Wydziału Historycznego Brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa). Na dodatek, choć w Waszyngtonie i w Londynie przechowywane są serie dokumentów Luftwaffe z 1945 roku, większość niemieckich źródeł dotyczących tamtych miesięcy uległa zniszczeniu w ostatnich dniach Trzeciej Rzeszy.

Jednym z moich zadań stało się zatem odszukanie głównych bohaterów tamtej ofensywy, w tym lotników uczestniczących w trzech pamiętnych nalotach na Drezno, i uzyskanie przynajmniej chwilowego wglądu w ich „pamiątki”, co umożliwiłoby mi kwerendę i skopiowanie dokumentów. Składałem (i nadal składam) wyrazy wdzięczności dwustu brytyjskim lotnikom, którzy dostarczyli mi informacji. Stu

członków załóg amerykańskich bombowców oraz myśliwców eskortujących zapoznało mnie ze szczegółami, bez znajomości których żadną miarą nie napisałbym rozdziału o udziale US Air Force w nalotach. Przedstawienie nalotów z punktu widzenia Luftwaffe nastęczyło mi większych trudności: tylko nieliczni piloci myśliwscy uczestniczący w działaniach obronnych tamtej nocy żyli jeszcze w roku 1960. Skorzystałem więc z pomocy gazet niemieckich, między innymi „Deutsche Soldatenzeitung” oraz „Deutsches Fernsehen”, aby odnaleźć członków personelu Luftwaffe. Chciałem dociec

przyczyn paraliżu niemieckiej obrony w nocy z 13 na 14 lutego 1945 roku.

Materiały dotyczące celu oraz skutków nalotu dla ludności miasta pochodzą z rozmaitych źródeł, między innymi od około 200 jego byłych obywateli, którzy przekazali mi relacje i wypełnili kwestionariusz zawierający pytania o znaczenie Drezna jako ośrodka przemysłowego i wojskowego. Postanowiłem -godząc się na zmniejszenie liczby materiałów pochodzących od naocznych świadków oraz zawężenie perspektywy spojrzenia na tamte wydarzenia - akceptować wyłącznie wspomnienia i relacje osób mieszkających wówczas w Niemczech Zachodnich albo gdzie indziej poza rosyjską strefą Niemiec. Uznałem, że wiele lat indoktrynacji marksistowsko-leninowskiej odcisnęło piętno na ludziach nadal mieszkających w Dreźnie. Skądinąd uznałem za właściwe i stosowne zapoznanie się z odnośnymi publikacjami wydanymi w Niemczech Wschodnich.

W roku 1987 do tego samego wniosku doszła amerykańska badaczka Elizabeth Corwin, która analizowała propagandowy obraz nalotów tworzony przez 40 lat po obu stronach żelaznej kurtyny. W opublikowanej w 1987 roku pracy, zawierającej wyniki swoich studiów, stwierdziła, że - podobnie jak Oświęcim - Drezno również zapadło trwale w pamięć pokolenia powojennego. „Nalot ów, nadzwyczaj traumatyczne i kontrowersyjne wydarzenie - napisała -jest znakomitym środkiem propagandowym. Samo w sobie zniszczenie Drezna należy na pewno do propagandowego «Hall of Fame»*. Ma ono ku temu wszelkie niezbędne właściwości: wysoki stopień emocji, ofiary śmiertelne

Przenośnia: Hall of Fame for Great Americans, galeria kolumnowa założona w 1900 roku w Nowym Jorku na terenie New York University mieszcząca tablice pamiątkowe i popiersia sławnych Amerykanów. Co pięć lat komisja dobiera, spośród osób nieżyjących od co najmniej 25 lat, nowe kandydatury. Zob. M. Gołębiowski, *Leksykon kultury amerykańskiej*, Warszawa 1996, s. 183.

w liczbie niezbędnej do udowodnienia dowolnej tezy, możliwość wskazywania palcem we wszystkich kierunkach - na nazistów, Sowietów, Brytyjczyków i/albo Amerykanów, albo w ogóle na wojnę jako taką. Może być użyteczne do oczerniania, ale też do wykazania słuszności jakichś poglądów". Drezno stało się orężem zimnej wojny.

W latach późniejszych, dokonując rewizji książki, złagodziłem swoją regułę. Odwiedziłem trzykrotnie Drezno, spotykając się tam z fotografem Walterem Hahnem, którego przerażające zdjęcia — przekazane mi na wyłączność, do użytku w książce, a często reproduktowane nielegalnie - obieżyły cały świat. Spotkałem się także z Walterem Lange, szefem archiwum miejskiego, który udzielił mi dużej pomocy. Postanowiłem wynagrodzić jego wysiłek, ofiarowując mu w 1963 roku całe archiwum materiałów, jakie zgromadziłem przed napisaniem książki. Materiały te dostępne są również w postaci mikrofilmów w Microform Academic Publishers, Main Street, East Ardsley, Wakefield, West Yorkshire, WF3 2AT, Wielka Brytania (tel. 0924 825 700, fax 0924 829 212) oraz w Bundesarchiv (Niemieckie Archiwa Federalne) w Koblencji. Tej instytucji przekazałem wtedy także kopie dokumentów, i ona właśnie dokładnie 30 lat później wyróżniła mnie w sposób zaiste osobliwy, zakazując na stałe dostępu do tychże materiałów „w interesie narodu niemieckiego". Profesor Donald C. Watt w recenzji z mojej biografii Hermanna Göringa napisał w roku 1989, że jestem najbardziej niepopularnym brytyjskim historykiem. Ale przecież historyk nie musi być popularny. Czasem trudno jest jednocześnie dochować wierności źródłom historycznym i być popularnym.

Pisząc tę książkę, korzystałem z oficjalnego studium historycznego doktora Noble Franklanda i sir Charlesa Webstera *The*

Strategic Air Offensive against Germany (HM Stationery Office, London, 4 vol., 1961). Choć wiele zawdzięczam temu dziełu, chcę podkreślić, że wszelkie wnioski zawarte w książce (chyba że zostało to wyraźnie zaznaczone za pomocą cudzysłowów) są wyłącznie moje.

Przedstawiony tu opis nalotów byłby niekompletny, gdybym nie dysponował szczegółowymi danymi dotyczącymi składu sił uczestniczących w bombardowaniach; uzyskałem je z Wydziału Historycznego naszego Ministerstwa Lotnictwa. Ich autentyczność znalazła potwierdzenie w materiałach źródłowych znajdujących się w Public Records Office. Chciałbym także podziękować za pomoc, jakiej udzieliła mi londyńska Wiener Library, która dysponuje bogatym zbiorem literatury dotyczącej państw narodowosocjalistycznych i sprzymierzonych. Pomoc ta okazała się niezbędna, zwłaszcza przy pisaniu rozdziału „Reakcje świata”, w którym jest mowa o gwałtownej kampanii propagandowej, jaką wszczęły kraje sympatyzujące z Niemcami; dotyczy to szczególnie materiałów pochodzących z nasłuchu radiowego BBC z całego świata.

Pathfinder - samolot naprowadzający.

Jeśli chodzi o wysokich oficerów lotnictwa, którzy pomagali mi w latach 1960 - 1962, miałem szczęście uzyskania szczerzej i życzliwej współpracy sir Arthura Harrisa, byłego dowódcy Royal Air Force Bomber Command, oraz generała brygady sir Roberta Saundby'ego, który z wielką uczynnością przypominał sobie wydarzenia poprzedzające naloty RAF-u i który sprawdzał cierpliwie maszynopis książki. Z tymi dwoma wyższymi oficerami prowadziłem długie rozmowy. Indagowałem też generała dywizji sir Ralpha Cochrane'a, dowódcę grupy nr 5, oraz generała brygady Donalda Bennetta, dowódcę jednostki pathfin-derów*. Nie pominąłem również „mistrzów ceremonii” dwóch

nalotów: podpułkownika Maurice'a A. Smitha i majora C. P. C de Wessellowa. Oficerowie ci chętnie poświęcali mi swój czas udostępnili też osobiste dokumenty dotyczące operacji ora; sprawdzili gotowy maszynopis w poszukiwaniu uchybień trę ściowych i niewłaściwego rozłożenia akcentów.

Obecnej, najnowszej wersji książki wyszedł na dobre upływ czasu. Możemy już prowadzić niemal nieograniczoną kwerendę w ocalałych dokumentach RAF Bomber Command, przechowywanych w British Public Record Office w Kew (Londyn). Na tyrr jednak nie koniec: wśród dokumentów, które dowództwo sił lotniczych Stanów Zjednoczonych ostatecznie odtajniło, znajduje się przejęte podczas wojny dzięki systemowi deszyfracji „Ultra” utrzymane w gorączkowym, niemal histerycznym tonie, radiogramy wysyłane przez komendanta drezdeńskiej policji.

Istnieje również, oznaczone klauzulą „ściśle tajne”, studium oficjalnego historyka Josepha Warnera Angella jr, szefa biura łącznikowego USAF Historical Division, zatytułowane *Historical Analysis of the 14 - 15 February 1945 Bombings of Dresden*. Autor, który w latach pięćdziesiątych należał do wysokich rangą analityków USAF, miał dostęp do korespondencji pomiędzy Stalinem, Rooseveltem i Churchillem oraz ich dowódcami operacyjnymi, czyli do materiałów, których nie zbadał żaden inny historyk. Gdy pisałem wersję opublikowaną w pierwszym wydaniu książki, próbowałem wymóc na doktorze Albercie F. Simpsonie, legendarnym dyrektorze USAF Historical Division, uzyskanie stopniowego zdejmowania z tego studium klauzuli „ściśle tajne”, co jednak nie nastąpiło w oczekiwanym czasie. W latach 1960 - 1962 prowadziłem rozległą korespondencję z władzami amerykańskimi, próbując nakłonić je do przekazania mi tego dzieła, ale bez powodzenia. Obecnie praca ta jest już ogólnie dostępna.

Ostatnio mój nowozelandzki kolega Suart Hayward zdołał wydobyć z archiwów USAF wewnętrzną

korrespondencję, która

potwierdza zakłopotanie wywołane moją prośbą z roku 1960. Dowództwo sił lotniczych sugerowało mianowicie generałowi Williamowi F. McKee, zastępcy szefa sztabu, w notatce datowanej na 11 września 1962 roku, żeby odwiódł mnie od dalszych starań. Proponowano skierować do mnie pismo, z którego wynikałoby, iż rzeczony studium długo jeszcze pozostanie objęte klauzulą tajności, toteż nie będę mógł z niego skorzystać. Uzasadniając konieczność udzielenia mi wymijającej odpowiedzi, dowództwo stwierdziło wprost: „Pan Irving jest niepospolicie wytrwały i może zarzucać nas nieustannymi prośbami o odtajnienie i udostępnienie mu studium USAF”. Sugerowano też podanie do wiadomości, że generał Carl A. Spaatz, podczas wojny dowódca US Strategic Air Forces, zamierza przygotować własną relację z bombardowań Drezna, a zatem powinien jako pierwszy korzystać ze studium. (Ostatecznie nie otrzymałem żadnego listu podobnej treści. Według mojej wiedzy Spaatz nigdy nie opublikował takiego artykułu). Faktycznie US Air Force w tajemnicy zdjęło klauzulę tajności ze studium Angella 12 grudnia 1962 roku, ale i wtedy go nie otrzymałem. „Wydaje się, że Air Force pokpiło sprawę, nie dostarczając egzemplarza historycznego studium Joe Angella autorowi *The Destruction of Dresden*” - napisał pewien amerykański generał w wewnętrznym memorandum z marca 1964 roku. Ubolewał, że szacunkowe dane co do liczby ofiar nalotów na Drezno rzuciły cień na lotnictwo jego kraju.

Po opublikowaniu książki w Wielkiej Brytanii poprosiłem generała Spaatza, żeby napisał przedmowę do wydania amerykańskiego. Odpowiedział mi jednak, iż jego zdaniem osądzałem postępowanie ludzi w latach 1940 - 1945 miarą kryteriów roku 1963 oraz wedle jego intelektualnego i emocjonalnego klimatu - sprawiedliwie powiedziane. Warto dodać, że Spaatz napisał dalej, iż podana przeze mnie liczba ofiar przekracza dwukrotnie

wszelkie inne dane szacunkowe i że ma wrażenie, iż nie doceniłem znaczenia miasta jako obiektu wojskowego.

Patrząc z perspektywy czasu, uważam, że Spaatz miał sporo racji.

Wielką pomocą okazała się analiza bardzo ważnego dokumentu odnalezonego po opublikowaniu książki - chodzi o raport komendanta drezdeńskiej policji z marca 1945 roku. Urzędnik ów wymienił przybliżoną liczbę ofiar, ja sam nie byłbym jednak skłonny uznać ją za bezdyskusyjną. 10 marca 1945 roku - bo wtedy sporządzono rzeczony dokument - dokonywanie ostatecznych szacunków było jeszcze przedwczesne. Na zdjęciach ruin wykonanych długo po nalotach widać napisy wymalowane kredą na murach: „Clara Singer: tutaj, pod gruzami. Heinrich Singer żyje i jest w Garten-Strasse, Coswig”, „Mamo, szukamy Cię - Ernst i Clara”, „Franz - żyjesz? Twoja Else”, „Gdzie jest pani Braunert?”. Nikt nie mógł i nadal nie może podać ostatecznej liczby ofiar. Nieprzeliczone rzesze drezdeń-czyków zostały tamtej nocy wyrwane z rodzaju ludzkiego, tak pewnie i niezawodnie jak ów nieszczęśnik opierający się o ścianę domu w Hiroszimie, po którym pozostał tylko cień na murze. Każdy, kto odwiedzał później Drezno, widział nawet po latach, zarówno w centrum miasta, jak i na przedmieściach (na przykład Streisen), całe hektary nietkniętych ruin, z grubsza tylko niwelowane buldożerami, a gdzieś tam jedynie zabudowane. Od tamtej pory w dzień Wszystkich Świętych te opuszczone pustkowia pokrywają kwiaty i wieńce, które upamiętniają miejsca spoczynku rodzin nadal pogrzebanych gdzieś pod rumowiskiem, toteż niewuwzględnionych w obliczeniach komendanta policji z marca 1945 roku.

Chcąc odnaleźć członków personelu latającego, którzy jeszcze żyli w kwietniu 1961 roku, zamieściłem ogłoszenie odpowiedniej

treści w kolumnie „Osobiste” dziennika „The Times”. Inne gazety, takie jak „Daily Telegraph”, „Manchester Guardian”, „The Scotsman”, „New York Times”, „Washington Post”, magazyn „Air Mail”

wydawany przez RAF Association również udzieliły mi niezbędnej pomocy.

William Kimber, dzentelmen i wydawca z Londynu, był wśród osób, które odpowiedziały na jeden z moich anonsów w „The Times”. Zapytał, czy chciałbym opublikować książki w jego oficynie. Niebawem ustaliliśmy warunki, i w ten sposób rozpoczęła się nasza długa przyjaźń. Miałem jednak wielkiego pecha. Otóż, poznałem pana Kimbera, gdy był głęboko zaangażowany w proces (który ostatecznie przegrał) wytoczony mu przed sądem pierwszej instancji przez pewnego lekarza z Oświęcimia, a dotyczący znieśławień zawartych w powieści historycznej Leona Urisa pt. *Eksodus*. On sam, wraz z personelem, przekopywał się całymi miesiącami przez sterty relacji naocznych świadków - byłych więźniów nazistowskich obozów koncentracyjnych.

Wszystko to wpłynęło nieuchronnie na decyzję oficyny, żeby poddać redakcji mój oryginalny maszynopis książki. Niektóre fragmenty zostały ocenzone z obawy przed oskarżeniem

o znieśławienie, jakie mogliby wysunąć sir Winston Churchill czy sir Arthur Harris. Pewne co bardziej makabryczne opisy usunięto z odbitek szrotkowych. Bez mojej wiedzy usunięto też zakończenia niektórych rozdziałów oraz zmieniono tytuły innych, na przykład „Oni zbierają burzę”, co miało stanowić potwierdzenie poglądu szczerze podzielanego przez pana Kimbera, że ostatecznie Niemcom po prostu odpłacono, i to z nawiązką, ich własną monetą. (Jeśli tak -jak wobec tego nazwać brytyjskie i amerykańskie naloty na miasta we Francji, Belgii, Holandii oraz na podobne cele w innych częściach okupowanej Europy? Także w nich zginęły tysiące niewinnych osób).

Czytelnicy oryginalnej wersji książki bez trudności zidentyfikują te drobne dodatki i uzupełnienia wprowadzone przez mo-

jego wydawcę. Oto jeden przykład: zdanie w rozdziale „Drezno -cel dziewiczy”, odnoszące się do masowego wygnania w 1945 roku 6 milionów Niemców z ich siedzib na ziemiach wschodnich, które doprowadziło do śmierci 2 milionów z nich, pan Kimber uzupełnił swoim komentarzem: „choć było to doprawdy nicz-)(ym w porównaniu z ludobójczym potraktowaniem Żydów przez nazistów”. Pozwolił on sobie nawet na drobną zarozumiałość, dopisując do ostatniego akapitu książki trzy niezgrabne i niewspółgrające z tekstem linijki. (Już ich tam nie ma). Te drobne zmiany zauważyłem dopiero po kilku latach. W większości wypadków, choć nie wszędzie, przywróciłem tekstowi jego pierwotną postać.

Napisawszy te słowa, chciałbym wszelako podkreślić, że czułem się dumny i zaszczycony, gdy „Daily Telegraph” poprosił mnie o napisanie wspomnienia pośmiertnego Williama Kimbera. Nigdy nie żałowałem naszej drugiej znajomości i przed laty z radością oraz uznaniem powitałem fakt zdobycia przez jego niewielką firmę (która już dawno została wchłonięta przez inną) jedyne w swoim rodzaju wyróżnienia, mianowicie zwycięstwa w plebiscycie na oficynę traktującą najuczciwiej swoich autorów, zorganizowanym przez British Society of Authors.

David Irving
Londyn, lipiec 1995 roku

ROZDZIAŁ I

Ci, co siali wiatr

Korzeni strategicznej ofensywy powietrznej przeciwko Niemcom historycy upatrują w wydarzeniach z 10 maja 1940 roku.

Przed tą datą samoloty Royal Air Force atakowały wyłącznie ciężkie okręty, mosty i stanowiska artylerii, przy czym Brytyjczycy kierowali się bardziej respektem wobec przewagi Luftwaffe aniżeli względami prawa międzynarodowego. Nieprzyjacielskie jednostki w Kanale Kilońskim były atakowane już 4 września 1939 roku, lecz RAF zrzucił pierwsze bomby na niemiecką ziemię dopiero w nocy z 19 na 20 grudnia 1940 roku, kiedy to zbombardowano bazę wodnosamolotów na wyspie Sylt. Trzy dni wcześniej Luftwaffe dokonała nalotu na Orkady, zabijając brytyjskiego cywila. „Wcześniej - zapisano w dokumentach brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa - RAF unikał bombardowania celów, w których byłaby narażona ludność cywilna”¹.

RAF ograniczał swoje działania nad Niemcami do „niklowania” (*nickelling*), czyli wyrzucania z samolotów ulotek. Akcję tę zakończono 10 maja 1940 roku wieczorem, w dniu inwazji

Trzeciej Rzeszy na Francję, Belgię i Holandię. Tamtego dnia Neville'a Chamberlaina, zdecydowanego przeciwnika użycia bombowców jako oręża służącego zastraszeniu, zastąpił na urzędzie premiera Wielkiej Brytanii ktoś bardziej pozbawiony skrupułów.

Popołudnie 10 maja było ciepłe, lecz niebo zachmurzyło się. Tuż przed godziną 16.00 z cumulonimbusów zalegających nad Fryburgiem Bryzgowijskim wyłoniły się trzy dwusilnikowe samoloty lecące na wysokości około 1500 stóp; każdy zrzucił serię bomb, po czym szybko się oddalił. Większość bomb o wago-miarze 100 funtów* eksplodowała w znacznej odległości od wyznaczonego celu - lotniska przeznaczonego dla myśliwców. Jedyne 1 O spadło bezpośrednio na pasy startowe, 31 (w tym 4, które nie wybuchły) w obrębie miasta, na zachód od celu, 6 opodal koszarów w Gallwitz, a 11 na dworzec. Dwie bomby trafiły w dziecięcy plac zabaw przy Kolmar-Strasse. Polizei-präsident, urzędnik, któremu podlegała w każdym niemieckim mieście obrona cywilna, zameldował o 57 ofiarach śmiertelnych: 22 dzieciach, 13 kobietach, 22 mężczyznach (11 żołnierzach i 11 cywilach)².

Niemieckie Ministerstwo Propagandy szybko wykorzystało ów incydent. Oficjalna agencja informacyjna DBN wydała jeszcze tej samej nocy komunikat: „Trzy nieprzyjacielskie samoloty zbombardowały dziś miasto otwarte Fryburg Bryzgowijski, leżące całkowicie poza Niemiecką Strefą Działań Operacyjnych, pozbawione celów wojskowych”. W komunikacie zaznaczono również, że niemieckie siły lotnicze odpowiedzą na tę „sprzeczną z prawem” operację, stosując podobne środki. „Odtąd każde systematyczne bombardowanie niemieckiej ludności spotka się z odwetem w postaci zaatakowania przez pięciokrotnie większą liczbę niemieckich samolotów miasta brytyjskiego lub francuskiego”³.

Nalot na Fryburg otoczyła aura tajemniczości. Francuzi, oskarżani o jego przeprowadzenie, zaprzeczali zdecydowanie, jakoby ponosili winę, pomimo iż opodal miasta dostrzeżono pojedynczego Poteza 63. Brytyjskie Ministerstwo Spraw *Zagranicznych*, zadowolone z francuskiego oświadczenia, wydało niedwuznacznie sformułowane ostrzeżenie, w którym zarzuty niemieckie uznano za „kłamliwe”. Anglicy przypuszczali, że oto Berlin usiłuje sfabrykować uzasadnienie dla atakowania przez Luftwaffe miast alianckich. Przypominali, że 1 września 1939 roku prezydent nadal oficjalnie neutralnych Stanów Zjednoczonych otrzymał zapewnienie, iż RAF nie będzie bombardował ludności cywilnej (trzeba przyznać, że do 10 maja 1940 roku Anglicy skrupulatnie przestrzegali tej zasady). Rząd brytyjski zastrzegł publicznie, iż w razie dokonania przez niemieckie siły lotnicze nalotów na ludność cywilną rezerwuje sobie prawo do podjęcia takich działań, jakie uzna za odpowiednie⁴.

Tak oto gabinet brytyjski w pierwszym dniu urzędowania pod kierownictwem nowego premiera Winstona Churchilla odstąpił od gwarancji udzielonej publicznie przez Chamberlaina, a dotyczącej poszanowania życia niemieckiej ludności cywilnej; gwarancji, która mogła nastęrczyć kłopotów w czasie przewidywanej ofensywy przeciwko Niemcom.

Cztery dni po incydencie we Fryburgu Luftwaffe przeprowadziła jeden ze swoich owianych złą sławą nalotów. Nastąpił w krytycznym momencie bitwy lądowej o Rotterdam. Pomimo że (podobnie jak ów tajemniczy nalot na Fryburg) nalot ten nie należał do kategorii nalotów strefowych, każda analiza preludeum do wojny bombowej byłaby nad wyraz niepełna, gdyby nie zawierała rzeczowego opisu nazistowskiego nalotu na to miasto. Trzeba przypomnieć rolę, jaką odegrał on w kształtowaniu poglądów brytyjskiej opinii publicznej co do późniejszych druzgocących ataków RAF na niemieckie miasta⁵. Churchill napisał potem we wspomnieniach o „aktach długo przygotowywanej zdrady

i bezwzględności, [które] skończyły się masakrą Rotterdamu, gdzie wymordowano wiele tysięcy Holendrów"*, a w późniejszych oficjalnych przekazach utrzymywał, że w nalocie tym zginęło aż 30 tysięcy osób.

Badania historyczne dowiodły jednak, że podawane przezeń liczby nie należą do najdokładniejszych. Choć wiele dokumentów Luftwaffe spłonęło w nocy z 27 na 28 lutego 1942 roku w przypadkowym pożarze w Poczdamie, genezę oraz charakter nalotu na Rotterdam można odtworzyć przejrzysto i szczegółowo.

Do 13 maja 1940 roku, niemiecka 22. Dywizja Spadochronowa zmagająca się z ogromnymi problemami na północny zachód od Rotterdamu, w rejonie, gdzie wylądowała 10 maja. Przedzierające się przez miasto posiłki z 9. Dywizji Pancерnej dotarły aż do mostu na Mozie, zdobytego pierwszego dnia ofensywy przez niemieckich spadochroniarzy, którzy uprzedzili Holendrów usiłujących zniszczyć ów obiekt. 13 maja o 16.00 podpułkownik von Cholchitz, późniejszy komendant garnizonu paryskiego, wówczas dowódca 16. pułku piechoty, wysłał parlamentariuszy do holenderskiego dowócy miasta z żądaniem natychmiastowej kapitulacji. Holender, pułkownik Scharroo, odmówił jednak negocjowania; ponadto istniały uzasadnione przesłanki, że najbliższej nocy artyleria holenderska dokona ostrzału pozycji wroga. Niemiecka 22. Dywizja, oblegana po drugiej stronie Rotterdamu, zażądała prewencyjnego uderzenia lotniczego na holenderskie pozycje artylerii.

Pomimo że istniała pilna potrzeba przeprowadzenia takiego taktycznego uderzenia, ostateczne rozkazy dotyczące operacji lotniczych w rejonie Rotterdamu wyrażały zdecydowanie odmienne intencje. „Opór w Rotterdamie należy zdławić za wszelką

Cyt. za: W. S. Churchill, *Drużna wojna światowa*, t. II, ks. 1 Gdańsk 1995, s. 265.

cenę - nakazał 13 maja o godzinie 18.45 dowództwu XXXIV Korpusu generał von Kiechler, dowódca 18. Armii - a jeśli to konieczne, należy zagrozić zniszczeniem miasta i go dokonać". Flota powietrzna (Luftflotte 2) 54. pułk bombowy (*Kampfge-schwader 54*) do działań nad Rotterdamem.

Tęgo wieczoru pułkownik Lackner, oficer łącznikowy KG 54, udał się do sali dowodzenia w celu zabrania mapy miasta, „na której zaznaczono holenderskie strefy obronne, przeznaczone do zniszczenia w toku zmasowanego bombardowania"⁶.

Wkrótce tłumacz z 9. Dywizji Pancерnej otrzymał rozkaz przygotowania ultimatum przeznaczonego dla holenderskiego dowócy obrony miasta, o następującej treści: „Opór stawiany nacierającym siłom niemieckim zmusza mnie do poinformowania Pana, iż jeśli nie ustanie on natychmiast, nastąpi całkowite zniszczenie miasta. Proszę Pana, jako człowieka odpowiedzialnego, o użycie swojego wpływu w celu uniknięcia takiej ewentualności. Pragnąc dać wyraz swojej dobrej wierze, proszę Pana o spotkanie z naszym parlamentariuszem. Jeśli po upływie dwóch godzin nie otrzymam odpowiedzi, będę zmuszony zastosować najbardziej brutalne środki zniszczenia. (Podpisano) SCHMIDT, O.C., siły niemieckie". Powyższe pismo stanowiło brutalną, bezpośrednią groźbę. Posuwając się do niej, generał Schmidt, dowódca XXXIX Korpusu, bezsprzecznie liczył na to, że Holendrzy z rozsądku skapitulują.

Jednakże dowódca obrony miasta nie miał powodów do pośpiesznego działania, albowiem północną część Rotterdamu nadal utrzymywali Holendrzy.

Parlamentariusz niemiecki wrócił dopiero nazajutrz, 14 maja o 13.40. Holendrzy zatrzymali go, pragnąc zyskać na czasie. Mieli też nadzieję na pomoc w postaci oddziałów brytyjskich

spadochroniarzy, co jednak nie nastąpiło. Ponieważ Scharroo wspominał, że o 14.00 zamierza wysłać swojego parlamentariusza w celu negocjacji, generał Schmidt nie miał innego wyboru, jak tylko odłożyć w czasie uderzenie lotnicze zaplanowane na 15.00. „Atak przesunięty z powodu negocjacji - wysłał radiogram do dowództwa Luftflotte 2 - [należy] zarządzić ponownie wprowadzenie pogotowia startowego”.

Oczekujące na lotniskach w Quakenbrück, Delmenhorst i Hoya w północnych Niemczech załogi 400 samolotów KG 54 poinformowano wcześniej na odprawie, że mają zaatakować punkty oporu przeciwnika w Rotterdamie. Według planu nad cel zamierzano skierować dwa strumienie bombowców. Czas lotu nad wielkie miasto portowe wynosił od około 95 do 100 minut. Z uwagi na opóźnienie powrotu niemieckiego parlamentariusza zaszyfrowany rozkaz do startu został wydany już w południe, a tymczasem otoczona 22. Dywizja Spadochronowa nieustannie domagała się przez radio lotniczego wsparcia.

Piloci KG 54 otrzymali *rozkaz* atakowania „zgodnie z planem”, chyba że dostrzegą czerwone rakiety, których wystrzelenie miało oznaczać kapitulację Rotterdamu. O 13.25 wystartowały dwie formacje: 1. dywizjon (*Gruppe*) sformował szyk po lewej stronie, a 2. po prawej. Jednocześnie Holendrzy, nadal próbując grać na zwłokę, poinformowali stronę niemiecką, że na wezwaniu otrzymanym od generała Schmidta brakuje podpisu i nie figuruje na nim jego stopień wojskowy: w tej sytuacji nie mogą przyjąć wezwania do wiadomości. Skądinąd holenderski łącznik, niejaki kapitan Backer, otrzymał rozkaz ustalenia, jakie Niemcy postulują warunki kapitulacji. Minęło 40 cennych minut, w czasie których generał wojsk spadochronowych Student, wraz z generałami Schmidtem i Hibickim, dowódcą 9. Dywizji Pancerniej, ustalił i sformułował te warunki. Ale do godziny „zero”, kiedy miało się rozpocząć przesunięcie w czasie uderzenie

na Rotterdam, brakowało tylko pięciu minut; nie można już było przekazać załogom Heinkli wiadomości o jego odwołaniu, ponieważ po przelocie nad granicą niemiecko-holenderską piloci zwinęli i wciągnęli anteny. Generał Wilhelm Speidel wysłał szybki myśliwiec, pilotowany przez podpułkownika Rieckhoffa, żeby wyprzedził formacje bombowców i zawrócił je z trasy, lecz przedsięwzięcie to nie udało się.

Schmidt, gdy tylko usłyszał warkot silników nadlatujących bombowców, nakazał wystrzelić czerwone ładunki sygnalizacyjne - sygnał ten miał oznaczać, że nalot jest „skasowany”.

„Wypatrywałem czerwonych świateł - wspominał później dowódca 1. dywizjonu KG 54 nadlatującego nad Rotterdam od południa - a mój bombardier bezbłędnie zlokalizował punkt celowania i przekazał namiary przez radio. Gdy zameldował, że będzie musiał zwolnić bomby, bo inaczej spadną zbyt daleko od celu (było to bardzo istotne, zważywszy na bliskość jednostek niemieckich) wydałem rozkaz ich zwolnienia punktualnie o 15.00. I wtedy zauważyłem, zamiast oczekiwanego czerwonego światła, unoszące się dwie maleńkie, mizerne rakiety. Nie mogliśmy już zatrzymać bomb, ponieważ ich zwalnianie odbywa się automatycznie, co dotyczyło także dwóch pozostałych samolotów eskadry prowadzącej. *Zalogi* zrzuciły swoje bomby, gdy tylko dostrzegły, że nasze poszły w dół. Z setki maszyn typu Heinkel Hę 111 tylko 40 odebrało na czas wiadomość o odwołaniu ataku, reszta zrzuciła bomby w bardzo skupionym nalocie, który osiągnął wyznaczone punkty celowania.

Już na początku zniszczono wodociągi, a ponieważ wcześniejsze naloty taktyczne doprowadziły do osuszenia znacznej części systemu kanałów, słaba lokalna straż pożarna nie zdołała opanować rozszerzającego się ognia, zwłaszcza że wśród budynków, które najbardziej ucierpiały, znajdowała się fabryka margaryny. Teraz wylewały się stamtąd kaskady płonącej oliwy.

Warto zauważyć, że Niemcy, kierując się zasadami taktyki prowadzenia nalotów na pozycje artyleryjskie

przeciwnika, nie użyli bomb zapalających. Zrzucili ogółem 94 tony bomb: 1150 100-funtowych i 158 500-funtowych; liczba ta wydaje się doprawdy niewielka w porównaniu na przykład z około 900 tysiącami bomb burzących i zapalających zrzuconych na śródlądowy port Duisburg w Zagłębiu Ruhry podczas potrójnego nalotu z 14 października 1944 roku.

Rotterdam skapitulował o 15.30, a dowódca obrony miasta ostro protestował, przypominając, że przecież rokowania dotyczące kapitulacji trwały, nim rozpoczął się nalot. Cztery godziny później holenderski głównodowodzący, generał Winkelmann, ogłosił przez radio: „Rotterdam, zbombardowany po południu, doświadczył skutków wojny totalnej. Jego los podzieliłby wkrótce Utrecht oraz inne miasta. Zaprzestaliśmy walki”.

Niemiecki atak jako nalot taktyczny bezpośredniego wsparcia przyniósł druzgocące skutki. Jako strategiczny „nalot terrorystyczny” nie mógł osiągnąć celu w sposób bardziej dramatyczny. Niemieccy dowódcy wysokiego szczebla utrzymywali do końca, że miał on w zamierzeniu charakter czysto taktyczny. Oto krótka wymiana zdań w tej kwestii dokonana na posiedzeniu trybunału norymberskiego w roku 1946:

Sir David Maxwell-Fyfe:

- Czy nie było waszym celem osiągnięcie przewagi strategicznej przez sterroryzowanie ludności Rotterdamu?

Kesselring:

- Mogę temu zaprzeczyć z jak najczystszym sumieniem: mieliśmy tylko jeden cel - zapewnić wsparcie ogniowe jednostkom Studenta⁷.

W komunikacie niemieckiego Naczelnego Dowództwa z 15 maja napisano z niestosownym tupetem i bezczelnością, że „pod groźbą bombowców nurkujących oraz mającego rychło nastąpić ataku czołgów na miasto Rotterdam skapitulował i dzięki temu nie został zniszczony”.

Według kryteriów wojennych ofiar w Rotterdamie było niewiele. W nalocie zginęło około 980 osób, w tym *znaczna* liczba cywilów: spłonęli żywcem w pożarach, które strawiły obszar zwartej zabudowy o powierzchni ponad 2,5 kilometra kwadratowego. Gdy kilka dni później przybyły na miejsce zorganizowane pośpiesznie niemieckie jednostki przeciwpożarowe dowodzone przez generała Hansa Rumpfa, w niektórych rejonach ogień nadal płonął. Strawił 20 tysięcy budynków, a 78 tysięcy osób straciło dach nad głową.

Gdy Holandia padła, Wielkiej Brytanii oraz jej sprzymierzeńcom pozostało już tylko zebranie z ruin Rotterdamu jak największych profitów. 16 lipca oddano pierwsze salwy w kampanii, która przekształciła się potem w zjadliwą i zacieklą wojnę propagandową w eterze. Poselstwo Królestwa Holandii wydało podkoloryzowane oświadczenie, do którego, jak się wydaje, Churchill odniósł się w swoich wspomnieniach: „Gdy Rotterdam był bombardowany - napisano w oświadczeniu - dokument zawierający postanowienie o kapitulacji holenderskich sił zbrojnych został już przekazany niemieckiemu Naczelnemu Dowództwu. Na Rotterdamie dokonano zbrodni z premedytacją, był to akt nieludzkiego bestialstwa wobec bezbronných cywilów. Przez 7,5 minuty, bo tyle czasu trwał nalot, zginęło 30 tysięcy osób - czyli na jedną minutę przypadało 4 tysiące niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci”. W rzeczoną komunikacie wspomniano też, że „upiornym ukoronowaniem tego stworzonego przez człowieka piekła na ziemi było filmowanie przez Niemców z samolotów obrazu dzieła ich własnych rąk”⁸.

Bez względu na to, czy nalot na Rotterdam stanowił operację taktyczną, czy też - jak utrzymywał po wojnie trybunał norymberski - dokonano go w celu sterroryzowania ludności cywilnej, nie był on zakazany w rozumieniu artykułu 25 konwencji haskiej z 1907 roku, którą podpisała zarówno Wielka

Brytania, jak i Niemcy. Rotterdam nie był przecież miastem otwartym. O tym aspekcie strategicznej ofensywy bombowej napiszę więcej, gdy przejdę do analizy nalotów na Drezno w 1945 roku.

Dowódca lotnictwa myśliwskiego RAF uważał, że nad kontynentem europejskim Luftwaffe jest nie do pokonania. Uznał zatem, że nieprzyjacielską armadę powietrzną należy jakimś sposobem zwabić nad Wyspy Brytyjskie, ażeby *znalazła* się w strefie działań obrony myśliwskiej krótkiego zasięgu, dysponującej samolotami przewyższającymi pod względem osiągnięć i uzbrojenia myśliwce niemieckie. Biorąc to pod uwagę, RAF pierwsze ataki na cele położone na wschód od Renu przeprowadził tego wieczoru, gdy świat dowiedział się o nalocie na Rotterdam. Mniej niż 25 z ogólnej liczby 96 bombowców uczestniczących w operacji zameldowało, że odnalazło wyznaczone cele. Hermann Göring nie odwołał nawet jednego myśliwca z działań wspierających bitwę o Francję. Dopiero po upadku tego kraju i po powtarzających się nalotach RAF-u na obszary Niemiec, fuhrer wezwał dowództwo Luftwaffe do skierowania uwagi na cele przemysłowe w Londynie oraz wokół tego miasta.

Tymczasem dni trwały coraz krócej: w nocy z 19 na 20 sierpnia nad Berlinem zestrzelono bombowiec typu Blenheim. Zniszczenia były minimalne. Sześć nocy później Churchill wysłał nad Berlin liczną formację bombowców. Oficjalnie miał to być odwet za nalot dokonany przez Niemców na Londyn poprzedniej nocy⁹. (Po wojnie ujawniono w *The Official History of the Defence of the United Kingdom*, że te pierwsze niemieckie bomby zostały zrzucone „nieumyślnie” na wschodnią część Londynu podczas nalotu Luftwaffe na usytuowaną nad Tamizą rafinerię - ofiar w ludziach nie było). W Dreźnie po raz pierwszy w trwającej od roku wojnie zawyły syreny, gdy 82 brytyjskie bombowce leciały nad środkowe Niemcy. W Berlinie, gdy już minął szok wywołany pierwszym od roku 1918 bombardowaniem, bezpośrednią reakcją było oziępienie: berliński korespondent poważnego dziennika nowojorskiego „Herald Tribune” donosił niefrasobliwie: „W Berlinie nie odnotowano żadnych brytyjskich nalotów”¹⁰. „The Times” oburzał się, albowiem amerykańscy korespondenci w stolicy Rzeszy wysyłali do swoich biur nowojorskich „tylko krótkie depesze minimalizujące skutki ostatniego nalotu”. „Naprawdę elektryzujące informacje o tym nalocie znajdowały się w depeszach korespondentów londyńskich”¹¹.

28 i 29 sierpnia bomby brytyjskie zabiły dziesięciu berliń-czyków. Pomimo że RAF nie zdołał podczas następnych nocy wyrządzić poważnych szkód w stolicy Rzeszy, ów największy nalot dostarczył fuhrerowi, którego ofensywa na Zachodzie dopiero co zakończyła się zwycięstwem, prowokacji, jakiej potrzebował. Przemawiając 4 września w berlińskim Pałacu Sportu, oświadczył: „Jeśli Anglicy zaatakują nasze miasta, ja zetrę ich miasta z powierzchni ziemi”¹². To jednak nie odstraszyło RAF-u, który przeprowadził nowe naloty na Berlin. 5 września zginęło tam 15 osób. Nazajutrz, po obiedzie spożytym w towarzystwie Hitlera, Goebbels zanotował w swoim dzienniku następujące słowa: „Fuhrer ma już tego dosyć. Odwołuje zakaz bombardowania Londynu. Naloty mają się rozpocząć dziś wieczorem”¹³.

7 września po południu, trzy dni po ostrzeżeniu ogłoszonym w Pałacu Sportu i dwa tygodnie po pierwszym brytyjskim nalocie na Berlin, Luftwaffe pokazała swoją siłę nad Londynem, dokonując po raz pierwszy w tej wojnie nalotu dziennego: 247 bombowców eskortowanych przez kilkadziesiąt myśliwców zrzuciło na składy ropy i urządzenia portowe w dolnym biegu Tamizy ogółem 335 ton bomb burzących i 440 zapalających.

Ówczesny dowódca Bomber Command sir Charles Portal powinien wziąć pod uwagę ocenę skutków brytyjskich nocnych nalotów na Niemcy, uznanych przez korespondentów z państw neutralnych za wątpliwe. Nawet jeśli odnośne biuletyny informacyjne były niedostępne dla ogółu Brytyjczyków, to przecież on sam dysponował nimi. We wszystkich doniesieniach użyto jasnych i niedwuznacznych terminów oznaczających porażkę.

Jednakże Ministerstwa Lotnictwa najwyraźniej nie odstraszały te znaki ostrzegawcze, nawet gdy niemieckie Ministerstwo Propagandy oprowadziło korespondentów amerykańskich po obszarach, które komunikaty brytyjskie określały jako „zniszczone”. A zatem, gdy w sierpniu 1940 roku biuletyn informacyjny Ministerstwa Lotnictwa z przesadą głosił, że Hamburg „praktycznie legł w gruzach”, Goebbels wysłał dwa samoloty wypełnione dziennikarzami z państw neutralnych, by przekonali się na własne oczy, iż miasto nie doznało żadnych zniszczeń¹². Dziennik „New York Herald Tribune” trafnie napisał: „Naziści twierdzą, iż «starcie na proch» Hamburga to fałsz: żeby to udowodnić, pokazują miasto cudzoziemskim autorom”¹³. Także w sierpniu Goebbels zorganizował podobne „wycieczki kontrolne” do Kilonii i Wilhelmshaven, które to miasta zostały jakoby „zmiążdżone”. Dziennikarze obejrzeni 36 wielkich składów ropy oraz zakłady przemysłowe „dotknięte katastrofalnymi w skutkach nalotami bombowymi”. Miesiąc zakończyły naloty na Berlin: nowojorskie gazety poświęciły im utrzymane we wzgardliwym tonie komentarze (o których już wspominałem).

Choć wszystkie te informacje z Niemiec były przekonujące, nie wpłynęły ani na decyzje sir Charlesa Portal, dowódcy Bomber Command, ani sir Richarda Peirse’a, wówczas zastępcy szefa sztabu lotnictwa, awansowanego wkrótce (na wniosek Portal) na szefa tego sztabu. Więcej, z pisma Peirse’a skierowanego do premiera, datowanego na 5 września, wyciera bezgraniczne przeświadczenie o skuteczności działań Bomber Command. „Sądzę, iż wyrazem skuteczności naszych bombardowań jest ich planowe i nieustępliwe prowadzenie, aż do chwili gdy wyznaczony cel zostanie całkowicie zniszczony lub uszkodzony, podczas gdy niemieckie nocne bombardowania są sporadyczne i mają przeważnie charakter nękający”.

Do nielicznych wyższych oficerów urzędujących przy High Wycombe, którzy nie podzielali tego bezgranicznego optymizmu, należał sir Robert Saundby; nader sceptycznie traktował on meldunki załóg bombowców. Wspominał, że w siedzibie Bomber Command znajdowała się mapa Niemiec pokryta czerwonymi i czarnymi kwadracikami: pierwsze oznaczały znane i zlokalizowane zakłady naftowe, drugie zaś te, które brytyjskie bomby już „zrównały z ziemią”. Indagowany przez Saundby’ego oficer odpowiedzialny za mapę wyjaśnił, że według danych statystycznych 100 ton zrzuconych bomb niszczy w połowie takie zakłady, toteż każdy, na który spadło 200 ton bomb, został zniszczony na pewno. Oficer ów wiedział, że bomby trafiły w cel, „ponieważ załogi otrzymały odnośne rozkazy”. Sir Robert Saundby skomentował to sarkastycznie: „Przecież nie zrzuciliście na te zakłady 200 ton bomb, po prostu wysłaliście 200 ton bomb i pozostaje wam tylko wierzyć, że niektóre z nich zostały zrzucone w Niemczech”¹⁴.

We wczesnym okresie istnienia Bomber Command powyższy komentarz musiał głęboko wstrząsnąć tym oficerem, jednakże świadczy on wymownie, jaki tryb myślenia musieli przyjąć

wyżsi oficerowie tej instytucji, jeśli miała ona kontynuować działalność.

Typowy „czarny kwadracik” mógłby oznaczać wytwórnę paliwa syntetycznego Ilse Bergbau w Ruthland opodal Drezna, zaatakowaną przez brytyjskie bombowce w nocy z 10 na 11 listopada 1940 roku „Wielki ów zakład, którego identyfikację ułatwiało sześć wysokich kominów, został obrzucony bombami zapalającymi przez pierwsze formacje samolotów, a purpurowa poświata wielkich pożarów umożliwiła pilotom bombowców lecących w następnej fali określenie swoich celów. Uzyskano bezpośrednie trafienia bombami burzącymi w budynki rafinerii oraz podstawę grupy kominów, co wywołało gwałtowne eksplozje, których siłę odczuły załogi samolotów lecących na pułapie tysięcy metrów. Pod koniec godzinnego nalotu rafineria stała w płomieniach, a w niebo strzelały słupy czarnego dymu; obserwowały je przez 20 minut ostatnie bombowce kierujące się ku odległej o 800 kilometrów Anglii”. Wszystkie te skutki nalotu były dostrzegalne pomimo dymu „unoszącego się zwartą masą na wysokości ponad 5500 metrów”. Również Drezno „zostało zbombardowane po raz pierwszy: w rejonie głównych węzłów kolejowych miasta wybuchły pożary, a instalacje gazowe, wodne i energetyczne doznały znacznych uszkodzeń; atak

trwał od 21.15 niemal do 23.00. Tymczasem w rzeczywistości, choć syreny alarmowe odezwały się w Dreźnie o 2.25 w nocy, na miasto nie spadła ani jedna bomba"¹⁵.

Jeśli Portal i Peirse mieli złudzenia, że ich szeregowi lotnicy potrafią, prowadząc lot według gwiazd, odnajdywać precyzyjnie odległe cele, to niemieccy analitycy byli wolni od takiego nierealistycznego myślenia. Już w marcu 1940 roku z dokumentów odnalezionych w roztrzaskanych niemieckich samolotach

dowiedziano się, że ich załogi korzystają z systemu nazwanego kryptonimem „Knickebein”, służącego do prowadzenia samolotu w nocy, a opartego na korelowaniu dwóch nakładających się na siebie wiązek nadawanych z ziemi sygnałów radiowych*. Gdy Skrzydło 80, sformowana *ad hoc* przez RAF jednostka urządzeń zakłócających dowodzona przez podpułkownika E. B. Addisona, skonstruowało przyrządy służące do zakłócania tych sygnałów, w nocy z 14 na 15 listopada bombowce Luftwaffe przyleciały nad Wyspy, korzystając ze wskazań nowego systemu „X-Gerat”, w którym również zastosowano dwie krzyżujące się wiązki fal radiowych. System ten umożliwiał samolotom zrzucanie wielu bomb zapalających precyzyjnie nad punktem celowania. Wzniecały one w mieście - w tym wypadku chodziło o Coventry - setki pożarów. Piloci nadlatującej później drugiej fali bombowców już nie mieli kłopotów z identyfikacją celu. Ostatnim niemieckim wynalazkiem stosowanym w tej wczesnej „wojnie na wiązki radiowe” był wprowadzony do użytku w lutym 1941 roku system „Y-Gerat”. Odbiorniki samolotu przechwytywały sygnał radiowy wysyłany ze stacji naziemnej, który odsyłało do tej samej macierzystej stacji. Porównanie różnicy faz, czyli „przesunięcia” w fazie sygnałów nadanych i odebranych [odzwierciedlały czas przepływu sygnału ze stacji do bombowca i z powrotem - *przyp. tłum.*], pozwalało na dokładne określenie pozycji maszyny. System ów, wprowadzony przez Bomber Command dwa lata później jako „Oboe”, stał się w brytyjskim arsenale, by tak rzec, jedną z najpotężniejszych broni służących - poczynając od bitwy o Zagłębie Ruhry - do lokalizacji celu.

Sformowanie, rozwój oraz wyposażenie techniczne niemieckiej jednostki naprowadzania, znanej pod nazwą Kampfgruppe 100, było dla Bomber Command znakomitą lekcją poglądową. W świetle pożarów wzniesionych przez Heinkle należące do K. Gr. 100, nadlatujące nad cel przy wykorzystaniu wiązek fal radiowych w systemie „X-Gerat”, pozostałe dywizjony bombowców dość łatwo odnajdywały cele i punkty celowania. W ramach nader nierealistycznego przydziału celów podczas nalotu na Coventry w listopadzie 1940 roku jednostce I/LG.1 powierzono zbombardowanie kompleksu Standard Motor Company oraz Coventry Radiator and Press Company; jednostka II/KG.27 miała zaatakować zakłady produkcyjne silników lotniczych Alvis; I/KG.51 - obiekty przemysłowe należące do British Piston Ring Company, K. Gr. 606 zaś - miejskie zbiorniki gazu. Z 550 samolotów uczestniczących w nalocie nad miasto dotarło 449: zrzuciły one 503 tony bomb burzących i 881 ładunków zapalających.

W nalocie zginęło 380 osób, znacznie mniej niż w Rottreer-damie. Jednak atak na Coventry stał się dla Bomber Command lekcją poglądową numer dwa - największy uszczerbek produkcji przemysłowej przyniosło zniszczenie sieci gazowej i zaopatrzenia w wodę oraz w energię elektryczną. Niemieckie bomby spowodowały duże zniszczenia w 21 ważnych zakładach przemysłowych, z których 12 pracowało bezpośrednio na potrzeby przemysłu lotniczego. Były one przyczyną zatrzymania produkcji w 9 innych ważnych zakładach. Można by ją rychło wznowić po zakończeniu nalotów, jednak nastąpił paraliż usług komunalnych spowodowany przypadkowymi zniszczeniami od bomb, które trafiły obok właściwych celów.

Te nieoczekiwane następstwa miały stać się podstawą przyszłej strategicznej ofensywy Bomber

Command. Straty w Coventry stanowiły równoważnik 39 dni produkcji przemysłowej i spowodowały je nie tyle zniszczenia fabryk oraz zakładów przemysłowych, ile zniszczenia pośrednie zadane centrum miasta. Opinia ekspertów przedstawiona rządowi brytyjskiemu głosiła, że jeśli Luftwaffe powtórzy naloty podczas dwóch albo trzech następujących po sobie nocy, miasto łatwiej będzie zidentyfikować pilotom bombowców ze względu na utrzymujące się pożary. Naloty te - kontynuowali eksperci - mogą doprowadzić do całkowitego zniszczenia Coventry i zatrzymania produkcji przemysłowej. Jednakże, podobnie jak Brytyjczycy, Niemcy nadal eksperymentowali w wojnie powietrznej na przykład rozmyślnie przedłużyli czas nalotu na Coventry, który trwał od 22.15 niemal do 6.00 rano. RAF przeciwnie - przeciętny czas najskuteczniejszych nalotów na miasta niemieckie skrócił pod koniec wojny do zaledwie 10-20 minut. W tym czasie zasypywano cel wielką liczbą bomb zapalających, wznecających pożary, których niemieckie służby strażackie nie mogły opanować.

Niewątpliwie, gdyby 449 bombowców atakujących Coventry zrzuciło głównie bomby zapalające, gdyby samoloty nadleciały nad cel w zwartej formacji, takiej jak potężna grupa 5. uczestnicząca w nalotach na Brunzwik, Drezno oraz inne miasta, i gdyby celem ataku stało się (tak jak w Dreźnie) tylko średniowieczne centrum Coventry, a nie zakłady zbrojeniowe usytuowane na peryferiach, w tym środkowoangielskim mieście mogłaby rozpuścić się burza ogniowa, w której zginęłaby porównywalna liczba ofiar. Jednakże Niemcy nie wykorzystali tej możliwości. Sir Arthus Harris wspominał później, że tylko jedna operacja Luftwaffe nad Wyspami omal nie doprowadziła do powstania takiej burzy: miał na myśli wyjątkowo potężny nalot na Londyn, kiedy zrzucano bomby zapalające. Na Tamizie trwał akurat odpływ kwadro wy, a zbyt krótkie węże strażackie nie sięgnęły powierzchni rzeki. „Tak często czynnik, który zamieniał skądinąd rutynowy nalot w kataklizm, bywał po prostu wybrykiem natury” - zauważył

Harris, odnosząc się być może do fali gorąca, która latem 1943 roku przesądziła o losie Hamburga.

Tymczasem Ministerstwo Lotnictwa po takich katastrofach jak w Coventry, kiedy to naziemna obrona przeciwlotnicza strąciła tylko jeden bombowiec, a myśliwce nie zestrzeliły żadnego, mogło jedynie oczekiwać z nadzieją lepszych czasów i publikować krzepiące dla Brytyjczyków raporty, jak na przykład ten, który ukazał się pięć dni później na czołówkach londyńskich gazet: „Zakłady Kruppa zniszczone bombami RAF” - głosił nagłówek, choć przecież do końca roku 1943, gdy się to istotnie stało, było jeszcze daleko.

ROZDZIAŁ 2

Bomber Command zabiera się solidnie do roboty

Prawda
o
niepowodzeniu

dotychczas
prowadzon
ej
ofensywy
lotniczej
nie
docierała
do Bomber
Command
i do
Churchilla
stopniowo,
przeciwnie
- spadła na
nich
nieoczekiw
anie i
dosadnie
18 sierpnia
1941 roku,
kiedy to
David
Bensusan-B
utt,
sekretarz
osobisty
doradcy
premiera
profesora
Fredericka
Lindemann
a, złożył
odnośny
raport¹.
Niedługo
po Bożym
Narodzeniu
1940 roku
Butt dotarł
przypadko
wo do
fotografii
zgromadzo
nych w
bazie
łączności
wej RAF-u
w

Medmenham,
przedstawi
ających
przebieg
oraz skutki
nalotów.
Bezpośred
nim
następstw
m raportu,
jaki
przedłożył
profesorow
i
Lindemann
owi, było
powierzeni
e mu
zadania
analizy
statystyczn
ej
rzeczonych
zdjęć.

Raport
Butta
zawierał
przygnębia
jące
szczegóły,
świadczące
o tym, że
informacje
prasy
państw
neutralnyc
h na temat
bezsilności
brytyjskieg
o lotnictwa
bomboweg
o są,
niestety,
prawdą.
Spośród
samolotów
, które

atakowały
cel, tylko
część
zrzuciła
bomby nie
dalej niż 8
kilometrów
w od
niego, a
przy
atakach na
dobrze
bronione
cele
usytuowan
e w głębi
terytorium
Niemiec,
na przykład
w
kompleksie
przemysłow
ym
Zagłębia
Ruhry,
wyczynu

tego dokonywała tylko mniej niż jedna dziesiąta bombowców. Wymóg, by lotnictwo brytyjskie osiągnęło precyzję w nocnych nalotach, wydawał się zatem nierealistyczny - chyba że przynajmniej część samolotów brytyjskich otrzymałaby wyposażenie elektroniczne podobne do używanego przez dywizjony Luftwaffe.

Jednakże Churchillowi zależało wtedy na wspieraniu w jedyny dostępny sposób będących w niebezpieczeństwie radzieckich sił zbrojnych. 9 lipca 1941 roku generał brygady sir Norman Bottomley, zastępca szefa sztabu wojsk lotniczych, wydał pierwszą ze swoich dyrektyw przeznaczonych dla dowódcy Bomber Command, którym był nadal sir Richard Peirse. Oto jej fragmenty:

„Polecono mi poinformować Pana, że wszechstronna analiza obecnej sytuacji politycznej, gospodarczej i wojskowej nieprzyjaciela ujawnia, iż jego najsłabszymi punktami są morale ludności cywilnej oraz system transportu wewnętrznego”.

A zatem głównym celem lotnictwa bombowego, do czasu otrzymania nowych instrukcji, powinno być dezorganizowanie systemu transportu oraz osłabianie morale ludności cywilnej. Peirse'a wyraźnie poinstruowano, jak ma to uczynić. Jako najważniejsze cele nalotów wyznaczono Kolonię, Duisburg, Diisseldorf i Duisburg-Ruhrort: „[...] wszystkie odpowiednie do atakowania w bezksiężycowe noce, gdyż znajdują się one w gęsto zaludnionych okręgach przemysłowych, gdzie efekt psychologiczny nalotów będzie największy”.

„Musimy najpierw zniszczyć podstawy, na których spoczywa [niemiecka] machina wojenna - gospodarkę, która ją żywi; morale, które ją utrzymuje; zaopatrzenie, które podtrzymuje jej funkcje życiowe; oraz nadzieję na odniesienie zwycięstwa, która ją inspiruje”.

Powyższy wyjątek z notatki szefa sztabu, datowanej na 31 lipca 1941 roku, zapowiadał operację, która

stała się znana jako Strategiczna Ofensywa Bombowa. Dyrektywa z Casablanki ze stycznia 1943 roku* faktycznie jedynie wyakcentowała zasady tej nowej strategii. Jednak nawet pod koniec 1941 roku Bomber Command ciągle nie było dostatecznie przygotowane do takiej ofensywy. Choć już w 1936 Ministerstwo Lotnictwa planowało budowę czterosilnikowego ciężkiego bombowca, zaniedbano produkcję instrumentów służących do jego naprowadzania na cel oraz bomb, które miał zrzucić.

W chwili przystąpienia Wielkiej Brytanii do wojny bomby, którymi dysponował RAF, opierały się w swojej konstrukcji na bombach stosowanych w 1918 roku. Dotyczyło to także rodzaju i składu materiałów wybuchowych, którymi były elaborowane. Przynajmniej raz, w czasie brytyjskich nalotów na Stuttgart w lipcu 1944 roku, samoloty należące do kilku dywizjonów zrzuciły bomby wyprodukowane w 1918 roku. Doświadczenia z hiszpańskiej wojny domowej dowiodły, że fala podmuchu eksplodującej bomby lotniczej może zabijać na znacznie większą odległość aniżeli sama eksplozja, dlatego też w pierwszych miesiącach wojny na wyposażeniu Bomber Command znajdowały się bomby o wagomiarze nie większym niż 500 funtów; brakowało też motywacji do konstruowania oraz produkowania bomb o większej masie. Niemcy nie popełnili tego błędu: w roku 1943 elaborowali swoje bomby materiałem wybuchowym zawierającym aluminium, co praktycznie podwajało siłę wybuchu - fakt ów nie był nieznanym brytyjskim wojskowym, którzy pomimo to nie przekazali posiadanych informacji konstruktorom uzbrojenia przeznaczonego dla Bomber Command.

Na problem ten zwrócił uwagę młody ekspert Admiralicji w dziedzinie badań operacyjnych, fizyk profesor Patrick Blackett.

„Statyczne próby detonacyjne - napisał - wykazały, że brytyjskie zwykłe bomby, które znajdowały się wówczas na wyposażeniu lotnictwa, były skuteczne jedynie w połowie w porównaniu z niemieckimi lekkimi bombami o tej samej masie. W okresie 10 miesięcy, od sierpnia 1940 roku do czerwca 1941 roku, całkowita masa bomb zrzuconych na Zjednoczone Królestwo wyniosła ogółem 50 tysięcy ton; bomby te spowodowały śmierć ogółem 40 tysięcy osób, czyli na jedną tonę bomb przypadało 0,8 osoby". A zatem, wnioskował Blackett, zważywszy na sprawdzoną niższą skuteczność naszych sił lotniczych, jak również na fakt, iż dysponują one uzbrojeniem niższej jakości, należałoby oczekiwać, że jedna tona brytyjskich bomb zabije 0,2 Niemca. Jako że profesor już wykazał, iż „ubytek produkcji przemysłowej [...] oraz straty wśród ludności cywilnej [...] były mniej więcej proporcjonalne", z jego obliczeń wynikało, że kontynuowanie przez RAF Strategicznej Ofensywy Bombowej jest niecelowe. Pogląd ów miał wielu zwolenników w kręgach Admiralicji².

Makabryczne eksperymenty przeprowadzone pod koniec 1941 roku przez profesora Solly'ego Zuckermana, o których opinia publiczna dowiedziała się dopiero dzięki pytaniu poselskiemu zadanemu w Izbie Gmin, wydawały się potwierdzać tę tezę³. Zuckerman wykazał, że bomby niemieckie są dwukrotnie skuteczniejsze niż bomby brytyjskie o tej samej masie. To jednak nie było wszystko. Detonując standardowe brytyjskie bomby 500-funtowe wśród użytych jako zwierzęta doświadczalne żywych kozłów uwiązanych w różnych pozycjach w głębokim wykopie, Zuckerman wykazał, iż „ciśnienie o następstwach śmiertelnych dla człowieka" wynosi od 28 do 35 kilogramów na centymetr kwadratowy; analiza następstw niemieckich nalotów na miasta brytyjskie wskazywała, że wyliczenie to jest poprawne. Poprzednio uważano, że ciśnienie to jest niskie - 35 dekagramów na centymetr kwadratowy⁴. Zuckerman wykazał na podstawie doświadczeń, że ciśnienie niezbędne do spowodowania minimalnych uszkodzeń płuc wynosi 5 kilogramów na centymetr kwadratowy. Odnosząc się do badań profesora J. D. Bernala, dotyczących ofiar w ludziach po niemieckich nalotach na miasta brytyjskie, Zuckerman napisał w konkluzji, że tylko niewielki odsetek osób znajdował się w tak nieznacznej odległości od wybuchających bomb, ażeby doznać bezpośrednich obrażeń na skutek działania fali uderzeniowej.

Warto zauważyć, że choć Zuckerman zbadał również doświadczalnie, jakie skutki powodują odłamki bomb (w łapki królików wstrzeliwał stalowe kulki o dużej prędkości lotu), żaden z naukowców po obu

stronach frontu nie podjął się, jak można przypuszczać, analizy kwestii skuteczności bomb w aspekcie zatrucia ofiar dymem i tlenkiem węgla, które spowodowało śmierć 70 procent ofiar po stronie niemieckiej w nalotach bombowych opisanych w tej książce.

Jeśli jednak profesorowie Blackett i Zuckerman spodziewali się, że dowódcy RAF-u uwzględnią ich pesymistyczne wyliczenia i przeznaczą brytyjskie zasoby materialne do zwalczania na przykład nieprzyjacielskich okrętów podwodnych (obaj naukowcy dali się poznać jako przeciwnicy ofensywy bombowej), to byli w błędzie. Wyniki ich analiz, podobnie jak wiele innych przygotowanych przez uczonych o podobnych zapatrywaniach, posłużyły tylko jako argument do wyposażania Bomber Command w jeszcze potężniejsze uzbrojenie.

Jak najszybsze rozpoczęcie produkcji lekkich bomb odłamkowych, po to, by uzbrojenie brytyjskie choćby dorównywało pod względem skuteczności niemieckiemu, było sprawą zasadniczej wagi. Pod koniec 1941 roku weszły do uzbrojenia pierwsze średnie bomby 500-funtowe, w których materiał wybuchowy

stanowił 40 procent masy. Jednakże najważniejszą bronią w ofensywie strategicznej miały być bomby o dużej sile eksplozji, w których materiał wybuchowy stanowił 80 procent masy, cienkoskorupowe „blockbustery”, przypominające wielkością i kształtem kotły służące do ogrzewania domów jednorodzinnych, o wagomiarach 4 tysięcy, 8 tysięcy i 12 tysięcy funtów.

Blackett i Zuckerman zdecydowanie zakwestionowali możliwość zadania przez lotnictwo większych strat niemieckiej ludności cywilnej, lecz Churchill zasięgnął rady innej wróżki: poprosił profesora Lindemanna (który od czasu otrzymania w Boże Narodzenie przynębiającego raportu swojego sekretarza żył ze świadomością stałych niepowodzeń Bomber Command) o opracowanie zasad strategii nalotów, którymi Wielka Brytania mogłaby wspomagać swojego nowego sojusznika na Wschodzie.

W raporcie z 30 marca 1942 roku Lindemann napisał, że ofensywa strategiczna mogłaby niewątpliwie złamać ducha wroga, pod warunkiem wszakże, iż jej celem będą zamieszkane przez robotników dzielnice 58 miast o liczbie ludności powyżej 100 tysięcy. „Każdy bombowiec zrzuca od początku do końca całej swojej służby około 40 ton bomb - wywodził - jeśli spadną one na obszary zabudowane, od 4 do 8 tysięcy osób zostanie pozbawionych dachu nad głową”. Od marca 1942 do połowy roku następnego miało być więc możliwe pozbawienie tego dachu około jednej trzeciej ludności Niemiec, jeśli kampania uzyska priorytet w przydziale środków materialnych.

Raport został przekazany profesorowi Blackettowi oraz innemu wybitnemu naukowcowi profesorowi Henry'emu Tizardowi, którzy mieli opatrzyć go własnymi komentarzami. Obaj szczęśliwie służyli wcześniej jako oficerowie w marynarce wojennej i uznali, że obliczenia Lindemanna są w znacznej mierze nieprawidłowe. Stwierdzili, że Lindemann przecenia skutki strategicznej Ofensywy Bombowej - Blackett był zdania, że sześciokrotnie, a Tizard, że pięciokrotnie. Ich opinii jednak nie uwzględniono³.

Strategia nalotów sugerowana przez Lindemanna nie wymagała wprowadzania wielu zmian do stosowanej dotąd przez Bomber Command. Nie dalej niż 14 lutego 1942 roku instytucji tej przypomniano słowami niepozostawiającymi żadnych wątpliwości, iż głównym celem jej działań jest atakowanie niemieckich dzielnic mieszkaniowych. „Co do nowej dyrektywy dotyczącej bombardowań - sir Charles Portal skreślił następnego dnia ołówkiem notatkę przeznaczoną dla swojego zastępcy - przypuszczam, iż jest całkiem jasne, że nowe punkty celowania to obszary zabudowane, nie zaś na przykład stocznie i zakłady przemysłu lotniczego, jeśli nawet są wymieniane”. Portal podkreślał, że należy to stwierdzić wyraźnie i bez żadnych niedomówień. Taką właśnie strategię - niszczenia obszarów mieszkalnych - miał podjąć sir Arthur Harris, gdy 22 lutego 1942 roku przybył do podziemnej kwatery Bomber Command przy High Wycombe jako nowo mianowany szef tej instytucji. W późniejszej o rok dyrektywie z Casablanki powtórzono w sposób jeszcze bardziej jednoznaczny i konkretny założenia strategii nalotów. Oto najlepszy dowód

świadczący o tym, że Harris nie ponosi w żadnej mierze osobistej odpowiedzialności za zapoczątkowanie strategii bombardowania terenów zamieszkałych przez ludność cywilną.

Jak wykazała Elizabeth Corwin w rzetelnym, niewielkim opracowaniu sporządzonym w roku 1987 dla University of California w Los Angeles⁶, rząd brytyjski skutecznie zadbał, żeby te założenia nie dostały się do wiadomości publicznej. Dopiero w marcu 1961 roku prawdę ujawnił C. P. Snów w swoim dziełku *Science and Government*⁷. Potwierdzenie znalazła we wrześniu tego samego roku w *Official History of the Strategic Offensive against Germany*⁸.

Sądząc po spektakularnych efektach nowej taktyki - uzyskanych podczas nalotów na Lubekę w nocy z 28 na 29 maja 1942 roku, kiedy na miasto zrzucono bomby zapalające, oraz w czasie podobnych ataków na bałtycki port Rostock miesiąc później

- wydawało się, że teoria profesora Lindemanna jest słuszna. W przepływie szczerości BBC oświadczyło, że RAF „zniszczył w Rostocku dużą liczbę domów robotniczych”. W następstwie tej informacji oburzony poseł Independent Labour Party* zadał w Izbie Gmin pytanie: „Czy było naprawdę konieczne niszczenie domów robotników w celu wyhamowania bądź dezorganizacji niemieckiego wysiłku wojennego?”. Przedstawiciel rządu udzielił wymijającej odpowiedzi.

Na początku roku 1943 Bomber Command mogło już rozpocząć ofensywę strategiczną przeciw niemieckim miastom. Dyrektywa wydana w Casablance 21 stycznia 1943 roku określiła, jaką rolę dowództwo to odegra w zwycięstwie nad siłami państw Osi. Sir Arthur Harris miał dążyć do stopniowego dezorganizowania i niszczenia niemieckich struktur wojskowych, przemysłowych i gospodarczych oraz do osłabiania morale narodu niemieckiego. Trwałoby to aż do chwili zniweczenia zdolności tego narodu do stawiania oporu⁹.

Teraz Bomber Command dysponowało już uzbrojeniem, za pomocą którego mogło z powodzeniem realizować dyrektywę z Casablanki. Ośrodek Analiz Telekomunikacyjnych (Telecom-munications Research Establishment) wprowadził nowe, rewolucyjne urządzenie nawigacyjne; dzięki instalowanemu w samolotach radarowi pracującemu na falach o długości 9,2 centymetra, znanemu pod kryptonimem H2S, pilot widział na ekranie obraz wręcz telewizyjnej jakości, ze szczegółami topograficznymi terenu, nad którym przelatywał¹⁰.

Partia założona w 1893 roku przez działacza lewicowego Keira Hardie (1856 - 1915). W 1900 roku wraz ze związkami zawodowymi utworzyła istniejącą do dziś Partię Pracy (Labour Party). W 1932 roku odłączyła się od niej i odtąd te dwie partie miały w Izbie Gmin osobną reprezentację. Do 1939 roku członkiem ILP był George Orwell.

W urządzenie to wyposażano coraz więcej samolotów, toteż w lutym 1943 roku. Niemcy niebezpiecznie szybko weszli w posiadanie pierwszego egzemplarza H2S, uzyskanego z zestrzelonego bombowca. Cudo to poddali następnie badaniom, w czym pomagał im jeńiec, były pilot z Pathfinder Force". (Dnia 19 maja berlińska firma Telefunken opracowała plan wdrożenia do masowej produkcji klonu „serca” H2S, arcyważnego magnetronu LMS.10 - w liczbie 10 sztuk tygodniowo).

Bombowce brytyjskie otrzymały wkrótce inną aparaturę służącą do odnajdywania celu. Próby z „Oboe” zakończyły się pomyślnie: było to nowe, sprzężone z mechanizmami przelicznikowymi, urządzenie służące do przechwytywania impulsów radiowych wysyłanych przez dwie połączone wyimaginowaną linią naziemne stacje nadawcze [impulsy te były następnie re-transmitowane przez bombowce do stacji -*przyp. tłum.*]. Było ono wzorowane na konstrukcji niemieckiego „Y-Gerat”, stosowano jednak fale krótsze. W tej dziedzinie Anglicy przewyższali Niemców technicznie. Dopiero 7 stycznia 1944 roku, dzięki „łupowi” z roztrzaskanego opodal Cleve Mosquito, uczeni niemieccy uzyskali niezmiernie ważne brakujące im ogniwo, którego posiadanie pozwoliło im zakłócać impulsy radiowe przeciwnika.

Dzięki uwieńczonej sukcesem akcji komandosów na Bruneval w północnej Francji, Brytyjczycy uzyskali

cenne dane co do pracującego na fali o długości 53 centymetrów niemieckiego radaru wczesnego ostrzegania „Wiirzburg”. Nie upłynął nawet rok, gdy naukowcy brytyjscy wynaleźli środek przeciwdziałania - krótkie paski aluminiowej folii o odpowiednio wyliczonych wymiarach i dobranej sztywności, używane do oślepienia albo blokowania nieprzyjacielskich radarów*.

Ważniejsza jednak od tych nowości technicznych była przychylność brytyjskiej opinii publicznej popierającej ofensywę bombową. We wszystkich publicznych oświadczeniach minister lotnictwa sir Archibald Sinclair starannie podkreślał, że obiektem nalotów są wyłącznie cele wojskowe. On sam oraz inni politycy uznawali za absurdalne wszelkie sugestie, jakoby bohaterkie załogi samolotów atakowały w sposób planowy dzielnice mieszkalne albo osiedla robotnicze.

To świadome wprowadzanie w błąd było zapewne najbardziej wierutnym oszustwem, któremu brytyjska opinia publiczna została poddana podczas wojny; 100 tysięcy lotników wiedziało bowiem i przyjmowało do wiadomości, że wysyła się ich każdej nocy nad Niemcy z wyraźnym i konkretnym zadaniem podpalania miast. Wiedzieli oni, że poczynając od 16 grudnia 1940 roku, punkty celowania znajdowały się nie gdzie indziej, jak tylko w centrach obszarów zamieszkałych przez cywilów.

Jednak pogłoski co do prawdziwego stanu rzeczy przedostały się nieuchronnie do publicznej wiadomości. Na początku roku 1943 powstał w Londynie Komitet na Rzecz Ograniczenia Bombardowań (Bombing Restriction Committee), który jako swój adres podawał Parliament Hill. Usiłowania posłów labourzy-stowskich, żeby zakazać mu publikowania ulotek, a jego członków internować, zakończyły się niepowodzeniem¹². Pierwszy znaczący protest przeciwko strategii bombardowań, pochodzący z najwyższych kół rządowych i kościelnych w Zjednoczonym Królestwie, dał się słyszeć dopiero jesienią 1943 roku, wtedy jednak przeprowadzono już trzy najbardziej niszczące i krwawe naloty na Niemcy. Pierwszym miastem, które doświadczyło całej potęgi Bomber Command (załogi bombowców były niedoświadczone, a ogień artylerii przeciwlotniczej nie zniechęcił bombardierów), był Wuppertal, położony na wschodnim krańcu Zagłębia Ruhry. Jego tragedia rozegrała się w nocy z 29 na 30 maja 1943 roku. Wtedy to po raz pierwszy w jednym tylko nalocie zginęło kilkanaście tysięcy osób, z których większość spłonęła żywcem.

Obiektem było rozciągnięte na znacznej przestrzeni miasto w kształcie prostokąta, utworzone w roku 1929 w wyniku unii dwóch sąsiednich miast: Elberfeld i Barmen, położonych w wąskiej dolinie rzeki Wupper. Wuppertal pełnił ważną funkcję „sypialni” robotników zatrudnionych w innych miastach Zagłębia Ruhry, był też ośrodkiem produkcji łożysk tocznych (Zakłady G. & J. Jager, figurujące na czołowym miejscu jako cel GZ. 2701 w znanym „bedekerze dla bombowców” sir Arthura Harrisa)¹³. W mieście znajdowało się również pięć innych ważnych *zakładów* przemysłowych, między innymi wielka fabryka chemiczna IG Farbenindustrie, wytwórnia jedwabiu syntetycznego Bemberg oraz centralna gazownia zaopatrująca w gaz 40 tysięcy mieszkańców¹⁴. Celem nalotu nie był jednak żaden z tych zakładów, Harris otrzymał przecież polecenie bombardowania „obszarów zabudowanych” miast, co też zamierzał uczynić w Wuppertalu. Załogi bombowców otrzymały mapę celu Wuppertal-Elberfeld, wydrukowaną w dwóch kolorach: czerwonym i szarym. Wokół zaznaczonej na niej miejskiej elektrowni, drugiej pod względem wielkości i znaczenia, rochodziły się koncentryczne kręgi; mapę tę, oznaczoną symbolem 1)9) (i)32, sporządzono na podstawie innej mapy tego samego celu pochodzącej z roku 1936. Jednakże bombardierzy otrzymali polecenie zignorowania okręgów i celu usytuowanego w ich środku, zaznaczonych jaskrawym kolorem pomarańczowym; mieli natomiast nakreślić grubą ołówkową linią krzyż - wprost na szarym (mieszkalnym) obszarze Wuppertal--Barmen, znajdującym się na wschodnim krańcu miasta. Obszar ów wyznaczono na punkt celowania na wypadek, gdyby nad miasto nie przybyły wyposażone w aparaturę „Oboe” samoloty-pathfindery typu Mosquito, zrzucające markery.

General dywizji Saundby wyjaśniał, że oznaczanie obiektów o znaczeniu wojskowym czy zakładów przemysłowych na mapach celów, a także stosowanie koncentrycznych okręgów stanowiło zwykłą praktykę. Chodziło o to, żeby informować o celach nie tylko bombardierów, ale także pozostałych członków załóg. Nim wprowadzono do użytku te czerwone i szare mapy, załogi otrzymywały niezmiernie szczegółowe plany miast-celów, sporządzane przez Ordnance Survey, upstrzone obficie krzyżami maltańskimi, którym towarzyszył napis „Szpitale zaznaczone - należy je omijać”.

„Służyło to temu - tłumaczył Saundby - by w Parlamencie pewne osoby mogły wstać i powiedzieć, że na naszych mapach celów takie obiekty są oznaczane i że na odprawach załogom polecono oszczędzanie szpitali”.

Wuppertal nigdy wcześniej nie doświadczył nalotów, głównie ze względu na to, że był dobrze ukryty w naturalnym otoczeniu i przez to należał do celów niezbyt obiecujących pod względem taktyki bombardowania według wskazań urządzeń radarowych. W zaplanowanym nalocie zamierzano wykorzystać zjawisko *creep-back* („odpełzanie”), następujące znacznych kłopotów w poprzednich nalotach na silnie bronione cele. Ilekroć ostrzał prowadzony przez artylerię przeciwlotniczą stawał się intensywny, co bojaźliwsi bombardierzy zrzucali bomby wcześniej, niż należało. Chcieli uniknąć długiego poziomego lotu nad centralnym obszarem miasta-celu. Niedoloty bomb powodowały, że niszczone obszary odległe o kilkadziesiąt mil od właściwego punktu celowania, oznaczonego flarami *pathfinderów*. W tym wypadku przewidywano, że jeśli markery zostaną zrzucone w okolicach wschodniej części miasta, a strumień bombowców przybędzie od zachodu, w wyniku „odpełzania” zniszczeń dozna także Elberfeld.

Załogom 719 bombowców polecono nadlatywać nad miasto kursem 68°, kalkulowano też, że rozmiary „odpełzania” będą wtedy zależeć od natężenia ognia artylerii przeciwlotniczej. Wuppertal należał do typowych miast w Zagłębiu Ruhry; broniło go wiele baterii dział przeciwlotniczych, przygotowano też duże i rozbudowane cele pozorne, mające zmylić bombardierów. Mimo to, przez pierwsze minuty ataku artyleria przeciwlotnicza milczała. Sir Arthur Harris podjął (nieszczęśliwie dla Niemców) niekonwencjonalne działanie: pierwszej fali *pathfinderów* towarzyszyło 40 samolotów zaopatrzonych w bomby zapalające. W efekcie, gdy już artyleria otworzyła ogień, Anglicy zrzucili ogromną liczbę środków zapalających. Spadły one w jednakowym czasie i w dużej koncentracji, skupiając się wokół czerwonych markerów zrzuconych na Barmen przez samoloty kierowane wskazaniem aparatury „Oboe”.

Godziną „zero” nalotu miała być 1.00 w nocy z 30 na 31 maja. Już o północy żołnierze z niemieckiego Korpusu Obserwatorów zaczęli śledzić formacje bombowców nadlatujące nad kontynent ponad ujściem Skaldy. O godzinie 00.05 ogłoszono w Zagłębiu Ruhry „alarm lotniczy 15”: był to sygnał przeznaczony dla lokalnych przywódców NSDAP oraz dyrektorów zakładów przemysłowych i szpitali, nadawany po to, by mogli podjąć zawczasu środki zapobiegawcze. O godzinie 00.14 syreny w Wuppertalu ogłosiły *Fliegeralarm*, powtarzając piętnastokrotnie krótki dwusekundowy sygnał oznaczający „duże niebezpieczeństwo”; alarm ten ogłaszano tylko w czasie największego zagrożenia¹⁵.

Korpus Obserwatorów meldował: „Godzina 00.20. Formacje nieprzyjacielskich bombowców nadal nadlatują nad ujście Skaldy. Pierwsze fale osiągnęły już obszar Maastricht i kierują się dokładnie w kierunku wschodnim.

Godzina 00.30. Formacje kierują się ku Mönchengladbach.

Godzina 00.35. Bombowce koncentrują się nad okolicą Mönchengladbach.

Godzina 00.40. Pierwsze fale lecą nad Renem pomiędzy Diisseldorfem i Kolonią, kierując się wprost na wschód. Istnieje realne niebezpieczeństwo nalotu”.

Pierwsze dwa samoloty Mosquito z Pathfinder Force, wyposażone w transpondery systemu „Oboe”, znajdowały się wtedy na wysokości około 7000 metrów, naprowadzane wzdłuż łuku wprost na południe, ku sercu Wuppertal-Barmen. Tu druga wiązka impulsów oznaczała sygnał zrzucenia markerów. Najpierw

nadajniki radiowe w stacjach naziemnych w Wielkiej Brytanii wysyłały kombinację liter w alfabecie Morse'a: a, b, c, d; następnie, punktualnie o godzinie 00.47, sygnał składający się z liter st wskazywał, że Mosquito *znalazły* się nad wyliczonym według wskazań urzędnika wspomagania nawigacyjnego punktem zrzutu markerów. Uwzględniano przy tym działającą na nie siłę odśrodkową oraz wpływ północno-wschodniego wiatru. Pierwsze markery zostały zrzucone nad Wuppertalem we właściwym momencie, czerwone flary spadły z doskonałą precyzją.

Minutę później posterunki obserwacyjne w mieście zameldowały, że z północnego zachodu słychać warkot silników.

Godzina 00.50. Posterunek obserwacyjny w Tóleturm melduje, że wprost nad nim słychać dźwięk silników lotniczych.

Godzina 00.50. Posterunek obserwacyjny w Tóleturm melduje o kaskadach „drzewek bożonarodzeniowych” nad Wuppertalem. Silny wiatr północno-wschodni zwiewa je na południe. Oznaczony teren obejmuje południowe wzgórze oraz centrum miasta.

O godzinie 00.53, czyli godzinie „zero minus siedem” dla sił głównych, posterunek obserwacyjny *przekazał* telefonicznie ostatni meldunek: „Wybucha bardzo wiele bomb burzących i zapalających”. Chociaż nie było już więcej Mosquito korzystających

z systemu „Oboe”, które mogłyby przez następnych 18 minut skorygować oznaczenie celu, zrzucone w ogromnej koncentracji bomby zapalające zadecydowały o sukcesie nalotu. Obrona lotnicza miasta została obezwładniona. „Miasto wybuchnęło niczym wulkan - zameldował jeden z pilotów należący do 35. dywizjonu markerów. - Pierwsze flary z markerów i pierwsze bomby zapalające poszły w dół w kilka sekund po tym, gdy zapłonęły czerwone markery zrzucone przez samoloty naprowadzane systemem «Oboe»”. W pierwszych minutach nalotu jego koncentracja była tak znaczna, że sześć samolotów brytyjskich zostało ugodzonych zrzuconymi bombami zapalającymi.

Przyczyną tragedii, jaka dotknęła Wuppertal-Barmen, było faktycznie zastosowanie środków zapalających - każdy z Lan-casterów został uzbrojony w 96 30-funtowych bomb wypełnionych płynną mieszką zapalającą oraz 1080 4-funtowych bomb elaborowanych termitem. Pomimo zastosowania przez Niemców celów pozornych, ponad 475 maszyn zrzuciło swoje bomby w kręgu o promieniu 5 kilometrów, wyznaczającym punkt celowania usytuowany w sercu Wuppertal-Barmen. Na miasto spadło ogółem 1895,3 tony bomb.

Ponieważ tym razem niewielu bombardierów wykonało „od-pelzanie”, Wuppertal-Elberfeld nie ucierpiało. Żeby to nadrobić, Bomber Command musiało wysłać bombowce po upływie miesiąca specjalnie nad tę część miasta. Natomiast w Barmen legło w gruzach ponad 90 procent obszaru zabudowanego, zniszczeń doznał teren o powierzchni 4 kilometrów kwadratowych, niemal drukrotnie większy niż rejon Londynu ugodzony niemieckimi bombami w ciągu całej wojny. W wyniku nalotu został zburzony dworzec kolejowy, dwie elektrownie, dwie gazownie, zniszczono system wodociągów oraz pięć spośród największych zakładów przemysłowych. Produkcję przemysłową wznowiono w Wuppertalu po 52 dniach (w Coventry - po 39 dniach).

W nalocie zginęło 2450 osób („osiągnięcia” Luftwaffe w hiszpańskiej Guernice to 90 osób, w Coventry - 380, a w Rotterdamie -980); po nalocie na Elberfeld, przeprowadzonym miesiąc później, ogólna liczba ofiar w Wuppertalu wzrosła do 5200. Ponieważ po raz pierwszy w nalocie lotniczym zginęło tak wielu cywilów, nawet w Londynie podniósł się szmer dezaprobaty. „The Times” w artykule wstępnym z 31 maja „ubolewał nad stratami ludności cywilnej, choć wiadomo, że samoloty RAF-u nadzyw-czaj precyzyjnie trafiają w cel”. Gazeta przypominała jednak tym, którzy chcieliby kwestionować użycie bombowców, iż „nie było sprzeciwów w Niemczech i we Włoszech, gdy w roku 1940 siły Luftwaffe rzucono przeciw pozbawionemu

obrony Rotterdamowi". Dla Niemiec koło się obróciło, tyle że trochę niezasłużenie.

Ale hipokryzja cechowała nie tylko wydawców z krajów alianckich, podkreślał niemiecki minister propagandy doktor Goebbels, który 18 czerwca 1943 roku przemawiał do osób zgromadzonych na zbiorowym pogrzebie ofiar nalotu. „Ten rodzaj seryjnego terroryzmu - krzyczał - jest produktem chorych umysłów wywodzących się z plutokracji niszczycieli świata. Długi łańcuch ludzkiego cierpienia we wszystkich niemieckich miastach zbombardowanych przez aliantów świadczy przeciw nim oraz przeciw ich okrutnym i tchórzliwym przywódcom - poczynając od zgładzenia niemieckich dzieci we Fryburgu Bryzgowijskim 10 maja 1940 roku aż do chwili obecnej”¹⁶.

Gdy niemiecki nalot na Rotterdam zaczęto coraz częściej wymieniać w oświadczeniach alianckich dotyczących historii bombardowań strategicznych, Niemcy coraz częściej nawiązywali do owego tajemniczego nalotu na Fryburg. W opublikowanej w 1943 roku „Białej Księdze” napisano nawet, że nalot ten zapoczątkował ofensywę bombową Anglików i Francuzów. Jednakże, o czym Hitler, Göring i doktor Goebbels dobrze wiedzieli od początku, trzy dwusilnikowe bombowce uczestniczące w owym nalocie były niemieckimi Heinklami He 111 stacjonującymi w bazie w Lechfeld opodal Monachium. Ich załogom wydano polecenie zbombardowania lotniska dla myśliwców we francuskim Dijon. Piloci niemieccy wyjaśniali później, że zgubili się w chmurach i „zaatakowali Dole” w pobliżu Dijon. Jednak numery seryjne uwidocznione na odłamkach bomb oraz niewybuchy świadczyły bezsprzecznie o tym, że zrzucone bomby były produkcji niemieckiej i że dostarczono je do bazy w Lechfeld. Każda załoga operacyjna w ferworze i podnieceniu towarzyszącym pierwszej wyprawie bojowej mogła popełnić taką pomyłkę; w późniejszym okresie wojny lotnicy alianccy zapisali na swoim koncie wiele podobnych błędów. Ale przed upływem sześciu lat ponad 635 tysięcy Niemców zginęło w wyniku Strategicznej Ofensywy Bombowej, za którą mogli teraz częściowo obarczać odpowiedzialnością swoich przywódców.

ROZDZIAŁ 3

Burza ogniowa

Gdy w lipcu 1943 roku bitwa o Zagłębie Ruhry dobiegała końca, było oczywiste, że wzrasta skuteczność niemieckiej obrony. W późniejszych miesiącach bitwy współczynnik nieudanych lotów bojowych, stanowiący coś w rodzaju barometru morale załóg podlegających Bomber Command, stale wzrastał. Niemiecka obrona naziemna i powietrzna eliminowała z walki coraz więcej samolotów, coraz więcej załóg powracało też na lotniska przed czasem, niekiedy usprawiedliwiając to błahymi usterkami technicznymi swoich maszyn. Według obliczeń Wydziału Badań Operacyjnych Bomber Command, przy przeciętnym współczynniku strat w ludziach wynoszącym 7 procent w każdym locie bojowym, tylko 10 załóg na 100 miało szansę przeżyć 30 operacji, a w kilku nalotach na Zagłębie Ruhry ta makabryczna liczba była nawet niższa.

Jeszcze przed nalotami na Wuppertal straty ponoszone w maju i czerwcu skłoniły sir Arthura Harrisa do decyzji o użyciu broni „Window” (Amerykanie stosowali nazwę „chaff”). „Window” był to kryptonim

broni, którą stanowiła wiązka 27-centymetrowych pasków folii aluminiowej. Wyrzucane z samolotów należących do strumienia bombowców i opadające powoli na ziemię utrudniały one operatorom zarówno radaru wczesnego ostrzegania „Wilzburg-Riese”, jak i radaru „Wurzburg-Dora”, sprzężonego z urządzeniami do kierowania ogniem broni przeciwlotniczej, ustalanie położenia poszczególnych samolotów w strumieniu. Te systemy radarowe stanowiły podstawę niemieckich struktur obrony powietrznej.

Niemcy, których system wczesnego ostrzegania działał niemal tak długo jak osławiona sieć połączonych stacji radarowych zainstalowana w Wielkiej Brytanii w 1935 roku, już znacznie wcześniej odkryli możliwość „oślepienia” radaru za pomocą pasków metalowej folii, powstrzymywali się jednak od stosowania tej metody powodowani obawą, że mogą zastosować ją również alianci dysponujący wtedy znacznie silniejszą flotą bombową.

Sir Arthur Harris starał się przeforsować swój pogląd na naradzie zorganizowanej 2 kwietnia 1943 roku poświęconej użyciu „Window”. Naciskał na Ministerstwo Lotnictwa, żeby niezwłocznie zezwoliło na wprowadzenie nowej broni.

Ale jeszcze podczas narady 4 listopada 1942 roku, na której Bomber Command reprezentował sir Robert Saundby, sir Arthur Harris nie domagał się tak bardzo podjęcia działań w tym zakresie. Saundby, wspominając później ów pozorny brak zdecydowania, powoływał się na precedens w postaci przedwczesnego użycia czołgów w I wojnie światowej, co nastąpiło, nim dysponowano taką liczbą egzemplarzy nowej broni, która mogłaby wywrzeć decydujący wpływ na losy wojny. Jak wyjaśnił, Harris nie chciał zdradzać przeciwnikowi nowej taktyki, dopóki Bomber Command nie dysponowało dostateczną liczbą samolotów wyposażonych w urządzenia umożliwiające poprawne zrzuty pasków folii. Czekano również na najbardziej dla aliantów

korzystny okres, aby można było zaskoczyć przeciwnika nową bronią¹.

Wcześniejszą niechęć Bomber Command, której dał wyraz Saundby, ostro skrytykował sir Henry Tizard - uczestniczący w naradzie jako ekspert od systemów radarowych. Uzasadniając swoje zdanie, powoływał się na informacje zawarte w raporcie Wydziału Naukowego Ministerstwa Lotnictwa, w którym napisano, zgodnie z prawdą, że Niemcy dobrze znają zasadę działania „Window”. Oczywiście, Bomber Command mogłoby twierdzić, że istnieje przecież ogromna różnica pomiędzy wiedzą teoretyczną dotyczącą jakiegoś zjawiska a zastosowaniem go w praktyce². Jednak na początku kwietnia 1943 roku Harris uznał, że nadeszła właściwa pora, aby użyć „Window” w celu zablokowania na krótki czas systemów bojowych przeciwnika i aby przeprowadzić bombardowania o katastrofalnych skutkach dla Trzeciej Rzeszy. Podczas tej narady (2 kwietnia), jak również zwołanego później spotkania szefów sztabu, odrzucono jego plany, co spowodowało dalsze opóźnienie w zastosowaniu „Window”.

Ostateczną zgodę wydano dopiero 15 lipca na naradzie, w której uczestniczyli premier, profesor Lindemann (wtedy już lord Cherwell) oraz szef sztabu lotnictwa; projekt spotkał się z żarliwym sprzeciwem Herberta Morrisona, któremu - jako ministrowi spraw wewnętrznych - podlegała brytyjska obrona cywilna. Ministerstwo Lotnictwa poleciło Harrisowi stosować „Window”, poczynając od 23 lipca³. Jednak czas uciekał: Niemcy studiowali już nową taktykę zwalczania nocnych bombowców, wykorzystując -jak to określił Harris - system „bezpośredniego komentarza”. Taktyka ta zrekompensować miała częściowo, by tak rzec, zamieszanie i chaos, w jakim znalazły się niemieckie systemy po wprowadzeniu przez Anglików broni „Window”⁴.

W czerwcu 1943 roku major Hajo Hermann, były pilot bombowca, służący w formacjach myśliwców dziennych i odbywający codzienne myśliwskie loty bojowe nad obszarem Rzeszy, zasugerował generałowi Hansowi Kamhuberowi, inspektorowi myśliwców nocnych i dowódcy XXII Korpusu Lotniczego, zastosowanie nowej taktyki, która powinna powstrzymać nocne naloty. Hermann zauważył, że w czasie

nalotów nad miastami-celami powstają warunki przypominające dzień - powodowane blaskiem flar zrzucanych z pathfmdarów, światłem reflektorów oraz pożarami wznieczanymi bombami zapalającymi. W związku z tym uznał, że można by kierować do walki jednosilnikowe myśliwce dzienne, takie jak Me 109S albo FW 190S, które nad celem stosowałyby taktykę przejmowania nieprzyjacielskich bombowców „Kocie oko”. Oczywiście ciężkie baterie dział przeciwlotniczych musiałyby prowadzić ogień sięgający tylko do ściśle określonego pułapu, ponad którym piloci krążących myśliwców zwalczałiby zlokalizowane wzrokiem bombowce⁵.

Generał Kammhuber, doktrynerski taktyk starej szkoły, zlekceważył pomysł Hermanna. Stwierdził, że zaproponowaną taktykę wypróbowywano już w 1940 roku - wtedy, jak utrzymywał, nie przyniosła dobrych efektów, toteż i obecnie nie należy ich oczekiwać. Kammhuber był zwolennikiem systemu „myśliwskich kwadratów”, w którym każdy pilot nocnego myśliwca był naprowadzany przez radar naziemny na bombowiec przeciwnika*.

Postępując wbrew poleceniom generała - w sytuacji, gdy Anglicy przygotowywali się do pierwszego użycia broni „Window” - major Hermann rozpoczął samodzielnie eksperymenty. Uczestniczyło w nich jego sześciu towarzyszy broni, weteranów ofensywy bombowej na Wielką Brytanię. Oczekując, że nastąpi atak lotniczy na stolicę Rzeszy, uzgodnili prywatnie z generałem Schallerem, dowódcą berlińskiej naziemnej obrony przeciwlotniczej, że jeśli piloci nocnych myśliwców wystartują do lotów bojowych, baterie ciężkich dział będą prowadzić ogień tylko do pewnego pułapu. Jednak nic nie wskazywało na to, żeby w ciągu najbliższych miesięcy nastąpiły naloty na Berlin (letnie noce były zbyt krótkie), toteż kilka tygodni później Hermann przeniósł eksperymenty taktyczne do Zagłębia Ruhry, gdzie miał sposobność wypróbować w praktyce swoje teorie nad Essen i Duisburgiem, we współdziałaniu z generałem Hintze, dowódcą 4. Dywizji Artylerii Przeciwlotniczej na tym obszarze. Obsady baterii otrzymały polecenie prowadzenia ognia poniżej pułapu 6700 metrów, ponad którym działali Hermann i jego kompani. Sukces, jaki osiągnęli, był imponujący. Do Hermanna zatelefonował sam marszałek Rzeszy Göring, głównodowodzący niemieckich sił lotniczych, i nakazał mu stawić się 27 czerwca w Carinhallu, swojej położonej wśród lasów podberlińskiej rezydencji⁶. Młody major przedstawił Göringowi zasady tej taktyki: „Należy zgromadzić wszystkie myśliwce, jakimi dysponujemy, nawet te znajdujące się w powietrzu, po czym rzucić je całą masą na nieprzyjaciela. Być może każdej nocy będą musiały one odbyć kilkanaście lotów bojowych. Myśliwce nie mogą być „przywiązane” do swoich kwadratów - będących podstawą systemu «linia Kammhubera» - ale należy naprowadzać je przez radio na główne zgrupowanie bombowców wprost nad celem. Myśliwce dzienne Me 109 i FW 190 trzeba wyposażyć w odrzucane zbiorniki paliwa, żeby zwiększyć ich zasięg podczas nocnych walk. I co najważniejsze, myśliwce nie będą powracały na swoje macierzyste lotniska, mają przeszukiwać rozległe obszary przestrzeni, ścigając formacje bombowców aż do wyczerpania paliwa. Dopiero wtedy będą lądować i uzupełniać je w najbliższych bazach”.

Zachwycony marszałek Rzeszy polecił Hermannowi, żeby zapoznał z projektem generała Hansa Jeschonka, szefa sztabu Luftwaffe. Ten rozkazał mu sformować natychmiast trzy skrzydła, każde w sile 40 Me 109S lub FW 190S, które miały operować z baz w Bonn-Handlar, Rheine i Oldenburg. „Jeśli pogoda będzie dobra, możemy się spodziewać znaczących wyników” - napisał 29 czerwca zastępca Göringa, Erhard Milch⁷. Major Hermann obiecał Göringowi, że do końca września powołana przezeń nowa formacja osiągnie gotowość operacyjną; w istocie w czasie krótszym niż trzy tygodnie jego nowe siły rozpoczęły działalność, stosując taktykę zwaną „Wilde Sau” („Odyniec”). Zdumiewało to ekspertów z Wydziału Badań Operacyjnych Bomber Command: oto bowiem znów w niewyjaśniony sposób wzrosły straty wśród bombowców, mimo zastosowania „Window”.

W nocy z 3 na 4 lipca Hermann i jego sześciu pilotów wystartowało w jednosilnikowych myśliwcach

FW 190 i Me 109 z Mönchengladbach położonego na zachodnim krańcu Zagłębia Ruhry, żeby zaatakować zbliżającą się formację ciężkich brytyjskich bombowców. Wkrótce baterie silnych reflektorów o średnicy 150 i 200 centymetrów oświetliły część nieba i niemieccy piloci dostrzegli 50 - 60 czterosilnikowych bombowców zmierzających powoli ku Kolonii. Rozpoczęli atak, który trwał nawet wtedy, gdy bombowce *znalazły* się nad celem, mimo iż Hermann nie uzgodnił z generałem Burchhardtem, dowódcą 7. dywizjonu artylerii przeciwlotniczej w Kolonii, kwestii pułapu ostrzału. Bombardowanie Kolonii rozpoczęło się o godzinie 01.45 i trwało przez dwie godziny. Do chwili, gdy niepożądana „pomoc” artylerii przeciwlotniczej zmusiła siedem myśliwców do przerwania ataku, niemieccy piloci uznali, że zestrzelili 12 z 32 brytyjskich maszyn, które istotnie nie powróciły do baz. Tej samej nocy major Hermann złożył meldunek o swoim małym sukcesie naczelnemu dowódcy („Środek”*) generałowi Hubertowi Weise. Przepraszył go za to, że posłużył się taktyką zabronioną przez Kamhubera, dodał jednak, że: „mimo iż nad całą Kolonią fruwały kawałki rozgrzanego metalu”, on i jego towarzysze zniszczyli 12 nieprzyjacielskich maszyn⁸. „Trzeba tylko trzymać się w pobliżu skupisk bombowców” - powiedział Hermann podczas narady 6 lipca, dodając, że odpowiednio silna formacja takich myśliwców nocnych, „wolnych strzelców”, będzie niebawem zestrzeliwać nocą 80 bombowców.

23 lipca wieczorem załogi brytyjskich bombowców otrzymały polecenie, żeby przygotować się do lotu bojowego, który miał się odbyć jeszcze tej samej nocy⁹. Sir Arthur Harris otrzymał wreszcie pozwolenie na użycie po raz pierwszy broni „Window”. Nim jednak piloci zdążyli się dowiedzieć, jaki cel im wyznaczono - chodziło o Hamburg - operacja oznaczona kryptonimem „Gomora” została odwołana. Następnego dnia, w suchy i duszny poranek, Harris znów wydał rozkaz operacyjny rozpoczynający bitwę o Hamburg. O 22.30 wystartowały pierwsze pathfindery, wyznaczając kurs nad punkt koncentracji znajdujący się nad Cromer na wybrzeżu we wschodniej Anglii. Godziną „zero” dla wielkiego niemieckiego portu miała być 1.00 w nocy.

Warunki atmosferyczne nie mogły być bardziej sprzyjające dla nalotu z użyciem bomb zapalających. Tego roku temperatury w lipcu w Europie były bardzo wysokie, a w Hamburgu spadło mniej niż 43 milimetry deszczu; najobfitszy deszcz, jaki spadł 22 lipca, przyniósł tylko 12 milimetrów.

Wilgotność powietrza w Hamburgu przez pierwsze 29 dni lipca wynosiła tylko 78 procent, najniższą zaś - zaledwie 30 procent - zanotowano 27 lipca; rzecz znamienna, tej nocy bomby brytyjskie wywołały burzę ogniową. W pierwszej połowie miesiąca miasto smażyło się w upale: słupek rtęci w termometrach nie spadał poniżej 32 °C, pomiędzy 15 i 25 lipca temperatura obniżyła się do 29 °C, a 28 lipca osiągnęła znowu 32 °C. Powietrze było nieruchome, suche i gorące. Pierwszej nocy bitwy o Hamburg przewidywano lekki wiatr z południowego wschodu, wiejący z prędkością od 18 kilometrów na wysokości 4500 metrów do 27 kilometrów na wysokości 6000 metrów nad miastem; ale nawet ten wietrzyk miał być gorący i suchy, bo wiał z wyprażonych spiekotą równin zachodnich i środkowych Niemiec.

Nad Hamburgiem 24 i 25 lipca występowało zjawisko, które w terminologii meteorologów nazywa się „kominem” gorącego powietrza, było tak również nocą, gdy nastąpił pierwszy atak; komin ów zniknął dopiero wtedy, gdy odegrał swoją tragiczną rolę.

Przez pierwszy rok wojny w Hamburgu jak w żadnym innym niemieckim mieście stosowano zaawansowane środki zabezpieczenia przeciw nalotom. Wraz z rozpoczęciem bitwy o Hamburg 61 297 z 79 907 budynków wyposażonych w piwnice na terenie miasta zaopatrzone w podpory i zabezpieczono przeciw odłamkom; jednak 42 421 innych budynków, usytuowanych przeważnie na bardziej podmokłych terenach miasta, było pozbawionych piwnic. Fundamenty tych domów zaopatrzone w odpowiednią izolację, aby zapobiec podtopieniom. Dla ich mieszkańców

zapoczątkowano program budowy schronów naziemnych i zwykłych betonowych. Zgodnie z zaleceniami programu budowy schronów z sierpnia 1940 roku, właściciele domów i ich najemcy zostali zobowiązani do budowy systemu przejść łączących sąsiadujące ze sobą piwnice; do roku 1941 wszystkie prace w tym zakresie zostały zakończone.

W Hamburgu wykorzystano wszystkie sposoby, aby zgromadzić zapasy wody, przydatne w wypadku wielkiego pożaru. Baseny kąpielowe, zbiorniki na deszczówkę, studnie, przemysłowe chłodnie kominowe, puste zbiorniki na paliwo, a nawet piwnice budynków zniszczonych na skutek bombardowań wypełniono wodą i przygotowano do awaryjnego użytku. Najważniejsze, charakterystyczne punkty miasta zostały sprytnie zamaskowane; zmieniono kształt brzegu obu jezior Alster, przez które przerzucono fałszywy most kolejowy odległy o kilkaset metrów od prawdziwego mostu Lombard; centralny dworzec kolejowy został ukryty, a na początku 1943 roku wokół bunkrów, w których stacjonowały U-booty, zainstalowano urządzenia do wytwarzania dymu. Eksperci pożarnictwa instruowali właścicieli domów, zalecali opróżnienie strychów z wszelkich zbędnych przedmiotów, zabezpieczenie konstrukcji stropów w siedzibach firm i przedsiębiorstwach oraz budynkach przemysłowych przed przebicciem przez bomby zapalające. W drugiej połowie 1942 roku zabezpieczono środkami chemicznymi dachówki i strychy przed ogniem.

Choć środki te były sprytnie pomyślane, a dzięki zapobiegliwości ojców miasta zastosowano je na wielką skalę, podczas nalotów wszystkie zawiodły.

24 lipca 1943 roku w Hamburgu ogłoszono dwa alarmy lotnicze: o 12.18 i 21.23. Za każdym razem kilka minut później rozległ się sygnał „alarm odwołany”. Jednakże 19 minut po północy wszystkie placówki partii nazistowskiej, zakłady przemysłowe i szpitale otrzymały poufne ostrzeżenie: „alarm lotniczy 30”.

Pięć minut później komunikat ów skorygowano, ogłaszając „alarm lotniczy 15”. Pierwsze formacje bombowców znajdowały się jeszcze daleko nad morzem, lecz zlokalizowały je niemieckie stacje radiolokacyjne w Cuxhaven i Wangerooge. O godzinie 00.43 (do godziny „zero” brakowało wtedy ponad pół godziny) w Hamburgu ogłoszono pierwszy ogólny alarm, ostrzegający przed mającym nastąpić nalotem - nie było to zwykle ostrzeżenie, lecz *Fliegeralarm* (pełny alarm), niepoprzedzona żadnym innym sygnałem seria dwunastosekundowych dźwięków. Przez pełną minutę niesynchronizowane wycie syren wypełniało powietrze w liczącym 1 milion 700 tysięcy mieszkańców mieście - od Blankensee na zachodzie do Wandsbek na wschodzie, od Langenhorn na północy do Hamburga usytuowanego na południu ośrodka przemysłu stoczniowego.

Liczące 791 bombowców główne siły brytyjskie poprzedało 20 pathfinderów, których nawigatorzy bezwzrokowo, korzystając wyłącznie z pracującego na fali 9,2 centymetra urządzenia radiolokacyjnego H2S, mieli wskazać swoim bombardierom miejsce zrzutu żółtych znaczników celu. Znaczniki te były blaszanymi pojemnikami przypominającymi kształtem bomby; na wysokości 600 metrów w następstwie eksplozji ładunku pirotechnicznego pojemniki rozpadały się, wyrzucając po 60 flar o sile świecenia 25 tysięcy kandelil każda. Flary, które bardzo trudno było zgasić, płonęły jaskrawożółtym płomieniem, tworząc na ziemi pasma o szerokości 90 metrów. Jednocześnie ze zrzutem tych „wstępnych markerów” pathfindery nad miastem wyrzucały z zasobników ładunki zwykle na spadochronach. Kierując się położeniem pierwszych ośmiu „wstępnych markerów”, załogi kolejnych

ośmiu, również wyposażonych w urządzenie radiolokacyjne H2S, miały zidentyfikować właściwy punkt celowania - usytuowany w centrum południowych dzielnic mieszkaniowych wewnętrznego Hamburga - i oznaczyć je zrzucanymi na ziemię czerwonymi znacznikami celu¹⁰.

Pathfindery te były pierwszymi nieprzyjacielskimi samolotami, które w nocy z 24 na 25 lipca nadleciały nad Hamburg. To właśnie one dokonały również pierwszego operacyjnego zrzutu „Window” w tej wojnie. Jednak, jak wynika z zapisków w dzienniku pokładowym jednego z samolotów należących do tej formacji, przewidywania Brytyjczyków, że niemiecka obrona przeciwlotnicza zostanie natychmiast sparaliżowana, bynajmniej się nie sprawdziły (ten samolot to Lancaster z mającego duże doświadczenie 83. dywizjonu pathfinderów):

00.28. Mijamy po prawej Helgoland. [Zrzut] „Window”.

00.40. Kurs 028°. Cuxhaven [w odległości] 32 kilometrów [mil: wg wskazań urządzenia radiolokacyjnego H2S].

00.50. Gwałtowne manewry unikowe; 338° Hamburg 22,5.

00.50. Pozycja „C”. Widzimy, w jakim kierunku znajduje się cel; wstążkowani przez reflektory [tzn. oświetleni przez kilka reflektorów przeciwlotniczych po zlokalizowaniu przez kierowany radarem reflektor „Meister”].

A zatem przez ponad 20 minut po pierwszym zrzucie „Window” baterie niemieckich reflektorów jeszcze nie zostały „oślepienie”. Gdy większa liczba bombowców przekroczyła linię wyznaczającą 7,5° długości geograficznej, wzmożono zrzut „Window”; pomimo iż samoloty wyrzucały paski folii z częstotliwością jednej wiązki na minutę, nie rozprzestrzeniały się one w powietrzu tak szeroko jak w późniejszych latach wojny. Jednakże nasycenie przestrzeni powietrznej ponad Zatoką Helgolandzką i Hamburgiem tymi „rezonującymi dipolami antenowymi” wywarło skumulowany efekt na naziemnej obronie przeciwlotniczej.

„Przed sobą widzieliśmy Hamburg - zanotował po nalocie inny pilot z 83. dywizjonu pathfinderów - wydawało się, że jednocześnie włączano wszystkie niemieckie reflektory. Gdy zaczęła strzelać artyleria przeciwlotnicza, dostrzeżliśmy skierowane w górę ogniste linie. Ustaliłem dokładne namiary celu i przekazałem je bombardierowi; od tej chwili dalsze naprowadzanie na cel należało już wyłącznie do niego. Do godziny „zero” brakowało pięciu minut. Gdy zbliżyliśmy się, stało się coś zaskakującego. Stożki światła reflektorów zaczęły szybko i w sposób nieskoordynowany tańczyć po całym niebie. Obsługi baterii przeciwlotniczych były zupełnie zdezorientowane i oglupiały. Później z nasłuchu radiowego prowadzonego w naszym samolocie dowiedzieliśmy się, że przerażeni i rozgorączkowani niemieccy radiooperatorzy krzyczeli, że nadlatują „miliony bombowców”. Myśliwce nocne, których piloci czekali, aż zostaną na nas nakierowani, mogli atakować wściekle, lecz na ślepo, ponieważ ich sprzęt radiolokacyjny okazał się całkowicie bezużyteczny”.

Od największej tragedii w jego historii dzieliło Hamburg zaledwie 10 minut.

Nadbrzeżna stacja radiolokacyjna przestała przekazywać dane; do czasu, gdy bombowce *znalazły* się w zasięgu radarów „Wiirzburg-Dora”, kierujących ogniem baterii dział przeciwlotniczych, jedynym źródłem informacji dla obrońców miasta były meldunki składane przez członków Korpusu Obserwatorów, oparte na wzrokowej i słuchowej lokalizacji samolotów. „Z kabiny obsługi radaru usłyszeliśmy przejęte głosy” - wspominał żołnierz należący do obsady baterii przeciwlotniczej kaliber 88 mm, usytuowanej na wzgórzach Hamburga. „Na lampach elektropromieniowych aparatury kłębiły się migotliwe rozbłyski,

wypełniające cały ekran, co uniemożliwiało dostrzeżenie czegokolwiek. Dowódca baterii porucznik Eckhoff natychmiast zatelefonował do najbliższej baterii, ale tam również urządzenia «Wiirzburg-Dora» zostały wyłączone z akcji”. Dowódcy baterii przekazano telefonicznie z sali dowodzenia Dywizji Artylerii Przeciwlotniczej, że dotyczy to wszystkich urządzeń radiolokacyjnych w Hamburgu. Pilotom brytyjskim oraz pochodzącym z państw imperium brytyjskiego, lecącym 5 i 6 kilometrów ponad bezsilnymi teraz

bateriami, wydawało się, że nastąpił cud. Wcześniej, podczas południowej odprawy, wielu z nich wyraziło poważne wątpliwości, gdy oficerowie przedstawili im zalety nowej broni, teraz jednak uwierzyli.

22.57 i 5 sęk. Zrzut markerów.

22.59. Nad celem; ustalanie kierunku na pozycję „D”.

Ośmiu pilotów próbowało dostrzec i zidentyfikować punkt oznaczenia. Widoczność pogarszała nieco lekka mgiełka. Okazało się, że cel nie został oznaczony ze stuprocentową dokładnością; pierwsza partia zasobników z ładunkami spadła o 3,2 kilo-mtra za daleko na południowy wschód, inna zbyt daleko o 2,5 kilometra na pomocny zachód, trzecia zbyt daleko o 5,2 kilometra na północny wschód, a czwarta zbyt daleko o 4 kilometry na zachód, w Altonie. Choć może się wydawać, iż był to znaczny margines błędu, należy pamiętać, że markery zrzucano nad celem z pułapu około 6 kilometrów. Główna formacja bombowców, która napotkała jedynie nieskuteczny i prowadzony na ślepo ogień dział przeciwlotniczych, mogła z łatwością zrzucić bomby na te cztery skupiska markerów.

Śpośród 728 załóg, które według późniejszych oświadczeń uczestniczyły w nalocie, nie mniej niż 306 zrzuciło swoje bomby (co wynikało ze zdjęć wykonanych z pokładów samolotów)

w promieniu 5 kilometrów od punktu wyznaczonego jako cel: ogółem na miasto spadło 1350 ton bomb burzących, w tym kilkaset „blockbusterów”, które w pierwszej fazie ataku zrzucano w koncentracji, żeby zrobić wyłomy w dachach i ścianach budynków, co miało ułatwić zadanie 932 tonom bomb zapalających.

Siedziba dowództwa policji została zniszczona, sala dowództwa obrony cywilnej splonęła. Operacje przeniesiono do stanowiska kierowania policji; choć sieć telefoniczna została unieruchomiona, szybko zaczęła działać system gońców na motocyklach.

Ów pierwszy nalot przeprowadzony nocą z 24 na 25 lipca spowodował ogromne pożary, które trwały jeszcze 24 godziny później. Mieszkańcy Hamburga zgromadzili w piwnicach duże zapasy węgla i koks na zimę, toteż gdy się one zapaliły, niełatwo było je ugasić. „Tylko jedno przedmieście - wykrztusił Hitler podczas południowej narady w Prusach Wschodnich - i zginęło 800 ludzi!”.

Gdy o godzinie 3.01 zabrzmiał sygnał „alarm odwołany”, nie żyło 1500 osób.

Nieoczekiwane użycie przez Brytyjczyków broni „Window” wywołało istne pandemonium w dowództwie Luftwaffe. „Linia Kammhubera” okazała się bezużyteczna. 25 lipca wczesnym rankiem do przebywającego w swojej bazie majora Hajo Hermanna zatelefonował po raz drugi marszałek Rzeszy Hermann Goring. Dowódca Luftwaffe powiedział mu, że w Hamburgu było „bardzo źle” i zapytał, czy przynajmniej części samolotów z jego nowo powołanego eksperymentalnego komanda myśliwców nocnych nie można by natychmiast rzucić do akcji, ponieważ jest bardzo prawdopodobne, że nastąpią kolejne naloty na Hamburg. Hermann obiecał, że tej nocy wystartuje co najmniej 12 myśliwców.

Göring potwierdził depeszą te informacje. Hermann zrozumiał powód niecierpliwości marszałka. Bomby brytyjskie zniszczyły Hoheluft, Elmsbittel i Altonę (dzielnice Hamburga), jak również część śródmieścia miasta. Jego jednostki stosujące taktykę „Odyniec” będą miały nad miastem znakomite warunki do działania - nieprzyjacielskie maszyny będą bowiem doskonale widoczne na tle pożarów. W ogromnym pośpiechu Hermann zaimprovizował system orientacyjny przeznaczony dla pilotów swoich myśliwców: samoloty te były jednomiejscowe, brakowało drugiego członka załogi, który mógłby pełnić funkcję obserwatora albo nawigatora; ponadto piloci przywykli do latania w dzień. Hermann ustalił z dowództwem obrony przeciwlotniczej, że baterie usytuowane w Hamburgu będą wystrzeliwać zaopatrzone w małe spadochrony potrójne ładunki świetlne o uzgodnionej zawczasu barwie; w Hanowerze działa przeciwlotnicze miały wystrzeliwać ładunki podwójne, ponadto flary o tej samej,

również ustalonej wcześniej, barwie miały być nieustannie wystrzeliwane nad głównymi miastami, aby pomóc pilotom myśliwców w nawigacji. Później system ów zastąpiono bardziej nowoczesnym systemem radiolatarni.

Tamtej pierwszej nocy bitwy o Hamburg, dzięki zastosowaniu „Window”, Brytyjczycy stracili tylko 12 bombowców z 791, które uczestniczyły w nalocie; dowództwo artylerii przeciwlotniczej podało, że strąciła ona 6 samolotów, a kolejne 6 zestrzeliły myśliwce. Bezpośrednim następstwem nowej taktyki majora Hermanna był jednak szybki wzrost tych strat.

W nocy z 25 na 26 lipca generał brygady Donald Bennett, którego pathfindery tak bardzo przyczyniły się do sukcesu bitwy o Hamburg, wysłał nad miasto lekkie samoloty Mosquito w celu prowadzenia działań nękających. *Fliegeralarm* ogłoszony nieoczekiwanie 35 minut po północy spowodował panikę u wyrwanych ze snu mieszkańców. Jednak tym razem głównym celem nalotu było Essen, a godzinę „zero” wyznaczono na 00.45. Jak wyjaśnił później Bennett, „nalot na Essen został przeprowadzony po to, aby zwiść niemiecką obronę, ale przy okazji wysłałem kilka Mosquito nad Hamburg, żeby ogłoszony tam alarm ponownie przestraszył mieszkańców miasta. 26 lipca zrobiłem to samo, tylko po to, żeby im zszarpać nerwy”. 26 lipca dwa Mosquito zrzuciły na miasto tylko dwie bomby burzące, ale do schronów musiało zejść 1,5 miliona ludzi.

Gdyby nawet Niemcy nie dowiedzieli się z innego źródła, że Harris ma zamiar atakować Hamburg w każdą kolejną noc aż do całkowitego zniszczenia miasta, to całodobowe zastraszanie musiało narzucać takie przypuszczenie. „Kontynuacja nalotu w dzień oraz naloty nękające aż do poranka 27 lipca ujawniły zamiary przeciwnika” - napisał w swoim meldunku gruppenfuhrer SS Kehrl. Jako szef policji pełnił on z urzędu obowiązki dowódcy obrony cywilnej Hamburga. „Gdy w nocy z 27 na 28 lipca ogłoszono piąty alarm, nie byliśmy zaskoczeni, jednak potęga nalotu przeszła nasze oczekiwania”¹².

Tamtej nocy Harris ustalił trasę lotu bombowców powodowany chęcią wyprowadzenia w pole nieprzyjacielskich obrońców. Siły główne wraz z dywizjonami pathfindersów poleciały nad Morzem Północnym dwiema różnymi trasami, spotykając się w wyznaczonym punkcie koncentracji około 70 kilometrów na zachód i północny zachód od Helgolandu, po czym przeleciały jeszcze kilka kilometrów na południe od bazy morskiej w Kilonii. Stamtąd cała armada powietrzna skierowała się na południe, nad Hamburg. Po nalocie siły te znów się podzieliły, co nastąpiło około 50 kilometrów na południe od miasta nad wrzosowiskami Lüneburg; pierwsza grupa poleciała nad morze, druga - na zachód, nad Niemcami, trasą prowadzącą niemal w linii prostej na Cromer¹³.

O godzinie 00.55 pathfindery zrzuciły nad Hamburgiem pierwszą z 15 wiązek żółtych znaczników celu. Tym razem zrezygnowano z ośmiu znaczników służących orientacji wzrokowej - trzy noce wcześniej nie udało się dokładnie umieścić ich w celu. Dane uzyskane dzięki aparaturze radiolokacyjnej H2S okazały się dużo pewniejsze. Wszystkie 25 samolotów wyposażonych we „wstępne markery” miały zrzucić swoje zasobniki na podstawie wskazań H2S - na ekranach widać było wyraźnie skomplikowaną sieć kanałów Hamburga. Sposób *zaznaczania* celów stosowany wcześniej nieznacznie zmodyfikowano. W poprzednim nalocie przeprowadzonym głównymi siłami, „odpełza-nie” osiągnęło zakres jedenastu kilometrów, a każda *zrzucona* wiązka zielonych znaczników celu powiększała tylko rozmiary błędu. Podczas drugiego nalotu przeprowadzonego głównymi siłami załogi pilotujące samoloty należące do „wspomagaczy” otrzymały instrukcje, aby omijać żółte skupienia naziemnych markerów o około 180 metrów, a to w celu skorygowania błędu popełnionego przez załogi samolotów należących do sił głównych. Tym razem wszystkie żółte znaczniki, zrzucone według wskazań urządzeń radiolokacyjnych, skupiły się w dzielnicy Billwarder, należącej do najgęściej zaludnionych obszarów śródmiejskich Hamburga.

O godzinie 2.40, kiedy zabrzmiał sygnał „alarm odwołany” (dźwięki syreny trwające nieprzerwanie przez minutę), bombowce zrzuciły następne 2382 tony bomb. „Na skutek użycia bomb burzących i

«blockbusterów» - napisał w swoim raporcie szef policji - została zniszczona znaczna liczba dachów, podmuch eksplozji otwierał też i wyrwał okna oraz drzwi; członkowie Służby Samoobrony musieli szukać schronienia w piwnicach". Selbstschutz skupiał ochotników służących w formacjach obrony cywilnej, lokalnych dyżurnych OPL itd. „Nieustanny deszcz zrzucanych na przemian bomb burzących, zapalających i «block-

busterów» spowodował, że pożary rozprzestrzeniały się praktycznie niepowstrzymanie". Ponieważ część bomb zapalających była elaborowana materiałem płynnym, ogień szybko spływał ze strychów i górnych kondygnacji na położone niżej. Na Hamburg spadło ogółem 969 ładunków zapalających: bomb wzniciających pożary zrzucano znacznie więcej niż w poprzednim nalocie.

40 minut po godzinie „zero" rozpoczęła się w Niemczech pierwsza burza ogniowa: była to trąba powietrzna w postaci wznoszącego się słupa rozpalonego powietrza wysysającego z otoczenia tlen; wywołana tym zjawiskiem nawałnica z siłą huraganu porwała w rozpalone piekło całe budynki, kryte wagony kolejowe, pojazdy, drzewa i ludzi. Spośród tych, którzy zbliżyli się, żeby obejrzeć apokaliptyczną scenę, tylko nieliczni uszli z życiem. Płomienie ogarniały w ciągu kilku sekund całe ulice. Był to ognisty moloch pochłaniający każdego, kto na niego spojrzał. Żar panował tak potężny, że topiło się szkło, stal i cegły, płonęły budynki, schrony wraz z przebywającymi w nich ludźmi, ginęli wszyscy: kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi, chorzy i zdrowi¹⁴.

Drugi nalot w bitwie o Hamburg objął swoim zasięgiem 20 kilometrów kwadratowych najgęściej zabudowanego i zaludnionego obszaru miasta, gdzie według oficjalnych danych mieszkało 427 637 osób, lecz przybyły tam dodatkowo tysiące ludzi ewakuowanych z terenów dotkniętych nalotem przeprowadzonym trzy noce wcześniej. Obszar spustoszony przez burzę ogniową objął między innymi cztery dzielnice: Rothenburgsort, Hamme-brook, Borgfelde i południowy Hamm. Wszędzie śmiertelność była przerażająca: odpowiednio 36,15 procent, 20,1 procent, 16,06 procent i 37,65 procent ludności figurującej w spisach i rejestrach. Gdy doktor Goebbels zatelefonował do swojego starego przyjaciela Karla Kaufmanna, gauleitera Hamburga, ten krzyknął do słuchawki: „Mamy 15 tysięcy zabitych"¹⁵.
Kilka

godzin później Kaufmann powiedział Göringowi, że naliczono 26 tysięcy zwłok, w większości kobiet i dzieci. Liczba ta wzrosła ostatecznie do blisko 50 tysięcy. Na fotografiach widać ulice, na których leżą pokodem spalone ciała. Wiele kobiet trzyma kurczowo przepisowe „walizeczki nalotowe" zawierające komplet najbardziej niezbędnych przedmiotów. Niektóre ognisty wichur o sile huraganu pozbawił ubrania. Jedno ze zdjęć przedstawia maleńkiego chłopca przytulonego do strażaka. Obaj leżą na ziemi, obaj są martwi.

Nie ulegało wątpliwości, że brytyjskie samoloty powrócą. Następnego dnia doktor Goebbels nakazał opuścić miasto wszystkim pracownikom cywilnym, którzy nie byli niezbędni. Hamburg czekał w straszliwym upale: temperatura w południe nie spadała poniżej 29 °C. 28 lipca od rana do zmierzchu centrum Hamburga opuściło 100 tysięcy cywilów. W nocy pozostali w mieście jedynie dyżurni OPL i funkcjonariusze służb obrony cywilnej.

Dwie minuty przed północą ocalałe i mające źródło zasilania syreny alarmowe w mieście obwieściły wyciem kolejny alarm. Pathfindery ponownie przyjęły taktykę oznaczania terenu wyłącznie według wskazań aparatury H2S, która dała tak dobre efekty, katastrofalne dla miasta, poprzedniej nocy. Tym razem jednak, pomimo sprzyjającej pogody, oznaczanie okazało się mniej dokładne - co spowodowało większe zagrożenie ze strony niemieckiej obrony. Spośród załóg 727 wysłanych nad Hamburg Lancasterów, Halifaksów, Stirlingów i Wellingtonów tylko 699 potwierdziło potem uczestnictwo w nalocie i zrzucenie 2382 ton bomb; tym razem wyższa niż poprzednio była liczba lotów nieudanych. Pomimo użycia „Window" straty brytyjskie rosły. Piloci majora Hermanna, zwalczający przeciwnika według zasad taktyki

„Odyńca”, stracili 18 z 28 zniszczonych tamtej nocy bombowców. W *The Strategie Air*, historii Strategicznej Ofensywy Bombowej czytamy, że „24 minuty po godzinie «zero», którą wyznaczono na 00.45, obszar o powierzchni 60 kilometrów kwadratowych gęsto pokrywały płonące materiały zapalające”¹⁶. Szef policji Kehrl potwierdził, że nalot 29 lipca był równie niszczący jak nalot przeprowadzony 27 lipca, którego następstwem była burza ogniowa. Fakt, że pochłonął mniej ofiar, można przypisać przeprowadzonej na rozkaz Goebbelsa ewakuacji.

W czterech wielkich nalotach przeprowadzonych w ramach bitwy o Hamburg - ostatni nalot odbył się w nocy z 2 na 3 sierpnia 1943 roku przy niesprzyjających warunkach pogodowych

- samoloty brytyjskie zrzuciły 7931 bomb (z których blisko połowę stanowiły bomby zapalające), przy współczynniku strat własnych wynoszącym 2,8 procent. Samoloty należące do dywizji pathfinderów odbyły 472 loty bojowe, tracąc 13 maszyn i uzyskując ten sam (2,8 procent) poziom strat własnych.

Bezpośrednim następstwem trudnej bitwy o Hamburg było - jak wynikało z meldunku szefa policji miasta datowanego na 1 grudnia 1943 roku - 31 647 rozpoznanych ofiar śmiertelnych; zidentyfikowano 15 802 osoby: 6072 mężczyzn, 7995 kobiet i 1735 dzieci. Liczb tych nie można jednak uznać za realne i ostateczne, albowiem centrum Hamburga nadal leżało w gruzach. Pod koniec 1945 roku „US Strategie Bombing Survey” zasugerował liczbę 42 600 zabitych i 37 000 ciężko rannych¹⁷. Krajowy urząd statystyczny, Statistisches Landesamt, po poddaniu analizie ostatecznych danych dotyczących osób zaginionych po nalocie podał, że liczbę poległych w roku 1943 w bitwie o Hamburg można w przybliżeniu określić na 50 tysięcy.

Nie jest pewne, czy całkowite zniszczenie niemieckiego miasta wywarło istotnie jakikolwiek pozytywny wpływ na przebieg wojny. Faktycznie produkcja przemysłu ciężkiego Hamburga została wstrzymana na około 45 dni. Spośród 524 dużych fabryk zostało zniszczonych 183; z 9068 mniejszych zakładów przemysłowych - 4118. Według opinii „US Strategie Bombing

Survey” (ocena dotycząca brytyjskiej Strategicznej Ofensywy Bombowej w tej publikacji uchodzi za nieprzychylną) w ciągu pięciu miesięcy produkcja przemysłowa Hamburga osiągnęła 80 procent poprzedniej wartości. Amerykańscy statystycy nie uwzględnili jednak argumentu, który sir Arthur Harris zawsze mocno podkreślał -jaki poziom osiągnęłaby ta produkcja przez pięć miesięcy, gdyby działania Bomber Command tak znacznie jej nie zahamowały?

Rezultat bitwy o Hamburg był niewątpliwie zgodny z zaleceniami dyrektywy z Casablanki, dotyczącej „postępującego niszczenia i dezorganizowania niemieckiego systemu gospodarczego i przemysłowego”. Kiedy 3 sierpnia wczesnym porankiem syreny obwieściły zmoczonemu teraz deszczem i zburzonemu miastu sygnał „alarm odwołany”, okazało się, że lotnicy brytyjscy zabili 50 tysięcy cywilów, których w latach poprzedzających wybuch wojny obie walczące strony przysięgały chronić.

„Ulice zalegały stosy ciał - napisał w raporcie obergrup-penfihrer Kehrl - leżały tam zwłoki matek z dziećmi, osób młodych i starszych; czasami ciała były zwęglone i spalone, niekiedy jednak wydawały się nietknięte; czasem były ubrane, innym razem nagie, nieraz bladawoskove, niczym krawieckie manekiny. Spoczywały w różnych pozach, niektóre jakby pogrążone w spokojnym śnie, inne powykręcane, ich twarze

wyrażały straszliwe zmagania ze śmiercią". Nawet ci, którzy zdołali dotrzeć do schronów, nie uszli zagładzie; tu widok był podobny, różnice widać było jedynie tam, gdzie wybuchała panika, kiedy ludzie już zdali sobie sprawę z tego, jaki los ich oczeka, że nie ujdą śmierci. „Tu i ówdzie ułożenie kości i czaszek wskazywało, że walczyli ze sobą, chcąc uciec z podziemnego więzienia, mającego stać się ich grobem”.

Gdy ekipy ratownicze weszły wreszcie po kilku tygodniach do hermetycznie zamkniętych bunkrów i schronów, okazało się, że podczas nalotu temperatura wzrosła tam do tego stopnia, że ze znajdujących się wewnątrz ludzi nie pozostały nawet szczątki; jeden z bunkrów zalegała miękka i sfałdowana warstwa szarego popiołu; lekarze mogli tylko stwierdzić, że liczba ofiar „waha się od 250 do 300 osób”. Aż do 31 stycznia 1945 roku Urząd Statystyczny Rzeszy Niemieckiej skrupulatnie sporządzał podsumowania oraz zestawienia, a makabryczny obowiązek liczenia zabitych powierzano często lekarzom. O tym, że w bunkrach temperatura osiągała nieprawdopodobną wysokość, świadczyły kałuże stopionego metalu pochodzącego z garnków, patelni i przedmiotów zabranych przez mieszkańców.

Lokalizację i ekshumację zwłok powierzono Sicherheits-und Hilfsdienst (SHD), Służbie Pomocniczo-Remontowej, podzielonej na pięć wydziałów: służby przeciwogniowej, złożonej z członków lokalnych straży pożarnych, odrębnej od paramilitarnej państwowej straży pożarnej; służby zajmującej się naprawami uszkodzeń sieci gazowej, przywracaniem dopływu prądu i wody oraz burzeniem konstrukcji zagrożonych zawaleniem; służby medycznej, zorganizowanej przez Niemiecki Czerwony Krzyż; służby odkazania, która miała likwidować skutki ewentualnego użycia przez aliantów broni chemicznej; służby medycznej zajmującej się leczeniem okaleczonego inwentarza oraz zwierząt domowych.

W Hamburgu funkcjonariusze SHD wydzielili martwą strefę o powierzchni 6 kilometrów kwadratowych, cały obszar, na którym szalała burza ogniowa; ulice znajdujące się w tej strefie odgrodzono drutem kolczastym i zaporami z gruzu. Środki te podjęto z uwagi na największą liczbę zwłok na tym terenie; władze uznały też, że publiczne prowadzenie prac ekshumacyjnych może osłabić morale ludności cywilnej. Spoza Hamburga

sprowadzono specjalnie sformowane bataliony policji, które miały utrzymywać ład i porządek, zapobiegać grupowym ucieczkom więźniów i cudzoziemskich robotników przymusowych, jak również wzmacniać morale cywilów. Ale jak wynika z raportów szefa policji, jednostki te nie znajdowały posłuchu wśród ludności i szybko je rozwiązano.

Największą zasługę w odbudowaniu morale cywilnych mieszkańców Hamburga można przypisać Goebbelsowi, który natychmiast wraz z żoną przybył do miasta, przerywając odpoczynek w Dreźnie. Minister chciał nie tylko zainicjować zakrojoną na szeroką skalę akcję pomocy ofiarom nalotu i organizowania siedzib zastępczych dla osób pozbawionych domów, pragnął on również zgromadzić doświadczenia, które mógłby wykorzystać w swoim mieście, spodziewał się bowiem, że to, co spotkało Hamburg, może także spotkać stolicę Rzeszy.

Przesłuchiwany po wojnie minister przemysłu zbrojeniowego Rzeszy Albert Speer powiedział, że gdyby jeszcze sześć innych niemieckich miast doznało podobnych zniszczeń co Hamburg, wówczas nie zdołano by utrzymać produkcji uzbrojenia na dotychczasowym poziomie. Generał brygady Bennett poszedł jeszcze dalej. „Niestety - napisał w swoich wspomnieniach - nikt chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że osiągnęliśmy wielkie zwycięstwo [...]. Bez względu na to, jakie to przedsięwzięcie miało szansę powodzenia, wydawało się, że warto spróbować osłabić morale Niemców, podejmując jakieś stosowne działania polityczne”. Harris stwierdził jednak, że nawet przy największym szczęściu, Bomber Command nigdy nie zdołałoby dokonać jednocześnie na sześć niemieckich miast nalotów o takiej sile i takich

skutkach, jakie przyniósł nalot na Hamburg. „Po to, żeby *znaleźć* cele choćby w połowie lub w jednej trzeciej tak ważne jak Hamburg, musielibyśmy polecieć dalej, znacznie dalej - nawet do Drezna albo do Wrocławia”.

Bitwa o Hamburg, podobnie jak tragedia, która zaledwie 18 miesięcy później dotknęła Drezno, była operacją przeprowadzoną z precyzją i determinacją odzwierciedlającą ówczesną potęgę Bomber Command. Brytyjski dowódca wykonał swoje zadanie, zdeorganizował czasowo siły przeciwnika. Jednakże tragicznym następstwem dyrektywy z Casablanki było to, że z winy tych samych przywódców politycznych, którzy wydali Harrisowi dyrektywę, wymagając od przeciwnika „bezwartunkowej kapitulacji”, największe dokonania Bomber Command nie skróciły wojny nawet o jeden dzień.

ROZDZIAŁ 4

Druga burza ogniowa

Pierwsza noc bitwy o Hamburg przyniosła Brytyjczekom straty najwyższe od roku: spośród wysłanych nad cel 791 bombowców do baz nie powróciło 12. Drugiej nocy straty te wzrosły do 17 bombowców, w nocy z 29 na 30 lipca nie powróciło 30 bombowców, a czwartej i ostatniej nocy RAF stracił jeszcze więcej samolotów.

Po tych wydarzeniach z uczestnictwem nowej formacji majora Hermanna*, która obecnie nosiła nazwę 30. Dywizji Myśliwskiej, generał Kammhuber, inspektor myśliwców, zorganizował w Berlinie naradę z udziałem swoich najwyższych stopniem oficerów. Nie tylko doktor Goebbels - jako pełnomocnik Rzeszy do spraw obrony Berlina - przewidywał, że Brytyjczycy zechcą powtórzyć sukces, jaki odnieśli w bitwie o Hamburg, podejmując ofensywę powietrzną na Berlin. Jednakże cios ten nie nastąpił tak szybko, jak się tego spodziewał on sam oraz dowódcy wojsk lotniczych. Hamburg był bowiem, by ująć rzecz za pomocą prze -

Został on wtedy awansowany do stopnia podpułkownika lotnictwa. nośni, ofiarą przede wszystkim nowego systemu radiolokacyjnego H2S, działającego na fali 9,2 centymetra, Berlin zaś, miasto pozbawione rozległych obszarów wodnych tak charakterystycznych dla tamtego hanzeatyckiego portu, musiał poczekać, aż w samolotach 83. dywizjonu zostanie zainstalowane pierwsze urządzenie H2S działające na fali długości 3 centymetrów, zapewniające znacznie wyższą rozdzielczość obrazu. Podobnie jak to było w lutym 1945 roku w przypadku Drezna, cel musiał czekać na nową technologię.

Nocą z 22 na 23 sierpnia Bomber Command wysłało 727 samolotów, które miały zaatakować cele na obszarze Berlina--Tempelhof; 94 pathfindery posługiwały się starszą wersją H2S. Zastosowano tę samą co w Hamburgu taktykę zrzućcia markerów wyłącznie według wskazań aparatury radiolokacyjnej, do akcji zaangażowano też wszystkie załogi pathfinderów uczestniczących w tamtym nalocie. Nalot na Berlin miał

jednak wyjątkowy charakter pod innym względem: naziemna obrona przeciwlotnicza miasta była stosunkowo nieliczna, toteż załogi brytyjskich samolotów dostrzegały eksplozje ciężkich pocisków artyleryjskich przeważnie w odległości kilkuset metrów. Niemniej, składając sprawozdania po powrocie do baz, wielu lotników meldowało, że Niemcy „rzucili do walki mnóstwo myśliwców” i że widzieli „około 20 pasów reflektorów w obrębie stolicy i wokół niej, współpracujących z myśliwcami”.

Podczas przygotowań ustalono, że nalot rozpocznie się o 23.45 i choć paski folii „Window” zrzucano o 22.20, przed godziną 22.38, nim jeszcze pierwsze fale bombowców przeleciały nad wybrzeżem Holandii, niemieckie stacje kontroli naziemnej zameldowały, że być może celem ataku jest Berlin. O 23.04, ponad 30 minut przed godziną „zero”, myśliwce nocne otrzymały rozkaz lotu nad stolicę. Do 23.18 na linii Hanower - Berlin myśliwce niemieckie dokonywały już zestrzeleń.

W następstwie tych ataków Bomber Command poniosło tamtej nocy największe straty: 56 bombowców nie powróciło do baz, z której to liczby przynajmniej 33 zostały zestrzelone przez myśliwce, z nich zaś nie mniej niż 20 strącono nad samym Berlinem, co było przykrym zaskoczeniem dla Brytyjczyków. Oczekiwali oni bowiem, że gdy przelecą nad stanowiskami ciężkiej artylerii przeciwlotniczej, już nic im nie będzie zagrażać.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września, kiedy dokonano drugiego z nowej serii nalotów na Berlin, Brytyjczycy zapłacili jeszcze wyższą cenę: myśliwce niepodlegające już sztywnym, ustalonym przez Kamhubera, regułom walki w systemie przydzielonych sobie kwadratów nadlatywały z daleka - nawet z Grove w północnej Danii i Dijon w środkowej Francji. Godzinę „zero” wyznaczono na 23.30; tak jak poprzednio, bombowce brytyjskie wyrzucały paski folii dwie godziny wcześniej, kiedy znajdowały się jeszcze nad Morzem Północnym, w celu zakłócenia pracy niemieckich stacji radiolokacyjnych wczesnego ostrzegania. Do baz nie powróciło 47 maszyn, prawdopodobnie wszystkie padły ofiarą niemieckich myśliwców nocnych, które nad Berlinem zestrzeliły (co wynikało z meldunków pilotów) aż 30 samolotów. Podczas tego nalotu major Hermann po raz pierwszy polecił własnym myśliwcom zrzucanie płonących jaskrawożółtych i białych flar, których blask oświetlał dodatkowo warstwy chmur, rozjaśnione już przez snopy światła z reflektorów. Dzięki temu jego grupa myśliwców uczestniczących w „wolnym polowaniu” widziała jeszcze wyraźniej na tle chmur sylwetki brytyjskich bombowców. Jak napisano potem w oficjalnej wersji (przybierając przy tym ton zaskoczenia), „przeciwlotnicza zapora ogniowa w Berlinie była tylko umiarkowanie intensywna”. Sukcesy niemieckich myśliwców wywarły wpływ na morale załóg Bomber Command: sięgające 50 kilometrów niedoloty bomb, stanowiące efekt „odpęzania”, były widomą oznaką niechęci pilotów do

latania nad centrum obszaru bombardowania, nad którym osiem dni wcześniej zginęło tak wielu ich kolegów.

Ta tragiczna (dla Bomber Command) krótka seria nalotów na Berlin miała 3 września osobliwy epilog, przeoczony przez historyków. Oto trasę powrotną z Berlina wyznaczono Lancasterom nad środkową Szwecją; załogi bombowców miały dzięki temu sposobność oglądania niecodziennego w czasie wojny widoku niezaciemnionych miast, zyskały też komfort psychiczny, wiedząc, że tu nie mogą ich ścigać niemieckie myśliwce nocne. Częściowo dzięki temu jedynie 10 bombowców z ogólnej ich liczby uczestniczącej w nalocie padło ofiarą myśliwców.

W tych trzech nalotach na Berlin Brytyjczycy przeprowadzili ogółem 1719 lotów bojowych, w czasie których zaledwie 27 zrzuconych bomb spadło w odległości 5 kilometrów od punktu celowania. Osiągając ów mierny sukces, Bomber Command straciło 123 bombowce - przeciętny współczynnik strat wyniósł zatem 7,2 procent, czyli przekroczył współczynnik maksymalny, wyznaczony przez Operational Research nawet dla tak krótkiego czasu. Sir Arthur Harris nie miał więc innego wyboru, jak zostawić Berlin w spokoju, aż

do chwili gdy zmiany w taktyce umożliwią zneutralizowanie tego nieoczekiwanego zagrożenia ze strony myśliwców nocnych.

Jeśli chodzi o podpułkownika Hajo Hermanna, którego jednostka ocaliła życie być może pół miliona osób w Berlinie, fuhrer przyznał mu Liście Dębowe do Krzyża Rycerskiego, podczas gdy generał Kammhuber wkrótce po nalocie na Berlin został przeniesiony na mało znaczące stanowisko dowódcy 5. Floty Powietrznej w Norwegii; inspektorem myśliwców nocnych został po nim podpułkownik Hermann, co źle wróżyło przyszłym nalotom na Berlin. Inspektorem myśliwców dziennych był Adolf Galland, którego nazwisko wydaje się być lepiej znane historykom Luftwaffe.

Analizując raporty z odpraw organizowanych po nalotach, Bomber Command wysnuło oczywisty wniosek, że większość starć powietrznych ma miejsce na obszarze nad celem, gdzie z uwagi na dużą koncentrację bombowców, myśliwce nocne zbierają największe żniwo. Nasuwało się zatem takie rozwiązanie: należało wprowadzić w błąd niemieckie dowództwo myśliwców co do celu lub też celów wyznaczonych na daną noc, a ponadto czas nalotów skracać do minimum. Odtąd też coraz częściej stosowano taktykę fałszywych nalotów na cele pozorne oraz rozmaitych wybiegów służących zmyleniu przeciwnika. Ich wykonawcą była niekiedy Light Night Striking Force dowodzona przez generała brygady Bennetta, innym razem zaś całe grupy bombowców: obliczanie czasu trwania oraz trasy ich lotu stawało się coraz bardziej skomplikowane. Broń „Window” oraz środki elektronicznego przeciwdziałania zaczęto stosować na coraz większą skalę. Sir Arthur Harris próbował zmylić niemieckich kontrolerów lotów myśliwców.

Jesienią 1943 roku niemieckie dowództwo myśliwców zakończyło budowę pięciu ogromnych podziemnych bunkrów, przewidzianych dla stanowisk kierowania myśliwców obsługujących system „linii Kammhubera”. W Stade, kilka kilometrów na północny zachód od Hamburga, bunkier, w którym znajdowały się stanowiska kierowania 2. Dywizji Myśliwców, działających nad obszarem Zatoki Helgolandzkiej, usytuowano w ścianie skalnej, nadając mu kryptonim „Sokrates”; w bunkrze w Arnhem--Deelen znajdowały się stanowiska dowodzenia 3. Dywizji Myśliwców, której obszarem operacyjnym były Holandia i Zagłębie Ruhry; bunkier w Dóberitz mieścił stanowiska dowodzenia 1. Dywizji Myśliwców, której podlegał Berlin i środkowe Niemcy; w bunkrze w Schleisshem znajdowało się stanowisko dowodzenia 7. Dywizji Myśliwców, obejmującej zasięgiem południowe Niemcy i Metz. W bunkrach tych, które personel Luftwaffe trafnie nazywał „bojowymi salami operowymi”, gromadzono, odczytywano i przetwarzano informacje dotyczące zamiarów Brytyjczyków, nadchodzące z różnych źródeł, między innymi z bardzo nowoczesnych niemieckich jednostek nasłuchu radiowego. Jednak system ten był również piętą achillesową niemieckiej obrony przeciwlotniczej, bowiem dopiero stamtąd kierowano na bieżąco znajdujące się w powietrzu formacje myśliwców ku nadlatującym strumieniom bombowców.

22 października 1943 roku, tuż po 19.00, oficerowie dyżurni w bunkrach otrzymali telefoniczną wiadomość z paryskiej siedziby Funkhorchregiment West - pułku nasłuchu radiowego: „Pozycja orły pięćset”. Radiooperatorzy brytyjskich dywizjonów zaczęli uruchamiać przed startem swoją aparaturę: z prowadzonego nasłuchu Niemcy wywnioskowali, że tej nocy wzniesie się w powietrze około 500 maszyn. Niebawem nadszedł kolejny meldunek: zaczął działać brytyjski system naprowadzania radiolokacyjnego złożony z połączonych nadajników systemu „Gee”, a kierunek wiązek impulsów wskazywał, że wkrótce nastąpi nalot na Niemcy.

Oficerowie dyżurni zajęli swoje stanowiska, 40 przełączników zainstalowanych na wszystkich bunkrach zapewniało natychmiastową łączność z każdym myśliwcem dywizji. Oficerowie i podoficerowie zasiedli przy pulpitych usytuowanych amfiteatralnie na „sali operowej”. Po lewej ręce oficera dyżurnego znajdowały się stanowiska dwóch oficerów utrzymujących łączność z odległymi stacjami radiolokacyjnymi

wczesnego ostrzegania „Wurzburg--Riesen”, w których wykreślano przewidywaną trasę strumienia bombowców (nie przeszkadzało w tym nawet użycie przez przeciwnika broni „Window”). O jeden rząd niżej znajdowały się stanowiska 10 oficerów kierujących lotem myśliwców (jagerle-itoffiziere), utrzymujących bezpośrednią łączność radiową ze

sztabami Dywizji Lotnictwa, gotowych w każdej chwili przekazać „swój” myśliwiec, gdyby walka powietrzna przybrała na sile, starszemu kontrolerowi. Na dole sali ustawiono wielki podświetlony stół, na którym dziewczęta z oddziałów obsługi pomocniczej Luftwaffe, otrzymujące bieżące informacje ze stacji radiolokacyjnych, przesuwają co 30 sekund błękitne oraz czerwone strzałki oznaczające formacje niemieckie i brytyjskie. W usytuowanej z boku sali biurowej 12 stenografów notowało treść wszystkich przekazywanych telefonicznie informacji i wydawanych rozkazów.

Ów zorganizowany i nadzwyczaj racjonalny system obrony przeciwlotniczej Rzeszy byłby jednak bardziej odpowiedni we wczesnym okresie wojny. W roku 1943 został on w dużym stopniu zdeorganizowany w następstwie przeprowadzanych przez Bomber Command nalotów dywersyjnych oraz służących zmyleniu przeciwnika rajdów Mosquito. W nocy z 22 na 23 października Harris, używając przenośni, nadzwyczaj skutecznie sypnął piaskiem w tryby maszyny wojennej przeciwnika, w chwili gdy przeciążeni pracą niemieccy starsi kontrolerzy lotów próbowali naprowadzić myśliwce na cel w odpowiednim czasie.

O godzinie 19.40 z ogromnych niemieckich stacji radiolokacyjnych nadeszły pierwsze informacje: urządzenia „Mammut” i „Wasserman” o zasięgu około 300 kilometrów wykryły nad Morzem Północnym nieprzyjacielskie samoloty. Na podświetlanym stole zaznaczono pierwsze czerwone strzałki, które stopniowo zbliżały się do ujścia Skaldy. Oficerowie dyżurni nakazali pilotom myśliwców nocnych gotowość do lotu. Wszystko zależało teraz od decyzji starszego kontrolera, który miał określić, gdzie znajduje się cel nadsyłających bombowców.

Nie było to jednak łatwe: tamtej nocy bowiem Bomber Command zastosowało nową taktykę dezorientacji radiowej, której nadano kryptonim „Corona”. Komodor powietrzny E. B. Addison, któremu podlegało zakłócanie radiowe, uznał, że z nadajnika znacznej mocy „Corona”, przeznaczonego pierwotnie do zakłócania łączności na falach bardzo wielkiej częstotliwości, na których porozumiewali się niemieccy kontrolerzy lotu z pilotami, można zrobić znacznie lepszy użytek. Postanowiono nadawać fałszywe polecenia, kierujące myśliwce niemieckie do odległych zakątków Rzeszy, czy też - stosując jeszcze bardziej podstępna metodę - przekazywać im informacje, że na przykład z powodu mgły zostały zamknięte ich macierzyste lotniska¹. W ten sposób zdezorientowani piloci lądowali przedwcześnie. W Kingsdown w hrabstwie Kent założono stację nasłuchu radiowego, w której od pewnego czasu nagrywano nadawane na bieżąco meldunki i polecenia. Poczta brytyjska przekazała Addisonowi swoje najsilniejsze nadajniki, pracujące na wielkich częstotliwościach. Jako radiooperatorów zaangażowano niewielką grupę żydowskich emigrantów, Polaków oraz brytyjskich lingwistów - każdy z nich pilnie wsłuchiwał się w głos „swojego” jagerleitoffiziera, ucząc się naśladować jego sposób wyrażania się oraz akcent. Po takich przygotowaniach można było rozpocząć operację.

Celem nalotu było Kassel, miasto leżące w Hesji². O 19.51 postawiono w stan gotowości jednostki artylerii przeciwlotniczej. Siedem minut później nadeszły pierwsze doniesienia o „wielu samolotach nieprzyjacielskich zbliżających się szeroką ławą do ujścia Skaldy”.

20.01. Całkowite zaciemnienie. Kolejne fale samolotów zbliżają się do ujścia Skaldy. Posterunek obserwacyjny „Dortmund” melduje: „W górze wielka liczba nieprzyjacielskich samolotów. Nowe ich fale

zbliżają się do ujścia Skaldy".

20.09. Artyleria przeciwlotnicza: gotowość do otwarcia ognia.

Minutę później zameldowano, że obrona przeciwlotnicza w Kassel znajduje się w stanie gotowości.

Z zapisków stenografów wyraźnie wynika, że aż do tej chwili Niemcy nie byli pewni, dokąd lecą bombowce. Sir Arthur Harris ustalił, że właściwym celem będzie Kassel, lecz jednocześnie zostanie przeprowadzony nalot dywersyjny na Frankfurt nad Menem, który rozpocznie się pięć minut przed nalotem na to miasto, jak również operacja stawiania min (o kryptonimie „Gardening”) niedaleko Terschelling. Strumień bombowców został skierowany w tak niejednoznaczny sposób, żeby wywołać u przeciwnika wrażenie, iż istnieje możliwość zaatakowania Frankfurtu.

O 20.15 Luftwaffe poleciła postawić zaporę balonową w Kassel. Dwie minuty później w mieście ogłoszono pełny alarm lotniczy.

20.20 4. bateria artylerii przeciwlotniczej [Kassel]: odbierane są echa radarowe.

20.25 4. bateria artylerii przeciwlotniczej: zanik ech.

O 20.28 posterunki obserwacyjne w Holandii zameldowały, że przelatują ostatnie fale samolotów. Żeby umożliwić myśliwcom prowadzenie działań w systemie „Odyniec”, artylerzyści otrzymali polecenie nastawienia zapalników odległościowych w pociskach na pułap nie większy niż 5000 metrów. Jednak artylerzyści zaprotestowali, meldując, że z danych przekazywanych przez urządzenia radiolokacyjne „Wiirzburg” wynika, iż cele znajdują się na wysokości 5500 metrów. Kwestię tę rozważano przez cztery minuty, po czym artyleria przeciwlotnicza otrzymała polecenie otwierania ognia do celów zidentyfikowanych jako bombowce przeciwnika i znajdujących się na wysokości do 7000 metrów. Wszystkie urządzenia radiolokacyjne „Wiirzburg-Dora” były wyposażone w aparaturę służącą do selektywnej identyfikacji elektromagnetycznej „swój” i „obcy”. Właśnie wtedy Korpus Obserwacyjny przesłał meldunek, na który tak bardzo liczył sir Arthur Harris i jego zespół „Corona”:

20.35. Najbardziej prawdopodobny cel nalotu to Frankfurt nad Menem.

Gdy wiedziano już, że niemieccy kontrolerzy lotów kierują myśliwce nad Frankfurt, ich „dublerzy” z Kingsdown mieli za zadanie jak najbardziej je opóźnić - albo polecając pilotom krążyć wokół poszczególnych radiolatarni i czekać na dalsze instrukcje, albo też stwarzać pozory sytuacji, której lotnicy najbardziej się obawiali: informować, że wszystkie lotniska zostały nagle zamknięte z powodu złej pogody. (17 listopada, w czasie nalotu na Ludwigshafen, informacja przekazana przez „Coronę”, jakoby wszystkie lotniska w południowych Niemczech zostały unieruchomione z powodu mgły, załamała niemiecką obronę przeciwlotniczą, ponieważ większość myśliwców skierowała się na najbliższe lotniska; Brytyjczycy stracili tylko jeden bombowiec).

W nocy z 22 na 23 października, kiedy zaatakowano Kassel, na wschodnim krańcu Zagłębia Ruhry pogoda była rzeczywiście bardzo zła, zachmurzenie osiągnęło wartość „dziesięć dziesiątych”, warstwa chmur zalegała do wysokości 6000 metrów, a burze z piorunami oraz znaczne oblodzenie były przyczyną zawracania z trasy wielu bombowców przed wykonaniem zadania. Początkowo operację „Corona” prześladował pech, większość nocnych myśliwców skupiła się bowiem w pobliżu radiolatarni usytuowanych na północ od trasy lotu bombowców, na południe od niej leżał Frankfurt. Starsi kontrolerzy lotów, przeświadczeni że głównym celem nalotu jest Frankfurt, wysłali strumień myśliwców nocnych w kierunku południowym: wiele z tych maszyn spotkało się z ariergardą strumienia bombowców nad Kolonią, siejąc spustoszenie wśród wolniejszych Halifaxów.

Spośród 42 brytyjskich samolotów, które tamtej nocy nie powróciły do baz, 32 zostały zapewne zestrzelone przez myśliwce nocne, a 12 z nich należało do grupy 6.

Początkowo obrona powietrzna Kassel uznała, że tej nocy nie będzie potrzebna. O 20.38 nadszedł meldunek: „Bombardowany jest Frankfurt nad Menem”. Miasto to leżało w odległości 170 kilometrów. Jednocześnie jednak pierwsze pathfindery, wyposażone jedynie w ładunki świetlne żółtej barwy, zrzucając na spadochronach według wskazań aparatury elektronicznej, nadlatywały nad Kassel. Większość markerów chybiła, spadając w odległości od 2,5 do 8 kilometrów od punktu celowania, tymczasem artyleria przeciwlotnicza nie otwierała ognia jeszcze przez dwie minuty. Wreszcie dwa ładunki świetlne zrzucone

O 20.40 nad punktem celowania umożliwiły nadlatującym samolotom ulokowanie czerwonych znaczników celu z wielką dokładnością i precyzją. Już o 20.43 (do godziny „zero” brakowało trzech minut) w promieniu 800 metrów od punktu celowania znajdowało się płonące jaskrawym blaskiem skupisko 80 czerwonych znaczników celu; przed nalotami na Drezno była to zapewne najlepsza robota pathfinderów.

Technika nalotu, która wywołała w Hamburgu burzę ogniową, musiała nieuchronnie doprowadzić do niej i w Kassel. Tymczasem w mieście tym wciąż się zastanawiano, kto właściwie i jakimi siłami atakuje. W raporcie sporządzonym sześć tygodni później szef policji Kassel napisał, że o godzinie 20.37 postępowania obserwacyjne w jego mieście zameldowały, iż bombardowany jest Frankfurt i że ów manewr dezorientacyjny zastosowany przez przeciwnika był przyczyną „odwołania większości niemieckich myśliwców do tamtej strefy”³. Nawet gdy pierwsze ładunki świetlne z pathfinderów układały się nad miastem w równe rzędy, sytuacja na niebie, jak wspomniał pechowy szef policji, nadal była „niejasna”. Wówczas, ale tylko wtedy, otworzyła ogień artyleria przeciwlotnicza. Do godziny „zero” brakowało trzech minut:

20.42. Połowa dział 4. baterii artylerii przeciwlotniczej otworzyła ogień.

20.45. Strzela cała bateria. Pułap celu ustalony wzrokowo na 3500 metrów.

Wściekły jagerleitoffizier rozkazał wszystkim myśliwcom, żeby jak najszybciej udały się nad Kassel. Przestrzegł też pilotów, że z drugiego brzegu kanału La Manche nadawany jest konkurencyjny „komentarz bieżący”, który zawiera fałszywe polecenia, toteż zabronił lotnikom ich wykonywania. Tymczasem jego „dubler” z Kingsdown, starannie go naśladowując, nakazał pilotom, żeby zignorowali ten oczywisty brytyjski fortel. Wtedy jagerleitoffizier zaczął głośno kląć, a jego „dubler” chłodno zauważył: „O, Anglik klnie”, na co Niemiec wrzasnął: „To nie Anglik klnie, tylko **ja**”.

Goebbels napisał z zalem w swoim dzienniku dwa tygodnie później, że było to „bardzo upokarzające widzieć, jak przeciwnik wodzi nas za nos w ofensywie powietrznej; co miesiąc stosuje jakąś nową metodę walki, gdy tymczasem dorównanie mu zabiera nam tygodnie, a niekiedy i miesiące”.

Tymczasem w Kassel, gdzie blisko 8000 osób umierało przez dwie godziny straszliwą śmiercią, nie był to doprawdy odpowiedni moment do żartów. Od godziny „zero” upłynęło ledwie 30 minut, a już rozpętała się druga w Niemczech burza ogniowa. Brytyjskie bombowce zrzuciły na miasto ogółem 1823,7

ton bomb burzących i zapalających. Spośród 444 bombowców, których załogi oświadczyły, że uczestniczyły w nalocie, nie mniej

niż 380 (jak ustalono później) zrzuciło swoje ładunki w promieniu 5 kilometrów od punktu celowania. Noc była sucha i bezwietrzna, podobnie jak noc z 27 na 28 lipca, kiedy miał miejsce atak na Hamburg - toteż były warunki sprzyjające powstaniu burzy ogniowej.

Dziesięć minut wcześniej w wyniku trafienia bombami została zniszczona główna miejska centrala telefoniczna, i choć w centrum dowodzenia obrony cywilnej wezwano już posiłki z innych miast, przerwanie systemu łączności ogromnie utrudniało prowadzenie działań przez strażaków oraz służby ratownicze. Gdy na peryferie miasta przybyły z całej Hesji pułki i brygady strażackie, biura Hitlerjugend pozbawione były wszelkiej łączności z centrum obrony; oddziały pożarnicze po kilkunasto-minutowym oczekiwaniu na polecenia przystąpiły do nieskoordynowanych działań na przedmieściach, lecz nikt się nie zajął obszarami najbardziej dotkniętymi zniszczeniami.

O godzinie 22.10, 85 minut po godzinie „zero”, nad Kassel znajdowały się jeszcze ostatnie bombowce; miasto rozświetlał zarówno blask burzy ogniowej, jak płonące na niebie flary, a niemieckie myśliwce zbierały teraz swoje największe żniwo. Tymczasem pomiędzy 20.30 a 23.30 przybyły do Kassel drużyny strażackie z terenów odległych o 8 kilometrów od miasta, natomiast pomiędzy 22.30 a 00.50 - z terenów odległych o 56 kilometrów. Ponieważ pięć ruchomych pododdziałów obrony cywilnej okazało się siłą niewystarczającą, komendant policji zażądał od Dowództwa Strefy Lotniczej (Luftgau-Kommando VI) w Miinster przysłania jeszcze dwóch.

Przewidując, że miejska sieć telefoniczna ulegnie zniszczeniu, dowództwo obrony cywilnej Kassel zorganizowało system gońców, jednak pod koniec nalotu dostęp do budynku dowództwa zablokowały pożary, większość motocykli zasypał gruz, a ulice stały się nieprzejezdne; nawet ci gońcy, którzy zdołali jakimś sposobem przedostać się w boczne ulice, mieli trudności z utrzymaniem równowagi z powodu potężnego podmuchu towarzyszącego burzy ogniowej. Toteż opóźnienia w przekazywaniu poleceń z centrali sięgały do pół godziny.

Odkąd w 1942 roku profesor Lindemann przedstawił swoje propozycje, podstawą Strategicznej Ofensywy Bombowej Bomber Command był system map „strefowych” opracowanych przez Intelligence Directorate Ministerstwa Lotnictwa; na mapach tych miasta niemieckie podzielono na: strefę centralną - stare śródmieście, często o zwartej zabudowie, w wysokim stopniu odporne na ogień; usytuowaną wokół, gęsto zaludnioną strefę mieszkalną; oddaloną strefę przemysłową. W Kassel burza ogniowa objęła całą strefę centralną, zwłaszcza na lewym brzegu rzeki Fuldy. Choć dla Bomber Command nalot okazał się bardzo kosztowny, przyniósł on katastrofalne skutki miastu. Z 3,7 kilometra kwadratowego zabudowy 2,5 kilometra kwadratowego zostało zniszczonych, w tym 1,2 kilometra kwadratowego osiedli robotniczych.

We wstępnym raporcie dotyczącym skutków nalotu, opublikowanym 30 grudnia, napisano, że zniszczono 26 702 budynki, dach nad głową straciło zaś ponad 120 tysięcy osób; spośród 55 tysięcy domów w mieście 65 procent uznano za nienadające się do zamieszkania. 7 grudnia szef policji ocenił, że 10 tysięcy budynków mieszkalnych zostało zniszczonych albo uszkodzonych, powtórzył też, że 65 procent ogólnej liczby domów nie nadaje się do powtórnego zamieszkania; liczbę osób pozbawionych dachu nad głową oraz tych, którzy zostali pozbawieni domu w wyniku pożarów i bombardowania, określił na 150 tysięcy. „The United States Bombing Survey”, publikacja, jak można sądzić, kwestionująca rzetelność tych obliczeń, oceniła pod koniec 1945 roku, że tamtej nocy 91 tysięcy osób zostało pozbawionych dachu nad głową; Amerykanie uznali przy tym,

że uległo zniszczeniu 65 procent budynków mieszkalnych⁴. Ponieważ przed nalotem ludność Kassel

liczyła 228 tysięcy, uznanie za bardziej wiarygodną ocenę szefa policji aniżeli Amerykanów będzie zapewne wybaczone.

Nalot na Kassel stanowił klasyczną ilustrację teorii leżącej u podstaw brytyjskiej strategicznej ofensywy lotniczej. Dezorganizacja postępowała niczym reakcja łańcuchowa: najpierw dotknęła miejskie przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, potem zaś nawet te zakłady przemysłowe, które nie zostały zniszczone. Prąd dostarczała w Kassel elektrownia miejska oraz elektrownia Losse: ta pierwsza została zniszczona, druga zaś przestała pracować z powodu zniszczenia przenośnika węgla; zniszczeniu uległa też miejska sieć niskiego napięcia. Ponieważ bomby trafiły tylko w trzy zbiorniki gazu, niezniszczona gazownia mogła kontynuować pracę, a uszkodzona sieć gazowa mogła być szybko naprawiona. Z uwagi jednak na brak energii elektrycznej, urządzenia gazownicze zostały unieruchomione; cały obszar Kassel był pozbawiony gazu i prądu. Choć ocalało pięć stacji pomp, one też z tego samego powodu nie mogły pracować. Pozbawiony gazu, wody i elektryczności przemysł miasta został sparaliżowany.

Zakłady przemysłowe doznały poważnych zniszczeń; dziewięć najważniejszych, wśród nich fabryka samolotów Fieseler w Kassel-Waldau, produkująca pociski latające Fi.103*, zostało w znacznym stopniu zburzonych; zniszczenia wyrządzone trzem zakładom przemysłowym Henschel produkującym lokomotywy i czołgi oceniono ogółem na 42 miliony marek. Przesłuchiwany w lipcu 1945 roku Speer stwierdził, że choć montownia czołgów i tak już zwolniła tempo pracy, ze względu na brak dostaw części spowodowany nalotami na zakłady przemysłu zbrojeniowego znajdujące się w innych miastach, po nalocie z października 1943 roku miesięczna produkcja czołgu „Tygrys” zmniejszyła się ze 100 - 150 do zaledwie 50 - 60 sztuk.

Chociaż nalot na Kassel spowodował podobną burzę ogniową jak w Hamburgu, to zginęło stosunkowo niewiele osób, bezsprzecznie mniej niż 10 tysięcy. Jak zwykle uściślenie tych danych nastąpiło dopiero po kilku miesiącach. W raporcie z 30 listopada podano wstępną liczbę 5599 osób, z których zidentyfikowano 3782; gdy sześć dni później komendant policji sporządził swój raport, liczba ta wzrosła do 5830 (zidentyfikowano 4012 osób). Pod koniec października 1944 roku dyrektor *zakładów* przemysłowych Henschel podał, że zginęło ogółem blisko 8000 osób⁵. I znów „The United States Bombing Survey” nie uznał tej liczby, podając mniejszą - 5248. Należy dodać, że Niemcy prowadzili niezwykle dokładne rejestry strat spowodowanych nalotami - figurował w nich nawet żywy inwentarz. I tak, na przykład po nalocie na Kassel odnotowano śmierć „108 koni, 68 świń, 8 psów, 6 kóz, 3 cieląt i 1 owcy”, jak również znaczną liczbę zwierząt domowych, zabitych na miejscu lub później humanitarnie uśmierconych.

W Hamburgu liczba ofiar śmiertelnych wyniosła 43 tysiące, a być może więcej, toteż warto się zastanowić, dlaczego Kassel uniknęło tego losu? Po pierwsze, było ono mniejsze od Hamburga. Podjęto tam również liczne środki zapobiegawcze. Narodowi socjaliści od chwili objęcia władzy w Niemczech w 1933 roku zaczęli realizować program likwidacji dzielnic nędzy, władze miasta zaś, wykazując się niezwykłą zapobiegliwością, postanowiły uzyskaną w ten sposób przestrzeń niezabudowaną wykorzystać jako trasy ewakuacyjne dla ludności cywilnej na wypadek wybuchu wielkiego pożaru; środki te

wprowadzono jeszcze przed wojną. Uzyskane w ten sposób drogi ewakuacyjne (czasem powstawały po wyburzeniu całkiem nowych kwartałów zabudowy) zostały oznaczone strzałkami, a ludność miasta poddawano regularnie ćwiczeniom na wypadek ewakuacji, prowadzonym w realistycznie zainscenizowanych atakach lotniczych.

Pozytywnym następstwem powodzi, jaka przeszła przez miasto po zniszczeniu przez brytyjskie samoloty z 617. dywizjonu w nocy z 16 na 17 maja 1943 roku zapory wodnej na zbiorniku Eder*, jak

również amerykańskich nalotów na Kassel 28 i 30 lutego była ewakuacja dużej liczby ludności; w centrum miasta pozostało tylko 25 tysięcy niezbędnych osób. Dla tych, którzy nie mogliby dotrzeć na czas do swoich domowych schronów, w szpitalu św. Karola wzniesiono betonowy bunkier dający schronienie ponad 1000 osób. Podczas burzy ogniowej 22 października trzeba go było jednak ewakuować, ponieważ szalejący na zewnątrz ogień pochłaniał ogromne ilości tlenu, więc zgromadzonym tam ludziom groziła śmierć wskutek uduszenia. Pomimo całkowitego zniszczenia pięciu szpitali oraz poważnego uszkodzenia sześciu innych, w tym również szpitala położniczego, nie zginął nikt spośród pacjentów i personelu; chorych nie-poruszających się o własnych siłach umieszczono zawczasu w podziemnych tunelach, schronach i bunkrach, pacjenci zaś leczeni ambulatoryjnie zostali ewakuowani w bezpieczne miejsce, gdy tylko dowództwo obrony cywilnej poinformowało dyrekcje szpitali, że wprowadzono „alarm lotniczy 25”.

Podobnie jak Hamburg, również Kassel dysponowało rozbudowanym systemem działających niezależnie hydrantów przeciwpożarowych, by zaś zabezpieczyć przed spłonieniem drewniane konstrukcje dachów, impregnowano je specjalnymi środkami;

Położonym 30 km na południe od Kassel.

wszystko to z pewnością zapobiegło rozprzestrzenianiu się burzy ogniowej. Pospiesznie wydana 31 sierpnia 1943 roku ustawa o zabezpieczeniu przeciw nalotom (Luftschutzgesetz) - zobowiązywała właścicieli domów do zaopatrzenia się w bosaki, liny, drabiny, apteczki ze środkami pierwszej pomocy, wiadra, wanny z wodą, pojemniki z piaskiem, szufle, papierowe worki, łopaty, młoty kowalskie lub toporki, które to przedmioty okazały się niezmiernie użyteczne w nocy z 22 na 23 października. Wykazano się również wielką przezornością, przygotowując na ulicach hałdy piasku, który miał służyć do usypywania przejść wiodących przez jezdnie; spodziewano się, że wysoka temperatura stopi asfalt.

Poczynając od bitwy o Hamburg, organizowano na wszystkich szczeblach narady, w których uczestniczyli przedstawiciele miejskiej organizacji NSDAP oraz dowództwa obrony cywilnej. Wszystkim przypominano, iż zasadniczym obowiązkiem jest organizowanie w odpowiednim czasie ewakuacji oraz uwalnianie osób znajdujących się w schronach. To ostatnie okazało się słabym punktem obrony Hamburga; wielu starszych wiekiem dyżurnych OPL wpadło w panikę, gdy otoczyły ich płomienie burzy ogniowej. Zgodnie ze wspomnianymi przepisami, wszystkie kina w Kassel były zamykane o 19.30; przerywano także spektakle w Teatrze Miejskim po ogłoszeniu alarmu lotniczego 20⁶. Dlatego, mimo że podczas nalotu i burzy ogniowej w Kassel zostały zburzone wszystkie kina i teatry, zginęło w nich niewiele osób. Ekipy ratownicze wydobyły spod gruzu 459 osób, ostatnią 27 października - pięć dni po nalocie.

Jeśli chodzi o 8000 ofiar nalotu, należy wspomnieć o pewnej zaskakującej sprawie - podobnie jak w Hamburgu, 70 procent z nich zginęło wskutek uduszenia, większość zatrąła się dymem zawierającym tlenek węgla⁷. 15 procent zginęło gwałtowną śmiercią. Nie sposób było orzec przyczyny zgonu pozostałych,

gdyż zwłoki były całkowicie zwęglone. Prace ratownicze utrudniało to, że ciała wydobywane z piwnic były często wzdęte na skutek działania gorąca i wilgoci, a członki łatwo odpadały od tułowia. Zwłoki ofiar nalotu wywożono 41 zakrytymi ciężarówkami, których pracę nadzorowało sześciu odpornych psychicznie oficerów policji oraz drużyny odkażania przyodziane w specjalne ubiory przeciwgazowe. Ze względu na możliwość rozprzestrzenienia się tyfusu lub innych chorób zakaźnych, nie można było chować zwłok w trumnach; grzebano je na sześciu cmentarzach w zbiorowych grobach wykopanych przez koparki. Początkowo zajmowali się tym włoscy jeńcy wojenni, którzy układali zwłoki pojedynczą warstwą; potem, ze względu na konieczność oszczędzania miejsca, kopano głębsze groby masowe mieszczące dwie warstwy ciał. Na cmentarzach przez całą dobę pracowali lekarze, orzekając o przyczynie śmierci każdej osoby. Codziennie o 18.00 starszy lekarz z formacji obrony cywilnej składał meldunek, ile trupów pochowano, ile oczekuje na pochówek, jak również, jaka liczba zwłok jeszcze leży na ulicach. Wydział medyczny SHD

oddał do dyspozycji tych lekarzy 16 mężczyzn liczących zwłoki.

Władze miasta utworzyły biuro osób zaginionych, w którym w ciągu kilku dni zatrudniono 150 - 200 osób. Komendant policji wyraził w swoim raporcie zaniepokojenie faktem, że znaczna liczba osób zmarła wskutek uduszenia, choć większość miała łagodny zgon, „zapadając w nieświadomość i ostatecznie bez walki ulegając śmierci”. Stanowiło to, jak napisał komendant, nieuniknioną konsekwencję wpajania społeczeństwu w pierwszych trzech latach wojny pewnych zasad - między innymi, iż najbezpieczniejszym miejscem podczas nalotu jest schron przeciwlotniczy. Dopiero poczynając od bitwy o Hamburg zaczęto rozpowszechniać niemal przeciwne zalecenia. „Wiele ofiar zapewne wszelkimi siłami próbowało wydostać się ze schronów

- kontynuował szef policji - przeoczyło jednak właściwy moment: w Kassel nastąpił on około 40 minut po rozpoczęciu nalotu, gdy przez śródmieście można było jeszcze, choć z dużą trudnością, przejść, a burza ogniowa miała niewielkie natężenie. Potem dodał: „Łatwo zrozumieć, że bardzo wiele osób, zwłaszcza starszych wiekiem oraz kobiet i dzieci, nie zdobyło się na odwagę, żeby opuścić schrony, gdy bombardowanie jeszcze trwało”. Na dobitkę, choć ostatnie bomby zrzucono 85 minut po godzinie „zero”, nieprzerwane eksplozje bomb z opóźnionym zapłonem wciąż trzymały w napięciu (bo też taki był zamiar Bomber Command) rzezoną część mieszkańców.

Komendant przedstawił następujący wniosek. „Wszystko to potwierdza pilną konieczność informowania ludzi lepiej i skuteczniej niż dotychczas o tym, że w wypadku znalezienia się w strefie zagrożenia, należy bezwzględnie ewakuować się ze schronów i bunkrów, nawet jeśli trwają wielkie pożary. Należy odrzucić fałszywe przekonanie, iż zbyt obrazowe przedstawianie okropności burzy ogniowej zdemoralizuje psychicznie ludność cywilną”.

Pogląd ów zdecydowanie różnił się od zapatrywań doktora Goebbelsa. Kilka dni po czerwcowym przemówieniu na uroczystościach pogrzebowych w Wuppertalu-Barmen oświadczył on w prywatnej rozmowie: „Gdybym tylko mógł szczelnie odizolować od świata Zagłębie Ruhry, gdyby nie istniały takie rzeczy jak listy i rozmowy telefoniczne, nie dopuściłbym do opublikowania choćby jednego słowa na temat ofensywy powietrznej. Ani słowa”⁸.

Tak więc, wielu obywateli Kassel, jak również Darmstadt, Brunshwiku i w końcu Drezna doświadczyło po raz pierwszy burzy ogniowej oraz pożarów tak ogromnych, że w pierwszym z wymienionych miast nie zdołało ich opanować 300 drużyn strażackich.

Przed zimą 1943 roku Bomber Command miało przeciw sobie nie tylko jednostki dowodzone przez Adolfa Gallanda i Hajo Hermanna, przez pewien czas w rządzie brytyjskim oraz w środowiskach pozarządowych wzmagała się dyskusja dotycząca strony etycznej nalotów strategicznych.

Oficjalne oświadczenia rządowe miały na celu uspokojenie podejrzliwych umysłów. Gdy w maju 1942 roku BBC poinformowało, że podczas nalotu na Rostock udało się zniszczyć wiele domów robotników, pewien poseł z Independent Labour Party zapytał w Izbie Gmin ministra lotnictwa, czy RAF otrzymał instrukcje, żeby „opóźnić i dezorganizować niemiecki wysiłek wojenny przez niszczenie domów robotników”? Choć nastąpiło to kilka dni po przyjęciu memorandum profesora Linedmanna, dotyczącego nalotów strategicznych, i choć upłynęło 10 tygodni odkąd polecono Bomber Command atakować obszary zabudowane, „nie zaś, przykładowo, stocznie i zakłady przemysłu lotniczego, ilekroć są one wymienione”, sir Archibal Sinclair nadal uważał, że ma prawo twierdzić, iż „nie istnieje żadna instrukcja nakazująca niszczyć domy mieszkalne, a nie fabryki zbrojeniowe”.

Podobnie, gdy Richard Stokes, poseł Labour Party z okręgu Ipswich, od dawna prowadzący kampanię przeciw bombardowaniu ludności cywilnej przeciwnika, zapytał 31 marca 1943 roku, czyli podczas szczytowego natężenia walk o Zagłębie Ruhry, czy lotnicy brytyjscy otrzymali instrukcje, aby „podejmować bombardowanie strefowe, nie zaś ograniczać się do celów wyłącznie wojskowych”, Sinclair zbył go

udzielonym lekceważącym tonem zapewnieniem, iż „Bomber Command atakuje zawsze cele wojskowe”. Bezsprzecznie jednak był świadom (podobnie jak każda z tysięcy osób należących do personelu Bomber Command),

w których dokładnie miejscach znajdują się nakreślone ołówkiem krzyżyki, jednak, jak wyjaśnił w październiku 1943 roku, prawie z poczuciem winy, tylko w taki sposób mógł odpowiedzieć na pytania arcybiskupa Canterbury, przewodniczącego Kościoła Szkocji oraz innych przywódców religijnych, którzy, gdyby poznali prawdę i potępili Strategiczną Ofensywę Bombową, mogliby tym samym podkopać morale załóg, a w konsekwencji osłabić skuteczność nalotów⁹.

Wyjaśnienie to zadowoliło szefa sztabu lotnictwa, jednak nie sir Arthura Harrisa czy też sir Roberta Saundby'ego, bezkompromisowych przeciwników hipokryzji, przekonanych o tym, że ofensywa strategiczna jest przedsięwzięciem etycznym, a więc dopuszczalnym. Harris zwrócił uwagę, że nieustannie powtarzane przez ministerstwo zapewnienia mają szkodliwy wpływ na załogi bombowców, piloci bowiem mogą uznać, że żąda się od nich wykonywania rzeczy, do których Ministerstwo Lotnictwa wstydzi się przyznać. Bez względu na to, czy ta przedłużająca się w czasie ofensywa przeciwko niemieckiej ludności cywilnej była niemoralna czy moralna, Harris nigdy nie obawiał się głosić światu o swoich zamiarach i metodach, często wprawiając przez to w zakłopotanie Ministerstwo Lotnictwa, jak na przykład w listopadzie 1943 roku, kiedy to stwierdził, iż jego niefortunna bitwa o Berlin będzie kontynuowana, „aż serce narodowosocjalistycznych Niemiec przestanie bić”.

W ten religijny i moralistyczny spór włączył się kanonik L. J. Collins*, kapelan w głównej kwaterze RAF-u przy Wycombe Street, który we wrześniu 1941 roku został mianowany kapelanem

W latach 1948 - 1981 kanonik w londyńskiej Katedrze św. Pawła; w latach 1931 - 1938 w ordynariacie przy królu Jerzym VI; kapelan RAF-u w latach 1940 - 1945. Po wojnie włączył się w prowadzenie kampanii na rzecz rozbrojenia nuklearnego, której przewodniczył w latach 1958 - 1964. W 1978 ONZ przyznało mu złoty medal za kampanię przeciw apartheidowi w RPA.

w Bomber Command i prowadził tam aktywnie grupę stowarzyszenia Christian Fellowship*. Gdy spór się zaognił, Collins uznał, że powołanie nakazuje mu zorganizowanie pod auspicjami tej grupy serii wykładów politycznych dotyczących kwestii etyczno-moralnych przeznaczonych dla najwyższych stopniem oficerów Bomber Command. Jedną z pierwszych prelekcji odbywających się w sali narad sztabu lotniczego Bomber Command wygłosił (jak zasugerował to Collins) Stafford Cripps, wówczas minister produkcji lotniczej, lecz jednocześnie zdeklarowany pacyfista. Sir Arthur Harris odmówił uczestnictwa, jednak gospodarzem i przewodniczącym spotkania wyznaczył swojego zdolnego zastępcę Saundby'ego.

Jako zasadniczy temat swojego wygłoszonego po kolacji odczytu, na który przybyło około stu starszych oficerów oraz członków personelu, Cripps wybrał nieszczęśliwie słowa „Czy Bóg jest moim drugim pilotem?”. W swoim elokwentnym wystąpieniu mocno podkreślił, że osoby odpowiedzialne za przyjęcie strategii, zarówno rząd, jak i Bomber Command, przed wysłaniem bombowców nad Niemcy powinny zawsze mieć pewność, że to, co robią, jest niezbędne dla celów wojskowych. „Nawet gdy popełniacie czyny niegodne - powtarzał - pamiętajcie, że przez ramię zawsze spogląda wam Bóg”. Jednoznaczne potępienie metod Bomber Command wygłoszone przez czołowego polityka, a na dobitkę u szczytu Strategicznej Ofensywy Bombowej, było doprawdy niezwykłym wydarzeniem; takich poglądów ministra produkcji lotniczej wielu obecnych na sali oficerów nie mogło zaakceptować.

Stowarzyszenie chrześcijańskie, działające w Wielkiej Brytanii także przed i po wojnie, znane zwłaszcza z prowadzenia letnich domów wypoczynkowych, organizowania spotkań modlitewnych oraz grup dyskusyjnych. Nie było związane z żadną opcją polityczną.

Wywiązała się ożywiona dyskusja. Jakiś podpułkownik zapytał, czy z tego, co Cripps powiedział, należy rozumieć, że nie wierzy w sens strategii bombardowań realizowanej przez sir Arthura Harrisa.

Jak wspomina Saundby, Cripps potraktował oficera tak, jak adwokat w sądzie mógłby potraktować świadka strony przeciwnej. Spotkanie zakończyło się utarczką słowną. Inny oficer indagował, czy dezaprobatę dla ich ofensywy strategicznej należy tłumaczyć ogromem opóźnienia w załatwianiu spraw na linii Bomber Command - Ministerstwo Przemysłu Lotniczego.

Nim Cripps zdołał odpowiedzieć, znakomite planowanie w Bomber Command raz jeszcze pomogło w wymanewrowaniu „przeciwnika”. Sir Robert Saundby nacisnął ukryty przycisk dzwonka i oto natychmiast pojawił się oficer służb meteorologicznych, wymachujący najnowszym komunikatem meteo, w którym, jak stwierdził, zapowiedziano „gęstą mgłę” nad Gloucestershire, dokąd minister miał powrócić tej samej nocy. Nie podejrzewając podstęp, Cripps pospieszył do domu. Faktycznie było to zastosowanie taktyki „Corona” przeciwko znacznie bliższemu przeciwnikowi. Na sali było niewątpliwie wielu oficerów wiedzących, na czym polega taktyka „Corona”; należy mu zapisać na plus, że nikt nie zdradził sekretu, dając pochopnie upust wesołości.

Sir Arthur Harris zmartwił się oczywiście incydentem; później próbował zrekompensować szkody, których narobił Cripps. Poprosił swojego osobistego doradcę, T. D. Weldona, wykładowcę filozofii moralnej w oksfordzkim Magdalen College, o wygłoszenie dla starszych oficerów wykładu zatytułowanego „Eryka nalotów”. Prelekcja okazała się podobnie niezrozumiała co wykład wygłoszony wcześniej przez Crippsa; pod koniec kanonik Collins zadał pytanie: „Czyżbym został błędnie poinformowany, właściwy temat wykładu brzmi «Naloty na etykę»?”¹⁰

Pod koniec 1943 roku publiczna wymiana argumentów była niemniej ożywiona i pouczająca niż ta prowadzona w chronionej zasiekami z drutu kolczastego i warstwą betonu siedzibie Bomber Command. 1 grudnia Richard Stokes spróbował po raz ostatni przed tragedią Drezna skłonić Sinclaira, żeby przyznał, iż rząd Churchilla przyjął strategię nalotów strefowych. Zapytał mianowicie, czy rzeczywiście wytyczne strategii nocnych bombardowań „zostały zmienione i celami stały się miasta oraz rozległe obszary, na których znajdują się obiekty wojskowe”. Z cyrkową wręcz zręcznością sir Archibald ponownie zastosował unik i nawiązując do swojej odpowiedzi udzielonej 31 marca 1943 roku, zapewnił go, że „nie nastąpiły żadne zmiany w strategii”.

Bo tak też istotnie było. Jednakże Stokes, nie usatysfakcjonowany niejasną odpowiedzią ministra, nie ustępował, domagając się wyjaśnienia, czy to prawda, że „minimalny obszar celu wynosi obecnie 40 kilometrów kwadratowych”. Minister lotnictwa sarkastycznie odparł, że jego czcigodny przyjaciel zapewne nie dosłyszał odpowiedzi: „Powiedziałem, że w strategii nie nastąpiły zmiany”.

Gdy Stokes z podziwu godnym uporem prosił o poinformowanie go, ile kilometrów kwadratowych liczy obszar, na który zrzucono ostatnio 350 „blockbusterów”, usłyszał, że gdyby upowszechniono tę informację, mógłby wykorzystać ją przeciwnik.

Stokes pytał jednak dalej. - Czy nie byłoby po prostu właściwiej powiedzieć, że rząd nasz nie odważa się jej podawać?

- Nie. W Berlinie krzyżuje się 12 linii kolejowych o strategicznym znaczeniu, jest to drugi pod względem wielkości port w Europie; w mieście tym znajdują się też zakłady AEG, Siemens, Daimlera-Benz, Focke-Wulfa, Heinkla i Dorniera, i gdybym miał wybrać tylko jeden cel w Niemczech, wybrałbym właśnie Berlin.

- Czy udzielając takiej odpowiedzi, mój czcigodny kolega nie przyznaje, iż rząd stosuje obecnie taktykę bombardowania na oślep, w tym również obszarów mieszkalnych?

- Mój czcigodny kolega jest niepoprawny. Wspomniałem

przecież o serii celów wojskowych kluczowego znaczenia".

Powyższą wymianę zdań przerwał Emanuel Shinwell, który stwierdził, że chciałby pochwalić rząd Jego Królewskiej Mości, który czyni wysiłki, aby jak najszybciej doprowadzić do zakończenia wojny. Debatę parlamentarną zdominował już do końca pogląd, iż wszelkie środki, które mogłyby przyspieszyć ów koniec, są etyczne.

Gdy w pierwszych dniach lutego 1944 roku Kościół, reprezentowany przez biskupa Chichester, doktora Bella, ostro zaprotestował przeciwko bombardowaniom (doktor Bell dowiedział się o tragedii Hamburga, przebywając w neutralnej Szwecji), prasa brytyjska wyszydziła i ośmieszyła ów samotny głos. To niktne oszukiwanie narodu przez jego reprezentantów, dezinformacja przedstawicieli Kościoła, ograniczenia nakładane na prasę były ohydnyymi przejawami władzy totalnej wymuszonej przez totalną wojnę.

ROZDZIAŁ 5

Szablą i pałą

Latem 1944 roku nastąpiła eskalacja nalotów strefowych, tym razem za sprawą niemieckich sił lotniczych. W czerwcu tego roku rozpoczęła się ofensywa na Londyn, prowadzona z użyciem pocisków latających W. Churchill nazwał ją gniewnie bronią „działającą wybitnie na ślepo”, i w tym sensie można ją porównać do nocnych nalotów nękających na Berlin dokonywanych przez Light Night Striking Force Pathfinderów.

Niemiecka ofensywa, choć pociski V nie były pokaźnych rozmiarów, spowodowała natychmiastowe i nieprzewidziane następstwa. Wywołała głęboki rozdzwitek pomiędzy zachodnimi sprzymierzeńcami: premier brytyjski nalegał, żeby w odwecie użyto przeciw niemieckim celom broni gazowej.¹ Pośrednio ofensywa doprowadziła też do osłabienia nalotów na francuskie węzły kolejowe, co stanowiło zasadniczy element działań poprzedzających inwazję w Normandii. 40 procent brytyjskich bomb 1000-funtowych produkowano w zakładach usytuowanych na obszarze Londynu; produkcja ta spadła po rozpoczęciu przez Niemców ofensywy bronią V. Częste alarmy lotnicze przerywały pracę robotnikom, powodując opóźnienia produkcji. Poczynając od maja 1944 roku, wzrosło zapotrzebowanie na takie bomby, które miały być użyte w zalecanych przez profesora Zuckermana nalotach, stanowiących część przygotowań przedinwazyjnych. Obecnie sprzymierzeni nie dysponowali wystarczającą liczbą bomb potrzebnych do atakowania wyrzutni pocisków V-1 i nalotów na miasta niemieckie; do tego drugiego celu niezbędne były bomby elaborowane silniejszymi materiałami wybuchowymi.

Dlatego sir Arthur Harris przyjął z ulgą zawieszenie nalotów na miasta przeciwnika, co nastąpiło jednocześnie z chwilowym podporządkowaniem Bomber Command rozkazom Naczelnego Dowództwa Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych*. Podczas zimowej bitwy o Berlin Luftwaffe zadała jego siłom dotkliw

straty, których kulminacja nastąpiła w nocy z 30 na 31 marca, kiedy z nalotu na Norymbergę nie wróciło 95 z 795 bombowców. Harris przełożył więc na czas nieokreślony wyznaczony przez siebie na 1 kwietnia 1944 roku termin ostatecznej kapitulacji Niemiec.

Latem 1944 roku Bomber Command nie dysponowało odpowiednią logistyką, umożliwiającą przygotowanie ofensywy lotniczej na Niemcy, porównywalnej z nalotami przeprowadzonymi w 1943 roku.

Kiedy w lipcu 1944 roku Churchill, odczuwając boleśnie skutki ofensywy bronią V, naciskał na Bomber Command (wbrew intencjom generała Eisenhowera), żeby dokonać na wybrane miasto niemieckie, konkretnie na Stuttgart, serii ciężkich nalotów, to represyjne przedsięwzięcie nie udało się. Gdy przeprowadzono trzeci i ostatni nalot (we wszystkich trzech oznaczaniem celów zajmowała się grupa 8. pathfinderów), niektóre dywizjony

należące do grupy 3. użyły bomb, które już przed rokiem 1940 przeznaczono do złomowania, na dobitkę elaborowano je przestarzałym materiałem - amatolem 65. W trzech wymienionych nalotach zrzucono w większości niewielkie zwykłe bomby, których przydatność ocenił negatywnie profesor Zuckerman trzy lata wcześniej. Jedyną innowacją było wprowadzenie do użytku znacznej liczby 30-funtowych bomb typu „J”, wypełnionych gazoliną i fosforem, które wybuchały, tworząc 9-metrowy strumień płynnego ognia.

Próba spowodowania, podczas trzech nalotów dotkliwych zniszczeń i strat w Stuttgarcie, podobnych do tych w Hamburgu, zakończyła się totalną kląpą. Obraz miasta na ekranach urządzenia H2S był niewyraźny, zlewały się także kontury poszczególnych elementów topografii - należy pamiętać, że Stuttgart okalały niewysokie wzgórza. Źle zgrano w czasie poszczególne elementy ataku, bomby zrzucano ze zbyt dużym rozrzutem, a znaczniki celów płonęły niezbyt jaskrawo. Jedyne znaczący sukces przyniósł Brytyjczykom nalot w nocy z 24 na 25 lipca 1944 roku, kiedy trafiono w budynek mieszczący salę dowodzenia Korpusu Obserwatorów; zginęło wtedy 8 oficerów i 40 dziewcząt ze służby pomocniczej Luftwaffe. Miarą niepowodzenia pierwszego nalotu była niewielka liczba zabitych; komendant policji podał w swoim raporcie, że zginęło 100 osób, 200 uznano za zaginione i około 10 tysięcy zostało pozbawionych dachu nad głową - wszystko to w następstwie nalotu trwającego 35 minut². Dwa pozostałe naloty przyniosły podobne efekty³.

Jednak sześć tygodni później, w nocy z 12 na 13 września siłami zaledwie 214 Lancasterów RAF-u przeprowadzono, i to przy daleko mniej sprzyjających warunkach pogodowych, nalot, podczas którego bomby zrzucano w tak wielkiej koncentracji, że poczynając od 22.59, przez 32 minuty centralna część miasta została „całkowicie zmieciona z powierzchni ziemi”; zginęło 971 osób, a 1600 zostało rannych. Sukces Brytyjczyków należy przypisać dwóm czynnikom: pierwsze trzy naloty, przeprowadzone gdy obowiązywał zakaz atakowania miast niemieckich bombami burzącymi, zostały poprzedzone działaniami pathfinderów; nalot przeprowadziła 5. grupa bombowa, której piloci stosowali własną taktykę atakowania z niskiej wysokości.

Powodzenie wrześniowego nalotu jako nalotu strefowego - grupa 5. osiągnęła znacznie lepsze rezultaty, dokonując tylko 230 lotów bojowych, niż w lipcu wszystkie samoloty Bomber Command w nalotach na to miasto - zwiastowało ponury los tym niemieckim miastom, które miała dotknąć Strategiczna Ofensywa Bombowa.

Specjalność grupy 5. - oznaczanie celów w sposób dokładny i widoczny - była sprzeczna z doktryną, której rzecznikiem był dowódca pathfinderów Donald Bennett. Wiosną 1944 roku uznał on, że ta metoda oznaczania celów jest niepraktyczna. Gdy rozważano koncepcję „nurkowego” oznaczania Berlina, zaprotestował, utrzymując, że nie jest możliwe zidentyfikowanie na mapie wszystkich szczegółów, lecąc nad gęsto zabudowanymi obszarami miasta, a do tego na niskiej wysokości. Sir Arthur Harris, rozgniewany na Bennetta za przeciwstawianie się zmianom, odebrał mu wyborowe dywizjony 93. i 97. pathfinderów

złożone z bombowców typu Lancaster i przekazał je 6 kwietnia wraz z 627. eskadrą (złożoną z samolotów typu Mosquito) pod rozkazy generała brygady Ralpa Cochrane'a, dowódcy grupy 5. Wszystkie trzy eskadry wykonywały swoje obowiązki podczas pierwszego z trzech nalotów na Drezno w 1945 roku.

Wszystkie też zadebiutowały jako grupa 5. w pierwszym nalocie dokonanym na niemieckie miasto w nocy z 24 na 25 kwietnia 1944 roku z małej wysokości, połączonym ze zrzutem znaczników celu. Tym razem celem było Monachium, godzina „zero” została wyznaczona na 1.45⁴. Lotnicze operacje

dywersyjne w południowej Francji nie zdołały, jak się wydaje, wprowadzić w błąd niemieckiej obrony. Placówki Korpusu Obserwatorów dostrzegły o 23.55 formacje bombowców nadlatujące nad kontynent nad ujściem Sommy i wyznaczyły ich przypuszczalną dalszą trasę; alarm lotniczy ogłoszono o godzinie 00.31, a cztery minuty później wprowadzono „stan zagrożenia 28”. Mieszkańcy miasta mieli pełną godzinę, żeby zejść do schronów, toteż ofiar było niewiele. Baterie przeciwlotnicze otworzyły ogień już o 1.25: do godziny „zero” pozostało jeszcze 20 minut, tak więc ostrzeliwały zapewne samoloty należące do 627. dywizjonu Mosquito, zrzucające „Window” i poprzedzające główne siły pathfinderów.

Podczas gdy siły główne 260 Lancasterów wykonywały ostry skręt nad Francją, kierując się ku południowym Niemcom, a duży nalot dywersyjny na Karlsruhe, zorganizowany w charakterze „przynęty”, odciągał większość niemieckich myśliwców, pułkownik Leonard Cheshire dokonał odważnego lotu nurkowego z niewielkiej wysokości nad silnie bronioną kolejową stacją rozrządową i na około cztery minuty przed godziną „zero” zrzucił czerwony marker w samym środku dworca kolejowego. Trzy pozostałe Mosquito zrzuciły swoje markery mniej więcej jednocześnie, naprowadzane na cel głosowo, przez nadajnik radiowy operujący na falach o wysokiej częstotliwości; metoda ta była nowością w Bomber Command - Niemcy nazwali takiego pilo-ta-koordynatora „Zeremonienmeister”, czyli „mistrz ceremonii”. Główne siły brytyjskie rozpoczęły zrzucanie bomb minutę przed godziną „zero”, operację tę zakończyły 29 minut później. Na miasto spadło ogółem 663 tony bomb zapalających i 490 ton burzących - według późniejszych ocen nie mniej niż 90 procent bomb trafiło w cele⁵.

Nazajutrz o 22.00 policja podała wstępne straty: w Monachium zginęło 30 osób, a 6 zaginęło - później skorygowano tę drugą

liczbę do 136. Straty były nadzwyczaj niskie, jednak poważnie zniszczony został główny urząd pocztowy i dworzec Laim⁶. Wniosek nasuwał się jednoznaczny: naloty nawet na bardzo oddalone cele mogły być nadzwyczaj skuteczne, pod warunkiem doskonałego zgrania w czasie i zgodnego z planem realizowania wszystkich jego elementów, jak również zrzucania bomb na precyzyjnie umieszczone wskaźniki celów.

Pomysł, żeby nad cel wysłać „mistrza ceremonii”, który naprowadzałby załogi bombowców i dodatkowo zachęcał je do efektywnego działania, Bennett zrealizował po raz pierwszy 2 grudnia 1942 roku, kiedy nakazał majorowi Patowi Danielsowi, jednemu ze swoich najlepszych oficerów, przeprowadzenie nalotu na Frankfurt. Jednakże Daniels dysponował jedynie standardowym wyposażeniem radiowym, przeznaczonym do porozumiewania się z załogami samolotów należących do głównych sił. Z powodu niesprzyjającej pogody i zakłóceń w eterze oficer ów ledwie słyszał swój własny głos; wszystkie załogi otrzymały polecenie, żeby prowadzić nasłuch radiowy nad celem, wielu jednak pilotów oświadczyło podczas odprawy po powrocie, że słyszało tylko „pomrukiwanie”⁷. Tamtej nocy żadne bomby nie spadły w obrębie Frankfurtu; jednak w oddalonym o 27 kilometrów na południe Darmstadt zginęło 14 osób.

Eksperyment z „mistrzem ceremonii” został przeprowadzony nieoficjalnie i sir Arthur Harris zabronił Bennettowi powtarzania go. Gdy jednak generał brygady Cochrane, dowódca grupy 5. organizował nalot na zapory wodne na Ruhrze, Harris nie miał nic przeciwko temu, żeby lotnicy porozumiewali się ze sobą za pośrednictwem radia.

Nalot dokonany 29 sierpnia 1944 roku przez grupę 5. na bałtycki port Królewiec stał się wzorcem dla późniejszych nalotów

na Darmstadt, Brunshwick, Heilbronn i ostatecznie Drezno⁸; nalotów, których następstwem były burze ogniowe. Ta grupa bombowa działała wówczas w znacznej mierze jako niezależna jednostka, dysponująca własnymi dywizjonami pathfinderów, własnymi kompaniami wykonującymi loty rozpoznania meteo, własnymi samolotami, z których fotografowano cele po nalotach, lecz - co było zapewne najważniejsze - należały do niej wyłącznie bombowce typu Lancaster. W Bomber Command nazywano ją zawistnie „kłusownikami z Lincolnshire”.

Podczas nalotu na Królewiec grupa ta wypróbowała nową metodę oznaczania celu oraz bombardowania. Gdy dwa Lancastery, należące do formacji pathfinderów, zlokalizowały i oznaczyły punkt celowania: wielką kolejową stację rządową usytuowaną w południowej części miasta, siły główne złożone tylko ze 189 Lancasterów nadleciały nad ów punkt trzema różnymi kursami. Choć pilotom nakazano celować z tego samego wyznaczonego punktu, samoloty miały podchodzić nad cel pod trzema różnymi kątami; wyliczono też dla nich trzy odrębne czasy opóźnienia, mające zrekompensować zbyt dalekie zrzućenie bomb. W rezultacie, po zaledwie jednym udanym nalocie pathfinderów, uzyskano trzy różne punkty celowania, co było nie bez znaczenia, jeśli cel miał tak silną obronę przeciwlotniczą jak Królewiec. Kolejny zysk polegał na tym, że punkt oznaczania celu mógł być usytuowany po nawietrznej obszarze celu właściwego, dlatego też nie zasnuwały go dymy ani nie przysłały oślepiające płomienie eksplozji bomb zapalających.

Nalot zakończył się tragicznie dla tego starożytnego miasta, miejsca zamieszkania i pochówku filozofa Immanuela Kanta. Ustalono, że godziną „zero” będzie 1.07, upłynęło jednak 20 minut nim „mistrz ceremonii”, którym był podpułkownik J. Woodroffe, uznał, że cel oznaczony został prawidłowo. Pomimo chmur zalegających na niskim pułapie nad celem (czego nie przewidziano), ostatnie dwa markery spadły w odległości około 400 metrów od zaznaczonego na stacji rządowej punktu. Woodroffe wezwał wtedy pozostałe samoloty grupy 5. do ataku. Choć jeden Lancaster zabierał niewielki ładunek bomb (z uwagi na to, że lot nad cel trwał 11 godzin i 20 minut), na miasto zrzucono ich 480 ton, z czego 345 ton niewielkich bomb zapalających i szczególnie skutecznych bomb 4-funtowych elaborowanych termitem⁹. Instrukcje udzielane przez „mistrza ceremonii” były wyraźne i zwięzłe, toteż o godzinie 1.52, gdy spadły ostatnie bomby, zostało zniszczonych 1,7 kilometra kwadratowego z 3,3 kilometra kwadratowego zabudowanego terenu: 134 tysięcy osób straciło domy, zniszczeniu uległo też 21 procent budynków przemysłowych.

Harris, nazywany pieszczotliwie przez swoich pilotów „rzeź-nikiem”, udoskonalał technikę walki. Gdy dwa tygodnie później, 11 grudnia 1944 roku, grupa 5. przygotowywała nalot na Darmstadt, doprowadził do jeszcze większej perfekcji technikę „offset bombing”. Miasto przedstawiało trudny cel, ponieważ tereny przemysłowe były rozrzucone na obrzeżach rozległej strefy mieszkaniowej; rozproszenie bomb wokół głównego punktu celowania i oczekiwanie - co stanowiło zwykłą praktykę grupy pathfinderów - że zniszczenia, jakich doznają te osiedla, dotkną jednocześnie przedmieścia przemysłowe, doprowadziłoby jednak do rozproszenia potencjału głównych sił, co było niedopuszczalne, zważywszy na małą liczbę samolotów. Darmstadt było zatem celem odpowiednim do „nalotu liniowego”, którego technikę rozwinął generał brygady Cochrane. Na zachodnich krańcach miasta znajdował się rozległy i doskonale widoczny plac ćwiczeń kawalerii; usytuowany na kredowym podłożu, z lotu ptaka widoczny był jako biała plama. Ów plac miał posłużyć za punkt oznaczenia celu. 627. Dywizjon, którego dewiza brzmiała: „Od pierwszego wejrzenia” i którego piloci od czasu nalotu na Monachium wyróżniali się śmiałymi lotami na małej wysokości

do wizualnego oznaczania celów, dostarczył 14 Mosquito o drewnianych, pomalowanych na czerwono kadłubach, które miały służyć zarówno do oznaczania celów, jak też do indywidualnych ataków bombowych przeprowadzanych lotem nurkowym na pojedyncze oddalone obiekty przemysłowe, na przykład zakłady IG Farben. „Mistrzem ceremonii” mianowano ponownie podpułkownika Woodroffe'a.

O 22.25 syreny w Darmstadt ogłosiły alarm lotniczy dla mieszkańców miasta. Za pośrednictwem sieci radiofonii przewodowej Drahtfunk przekazano komunikat ostrzegawczy: „Formacje ciężkich nieprzyjacielskich bombowców zbliżają się od Oppenheim - wschód i Heidelbergu - północ. Najwyższe zagrożenie dla Darmstadt”. O 23.25 syreny obwieściły *Fliegeralarm* -pełny alarm. Dwadzieścia minut później zaczęły spadać na miasto pierwsze bomby. Posterunki obserwacyjne służby przeciwpo-żarnej zameldowały, że najwyraźniej nie ma jednego określonego celu nalotu. Tak też było. Siły brytyjskie, liczące tym razem 240 Lancasterów, zostały podzielone: lotnikom polecono nadlatywać nad wyraźnie oznaczony plac kawaleryjski z dwóch różnych kierunków, każdemu dywizjonowi przypisano odległość zrzutu bomb poza cel określony znacznikami. Zamierzano bowiem osiągnąć efekt w postaci dwóch „szpalerów bombowych” szerokości 8 kilometrów, przemieszczających się w kierunku wschodnim miasta, niszczących jego część administracyjną oraz dzielnice mieszkalne. W nalocie uczestniczyły ogółem 234 Lancastery, które przez 40 minut zrzuciły 872 tony bomb, w tym 286 tysięcy zapalających bomb termitowych oraz blisko 200 „blockbu-sterów” o wadze 4000 funtów. Choć lewy szpaler bomb zoczył nieco z przewidzianego kierunku, nalot wyrządził straszliwe zniszczenia. Nie upłynęła nawet godzina, a rozpętała się trzecia w Niemczech burza ogniowa.

Raport komendanta miejskiej policji również i w tym wypadku zawiera najlepszy opis przebiegu i skutków nalotu, który różnił się od poprzednich tym, że dokonano masowego i skupionego bombardowania. Burza ogniowa, która rozpoczęła się o godzinę później, pochłonęła całe wewnętrzne miasto: w rezultacie w płomieniach stanęły budynki, które zostały tylko lekko zniszczone falą uderzeniową powstającą na skutek wybuchów bomb. Wykluczone było natychmiastowe rozpoczęcie akcji ratowniczej, gdyż ulice i place zostały zablokowane. Nasączenie drewnianych konstrukcji dachowych wapnem gaszonym, co w Kassel zapobiegło rozprzestrzenianiu się burzy ogniowej, tutaj nie spełniło zadania, ponieważ wykonano zaledwie 40 procent prac zabezpieczających. Potężne fale podmuchu oraz fale powstałe na skutek wsysania powietrza przez słup ognia wyrzywały w budynkach drzwi i okna, toteż pożar obejmował wszystkie kondygnacje. W następstwie tego zjawiska budynki płonęły od dachów w dół, lecz także od parteru w górę.

Około 14.00 szalejący na ulicach „tajfun ogniowy” - czytamy w raporcie komendanta policji - przewyższał dziesięć, a nawet dwunastokrotnie siłę huraganu; poruszanie się na otwartej przestrzeni nie było możliwe. Tajfun lekko zelżał dopiero około 4.00 rano. W rezultacie uniemożliwiło to ratowanie nieszczęśników, którzy zostali uwięzieni na tym obszarze. Ze stojącego na boczniczy kolejowej na południe od centrum miasta pociągu amunicyjnego strzelały w niebo słupy eksplozji, co odstraszało ludzi od opuszczenia schronów, gdy był jeszcze na to czas; sądzili oni, że nalot wciąż trwa. Pierwsze ekipy ratownicze z sąsiednich miast i wsi dotarły niebawem do Darmstadt, a grupy obrony cywilnej weszły do miasta pomiędzy 4.00 a 6.00 rano.

Przez cztery pierwsze dni po burzy ogniowej oprócz drużyn lokalnej SHD (służb pożarniczych i medycznych, liczących

około 450 osób) oraz jednostek Technische Nothilfe (służby technicznej) w operacjach ratowniczych uczestniczyło około 5000 ludzi. Gdy spod gruzów już wydobyto ostatnich ocalałych mieszkańców, oddziały te zmniejszono do 300 osób¹⁰.

Na skutek nalotu zostało całkowicie zniszczone całe wewnętrzne Darmstadt. Spustoszenia sięgały 75 procent, nawet przy uwzględnieniu mniej zniszczonych przedmieść Arheilgen

1 Eberstadt zniszczeniu uległo 52,4 procent substancji miasta. Specjaliści z British Bombing Survey, być może bardziej obiektywni niż ich amerykańscy odpowiednicy, ocenili na podstawie zdjęć, że zniszczono 69 procent obszaru zabudowanego albo 2 kilometry kwadratowe z 3 kilometrów kwadratowych jego powierzchni. W mieście liczącym 115 200 mieszkańców zostało zniszczonych 21 487 domów, co spowodowało, iż 70 tysięcy ludzi straciło dach nad głową. Na obszarze Starego Miasta łatwiej było zliczyć budynki, które ocalały, niż te, które zburzono. Ocalały: więzienie, w którym zainstalowano błękitne oświetlenie („żeby uchronić je od nalotów”), tawerna „Pod koroną”, sąsiadująca z nią masarnia, nieco od niej oddalony dom architekta oraz tylne zabudowania katolickiej świątyni pod wezwaniem św. Ludwika. Ponieważ Darmstadt należało do drugiej strefy pod względem środków zapobiegawczych przeciw nalotom (LS-Ort 2. Ordnung), rząd niemiecki nie przydzielił mu pieniędzy na budowę odpowiednich schronów przeciwlotniczych, wzniesiono jedynie budynki o mniejszym znaczeniu, w tym trzy ośrodki ratownicze oraz 54 publiczne ośrodki schronienia przed nalotami.

Pozbawieni praktycznie wszelkiej ochrony obywatele Darmstadt ucierpieli zatem znacznie bardziej aniżeli mieszkańcy Kassel i niebawem Brunzswiku. W mieście zginęły tysiące ludzi, w około 90 procentach przypadków wskutek uduszenia albo spalenia żywcem, co dotyczyło nawet osób przebywających w schronach, które przetrwały nalot. Jeśli chodzi o straty, jakie burza ogniowa spowodowała w pozbawionej schronów katolickiej parafii św. Ludwika, najlepiej przytoczyć notatkę z kroniki parafialnej: „Spośród sześciu tysięcy dusz w naszej parafii, po nocy, kiedy to przeprowadzono nalot, pozostało zaledwie sto dwadzieścia”.

Komendant policji określił początkowo liczbę zabitych na 5500, spośród których 1800 (czyli 32,7 procent) nie można było zidentyfikować z uwagi na „doszczętne spalenie” zwłok. „Uwzględniając rozmiary katastrofy, można założyć, że ostateczna liczba ofiar znacznie wzrośnie - podkreślał - zwłaszcza że aż 4500 osób zgłoszono jako zaginione”. Komendant przewidywał, że ogólna liczba zaginionych wzrośnie, ponieważ „zginęły całe rodziny, których zniknięcie nie zostanie nigdzie odnotowane”. Ostatecznie liczba zabitych w nalocie sięgnęła 12 300¹². Według powojennych ocen „United States Bombing Survey”, który notorycznie *zanizal* efekty operacji bombowych prowadzonych przez RAF, zginęło tylko 8500 osób.

Przez cztery dni wydobywanie spod ruin ofiar nastęczało wielu trudności, ponieważ w nalocie zostały zniszczone wszystkie pojazdy w mieście. Sytuacja uległa poprawie dopiero po przybyciu do Darmstad jednostki transportowej wchodzącej w skład Speer Organisation. Członkowie ekip ratowniczych ujrzeli w Darmstadt widoki dobrze im znane z Hamburga i Kassel. Ulice zalegały stosy obnażonych, wzdętych trupów, których skóra przybrała jaskrawy kolor, oraz zwęglonych przedmiotów długości około 90 centymetrów, przypominających polana - które były niegdyś ludźmi. Przy Sand-Strasse zwłoki jednej z ofiar nalotu leżały przez dwa dni; nikt nie mógł rozpoznać, czy są to zwłoki mężczyzny, czy kobiety. Nieszczęśnik ów, zaskoczony niespodziewanym podmuchem płomiennego tajfunu potężnej mocy, teraz był tylko zwęglonym, złamanym w pół kształtem o wygiętym grzbiecie, wspartym o ziemię kikutami rąk i nóg. Zwłok było tak dużo, że usunięto je dopiero po upływie kilkunastu dni¹³.

Ludzie przywozili na cmentarz zwłoki swoich najbliższych i krewnych w małych wannach lub w podobnych pojemnikach - chowali je sami, albowiem nie było ani trumien, ani grabarzy. Identyfikacja

ciał przysparzała znacznych kłopotów. Jednemu z mieszkańców zaginęła siostra wraz ze swoją małą córeczką. Cztery tygodnie później, czując w ruinach swojego domu przy Elizabethen-Strasse odór rozkładających się ciał, odkopał wejście do podziemia, po czym przypomniał sobie, że pod nim istnieje piwnica, w której przechowywał zapasy wina. U wejścia odnalazł zwłoki kobiety trzymającej koszyk, w którym znajdowały się szczątki dziecka. W piwnicy stała 30-centymetrowa warstwa zielonkawożółtego wina pochodzącego z butelek, które popękały pod wpływem gorąca. Spoczywało w nim kilka dość dobrze zachowanych w alkoholu zwłok - mężczyzna rozpoznał między innymi ciało syna, który miał na sobie kraciatą koszulę, a w kieszeni książeczkę żołdu. Obok leżał trup jego czteroletniego synka, w narożniku pomieszczenia zaś zwłoki krawca mieszkającego na daigim piętrze, którego rozpoznano po napastrku. 24 września 1944 roku rzymskokatolicki biskup Mainzu odprawił nabożeństwo żałobne za 12 300 poległych obywateli Darmstadt, którzy zginęli w czterdziestominutowym nalocie, jaki przeprowadziła na ich miasto grupa 5.

Podczas nalotu na położone nad Morzem Północnym Bremerhaven, dokonanego w nocy z 18 na 19 września 1944 roku, technika „nalotu liniowego”, specjalność grupy 5. została zmodyfikowana, odpowiednio do tego rozciągniętego na dużej przestrzeni portu, 13 kilometrów wzdłuż wschodniego ujścia Wezery. W tym wypadku sytuacja przypominała okoliczności ataku na Wuppertal. Grupa pathfinderów mogłaby wykorzystać w pewnej mierze „odpelzanie”, jednak „nalot liniowy” stosowany przez grupę 5. stanowił pewniejszy sposób zniszczenia całego miasta.

Tym razem bomby zrzucono na pięć punktów celowania, ale tak jak poprzednio tylko jeden punkt znajdujący się w północnej części miasta został oznaczony za pomocą znacznika; godzina „zero” przypadała na 21.00, a już dwie minuty wcześniej „mistrz ceremonii” przekazał przez radio głównym siłom Lancasterów polecenie: „nadlatujcie i bombardujcie”. Dzięki temu bombowce, które rozrzuciły teraz „Window” z natężeniem pięć wiązek na minutę (znacznie większym niż 13 miesięcy wcześniej nad Hamburgiem, kiedy obliczono, że wystarczy mniejsza liczba pasków folii), już nie musiały krążyć wokół silnie bronionego obszaru portu. Podczas nalotu stracono tylko dwa samoloty (w tym Mosquito), a 208 maszyn spośród 213, które wystartowały, zrzuciło 863 tony bomb - w tym nie mniej niż 420 tysięcy niewielkich bomb termitowych - z bardzo małym rozrzutem. Na podstawie analizy fotografii wykonanych po nalocie przez samoloty zwiadowcze, specjaliści z British Bombing Survey obliczyli, że z ogólnej powierzchni 1,5 kilometra kwadratowego obszaru zabudowanego całkowicie zniszczono 1,2 kilometra kwadratowego, czyli 80 procent. Wtedy po raz pierwszy i ostatni Bomber Command skierowało działania przeciwko portowi. Grupa 5. szybko doskonaliła swoją taktykę.

Być może dziwi, że nalotom tym, należącym przecież do najbardziej skutecznych, jakie przeprowadzało Bomber Command, brytyjskie oficjalne kroniki Strategicznej Ofensywy Bombowej poświęciły tak niewiele uwagi. Generał brygady Bennett, dowódca pathfinderów, skwitował w swoich wspomnieniach wszystkie te naloty jednym zdaniem: „Do końca 1944 roku grupa 5. dołączała niekiedy do pozostałych sił dowództwa w operacjach oznaczania celów, poza tym jednak atakowała samodzielnie wiele różnorodnych niewielkich celów, z których większość była

stosunkowo słabo broniona, na przykład [...] Darmstadt, Królewiec, Heilbronn”. Bennett przyznał również, że grupa Cochrane'a „wyjechała” dwukrotnie nad Brunzwik. Tym sposobem odmówił większego znaczenia trzem nalotom dokonany przez jego rywala, grupę 5., w których zginęło ponad 24 tysiące cywilów kosztem tylko 670 lotów bojowych.

Choć w nalocie w nocy z 14 na 15 października 1944 roku na Brunzwik zginęło niewielu

mieszkańców tego miasta, bo tylko 561, nalot ów miał wielkie znaczenie dla przygotowania nalotów na Drezno, dokonanych cztery miesiące później. Nad Brunszwikiem grupa 5. po raz pierwszy zastosowała bowiem wypracowaną przez siebie technikę „nalotu sektorowego”, którą posłużono się również w pierwszym nalocie, 13 lutego¹⁴, na Drezno. Jak wyjaśnił przed nalotem dowódcom baz i jednostek lotniczych generał brygady Cochrane (użył do tego celu, według zwyczaju panującego w jego grupie, systemu głośników), chodziło o zrzućenie na każdy metr kwadratowy obszaru celu równej pod względem wagowym liczby bomb; przewidywano, że na skutek takiego działania szybko wybuchną pożary, które rozprzestrzenia się w takim stopniu, iż nikt ich nie zdoła opanować. Powyższa technika stanowiła rozwinięcie techniki „nalotu liniowego”. Zamiast tworzyć szpalery wybuchających bomb przy trzech albo pięciu liniach celowania oraz zróżnicowaniu odległości rzucenia bomb od celu, podczas nalotu na Brunzwik każdy z 233 Lancasterów atakował z innego kierunku jeden oznaczony cel, zrzucając bomby w ten sposób, żeby spadały coraz dalej od tego punktu w ustalonej, rosnącej odległości. W ten sposób w centrum miasta można było zniszczyć równomiernie obszar w kształcie wachlarza. Punkt oznaczenia usytuowano na południu Brunszwiku, a formacje atakujące nadlatywały promieniście mniej więcej z kierunku pomocnego.

Godzinę „zero” wyznaczono na 2.30. *Znaczna część* głównych sił dysponowała, tak jak poprzednio, bombami „J”, których Bomber Command miało, jak się wydaje, nieograniczoną liczbę. O 3.10 na obszarze między Rynkiem Wełny, Lange-Strasse oraz Weberstrasse rozpętała się burza ogniowa o średnim natężeniu. Trąba powietrzna wysysała lekkie meble, stoły i krzesła; wiry powietrzne wzbijały tumany pyłu i przesuwał się ulicami, pchały przed sobą snopy iskier i *żarzące* się węgle. Pożar objął całą wewnętrzną część miasta, z wyjątkiem niewielkich obszarów wokół Dworca Głównego, Ratusza i Bramy Księcia Augusta Młodszego. W tej części miasta wybudowano sześć wielkich bunkrów przeciwlotniczych i dwa schrony publiczne, w których zostało uwięzionych 23 tysiące osób.

W wyniku nalotu uległa zniszczeniu sieć telefoniczna. Gońcy na motocyklach nie działali wystarczająco sprawnie. Miejska straż pożarna przystąpiła do akcji w różnych częściach miasta, lecz dopiero około 6.00 zdołano zgromadzić wystarczającą liczebnie i dobrze wyposażoną drużynę przeciwogniową, które mogły zaryzykować zastosowanie niebezpiecznej i nieczęsto praktykowanej metody „alei wodnej”, która dawała jedyną szansę uratowania tysięcy osób uwięzionych w centrum obszaru ogarniętego burzą ogniową. Grupa strażaków wyposażonych w węże, którymi tłoczono wodę pod wysokim ciśnieniem, podeszła jak najbliższej ośrodku burzy ogniowej (chroniona nieustannie stawianą kurtyną wodną). Czoło i boki tej „alei obficie zraszano strumieniami wody”, uzyskanie odpowiedniego jej ciśnienia było jednak bardzo trudne, toteż ciśnienie w węzłach wzmacniono, stosując pompy wspomagające. Przez cały czas akcji przenośne pompy oraz węże były zagrożone uszkodzeniem przez walące się domy i wysoką temperaturę.

Wreszcie o 7.00, cztery i pół godziny od rozpoczęcia nalotu udało się dotrzeć do bunkrów. Po odryglowaniu gazoszczelnych

drzwi ekipy ratownicze usłyszały, jak „wiele osób mówi cicho, lecz nerwowo”. Wszyscy znajdujący się wewnątrz przeżyli. Ewakuację 23 tysięcy osób przeprowadzono bez ofiar; sformowały one szereg w „alei wodnej”, idąc ku bezpiecznej strefie, znajdującej się poza zasięgiem burzy ogniowej. Takie epizody były niczym wygrane bitwy, z tą jednak różnicą, że nie uczestniczyli w nich odważni żołnierze, doświadczeni w setkach bitew, tylko zwykli obywatele, starsi wiekiem, inwalidzi oraz dzieci, które podobny koszmar przeżyły tylko raz w życiu.

Jednakże niosący ratunek nie zawsze wygrywali: ze schronu przeciwlotniczego przy Schóppenstedter-Strasse wydobyto 104 osoby, ale zdołano reanimować zaledwie dziewięć. Tak jak to wcześniej często bywało, choć schron nie został uszkodzony, znajdujący się w nim ludzie umarli śmiercią, jaką niosła burza ogniowa - wskutek uduszenia. Niemniej jednak, dzięki odpowiednio rozbudowanym działaniom zapobiegawczym, podjętym przez jednostki obrony cywilnej, a także dzięki odwadze strażaków

Brunszwik uniknął wielkiej tragedii.

W ciągu trwającego 40 minut „ataku sektorowego” grupa 5. zrzuciła na miasto 847 ton bomb. Spośród 202 tysięcy mieszkańców dachu nad głową zostało pozbawionych 80 tysięcy; Brytyjczycy zniszczyli też 2,6 kilometra kwadratowego z 5,7 kilometra kwadratowego terenów zabudowanych. Zburzona została gazownia, elektrownia, zniszczeniu uległa sieć wodociągowa, telefoniczna oraz system komunikacji tramwajowej i kolejowej. Zniszczenia były tak rozległe, że choć w nalocie uczestniczyły samoloty należące tylko do jednej grupy bombowej, władze miasta utrzymywały, że Brunszwik bombardowało ponad tysiąc maszyn. Ugaszenie wszystkich pożarów trwało kilka dni; dymy-strażackie musiały nieustannie przerywać akcję i schodzić do schronów z powodu powtarzających się alarmów lotniczych. W wielu wypadkach już niemal opanowane pożary wybuchały ponownie z taką samą siłą. Ostatni strażacy powrócili do swoich miast dopiero 20 października. W prowadzonej w mieście kronice nalotów czytamy, co następuje: „Nawet ten ciężki przemysł w Brunszwiku, który nie doznał poważnego uszczerbku podczas nalotu, został w bardzo poważnym stopniu osłabiony z powodu strat wśród personelu; ludzie albo zginęli, albo też byli zbyt zaabsorbowani codzienną walką o przetrwanie i nie zgłaszali się do pracy”. Powyższe słowa w największym stopniu potwierdzają słuszność teorii nalotów strefowych; niestety, nie we wszystkich tego typu nalotach zginęło cudownym zrządzeniem losu tak niewielu cywilów jak w tym mieście.

Oprócz nalotu na Brunszwik bomby „J” wywołały duże pożary tylko w nalocie przeprowadzonym przez RAF 4 grudnia na Heilbronn; zginęło wtedy 7027 osób spośród liczącej 77 569 osób ludności miasta. Zastosowano tam tę samą technikę ataku sektorowego, rozwiniętą przez generała brygady Cochrane'a i jego dowódcę bazy, komodora powietrznego H. V. Satterleya. Punktem oznaczenia była kolejowa stacja rozrządowa o rozwidlonym kształcie. Przygotowaniem i przeprowadzeniem ataku na Drezno miał zajmować się ten sam „mistrz ceremonii” wraz ze swoim zastępcą, dowódcą grupy oznaczającej cele, co źle wróżyło miastu.

Nocą z 14 na 15 października 1944 roku przeprowadzono nie tylko niszczący nalot na Brunszwik, który był próbą generalną przed nalotem na Drezno. Tej samej nocy Brytyjczycy wykonali 2068 lotów bojowych na Duisburg, zadając temu miastu potężny cios. Zastosowano wtedy inną technikę nalotu, która cztery miesiące później miała przynieść kres Dreznu¹⁵. Pierwsze uderzenie spadło na miasto po południu, kiedy nalotu dokonało ponad tysiąc bombardowców. W środku nocy wszystkie siły, wyjąwszy

grupę 5. atakującą Brunszwik, powróciły nad ów port nad Ruhrą, żeby zadać mu miazdzący cios. Ponieważ pomiędzy pierwszym i drugim nalotem upłynęło kilka godzin, gdy bombardowcy nadleciały po raz drugi, niemieckie myśliwce nocne uzupełniały na lotniskach paliwo. W nalocie zginęło 1521 osób, a 746 zginęło; wśród zabitych było 183 jeńców wojennych oraz cudzoziemskich robotników.

Tak oto wszystko zostało przygotowane do nalotów strefowych, które przeprowadzono w lutym 1945 roku na miasta; nalotów, których zwieńczeniem była tragedia Drezna. Opinia publiczna gorliwie urabiana oficjalnymi oświadczeniami rządu, dotyczącymi strategii bombardowań, przestała już potępiać naloty o tak rozległej skali. Sir Arthur Harris rozporządzał teraz bronią powietrzną o dalekim zasięgu, której można było użyć przeciwko tak odległym celom jak Drezno - z nadzwyczajną dokładnością i siłą. Podczas gdy grupa 5., by użyć obrazowego porównania, doskonaliła szablę „nalotu sektorowego”, Bomber Command obciosywało pałkę służącą do wymierzania potrójnych ciosów.

Tło historyczne

ROZDZIAŁ 6

Drezno, cel dziewiczy

Pod koniec 1944 roku przywódcy alianccy zaczęli rozważać możliwość przeprowadzenia nalotu na Drezno. W październiku szef sztabu brytyjskiego lotnictwa zasugerował, żeby zwrócić się o to do Rosjan, choć z opublikowanych materiałów źródłowych nie wynika, czy chodziło o to miasto, czy też o pobliskie zakłady paliw syntetycznych w Ruhland. Zazwyczaj bowiem utożsamiano wtedy zakłady z Dreznem - i odwrotnie. W efekcie przypisano stolicy Saksonii duże znaczenie strategiczne, uznając ją za miasto wielkoprzemysłowe, którym w istocie rzeczy nie była. Pomimo wielu próśb składanych przez brytyjską misję wojskową w Moskwie, radzieckie lotnictwo nie podjęło żadnych działań¹.

Na liście celów lotniczych sporządzonej 6 listopada 1944 roku przez Combined Strategic Targets Committee (SSTC)² Drezno nie figurowało. Zajmowało ono jednak pozycję nr 8 na liście 11 celów położonych na wschód od południka 10, które 22 listopada komitet ów uznał za odpowiednie do nalotów strefowych; nawiasem mówiąc, 7 z 11 celów określono jako „elementy

systemu transportowego w Niemczech", wśród nich nie było jednak Drezna³.

Pomimo iż poczynając od roku 1940 Drezno wymieniano niekiedy we wstępnych wersjach dyrektyw, miasto to doświadczyło pierwszego nalotu dopiero w październiku 1944 roku 7 tego miesiąca o godzinie 12.36 podczas nalotu na rafinerię w Ruthland około 30 amerykańskich bombowców zaatakowało dzielnice przemysłowe Drezna jako cel wtórny⁴. Gdy o 13.27 syreny w mieście obwieściły odwołanie alarmu, zachodnie przedmieścia: Dresden-Friedrichstadt i Dresden-Lößtau były poważnie zniszczone⁵. Martin Mutschmann, gauleiter Saksonii, napisał w raporcie przekazanym Kancelarii Rzeszy, że bomby zniszczyły „w stopniu od średniego aż po ciężki” obszary mieszkalne znajdujące się w centrum miasta pomiędzy placem Pocztowym a dworcem kolejowym Wettiner; dwa zakłady przemysłowe doznały lżejszych zniszczeń, kontynuował Mutschmann, a zabytki miasta i budynki mieszczące instytucje kulturalne nie ucierpiały⁶.

Nalot ów stał się lokalną sensacją; przedsiębiorczy uczniowie zbierali starannie odłamki bomb i

sprzedawali je w charakterze souvenirów, właściciele autobusów zaś organizowali specjalne wycieczki do zbombardowanych dzielnic, bo też nic takiego Dreżna nigdy wcześniej nie spotkało. Było 435 ofiar, w większości francuskich i belgijskich robotników zatrudnionych w niewielkich fabrykach Seidel & Naumann oraz Hartwig & Yogel. Poległo wielu członków Arbeitskommandes (służba pracy), złożonych z alianckich jeńców wojennych zatrudnionych na kolejowych stacjach rozrządowych; w jednej z takich grup zginęła pewna liczba Amerykanów, których zastąpiono innymi jeńcami. Kilka grup dotychczas bezczynnych zaangażowano do działań ratowniczych.

Mimo że atak zwiastował groźne wydarzenia, mieszkańcy byli zgodni, że nalot stanowił następstwo jakiejś pechowej po-
myłki przeoczenia nawigatora bombowca, a ów wcześniej zadany cios nie zachwiał niewzruszonej wiary dreźdeńców, że ich miasto nie zostanie zbombardowane.

Warunki życia setek brytyjskich jeńców wojennych przebywających w Dreźnie i wokół tego miasta podczas tygodni poprzedzających horror z lutego 1945 roku były więcej niż znośne. Mieszkańcy znali Anglików jeszcze przed wojną, a wielu zaprzyjaźniło się z jeńcami - których liczna grupa należąca do 1. Dywizji Powietrzno-Desantowej została pojmana pod Arnhem. „Tutejsi Niemcy to najlepsi ludzie, jakich kiedykolwiek poznałem - napisał w Boże Narodzenie 1944 roku jeden z żołnierzy wziętych do niewoli pod Anzio - komendant jest dżentelmenem i mamy wyjątkową swobodę w poruszaniu się po mieście. Nasz feldwebel pokazał mi już centrum. Bezsprzecznie jest ono piękne - chciałbym zobaczyć więcej". O tak, wydawało się, że wojna trwa gdzieś bardzo daleko.

W Dreźnie nie było zakładów wielkiego przemysłu, tak jak w Essen i w Hamburgu, pomimo iż zajmowało ono porównywalny obszar, toteż w czasach pokoju dochodów dostarczały miastu teatry, muzea, instytucje kulturalne oraz placówki przemysłu terenowego. Nawet pod koniec 1944 roku byłoby trudno wyróżnić jakiś zakład o kluczowej roli dla gospodarki Niemiec, wyjąwszy położoną 43 kilometry na północ rafinerię w Ruhland. Według informacji amerykańskiego Office of Strategic Services (OSS) w Dreźnie znajdowało się przynajmniej 110 fabryk oraz przedsiębiorstw przemysłowych, między innymi: rozproszone zakłady produkujące części do samolotów, fabryka gazów bojowych (Chemische Fabrik Goye & Co), fabryka dział przeciwlotniczych i polowych (Lehman), duże zakłady optyczne (Zeiss-Ikon), zakłady produkujące wyposażenie elektryczne i rentgenowskie (Koch

& Sterzel), fabryka broni strzeleckiej (Seidel & Naumann), fabryka przekładni (Sachsenwerke), zakłady produkujące elektryczne przyrządy pomiarowe (Gebriider Bassler)⁷.

Była to jednak niecała prawda. Na przedmieściu Dresden--Striesen, około 5 kilometrów od centrum miasta, Zeiss-Ikon miał fabrykę instrumentów optycznych; przy Freiburger-Strasse znajdowały się Siemens-Glas AG, zakłady produkujące około 50 tysięcy masek gazowych tygodniowo; w Dresden-Niedersedlitz usytuowano dwa zakłady Sachsenwerk, zatrudniające około 500 osób przy produkcji części do aparatury radiolokacyjnej oraz innych urządzeń elektrycznych, montowanych później w zakładach AEG w Berlinie. Zakłady Zeiss-Ikon Goehlewerk znajdowały się przy Grossenheimer-Strasse, długiej trasie prowadzącej z Dresden-Neustadt na północ. Fabryka wzniesiona w 1941 roku z mocnego żelbetonu, zaopatrzona w okna odporne na podmuch eksplozji bomb oraz inne podobne zabezpieczenia, zatrudniała w dniu nalotów 1500 osób przy produkcji zapalników do pocisków przeciwlotniczych używanych przez marynarkę wojenną. W Dresden-Friedrichstadt znajdowały się dwie duże fabryki pokrywające w znacznej części zapotrzebowanie Niemiec na papierosy.

Na obszarze całego miasta istniało poza tym wiele niewielkich przedsiębiorstw, produkujących liczny asortyment wyrobów precyzyjnych, a niekiedy części składowe przeznaczone dla przemysłu

zbrojeniowego, na przykład w usytuowanym przy Kesseldorfer-Strasse dwupiętrowym budynku firmy Glashutte -znanej wcześniej ze swoich zegarów i zegarków ręcznych - około 500 osób montowało zapalniki. Położony na pomoc od centrum miasta arsenał, o którego znaczeniu często wspomniano w biuletynach wydawanych przez brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa (choć w żadnym z cotygodniowych przeglądów publikowanych przez Bomber Command nigdy nie poświęcono mu ani

słowa), był nim istotnie podczas I wojny światowej, przed podpisaniem traktatu wersalskiego, jednak 26 grudnia 1916 roku został doszczętnie zniszczony w czasie niewielkiego pożaru, który spowodował eksplozję pociągu amunicyjnego. W roku 1939 pozostała już tylko nazwa. Na terenie, na którym znajdował się kiedyś arsenał, rozpoczęły działalność zakłady produkujące blaszane pojemniki, puder dziecięcy, pastę do zębów i, prawdopodobnie, celowniki bombowe oraz lotnicze urządzenia nawigacyjne. Wyjąwszy większe zakłady tytoniowe i optyczne, pozostały przemysł Drezna był bardzo różnorodny: w mieście znajdowała się zatem fabryka obudów do radiodbiorników, fabryka mydła w Niedersedlitz, kilka browarów oraz dwie niewielkie firmy produkujące części składowe do lotniczych silników Junkersa, a także kadłubów i kabin samolotowych, dostarczane następnie do zakładów Messerschmitta w Augsburgu. W Politechnice Drezdeńskiej poddawano badaniom dysze wtryskarek paliwa zainstalowane w pociskach V-2. Żadna z tych placówek, co należy zaznaczyć w kontekście wypadków, o których będzie mowa, nie znajdowała się w odległości 5 kilometrów od centrum miasta ani na obszarze wyznaczonym jako cel brytyjskim pilotom, którzy dokonali dwóch niszczących nocnych nalotów.

Drezno nie było również żadną miarą miastem otwartym. Pewien historyk z amerykańskich sił lotniczych po wnikliwych studiach prasy niemieckiej oraz wydawanej w państwach sprzymierzonych ustalił (dla własnej satysfakcji), że poza tym, iż Drezno stanowiło ważne ogniwo sieci transportowej Niemiec, był również „cały wachlarz” innych przyczyn, które zadecydowały, że stało się głównym celem o znaczeniu militarnym i zostało, w dobrej wierze, „uznane za taki przez niemieckie władze wojskowe i cywilne”.

Drezno było również kluczowym ogniwem w niemieckim systemie pocztowym i telegraficznym; bezsprzecznie zniszczenie

infrastruktury pocztowej w tym mieście znacznie utrudniłoby łączność z frontem wschodnim. Z uwagi na wzmożony ruch, stały personel w głównym urzędzie pocztowo-telegraficznym w centrum miasta został wzmocniony kilkuset ludźmi ze Służby Pracy Rzeszy oraz Wojennej Służby Pomocniczej; do służby na pocztach przydzielono też setki brytyjskich jeńców wojennych, zatrudnianych w systemie zmianowym w barakach pocztowych (znajdujących się niedaleko dworca towarowego przy Rosenstrasse) przy rozładowywaniu worków i sortowaniu przesyłek.

Jednak gdy dokonywano nalotów, strategiczne znaczenie Drezna było mniej niż marginalne i należy wątpić, czy w tamtym okresie wojny mogłoby ono stać się drugim Wrocławiem; dopiero 14 kwietnia 1945 roku gauleiter Mutschmann oficjalnie ogłosił je twierdzą.

Drezno miało wcześniej pewne znaczenie jako ośrodek kierowania operacjami wojsk lądowych oraz - nieco później - lotniczymi. W roku 1935 usytuowano tu siedzibę dowództwa Luftkreis III, z której pułkownik Bogatsch, szef obrony przeciwlotniczej w Saksonii, dowodził jednostkami artylerii przeciwlotniczej w Dreźnie, Gotha, Wurzen i Rudolstadt; rok później pod jego rozkazy oddano również nowo utworzone jednostki tej broni w Weimarze, Merseburgu, Wrocławiu i Dessau, a w roku 1937, wraz z przyspieszeniem realizacji niemieckiego programu zbrojeniowego, Luftkreis III zaczęły podlegać jednostki artylerii zorganizowane w Jenie, Lipsku, Chemnitz, Legnicy, Halle, Wittenbergu i Bitterfeld. 30 listopada 1938 roku system niemieckiej artylerii przeciwlotniczej został zreorganizowany i rozbudowany, w następstwie czego jej jednostki podporządkowano nowo utworzonym dowództwom Stref Powietrznych

Luftgaukommandos.

Pułkownik Bogatsch został mianowany dowódcą Luftgau IV z siedzibą w Dreźnie w budynku przy General-Wever-Strasse, blisko Dworca Głównego. Ale zorganizowano też niezależne Breslau Luftgaukommando (Luftgau VIII), i już wtedy spadało znaczenie Drezna jako ośrodka dowodzenia. Po wybuchu wojny obowiązki Luftgaukommando w Dreźnie wykonywało przede wszystkim berlińskie „Luftgaukommando III”, z którym zostało połączone. Poczynając od roku 1918, w Dreźnie mieściło się IV Dowództwo Okręgu Wojsk Lądowych (Wehrkreis IV), a niedaleko dawnego arsenału na północnych przedmieściach miasta wzniesiono rozległy kompleks koszar wraz z placem apelowym. Na wzgórzach położonych na północnym wschodzie oddziały S S dowodzone przez szefa policji gruppenfuhrera von Alvenslebena utworzyły w wydrążonej materiałem wybuchowym ścianie skalnej Mordgrundbricke podziemny bunkier dowodzenia. Choć był to obszar o znaczeniu wojskowym, bezsprzecznie nie stanowił celu dla lotnictwa strategicznego.

Uznawszy że Drezno nie ma żadnego znaczenia militarnego, rząd niemiecki uważał, iż jest idealną siedzibą dla urzędów i administracji oraz biur handlowych, zwłaszcza od roku 1943, kiedy podjęcie takich decyzji wymusiły powtarzające się naloty na Berlin. Na przykład, do Drezna przeniesiono biura (wraz z personelem) stołecznego Grossbanku. Jednakże nawet w lutym 1945 roku nie było żadnych oznak, aby miasto miało stać się nową siedzibą władz Rzeszy, choć przewidywany upadek Berlina mógł sprzyjać takiej koncepcji.

W połowie wojny na polecenie dowództwa Luftgau IV umieszczono wokół miasta silne baterie dział przeciwlotniczych, gdy jednak po pewnym czasie okazało się, że wykorzystywane były tylko dwukrotnie, władze, nie bez słuszności, uznały, iż armaty w tym miejscu się marnują i przekazały je na front

wschodni i do Zagłębia Ruhry. Takie posunięcie jeszcze bardziej utwierdziło mieszkańców w przekonaniu, że miasto nie będzie bombardowane. Drezdeńczyków utwierdzała w nim także bezczynność władz miejskich, jeśli chodzi o wdrażanie programów obrony cywilnej, a ponadto wiara, że rządy państw sprzymierzonych oszczędzą stolicę Saksonii, w której przybywało cywilnych szpitali oraz wojskowych punktów opatrunkowych. Niemcy, którzy mieli taką możliwość, wysyłali swoje dzieci do Drezna, sądząc, że będą tam bezpieczne⁸. Owszem, dopuszczano ewentualność zbombardowania odległych przedmieść przemysłowych, nigdy jednak centrum miasta. „Ludność Drezna - napisał w 1947 roku szef Home Office Intelligence Section - wydawała się wierzyć w istnienie porozumienia pomiędzy nami i Niemcami, że oszczędzimy Drezno, jeśli nie zostanie zaatakowany Oksford”⁹. To złudne poczucie bezpieczeństwa wzmacniały jeszcze zdradliwe pogłoski szerzące się wśród mieszkańców. Niektórzy utrzymywali, że widzieli ulotki sprzymierzonych, w których napisano, że Drezno jest niezbędne jako stolica przyszłych powojennych Niemiec; inni zapewniali, że w mieście lub w jego okolicy mieszkają krewni Churchilla. Wiarygodności takim twierdzeniom dodawał też fakt, że Drezno nigdy nie *zaznało* nalotów nękających ze strony sił Light Night Striking Forces. Choć z perspektywy lat mogą one wydawać się tragiczne, a nawet patetyczne, dawało im wiarę nie tylko 650 tysięcy, stałych mieszkańców miasta, lecz także członkowie jego władz; wiara ta udzielała się ponad milionowej rzeszy osób ewakuowanych ze wschodnich obszarów Niemiec, którzy zaczęli tam napływać od stycznia 1945 roku, kiedy Rosjanie rozpoczęli ofensywę.

Nader istotne jest ustalenie, czy w lutym 1945 roku Drezno było miastem otwartym w rozumieniu konwencji haskiej, dlatego

należy przypomnieć, jak przebiegało instalowanie wokół miasta baterii dział przeciwlotniczych, które następnie, przed dniem potrójnego uderzenia Brytyjczyków, usunięto.

Niemiecka artyleria przeciwlotnicza należała w zasadzie do dwóch kategorii: lekkiej i ciężkiej. Lekkie działa kalibru 20 mm rzadko bywały skuteczne przeciw celom znajdującym się na wysokości ponad 2000 metrów; strzelały pociskami smugowymi powszechnie znanej zielonej i żółtej barwy, a stosowano je przede wszystkim do zwalczania samolotów nisko lecących. Ciężkie działa zapewniały daleko skuteczniejszą obronę przeciwlotniczą, jak również odstraszały poruszające się na wysokim pułapie formacje bombowców. Ich kaliber wynosił 88 i 104 mm; działa kalibru 88 mm stanowiły podstawowy typ w całym niemieckim programie budowy i rozwoju artylerii.

Poczynając od lata 1943 roku, Drezno dysponowało dwoma typami ciężkich dział przeciwlotniczych: standardowymi osiemdziesiątkami ósemkami oraz mniej skutecznymi armatami kalibru 85/88 mm, oznaczonymi symbolem „Flak m39(r)”.

Prędkość początkowa pocisków kalibru 88 mm wynosiła 1200 metrów na sekundę. Standardowe baterie ciężkich dział przeciwlotniczych znajdujące się w Dreźnie usytuowane były następująco: bateria 1/565 w Dresden-Obigau, blisko mostu, którym autostrada przekraczała rzekę Łabę; bateria 2/565 na placu ćwiczeń Heller w pobliżu lotniska Dresden-Klotzsche; bateria 3/565 na wzgórzach na południe od miasta (przy Kohlenstrasse w Dresden-Racknitz), potem powiększona dzięki montowaniu nowych armat (wykorzystując elementy pochodzące z innych dział) do Grossbaterie; bateria 4/565 na wyżej położonym terenie pomiędzy Rochwitz i Gónnsdorf; bateria 5/565 w Altfranken na zachód od miasta.

Armaty kalibru 85/88 mm były zdobycznymi radzieckimi działami kalibru 85 mm, które następnie przekalibrowywano do

kalibru 88 mm w celu użycia ich w charakterze dział przeciwlotniczych. Standardowe armaty kalibru 88 mm były używane również jako działa przeciwpancerne, co boleśnie odczuły wojska brytyjskie w czerwcu 1941 roku w Afryce; strzelały one w płaszczyźnie poziomej, a ich pociski przebijały pancierz grubości 202 mm z odległość 90 metrów i większej. To podwójne zastosowanie okazało się fatalne w skutkach dla Drezna: gdy radziecka ofensywa na wschodzie nabierała rozmachu, działa należące do baterii 88 mm, a potem nawet do baterii 85/88 mm, były rozmontowywane i przerzucane na front wschodni. (Więcej na ten temat we właściwym czasie).

Wcześniej jednak bliżej centrum miasta umieszczono baterie armat produkcji radzieckiej, nie zaś ciężkie niemieckie: baterię 203/IY złożoną z dział kalibru 85/88 mm usytuowano na nabrzeżu Łaby w Yogelwiese; baterię 204 w Wölfnitz; baterię 217 w Radebeul; baterię 238 w Seidnitz; baterię 247 w Rochwitz - wszystkie były obsadzone zdobycznymi armatami radzieckimi. Najbliżej centrum znajdowała się bateria 203/IY, wyposażona w sześć armat kalibru 85/88 mm oraz przyrządy do celowania ogniem sprzężone z urządzeniami radiolokacyjnymi. W dzień działa te obsługiwali uczniowie ze słynnej Kreuzschule należący do Hitlerjugend wraz ze stałą obsadą złożoną z żołnierzy służby czynnej; nocą działa obsługiwali w systemie zmianowym robotnicy z zakładów przemysłowych¹⁰.

Drezdeńska artyleria przeciwlotnicza miała niewiele sposobności, żeby sprawdzić lub zademonstrować swoje możliwości; z prywatnych zapisków dowiadujemy się, że w sytuacji zagrożenia pierwsza otwierała ogień bateria 5/565. Baterie strzelały 28 maja 1944 roku, gdy samoloty amerykańskie atakowały pobliskie zakłady produkcji paliw, następnie 24 sierpnia 1944 roku podczas nalotu na leżące opodal Freital, a w nocy z 11 na 12 września stawiały niezbyt silną zaporę ogniową". Likwidowanie jednostek tej artylerii rozpoczęto w październiku 1944 roku; bateria 203 została rozformowana i włączona do baterii 217. W ten sposób w Radebeul utworzono pojedynczą Grossbatterie, która otworzyła ogień tylko raz, podczas amerykańskiego nalotu na Drezno 7 października. Słowa jednego z chłopców, członków Hitlerjugend, obsługującego system radiolokacyjnego kierowania ogniem tchną patosem, kiedy wspomina uporczywe wysiłki swoje i kolegów pragnących za wszelką cenę zestrzelić samolot; przydziałowy hełm stalowy okazał się zbyt obszerny na jego głowę, a laryngofon zbyt wielki. „Gdy

otrzymaliśmy rozkaz, żeby otworzyć ogień, lufy dział jeżyły się we wszystkich kierunkach. Chłopaki z naszej załogi byli młodzi i tak wzięli, że ładowaniem musieli się zajmować jeńcy rosyjscy. Razem wzięwszy, drezdeńska artyleria przeciwlotnicza nie była elitą obrony Rzeszy". Na szczęście, dodał ironizując, w lutym 1945 roku nie było już w Dreźnie tej artylerii; gdyby pozostała, on i jego koledzy zginęliby w płomieniach tak jak pozostali mieszkańcy.

Zimą na przełomie lat 1944 i 1945, wraz ze wznowieniem rosyjskiej ofensywy na froncie wschodnim i parciem alianckich jednostek pancernych na zachodzie, przekazanie drezdeńskich baterii dział przeciwlotniczych w celu wzmocnienia słabnącej obrony niemieckiej na tamtych obszarach stało się nad wyraz naglące. Ale Drezno nie było jedynym miastem w Rzeszy pozbawionym obrony przeciwlotniczej: w raporcie zbiorczym „United States Strategie Bombing Survey” napisano, że tylko w styczniu i w lutym na front wschodni przekazano około 300 takich baterii, używanych tam w charakterze broni przeciwpancernej. W połowie stycznia 1945 roku już tylko betonowe płyty wskazywały miejsca, gdzie znajdowały się niegdyś ich stanowiska; na wzgórzach okalających miasto ustawiono makiety armat wykonane z papier-mache.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego systematycznie osłabiano obronę niemieckich miast, przemieszczając na front wschodni działa przeciwlotnicze, można *znaleźć* w dzienniku działań bojowych Naczelnego Dowództwa Lotnictwa Rzeszy (OKL). 2 lutego Göring rozkazał, żeby wszystkie myśliwce należące do Luftflotte Reich prowadziły działania wyłącznie przeciw celom naziemnym na froncie wschodnim, gdzie Rosjanie zdobyli przyczółki mostowe na Odrze, oraz przeciw siłom przeciwnika koncentrującym się na wschodnim brzegu tej rzeki¹². Ponieważ straty I i II Korpusu Artylerii Przeciwlotniczej od rozpoczęcia przez Rosjan ofensywy 12 stycznia wynosiły już 512 dział kalibru 20 mm i 575 dział kalibru 88 mm, Hitler nakazał również, żeby z miast przeniesiono na front wschodni dużą liczbę baterii armat przeciwlotniczych. Operacji tej nadano kryptonim „Gneisenau Flak”¹³. 3 lutego realizując *rozkaz* fuhrera, na front wschodni translokowano 123 baterie, przeznaczając je do zwalczania nieprzyjacielskich czołgów wzdłuż linii Odry¹⁴. Do 12 lutego z 327 baterii dział ciężkich oraz 110 dział średnich i lekkich, które nakazano przenieść na front wschodni, na miejsce przeznaczenia przybyło 141 baterii ciężkich oraz 40 średnich i lekkich, w drodze zaś znajdowało się 45 baterii dział ciężkich oraz 24 baterie dział średnich i lekkich¹⁵.

Baterie drezdeńskie rozmieszczono na terenie całej Rzeszy. Baterię 207/IY przeniesiono do Halle, pozostałe do Lipska i do Berlina. Osiemdziesiątki ósemki translokowano na front wschodni. Baterię 4/565 przeniesiono do Zagłębia Ruhry i przeznaczono do zwalczania nieprzyjacielskich bombowców, dokonujących aż do końca marca 1945 roku niemal nieprzerwanych nalotów; 1 kwietnia przekształcono ją w baterię przeciwpancerną. Uczestniczyła potem w obronie Hamm, a 10 dni później została zdobyta przez amerykańską piechotę. Połowa obsługi baterii złożona z chłopców należących do Hitlerjugend zginęła na swoich stanowiskach, pełniąc ostatnią służbę. Dzieje drezdeńskich baterii przeciwlotniczych, broniących wszystkiego, tylko nie miasta, z którego młodzieńcy ci pochodzili, tchną tragedią, lecz także heroizmem.

Tak więc, na początku lutego 1945 roku stolica Saksonii stała się w pełnym rozumieniu stosownych konwencji miastem otwartym; na dodatek, jak wykazano, pozbawionym wszelkich celów pierwszorzędного znaczenia o charakterze przemysłowym, strategicznym oraz wojskowym. Jednak sir Arthurowi Harrisowi i jego amerykańskiemu odpowiednikowi zależało tylko na wygraniu wojny, za nic mieli względy prawa międzynarodowego.

Po latach Harris stwierdził, popadając w swój belferski, niepowtarzalny styl, że jedyną międzynarodową restrykcją, którą uznawał wtedy za wiążącą, było porozumienie pochodzące z czasów wojny

francusko-pruskiej, zabraniające zrzucania ładunków wybuchowych z balonów. Bomber Command, podkreślał, przestrzegało tego zakazu przez całą wojnę.

Choć przekraczamy poważnie ramy chronologii wydarzeń, przedstawienie powyższych faktów jest konieczne, żeby zrozumieć, dlaczego jedno z najpiękniejszych i najcenniejszych miast niemieckich, w którym przebywało wtedy ponad milion cywilów, zniszczono w trakcie nalotu trwającego 14 godzin i 15 minut, nalotu, który rozpoczął się 12 lutego 1945 roku o godzinie 22.15.

W pierwszych tygodniach roku 1945 OKW dowiedziało się ze źródeł wywiadowczych, że Rosjanie przygotowują nową wielką ofensywę na linii Wisły, czyli na froncie, który ustabilizował się po zakończeniu radzieckiej letniej ofensywy w 1944 roku.

Zaobserwowano ogromne siły przeciwnika przewyższające, według wszelkich ocen, siły niemieckie w stosunku dziesięć do jednego, koncentrujące się w rejonie Baranowa, Puław i Magnuszewa. Latem z tamtego odcinka frontu Niemcy wycofali kilka dywizji i przerwali je na Węgry oraz do Nadrenii.

Organizowanie ewakuacji ludności cywilnej z terenów objętych działaniami wojennymi należało do lokalnych gauleiterów; z dotychczasowych doświadczeń wynikało jednak, że powodzenie takiej akcji zależy tylko od jej szybkiego tempa. Obowiązki gauleiterów stały w sprzeczności z ich powinnościami jako komisarzy obrony Rzeszy. Podstawą morale niemieckiej ludności cywilnej był dogmat „ostatecznego zwycięstwa”, toteż trudno przychodziło pogodzić to ostateczne zwycięstwo z koniecznością natychmiastowego opuszczenia swoich domów i pozostawienia ich wraz z dobytkiem przeciwnikowi. Niektórzy gauleiterzy, na przykład gauleiter Prus Wschodnich Erich Koch, rozwiązali tę kwestię, zabraniając nawet wspominania o ewentualnych przedsięwzięciach ewakuacyjnych. Tak było w Królewcu, zniszczonej wojną stolicy okręgu NSDAP. Gdy po dwóch nalotach na to miasto w sierpniu 1944 roku jego Oberprasidium zwróciło się do Kocha z prośbą o zarządzenie ewakuacji wszystkich niekom-batantów, ten poczuł się uprawniony, żeby odmówić, co też uczynił. Nie chciał wzbudzać wśród ludności strachu i zniechęcenia. Gauleiterzy Kraju Warty oraz okręgu Gdańsk - Prusy Zachodnie przygotowali zawczasu tajne plany ewakuacyjne, które bardzo się potem przydały.

Losy ludności Prus Wschodnich, która podporządkowała się decyzjom Kocha w odniesieniu do ewakuacji, stały się lekcją pogładową nie tylko dla pozostałych gauleiterów, ale także dla mieszkańców wszystkich innych okręgów zagrożonych zajęciem przez Rosjan. 16 października 1944 roku w następstwie pierwszej ofensywy radzieckiej (wzdłuż liczącego 72 kilometry frontu), która zagroziła samemu sercu Prus Wschodnich, tłumy uciekinierów i osób ewakuowanych podążyły na południe; wiele tysięcy przybyło do Drezna, uchodzącego za „najbezpieczniejszy schron przeciwlotniczy” Rzeszy. Pomimo apeli i gróźb Kocha, około 25 procent ludności, czyli jakieś 600 tysięcy ludzi, opuściło Prusy. Mieszkańcy miast oraz wsi - kobiety, dzieci i inwalidzi - masowo ewakuowali się do Saksonii, Turynii i na Pomorze. Do Drezna, które w roku 1939 liczyło 642 143 mieszkańców, przybyło od jednego do dwóch milionów uchodźców. Ofensywa radziecka w Prusach Wschodnich uświadomiła funkcjonariuszom partyjnym oraz wszystkim Niemcom, że pozostając na terenach zajmowanych przez Rosjan, mogą oczekiwać brutalnego traktowania; osoby ewakuowane do Saksonii i na Śląsk Zachodni zdawały przerażające relacje o okrucieństwach popełnianych na niemieckich cywilach, których nie ewakuowano na czas. Na przykład 20, października jednostka radzieckich czołgów spotkała kolumnę uchodźców z wschodniopruskiego okręgu Gąbin. Dowódcy nakazali czołgistom skierować swoje pojazdy wprost na Niemców; żołnierze spełnili ów rozkaz, zabijając wszystkich ludzi i niszcząc ich dobytek. Wydarzenie to było dla obywateli Rzeszy ostrzeżeniem: oto, jakiego losu mogą oczekiwać, jeśli ich przywódcy nie zarządzą na czas ewakuacji.

Nieoczekiwana radziecka ofensywa podjęta wzdłuż Wisły 12 stycznia 1945 roku zaowocowała jeszcze większymi okropnościami niż to, co się zdarzyło w okręgu Gubin. Celem Rosjan było zastraszenie ludności niemieckiej, która teraz jeszcze bardziej protestowała przeciwko nakazom pozostania w rejonach objętych działaniami wojennymi.

12 stycznia Pierwszy Front Ukraiński dowodzony przez okrutnego radzieckiego marszałka Iwana S. Koniewa rozpoczął

ofensywę z przyczółka baranowskiego i skierował całą swoją potęgę ku Śląskowi. Nazajutrz z sąsiednich przyczółków pod Puławami i Magnuszewem ruszył Pierwszy Front Białoruski dowodzony przez radzieckiego marszałka Żukowa, kolumny czołgów podążyły ku Łodzi i Kaliszowi. Jednocześnie Trzeci Front Białoruski pod dowództwem marszałka Czerniachowskiego ruszył na Prusy Wschodnie, gdzie od październikowej masakry pod Gąbinem panował spokój; celem ofensywy było zdobycie Królewca. 15 stycznia rozpoczęto realizację strategicznego planu izolacji Prus Wschodnich od pozostałej części Rzeszy: jednostki Drugiego Frontu Białoruskiego parły na Toruń i Elbląg.

Strumień podążających na zachód uchodźców przybrał błyskawicznie rozmiary powodziowej fali, której gauleiterzy nie mogli już *zatrzymać*. Rozpoczął się exodus 5 milionów Niemców ze wschodnich obszarów kraju, exodus na razie dobrowolny, który po zakończeniu wojny przeistoczył się w prowadzone brutalnymi metodami i największe w historii kontynentu europejskiego masowe wypędzenie.

Niewątpliwie ogromna odpowiedzialność za tę emigrację spada na gauleiterów obszarów, które najbardziej dotknęła radziecka ofensywa. Na początku 1945 roku około 4 milionów 700 tysięcy osób narodowości niemieckiej (etnicznych Niemców) mieszkało na Śląsku, w regionie sąsiadującym z Saksonią. Kolumny wycieńczonych jeńców alianckich i rosyjskich posuwały się na zachód i na południe, towarzyszyli im ewakuowani więźniowie obozów koncentracyjnych oraz żalosne grupy maszerujących wytrwale uchodźców wojennych. Ludność nie potrzebowała dodatkowej zachęty, żeby uciekać przed nacierającym wojskiem. Jeden strumień tej masy ludzkiej skierował się przez góry na południowy zachód, ku Czechom i Morawom, liczniejsza grupa szła wzdłuż głównej autostrady do Saksonii. Pierwszym dużym miastem na jej drodze było Drezno i większość uciekinierów oraz osób ewakuowanych zamierzała schronić się pod błyszczącymi w słońcu wieżami miasta, bez względu na to, czy miała tam przyjaciół lub znajomych, czy nie.

15 stycznia 1945 roku dwóch dowódców lotnictwa alianckiego wydało dyrektywę nr 3, przeznaczoną dla strategicznych sił lotniczych w Europie, dotyczącą celów pierwszorzędnych oraz drugorzędnych. Do celów priorytetowych zaliczono zakłady przetwórstwa ropy naftowej, za drugorzędne zadanie uznano niszczenie linii komunikacyjnych, jednak „ze szczególnym uwzględnieniem” Zagłębia Ruhry¹⁶. Następnego dnia Drezno stało się po raz drugi obiektem niewielkiego nalotu. Część grupy złożonej z około 400 Liberatorów należących do amerykańskiej 2. Air Division zaatakowała „drezdeńską rafinerię naftową oraz kolejowe stacje rozrządowe”¹⁷. Służby 8. Air Force Target Summary odnotowały, że w nalocie na stacje rozrządowe wykonano ogółem 133 skuteczne loty bojowe. Nalot rozpoczął się w południe, a bomby trafiły dokładnie w cel: znajdujące się przy Hamburger-Strasse budynki stacji rozrządowej Friedrichstadt, w wyniku czego uległy zniszczeniu niektóre urządzenia kolejowe. Bomby zrzucone przez jednostkę 44 (Liberator) Bombardment chybiły celów: na fotografiach wykonanych podczas nalotu widać, jak eksplodują w obrębie szpitala Friedrichstadt, pomiędzy należącymi doń budynkami. Każdy Liberator zrzucił osiem 500-funtowych bomb burzących elaborowanych materiałem wybuchowym RDX. Samoloty napotkały po drodze silny ogień artylerii przeciwlotniczej. Nad Ruhland ogień z ziemi był również intensywny, ale załogi bombowców nadlatujących na wysokości 6000 metrów skonstatowały ze zdziwieniem, że Drezno pozba-

wione jest wszelkiej obrony. Na skutek tego nalotu w mieście zginęło 376 osób, wśród nich pierwszy Brytyjczyk: szeregowiec

Norman Lea, należący do drugiej pod względem liczebności grupy jeńców wojennych zatrudnianych przy różnych pracach, który zmarł w drodze do szpitala. „Jest to pierwsza ofiara i mam nadzieję, że ostatnia - zanotował w swoim dzienniku mąż zaufania komando - ponieważ jednak w mieście pracuje codziennie około 170 ludzi tylko z tego komando i ponieważ jest bardzo prawdopodobne, że nastąpi kolejne bombardowanie, nie jest możliwe, żeby było się bez następnych ofiar”¹⁸.

Podczas gdy niemieckich cywilów pochowano w masowym grobie, na jednym z cmentarzy wojskowych należących do Okręgu Wojsk Lądowych w Dresden-Alberstadt zorganizowano - ściśle przestrzegając stosownych zwyczajów - defiladę żołnierzy garnizonu miasta. Poprzedziła ona pogrzeb nieszczęsnego brytyjskiego szeregowca, „któremu oddano pełne honory wojskowe, a w uroczystości uczestniczyła brytyjska i niemiecka gwardia honorowa” - o czym starszy obozu poinformował rodziców poległego¹⁹. Tak, w Dreźnie nadal uważano, że wojnę należy prowadzić jak dawniej, po rycersku.

16 stycznia, tego samego dnia, w którym miał miejsce nalot, dowództwo niemieckiej Grupy Armii „A” uznało, że należy natychmiast dokonać ewakuacji ludności Śląska: od 19 do 25 stycznia w tamtejszych dużych miastach zaczęły się gromadzić tłumy uchodźców, szykujących się do długiego marszu na zachód.

Ewakuacje Hamburga, Berlina i Zagłębia Ruhry, wymuszone przez nocną ofensywę Bomber Command, pod koniec 1944 roku objęły w Berlinie 1 milion 500 tysięcy osób, w Nadrenii zaś około 2 milionów. W tym wypadku do ucieczki ruszyła gigantyczna liczba ludzi, a na dobitkę nastąpiło to w bardzo krótkim czasie²⁰. W ciągu tygodnia 5 milionów niemieckich cywilów musiało opuścić domy swoich przodków i rozpocząć przymusową

wędrówkę na zachód, podążając drogami i szosami, niosąc pudła i worki zawierające resztki dobytku, nocując pomimo mrozu pod gołym niebem. Gdy ów masowy exodus przybrał na sile, interweniował gauleiter Śląska Karl Hanke, który stwierdził z niepokojem, że nastąpiło znaczne uszczuplenie siły roboczej w tak ważnych dla produkcji wojennej Rzeszy podlegających mu fabrykach. Zakomunikował więc, że ewakuować się mogą tylko kobiety i dzieci; wszyscy inni mieli trwać do końca przy warsztatach pracy²¹. Skutki dekretu Hankego dotknęły podążające na zachód kolumny uchodźców, w których zabrakło zdrowych i silnych mężczyzn, a wśród uchodźców, którzy dotarli do Drezna, dominowały kobiety - one też stanowiły przeważającą większość ofiar nalotu.

19 stycznia Hanke zarządził ewakuację Namysłowa na Dolnym Śląsku; jako punkt zborny dla mieszkańców miast wyznaczył Kamienną Górę, a dla mieszkańców terenów wiejskich - Kraj Sudecki. Następnego dnia radzieckie jednostki pancerne osiągnęły Katowice, Bytom, Gliwice i Zabrze; wbrew dekretowi Hankego rozpoczęła się ewakuacja całej niemieckiej ludności tych terenów. 22 stycznia Rosjanie przekroczyli Odrę pomiędzy Brzegiem a Oławą; w następstwie przesunięcia linii frontu zostały odcięte wszystkie główne linie kolejowe prowadzące na zachód z Wrocławia, siedziby Hankego. W ten sposób pozostała tylko jedna droga ucieczki: koleją na południe, przez Racibórz i Nysę. Niebawem tysiące uchodźczych kobiet i dzieci wypełniło pociągi podążające do Drezna i Saksonii. W większości wypadków pracownicy przemysłowi pozostali aż do ostatniej chwili: zdarzało się, że gdy Rosjanie walczyli o kopalnię, niemieccy górnicy wciąż fedrowali na dole. Mieszkańcy innych terenów mieli więcej szczęścia. Spośród 700 tysięcy obywateli Opola i Głogowa dzięki przeprowadzonej w porę, 20 stycznia, ewakuacji, nie mniej niż 600 tysięcy zdołało ujść Rosjanom; reszta

- etniczni Polacy - pozostała, uznając, że nic złego ich nie spotka ze strony najeźdźców.

21 stycznia Hanke zarządził ewakuację Trzebnicy. Wkrótce po ogłoszeniu dekretu cała ludność niemiecka, wykorzystując wszelkie dostępne środki transportu, rozpoczęła ucieczkę na zachód, pomimo utrzymującej się w trzech pierwszych miesiącach 1945 roku niskiej temperatury. Tym razem jednak ewakuowali się przede wszystkim mieszkańcy wsi, którzy dysponowali wozami i furmankami. Władze niemieckie uznały, że ich wojska zatrzymają czołgi radzieckie jakiś czas na linii Odry, nakazały więc początkowo, żeby ewakuowani zbierali się na obszarach usytuowanych niedaleko jej zachodniego brzegu, między innymi w Legnicy, Złotorzy i Świdnicy. Szczęśliwie dowódcy wojskowi doszli do wniosku, że tereny te sąsiadują zbyt blisko z obszarem działań wojennych, toteż spowodowali, że cywilów przemieszczono kilka kilometrów dalej na zachód. Niebawem Rosjanie sforsowali Odrę i rozgorzały zmagania o Saksonię. Jakby fatalnym zrządzeniem losu wszystko sprzysięgło się, żeby w połowie lutego maksymalna liczba uchodźców *znalazła* się w stolicy tego landu.

Niefortunnym zbiegiem okoliczności (o czym sprzymierzeni jednak musieli wiedzieć) w Dreźnie przebywała także znaczna liczba alianckich jeńców wojennych. Dokładnych informacji o tym, gdzie rozlokowano jeńców, dostarczał Bomber Command Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Sir Arthur Harris zaprzeczył później, iżby w aktach podległej mu instytucji dotyczących Drezna znajdowały się takie dane²². Artykuł 9 konwencji o jeńcach wojennych zabraniał takiego ich lokowania, które uniemożliwiłoby bombardowanie przez przeciwnika poszczególnych obiektów cywilnych lub całych obszarów. Z raportów Szwajcarii,

reprezentującej w Trzeciej Rzeszy interesy państw sprzymierzonych, wynikało, że niemieckie siły zbrojne ściśle przestrzegały tej reguły. Jednak w środkowych Niemczech, gdzie duże obozy podzielone były na komanda (grupy, w jakich jeńcy przydzieleni byli do pracy), liczące niekiedy 150 - 200 osób albo nawet mniej, stacjonujące w gospodarstwach rolnych, na terenie fabryk, kolejowych stacji rozrządowych lub w ich pobliżu, czyli tam, gdzie pracowały - ofiary śmiertelne były nieuniknione. Jest więc rzeczą wątpliwą, czy całe dzielnice mieszkalne miasta były istotnie „punktami albo obszarami”, które mieli na myśli twórcy konwencji z 1929 roku, gdy formułowali określenie „cele bombardowania”.

W następstwie nalotów przeprowadzonych na Drezno w lutym 1945 roku liczba ofiar wśród alianckich jeńców wojennych była wysoka i gdyby po zakończeniu wojny opublikowano dane na ten temat, bezsprzecznie wywołałyby one komentarze. Brytyjskie War Office przyznało, że ostatni raport dotyczący brytyjskich obozów jenieckich w Dreźnie władze przesłały Szwajcarii w styczniu 1945 roku; napisano w nim, że w samym Dreźnie jest 67 takich komand, podlegających władzom obozu Stalag Iva²³. Dodatkowo przedstawiciel poselstwa szwajcarskiego w Berlinie, który przebywał w Dreźnie w dniach 15-22 stycznia, wspominał w swoim raporcie o siedmiu amerykańskich komandach, z których każde przewyższało liczebnie odpowiednik brytyjski²⁴.

Dokonanie dokładnego obliczenia komplikuje jednak fakt czasowego przebywania w Dreźnie znacznej liczby alianckich oraz rosyjskich jeńców wojennych przewożonych tam ze wschodnich obszarów Niemiec. Wkrótce po lutowych nalotach rząd brytyjski opublikował wykaz obozów jenieckich, w których przebywali żołnierze z krajów sprzymierzonych, usytuowanych na ziemiach zajętych przez Rosjan. Według otrzymanych informacji,

jeńcy z kilku obozów figurujących w tym spisie przebywali w Dreźnie podczas nalotów; do miasta przybyli też, już po nalotach, ewakuowani jeńcy z innych obozów, między innymi Stalagu VIII b i VIII c w Opolu i Żaganiu. Jeńców ze Stalagu VIII b ewakuowano z Opoli 26 stycznia, do Drezna przybyli jednak dopiero 20 lutego, po trzytygodniowym marszu. Drezno było również etapem przejściowym dla 15 tysięcy alianckich jeńców ze Stalagu VIII c, ewakuowanych z Gródka. Tempo, w jakim w lutym rosła liczba

alianckich jeńców wojennych, najlepiej oddaje raport Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, którego przedstawiciele odwiedzili 22 lutego drezdeński Stalag IV a. Przebywało tam 26 620 jeńców, w tym 2207 Amerykanów.

26 stycznia 1945 roku do Drezna zaczęły przybywać pierwsze pociągi (osobowe i towarowe) przywożące w ramach zorganizowanej akcji uchodźców ze wschodu. Na Dworcu Głównym czekało na nich ponad tysiąc dziewcząt ze Służby Pracy Rzeszy, które pomagały osobom starszym oraz inwalidom w przenoszeniu bagaży, organizowały dla uchodźców wyżywienie oraz tymczasowe zakwaterowanie; opróżnione pociągi wysyłano z powrotem na wschód, po kolejne grupy ewakuowanych. W Dreźnie codziennie przyjmowano uchodźców, zaopatrywano ich w żywność i kierowano w dalszą drogę. Przybywały coraz to nowe transporty, toteż niebawem wszystkie członkinie Służby Pracy Rzeszy, Związku Niemieckich Dziewcząt, żeńskich grup Narodowosocjalistycznej Opieki Społecznej (NSV) oraz partyjnych stowarzyszeń kobiecych Frauenschaften zaangażowały się w wykonywanie *zadań*²⁵.

Jednocześnie wiele szkół zamknięto i przekształcono w szpitale sił lądowych oraz Luftwaffe; kilka dni po rozpoczęciu przez

Rosjan ofensywy na szpitale przekształcono między innymi budynki szkół średnich Dreikönigs i Vitzthun oraz szkół państwowych, męskich szkół średnich w Dresden-Neustadt, Dresden-Johanstadt, Dresden-Plauen i Dresden-Blasewitz oraz żeńskich w Dresden-Neustadt i Dresden-Marschnerstrasse. Wolnych od zajęć uczniów i uczennice skierowano na dworce kolejowe do udzielania pomocy przybywającym uchodźcom, 1 lutego skierowano do tej pracy - na dworcu Dresden-Neustadt - znaczną liczbę uczniów; starsi chłopcy byli zatrudnieni od 19.55 do 8.00 rano następnego dnia, udzielali pomocy chorym i kontuzjowanym uchodźcom, wypełniającym teraz każdy pociąg przybywający ze wschodu. Z kolejnych obszarów na wschodzie uchodziła ludność niemiecka - z Głogowa, Wschowej, Góry, Milicza, Trzebnicy, Sycowa, Oleśnicy, Namysłowa, Krzyżowej, Rostkowic oraz ze wschodnich części Opola i Brzegu. Środki transportu były dramatycznie przepelnione, jednak partyjne organizacje opieki społecznej przygotowywały działające stosunkowo sprawnie punkty żywieniowe rozlokowane w miejscach postoju na trasie prowadzącej do Drezna; łagodziły one nieco cierpienia spowodowane głodem i mrozem.

Wkrótce Niemców pozostałych w stolicy Śląska - Wrocławiu — zaczęły ogarniać obawy. Na szczęście, w mieście przebywało znacznie mniej mieszkańców niż zwykle, bo tylko 527 tysięcy; 600 tysięcy cywilów już ewakuowano, poczynając od jesieni 1944 roku, kiedy miasto zostało ogłoszone twierdzą. 21 stycznia we Wrocławiu słychać było odległy grzmot artylerii ostrze-liwującej Trzebnicę; władze miejskie zarządziły, żeby pozostali w mieście inwalidzi, kobiety, dzieci i starcy ewakuowali się na zachód. Ponieważ kolej stopniowo przestawała funkcjonować, ponad 100 tysięcy osób wyruszyło na piechotę: mieszkańcy Wrocławia nie mieli innego wyjścia, ponieważ w przeciwieństwie

do Niemców zamieszkałych na wsi nie dysponowali środkami transportu konnego. Marsz do Saksonii, dokąd skierowała się znaczna część tych uchodźców, trwał kilka tygodni.

Z Wrocławia, miasta, w którym miały trwać zaciekle i heroiczne walki aż do kapitulacji, która nastąpiła 6 maja 1945 roku, ewakuowano nie tylko cywilów. Władze, licząc się z oblężeniem, przeniosły wiele tamtejszych instytucji administracyjnych i wojskowych do Drezna²⁶. Tam też przeniesiono rozmontowany na części nadajnik Radia Wrocław, aby wzmocnił słaby nadajnik lokalnej rozgłośni; żeby ukryć miejsce usytuowania radiostacji, miał nadawać na długości fal Radia Wrocław. Ciężarówki z cennym ładunkiem przybyły do Drezna w południe tego samego dnia, w którym Bomber Command dokonało pierwszego nalotu. Podzieliły los miasta²⁷.

W nocy z 12 na 13 lutego, kiedy Rosjanie zacisnęli ostatecznie pierścień okrążenia, we Wrocławiu pozostało tylko 200 tysięcy cywilów. Inni uciekli, w większości do Drezna. Spośród tych, którzy pozostali, około 40 tysięcy zginęło w zaciętych walkach ulicznych oraz w następstwie radzieckich nalotów. Wydarzenia na wschodzie były złymi symptomami dla Drezna; tylko aliancy jeńcy wojenni, którym nie udzielano się ogólnie panująca atmosfera optymizmu, rozumieli, jak się wydaje, iż usytuowanie w tym łatwym do zniszczenia mieście ośrodka ruchu ewakuacyjnego było fatalnym pomysłem. „Choć Wrocław znajduje się dokładnie na wschód od nas - zanotował 28 stycznia jeden z przebywających w Dreźnie jeńców wojennych - nie bombardowano tutaj linii kolejowych, przemieszczanie się Niemców trwa bez przeszkód. Ot, cudowna organizacja - u nas albo u Rosjan - sam nie wiem u kogo bardziej!”.

ROZDZIAŁ 7

Uderzenie pioruna

Imponująca szybkość ofensywy Armii Czerwonej w Niemczech, której towarzyszyły kolejne rozkazy dnia, zawierające informacje o zdobywaniu coraz to nowych miast we wschodniej części tego kraju, tylko pogłębiała kłopotliwe położenie, w jakim znaleźli się zachodni sprzymierzeńcy Stalina. A zatem, tak długo oczekiwanemu spotkaniu na Krymie, spotkaniu, od którego " w ogromnej mierze zależała przyszłość powojennej Europy, miałby towarzyszyć pokaz możliwości radzieckiej potęgi? W porównaniu ze skalą ofensywy Rosjan w Prusach Wschodnich oraz na Śląsku terytorialne zdobycze alianckie we Włoszech i w Nadrenii wyglądały doprawdy mizernie. Zachodni przywódcy polityczni podlegali naciskom, żeby w Jałcie negocjować z pozycji siły. W tych okolicznościach wydawało się naturalne, że rządy państw sprzymierzonych posłużą się lotnictwem strategicznym jako środkiem, który przekona Związek Radziecki, iż ofensywa bombowa podjęta na niemieckim „froncie wewnętrznym" jest równie miazdząca jak każda pancerna ofensywa radziecka na wschodzie.

Współpraca wojskowa Rosjan z aliantami, poczynając od inwazji niemieckiej na ZSRR, była w najlepszym wypadku mało harmonijna. Jednak we wrześniu i w październiku 1944 roku alianci rozpoczęli wymieniać z Rosjanami szczegóły przedsięwzięć, których celem było wydatne przyspieszenie końca wojny¹. 14 grudnia Averill Harriman, ambasador amerykański w Moskwie, oświadczył Stalinowi, że generał Dwight D. Eisenhower, naczelny dowódca sił sprzymierzonych na Zachodzie, chciałby uzgodnić z Rosjanami przebieg działań zbrojnych prowadzonych na tym obszarze. Wypowiedź Harrimana, dotycząca ewentualnego użycia na Bałkanach alianckiego lotnictwa znajdującego się w bazach nad Morzem Śródziemnym, nasuwała wniosek, że główne alianckie strategiczne siły lotnicze mogłyby uczestniczyć w operacjach wspierających działania radzieckich sił zbrojnych².

Gdy Rosjanie nie zdołali przeprowadzić wielkiej ofensywy zimowej podczas niemieckiego ataku w Ardenach, alianci wysłali do Moskwy zastępcę Eisenhowera, marszałka RAF-u sir Arthura Teddera, żeby omówił kwestię ewentualnej koordynacji działań zbrojnych obu stron. Tedder spotkał się ze Stalinem 15 stycznia 1945 roku, trzy dni po rozpoczęciu radzieckiej ofensywy, i przedstawił dyktatorowi alianckie plany

bombardowania niemieckich zakładów przemysłu paliwowego, linii kolejowych oraz szlaków wodnych; sprzymierzeni chcieli też zapobiec translokacji wojsk niemieckich z frontu zachodniego na wschodni³.

Jednakże cały ten miesiąc pogoda w Europie nie sprzyjała zarówno operacjom lotniczym, jak i milionom uchodźców podążającym na zachód.

W The Joint Intelligence Committee, istniejącym przy brytyjskim War Cabinet, nieustannie studiowano sposoby najskuteczniejszego wykorzystania alianckiego lotnictwa bombowego. Przedstawiono, w zmodyfikowanej formie, plan opracowany poprzednio pod kryptonimem „Uderzenie pioruna” („Thunderclap”);

w lipcu 1944 roku na posiedzeniu Połączonego Komitetu Szefów Sztabów (Combined Chiefs of Staff) omawiano ewentualność zadania Berlinowi ciosu „o druzgocącej mocy”, który miałby złamać morale Niemców: wojskowe, polityczne oraz cywilne⁴. Projekt ów przedstawiono premierowi, po czym, w formie szczegółowego memorandum, sir Charles Portal przekazał go 1 sierpnia Połączonemu Komitetowi Szefów Sztabów. Według planu „Thunderclap” operacje miały trwać trzy dni i trzy noce. Oficjalni historycy, mając poniekąd słuszną rację, nazwali później to memorandum „tytułem własności” operacji drezdeńskiej. Jako alternatywę nalotów na Berlin Portal zaproponował, co następuje:

„[...] można dokonać u przeciwnika wielkich zniszczeń, gdyby jedynym obiektem całego ataku uczynić jakieś duże miasto, inne niż Berlin; osiągnęlibyśmy wtedy ogromny efekt, zwłaszcza gdyby wybrane przez nas miasto należało do tych, które były wcześniej stosunkowo mało zniszczone”.

Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Political Warfare Executive oraz Ministerstwo Wojny Gospodarczej, z którymi to instytucjami omawiano szczegółowo założenia planu, uznały, że przewidywany atak mógłby przyspieszyć bliskie już zwycięstwo nad Niemcami albo też zadecydować o tym zwycięstwie. Jednak, postępując w myśl sugestii Joint Planners' Committee, realizację planu zawieszono aż do chwili, gdy Joint Intelligence Committee uzna, że zaistniały okoliczności sprzyjające ponownej ocenie tych założeń i następstw.

Czy czas ów już nadszedł? Opierając swoją ocenę wyłącznie na przejętych, rozkodowanych i odczytanych depeszach niemieckich, Joint Planners' Committee uznał 23 stycznia 1945 roku, że za około sześć tygodni, poczynając od połowy marca, niemieckie siły lądowe staną się zupełnie niezdolne do walki - ocena ta okazała się zaskakująco trafna⁵. W następnym raporcie przedstawionym dwa dni później Joint Planners' Committee zawarł

ocenę najnowszej ofensywy radzieckiej na froncie wschodnim. W dokumencie „Bombardowania strategiczne a obecna ofensywa rosyjska” poinformował Churchilla i szefów sztabu, że koniec wojny można by przyspieszyć, gdyby przez kilka najbliższych tygodni brytyjskie i amerykańskie strategiczne siły bombowe wspierały działania Armii Czerwonej. Należałoby zatem poddać rewizji obowiązującą listę, priorytetowych celów nalotów, na której na czołowych pozycjach figurowały rafinerie oraz zakłady produkujące czołgi i broń pancerną. Specjaliści z Joint Intelligence Committee zwrócili szczególną uwagę na przemieszczanie się wojsk niemieckich na wschód, ku linii frontu na Odrze, oraz na kolumny uchodźców podążające na zachód; uznali oni, że „ciężkie, ponawiane” naloty na Berlin mogą doprowadzić do chaotycznego i masowego opuszczania miasta przez ludność, co zakłóci w poważnym stopniu ruchy wojsk. Oprócz przedstawienia powyższych uwag o charakterze taktycznym Joint Intelligence Committee zasugerował - w związku z kwestią pozycji przetargowej sprzymierzonych podczas zbliżającej się konferencji na Krymie - że zademonstrowanie Rosjanom woli udzielenia im pomocy w obecnej ofensywie („w najlepszy dostępny nam sposób”) mogłoby mieć „wartość polityczną”⁶.

Sztab Eisenhowera studiował przez kilka dni te zalecenia i sugestie.

Brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa zareagowało szybciej na ów raport. Sir Norman Bottomley, zastępca szefa sztabu lotnictwa, zatelefonował tego samego dnia do sir Arthura Harrisa, żeby zapoznać go z zawartymi

w nim zaleceniami oraz omówić ewentualne następstwa. Choć Harris powiedział, iż Berlin należy „tylko i wyłącznie do niego”, Bottomley poinformował, że w stadium przygotowań znajduje się wieloaspektowy plan „Thunderclap”, przewidujący zadanie druzgocącego ciosu stolicy Niemiec, więc Harris musiałby skoordynować działania podległych mu sił z do-

wództwem amerykańskiego lotnictwa strategicznego, a także przeprowadzić konsultacje z Połączonym Komitetem Szefów Sztabów. W trakcie tej rozmowy, jak wynikało z notatki, którą Bottomley przekazał nazajutrz Portalowi, Harris sugerował dokonanie uzupełniających nalotów na Chemnitz, Lipsk i Drezno. W miastach tych, podobnie jak w Berlinie, lokowano przejściowo uchodźców ze wschodu, znajdowały się tam także nadzwyczaj ważne systemy łączności, służące potrzebom frontu wschodniego⁷.

To, że od sir Arthura Harrisa wymagano obecnie rzucenia całej potęgi Bomber Command przeciwko celom położonym na zapleczu obszaru ofensywy, zakrawało poniekąd na ironię; przecież już od roku 1942 główne działania bombowe skierowane były przeciwko miastom. Jednak w końcu 1944 roku sukcesy nalotów na zakłady paliw płynnych, prowadzonych w ramach operacji podporządkowanych dowództwu SHAEF, przekonały sztab brytyjskich sił lotniczych, iż kontynuowanie takiej ofensywy może, jeszcze przed końcem roku, wpłynąć decydująco na przebieg wojny. Harris uparcie podkreślał, że ofensywa bombardowań strefowych ma doniosłe znaczenie; jak utrzymywał, przy niepewnej zimowej pogodzie nie sposób ująć działalności jego dywizjonów w ścisłe ramy procedur opracowanych dla potrzeb bombardowań punktowych.

Tak więc, pomimo iż jesienią roku 1944 obowiązywał priorytet bombardowań zakładów produkcji i przetwórstwa paliw, przez ostatnie trzy miesiące obiektem 58 procent operacji prowadzonych przez Bomber Command były miasta. Harris odmówił zmiany tej strategii. W piśmie do Portalu z 1 listopada 1944 roku napisał, że przez 18 miesięcy w następstwie działań jego sił zniszczono 45 z 60 największych niemieckich miast; sugerował też, żeby zająć się tymi miastami, które na razie ocalały:

„Magdeburgiem, Halle, Lipskiem, Dreznem, Chemnitz, Wrocławiem, Norymbergą, Monachium, Koblencją i Karlsruhe”, a także kontynuować mszczenie Berlina i Hanoweru. (Obecność na tej liście Drezna nie była niczym niezwykłym, pomijawszy fakt, iż miasto to dzieliła - i nadal dzieli - znaczna odległość od baz i lotnisk RAF-u. Podobnie jak wszystkie duże skupiska ludności w Europie, Drezno od dawna figurowało w „bedekerze bombowym” Bomber Command. Mapy celu używane przez pilotów podczas pierwszego nalotu na Drezno wydrukowano jeszcze w listopadzie 1943 roku).

Sztab sił lotniczych odmówił jednak Harrisowi zgody na realizację zaproponowanej przezeń wersji działań z powodu zmienionych priorytetów: impas w polityce strategicznej trwał zatem nadal.

W styczniu 1945 roku, po rozpoczęciu ofensywy przez Rosjan, Harris znów napisał do Portalu. Jego pismo, przekazane adresatowi 18 stycznia, wydatnie przyspieszyło bieg spraw. Dowódca Bomber Command wyraził w nim dezaprobatę dla strategii bombardowań zakładów przetwórstwa paliw i przedstawił projekt zniszczenia „Magdeburga, Lipska, Chemnitz, Drezna, Wrocławia, Poznania, Halle, Erfurtu, Gothy, Weimaru, Eisenach oraz reszty Berlina” - było to przesunięcie akcentów, lecz jedynie z miast przemysłowych na te położone na wschodzie. Harris zakończył list sugestią, by Portal rozważył, „czy byłoby istotnie rzeczą najkorzystniejszą dla prowadzenia wojny i zwycięstwa naszego oręża, a przecież tylko to ma znaczenie”, żeby on, Harris, pozostał na stanowisku dowódcy Bomber Command. W obliczu przykrego wyboru pomiędzy utratą dowódcy (na dobitkę w krytycznym okresie wojny), cieszącego się jak nigdy wielką popularnością i szacunkiem wśród swoich podwładnych, a trwaniem impasu w kwestii priorytetów nalotów, sir Charles Portal wybrał drugą możliwość. W liście z 20 stycznia poprosił Harrisa

o niezgłaszanie dymisji, lecz także o przestrzeganie obowiązującego priorytetu, nawet jeśli nie jest przekonany o jego słuszności. W tych nerwowych okolicznościach bez mała tydzień później realizacja planu „Thunderclap”, szczytowej koncepcji w dziedzinie bombardowań strefowych, została bardzo istotnie przyspieszona. Niezależnie od rozmowy Bottomleya z Harrisem, Churchill również nalegał na przeprowadzenie nalotów na znajdujące się na wschodzie skupiska ludności.

Churchill analizował także raport Joint Intelligence Committee, dotyczący następstw najnowszej ofensywy radzieckiej. 25 stycznia wieczorem, przed wypiciem szklaneczki mocniejszego trunku w towarzystwie Harry'ego Hopkinsa, wysłannika prezydenta Roosevelta, zatelefonował do ministra lotnictwa Archibalda Sinclaira i zapytał go, co Bomber Command proponuje, żeby, jak to ujął, „polać Niemców podczas ich odwrotu z Wrocławia” (czasownik „polać”, *to baste, znaczy* w oryginale „polewać pieczeń tłuszczem”, lecz również „bić kijem albo pałą, grzmocić”)⁸. Nie było oczywiście żadnego wojskowego odwrotu z Wrocławia — kilka miesięcy wcześniej miasto to zostało ogłoszone twierdzą i przeprowadzono wyłącznie ewakuację ludności cywilnej. Historykom niechże zatem będzie wybaczona konstatacja, iż premier brytyjski dobierał słowa z wątpliwym smakiem. Ponieważ londyńska prasa publikowała wiele relacji o straszliwych scenach rozgrywających się w miastach na wschodzie, dokąd uchodźcy przybywali ze Śląska i z Prus Wschodnich, nie ma żadnych wątpliwości, jaki „odwrot” Churchill miał na myśli. Gazety pisały o tłumach uchodźców, dla których Berlin i miasta saksońskie były punktami etapowymi, oraz o wypełnionych ponad miarę pociągach przybywających z frontu wschodniego. Tamtego dnia „The Times” opublikował na pierwszej stronie informację,

że Hans Schwarz van Berg mówił w niemieckim radiu, iż pomimo ostrego mrozu kobiety i dzieci jechały nawet na buforach wagonów; niemniej, utrzymywał van Berg, to przemieszczanie się wielkich mas ludzkich nie zdezorganizowało życia w stolicy Rzeszy⁹.

Nacisk premiera na wprowadzenie tak drastycznej zmiany w dyrektywie przeznaczonej dla Bomber Command doprowadził do tego, że zaczęto prowadzić pospieszne zakulisowe rozmowy i konsultacje. 26 stycznia rano Portal wysłał Bottomleyowi notatkę, w której zaproponował, żeby zachować absolutny priorytet - bombardowanie niemieckich zakładów przetwórstwa paliw przed zakładami lotniczymi produkującymi odrzutowce oraz stoczniami, w których dokonywano wodowań okrętów podwodnych. Uwzględniając powyższą hierarchię celów, należałoby - proponował - opracować zmodyfikowaną wersję planu „Thunderclap”: określone w nim cele powinny w hierarchii ważności zająć trzecie miejsce (Portal wątpił, by nadszedł właściwy czas na wdrożenie planu w pełnym zakresie oraz w to, czy działania w nim przewidziane byłyby w ogóle skuteczne), ostatecznie trzeba przeprowadzić jeden wielki nalot na Berlin i uzupełniające naloty na Drezno, Lipsk, Chemnitz oraz inne miasta, aby potężnym atakiem powietrznym „nie tylko zdezorganizować ewakuację ze wschodu, lecz również utrudnić przemieszczanie wojsk z zachodu”.

Minister lotnictwa otrzymał kopię notatki Portalu; miał ją na biurku, gdy 26 stycznia odpowiadał na piśmie Churchillowi, który zatelefonował do niego poprzedniej nocy. Minister powziął fałszywe przekonanie, iż premier chciałby zatrzymać wojska niemieckie wycofujące się na zachód, do Drezna i Berlina - odpowiedział więc, że taka koncepcja jest przedmiotem rozważań. Nakłaniał również Churchilla, by nie domagał się przeprowadzenia nalotów na te położone na wschodzie skupiska ludności, ponieważ do ataków na linie komunikacyjne byłoby korzystniej użyć średnich bombowców oraz lotnictwa taktycznego, zwłaszcza gdyby zimowe warunki atmosferyczne wykluczyły rozpoczęcie realizacji operacji „Thunderclap” i przewidzianych w jej ramach działań mających trwać trzy lub cztery dni. Sinclair zalecał kontynuowanie udanej ofensywy przeciw zakładom przetwórstwa paliw, argumentując, iż choć nie daje to

tak dramatycznych efektów jak ogień trawiący niemieckie miasta na oczach podchodzących pod ich bramy Rosjan, pozytywne efekty podobnej operacji „odczuliby w równej mierze Rosjanie, co i my”. Dodawał ponadto, że nie wolno dopuścić do utrudniania realizacji tych działań¹⁰.

Premier był zaabsorbowany planami na konferencję jałtańską i, jak się wydaje, poświęcił większą uwagę jedynie kilku pierwszym zdaniom rozwlekłej notatki sir Archibalda Sinclaira. Ignorując przedstawione w niej precyzyjne i przekonujące argumenty, *przekazał* ministrowi zdumiewająco kostyczną odpowiedź: „Przecież nie indagowałem Pana ostatniej nocy o plany dotyczące nękania niemieckiego odwrotu z Wrocławia. Wprost przeciwnie, pytałem Pana, czy Berlin i oczywiście inne duże miasta położone na wschodzie Niemiec należałoby obecnie uznać za cele szczególnie warte zbombardowania. Cieszę się, że jest to «przedmiotem rozważań» - dodał, naśladując złośliwie styl pisma ministra reprezentującego partię liberalną - a zatem niech Pan będzie łaskaw zameldować mi jutro, co zostanie w tej mierze przedsięwzięte i zrobione”¹¹.

Bezpośrednim następstwem tej ostrej riposty była panika w sztabie lotnictwa, gdzie sir Norman Bottomley, zastępca szefa sztabu, pełnił obowiązki sir Charlesa Portala przed jego wyjazdem do Jałty. W efekcie sir Arthur Harris otrzymał list zawierający instrukcję, w której nie pozostawiono żadnych wątpliwości, że skupiska ludności na wschodzie, w tym również Drezno,

staną się niebawem celem działań przewidzianych w zmodyfikowanej wersji operacji „Thunderclap”¹². Bottomley przypomniał Harrisowi ich rozmowę telefoniczną sprzed dwóch dni, w której rozmawiali o nalotach na dzielnice przemysłowe Berlina, Drezna, Chemnitz i Lipska. Bottomley dołączył do listu kopię raportu Joint Intelligence Committee z 25 stycznia, w którym zawarta była między innymi analiza planu przeprowadzenia w ramach „Thunderclap” nalotu na Berlin. Dodał jednak, że według Portala nie są wskazane w najbliższej przyszłości naloty na stolicę Rzeszy w skali przewidzianej planem tej operacji, a to z uwagi na wątpliwości, czy nalot taki, nawet najbardziej zmasowany i z następstwami w postaci ogromnej liczby ofiar, miałby rozstrzygające znaczenie. Portal zgodził się wszelako z wnioskiem zawartym w raporcie, iż Bomber Command powinno użyć wszystkich sił, jakimi dysponuje, w jednym wielkim nalocie na Berlin oraz towarzyszących mu nalotach na Drezno, Lipsk, Chemnitz i inne miasta, „gdzie potężne bombardowanie nie tylko zdeorganizuje ewakuację ze wschodu, lecz również zahamuje przemieszczanie się wojsk z zachodu”.

Sir Norman Bottomley zakończył swój list do Harrisa oficjalną prośbą, by uwzględniając nadrzędne wymagania niszczenia zakładów przetwórstwa paliw, a także innych instalacji przemysłowych zatwierdzonych przez obowiązującą dyrektywę [nr 3], gdy tylko umożliwią to warunki atmosferyczne, Bomber Command rozpoczęło naloty na położone na wschodzie skupiska ludności, „ze szczególnym celem w postaci wykorzystania chaosu i zamieszania, które bezsprzecznie panują w wyżej wspomnianych miastach podczas rozwijanej z powodzeniem ofensywy wojsk radzieckich”.

Nie przewidywano jednak, żeby przed 4 lutego nastąpiła poprawa pogody, o czym Churchilla poinformowano natychmiast po tym, jak list Bottomleya został przekazany sir Arthurowi Harrisowi. Nazajutrz, 28 stycznia, gabinet premiera potwierdził oficjalnie jego otrzymanie. Ale Churchill zadbał o realizację swojego planu politycznego: niebawem, po 4 lutego, w szczytowym okresie konferencji jałtańskiej, dokonał dramatycznego uderzenia na wschodnie niemieckie miasto; uderzenie to wywarło odpowiednie wrażenie na delegacji rosyjskiej. Churchill nie mógł jednak przewidzieć, że upłynie faktycznie dziewięć dni (i konferencja się zakończy), nim powróci pogoda sprzyjająca operacjom o tak dalekim zasięgu.

Tymczasem sir Norman Bottomley podjął próbę wciągnięcia Amerykanów do kampanii nalotów na

wschodnie niemieckie miasta. Istnieją przesłanki wskazujące na to, że zarówno generał George C. Marshall, jak i generał Carl A. „Tooney” Spaatz, dowódca amerykańskich lotniczych sił strategicznych, znali modyfikowany i rozwijany wówczas plan bombardowań tych miast i zasadniczo go popierali¹³. 9 października 1944 roku Eisenhower omawiał ze Spaatzem projekt przeprowadzenia wielkiego nalotu na Berlin. Wydział wojny psychologicznej Ike'a sugerował, żeby nadać mu pozory uderzenia w struktury administracji nazistowskiej i odeprzeć w ten sposób ewentualne zarzuty o dokonanie nalotu terrorystycznego¹⁴.

Większość amerykańskich generałów była przeciwna bombardowaniu ludności cywilnej, ale nie dysponujemy żadnymi dowodami na to, żeby podobne obiekcje wyrażali kiedykolwiek ich brytyjscy odpowiednicy¹⁵. Brytyjczycy próbowali wręcz nakłonić dowództwo amerykańskiego lotnictwa strategicznego do uczestnictwa w takich nalotach. 15 września generał H. H. („Hap”) Arnold, dowódca amerykańskiego lotnictwa wojsk lądowych, oraz admirał William D. Leahy, szef osobistego sztabu Roosevelta, sprzeciwili się temu na spotkaniu z amerykańskim Joint Chiefs of

Staff⁶. Sprzeciw ów wyrażono dobitnie w drugiej połowie 1944 roku, kiedy kilku specjalistów alianckich, działając pod wpływem sugestii profesora Solly'ego Zuckermana, opracowało plan oznaczony kryptonimem „Clarion” („Trąbka”), dotyczący przeprowadzenia zmasowanych nalotów na niemiecką sieć transportową. Zamierzano zastosować w nich bombardowania z niskiego pułapu; wszystkie samoloty miały też ostrzeliwać cele naziemne z broni pokładowej¹⁷. Wielu amerykańskich generałów oceniało ten plan negatywnie. Generał Charles P. Cabell, doradca generała Arnolda, odrzucał wszelkie koncepcje, których następstwem byłoby zabijanie bezbronnych kobiet i dzieci*. Gdy zastępca Spaatza, generała dywizji Frederick L. Andersen, przekazał ów plan bezpośrednio do dowództwa 15. Air Force, prosząc o uwagi i komentarze, wywołał tym nieprzychylną reakcję generała brygady Iry C. Eakera, dowódcy 8. Air Force. 1 stycznia 1945 roku Eaker napisał do Spaatza, że „towarzystwo” od Zuckermana najwyraźniej „dostało fioła na punkcie sieci transportowej”, choć Niemcy mają najlepszą taką sieć na świecie; optymalnym celem, wywodził, byłyby niewątpliwie niemieckie rezerwy paliwa „i wtedy naprawdę ucapilibyśmy Huna za kark”. Eaker podkreślił, że realizacja operacji „Clarion” wywołałaby w Niemczech przeświadczenie, iż alianci to barbarzyńcy: „Ponieważ stało się dla nich całkiem oczywiste, że jest to przede wszystkim potężny atak na ludność cywilną”. Na dobitkę, założenia planu całkowicie zaprzeczyły ustaleniom Spaatza i Roberta Lovetta, amerykańskiego zastępcy sekretarza stanu do spraw działań lotniczych w Departamencie Wojny, dotyczącym ograniczenia działań wyłącznie do celów wojskowych. „Jeśli kiedykolwiek nadejdzie czas - napisał w swoim liście Eaker - że zechcemy zaatakować ludność cywilną powodowani potrzebą złamania jej morale, wówczas taki plan [«Clarion»] będzie prawdopodobnie najlepszym rozwiązaniem. Jednakże

osobiście jestem ze wszech miar przekonany, że Ty i Bob Lovett macie słusność i że nigdy nie powinniśmy dopuścić do tego, by przebieg wydarzeń ostatniej wojny skłonił i nas do skierowania bombowców strategicznych przeciwko zwykłym ludziom”¹⁹.

A zatem, doprowadzenie do tego, żeby dywizjony amerykańskich ciężkich bombowców stały się realizatorami jakiegokolwiek wersji operacji przewidzianej planem „Clarion”, wymagało dyplomacji. 28 stycznia sir Norman Bottomley wykorzystał sposobność, żeby podczas lunchu spożywanego w Bovingdon z generałem Spaatzem przedstawić nowe priorytety celów. Chciał -jak to ujął - wykorzystać rozwój sytuacji na wschodzie. Poprzednia dyrektywa nr 3 alianckich strategicznych sił lotniczych, obowiązująca od 15 stycznia, wydawała się wykluczać naloty na cele położone na wschodzie, przewidywała bowiem, iż: „strategiczne siły lotnicze, bazujące w Zjednoczonym Królestwie, położą szczególny nacisk w swoich działaniach na znajdujące się w Zagłębiu Ruhry linie komunikacyjne”.

Według założeń nowej, oczekującej na ogłoszenie, doktryny absolutnie najważniejszym celem miały

być wytwórnice paliw syntetycznych, jednak dla bombowców strategicznych operujących z Wielkiej Brytanii celem numer dwa stały się Berlin, Lipsk, Drezno oraz inne skupiska ludności na wschodzie; naloty miały dezorganizować ewakuację ludności ze wschodu oraz hamować przemieszczanie się wojsk niemieckich. Zapoznany z planem generał Spaatz mógł następnie udzielić instrukcji generałowi brygady Jimmy'emu Doolittle'owi z dowództwa 8. Bomber Command, które - podobnie jak RAF - mieściło się przy High Wycombe. Dotyczyły one przeprowadzenia nalotu na Berlin.

W raporcie skierowanym do sir Charlesa Portal, dotyczącym tych ustaleń, Bottomley napisał, że Rosjanie „mogą chcieć poznać nasze zamiary dotyczące atakowania celów we wschodniej części Niemiec”. Sprawy mógł jednak skomplikować fakt,

że w listopadzie 1944 roku zamknięto brytyjską misję wojskową w Moskwie, kiedy generał dywizji M. B. Burrows został tam uznany za osobę niepożądaną. Rosjanie zaś, którzy nie uznawali istnienia sił lotniczych odrębnych od pozostałych rodzajów broni, nie zgodzili się na utworzenie misji lotniczej; łączność z radzieckim Sztabem Generalnym w Moskwie Brytyjczycy musieli z konieczności utrzymywać za pośrednictwem amerykańskiej misji wojskowej (podlegającej generałowi J. R. Deane'owi), szczególnie liczącą się z szefem jej wydziału lotniczego generałem brygady Edmundem B. Hillem²⁰.

Generała Spaatza głęboko zaniepokoiły zmiany w hierarchii celów. Zażądał, żeby notatkę Bottomleya, przeznaczoną dla Portal, w której wyraźnie wspomniano o koncepcji przypominającej pod wieloma względami amerykańskie bombardowania celów powierzchniowych, przekazano także generałowi Laurence'owi Kuterowi, który zastępował w Jalcie przebywającego na rekonwalescencji generała Arnolda. Prawdopodobnie Spaatz, który coraz dobitniej krytykował bombardowania strefowe, szukał u zwierzchników potwierdzenia dla nowej strategii. Jednak brytyjscy oficerowie lotnictwa przekazali wiadomość generałowi Kuterowi dopiero 13 lutego, kiedy amerykańskie siły lotnicze zaangażowały się już na dobre w realizację koncepcji.

Rozważając rzecz retrospektywnie, nietrudno się domyśleć, co sir Norman Bottomley powiedział sprytnemu amerykańskiemu generałowi podczas lunchu w Bovington. Spaatz nie pozwalał, żeby jego bombowce dokonywały nalotów terrorystycznych na skupiska ludności, ale nie byłoby łatwo odmówić atakowania celów wojskowych położonych w centrach obszarów mieszkalnych. Amerykanie byli jednak świadomi tego, że naloty dzienne wykonywane na ślepo na cele wojskowe położone na terenach mieszkalnych byłyby w równej mierze destrukcyjne co nocne naloty brytyjskie prowadzone na ślepo na tereny miesz-

kalne. (26 stycznia generał brygady Jimmy Doolittle otrzymał wiadomość, że podczas wykonywania nalotów na ślepo przez pilotów amerykańskiego 8. Bomber Command przeciętny prawdopodobny uchyb kołowy trafiający w cel wynosił około 3 kilometrów, co „narzucało konieczność nasycenia danego obszaru bombami w celu osiągnięcia jakichkolwiek efektów”). Charakterystyczne, że gdy generał brygady Kuter, a następnie generał Arnold, dowiedzieli się o wprowadzeniu zmian do strategii bombardowań, natychmiast odwołali naloty tego typu.

29 stycznia 1945 roku wieczorem, po posiedzeniu rządu, które odbyło się w podziemnej sali narad z uwagi na trwające ostrzeliwanie Londynu pociskami V, Churchill poleciał samolotem przez Francję na Maltę, gdzie przed dalszą podróżą do Jałty miał rozmawiać z przedstawicielem amerykańskiego Joint Chiefs of Staff i prezydentem Rooseveltem²¹.

Dwa dni później sir Charles Portal poinformował szefa Imperialnego Sztabu Generalnego (Brooke'a) oraz sztabu morskiego (Cunninghama) o swoich planach użycia bombowców strategicznych - w celu udzielenia wsparcia Rosjanom - do dokonania „ciężkich nalotów na cztery miasta: Berlin, Drezno, Lipsk i Chemnitz”, w których, jak sądził, chaos i zamieszanie, jakie najprawdopodobniej wywołają, sparaliżuje

translokację niemieckich sił pomiędzy frontem zachodnim i wschodnim²². Tego samego dnia, 31 stycznia, Tedder (zastępca Eisenhowera) oraz członkowie jego sztabu lotniczego odnotowali, że sprawą numer dwa dla alianckich strategicznych sił powietrznych powinno być „zaatakowanie Berlina, Lipska i Drezna oraz związanych z nimi miast, w których ciężki nalot wprowadzi zamęt i chaos do ewakuacji ludności cywilnej ze wschodu i utrudni przemieszczanie przez Niemców wzmocnień z innych frontów”²³.

1 lutego SHAEF postanowiło złamać niemiecką wolę stawiania oporu, demonstrując straszliwą potęgę alianckich sił lotniczych²⁴. Miała to być pierwsza demonstracja przewidziana w ramach operacji „Clarion” (zmasowanego dwudniowego nalotu). Oficjalna nazwa tego przedsięwzięcia to: „Plan generalny atakowania przy maksymalnym nakładzie sił celów związanych z systemem transportowym”²⁵. Generał George C. Marshall, szef sztabu amerykańskich wojsk lądowych, zdecydowanie poparł ten plan. Zaproponował nawet przeprowadzenie nalotu na Monachium, aby wywołać maksymalną panikę wśród uchodźców i wykazać Niemcom beznadziejność ich położenia²⁶. Poprzedniego dnia brytyjskie i amerykańskie lotnictwo rozpoczęło realizację operacji „Clarion”. W depeszy wysłanej do dowódców jednostek Spaatz przedstawił jej militarne znaczenie. Dodał również, iż za wszelką cenę należy uniknąć wrażenia, że właściwym celem jest w tym wypadku sterroryzowanie ludności cywilnej²⁷. Realizację operacji rozpoczęto oficjalnie 22 lutego; Amerykanie dokonali „Marshallowskiego” nalotu na Monachium trzy dni później.

Tymczasem przedstawiciele Połączonego Komitetu Szefów Sztabu - Brytyjczycy i Amerykanie - spotkali się na Malcie ostatniego stycznia. Zdecydowali tam ostatecznie o włączeniu bombowców strategicznych do zmagania wojennych na wschodzie. Według zmodyfikowanej dyrektywy, wydanej 31 stycznia z Malty, naloty na Berlin, Lipsk, Drezno oraz inne miasta: „tam, gdzie ciężkie naloty wprowadzą chaos i zamieszanie do ewakuacji ludności cywilnej ze wschodu oraz utrudnią Niemcom przemieszczanie wzmocnień” spadły na drugie miejsce w hierarchii celów (poprzedzały je naloty na zakłady produkcji paliw syntetycznych). „Utrudnianie przemieszczania wzmocnień”: wszelkie odniesienia do mechów wojsk stały się odtąd czystą formalnością, wyrażaną za pomocą tylko tych trzech słów. Nowa dyrektywa zepchnęła na trzecią pozycję w hierarchii ważności naloty na kompleks komunikacyjny Zagłębie Ruhry - Kolonia - Kassel. 2 lutego generał brygady przekazał z Malty generałowi Spaatzowi zmodyfikowaną dyrektywę: „Tylko dla Pańskich oczu. Poufne”.

Tego samego dnia, w piątek, odbywało się w Londynie 16. posiedzenie Combined Strategic Targets Committee (CSTC)²⁸. W sali 81/1 w gmachu Ministerstwa Lotnictwa przy Whitehall pod przewodnictwem komodora powietrznego S. O. Buffona, dowódcy operacji bombowych, spotkało się 19 oficerów reprezentujących sztab RAF, Bomber Command, Ministerstwo Wojny Ekonomicznej, SHAEF oraz amerykańskie siły lotnicze. Pierwszym punktem porządku dziennego był postulat zniszczenia miast we wschodnich oraz środkowych Niemczech w celu zakłócenia ruchu uchodźców podążających na zachód oraz transportów wojskowych przemieszczanych w kierunku wschodnim. Wymieniono wyraźnie w tym kontekście Berlin, Drezno i Lipsk oraz „miasta z nimi związane”; to nieprecyzyjne sformułowanie dało asumpt do dyskusji. Tamtego dnia, 2 lutego, gdy w Londynie otrzymano (niezgodne z prawdą) meldunki, jakoby część jednostek 6. Armii Pancerniej SS, dowodzonej przez obergruppenfuhrera „Seppa” Dietricha, translokowano z frontu zachodniego na wschód, brytyjscy zastępcy szefów sztabów zasugerowali użycie środków nadzwyczajnych w celu zatrzymania tych transportów. Miały to być naloty na cele stanowiące ważne ogniwa w niemieckim systemie komunikacyjnym, znajdujące się na południe i na wschód od Berlina - w kontekście tym wymieniono sam Berlin i Drezno²⁹. Niewątpliwie istniała jakaś zмова pomiędzy zastępcami szefów sztabów CSTC. Zastępcy przekazali natychmiast telegraficznie na Maltę szczegółowe propozycje, sugerując, żeby celami o priorytetowym charakterze stały się „centralne punkty na obszarach ewakuacji”, położone poza linią frontu zachodniego, na przykład Berlin, Lipsk, Drezno i

Chemnitz³⁰.

3 lutego, w sobotę, po przewycięzeniu wszelkich złych przeczuć, jakie mogłyby go powstrzymać, Spaatz wysłał 1003 amerykańskie ciężkie bombowce, które miały dokonać dziennego nalotu na Berlin, zrzucając 2265 ton bomb. Tym razem przyznano otwarcie, że efektem ataku ma być uzyskanie jak największej liczby ofiar oraz wprowadzenie chaosu i zamieszania wśród uchodźców, przybywających tłumnie do stolicy Rzeszy. Choć załogi B-17 poinformowano, że miasto stanowi aktualnie punkt tranzytowy dla 6. Armii Pancерnej zdążającej na front rosyjski, z zapisków w dzienniku jednego z bombardierów niedwuznacznie wynika, jaki był rzeczywisty cel nalotu. „Zgasiliśmy [zabiliśmy] kobiety i dzieci!”. Jako cele wyznaczono „Latającym Fortecom” obiekty wojskowe, położone jednak w centrum terenów mieszkalnych i handlowych. Choć większość artylerii przeciwlotniczej została wycofana na front odrzański, nad miastem zestrzelono 21 B-17, a 93 uszkodzono³¹.

Według raportów niemieckich, na które powoływano się w Szwecji, zginęło ponad 25 tysięcy ludzi, ciężkie straty dotknęły uchodźców. Powyższe dane były zawyżone - w dzienniku Oberkommando der Wehrmacht napisano, że zginęło mniej niż tydzień osób, jednak dowódcy amerykańscy nie mogli mieć żadnych wątpliwości co do prawdopodobnych skutków kolejnych takich dokonywanych na ślepo nalotów. Generał Spaatz, który przebywał na rekonwalescencji po chorobie, autoryzował nalot sił 8. Air Force na Drezno, zanim do świadomości alianckich dowódców dotarły w pełni następstwa ataku na Berlin. 8 lutego podczas narady dowódców podległych mu sił lotniczych Spaatz podkreślił jego spektakularne efekty; dodał również, że według wszelkich przypuszczeń „6. Armia Pancerna” przemieszczała się tranzytem przez stolicę Niemiec, żeby wzmocnić siły niemieckie na froncie wschodnim.

Po tym nalocie ambasador Japonii w Berlinie wysłał do Tokio depezę przejętą i odczytaną przez Brytyjczyków; napisał w niej, że niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowano, iż jeden z dyplomatów państw neutralnych w Berlinie „w telegramie wysłanym do swojego rządu poprosił go o wywarcie wpływu na Wielką Brytanię i Amerykę, żeby wstrzymały naloty terrorystyczne, ponieważ popychają one naród niemiecki w ręce Rosji”³².

Przebywający w Jalcie generał Kuter, zaniepokojony doniesieniami agencyjnymi o tym, że następstwem nalotu była masakra ludności cywilnej, zapytał 13 lutego telegraficznie Spaatza, czy zmodyfikowana dyrektywa z 31 stycznia dopuszcza, jak to określił, „masowe naloty” na miasta³³. Również z Waszyngtonu podobne pytanie zadał generał dywizji Barney M. Giles; stało się to nazajutrz, 14 lutego, lecz wtedy Amerykanie już bombardowali płonące setkami pożarów Drezno³⁴. Spaatz, poirytowany tymi indagacjami, udzielił wymijającej odpowiedzi: wyjaśnił, że jego dowódcy przestrzegają zaleceń zawartych w dyrektywie nr 3 w jej oryginalnej wersji, nie zaś zmodyfikowanej 31 stycznia; jego dywizjony nie dokonują więc masowych bombardowań na ślepo, lecz atakują instalacje i urządzenia należące do systemu transportowego znajdujące się w obrębie miast. Wszystko to zaś odbywa się w ramach operacji, o które prosili Rosjanie i których znaczenie, jak należy sądzić, doceniają³⁵.

Jednakże fałszywej opinii, że Drezno jest ważnym celem przemysłowym, nie uznawano wtedy bez zastrzeżeń. Wydział War Office, do którego zadań należało informowanie szefa Sztabu Imperialnego o wszystkich sprawach dotyczących lotnictwa, w pełni opowiadał się za dokonywaniem nalotów na zakłady produkcji paliw syntetycznych, ale dość nieufnie traktował koncepcję objęcia lotniczą ofensywą strategiczną miast niemieckich.

Gdy Rosjanie zażądali w ogólnych słowach, żeby alianci zaatakowali z powietrza niemieckie węzły komunikacyjne, sporządzono mapę, na której zaznaczono niektóre z nich - uznane za odpowiednie. Wśród miast uwzględnionych na mapie znajdowało się Drezno, ponieważ zaliczenie go do tej właśnie kategorii okazało się „zupełnie możliwe”. Co prawda, miasto to „bezsprzecznie nie było ważnym ośrodkiem

przemysłowym"; z informacji, którą wspomniany wydział miał dostarczyć szefowi Sztabu Imperialnego, wynikało, iż: „służyło ono jako węzeł transportowy nie tyle armii niemieckiej, ile ogromnej liczbie uchodźców z frontu sowieckiego”³⁶.

Tymczasem na Krymie mijały dni, lecz nic nie było słyhać o wielkiej operacji „Thunderclap”, zarządzanej tak władczo przez Churchilla. 4 lutego spotkał się on z Rooseveltem i Stalinem. Radziecki przywódca zaprosił na naradę generała Anionowa, zastępcę szefa Sztabu Generalnego, który miał omówić bieżącą sytuację na froncie wschodnim. Antonow przedstawił trzy żądania, z których jedno dotyczyło użycia przez sprzymierzonych lotnictwa w celu niedopuszczenia do przerzucenia przez nieprzyjaciela jednostek z innych teatrów wojny na wschód. (Radziecki generał nie wymienił jednak w tym kontekście Drezna, sugerował natomiast zbombardowanie Berlina i Lipska)³⁷.

Choć Wielka Trójka nie omawiała w Jałcie kwestii zmasowanych nalotów na skupiska ludności cywilnej, warto zauważyć; że Churchill potraktował to, czy niemieckich cywilów należałoby spisać na straty, czy też nie, nader, by tak rzec, trzeźwo i rozsądnie. Gdy wspominał o kłopotach, jakie prawdopodobnie następcy zachodnim aliantom zapewnić kwater oraz żywności uchodźcom z Prus Wschodnich i Śląska (było ich około 6 milionów) w wyznaczonej pod ich jurysdykcję strefie zachodnich Niemiec, Stalin skwitował to jakimś dowcipnym powiedzeniem. „Jednak należałoby się zastanowić - zaproponował Churchill, jak czytamy w stenografowanym zapisie ich rozmowy - **gdzie** są ci Niemcy, którzy uciekli? Czy znajdzie się dla nich miejsce w tym, co pozostało z Niemiec? Zgładziliśmy jak dotychczas sześć albo siedem milionów Niemców, a zapewne do końca wojny zgładzimy jeszcze milion albo coś koło tego”³⁸.

W dniach 4 i 5 lutego zła pogoda uniemożliwiła Brytyjczykom i Amerykanom przeprowadzenie dalekosiężnych nalotów, 6 lutego zaś spowodowała, że zrezygnowano z punktowego bombardowania zakładów przetwórstwa paliw na rzecz celów drugorzędnych: stacji rozrządowych w Chemnitz (48 kilometrów na południowy zachód od Drezna) oraz w Magdeburgu. Na każde z tych miast zrzucono około 800 ton bomb, co ogólnie rzecz biorąc, czyniło zadość radzieckiemu żądaniu. Ale chwila, gdy na Drezno miały spaść brytyjskie lub amerykańskie bomby, była już blisko.

W dniach 7 i 8 lutego przeprowadzenie nalotów dziennych na niemieckie cele uniemożliwiały pogarszające się warunki atmosferyczne. 7 lutego poseł laburzystowski zażądał w Parlamencie udzielenia informacji, kiedy Chemnitz, Drezno, Dessau, Freiberg i Wurzburg, „które to miasta zostały dotychczas niewiele lub zgoła wcale doświadczone w tym względzie”, zostaną zbombardowane.

Tego samego dnia (choć być może ów poseł nic o tym nie wiedział) autoryzowano rozkaz, w którym Drezno figurowało jako cel do zbombardowania przy najbliższej okazji. Ostateczna decyzja należała do SHAEF, działającego z rekomendacji swojego Combined Strategic Targets Committee (SSTC) oraz Joint Intelligence Committee³⁹. Poczynając od października 1944 roku - narady CSTC odbywały się w gmachu Ministerstwa Lotnictwa przy Whitehall. Gdy w Parlamencie trwało wystąpienie wspomnianego posła, tego samego dnia, we środę 7 lutego, w pokoju 81/1 ministerstwa rozpoczęło się o 14.45 posiedzenie

CSTC⁴⁰. Obecni na nim oficerowie stwierdzili jednogłośnie, że naloty strefowe przeprowadzone w ostatnich miesiącach drastycznie zmniejszyły liczbę celów. Podjęto więc stosowne decyzje. 8 stycznia przekazano dalekopisem nowy tajny wykaz celów, który otrzymali Bomber Command, dowództwo amerykańskich strategicznych sił lotniczych oraz kwatera główna SHAEF⁴¹. Oto fragment pierwszego akapitu tego dokumentu: „Wytypowano następujące cele pod względem ich znaczenia w odniesieniu do ruchów ewakuacyjnych z frontu wschodniego oraz do przerzucania stamtąd przez nieprzyjaciela jednostek wojskowych:

- | | |
|-------------|------------|
| 1. Berlin | 6. Plauen |
| 2. Drezno | 7. Dessau |
| 3. Chemnitz | 8. Poczdam |

4. Lipsk
5. Halle

9. Erfurt
10. Magdeburg"

W następnym akapicie wymieniono 17 celów zastępczych, które miały zostać zaatakowane, gdyby zła pogoda wykluczyła przeprowadzenie nalotów na cele główne.

Ofensywa nalotów strefowych na niemieckie miasta miała niebawem osiągnąć punkt kulminacyjny.

Gdy radziecka ofensywa pancerna zatrzymała się na linii Odry, liczba uchodźców przybywających do Drezna była jeszcze większa. Kiedy jednak 8 lutego Rosjanie sforsowali w wielu punktach rzekę, obszary położone w jej zachodnim sąsiedztwie stały się polem walki. Uciekinierzy z tych terenów, mający zaledwie kilka dni, żeby ująć przeciwnikowi i znaleźć bezpieczne schronienie, wyruszyli w szalonym ludzkim pochodzie zmierzającym na zachód; jednocześnie Rosjanie rozpoczęli manewr kleszczowy, mający na celu odcięcie i oblężenie Wrocławia.

Rozpoczęła się również ewakuacja zachodniego Śląska. Spośród 35 tysięcy mieszkańców Zielonej Góry, dzięki wydanym w porę przez partię rozkazom ewakuacyjnym, uszli niemal wszyscy, wyjąwszy 4000. Mieszkańcom innych miast nie dopisało szczęście. Legnicę wyznaczono jako punkt zborny dla uciekinierów z miast położonych na wschód od Odry; liczba jej mieszkańców (76 tysięcy) powiększyła się niebawem kilkakrotnie na skutek masowego napływu uchodźców. Ponieważ ludzie ci, w przeciwieństwie do uciekinierów z innych obszarów, nie dysponowali środkami transportu, około 20 tysięcy, cywilnych Niemców pozostało w mieście (drugim pod względem wielkości na Śląsku Zachodnim) zajęтым niebawem przez Rosjan. Cywile ci doświadczyli okrutnych prześladowań ze strony żołnierzy radzieckich i polskiej mniejszości.

Skalę tej migracji, która była przyczyną tragedii Drezna i jednocześnie zwiększyła jej rozmiary, można określić jedynie w przybliżeniu. Na początku roku 1945 ludność Śląska liczyła około 4 milionów 718 tysięcy osób, z których około 1 milion 500 tysięcy nie zdołało ewakuować się na czas lub też z uwagi na swoje polskie pochodzenie pozostało w miejscu zamieszkania. Z 3 milionów 200 tysięcy, które uszły przed Rosjanami, połowa szukała schronienia w Czechach i na Morawach; ludzie ci nie spodziewali się, że po powstaniu w Czechach doświadczą okrutnych rasistowskich prześladowań. Pozostała część Ślązaków (około 1 milion 600 tysięcy) uszła w głąb Niemiec. Tamtej nocy, kiedy Drezno dotknął wymierzony z powietrza potrójny cios, uchodźcy ze Śląska stanowili prawdopodobnie 80 procent ewakuowanych, którzy napłynęli tłumnie do miasta. W przeddzień nalotu przybyło tam tylu Ślązaków, mieszkańców Prus

Wschodnich i Pomorza, osób uchodzących z obszarów wschodniego frontu, berlińczyków i Nadreńczyków z zachodu (na dobitkę przebywali tam również jeńcy alianccy i rosyjscy, ewakuowane dzieci oraz robotnicy przymusowi różnych narodowości), że ludność miasta wzrosła do 1 miliona 200 tysięcy - 1 miliona 400 tysięcy osób, z których setki tysięcy nie miały dachu nad głową, nie wspominając już o możliwości ocalenia życia w schronach przeciwlotniczych⁴².

12 lutego w południe, gdy do Drezna przybył ostatni pociąg ze wschodu, skierowany tam w ramach planu ewakuacji, miasto pękało w szwach. Pierwsze transporty ewakuacyjne miały wyruszyć na zachód kilka dni później.

Wciąż jednak przybywały kolumny uchodźców podążających piechotą lub korzystających z wozów konnych; była to niekończąca się ludzka rzeka napływająca autostradą ze wschodu. Nie wszyscy przybysze byli cywilami: znajdowali się wśród nich również żołnierze, którzy zagubili swoje jednostki na

froncie. Posterunki żandarmerii znajdujące się na obrzeżach miasta usiłowały opanować ów *Ruckstau Ost* („Zryw na wschód”) i kierować żołnierzy do punktów zbornych. Nie znajduje potwierdzenia rosyjska teza, że samo Drezno stanowiło wojskowy punkt zborny. Żandarmeria kierowała zagubionych żołnierzy do takich punktów usytuowanych poza obszarem miejskim. Również grupy uchodźców kierowano na omijające miasto trasy, ponieważ bezpośrednie drogi dojazdowe blokowały kolumny wozów konnych (nieraz długości 300 metrów); pieszym uchodźcom pozwalano na wejście do miasta, informując ich jednak, że przed upływem trzech dni będą musieli wyruszyć w dalszą drogę⁴³.

Uchodźcy byli w większości wieśniakami, mieszkającymi daleko od ponurych zjawisk, jakie niosła nowoczesna wojna, w rolniczych osiedlach położonych wśród wschodnich moczarów. Jedynie nieliczni słyszeli kiedykolwiek w życiu dźwięk syren - które teraz milczały - obwieszczających alarm lotniczy. Przez sześć dni poprzedzających potrójne uderzenie nie włączano ich w Dreźnie. Wszyscy ci chłopcy, którzy skorzystaliby z polityki „lebensraumu”, stworzonej dla nich przez Hitlera na wschodzie, mieli teraz paść ofiarą słodkiej zemsty aliantów, ginąc w najkrwawszej masakrze prowadzonej w Europie wojny. Drezno, jak sucho napisali oficjalni historycy, stało się „samo w sobie pożądanym celem nalotów”.

Zaliczenie Drezna do kategorii takich celów zaskoczyło nie tylko Harrisa i Saundby'ego, lecz także sztab wywiadu Bomber Command. Poczynając od roku 1944, oprócz dyrektyw wydawanych co pewien czas i przeznaczonych dla tych dwóch dowódców alianckiego lotnictwa bombowego, Bomber Command otrzymywało cotygodniową listę celów priorytetowych. Sporządzał ją Combined Strategic Targets Committee, połączony komitet, w którym zasiadali przedstawiciele dowództw lotniczych brytyjskich i amerykańskich oraz wydziału wywiadu SHAEF. Bomber Command wybierało z tych zestawień konkretny cel, kierując się prognozami meteorologicznymi oraz podobnymi względami taktycznymi. Niekiedy żądano przeprowadzenia nalotu na cel lub cele nieuwzględnione w wykazie, wtedy jednak Bomber Command informowano o przyczynach takiej decyzji. Drezno nigdy dotychczas nie figurowało na żadnej z tych sporządzanych co tydzień list; w rezultacie wydział wywiadu Bomber Command stanął przed problemem, ponieważ nie dysponował dostatecznymi materiałami, aby przygotować nalot na to miasto.

Według kilku relacji Harris nie był zachwycony. „Faktycznie upewnialiśmy się, czy istnieją zamiary zbombardowania Drezna” - wspominał później Saundby⁴⁴. Jak sugerował generał brygady lotnictwa Richard Harrison, oficer operacyjny w Bomber

Command, a potem dowódca grupy bombowej, gdy Harris przeczytał ów rozkaz, powiedział: „Toż to wariactwo”. Pojechał samochodem do Londynu, gdzie usłyszał jednak: „Proszę kontynuować pracę i wykonywać to, czego się od Pana żąda”⁴⁵.

Poczynając od 8 lutego 1945 roku, sekcja meteorologiczna Bomber Command nie przewidywała pogody sprzyjającej dalekiemu nalotowi nad obszar środkowych Niemiec. Działając z upoważnienia Harrisa, sir Robert Saundby indagował Ministerstwo Lotnictwa w kwestii rozkazu zaatakowania Drezna. Zaproponował, aby - zważywszy na dostarczone przez Bomber Command informacje - ministerstwo jeszcze raz rozpatrzyło, czy na liście celów powinno rzeczywiście figurować Drezno - nim Bomber Command rozpocznie zgodne z procedurą przygotowania. Harris i jego podwładni nie kwestionowali jednak pochopnie otrzymanych poleceń, a wszelkie rozmowy na ten temat prowadzili z sir Normanem Bottomleyem lub z jego przedstawicielem przez telefon zaopatrzony w urządzenie szyfrujące, tzw. scrambler. „Nie śpieszyło się nam lecieć tak daleko - wspominał sir Robert Saundby - na dobitkę odrywało to nas od wykonywanych w tym czasie zadań”. Poprzednio Bottomley kontaktował się z Saundbym w ciągu kilku godzin. Tym razem uznał, że sprawa musi zostać zreferowana władzom zwierzchnim⁴⁶.

Odpowiedź nadeszła dopiero po kilku dniach. Saundby usłyszał przez telefon ze scramblerem, że Drezno ma figurować w rozkazie i że nalot ma być przeprowadzony przy najbliższej dogodnej sposobności. Pojął wtedy, że nalot ów stanowi część programu, którym jest osobiście zainteresowany premier, a przyczyną opóźnienia w udzieleniu odpowiedzi była konieczność przedstawienia mu sprawy w Jałcie. (Sir Charles Portal oczywiście również przebywał wtedy w Jałcie i istniała możliwość, że tylko on zapoznał się z tą sprawą).

Saundby zrozumiał, iż przeprowadzenia nalotu na Drezno zażądali Rosjanie, którzy twierdzili, że w mieście tym stacjonują potężne siły pancerne, dokonujące przegrupowań i przygotowujące się do dokonania kontruderzenia. Oficjalni historycy nie odnaleźli żadnych dowodów na to, że Rosjanie istotnie wysunęli takie żądanie. Oni sami również zaprzeczali temu później, nic nie wskazuje też, aby prośbę tej treści przekazano zwykłym kanałem łączności, przez amerykańską misję wojskową w Moskwie. Szef misji generał Deane, który także uczestniczył w konferencji jałtańskiej, oświadczył potem, że nie przypomina sobie takiej prośby. Przy innych okazjach Rosjanie korzystali z tego pośrednictwa, na przykład gdy zażądali zbombardowania siedziby niemieckiego Sztabu Generalnego w Zossen pod Poczdamem oraz zaatakowania z powietrza zgrupowania statków w Świnoujściu.

W swoich wspomnieniach sir Arthur Harris pozwolił sobie jedynie na ostrożny komentarz: „[...] atak na Drezno, jako konieczny z wojskowego punktu widzenia, uznały osobistości o wiele znaczniejsze ode mnie”^{*}.

Premier brytyjski był niewątpliwie równie zaabsorbowany pod koniec konferencji na Krymie (11 lutego) jak na jej początku; nie było żadnego powodu, by odwoływać nalot na Drezno, na którego przeprowadzenie tak naciskano.

13 lutego podczas porannej narady, której przewodniczył sir Arthur Harris, oficer meteo oświadczył, że wreszcie nadejdzie pogoda sprzyjająca takiemu nalotowi. Choć na większej części trasy należy się spodziewać całkowitego zachmurzenia, jednak poczynając od szerokości geograficznej 5-7 stopni, wierzchołki

chmur będą sięgać wysokości 1800 metrów. Istniała też możliwość, że nad obszarem Drezna i Lipska niebo będzie pokryte chmurami jedynie w połowie, a na wysokości od 4500 do 6000 metrów załogi bombowców napotkają średnio cienkie warstwy obłoków. W raporcie meteo *znalazła* się też informacja, że w zasadzie wszystkie lotniska Bomber Command będą mogły przyjąć samoloty powracające z dziewięciogodzinnego nalotu na Drezno⁴⁷.

Piłka znalazła się teraz po stronie Eisenhowera, który krótko po 9.00 w rozmowie telefonicznej z generałem dywizji R. D. Oxlandem, oficerem łącznikowym Bomber Command w głównej kwaterze SHAEF, ostatecznie autoryzował atak, a sir Arthur Harris wydał rozkaz do przeprowadzenia nalotu na stolicę Saksonii. Odtąd Drezno nie było już przedmiotem depeesz oraz pism wymienianych pomiędzy generałami dywizji, ministrami i komitetami; przeszło ono, by ująć rzecz przenośnią, w gestię maszyn i ludzi, bomb i ładunków świetlnych, oficerów odpraw i celowniczych. „Z ciężkim sercem zostałem zmuszony do zorganizowania tego potężnego nalotu” - wspominał sir Robert Saundby.

Tego dnia Churchill wraz ze swoimi współpracownikami zaokrętował się na „Frankonię”, transatlantyk linii Cunarda, oczekujący na kotwicy na Krymie. Anglicy ucztowali w luksusie jak lordowie, spierając się, który kraj powinni odwiedzić w następnej kolejności. Ponieważ o 20.30 premier wygłosił przemówienie do przedstawicieli armatora, marynarze jednostki musieli przez pół godziny stać na baczność w chłodnym czarnomorskim wietrze; oto brutalna demonstracja siły i władzy.

W Wielkiej Brytanii i w Niemczech była 23.30, 7000 lotników już znajdowało się w powietrzu i zmierzało ku Dreznu.

Wykonanie zadania

ROZDZIAŁ 8

Plan nalotu

We wczesnym okresie wojny problemów o charakterze technicznym oraz strategicznym związanych z przeprowadzeniem „potężnego nalotu” na Drezno, jakie stanęły przez Bomber Com-mand, nie można by tak łatwo rozwiązać¹. W lutym 1945 roku panowała niesprzyjająca pogoda, a przecież prognozy meteorologiczne miały bardzo duże znaczenie w przygotowywaniu nalotu, w którym, jak przewidywano, lot armady Lancasterów miał trwać od 9 do 10 godzin, a należyte zgranie w czasie wszystkich elementów operacji oraz doprowadzenie do tego, żeby nad celem nastąpiła przewidziana w planie koncentracja bombowców, musiało być perfekcyjne - daleko lepsze niż wszystko, co dotychczas osiągnął w tej mierze sir Arthur Harris.

W pierwszych tygodniach roku 1945 trudno było określić potencjał niemieckiej myśliwskiej obrony przeciwlotniczej. Liczba myśliwców przeciwnika istotnie się zmniejszała, a załogi były wyczerpane i bliskie załamania, jednakże w lutym 1945 roku obszar, którego miały bronić, kurczył się, gdy nacierające wojska przesuwały linie obydwu frontów coraz dalej w głąb Niemiec.

To zadecydowało, że Harris uznał, iż nalot powinien mieć formę podwójnego uderzenia; skuteczność takiej strategii sprawdził bowiem już w październiku 1944 roku.

Można ją było zastosować jednak dopiero w końcowym okresie wojny, kiedy dysponowano dużą liczbą samolotów bojowych. „Teoria była następująca - wspominał po latach Saundby

- pierwsza fala nalotu miała spowodować, że wzniosą się w powietrze wszystkie nieprzyjacielskie myśliwce, zostaną postawione w stan pogotowia obsady reflektorów przeciwlotniczych oraz służby przeciwogniowe, po czym nastąpi nalot. Spowoduje on dużą liczbę pożarów, a myśliwcom po pewnym czasie skończy się paliwo, toteż będą musiały wylądować, żeby je uzupełnić.

I właśnie wtedy przewidziano drugi nalot, który miał wroga • hm - zaskoczyć"². Jego słowa potwierdził „mistrz ceremonii” gruby bombowej uczestniczącej w nalocie: „Można było postawić w trudnym położeniu ich obronę, zgrywając w czasie poszczególne fazy nalotu w ten sposób, żeby ich myśliwcom zaczęło się kończyć paliwo dokładnie wtedy, kiedy nad obszar celu nadlatywała druga fala samolotów”.

Zamierzano również doprowadzić do sytuacji, w której niemieckie służby cywilnej obrony przeciwlotniczej będą tak pochłonięte lokalizowaniem i gaszeniem pożarów wzniesionych przez bomby zrzucone w pierwszej fazie nalotu, że drugie uderzenie obezwładni je i wyłączy z akcji. Trzecią korzyścią, jaką miała przynieść strategia podwójnego ciosu, było przerwanie wszelkiej łączności telefonicznej oraz telegraficznej pomiędzy miastem a dowództwem lotnictwa myśliwskiego oraz dowództwem baterii przeciwlotniczych; miało to sparaliżować nieprzyjacielską obronę powietrzną i naziemną. Ponadto drugie uderzenie zaskoczyłoby całkowicie służby obrony cywilnej.

Harris i jego taktycy obliczyli, że optymalna przerwa pomiędzy uderzeniami powinna trwać około trzech godzin. Gdyby trwała krócej, nieprzyjacielskie dywizjony myśliwskie nie rozproszyłyby się w pożądanym stopniu, pożary nie przybrałyby odpowiednich rozmiarów, a służby przeciwogniowe nie zostałyby obezwładnione. Gdyby natomiast trwała dłużej, niemiecka aktywna obrona powietrzna zostałaby odświeżona i uzupełniona, osiągając gotowość do nawiązania powtórnej walki; domyślając się zaś, jaki będzie cel drugiego nalotu, jej dowództwo mogłoby zadać atakującym cięższe straty.

Gdy Harris i jego sztab otrzymali rozkaz zbombardowania Drezna, przez pięć kolejnych dni nad większością obszarów Europy Środkowej zalegał pas chmur. Wyjąwszy 3. grupę bombową, której piloci specjalnie ćwiczyli (dysponując odpowiednim sprzętem i wyposażeniem) dzienne bombardowanie bez celowania, prowadzone wyłącznie według wskazań instrumentów pokładowych znad pułapu chmur, pozostałe samoloty Bomber Command stały unieruchomione na lotniskach.

Tymczasem zakończyła się konferencja jałtańska. Harris mógł wykorzystać czas, jaki pozostał przed wydaniem rozkazu operacyjnego dotyczącego zbombardowania Drezna, na dokonanie zestawienia porównawczego analizy wszystkich dostępnych informacji o tym mieście oraz na ponowne upewnienie się, że Ministerstwo Lotnictwa nie popełniło żadnej pomyłki, potwierdzając rozkaz zaatakowania z powietrza stolicy Saksonii. Jego oficerowie nadal nie zdołali zdobyć żadnych standardowych zdjęć służących analizie porównawczej, uzyskanych dzięki aparaturze H2S; takich fotografii brakowało więc w materiałach dotyczących Drezna.

12 lutego sekcja meteo w gmachu przy High Wycombe poinformowała dwóch alianckich dowódców lotnictwa bombowego, że nazajutrz, we wtorek 13 lutego, pogoda nad kontynentem poprawi się.

13 lutego we wczesnych godzinach rannych załogi amerykańskie poinformowano podczas odprawy o alternatywnych celach nalotu. Przy sprzyjającej pogodzie „Latające Fortece” miały rozpocząć realizację „planu B” - lot nad Drezno i zaatakowanie dworców kolejowych oraz stacji rozrządowych; operacja ta miała być przeprowadzona albo jako precyzyjny nalot z wrokową lokalizacją celu, albo nalot na ślepo, wyłącznie z wykorzystaniem instrumentów. Nalot ów miał poprzedzać ciężkie uderzenie bombowców RAF-u. Gdyby jednak zła pogoda uniemożliwiła działania lotnicze nad środkowymi Niemcami, wówczas alternatywnym celem dla Amerykanów, przewidzianym w ramach „planu B”, miało być Kaszele. Pogoda, która wydawała się dobra poprzedniej nocy, następnego dnia rano uległa pogorszeniu; nad Europą zaległa warstwa lodowatych chmur, a w samym Dreźnie zaczął padać rzadki marznący śnieg³. W ten oto sposób honor - jak to powiedziano „mistrzowi ceremonii” podpułkownikowi Maurice'owi Smithowi -

wymierzenia pierwszego ciosu Dreznu, celowi dziennemu, przypadł Royal Air Force Bomber Command.

13 lutego we wtorek, tuż po godzinie 9.00, po przeprowadzeniu analizy prognoz pogody oraz przestudiowaniu map synoptycznych dowódca Bomber Command rozkazał swojemu zastępcy, generałowi dywizji sir Robertowi Saundby'emu rozpoczęcie przygotowań do nalotu. Plan był już przygotowany i zatwierdzony, Saundby musiał tylko przekazać odpowiednio zaszyfrowany sygnał do siedziby dowództwa 5. grupy bombowej.

Front rosyjski znajdował się około 130 kilometrów na południe od Drezna. Pod żadnym pozorem nie wolno było zatem dopuścić do tego, by któryś z Lancasterów zabłądził i zrzucił swój ładunek na pozycje armii radzieckiej, również samoloty dokonujące oznaczenia celu nie mogły popełnić żadnego marginesu błędu. Operacja wymagała najwyższej precyzji w nawigacji, a tę zapewniał wyłącznie loran. Tym najnowocześniejszym impulsowym systemem radionawigacji dalekiego zasięgu, zainstalowanym zaledwie w kilku bombowcach uczestniczących w nalocie, zamierzano posłużyć się przy wstępnym i ogólnym wyznaczeniu pozycji celu; zrzucenie bomb miało nastąpić po wizualnym oznaczeniu obszaru celu dokonanym z małej wysokości⁴.

W loran, okazałych rozmiarów urządzenie mieszczące się w kilku metalowych pojemnikach, które zainstalowano w ciasnych kabinach dziewięciu szybkich bombowców Mosquito, zamierzano pierwotnie wyposażać Lancastery i używać w lotach na duże odległości, jakie odbywały się w kampanii na Oceanie Spokojnym. Będąc zmodernizowaną wersją urządzenia „Gee”, które rozpięło nad Europą Zachodnią swoją niewidzialną sieć wiązek impulsów radiowych, loran był pozbawiony jego wady, a mianowicie możliwości stosowania jedynie niedaleko sieci przekaźników. Wykorzystano w nim zjawisko odbicia fal radiowych od warstwy „E”*, on sam zaś miał zasięg około 25 tysięcy kilometrów, jednak ze względu na wykorzystanie odbicia fal od jonosfery można było zeń korzystać wyłącznie podczas lotów nocnych. Do lutego 1945 roku RAF-u nie używał loranu w żadnej operacji.

Załogi dziewięciu wyposażonych w loran Mosquito szybko przeszkolono w obsłudze nowego urządzenia; oficerowie nawigacyjni Bomber Command trzymali kciuki za to, żeby podczas lotu działało ono bez zarzutu. Zasięg wiązek impulsów radiowych emitowanych przez brytyjskie urządzenie „Gee”, nawet

gdy nie zagłuszał go przeciwnik, kończył się. około 240 kilometrów na zachód od Drezna; sygnały odbierane z ruchomych przekaźników „Gee”, przemieszczanych za linią frontu zachodniego, były niepewne, a na dobitkę nie sięgały do Drezna.

Doprowadzenie samolotów nad cel według wskazań loranu komplikował pewien fakt: przypuszczano mianowicie, że krzywizna Ziemi uniemożliwi odbieranie sygnałów na wysokości poniżej 5700 metrów. „Mistrz ceremonii” oraz jego ośmiu zaopatrzonych w markery Mosquito będą zmuszeni wykonać trudny lot nurkowy z pułapu 5500 metrów na wysokość, z której dokonywały zwykle oznaczenia celu, czyli poniżej 3000 metrów - na dobitkę manewr ów powinien trwać 4,5 minuty, jeśli samoloty miały przybyć nad cel o zaplanowanym czasie⁵.

Ponadto, gdyby doszło do błędnego oznaczenia celu, wywołałoby to bezsprzecznie negatywne reperkusje polityczne: przywódcy aliancy obiecali dowódcom armii radzieckiej, że Drezno zostanie zniszczone w ciągu kilku następnych nocy; uderzenie to miało być nie tylko demonstracją solidarności z Rosjanami, lecz także wykonanym w odpowiednim czasie pokazem siły uderzeniowej, jaką dysponują ich zachodni sprzymierzeńcy. Gdyby okazało się, że Lancastery przeleciały nad całą Europą i zniszczyły po omacku Pragę czy też jakieś inne miasto, nastroczyłoby to poważnych problemów; gdyby bombowce zaatakowały miasto usytuowane na obszarze zajęętym przez Rosjan, nawet strach było myśleć o konsekwencjach.

Właśnie dlatego Harris żądał, by samoloty, które miały odnaleźć i zlokalizować Drezno, a następnie oznaczyć obszar celu, zostały koniecznie zaopatrzone w loran. To samo powodowało nim, gdy postanowił, że pierwszy cios zada miastu 5. grupa bombowa, stosując słynną technikę bombardowania z niskiego pułapu, której twórcą był generał brygady Ralph Cochrane⁶.

(Wprawdzie miesiąc wcześniej dowódcą grupy został mianowany generał brygady H. A. Constantine, lecz technika zastosowana podczas nalotu na Drezno została opracowana i rozwinięta, gdy szefem w Swinderby był Cochrane).

We wczesnym okresie działalności konkurencyjnej jednostki, 8. grupy pathfinderów, zdarzały się niefortunne przypadki pomyłkowego oznaczania jako cel innego miasta niż zaplanowano. Powodem tego była w znacznym stopniu odmowa dowódców innych grup odkomenderowania do grupy dowodzonej przez generała brygady Bennetta najlepszych załóg, które miały zostać przeszkolone i zdobyć kwalifikacje lotników pathfinderów. W pierwszych miesiącach działania pathfindery oznaczyły jako cel Marburg zamiast Hamburga, nie trafiły na Flensburg, a zamiast Saarbrücken zniszczono Saarlouis. Odtwarzając przebieg wielu alianckich nalotów na takie miasta, jak Frankfurt i Norymberga, uznawanych w oficjalnych źródłach za naloty poprzedzone poprawnym oznaczeniem celu przez pathfindery, z danych znajdujących się w niemieckich archiwach miejskich oraz policyjnych dowiadujemy się, że choć danej nocy ogłaszano alarm lotniczy, w obrębie miasta nie spadła ani jedna bomba⁷. Aż do chwili wprowadzenia do użytku „Oboe”, nadzwyczaj dokładnego impulsowego systemu wspomagania bombardowania, wielu wyższych oficerów z dowództwa Bomber Command traktowało z rezerwą pathfindery. Jednakże wiązki sygnałów radiowych wysyłane przez „Oboe” sięgały tylko do Zagłębia Ruhry; nawet zasięg urządzeń tego typu zainstalowanych na ruchomych przyczepach holowanych za linią alianckiego frontu we Francji i w Niemczech nie przekraczał połowy odległości dzielącej te punkty od Drezna. Na dodatek, piloci grupy 8. nie odbyli przeszkolenia w zakresie wzrokowej identyfikacji celów podczas lotu na małej wysokości. Dlatego też do prowadzenia głównych sił bombowych na

Drezno w nocy z 13 na 14 lutego 1945 roku „rzeźnik” Harris wyznaczył istniejącą nieoficjalnie jednostkę pathfinderów należącą do 5. grupy bombowej.

Wraz ze swoimi dowódcami doprowadził on do perfekcji technikę zabijania, którą dysponowało jego Bomber Command. Każda minuta tych potężnych popisowych nalotów została arcy-starannie zaplanowana, po to, żeby jak najmniejszym kosztem zadać przeciwnikowi jak największe straty.

Osiem Mosquito z 627. dywizjonu, którym przypadło zadanie oznaczenia celu, miało osiągnąć, kierując się wskazaniem systemu loran, obrzeże miasta; przewidywano, że grupa ta poleci niezależnie od głównych sił Lancasterów, dokonujących oznaczenia celu, oraz bombardowców. Ponieważ Mosquito obciążone kompletem ładunków świetlnych nie mogłyby dolecieć do Drezna ustaloną dla sił głównych okrężną trasą, miały skierować się nad miasto, lecąc kursem prowadzącym niemal w linii prostej. Lancastery miały kierować się najpierw na punkt zborny nad Reading, a następnie lecieć nad kanałem La Manche ku punktom wyznaczonym nad francuskim wybrzeżem, znajdującym się niedaleko ujścia Sommy. Tam miały zmienić kurs i polecieć wprost na wschód, przebyć około 200 kilometrów, osiągnąwszy zaś linię wyznaczającą 5 stopni szerokości geograficznej wschodniej, skierować się bezpośrednio nad Zagłębie Ruhry, powodując, że we wszystkich niemieckich miastach przemysłowych, leżących na trasie ich przelotu, za wyjątkiem syreny ogłaszającej alarm lotniczy. Przewidywano, że w punkcie położonym 8 kilometrów na północ od Akwizgranu samoloty zmienią kierunek lotu i przetną Ren pomiędzy Dusseldorfem i Kolonią. O 21.00, kiedy formacje ciężkich bombardowców znajdowałyby się jeszcze nad Nadrenią, szybkie jednostki Mosquito należące do lekkich nocnych sił uderzeniowych 8. grupy bombowej, zaatakowałyby Dortmund i Bonn w celu odwrócenia uwagi niemieckich kontro-

lerów myśliwców od właściwego celu. Planowano, że Lancastery wyminą od północy Kassel i Lipsk; pięć minut przed planowym rozpoczęciem nalotu na Drezno wydzielona grupa Halifaksów z grup bombowych 4. i 6. miała zaatakować rafinerię w Böhlen (usytuowaną dokładnie na południe od Lipska), dokonując dużego nalotu dywersyjnego, służącego zmyleniu przeciwnika.

Siły główne złożone z Lancasterów - noszące kryptonim „Suszarka do naczyń” - miały skierować się na południowy wschód, podążając z maksymalną prędkością kursem prowadzącym niemal wzdłuż Łaby ku miastu-celowi. Po zrzućeniu bomb samoloty miały odlecieć inną trasą, omijając od południa Norymbergę, Stuttgart i Strasbourg. Maszyny zaopatrzone w ładunki świetlne oraz wchodzące w skład pierwszej fali Lancastery (wraz z samolotami należącymi do dywizjonów 83. i 97.) miały nadlecieć nad cel tą samą trasą. W składzie załóg tych Lancasterów znaleźli się specjalnie wyszkoleni operatorzy urządzeń radiolokacyjnych umiejący interpretować obraz widziany na ekranie aparatury H2S. Na niewielkich lampach oscyloskopowych poruszająca się szybko ruchem wskazówki zegara linia „malowała” konturowy obraz terenu, nad którym przelatywał samolot; rzeki oraz rozległe przestrzenie wodne przybierały wtedy postać ciemnych płaszczyzn otoczonych zielenią łąd, sąsiadujących z błyszczącymi jaskrawo plamkami - miastami.

Obraz obserwowany na ekranie H2S potwierdzał jednak w najlepszym wypadku tylko to, że na kursie bombowca znajduje się jakieś miasto, chyba że - tak jak w wypadku Hamburga i Królewca - dostrzegano wyraźny zarys nabrzeża albo system doków; w przeciwnym razie miasto było bardzo trudno zidentyfikować na podstawie powstającego obrazu. Na ekranie H2S Drezno było tylko jednym z nieokreślonych miast położonych nad rzeką, jakich wiele na obszarze środkowych Niemiec po obu stronach linii frontu wschodniego. Operatorzy urządzeń

radiolokacyjnych mieli je potem zidentyfikować na podstawie charakterystycznego zakola Łaby w kształcie litery „S”. Nie dysponowali jednak żadnymi radarowymi obrazami, które stanowiłyby podstawę do porównań. Podczas nalotów na inne miasta wykonywano aparatami fotograficznymi marki Leica zdjęcia obrazów uwidocznionych na ekranach urządzeń H2S; operatorzy porównywali wtedy dla uzyskania ostatecznej pewności te zdjęcia z obrazem pokazywanym na ekranie. Ale po wprowadzeniu do użytku urządzenia H2S jednostki Bomber Command nigdy nie atakowały Drezna.

Lancastery należące do dywizjonów 83. i 97. miały przybyć nad stolicę Saksonii około 11 minut przed godziną „zero”. Niektóre z nich miały zrzućić nad miastem płonące przez trzy minuty wyposażone w spadochrony flary naprowadzające oraz bomby burzące zaopatrzone w działające z opóźnieniem zapalniki czasowe (załadowano je do samolotów w celu uzupełnienia do maksimum masy uzbrojenia). W komorach bombowych innych maszyn znajdowały się zielone bomby-wskaźniki celu. Wyposażone w zapalniki ciśnieniowe i zrzucone w przybliżonej pozycji nad zidentyfikowanym na ekranach urządzeń radiolokacyjnych punktem celowania miały one eksplodować na wysokości od 600 do 900 metrów - ta technika pathfinderów znana była pod nazwą „Newhaven”. Bombowce należące do pierwszej fali w ogóle nie identyfikowały celu. Miały one jedynie określić przybliżoną pozycję oraz - z dokładnością do kilku kilometrów - oznaczyć punkt celowania. Zrzucone flary naprowadzające miały służyć orientacji pilotów osiem Mosquito, których zadaniem było zlokalizowanie, z wysokości zaledwie 300 metrów, punktu oznaczenia celu, a następnie dokonanie tego oznaczenia przez zrzućenie serii bomb zawierających czerwone ładunki świetlne.

Pierwszy atak na Drezno miał dostarczyć samolotom drugiej fali wyraźnie widocznego punktu orientacyjnego, niezbędnego do skutecznego i celnego zadania kolejnego ciosu (zadanie to przypadało pozostałym „szeregowym” dywizjom sił głównych), a pożary, jakie zamierzono wznieść w mieście, musiały osiągnąć odpowiednio duże rozmiary.

Punktem orientacyjnym, swoistą „latarnią morską” dla nadlatujących samolotów, miała być burza ogniowa. Inżynier kierujący w Dreźnie działaniami obrony cywilnej określił to zjawisko jako „przybierającą powoli na sile serię pożarów rozprzestrzeniających się równomiernie na rozległym obszarze; pożarów, których nie gasili mieszkańcy objętych nimi terenów (pozostawali bowiem w piwnicach, obawiając się wybuchów bomb z zapalnikami czasowymi) i które, nagle się nasilając, rozszerzały się w postaci wielu pojedynczych źródeł ognia”. Trwało to pół godziny albo dłużej. Według obliczeń ekspertów Harrisa, w ciągu trzech godzin centrum miasta powinno się solidnie zająć, pod warunkiem że tuż nad ziemią będzie wiał wiatr i że ładunki zapalające zostaną zrzucone w odpowiednim skupieniu; potrzebne będą trzy godziny, żeby z większości dużych miast w środkowych Niemczech przybyły do płonącego Drezna drużyny strażackie i żeby dotarły do centrum Starówki.

Wszystko stało się dokładnie tak, jak Harris zaplanował.

Tylko na obszarze zaatakowanym przez samoloty należące do 5. grupy bomby spadły w tak małym skupieniu, że wywiązała się burza ogniowa. Również we wcześniejszych nalotach efektem działań tej grupy były burze ogniowe o różnym nasileniu. Jednak wtedy zjawisko to było po prostu efektem ubocznym bombardowania: w wypadku Drezna stanowiło integralny element działania.

Podobnie jak we wszystkich poprzednich dużych operacjach bombowych wykonywanych przez 5. grupę bombową, „mistrz

ceremonii” miał nadzorować przebieg i rozwój ataku. „Mistrzów ceremonii” (albo kontrolerów) dostarczała baza nr 54 w Coningsby, gdzie znajdowało się dowództwo nieoficjalnej jednostki pathfinderów. Technikę, oznaczania celu z małej wysokości (pilot Mosquito zrzucił dużą bombę z ładunkiem pirotechnicznym w odległości 100 - 200 metrów od punktu celowania), opracowano w tej właśnie bazie.

Po rozważeniu kwestii nadzorowania przebiegu nalotów na Drezno oraz na dwa cele pozorowane, wybór padł na trzech najbardziej doświadczonych „mistrzów ceremonii” z 5. grupy bombowej. Do prowadzenia nalotu na Drezno wyznaczono podpułkownika Maurice'a Smitha, uprzejmego, noszącego się z elegancją i dobrze ułożonego dżentelmena⁸. „Bogiem a prawdą - oświadczył on później - zbytnio nie ucieszyłem się tą nominacją”. Cel znajdował się na granicy zasięgu jego samolotu, lot nad stolicę Saksonii trwał długo i był wyczerpujący dla pilota (wtedy nie korzystano jeszcze z autopilotów), a na dobitkę on sam wraz z główną formacją bombowców miał wracać ponad terytorium wroga w świetle poranka. Znacznie obciążony Mosquito nie należał do maszyn łatwych do pilotowania na podstawie przyrządów, w chmurach. Poza tym, Smith darzył miasto sentymentem, ponieważ było ono ośrodkiem produkcji delikatnej porcelany⁹.

Jak wynika z rejestru lotów Smitha, wcześniej nadzorował on naloty na kilka większych miast niemieckich, między innymi na Karlsruhe i Heilbronn, ponadto był ekspertem w dziedzinie kierowania oznaczaniem celów oraz prowadzenia nalotów sektorowych. Jego zastępca, dowódca grupy markerów kapitan William Topper, był również weteranem nalotu na Heilbronn oraz innych nalotów sektorowych. Po wojnie Smith pisał w specjalistycznych publikacjach, iż jako „mistrz ceremonii” był „faktycznie osobistym przedstawicielem dowódcy [sir Arthura Harrisa] nad obszarem celu”. On sam, nominalnie dowódca dywizjonu, miał sprawować pełny nadzór nad operacją po szczegółowym instruktażu. Przewidziano dlań zajęcie równie ryzykowne, co odpowiedzialne: oto musiał pozostawać nad celem aż do zakończenia operacji, często przemieszczając się na niewielkiej wysokości i narażając na strącenie przez artylerię przeciwlotniczą przeciwnika.

Gdyby jednak wszystko poszło dobrze, jego zajęcie miało by głównie charakter psychologiczny. „Nie

zawsze człowiek zwraca wtedy uwagę na polecenia, najważniejsza dla niego jest świadomość, że oto - gdy przebrnął wreszcie przez ogień pelotek i przez kurewską pogodę - słyszy, jak ktoś lecący przed nim, używając dobrej angielszczyzny, porządkuje i organizuje sprawy" - zauważył pewien pilot po nalocie na jedno z miast leżących w pobliżu Lipska.

Tymczasem w Swinderby, gdzie znajdowało się dowództwo 5. grupy bombowej, rano 13 lutego poświęcono w całości na omówienie ostatecznych szczegółów nalotu oraz na planowanie. Podpułkownik odpowiedzialny za dane wywiadowcze po raz kolejny musiał przyznać, że nie dysponuje żadnymi pewnymi informacjami dotyczącymi miasta oraz jego obrony. Jednakże przypuszczano, że jeśli Drezno stanowi punkt tranzytowy dla transportów wojska oraz sprzętu wojennego na front wschodni, to naziemna obrona przeciwlotnicza mogła zostać wzmocniona po 16 stycznia, kiedy miasto stało się celem niewielkiego ataku przeprowadzonego przez amerykańskie bombowce. Ponieważ wiadomo było, że przez miasto przemieszczały się pojazdy wojskowe, skłoniło to wydział wywiadu do ostrzeżenia Bomber Command, że niemieckie kolumny drogowe oraz eszelony mogą dysponować lekką artylerią przeciwlotniczą; działka te mogłyby stanowić duże zagrożenie dla Mosquito krążących nad miastem na wysokości poniżej 300 metrów. Na odprawach przeprowadzonych

w bazach kilka godzin później siedem tysięcy lotników usłyszało, że potencjał obrony przeciwlotniczej Drezna jest „nieznany”.

Przed południem nadeszła informacja z High Wycombe; służby meteo przewidywały, że nad miastem będzie wiał ostry wiatr z południowego zachodu. W przekazanym dalekopisem komunikacie znalazło się ostrzeżenie, że należy oczekiwać niekorzystnych warunków pogodowych i że nalot powiedzie się tylko przy perfekcyjnym zgraniu w czasie wszystkich jego elementów. Gdyby atak 5. grupy bombowej został z jakiegokolwiek przyczyny opóźniony dłużej niż pół godziny, miałyby nie dojść do przeprowadzenia podwójnego nalotu, ponieważ druga fala bombowców zostałaaby odwołana.

Nad Europą Środkową przesuwawała się tymczasem ławica stratocumulusów; przewidywano, że w warstwie chmur zalegających nad Dreznem wytworzy się luka, która utrzyma się jednak tylko przez cztery albo pięć godzin. Niebo nad miastem miało zacząć się przejaśniać wkrótce po 22.00. Ale w ciągu kilku godzin należało oczekiwać ponownego zachmurzenia.

W południe Bomber Command przekazało rozkaz wykonawczy dowódcom wszystkich grup.

W pierwszej fali samolotów miało wyruszyć 245 Lancasterów należących do 5. grupy (jeden z nich pozostał jednak na ziemi).

Największa liczba samolotów, które miały zadać drugie uderzenie, pochodziła z 1. grupy stacjonującej w Bawbry - dostarczyła ona ponad 200 Lancasterów. Nad Drezno wyruszyło też 150 Lancasterów należących do 3. grupy, 67 - do Canadian Bomber Group, a pozostałe maszyny wchodziły w skład 8. grupy pathfinderów¹⁰.

Drezno znajdowało się poza zasięgiem operacyjnym Mosquito należących do grupy pathfinderów, zadanie oznaczenia punktu celowania dla potrzeb drugiej fali bombowców powierzono więc 61 Lancasterom-pathfinderom, z których wiele wyposażono w najnowszą wersję urządzenia H2S - H2S Mark III. Przewidywano, że ekrany tej wersji, zaopatrzonej w antenę radarową

o średnicy 180 centymetrów, pokażą więcej szczegółów naziemnych, co ułatwi załogom rozpoznawanie szczegółów topograficznych obszarów, nad którymi będą lecieć". Dziesięć z Lancasterów-pathfinderów pochodziło z 45. dywizjonu the Vancouver Squadron należącego do RCAF - Kandyjskich Sił Lotniczych; jeden z samolotów z najbardziej doświadczoną załogą należą

cy do tej jednostki nie powrócił z Drezna. Najwięcej, bo 12 Lancasterów-pathfinderów, dostarczył 7. dywizjon, w którym służyli piloci-weterani; w dywizjonie 635. latał „mistrz ceremonii” oraz jego zastępca, ponadto dostarczył on 9 innych lancasterów. Samolot wraz z załogą, z którego dokonano wstępnego wizualnego oznaczenia celu, pochodził z dywizjonu 405.; dywizjon 35. dostarczył 10 maszyn, a dywizjony 156. i 582. - po 9. Ponieważ jednak archiwa dywizjonu 582. są niekompletne, nie można z całkowitą pewnością określić pochodzenia każdego samolotu należącego do grupy pathfinderów uczestniczących w nalocie¹².

Oprócz nalotu na Drezno i Böhlen, generał brygady Bennett planował również zaatakowanie sześciu innych celów, między innymi Bonn i Dortmundu¹³. Dwa z tych celów były jednak pozorne - zrzucono na nie tylko flary naprowadzające, ale żadnych bomb. O godzinie 00.30, gdy dwie formacje bombowców uczestniczących w nalocie na Drezno przelatywały na północ 1 na południe od Norymbergi (pierwsza miała dokonać ataku, druga opuszczała pole walki), formacja Mosquito dokonała dwunastominutowego ataku na to miasto. O godzinie 2.00, kiedy zakończył się ostatni nalot na Drezno, cztery lecące na dużej wysokości Mosquito (w tym jeden w wersji Mark XVI, zaopatrzonej w kabinę ciśnieniową) należące do dywizjonu 139. zrzuciły po cztery 500-funtowe bomby na Magdeburg¹⁴.

Niemieccy dowódcy organizujący obronę na jeszcze niezajętych przez nieprzyjaciela obszarach kraju byli świadomi tego, że Bomber Command otrzymało polecenie skupienia swoich działań przeciwko najsłabszym punktom - zakładom paliw syntetycznych oraz rezerwom paliwowym. Istotnie, Brytyjczycy planowali rozpocząć ów nocny atak od niewielkiego, lecz skutecznego nalotu na zakłady produkcji paliw syntetycznych w Böhlen, usytuowane 16 kilometrów na południe od Lipska i w niezbyt dużej odległości od Drezna¹⁵. Godzinę „zero” dla Böhlen wyznaczono na 22.15, czyli nalot ów miał poprzedzić bombardowanie Drezna. Pathfinderzy miały zastosować technikę „Newhaven”, a siły atakujące składać się z Halifaksów należących do grup 4. i 6. Nad Böhlen skierowano 320 maszyn: była to ponad jedna trzecia bombowców należących do kanadyjskiej 6. grupy. Halifaksy, wyposażone podobnie jak Lancastery w cztery silniki i będące maszynami o zbliżonym zasięgu, miały jednak znacznie mniejszy udźwig bomb, toteż Bomber Command stopniowo zmniejszało ich liczbę w lotnictwie operacyjnym. Ponieważ nalot na Drezno miał być „bardzo ciężkim uderzeniem”, należało przeprowadzić go siłami liczącymi jak najwięcej Lancasterów, po to, żeby zrzucić na miasto jak największy wagiomiar bomb. Można zatem uznać, że nalot na Böhlen był misternym przedsięwzięciem, zważywszy na niepomyślne prognozy meteorologiczne, w zasadzie wykluczające przeprowadzanie nalotów na niewielkie cele, jak na przykład zakłady paliw syntetycznych.

Początek pierwszego nalotu na Drezno, krwawej masakry, jaka miała nastąpić tej nocy, zaplanowano na 22.15. Pożary wzniecone w mieście uznano za punkt orientacyjny, wskazujący drogę nad cel załogom drugiej fali bombowców, która miała osiągnąć miasto trzy godziny i kwadrans później. Ów pierwszy nalot zamierzano rozpocząć od oznaczenia celu ładunkami świetlnymi zrzucanymi wyłącznie według wskazań urządzeń H2S (technika „Newhaven”), następnie zaś miało się rozpocząć „bombardowanie sektorowe” - specjalność 5. grupy - przy dobrej widzialności ziemi z samolotów; gdyby jednak widzialność zawiodła, chciano posłużyć

się techniką „sky-marking” (zrzucenie ładunków świetlnych na spadochronach).

Samoloty uczestniczące w drugiej fali nalotu miały stosować standardową technikę Bennetta - „Newhaven II”. Godzinę „zero” dla tej fali wyznaczono na 1.30; Lancasterzy dokonując oznaczania celów na ślepo (było ich 12, a towarzyszyły im samoloty z 582. dywizjonu), korzystając wyłącznie ze wskazań urządzeń H2S, miały o godzinie 1.23 (godzina „zero minus siedem”) przelecieć nad miastem i zrzucić wiązki flar naprowadzających nad wyznaczonym w przybliżeniu punktem celowania. W razie konieczności załogi miały zastosować technikę „sky-marking”¹⁶.

O 1.24, czyli minutę później, „wicemistrz ceremonii” miał przelecieć swoim Lancasterem wysoko nad miastem, a następnie, po pewnym zidentyfikowaniu celu, oznaczyć go wiązką służących do tego 6 bomb dających czerwone światło. Sam „mistrz ceremonii”, lecąc w kierunku północno-wschodnim, miał określić odległość pomiędzy tymi czerwonymi ładunkami a rzeczywistym punktem celowania. Gdyby okazało się, że ładunki chybiły, powinien zrzucić własne czerwone wskaźniki - tym razem celniej, uznając poprzednie czerwone flary za punkt odniesienia. Gdyby okazało się, że „wicemistrz ceremonii” celnie ulokował swoje markery, samolot dokonujący wstępnego ześrodkowania wizualnego („primary visual marker”) miał zrzucić w ich otoczeniu serię płonących na czerwono i zielono ładunków świetlnych, po to, żeby wzmocnić oznaczenie punktu celowania. „Szeregowie” Lancasterzy, których piloci mieli za zadanie dokonanie ześrodkowania wizualnego i których 20 uczestniczyło w operacji nad Dreznem, miały atakować trójkami, w trzy- i cztero-minutowych odstępach, zastępując nowymi zrzucone wcześniej i już gasnące

znaczniki celu, a jednocześnie zrzucając (tym razem z większą precyzją) nowe - na miejsce tych, które zostały ulokowane niecelnie.

Gdyby cel zasłoniła warstwa chmur, przygotowano specjalną strategię: w wypadku umiarkowanego zachmurzenia 13 samolotów dokonujących oznaczenia na ślepo („blind markerów”)

- towarzyszyły im również maszyny należące do 582. dywizjonu
- zrzuciłyby wcześniej zielone markery. „Mistrz ceremonii” miał sprawdzić, czy ich blask jest widoczny przez powłokę chmur, gdyby okazało się, że chmury go tłumią, wówczas do akcji miało wejść 8 samolotów stosujących technikę „sky-marking”, bez widoczności (również w tym wypadku towarzyszyłyby im samoloty należące do 582. dywizjonu). Zrzuciłyby one ładunki świetlne na spadochronach, emitujące czerwone światło z zielonymi iskrami - technikę tę pochodzący z Australii Bennett nazwał „Wanganui”; miejsce zrzutu ładunków wskazywałyby urządzenia radiolokacyjne, opadałyby one powoli na spadochronach ponad chmurami. Technika ta tchnęła potężnym i straszliwym pięknem, lecz przy jej zastosowaniu celność bombardowania była niska.

Gdyby podczas drugiego nalotu pokrywa chmur była tak gęsta, że narzuciłoby to konieczność zastosowania techniki „sky-marking”, nie doszłoby do tak ogromnej masakry ludności, jednak nad celem panowała ładna pogoda i „mistrz ceremonii” nie wezwał ani „blind markerów”, ani też samolotów stosujących technikę „sky-marking”, żeby zrzuciły swoje ładunki świetlne.

„Mistrzem ceremonii” podczas drugiego nalotu na Drezno wyznaczono Kanadyjczyka, majora C. P. C. de Wesselowa; był on doświadczonym pilotem mającym na koncie trzy takie operacje. W październiku 1944 roku zaproponowano mu, żeby został „mistrzem ceremonii” podczas niszczącego nalotu na Fryburg Brygowijski, jednak odmówił, ponieważ studiował niegdyś na tamtejszym uniwersytecie i miał wielu przyjaciół mieszkających w domach usytuowanych wokół gotyckiej

katedry, która miała być punktem celowania. Drezna jednak nie znał.

Rozkaz wykonawczy dotyczący zbombardowania tego miasta nie został na żadnym etapie zakwestionowany. Niebawem po jego otrzymaniu dowódca grupy pathfinderów zatelefonował na High Wycombe, żeby sprawdzić, czy jego podwładni właściwie go zrozumieli. Po przekazaniu rozkazu generał brygady Bennett ograniczył się do omówienia kwestii punktów celowania przydzielonych samolotom dokonującym oznaczenia celu i należącym do podległej mu grupy¹⁷. Dowódca 1. grupy wspominał później, że on sam oraz jego wyżsi oficerowie również byli „cokolwiek zaskoczeni”, gdy zapoznali się z treścią przekazanej dalekopisem wiadomości z Bomber Command¹⁸. Inni dowódcy grup zapamiętali, że głos Harrisa był pełen rezerwy, gdy potwierdzał rozkaz; odnieśli wrażenie, iż Harris jest zdegustowany całym przedsięwzięciem.

Z Bomber Command wysłano dalekopisem do wszystkich baz te same instrukcje, które miały być przekazane pilotom na odprawach. Lektura owego dokumentu dostarcza po latach osobliwego wrażenia. Siedmiu tysiącom brytyjskich lotników oświadczono, że tego popołudnia polecą, żeby zaatakować Drezno: „największy jeszcze niezbombardowany obszar zabudowany, który pozostaje w rękach nieprzyjaciela”. „Celem nalotu będzie zadanie przeciwnikowi ciosu w najczulszy punkt” - czytamy dalej, potem zaś następowaly wieloznaczne słowa: „A przy sposobności pokazanie Rosjanom, gdy nadejdą, jakimi potężnymi możliwościami dysponuje Bomber Command”¹⁹.

Wczesnym popołudniem „mistrz ceremonii” oraz jego nawigator zostali wezwani do budynku służb wywiadowczych w bazie

nr 54 na ostatnią odprawę dotyczącą planu przeprowadzenia nalotu 2020. Oficerowie bazy daremnie poszukiwali choćby jednej standardowej mapy, jakie przygotowywano przed nalotami na inne niemieckie miasta. Mapy celów miały wówczas postać specjalnie wydrukowanych planów o szerokości 61 centymetrów, na których - w formie impresji artysty, który wyobrażał sobie, jak te szczegóły wyglądają w nocy - oznaczano krajobraz (stosując technikę litografii) kolorem szarym, purpurowym i białym; obszary wodne i rzeki oznaczano jaskrawą bielą, wyróżniającą się na tle czarnych i szarych plam, za pomocą których odwzorowywano miasta, purpurowe cieniowanie i kreskowanie, miało przedstawiać pola, lasy i otwarty teren. Na mapach tych oznaczano stanowiska artylerii przeciwlotniczej, lokalne lotniska oraz pozycje niemieckich celów pozornych. Cel właściwy znajdował się w środku, symbolizowały go koncentryczne pierścienie, które - według skali mapy - dzieliła odległość 1,5 kilometra. Sam zaś obiekt, który miał być zbombardowany, oznaczano na tych mapach wyróżniającą się barwą pomarańczową, bez względu na to, czy był to kompleks fabryk Kruppa w Essen, zakłady Focke-Wulfa w Bremie czy też rafineria w Gelsenkirchen.

Obecnie jednak mapą taką nie dysponowano. Być może, jak sugerowali autorowi sir Robert Saundby oraz komodor powietrzny H. V. Satterley, świadczy to o tym, że sir Arthur Harris bynajmniej nie pragnął zniszczenia Drezna. Gdyby figurowało ono w jego słynnym wykazie miast niemieckich przeznaczonych do zniszczenia, wówczas bezsprzecznie zadbałby o sporządzenie odpowiedniej dokumentacji fotograficznej miasta, a loty rekonesansowe odbywałyby się odpowiednio często, po to, żeby określić poprawnie właściwości celu, potencjał obrony przeciwlotniczej oraz zlokalizować cele pozorne znajdujące się w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Harris nakazałby zlokalizować i oznaczyć pozycję dywizjonów myśliwskich w bazie Dresden-Klotzche.

W zaistniałej sytuacji Bomber Command mogło dostarczyć „mistrzowi ceremonii” oraz jego zastępcy wyłącznie „Mapę okręgu celu: Drezno (Niemcy) D.T.M. Nr G/82/”; ów niezbędny dokument, za pomocą którego „mistrz ceremonii” oraz jego samoloty wyposażone w znaczniki celów miały zidentyfikować i

oznaczyć punkt celowania podczas operacji, stanowiącej szczyt ofensywy przeciw Niemcom, był wydrukowaną na lśniącym papierze mozaiką czarno-białych zdjęć miasta, pochodzących jeszcze z listopada 1943 roku, przeciętnej jakości, wykonanych w czasie lotów zwiadowczych. Co prawda, były na nich wyraźnie widoczne punkty, z których można by dokonać oznaczenia celu. Osobliwe, że na tej mapie pojedynczy czarny krzyż nadrukowano na budynku znajdującym się w centralnym punkcie sektora; mieścił on dowództwo drezdeńskiej policji, a w bunkrach usytuowanych pod jego dolnymi kondygnacjami gauleiter Saksonii Martin Mutschmann ulokował podziemny ośrodek dowodzenia obroną cywilną.

Przewidywano, że wiatr będzie wiał ze stałą prędkością z północnego zachodu. Aby dymy płonącego miasta nie zasłoniły blasku znaczników płonących na ziemi, należało zrzucić je po nawietrznej stronie obszaru celu. Najbardziej widocznym elementem topograficznym miasta, który można było zidentyfikować na tej fotografii celu, był duży stadion kolarski położony na zachód od Starówki. Był to środkowy z trzech stadionów wzniesionych mniej więcej w linii prostej przebiegającej wzdłuż miasta. Ów wybrany welodrom, Dresden-Friedrichstadt Sportsplatz, miał około 170 metrów długości i znajdował się w wystarczającej odległości od rzeki oraz od linii kolejowych, żeby piloci, których zadaniem było oznaczenie celu, mogli go łatwo zlokalizować w warunkach złej widoczności.

Dowódca grupy markerów („marker leader”) miał zrzucić na ten stadion swój czerwony znacznik celu, „mistrz ceremonii”

zaś, po sprawdzeniu celności zrzutu - polecić pilotom pozostałych Mosquito, należących do formacji znakujących cel, żeby zrzucili w ten sam punkt więcej markerów o czerwonej barwie, aż cały stadion zostanie należycie nimi oznaczony²¹. Następnie miał wezwać do ataku „Suszarkę do naczyń”, główną formację Lancasterów, która wykonałaby ostry wiraż w odległości kilku kilometrów na południowy zachód. Samoloty nadleciałyby nad miasto, a bombardierzy mieli nastawić celowniki na czerwony blask markerów płonących na stadionie, aby w odpowiednio wybranym momencie (wyliczenie to było zróżnicowane oddzielnie dla każdego dywizjonu oraz dla pojedynczego samolotu) dokonać zrzutu bomb.

Ponieważ piloci mieli nadlatywać nad Drezno różnymi kursami, przewidywano, że samoloty przelecały nad miastem promieniście, zrzucane bomby zaś spadną na obszar przypominający kształtem wielki ser, rozciągający się od okolic stadionu na maksymalną odległość 2300 metrów od płonących znaczników celu. Zachowała się mapa celu tego pierwszego ataku. Zaznaczony na niej sektor obejmował w całości Starówkę; tam właśnie, jak oczekiwano, miała powstać pierwsza burza ogniowa, której blask posłużyłby później jako punkt orientacyjny pilotom drugiej fali Lancasterów.

Dzięki informacjom szefa drezdeńskiego biura poszukiwań osób zaginionych, wiadomo obecnie, że właśnie na tym obszarze rozszalało się piekło. Ci mieszkańcy, którzy natychmiast po pierwszym nalocie szukali schronienia na otwartej przestrzeni i na przedmieściach, ocaleli. Zginęli zaś ci, którzy chcieli przeczekać w swoich schronieniach drugą falę nalotu. „Były obszary w [Dresden] -Striesen, a zwłaszcza wokół Seidnitzer-Platz, gdzie niemal nikt - jeśli chciał przetrwać drugi nalot - nie uszedł z życiem”.

„Mistrza ceremonii” oraz jego nawigatora poinformowano, że celem ataku ma być sparaliżowanie ruchu kolejowego i wszelkiego innego, dla których punktem tranzytowym jest Drezno. Analizując jednak przed startem obszar o powierzchni 3,2 kilometra kwadratowego, który miał się stać celem precyzyjnego, lecz intensywnego nalotu, powinni byli zorientować się, że nie przecinała go żadna linia kolejowa, nie znajdował się tam również ani jeden z 18 drezdeńskich dworców pasażerskich oraz towarowych, ani też most kolejowy Marienbrücke na Łabie, najważniejszy most na wielokilometrowym odcinku rzeki w obu jej kierunkach.

Jedynym szczegółem związanym z tą specjalną odprawą, który „mistrz ceremonii” pamiętał 17 lat po wojnie, było to, że gdy zbliżał się jej koniec, dowódca bazy, oficer w stopniu komodora powietrznego, powiedział, iż odwiedził Drezno przed wojną, mieszkał wtedy w słynnym hotelu przy Altmark, dużym

czworokątnym placu znajdującym się w centrum Starówki.

Plac ten usytuowany był dokładnie pośrodku sektora, na który za około osiem godzin miały spaść bomby. Można się domyślać, że ów komodor został w hotelu haniebnie oszukany przez jego personel, zażądał bowiem od „mistrza ceremonii”, by ten dopilnował zniszczenia gmachu hotelu. Ustalono sygnał wywoławczy dla głównej siły bombowców: „Suszarka do naczyń”. Godzinę „zero”, odniesienie czasowe dla wszystkich późniejszych elementów nalotu, wyznaczono na 22.15²².

O 17.30, już po zapadnięciu zmroku, osiem załóg samolotów--markerów odbyło odprawę, po czym do ich maszyn załadowano po jednej bombie zawierającej ładunek świetlny. Dokonano przeglądu technicznego Mosquito i zaopatrzone je w dodatkowe

zbiorniki paliwa. Drezno znajdowało się na granicy zasięgu operacyjnego tych samolotów, co narzucało tę konieczność (paliwem zastąpiono kilka bomb-znaczników celu). Przy znakowaniu celu nie było marginesu błędu.

Jeśli Mosquito miały dolecieć do dalekiego Drezna, ich piloci nie mogli pozwolić sobie na wykonywanie długich manewrów, mających na celu zmylenie niemieckich kontrolerów myśliwców; co najwyżej mogli skierować się ku Chemnitz, kilka kilometrów na południowy zachód od miasta-celu, co wywołałoby wrażenie, że właściwym celem jest właśnie to miasto, a dopiero w ostatniej chwili zmienić kurs na Drezno. Ale nawet wtedy trasa wiodąca nad Drezno prowadziła nad kilkunastoma obszarami o silnej obronie przeciwlotniczej.

Również o 17.30 wystartowały z lotnisk w środkowej Anglii pierwsze dywizjony Lancasterów. O 18.00 *znalazły* się w powietrzu wszystkie 244 Lancastery należące do pierwszej fali nalotu; krążyły wokół lotnisk, a nawigatorzy wyznaczali kurs na pierwszy punkt zwrotny znajdujący się na trasie, potem zaś ku Niemcom.

ROZDZIAŁ 9

„Suszarka” nadlatuje

Wyspy Brytyjskie zaczął już spowijać mrok, wielu lotników mających uczestniczyć w nalocie spoglądało po sobie z niepokojem: niebo było mocno zachmurzone, a prognozy meteorologiczne zapowiadały oblodzenie na małych wysokościach, burze elektryczne oraz pełne „dziesięć dziesiątych” zachmurzenie nad niemal całą Europą Zachodnią. Niewielu załogom uśmiechał się trwający 9 lub nawet 10 godzin lot w taką pogodę, nad obszarami znajdującymi się jeszcze w rękach wroga; pocieszało ich tylko to, że słaba widoczność oraz utrzymująca się nad Niemcami pokrywa chmur mogą zatrzymać na lotniskach nieprzyjacielskie myśliwce nocne.

Dziewięć Mosquito należących do Marker Force, pierwszej grupy samolotów mających zrzucić nad celem flary naprowadzające, wyposażono w najnowocześniejsze urządzenia elektroniczne skonstruowane przez zachodnich naukowców. Piloci otrzymali niecodzienne instrukcje: gdyby przydarzyły się im jakieś kłopoty, mieli podążyć kursem powrotnym w kierunku zachodnim; polecono im też za wszelką cenę unikać przymusowego

lądowania na terenach położonych na wschód od Drezna. Gdyby to jednak nastąpiło, mieli jak najstaranniej zniszczyć na ziemi samolot. Za obszary odpowiednie do lądowania dowództwo brytyjskie uznało znajdujące się jeszcze pod panowaniem niemieckim, a nie zajęte przez armię radziecką.

Gdy piloci Marker Force przygotowywali sprzęt i uzbrojenie, naukowcy z Farnborough sprawdzali po raz ostatni działanie specjalnego aparatu fotograficznego, który 26 stycznia zainstalowano w komorze bombowej Mosquito, należącego do dowódcy grupy samolotów mających dokonać oznaczenia celu, „marker leadera” kapitana Williama Toppera, pełniącego z urzędu funkcję „mistrza ceremonii”. Aparat ów był wyposażony w super-szybką, zainstalowaną w kasecie aparaturę błyskową, służącą do oświetlenia fotografowanych obiektów, zamierzano go użyć do wykonania zdjęć celu (z bardzo niskiego pułapu); poszczególne klatki następowałyby po sobie w jednosekundowych odstępach. Procedura miała rozpocząć się z chwilą naciśnięcia przez „marker leadera” dźwigni wyrzutnika bomb i trwać aż do wykorzystania całego filmu. Oczekiwano, iż otrzymane zdjęcia dostarczą precyzyjnych informacji dotyczących miejsc upadku każdej z bomb-znaczyków celu. System ten miał być zastosowany po raz pierwszy właśnie nad Dreznem.

13 lutego o 19.57 Mosquito KB.401, pilotowany przez „mistrza ceremonii” podpułkownika Maurice'a Smitha, wystartował z bazy w Coningsby. O 21.28 wyszedł z zasięgu systemu wspomaganie nawigacyjnego „Gee”, wysyłającego wiązki impulsów radiowych ze stacji zainstalowanych w Anglii i we Francji.

Ciemności okryły ziemię.

Grupa samolotów Smitha, do których należało oznaczenie celu flarami naprowadzającymi, skierowała się ku Dreznu własnym kursem - Smith uznał bowiem, że tej nocy najkorzystniej będzie lecieć na dużym pułapie. Na wysokości od 5000 do 7000 metrów nad północno-zachodnimi Niemcami wiał wiatr ze stałą prędkością 190 kilometrów na godzinę, sprzyjając podążającym nad cel Mosquito. Aż do chwili wychwycenia przez zainstalowaną w maszynach aparaturę odbiorczą słabych sygnałów wysyłanych przez nadajniki systemu loran (urządzenia do nawigacji dalekiego zasięgu) nawigatorzy musieli polegać na własnych umiejętnościach, musieli też mieć nadzieję, że prognozy dotyczące wiatrów sprawdzą się - a wszystko po to, by utrzymać ściśle wyznaczony kurs i uniknąć błędzenia nad obszarami o silnej obronie przeciwlotniczej. Musieli również przestrzegać czasu określonego dla poszczególnych etapów operacji. O 22.00 miał się rozpocząć nalot dywersyjny na Böhlen, a kilka minut później piloci powinni zrzucić nad zlokalizowanym w przybliżeniu Dreznem, kierując się wyłącznie wskazaniem urządzeń radiolokacyjnych, ładunki świetlne na spadochronach.

Nawigatorzy przejęli sygnały loranu dopiero o 21.49. Ustalenie położenia samolotu odbywało się na podstawie porównania wskazań systemu odbiorczego wychwytyjącego dwie wiązki sygnałów*; „mistrz ceremonii” spoglądał niecierpliwie na zegarek, gdy jego nawigator patrzył na ekran urządzenia, próbując wychwycić drugą wiązkę. Mosquito musiały wznosić się coraz wyżej, szukając po omacku w eterze nieuchwytej wiązki. Była 21.56. Za około pięć minut samoloty, które miały zrzucić flary naprowadzające, znajdą się nad Dreznem. Mosquito, w którym znajdował się „mistrz ceremonii”, leciał na wysokości ponad 6000 metrów. Nawigator nadal nie mógł wychwycić drugiej wiązki impulsów, niezbędnej do uzyskania perfekcyjnego położenia maszyny, a gdy grupa samolotów *znalazła* się 24 kilometry

Dokładniej: odbywało się to na podstawie ustalenia różnicy odległości od dwóch nadajników wysyłających te sygnały i

należących do systemu. Ową różnicę wyznaczano przez pomiar różnicy czasu, w jakim docierały do samolotu impulsy sygnałów radiowych wysyłane jednocześnie z tych nadajników.

na południe od Chemnitz, Smith postanowił, że skierują się ku Dreznu, nie dokonując tego pomiaru. Piloci wszystkich Mosquito przepatrywali horyzont w poszukiwaniu flar charakterystycznej barwy, które miały upewnić ich, że dokonano poprawnych obliczeń.

Tymczasem rozpoczął się wielki nalot dywersyjny na zakłady paliw syntetycznych w Böhlen w pobliżu Lipska. O ówczesnym potencjale Bomber Command świadczy to, że naloty dywersyjne wykonywano na równie wielką skalę. Nad Böhlen wyruszyło 326 Halifaksów, 34 Lancasterów i 8 Mosquito; cała ta armada (wyjąwszy 7 maszyn) zaatakowała rafinerię w nalocie trwającym od 21.54 do 22.12; zaginął tylko jeden samolot¹.

Kiedy grupa Mosquito podpułkownika Smitha zbliżała się do Drezna, była bezksiężycowa noc. Krajobraz na dole wydawał się opatulony ławicami chmur, słabo oświetlanymi od góry blaskiem gwiazd. Faktycznie pogoda na trasach prowadzących nad pierwsze cele, które tamtej nocy miały stać się obiektem bombardowań - Böhlen i Drezno - była mniej więcej taka, jaką przewidywały prognozy: zachmurzenie „dziewięć” lub „dziesięć dziesiątych”, stratocumulusy, szczyty chmur sięgające do pułapu około 3000 metrów, na wysokości 4500 metrów nieco chmur średniej wielkości. Nad całą trasą zachmurzenie wzrastało, osiągając poziom „dziesięć dziesiątych”, warstwa chmur frontu atmosferycznego wzniosła się do pułapu 4500 metrów; na obszarze pomiędzy 2. i 4. stopniem szerokości geograficznej samolotom groziło silne oblodzenie. Kiedy dywizjony zbliżały się nad obszary celów, poziom warstwy chmur znów się obniżył². Ponad samolotami, w których znajdowało się 7000 lotników, rozpościerało się czyste niebo z doskonale widocznymi gwiazdami. Gdy Mosquito przebywały ostatnie 50 kilometrów dzielące je od Drezna, schodząc w czasie 4, 5 minut 5500 - 6000 metrów w dół, ich piloci dostrzegli, że niebo przeciera się dokładnie tak, jak przewidywali to meteorolodzy z Bomber Command. Nad

samym Dreznem zalegały tylko trzy warstwy chmur: cienka warstwa stratocumulusów na wysokości 5000 - 5500 metrów, druga na wysokości 2000 - 2500 metrów, a na wysokości 1000 - 1500 metrów przemieszczały się tylko pasemka obłoków³.

Gdy samoloty wyposażone w „Window”, należące do 100. grupy bombowej (przeciwdziałania elektronicznego), wykonując manewr mylący, podążyły nad obszar Mainz-Mannheim, ociąża ła Halifaksy zaś zmierzające nad Böhlen minęły od północy Kobleniec, „mistrz ceremonii” ujrzał, jak narożnik horyzontu na wprost kabiny jego Mosquito rozjaśnia nagle linia płonących jaskrawo światła, a niemal jednocześnie zawisa na niebie pojedyncza kula zielonego ognia. Oznaczało to, że nad Drezno już przybyła formacja należących do 83. grupy Lancasterów (wyposażonych w lepsze urządzenia nawigacyjne) dokonujących wstępnego oznaczenia celu. Zrzuciły one pierwsze znaczniki, wskazujące przybliżone położenie punktu celowania - opadające na spadochronach flary zaczynały rozświetlać cały obszar. Zielone ładunki świetlne wstępnego oznaczania celu (celowanie i zrzucenie nad zakolem Łaby) wraz z towarzyszącymi im kaskadami magnezu wyposażonych w spadochrony flar spadały dokładnie nad Dreznem.

Odtąd nalot rozwijał się z niesłychaną wojskową precyzją.

Kiedy pierwsza fala Lancasterów dokonujących wstępnego oznaczenia celu według wskazań urządzeń radiolokacyjnych (Blind Illuminators) wykonała swoje zadanie, nad miasto nadleciały samoloty należące do drugiej fali, zrzucając wiązki flar białej barwy: tym razem celowniczy stosowali nie tylko metodę „na przyrządy”, lecz także metodę wizualną.

Zrzut ten zakończył etap „Newhaven II”, oznaczania Drezna przez pathfindery. Teraz nadeszła kolej formacji Mosquito dowodzonej przez Smitha, bomby wyposażone w ładunki świetlne płonące jaskrawą czerwieńią, osadzone jeszcze w komorach,

miały niebawem oznaczyć wielki welodrom; od prawidłowego przeprowadzenia tej operacji zależało powodzenie całego nalotu⁴.

Drezna broniła 1. Dywizja Myśliwska, której dowództwo znajdowało się w bunkrze w Dóberitz opodal Berlina. Piloci oraz personel naziemny Luftwaffe nazywali siedziby tych dowództw „bojowymi salami operowymi”⁵.

„Po wejściu do środka - zanotował jeden z generałów niemieckiego lotnictwa myśliwskiego - każdemu natychmiast udzielała się panująca tam nerwowa atmosfera. W sztucznym świetle twarze ludzkie wydawały się jeszcze bardziej wynędzniałe, niż były w rzeczywistości. Nieświeże powietrze, papierosowy dym, szum wentylatorów, stukanie dalekopisów i stłumiony pomruk głosów niezliczonych operatorów telefonów: wszystko to mogło przyprawić o ból głowy. Głównym obiektem w sali był potężny, pokryty mlecznym szkłem panel, na którym za pomocą punktów świetlnych i podświetlanych napisów oznaczano położenie, wysokość lotu, a także liczebność nieprzyjacielskich formacji lotniczych oraz naszych jednostek. Każdy punkt i każda zmiana pozycji stanowiły odwzorowanie meldunków otrzymywanych ze stacji radarowych, od obserwatorów, ze stanowisk nasłuchu dźwiękowego, od pilotów samolotów zwiadowczych oraz jednostek uczestniczących w akcji”.

Naprzeciw tego panelu w kilku usytuowanych amfiteatralnie rzędach siedzieli kontrolerzy myśliwców, przekazujący, w miarę rozwoju sytuacji, polecenia poszczególnym, sobie przypisanym, myśliwcom nocnym. Jednak w lutym 1945 roku ofensywa wojsk sprzymierzonych przeciw niemieckiemu systemowi zaopatrywania w paliwo tak dalece osłabiła obronę powietrzną Rzeszy, że władze wprowadziły politykę jak najściślejszego racjonowania dostępnych jeszcze rezerw. Następstwem przeprowadzonego niedawno nalotu było całkowite zniszczenie zakładów produkcji paliw syntetycznych w Policach; w dzienniku działań wojennych Luftwaffe zanotowano, że w lutym rafinerie mogły dostarczyć ogółem zaledwie 400 ton paliwa lotniczego. Główny kwatermistrz Luftwaffe uznał, że należy wstrzymać wszystkie loty szkolne i treningowe⁶. Tamtego ranka, 13 lutego 1945 roku, obowiązywał rozkaz Naczelnego Dowództwa Luftwaffe, w myśl którego priorytet prowadzenia operacji dziennych otrzymały samoloty o napędzie odrzutowym, a działań nocnych samoloty szturmowe atakujące cele naziemne na froncie zachodnim⁷. Niemiecka nocna obrona myśliwska została całkowicie sparaliżowana. Zezwolono na start wyłącznie najlepszym załogom, wyjąwszy sytuacje nadzwyczaj krytyczne, za poderwanie zaś z ziemi maszyn w trybie alarmowym i skierowanie ich do akcji bez uprzedniego otrzymania pozwolenia z Dóberitz, dowódca bazy lotniczej zapłaciłby czymś więcej aniżeli tylko utratą stanowiska. W nocy z 13 na 14 lutego kontrolerzy myśliwców w Dóberitz stanęli jednak w obliczu dylematu. Dysponowali bardziej niż skąpymi informacjami; nawet posterunki nasłuchowe, które wychwyciły onegdaj sygnały świadczące o tym, że nieprzyjacielscy radiooperatorzy sprawdzają sprzęt radiolokacyjny oraz radiowy, co miało miejsce rano w dniach poprzedzających wielkie naloty, zostały obecnie ogłuszone elektronicznymi „zasłonami” stawianymi wzdłuż wschodniego wybrzeża Anglii oraz na linii zachodniego frontu. Niemieckie stacje sieci wczesnego ostrzegania usytuowane wzdłuż kanału La Manche już dawno wpadły w ręce przeciwnika. Niemieckie urządzenia radiolokacyjne mogły wykryć bombowce zbliżające się od zachodu na niskim pułapie tylko wtedy, kiedy znalazły się one w zasięgu aparatury działającej na terytorium Rzeszy. Brytyjska 100. grupa (przeciwdziałania elektronicznego) wysłała 128 samolotów, które miały wesprzeć operacje prowadzone tamtej nocy, korzystając

z systemu „Mandrel”, zagłuszającego te urządzenia nad obszarami położonymi na północ i na południe od linii frontu; część samolotów należąca do grupy zrzucała „Window”, przeprowadzała naloty dywersyjne na inne miasta, wykonywała też loty z „Jostle” - nadajnikiem zagłuszającym dużej mocy*. Jeszcze inne

samoloty wyposażono w urządzenia służące do przechwytywania i odczytywania niemieckich sygnałów⁸. Nie ułatwiało to żadną miarą pracy niemieckim kontrolerom.

Gdy w zimny wieczór 13 lutego groźba zmaterializowała się, początkowo spoza kurtyny zagłuszania elektronicznego, postawionej przez samoloty 100. grupy, wyłoniły się zaledwie 244 bombowce. Kontrolerzy w Dóberitz mieli zatem twardy orzech do zgryzienia: musieli ustalić, dokąd zmierzają te samoloty, a także gdzie Brytyjczycy zamierzają „zatrudnić” pozostałą część zgrupowania. Tymczasem trwały operacje pozorowane Bomber Command. 5 Mosquito (z 6 wysłanych) bombardowało Dortmund od 21.01 do 21.06, 52 Mosquito (z 53) bombardowało Magdeburg od 21.30 do 21.45, pomimo panującego nad miastem pełnego zachmurzenia. (Trzy i pół godziny później 9 innych Mosquito ponownie zbombardowało Magdeburg w celu odwrócenia uwagi Niemców od drugiej fali bombowców zmierzających ku Dreznu). Potem kontrolerzy myśliwców skupili uwagę na kierunku południowym, gdy 7 (z 8) Mosquito wysłanych nad Norymbergę bombardowało to miasto od 21.59 do 22.15, czyli już po roz-

Urządzenie zakłócające „Jostle” było: „[...] nadajnikiem dużej mocy wysyłającym wysoki gwizd i zdolnym skutecznie zakłócić każdą częstotliwość używaną przez niemieckich kontrolerów lotnictwa myśliwskiego”. „Mandrel” był to: „[...] zakłócający radar [...]”. Działał on w zakresie 120 - 130 MHz. [...] i jego zadaniem było [...] zmniejszenie odległości, z jakiej niemieckie radary «Freyja» mogły zidentyfikować i ustalić trajektorię nadlatujących bombowców. Odległość ta spadała ze 160 km do około 40 km”. Zob. R. Jackson, „*Latająca Forteca*” B-17, Warszawa 2001, s. 88.

poczęciu pierwszego nalotu na Drezno. I tak to trwało przez kilka następnych godzin. 16 Mosquito bombardowało Bonn od godziny 00.14 do 00.24. 7 Mosquito (z 8) atakowało Misburg w pobliżu Hanoweru od 1.30 do 1.47, kiedy druga fala bombowców wykonała już swoje zadanie nad stolicą Saksonii i powracała nad Wyspy.

Gdy pierwsza formacja Lancasterów, wyznaczona do zaatakowania Drezna, podążała coraz dalej nad północnymi i środkowymi Niemcami, niewiele wyprzedzając 300 Halifaksów, które miały dokonać nalotu na Böhlen, zagrożenie stawało się coraz wyraźniejsze. Jednakże zdolne do lotu dywizjony myśliwców, stacjonujące w środkowych Niemczech, poderwano w powietrze w trybie alarmowym dopiero wtedy, kiedy w Dóberitz uświadomiono sobie, że trzecia, najliczniejsza grupa czerwonych strzałek na mlecznym podświetlonym szkle panelu (oznaczająca grupę samolotów Maurice'a Smitha) nie zamierza dokonywać zwykłego nalotu na położony na ich kursie Berlin, lecz - według obliczeń - przeleci nad Lipskiem, Chemnitz albo Dreznem, jednocześnie z zaobserwowanym wielkim strumieniem bombowców. Wtedy kontrolerzy uznali, że bezpośrednie niebezpieczeństwo zagraża któremuś z tych saksońskich miast. Ale nawet wówczas żaden z kontrolerów nie podejrzewał, że w planach Brytyjczyków leży przeprowadzenie nalotu na Drezno; drogą radiową ostrzeżono jedynie mieszkańców Lipska.

Tymczasem w Dreźnie nie ogłoszono zwykłego wczesnego alarmu lotniczego. Mieszkańcy miasta usłyszeli tylko, jak syreny obwieszczają pełny alarm: odezwały się one nieoczekiwanie o 21.55⁹. Jednocześnie na lotnisko Dresden-Klotsche (obecnie cywilny port lotniczy Drezna) dotarł rozkaz poderwania w powietrze w trybie alarmowym stacjonującego tam dywizjonu myśliwców nocnych V/NJG.5^o. Jednak wtedy było już za późno,

wkrótce miała się rozpocząć procedura oznaczania celu. Załogi „A” stacjonujące w Dresden-Klotsche wystartowały w chwili, gdy wyposażone w markery Mosquito znajdowały się na wysokości 7000 metrów, próbując wychwycić wiązki impulsów wysyłane przez nadajniki systemu loran. Zespół „A” tworzyło ośmiu lub dziesięciu pilotów dywizjonu, mających na koncie najwięcej zestrzeleń. Jeden z lotników, należących do zespołu „B”, 25-letni sierżant, pilot nocnego myśliwca Me 110 napisał w swoim dzienniku, że 13 lutego „był jego najsmutniejszym dniem jako pilota myśliwca nocnego”. W południe sprawdził swój samolot. Urządzenie SN-2, przeznaczone do przechwytywania w nocy nieprzyjacielskich bombowców, działało sprawnie. „Wieczorem - kontynuował zapis - zaalarmowano nas, po raz pierwszy

tego dnia. Naturalnie, alarm ten dotyczył tylko załóg «A». Rozkaz wystartowania nadszedł o wiele za późno". Wzniesienie się na wysokość, z której można było zaatakować brytyjskie bombowce, zajęło dwusilnikowym myśliwcom nocnym typu Messerschmitt ponad pół godziny.

Obsługi lekkich dział przeciwlotniczych stacjonujących na lotnisku z niecierpliwością oczekiwały na polecenie otwarcia ognia, podczas gdy spoza horyzontu dochodziły odgłosy silników zbliżającej się armady, a kiedy jeden z lotniskowych reflektorów chwycił w stożek światła samolot krążący na bardzo niskim pułapie, wszystkie lufy plunęły salwami wystrzałów. Samolot spadł w płomieniach. Tamtej nocy był to jedyny sukces niemieckiej artylerii przeciwlotniczej - zestrzeliła ona Me 110 pilotowanego przez należącego do zespołu „A” innego młodego sierżanta.

Tak oto stolica Saksonii przygotowywała się do odparcia ataku. Na całym terytorium Niemiec wystartowało tylko 27 myśliwców nocnych, które miały odeprzeć najbardziej niszczący klasyczny nalot lotniczy w II wojnie światowej.

Trzy Lancastery należące do wchodzących w skład grupy 5. dwóch eskadr pathfinderów wyposażono w specjalną aparaturę i nazwano „Łączami” („Links”). Ich zadaniem było przekazywanie alfabetem Morse'a instrukcji wydawanych przez „mistrza ceremonii” bombowcom z sił głównych w wypadku, gdyby zainstalowane na ich pokładach nadajniki radiowe zawiodły albo były zagłuszane. Niekiedy któryś z radiooperatorów bombowców włączał przypadkowo aparaturę nadawczą wysokiej częstotliwości, co powodowało zagłuszanie łączności pomiędzy bombowcami i „mistrzem ceremonii”; zdarzało się również, że zagłuszanie prowadzili Niemcy. „Łączka” umożliwiały też porozumiewanie się „mistrzowi ceremonii” z bazą macierzystą grupy na Wyspach. Wymieniali oni zaktualizowane prognozy pogody i wiatru; podczas operacji o charakterze specjalnym od kontrolera wymagano czasem dokonania pośpiesznej oceny efektów nalotu i przekazania o tym informacji do Anglii, nawet gdy on sam pozostawał jeszcze nad celem.

Podczas nalotu na Drezno 3 Lancastery „Łączka” dostarczył dywizjon 97. W „Łączku 1”, pilotowanym przez oficera w stopniu porucznika, zainstalowano specjalne urządzenie służące do nagrywania, nieustannie rejestrujące przebieg operacji; nagranie miało być odtwarzane na odprawach poświęconych ocenie skutków nalotu w późniejszych dniach -jak widać Bomber Command pragnęło stale uczyć się na własnych błędach, jak również rozwijać technikę i strategię.

Gdy Mosquito „mistrza ceremonii” *zbliżał* się nad obszar celu, on sam włączył urządzenie nadawcze TR.1143 wysokiej częstotliwości, przerywając ciszę radiową, którą nakazano utrzymywać nad Niemcami.

- Kontroler do „marker lidera”. Jak mnie słyszysz? Odbiór.

Dowódca formacji markerów kapitan Topper odpowiedział, że słyszy „mistrza ceremonii” wyraźnie, „na piątkę”. Podobna indagacja pierwszego „Łączka” ujawniła, że „mistrza ceremonii” słychać „głośno i wyraźnie”. Cała operacja miała być zatem kierowana poleceniami wydawanymi głosowo. Kodu zamierzano używać jedynie przy wydawaniu najważniejszych rozkazów, na przykład „odwołać” czy też „misja odwołana”. „Mistrz ceremonii” wymagał potwierdzenia tylko rozkazu „wracać”.

Nad obszarem celu panowało nadal znaczne zachmurzenie; „mistrz ceremonii” ponownie wywołał przez radio „marker lidera”.

- Czy już zeszlście poniżej chmur?

- Jeszcze nie - usłyszał w odpowiedzi. Również on sam do piero co obniżył pułap lotu o 6000 metrów, podczas schodzenia nawigator w samolocie „mistrza ceremonii” odczuwał dotkliwy ból w uszach.

„Mistrz ceremonii” odczekał chwilę, po czym zapytał „marker lidera”, czy widzi pierwsze zielone znaczniki celu zrzucone przez samolot należący do 83. dywizjonu, i usłyszał:

- Okej, już widzę. Ta pokrywa chmur nie jest bardzo gruba.
- Owszem - potwierdził „mistrz ceremonii”. - A jak oceniasz, gdzie się zaczyna?

Po chwili „marker leader” odpowiedział:

- Podstawa znajduje się na wysokości około 800 metrów.

Nadszedł więc czas rozpoczęcia procedury oznaczania celu z małej wysokości. Nad Dreznem płonęły teraz jaskrawo flary, w ich świetle miasto wyglądało cicho i spokojnie.

Krążąc nad nim w swoim Mosquito, „marker leader” oglądał uważnie cel; ku swojemu zaskoczeniu nie zauważył ani jednego reflektora, ani jednej strzelającej w niebo baterii artylerii przeciwlotniczej. Wykonał ostrożnie jeszcze jedno okrążenie, ustalając namiary celu. „Lecąc nad miastem - wspominał po latach

- dostrzegłem wyraźnie znaczną liczbę czarno-białych domów z belkowaniem; przypomniało mi to budynki w Shropshire, Hereford i Ludlow. Ich rzędy wydawały się bieć wzdłuż linii rzeki, przez którą przerzucono kilka mostów o pięknych, stylowych przęsłach; te budynki bardzo wyróżniały się w architekturze miasta”.

Na stacji rozrządowej Dresden-Fredrichstadt dostrzegł lokomotywę pchającą mozolnie kilka krytych wagonów towarowych. Niedaleko dużego budynku, w którym rozpoznał Dworzec Główny (popołudnie spędził w Woodhall Spa, studiując mapy oraz fotografie lotnicze Drezn), inna dymiąca lokomotywa przetaczała z wysiłkiem na otwarty teren pociąg pasażerski, w którego składzie znajdowało się kilka pomalowanych na biało wagonów. Nadszedł czas, kiedy Topper powinien rozpocząć pierwsze podejście nad punkt oznaczenia. Lecąc nad dworcem, nadal znajdował się o 700 metrów za wysoko. Wprowadził więc samolot w lot nurkowy, przez cały czas obserwując uważnie wysokość-mierz. Bomby-znaczniki celu były wyposażone w zapalniki ciśnieniowe, które powinny eksplodować na wysokości 250 metrów. Gdyby znalazł się poniżej tego pułapu przed zrzuceniem bomb, od eksplozji na pewno zapaliłby się jego drewniany samolocik.

Śledził wzrokiem tory kolejowe prowadzące od Dworca Głównego i tworzące hak, który wiódł w prawą stronę, ku rzece. Dokładnie po lewej stronie mostów kolejowych znajdował się jego punkt oznaczenia: wielki stadion kolarski. Tuż przed rozpoczęciem lotu, który miało zakończyć zrzucenie bomb, zawołał

do mikrofonu:

- „Marker leader”, *tally-ho!*”* - chciał w ten sposób ostrzec innych pilotów, którzy mogliby jednocześnie z nim rozpocząć nalot na cel.

Okrzyk angielskich myśliwych, odpowiednik np. polskiego „wycza!”.

Z pułapu 700 metrów Mosquito zanurkował na wysokość bez mała 250 metrów; pilot otworzył drzwiczki komory bombowej w chwili wejścia na kurs wiodący w linii prostej nad punkt celowania. Topper włączył automatyczny aparat fotograficzny. Odpalenie pierwszej kasety błyskowej nastąpiło w chwili, gdy obiektyw urządzenia skierowany był ku Dresden-Friedrichstadt Krankenhaus, największemu kompleksowi szpitalnemu w środkowych Niemczech. Na filmie uwieczniony został moment wypadania z komory bombowej 1000-funtowej bomby-znacznika celu: na pierwszym planie widać groźny kształt kanistra wyposażonego w stabilizatory lotu; na dalszym niewielki wydłużony budynek należący do zespołu zabudowań szpitalnych, mieścił się w nim Zakład Katolicki dla Starców i Chorych¹².

Topper szybko wyrównał, utrzymując dużą prędkość samolotu, nie wiedział bowiem, czy nie zacznie strzelać z ziemi jakaś bateria dział przeciwlotniczych; ponadto blask opadających flar oświetlał aż nazbyt

dobrze nie tylko Drezno, lecz i jego maszynę. Aparat fotograficzny rozpoczął kolejną serię błysków: bomba zrzucona przez Toppera była już tylko czarną drobiną nad owalem stadionu. Jeden z pilotów Mosquito, którego nie poinformowano o nowej technice robienia zdjęć, wykrzyknął do swojego nawigatora: „Boże, trafili naszego «marker lidera»!”. Jednocześnie bomba Toppera eksplodowała, tworząc kaskadę małych czerwonych świateł. Jego Mosquito przemknął z warkotem silników nad stadionem, kierując się ku rzece, z prędkością 450 kilometrów na godzinę; zainstalowane na pokładzie urządzenie fotograficzne błyskało co sekundę oślepiającym światłem. Na klatce numer trzy widać szpitalną bocznice kolejową: rozładowywano tam akurat pociąg szpitalny, który przybył z frontu wschodniego. Został on uwieczniony dla potomności na filmie, nim spadły bomby, które zrównały teren bocznicy z ziemią. W świetle czwartego błysku „marker leader” dostrzegł, że prze-

latuje nad Łabą: z samotnej lokomotywy jadącej obok ogrodu Pałacu Japońskiego unosiła się przypominająca kłębek waty chmurka pary.

- „Marker dwa” do kontrolera: *tally-ho!* - drugi Mosquito już nadlatywał ponad torami kolejowymi; pilot mógł ocenić, w jakiej odległości za celem spadła bomba zawierająca czerwone znaczniki rzucona przez „marker lidera”.

Jednocześnie „mistrz ceremonii” sprawdził na swojej mapie położenie rejonów celu i oznajmił smutnym głosem przez radio kapitanowi. Topperowi:

- Zaznaczyłeś nie to, co trzeba.

Przez chwilę słyszał w słuchawkach tylko przyspieszony oddech zakłopotanego pilota. Potem jednak rzucił z ulgą:

- O nie, wszystko w porządku, rób swoje.

„Mistrz ceremonii” widział teraz wyraźnie, jak czerwony marker płonie w jasnoszkarłatnym kręgu blisko stadionu¹³.

- Halo, „marker lider” - krzyknął. - Ten znacznik celu spadł o jakieś sto metrów w kierunku wschodnim od punktu oznaczenia.

Wstępny zrzut znakujący był nadzwyczaj celny. Jeśli przypomnimy, że pierwszej nocy podczas bitwy o Hamburg w 1943 roku markery zrzucone przez oficjalną grupę pathfinderów, również stosującą technikę zrzutu wizualnego, spadły w odległości od 800 metrów do 10 kilometrów od punktu celowania, widać zasadniczą różnicę umiejętności tych dwóch grup bombowych.

W eterze nad skazanym na zagładę miastem kłębiło się od rozkazów i potwierdzeń.

• Kontroler do „marker lidera”: dobry strzał! Przywał tak jeszcze raz, przywał.

• „Marker lider” do wszystkich „markerów”: walcie, panowie, walcie.

• „Marker pięć” do „mistrza ceremonii”: dajesz pozwolenie?

- „Marker dwa do „mistrza ceremonii”: *tally-ho!*

Była godzina 22.06 i 30 sekund. Do godziny „zero” brakowało jeszcze blisko dziewięciu minut, lecz punkt oznaczenia celu został oznakowany wyraźnie i bezbłędnie. Pozostałe Mosquito miały tylko dołożyć swoje bomby do tych, które już płonęły, żeby wzmocnić siłę blasku.

„Mistrz ceremonii” niepokoił się jedynie tym, czy bomby--znaczniki celu (TI - *target indicators*) będą widoczne przez warstwy chmur, zwłaszcza przez pilotów Lancasterów, które leciały na najwyższym pułapie, czyli na wysokości około 5500 metrów. Piloci dywizjonów mieli nadlatywać nad punkt celowania na różnych wysokościach, żeby uniknąć zderzeń w powietrzu, gdy będą rozpraszać się wachlarzem nad miastem. Na wysokości 5400 metrów nad Drezniem usytuowano dysponującego

specjalnym wyposażeniem Lancastera należącego do dywizjonu 97. Był to „sprawdzacz 3” (Check 3).

- Kontroler do „sprawdzacza 3”: podaj, czy widzisz blask flar.

- Widzę przez chmury trzy TI. - Jednak „mistrz ceremonii”, który się przesłyszał i sądził, że „sprawdzacz 3” zameldował tylko o jednym TI, polecił mu sprawdzić ponownie. Po potwierdzeniu informacji pochwalił go. - Dobra robota. Czy już widzisz czerwone?

- Właśnie teraz je widzę.

Piloci dwóch następnych Mosquito, jeden po drugim, krzyknęli *tally-ho!* i zrzucili nad stadionem swoje czerwone markery. „Mistrz ceremonii”, pamiętając, że samoloty Mosquito miały tylko po jednym markerze, nakazał pozostałym, by „się wyluzowali”; markery być może okazały się niezbędne w późniejszym czasie.

Była 22.07, godzina „zero minus osiem”. Procedura zaznaczania celu przebiegała lepiej i sprawniej niż oczekiwano.

- Kontroler do zrzucających flary: już więcej nie potrzeba,
już więcej nie potrzeba.

Jednak pilot następnego Mosquito również obwieścił przez radio zamiar zaznaczenia stadionu. „Mistrz ceremonii”, nieco zniecierpliwiony, wezwał wszystkie załogi:

- Panowie, pospieszcie się, kończcie robotę i zrywajcie się.

Tymczasem wokół stadionu płonęły jaskrawoczerwone markery, każdy z nich tworzył ogniste koło złożone z mniejszych ognisk blasku, pokrywających obszar o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych i zbyt licznych, żeby je ugasić, nawet gdyby znaleźli się jacyś straceńcze odważni Niemcy, którzy nie obawialiby się wejść w centrum czegoś, co wydawało się centralnym punktem obszaru celowania.

Tymczasem w Dreźnie „Horizont”, nadajnik radiowy obsługujący baterie artylerii przeciwlotniczej, przekazywał ostrzeżenia. „Formacja samolotów prowadzących atak nękający krąży pomiędzy Martha-Heinrich I i Martha-Heinrich 8. Pierwsze fale formacji bombowców znajdują się nad obszarem Biegun Północny-Friedrich, a teraz nad Otto-Friedrich 3. Ich kurs: wschód - północny wschód. Mh1, Mh8, OF3” - oto koordynaty odpowiednich kwadratów siatki naniesionej na planszach dowódców baterii. Jednak zdenerwowany obserwator wziął „samoloty prowadzące atak nękający” (było to faktycznie 9 Mosquito należących do formacji Smitha oznaczających cel) za ciężkie bombowce - i odwrotnie. Po chwili dowódca baterii uświadomił sobie, że te „samoloty nękające” to Mosquito-pathfindery nadlatujące znad obszaru Chemnitz i że formacje bombowców nadlatują z nad Riesą z pomocnego zachodu; natychmiast odpowiedni sygnał przekazano do sali dowodzenia usytuowanej w podziemiach budynku Albertinum⁴.

Tym razem „mistrz ceremonii” zapytał po raz ostatni pilota Lancastera lecącego najwyżej:

- Czy widzicie znaczniki celu?
- Widzę zielone i czerwone TI.

Była 22.09, godzina „zero minus sześć”. Procedura oznaczania celu zakończyła się i „mistrz ceremonii” pragnął, żeby właściwy nalot rozpoczął się jak najszybciej: paliwa w zbiornikach jego samolotu wystarczało tylko na 12 minut krążenia nad celem. Chciał zobaczyć początek ataku i upewnić się, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

W tej samej chwili mieszkańców Drezna, których usunięto z otwartej przestrzeni i którzy nadśluchiwali trwożnie w suterrenach i piwnicach warkotu silników lekkich Mosquito, latających w różnych kierunkach nad dachami stolicy Saksonii, poinformowano po raz pierwszy, jakie niebezpieczeństwo

zagroza ich miastu. O 22.09 tykanie zegara, nadawane zamiast serwisów informacyjnych przez sieć radiofonii kablowej podczas alarmów lotniczych, przerwał nieoczekiwanie podekscytowany głos spikera mówiącego ze znajomym akcentem saksońskim: „Achtung, Achtung, Achtung! Pierwsze fale licznej formacji nieprzyjacielskich bombowców zmieniły kurs i zbliżają się obecnie do miasta. Nastąpi nalot. Mieszkańcy mają natychmiast zejść do suterren i do piwnic. Policja otrzymała rozkazy, żeby aresztować wszystkich znajdujących się na otwartej przestrzeni”¹⁵.

Tymczasem „mistrz ceremonii”, lecący nad pogrążonym w ciszy miastem na wysokości 1000 metrów, powtarzał nieustannie do mikrofonu radiostacji:

- Kontroler do „Suszarki”: nadlatujcie i zrzucajcie bomby, celując na czerwony blask TI według instrukcji. Zrzucajcie bomby na czerwone TI według instrukcji.

W dowództwie drezdeńskiej policji zanotowano, że pierwsze bomby spadły o 22.09¹⁶.

Ostatni komunikat dla mieszkańców z sali dowodzenia obrony cywilnej został odczytany przenikliwym i zachrypniętym głosem:

„Bombardują miasto! Miejcie w pogotowiu piasek i wodę!”. Jednak nie włączono syren i nie wezwano mieszkańców, żeby zeszli do schronów.

Była punktualnie godzina 22.10 i 30 sekund.

Odezwał się „marker leader”.

- Czy mogę teraz odesłać do domu samoloty Marker Force?

Jednak „mistrzowi ceremonii” przyszło do głowy, że Niemcy mogli usytuować w pobliżu cel pozorny.

- Kontroler do „marker leadera”: jeśli pokręcicie się jeszcze trochę w pobliżu i zostawicie jednego chłopca z żółtymi markerami, reszta może wracać.

- Okej, „marker leader” do wszystkich załóg zajmujących się oznaczaniem celu: wracać, wracać. Proszę o potwierdzenie.

Wszyscy po kolei: trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy i ósmy potwierdzili: „marker leader” dostrzegł jednak jakiś krążący samolot z włączonymi zielonymi i czerwonymi światłami nawigacyjnymi. Nad wrogim terytorium było to jakby dopraszać się o zestrzelenie.

- Ej ty, zgaś latarnie - warknął do mikrofonu, chcąc ostrzec nierozważnego pilota.

Światła jednak paliły się nadal. Należały zapewne do jednego z niemieckich Me 110, krążących w celu nabrania wysokości; ponieważ jednak Mosquito były nieuzbrojone, mogły jedynie staranować przeciwnika w powietrzu.

„Mistrz ceremonii” nadal przekazywał przez radio do bombowców sił głównych:

- Kontroler do „Suszarki”: rzucajcie bomby na skupienie czerwonych TI według planu, tak szybko, jak tylko chcecie.

Artyleria przeciwlotnicza broniąca Drezna przez cały czas milczała. Nie widać było nawet jednego płomienia wylotowego. „Mistrz ceremonii” podpułkownik Smith zaczął się domyślać, że Drezno nie dysponowało faktycznie żadną obroną. Mógł zatem

nakazać ciężkim czterosilnikowym bombowcom, żeby zeszły w dół i zaatakowały z niższego pułapu; w ten sposób nasycenie celu bombami byłoby intensywniejsze. Wezwał Lancastera „Łącze I”, który utrzymywał przez cały czas łączność z bombowcami za pomocą alfabetu Morse'a.

- Roger, przekaz samolotom należącym do grupy lecącej najwyżej, żeby zeszły w dół pod średnie chmury.

O 22.15 bomby już spadały na Drezno. „Marker leader” kapitan Topper zwrócił uwagę „mistrza

ceremonii" na charakterystyczne falujące eksplozje potężnych bomb burzących „blockbusterów” o wagomiarze 4000 i 8000 funtów, które miały pozbawić okien i dachów łatwopalne budynki dreźnieńskiej Starówki, niektóre wzniesione przed tysiącem lat. Ciemność rozświetlił jaskrawy, błękitny błysk, gdy seria bomb spadła obok obszaru celu. Brytyjczycy uznali potem, że zostały trafione jakieś urządzenia oraz instalacje elektryczne.

- „Marker leader” do kontrolera: wygląda na to, że spadają teraz dobrze. Odbiór!

- Tak. Ładnie to wygląda.

- Halo „Suszarka”. Dobra robota. Nadlatujcie i celujcie w czerwone TI, według ustaleń. Ej, niech ktoś będzie bardziej uważny, bo zrzucił zbyt daleko. Ktoś chybił, i to sporo.

- Kontroler do „marker leadera”: jak chcesz, to odlatuj. Dziękuję.

- Halo, kontroler: ja też dziękuję, zrywam się. Dobra robota, „Suszarko”. Śliczne bombardowanko.

Magnetofon drutowy pracował nieustannie, nagrywając ów banalny, niemal nijaki dialog śmierci. Kolejne dywizjony Lancasterów nadlatywały nad oznaczony punkt celowania na stadionie; każdy z samolotów zmierzał nad czerwoną poświatę innym kursem, niekiedy prowadzącym wprost na południe, niekiedy niemal dokładnie na wschód. Maszyny odlatywały promieniście w różnych kierunkach nad płonąca Starówką. Cały ten sektor przypominający kształtem ser przeistoczył się w ocean migotliwych pożarów, tu i ówdzie unosiły się powoli płomienne pióropusze eksplozji wielkich bomb, wrywających drzwi i okna, unoszących w górę sterty gruzu i obracających w proch i pył jeszcze stojące domy. „Mistrz ceremonii” Maurice Smith, krążący nad miastem w swoim Mosquito, widział, że cały obszar celu został dobrze nasycony bombami; wybuchy setek tysięcy ładunków zapalających wzniewały pożary, które niczym ogniowa lawina rozszerzały się na całe Drezno¹⁷.

O 22.18 eksplozje bomb pokryły cały sektor, jednak na ciemniejszym terenie poza nim widać było kilka plamek światła. „Mistrz ceremonii” widząc, że ładunki te spadają zbyt daleko od celu, upomniał bombardierów pozostałych Lancasterów.

- Halo „Suszarka”, wypatrujcie czerwonego blasku. Bo robi się bałagan. Jak możecie, wypatrujcie czerwonego, a potem zrzucajcie bomby tak, jak to było ustalone.

Pozostały jeszcze trzy minuty, podczas których mógł krążyć nad miastem. W bliskiej odległości dostrzegł jakiś inny blask: czerwoną i żółtą lunę pożaru niemieckiego celu pozornego, który niepotrzebnie podpalono. Niemieccy projektanci tych konstrukcji nie zdawali sobie sprawy, że płonące miasto oglądane z lotu ptaka tworzy teraz chaotyczną, burzliwą masę buchającego dymu, wybuchów bomb oraz nieregularnych linii milionów pożarów wzniesionych przez ładunki zapalające; tymczasem celom pozornym nadano uporządkowaną formę prostokątów, a płonące „bomby zapalające” rozmieszczono w regularnych odstępach. Niemniej jednak, obowiązkiem „mistrza ceremonii” było dopilnowanie, żeby nie zmarnowano ani jednej bomby na cele pozorne. Tym razem uznał on, że cele te nie były warte zrzucenia żółtego markera ostrzegającego przed ich zbombardowaniem. Wezwał więc przez radio pozostałe bombowce „Suszarki”:

- Cele pozorne od 18 do 22 kilometrów, namiar rzeczywiście 300 stopni od centrum miasta. - Po chwili znów się odezwał:
- Szybko kończcie bombardowanie i wracajcie do baz. Nie zwracajcie uwagi na pożary celów pozornych.

O 22.21 „mistrz ceremonii” wezwał Lancastera „Łączę I” po raz ostatni, gdy skierował swojego Mosquito na kurs powrotny.

- Kontroler do „Łacza 1”, proszę wysłać depezę następującej treści: NALOT NA CEL UDANY STOP PIERWOTNY PLAN STOP POPRZEZ CHMURY STOP¹⁸.

„Łacze” powtórzył tekst depeży, po czym przekazał ją do Anglii za pośrednictwem nadajnika telegraficznego. Po kilku minutach sir Arthur Harris odczytał ją w podziemnej siedzibie dowództwa Bomber Command.

ROZDZIAŁ 10

Miasto w płomieniach

O tym, w jak znacznej mierze o powodzeniu pierwszego nalotu na Drezno, dokonanego 13 lutego późnym wieczorem przez samoloty grupy 5. zadecydowała trafność prognozy pogody przewidywanej nad obszarem celu, niech świadczy porównanie tego ataku z nalotem dokonanym większymi siłami (uczestniczyło w nim 350 Halifaksów) na zakłady

produkcji
paliw syntetycznych w
Bóhlen,
położonym
160
kilometrów na
zachód od
stolicy
Saksonii.
Wydział
prognoz meteo
Bomber
Command
przewidywał,
że luka
pomiędzy
ławicami
chmur,
zalegającymi
nad Europą Za-
chodnią i
Środkową,
znajdzie się
krótko nad
Dreznem i
niebo będzie
czyste przez 4,
5 godzin. Gdy
jednak grupa
samolotów
znakujących
cel,
dowodzona
przez
Maurice'a
Smitha,
zbliżała się
nad miasto,
podążając
kursem niemal
dokładnie
zachodnim,
przez ostatnie
35 minut lotu
maszyny
schodziły ku
ziemi skrajem

potężnej
pionowej
ławicy. Załogi
meldowały, że
niebo nad
Bóhlen
pokrywają
warstwy
stratocumulusó
w. Toteż widać
było zaledwie
słaby blask
zrzuconych
przez
pathfindery
płonących na

ziemi znaczników celu; na dobitkę ładunki te spadły w zbyt szerokim rozrzucie. Co więcej, Niemcy podpalili kilka kilometrów dalej wiele własnych fałszywych znaczników celu, a załogi Halifaxów, którym z powodu zachmurzenia trudno było rozróżnić szczegóły topograficzne terenu, zostały w znacznym stopniu wprowadzone w błąd. „Mistrz ceremonii” ostrzegął wprawdzie przed atakowaniem celów pozornych i nakazał bombardierom celować wyłącznie na blask znaczników, jednak zostały one rozrzucone na zbyt rozległej przestrzeni i bombardowanie okazało się mało skuteczne¹. Dywizjony bombowe wchodzące w skład grup 4., 6. i 8. zrzuciły 787,5 tony bomb burzących i 1,3 tony bomb zapalających, jednak tylko nieliczne ładunki spadły na rafinerię.

Gdyby ta warstwa chmur nadpłynęła nad Drezno zaledwie kwadrans później, po przybyciu nad cel maszyn 5. grupy bombowej, bomby zrzucone przez pierwszą falę samolotów spadłyby zapewne w tak małej koncentracji, że nie wywiązałyby się burza ogniowa.

Prognozy przechowywane w archiwum stacji meteo przy lokalnym lotnisku dla myśliwców w Dresden-Klotzche potwierdzają, że warunki pogodowe niemal wykluczały rozpoczęcie nalotu, lecz również, że ławice chmur znajdowały się w bardzo bliskiej odległości od atakujących samolotów, w chwili gdy kończyły zadawanie ciosu; tak oto, choć o 19.00 na wysokości poniżej 3000 metrów panowało zachmurzenie zaledwie „jedna dziesiąta”, 10 minut po zakończeniu drugiego ataku na Drezno, 14 lutego o 2.00 w nocy, wzrosło ono do „dziesięciu dziesiątych”, i to zarówno poniżej, jak i powyżej tej wysokości². Specjaliści z Bomber Command musieli zatem „wpasować” dwa ciężkie naloty w ową trafnie przewidzianą lukę w chmurach nad Dreznem, pomiędzy pierwszym a drugim atakiem musiała nastąpić około trzygodzinna przerwa. Podpułkownik Maurice Smith potwierdził później, że gdyby ów pierwszy nalot na

Drezno zaplanowano o 10 lub 15 minut wcześniej, taktyka podwójnego ciosu okazałyby się chybioną; nie można by nakazać pilotom Lancasterów, żeby przez pełny kwadrans krążyli nad miastem w oczekiwaniu przejaśnienia.

Bomber Command było zatem o włos od zaprzepaszczenia swojego największego sukcesu w ofensywie powietrznej przeciwko Niemcom, co dotyczy również powojennych wrogów Wielkiej Brytanii - mało brakowało, a Niemcy nie miałyby podstaw do wysuwania przeciwko Anglii najcięższych oskarżeń o charakterze propagandowym.

13 lutego o 22.30 wszystkie formacje samolotów uczestniczących w pierwszej fazie nalotu powracały do ojczyzny. Spośród 245 Lancasterów i 9 Mosquito należących do grupy 5., które wystartowały do ataku, 243 atakowały Drezno w nalocie trwającym od 22.03 do 22.25³. Osiągnięto tak duże skupienie, zarówno w czasie jak i w przestrzeni, że jeden z Lancasterów został zniszczony przez bomby zrzucone przez samolot znajdujący się w powietrzu bezpośrednio nad nim; była to jedyna strata w czasie tej fazy nalotu⁴. „Pierwsza fala samolotów osiągnęła znakomitą koncentrację - stwierdzili brytyjscy analitycy operacyjni - i wznieciła pożary widoczne z odległości 160 kilometrów”⁵. Według ocen dowództwa niemieckiej naziemnej obrony przeciwlotniczej, w pierwszej fazie nalotu uczestniczyło aż 500 maszyn; o 22.35, kiedy uznano, że atak został zakończony, nakazano nadać dla mieszkańców wstępny sygnał „alarm odwołany”⁶. Jednak w piekielnym powietrzu nad Dreznem rozległo się wycie nielicznych syren, ponieważ większość została zniszczona, a zasilanie pozostałych przerwane.

Pierwsza fala bombowców wycofywała się — powracała do ojczyznych baz. Dziesięć minut po zakończeniu pierwszego

nalotu samoloty grupy 5. nagle przestały zrzucać paski folii „Window”, obniżyły szybko pułap lotu do zaledwie 1800 metrów i stały się nieosiągalne dla niemieckich stacji radiolokacyjnych. Dopiero gdy zbliżały się do alianckich linii, kilka kilometrów na poradnie od Strasbourga, samoloty ponownie zaczęły się wznosić na wysokość 5000 metrów. Powracające maszyny ubezpieczał nowy strumień bombowców nadlatujących z Francji i południowych Niemiec - była to formacja 529 Lancasterów, która o 1.30 miała dokonać drugiego nalotu na Drezno. Poczynając od północy, ich załogi zrzucały ogromne ilości pasków folii „Window”, podczas gdy samoloty wznosiły się miarowo nad obszarami zajęтыми przez sprzymierzonych, żeby przelecieć nad linią frontu około 30 kilometrów na północ od Luksemburga. Była to prawdziwa powietrzna armada, dysponująca potężnym wagiomiarom bomb. Na czele strumienia bombowców leciały Lancastery Blind Illuminators: w ich wyrzutnikach znajdowały się bomby burzące zaopatrzone w zapalniki działające z opóźnieniem oraz flary zrzucone na spadochronach - zamknięte pojemniki zawierające „latarnie magnezowe”, zapalające się na wysokości 6000 metrów, „mające oświetlić krajobraz” po to, żeby umożliwić „zastępcy mistrza ceremonii” identyfikację celu i poprawne oznaczenie punktu celowania. Gdyby powłoka chmur okazała się zbyt gęsta i gdyby tłumiała blask flar naziemnych - znaczników celu „Parmatta” (jak już wspomniałem, dowódca pathfinderów był Australijczykiem), 18 samolotów Blind Sky Marker s, należących do formacji pathfinderów - korzystając ze wskazań pokładowych urządzeń radiolokacyjnych - miało zrzucić wyposażone w spadochrony flary „Wanganui”; w ten sposób uwzględniono wszystkie ewentualności.

W regularnych, trzy- lub czterominutowych odstępach leciało wraz z bombowcami około 20 Lancasterów Visual Centerers, które miały zrzucić znaczniki (posługując się metodą wzrokową), celując w środek kręgów utworzonych przez zrzucone wcześniej, płonące flary; dzięki temu zrzucone następnie bomby mogły spadać w jak największej koncentracji.

W charakterze straży przedniej strumienia bombowców leciały dywizjony Mosquito wyposażonych w uzbrojenie służące do nocnej walki powietrznej oraz ostrzeliwania nieprzyjacielskich lotnisk. W szerokim na 8 kilometrów strumieniu podążały też Liberatory i „Latające Fortece”, należące do 100. grupy (przeciwdziałanie elektroniczne), w każdym z nich znajdowało się dwóch specjalistów od rozpoznania elektronicznego, których zadań nie mogli znać nawet pozostali członkowie załogi, oraz tony pasków folii „Window”.

Choć siły wysłane tamtej nocy nad Drezno, mające zadać drugi cios, były zaiste imponujące, wśród załóg bynajmniej nie panował szampański nastrój. Niektórzy lotnicy dopiero zadając pytania oficerom

prowadzącym odprawy, uzyskali więcej informacji dotyczących celu. W niektórych bazach nikt o nic nie pytał ani nie zgłaszał żadnych uwag, a młode wiekiem załogi przyjmowały do wiadomości, co im powiedziano. Niekiedy jednak, ilekroć dzięki przypadkowo zadanemu pytaniu prowadzący podawali więcej informacji o Dreźnie, pojawiały się oznaki niepokoju. Kiedy dowódca bazy odwinął brązowy papier okrywający mapy celu oraz plan trasy, zawieszony na ścianie baraku, większość lotników przewidywała kłopoty. Dowódcy załóg oraz nawigatorzy wymienili porozumiewawcze spojrzenia i szybko obliczyli czas trwania lotu nad Drezno: mogło to być nawet około 10 godzin, co oznaczało wykorzystanie niemal do ostatnich granic osiągnięć Lancasterów; było więc niezrozumiałe wyruszenie w lot prowadzący tak daleko w głąb terytorium wroga tylko po to, żeby zaatakować ów, wydawałoby się, mało znaczący cel.

Wielu pilotów wyraziło zdumienie, że o przeprowadzenie nalotu na miasto - skoro miało ono tak „żywotne znaczenie” dla ich frontu - nie zwrócono się do Rosjan.

Wątpliwości załóg miały rozproszyć zapewnienia oficerów wywiadu. Załogi 3. grupy bombowej poinformowano: „wasza grupa zaatakuje w Dreźnie dowództwo niemieckich wojsk lądowych”. Członkowie niektórych załóg należących do dywizjonu 75. zapamiętali nawet, że Drezno nazwano „miastem-twierdzą”. Lotników poinformowano, że mają zaatakować Drezno: „żeby zniszczyć niemieckie magazyny broni i zaopatrzenia”. Dano im do zrozumienia, iż miasto to jest jednym z głównych ośrodków zaopatrzenia dla frontu wschodniego. Podczas odprawy z załogami 1. grupy podkreślano duże znaczenie Drezna jako węzła kolejowego. Lotnikom powiedziano, że punktem celowania będzie dworzec kolejowy. W materiałach przygotowanych przez dowództwo 6. grupy kanadyjskiej napisano, że „Drezno jest ważnym obszarem przemysłowym; produkuje się tam silniki elektryczne, aparaturę precyzyjną, chemikalia i amunicję”⁷. Załogi nielicznych dywizjonów wiedziały o obecności w mieście kilkuset tysięcy uchodźców oraz o obozach jenieckich, w których przebywało 26 620 osób. Jak się wydaje, oficerom prowadzącym odprawy pozwolono dać upust wyobraźni: w jednej z baz lotnicy usłyszeli, że będą bombardować siedzibę dowództwa gestapo usytuowaną w centrum miasta; w innej - że celem ich bomb staną się niezmiernie ważne dla niemieckiego wysiłku wojennego zakłady produkujące amunicję; gdzie indziej - że mają zniszczyć dużą fabrykę gazów bojowych⁸.

Po raz pierwszy każdy lotnik uczestniczący w nalocie otrzymał kopertę wykonaną z plastikowego tworzywa, zawierającą duże flagi brytyjskie, na których napisano w języku rosyjskim: „Jestem Anglikiem”. Choć mogło to się nie podobać załogom nie pochodzącym z Anglii, tylko z państw imperium brytyjskiego

- było wielu Kanadyjczyków, a w operacji uczestniczyły wszystkie dywizjony australijskie podlegające Bomber Command - był to jedyny środek zapewniający osobiste bezpieczeństwo członkom załóg, w wypadku gdyby ich samoloty musiały lądować przymusowo na terytorium zajęтым przez Rosjan. Lotników ostrzeżono, że prości rosyjscy żołnierze mają zwyczaj natychmiastowego strzelania do dziwacznych osobników w mundurach typu wojskowego, bez względu na to, czy te ostatnie są ozdobione brytyjskimi flagami, czy nie.

Odprawy kończyły się omówieniem technik oznaczania celów stosowanych przez Pathfinderów, podaniem sygnałów wywoławczych sił głównych i „mistrza ceremonii” oraz ogólnymi zaleceniami. Załogi poinformowano, że powinny bardzo uważnie lokalizować flary-znaczniki celu, nie tylko ze względu na fałszywe niemieckie znaczniki, lecz również dlatego, że Drezno „prawdopodobnie stanie w płomieniach” i blask markerów zaćmi ogień innych pożarów. Sygnałem wywoławczym „mistrza ceremonii” miało być słowo „Cheesecake”; głównych sił Lancasterów: „Press on” - to hasło skwitowano dość sztucznym śmiechem, bowiem słowa te wyrażały obecnie obowiązujące tendencje w RAF⁹.

Jeśli chodzi o nalot na Drezno, brakowało kilku standardowych szczegółów charakteryzujących inne odprawy. Ilekroć bowiem odprawa załóg dywizjonu dotyczyła celu, który lotnicy uważali za interesujący i

wart zachodu, piloci zwykle wiwatowali, kiedy dowódca bazy wchodził na podium, żeby do nich przemówić, nawet jeśli przewidywano, że nalot będzie trudny, na przykład na Hamburg albo na Berlin. Tym razem nikt nie wiwatował. Wydawało się, że dowództwo nie ma żadnych informacji dotyczących celu, jego obrony - i nawet, być może, pragnie ów fakt szczególnie podkreślić. Choć wielu lotników poczuło się lepiej na duchu, słysząc, że będą bombardować siedzibę

gestapo oraz fabrykę gazów bojowych, na ich twarzach odmalowało się wyraźne niezadowolenie, kiedy wspomniano o uchodźcach. Na odprawie jednej z grup należących do dywizjonu 100. oficer wywiadu nadmienił nawet (być może jednak nie mówił tego poważnie), że głównym celem nalotu jest zgładzenie jak największej liczby uchodźców, o których wiadomo, że schronili się w mieście, oraz wywołanie paniki i chaosu za linią frontu wschodniego. Jego słowa nie wzbudziły wszelako oczekiwanej wesołości. Zwykle załogi bombowców zabierały do kabin kawałki betonu, złomu żelaznego i stare butelki, które to przedmioty lotnicy ciskali z wysokości na położone na trasie nieprzyjacielskie wioski i miasta. Tym razem, chcąc wyrazić dezaprobatę dla oczekującej ich misji, postanowili jednogłośnie, że powstrzymają się od tej dowcipnej praktyki. Pewien francuski lotnik należący do 635. dywizjonu pathfinderów był bliski płaczu; studiował na uniwersytecie drezdeńskim i miał tam wielu przyjaciół, jednak nie chcąc, żeby do jego książki pilota wbito pieczętkę L.M.F. („łąc of morał fibrę”)*, co byłoby nieuchronnym następstwem odmowy startu, gdy formacja 529 Lancasterów wzbijała się w powietrze, siedział za sterami swojej maszyny.

Trzeba jednak nadmienić, że reakcje te nie były powszechnym zjawiskiem; w innych bowiem bazach, zwłaszcza jeśli przed załogami zatajono rzeczywiste znaczenie celu oraz nie podano jego charakterystyki, „reagowano jak zwykle beztróskim śmiechem i żartami, co prawdopodobnie maskowało niepokój wywołany dużą odległością od celu” - jak to opisał pewien celowniczy.

W przeciwieństwie do większości nalotów przeprowadzanych na miasta niemieckie na ówczesnym etapie wojny, 75 procent bomb znajdujących się w komorach samolotów stanowiły bomby

Brak kręgosłupa moralnego, brak właściwego charakteru.

zapalające. Choć bowiem w poprzednich latach uznano, że najkorzystniejsze efekty przynosi użycie ich w tak dużej proporcji, w roku 1945 pozostało już w Niemczech niewiele miast, które nie zostałyby zaatakowane, zbombardowane i zniszczone. W Zagłębiu Ruhry w zasadzie we wszystkich miastach setki kilometrów kwadratowych sprzymierzeni obrócili w sterty niepalnego gruzu i szczątków. Ponieważ wartość ekonomiczna ładunków zapalających spadła, samoloty zabierały więcej bomb burzących. Ale Drezno było celem dziewiczym, co umożliwiało zastosowanie przeciw niemu pełnej taktyki „hamburskiej”: najpierw eksplozje bomb burzących miały wyrwać drzwi domów i pozbawić budynki dachówek; następnie na tak okaleczony cel miały spaść bomby zapalające, wznecając pożary i wzbijając w powietrze snopy ognistych iskier, które z kolei miały wnikać do domów przez rozerwane dachy i wybite okna, podpalając zasłony, dywany, meble i dachówki. Fale bombowców uczestniczących w drugim nalocie miały zrzucić tylko tyle bomb burzących, żeby wzniesione wcześniej pożary jeszcze bardziej się rozprzestrzeniły, a działania straży pożarnej zostały sparaliżowane. Dlatego też bomby, jakimi dysponowała 3. grupa, były dwóch typów: każdy z bombowców pierwszej fali zabierał „blockbustera” o masie 4000 funtów, zwanego potocznie „cookie”, oraz pięć 750-funtowych wiązek bomb zapalających. Każdy z bombowców drugiej fali był uzbrojony w jedną 500-funtową bombę burzącą oraz 750-funtowe bomby zapalające. Samoloty grupy 1. miały mniej typowe uzbrojenie, bomby zapalające znajdowały się w niewielkich metalowych pojemnikach, usytuowanych w komorach bombowych i zawierających sześciokątne 4-funtowe termitowe ładunki zapalające długości 21 centymetrów. Pojemniki te opróżniano nad celem; deszcz małych bombek stanowił zagrożenie dla innych samolotów, trudno je było również dokładnie zrzucić na cel z uwagi na nikłe

właściwości balistyczne.

Niemniej jednak podczas atakowania takich celów jak Drezno, kiedy najważniejszym zadaniem było spalenie jak najrozleglejszych obszarów miasta, bomby te osiągnęły nadzwyczajny efekt. Każdy samolot należący do jednej grupy był uzbrojony w 17 takich pojemników oraz 1 bombę o wagomiarze 2000 funtów; inny wariant uzbrojenia przewidywał jedną bombę o wagomiarze 4000 funtów oraz 12 pojemników zawierających małe bomby zapalające. Wydaje się, że żaden z samolotów nie miał bomb typu „J” („bomb fosforowych”), które stały się, by tak rzec, hasłem wywoławczym powojennej propagandy. Zbiorniki wszystkich samolotów zatankowano do pełna - każdy bombowiec zabierał 9600 litrów wysokooktanowego paliwa. Po sprawdzeniu i zapuszczeniu silników bombowce podkołowały na koniec pasów startowych: czekały tam na przenośne urządzenia tankujące, których obsługa uzupełniła w bakach samolotów wykorzystane podczas manewrów paliwo. Przez dwie godziny od startu, we wnętrzu bombowców unosił się przenikliwy zapach benzyny, zmieszany z wonią glikolu - środka zapobiegającego zamarzaniu.

O 20.00 wszystkie samoloty już znajdowały się w powietrzu. Druga fala ataku była dwukrotnie silniejsza niż pierwsza. Składała się z 550 Lancasterów należących do grup L, 3., 6. i 8. W celu zamaskowania lotu tej armady bombowców, samoloty zrzucające „Window”, należące do 100. grupy, wywoływały na ekranach niemieckich urządzeń radiolokacyjnych echa dające fałszywe wrażenie, iż formacja maszyn zmierza nad obszar Kolonii-Koblencji.

Gdy bombowce nadlatywały nad środkowe Niemcy, niebo zaczęło się przecierać. Celowniczy skuleni w wieżyczkach dziobowych widzieli poniżej oddalone, płynące po niebie strzępy chmur (pokrywające niebo od „trzech do siedmiu dziesiątych”); wierzchołki chmur sięgały do pułapu 1800 metrów. Noc była bezksiężycowa. Na wysokości, na jakiej leciały samoloty, niebo było bezchmurne wzdłuż całej trasy, aż do linii wyznaczającej 4. stopień szerokości geograficznej, gdzie rozpoczął się front pogodowy przynoszący ławice chmur, oszronienie i osobliwe zjawiska elektryczne. Błękitne ognie świętego Elma, statyczne ładunki elektryczne, pełzały po krawędziach skrzydeł i na wirujących śmigłach.

Szczęśliwie dla Brytyjczyków pomiędzy granicą niemiecką i celem leżała gruba warstwa chmur, uniemożliwiająca start nocnym myśliwcom przeciwnika. Wkrótce jednak, gdy armada dotarła nad południowe obszary Zagłębia Ruhry, rozpoczęły się niemieckie działania obronne; wiele załóg dostrzegło ogień zaporowy artylerii przeciwlotniczej nad okolicznymi miastami. Jednakże trwał już pierwszy z dywersyjnych ataków prowadzonych przez pathfindery - wielki nalot na Dortmund, w którym uczestniczyły Mosquito z Light Night Striking Force. W tamtą noc dokonano również nalotów dywersyjnych na Bonn, Norymbergę i Magdeburg. Tymczasem Liberators z 100. grupy, patrolujące obszar powietrzny położony wzdłuż linii wyznaczającej 8,5 stopnia szerokości geograficznej, ponownie rozpoczęły zrzucanie „Window”, stawiając elektroniczną kurtynę maskującą, nieprzenikloną dla urządzeń radiolokacyjnych przeciwnika.

Nad Chemnitz ławice chmur rozsunięły się. Miasto to nie zostało jednak nawet zaznaczone na mapach, jakimi dysponowali brytyjscy piloci; być może właśnie to zadecydowało, że starali się omijać obszary, na których znajdowały się baterie artylerii przeciwlotniczej. Gdy strumień bombowców, teraz częściowo rozproszony i znajdujący się daleko poza zasięgiem impulsów wysyłanych przez nadajniki „Gee”, wyłonił się spośród chmur i mijał silnie bronione miasto, w którym znajdowała się montownia czołgów Mark IV oraz silników firmy Siegmars, baterie dział przeciwlotniczych usytuowane wzdłuż miasta otworzyły ogień. Kilka Lancasterów zostało trafionych

odłamkami pocisków, lecz piloci zdołali doprowadzić maszyny nad Drezno.

W oddali lotnicy wyraźnie widzieli ognie pożarów wzniesionych przez bomby samolotów należących do 5. grupy. Bo też i pożoga ta była widoczna już z odległości ponad 80 kilometrów. Niektórzy piloci pathfinderów przyznali później, że widząc płonące miasto, doznali uczucia zazdrości - fakt ów można wyjaśnić zażartą rywalizacją pomiędzy grupą 8. i 5., która tak skutecznie zainicjowała zadawanie podwójnego ciosu. „Grupa 5. zyskała przydomek «Lincolnshire Poachers»* - powiedział jeden z oficerów - albo «niezależna siła lotnicza». Irytowały nas ich sukcesy”.

W przeciwieństwie do Mosquito i samolotów zrzucających flary (Flare Force) z 5. grupy, pathfindery uczestniczące w drugiej fali ataku nie były wyposażone w loran; gdyby pierwsze uderzenie okazało się nieskuteczne, było mało prawdopodobne, żeby znaczniki celu spadły w pożądanym skupieniu. Tak czy inaczej, drugi nalot rozpoczął się zaledwie z kilkusekundowym opóźnieniem.

Godzinę „zero” dla sił głównych wyznaczono na 1.30; z 550 Lancasterów, które wystartowały, 515 maszyn zaatakowało Drezno pomiędzy 1.23 a 1.52.

O 1.23 Lancastery Blind Illuminators, których piloci korzystali jedynie ze wskazań aparatury H2S, zrzuciły wzdłuż linii przebiegającej przez punkt celowania wiązki zaopatrzone w spadochrony flar; o 1.28 nadleciał „mistrz ceremonii”, major C. P. C. de Wesselow. Centrum miasta pochłonął ogień szalejących pożarów, co bardzo utrudniało mu to dokładne zlokalizowanie punktu celowania; poniżej wiał silny północno-zachodni wiatr, a ogromny całun dymu spowijał całą południowo-wschodnią część miasta.

Kłusownicy z Lincolnshire.

Siedem minut później nadleciał zastępca „mistrza ceremonii” podpułkownik H. J. F. Le Good¹⁰. On również skonstatował, że punkt celowania przesłaniają ogień i dym. Ponieważ dwóch „mistrzów” uzgodniło w bazie, że to zastępca poprowadzi pierwsze znakowanie celu, Le Good wywołał przez radio de Wesselowa, żeby naradzić się z nim nad zastosowaniem innej techniki znakowania, aniżeli poprzednio ustalono. Kwestią zasadniczej wagi było to, czy należało polecić załogom bombowców, żeby zrzuciły znaczniki wyłącznie na płonącym obszarze, czy też zadysponować szerszy rozrzut. „Mistrz ceremonii” wybrał drugą możliwość: postanowił, że bombardowanie prowadzone przez siły główne dotknie te obszary miasta, które nie ucierpiały w wyniku pierwszego ataku. Tak więc zastępca „mistrza ceremonii” nie zaznaczył swoimi flarami punktu celowania. Wraz ze wspierającymi go w tej procedurze Visual Centerers zrzucił wiązki czerwonych oraz zielonych markerów najpierw z dwóch stron obszaru, na którym trwała burza ogniowa; w tamtej chwili najważniejsze było to, żeby bomby zrzucane przez siły główne nie spadały w zbyt dużym rozrzucie. Oto, co zanotował później w dzienniku pokładowym celowniczy w samolocie Le Gooda:

„13/14 lutego 1945 Drezno. Obrona zero, zabraliśmy sześć czerwonych znaczników celu i cztery 500-funtowe bomby burzące; z powodu dymu pożarów wywołanych pierwszym nalotem punkt celowania nie został zaznaczony”.

Podpułkownik Le Good, Australijczyk z pochodzenia, zanotował: „Drezno. Bez przeszkód nad celem, praktycznie całe miasto w płomieniach. Żadnej naziemnej obrony przeciwlotniczej”.

Przebywający nad celem „mistrz ceremonii” oraz jego zastępca wymienili kilka uwag dotyczących kolejowych stacji rozrządowych, jednak zastępca nie widział ich wyraźnie, pomimo że znajdował się po stronie zawietrznej od płonącego obszaru. „Mistrz ceremonii” wezwał przez radio załogę sił głównych

„Press on” i nakazał im zrzucić bomby najpierw po lewej stronie, potem po prawej obszaru objętego ogniem oraz płonących flar, następnie zaś celować w środek, wykorzystując przy tym efekt przeniesienia bomb poza cel. „Mistrz ceremonii” wraz z zastępcą pozostali nad obszarem celu przez pełne 25 minut trwania nalotu. Przed odlotem „mistrz” usiłował dostrzec stacje rozrządowe: tym razem widział wyraźnie efekty nalotu. W książce zapisów dywizjonu odnotowano, iż składając sprawozdanie po nalocie,

oświadczył on, że: „stacje rozrządowe położone wzdłuż linii prowadzącej na południowy zachód nie zostały zbyt zniszczone”.

Tymczasem w większości dzielnic Drezna syreny znów milczały. Podczas pierwszego nalotu przerwane zostały źródła zasilania, a drugi nalot kompletnie zaskoczył mieszkańców.

Gdy na kilka minut przed godziną „zero” Lancasterzy Illuminatory, których zadaniem było oświetlenie celu, przelatywały nad miastem z rykiem silników, ich celowniczy widzieli, że drogi i autostrady prowadzące do Drezna są pełne pojazdów i ludzi. Ku płonącemu miastu podążały długie kolumny ciężarówek z włączonymi światłami. Były to z całą pewnością konwoje z zaopatrzeniem oraz drużyny strażaków przybywające z innych miast w środkowych Niemczech. Rozpoczęła się realizacja zadania numer dwa należącego do strategii podwójnego uderzenia: likwidacja nie tylko biernej obrony Drezna, lecz również sił ratowniczych wezwanych na ratunek z sąsiednich miast. „Pierwszy raz współczułem wtedy Niemcom - wspominał później celowniczy Lancastera należącego do 635. dywizjonu - lecz trwało to bardzo krótko, moim zdaniem bowiem było wymierzenie przeciwnikowi ciosu, i to nadzwyczaj dotkliwego”.

Kilka sekund później pierwsze Lancasterzy z formacji Blind Illuminators oświetliły cały obszar, zrzucając wiązki zaopatrzonych w spadochrony flar.

Dla Niemców początek wielkiego nalotu na miasto - działanie pathfindersów - był niewątpliwie groźnym i złowrogim spektaklem. Niewidzialne ręce rozrzucające przez chmury wielkie, płonące oślepiającym blaskiem znaczniki celu, opadające migotliwymi kaskadami i połyskujące przyćmionym blaskiem nad skazanym na zagładę miastem - to przepowiadało ze złowieszczym fatalizmem jego nieuchronny los.

Załogi bombowców poinstruowano, żeby wypatrywały opadających na miasto flar. Jednak te okazały się niepotrzebne.

14 lutego 1945 roku o 1.24 żaden z lotników nie wątpił, że znajduje się nad Dreznem. Miasto, jak okiem sięgnąć, było wielkim morzem ognia. „Było tak jasno - zanotował potem w swoim dzienniku jeden z pilotów - że widzieliśmy wyraźnie inne samoloty wokół nas, a także nasze własne smugi kondensacyjne”.

„Fantastyczny blask odległy o 320 kilometrów nabierał coraz większej intensywności, gdy nadlatywaliśmy nad cel - zapisał inny pilot, Żyd z pochodzenia, należący do 5. grupy bombowej - na wysokości 6000 metrów widzieliśmy w niezwykłym blasku wszystkie szczegóły, których nigdy nie dostrzegaliśmy wcześniej. Uczestniczyłem w wielu operacjach, lecz wtedy po raz pierwszy współczułem ludziom na dole”.

Oto zapiski nawigatora z tej samej grupy: „Przestrzegałem zasady, żeby nigdy nie opuszczać swojego stanowiska, jednak w tamtej wyjątkowej chwili nasz dowódca przywołał mnie do siebie, obiecując, że zobaczę coś ciekawego. Widok był istotnie fantastyczny. Oglądane z pułapu około 6000 metrów Drezno było miastem o ulicach skąpanych w ogniu”. Pewien mechanik pokładowy (również z 1. grupy) wspominał, że mógł pisać

w dzienniku pokładowym, korzystając z bijącego z ziemi światła. „Przyznaję, że spojrzałem w dół, gdy spadły bomby - wspomina celowniczy innego bombowca należącego do tej samej grupy - i moim oczom ukazał się wstrząsający widok: miasto płonęło wzdłuż i wszerz. Wiatr odpędzał gęsty dym od miasta, co powodowało, że roztaczała się przed nami jego jasno oświetlona panorama. Nasunęła mi się wtedy przerażająca refleksja: zestawilem w myślach widoczny poniżej holocaust oraz ostrzeżenia udzielane nam przed wojną przez kaznodzieję na spotkaniach ewangelicznych”.

Flary-znaczniki celów miały płonąć przez około cztery minuty. Dlatego też dowódca pathfinderów tak ustalił procedury czasowe, żeby bombowce Visual Centerers przybywały nad cel co 3 lub 4 minuty przez cały czas nalotu.

Jedynie nieliczne załogi samolotów należących do sił głównych dysponowały dokładną charakterystyką atakowanego celu. Ci lotnicy, którzy nie zadali sobie trudu, żeby poprzedniego popołudnia przestudiować dokładnie w barakach, gdzie odbywały się odprawy, przygotowane przez oficerów wywiadu mapy i plany -jedynie niewielka grupa to uczyniła - zadowolili się celowaniem bomb na kręgi utworzone przez flary zrzucone przez pathfindery oraz wykonywaniem instrukcji podawanych drogą radiową przez „mistrza ceremonii”. „Mistrz ceremonii» leciał znacznie niżej niż my - zanotował pilot z 3. grupy - kierował osobno samolotem każdej fali ataku i nalegał, żebyśmy nie marnowali bomb, zrzucając je na te dzielnice, które już stały w ogniu”.

Być może niektórzy celownicy dziwili się, jak mogą zniszczyć dworzec kolejowy, siedzibę dowództwa wojsk czy nawet gmach gestapo albo fabrykę gazów bojowych (co zostało tak przychylnie przyjęte podczas odpraw), skoro „mistrz ceremonii”

nieustannie poleca lotnikom należącym do głównych sił zrzucać bomby na różne części miasta. Terenem, który uparcie nie chciał się zająć ogniem, był Wielki Ogród, rozległy park położony na planie czworokąta. Zmarnowano wiele ton bomb, dokonując daremnych wysiłków, żeby również tam wzniecić pożar; dym zwiewany wzdłuż miasta w kierunku wschodnim okrył jednak całkowicie tę część obszaru celu.

Po raz drugi niemieckie myśliwce nocne zostały unieruchomione. Tym razem jednak przyczyną nie był brak paliwa czy też niedostateczne przygotowanie do akcji. Piloci myśliwców stacjonujących w Klotzsche widzieli wyraźnie, jak w odległym zaledwie 8 kilometrów na południe Dreźnie wzmagają się ogromne pożary. Gdy za pośrednictwem systemu radiofonii przewodowej (Drahtfunk) przekazano informację, że nad środkowe Niemcy nadlatują z południa kolejne formacje bombowców, żaden z niemieckich lotników nie miał wątpliwości, że ta druga armada kieruje się nad Drezno, które stanowi teraz dla niej „latarnię morską”. Dowódca bazy nakazał natychmiast wszystkim nocnym pilotom, żeby wsiedli do swoich Me 110, po czym ogłosił stan „gotowości kabinowej”. Personel naziemny zajął stanowiska przy urządzeniach wspomagających start. W gotowości oczekiwało 18 myśliwców z wypełnionymi zbiornikami paliwa i uzbrojeniem pokładowym zaopatrzoną w amunicję. Piloci dowiedzieli się wcześniej o nalocie, mieli dość czasu, żeby wznieść się na wysokość, z której mogliby zaatakować przeciwnika.

O 12.30 włączono światła na zabudowaniach lotniska oraz światła drogi startowej: odsłoniły one piękne sylwetki setek samolotów zaparkowanych wokół pasów startowych; do Klotzsche wycofano bowiem z frontu wschodniego kilka dywizjonów myśliwskich oraz samolotów transportowych, żeby ocalić je przed

przejęciem przez Rosjan. Jednak światła drogi startowej nie zostały włączone dla potrzeb myśliwców nocnych. Dowódca bazy wyjaśnił, że oczekuje na przyłot grupy samolotów transportowych, powracających z oblężonego przez wojska marszałka Koniewa Wrocławia, dokąd dostarczyły zaopatrzenie. Światła włączano i wyłączało, co pewien czas. Załogi myśliwców zaprotestowały: gdyby nieprzyjacielscy lotnicy je dostrzegli, niechybnie zniszczyliby całe ich lotnisko. Jednakże dowódca okazał się nieugięty, toteż rzędy światełek to gasły, to znów się zapalały, jakby zapraszając Brytyjczyków do ataku.

Od przekazania przez Drahtfunk pierwszego ostrzeżenia upłynęło 10, potem 20, wreszcie 30 minut, a tu nie wzbijała się w powietrze zielona rakietą, dająca sygnał do startu.

„Czekaliśmy zatem, aż dopełni się nasz los, siedząc w kabinach - wspominał z goryczą jeden z pilotów myśliwców nocnych - obserwowaliśmy bezsilnie przebieg całego drugiego nalotu na Drezno.

Nieprzyjacielskie pathfindery zrzuciły wprost nad naszymi głowami zielone „choinki”, których blask oświetlił jaskrawo nasze lotnisko wypełnione samolotami przerzuconymi z frontu wschodniego”.

Wysoko na niebie przelatywały tymczasem fale ciężkich bombowców, a bomby spadały ze świstem na miasto. Pomimo to, w Klotzsche światła drogi startowej na przemian włączano i wyłączano w oczekiwaniu na przylot samolotów transportowych z Wrocławia. „Spodziewaliśmy się, że w każdej chwili nasze lotnisko zostanie zmiecione z powierzchni ziemi. Niektórzy mechanicy oraz inni członkowie personelu naziemnego nie wytrzymali nerwowo. Opuścili swoje stanowiska i uciekli do schronu. Byliśmy pewni, że tamci zniszczą lotnisko, najwidoczniej jednak mieli *rozkazy*, których musieli przestrzegać; nasze lotnisko nie figurowało w ich wykazie celów. Wyobraźmy sobie jednak przeciwną sytuację: pilotów formacji niemieckich bom-

bowców nie powstrzymałaby żadna dyscyplina i na pewno zaatakowałyby cel, który odsłaniałby się przed nimi, tak jak my wtedy, cel położony tuż obok obszaru właściwego celu - i to nawet bez rozkazu”.

Tymczasem jednak zielonej rakiety nie wystrzelono. Nalot na Drezno zakończył się. Piloci Me 110, opuszczeni przez personel naziemny, wychodzili z kabin na sztywnych nogach. Dowódca bazy, który z własnej inicjatywy nakazał im wejść do samolotów, tłumaczył znużonym głosem, że nie mógł nawiązać łączności z dowództwem dywizji myśliwców nocnych w Dóberitz opodal Berlina, żeby otrzymać stamtąd pozwolenie na poderwanie z ziemi dywizjonu w trybie alarmowym.

Telefony okazały się głuche, na dobitkę z jakiejś przyczyny zaniknęła łączność radiowa na falach krótkich pomiędzy bazą a Dóberitz. Linie telefoniczne przechodziły oczywiście przez starą część Drezna, poczynając zaś od sformowania przez RAF w listopadzie 1943 roku grupy 100., łączność radiową Luftwaffe skutecznie zagłuszano podczas wszystkich większych nalotów.

„Oto i rezultat - zanotował w swoim dzienniku jeden z pilotów myśliwców nocnych - potężny nalot na Drezno. Miasto rozwalone. A my musieliśmy stać bezczynnie i przyglądać się. Jak do tego w ogóle doszło? Ludzie coraz głośniejsz gadają o sabotażu albo co najmniej nieodpowiedzialnym defetyzmie «džentelmenów» ze sztabu dowództwa. Czuję, że sprawy zbliżają się do końca wielkimi krokami. A co potem? Nieszczęsny Vaterland!”.

Tak oto naziemna obrona przeciwlotnicza nie oddała ani jednego wystrzału. Niektórzy brytyjscy lotnicy odczuwali niemal zażenowanie z powodu braku jakiegokolwiek przeciwdziałania przeciwnika. Wiele samolotów okrążyło kilkakrotnie płonące

miasto - i nikt im w tym nie przeszkadzał. Jeden z Lancasterów wyposażony w kamery filmowe 35 mm kołował nad celem, filmując piekło poniżej dla potrzeb jednostki filmowej RAF. Taśma długości 12 metrów, przechowywana w archiwum filmowym londyńskiego Imperial War Museum, należy do najbardziej makabrycznych i jednocześnie wspaniałych zapisów wizualnych z drugiej wojny światowej; *zarazem* stanowi rozstrzygające świadectwo, że Drezno było miastem pozbawionym wszelkiej obrony. Ani na jednej klatce nie zarejestrowano stożka świetlnego reflektora czy też wybuchu pocisku przeciwlotniczego.

„Gdy pod koniec nalotu przylecieliśmy nad cel, było już oczywiste, że los miasta jest przesądzony” - wspominał pilot Lancastera należącego do 3. grupy, który został trafiony odłamkiem pocisku przeciwlotniczego nad Chemnitz i z tego powodu przybył nad Drezno z opóźnieniem. Według planu powinien pojawić się pięć minut przed zakończeniem nalotu, miał jednak ponad dziesięćminutowe opóźnienie. Być może był ostatnim brytyjskim samolotem przebywającym nad celem. „Ujrzeliśmy morze ognia, które, według mojej oceny, pokrywało obszar o powierzchni około 100 kilometrów kwadratowych. Czuję w kabinie żar buchający z tego piekielnego paleniska. Niebo rozjaśniło się

szkarłatą i białą, a poświata w samolocie przypominała blask jakiegoś niesamowitego jesiennego zachodu słońca. To budzące grozę jaskrawe światło wywarło na nas tak przemożne wrażenie, że pomimo iż byliśmy samotni nad miastem, krążyliśmy jeszcze przez wiele minut, lecąc tak, żeby unikać wchodzenia w zasięg baterii dział przeciwlotniczych, które mogły gdzieś jeszcze ocaleć, a dopiero po jakimś czasie skierowaliśmy się w drogę powrotną. Siedzieliśmy nieruchomo w fotelach, a wyobraźnia podsuwała nam obrazy horroru, jaki niewątpliwie trwał na dole. Jeszcze pół godziny po odlocie widzieliśmy łunę tego holokaustu".

Innego pilota z 3. grupy podczas powrotu do bazy niesłabnący purpurowy blask na niebie tak dalece zdumiał i zafrapował, że poprosił nawigatora o sprawdzenie, czy lecą właściwym kursem: ich samolot znajdował się w odległości ponad 240 kilometrów od Drezna. Najwyraźniej jednak ogień pożarów za horyzontem zamiast blaknąć, stawał się coraz intensywniejszy. Oto co pilot ów zanotował po powrocie w swoim dzienniku: „A więc RAF po raz pierwszy zbombardował miasto. Nie wydaje mi się, żeby trzeba było to powtarzać”.

„Samoloty drugiej formacji również zameldowały, że znaczniki celów i bomby spadły w dużej koncentracji - stwierdził później jeden z analityków Bomber Command - a wywołane nalotem pożary były widoczne z odległości 250 - 300 kilometrów”.

Formacje tworzące pierwszą i drugą falę nalotu ogółem zrzuciły na Drezno bomby burzące o łącznym wagomiarze 1477,7 ton, w tym 529 bomb o masie 4000 funtów oraz jedną o masie 8000 funtów; również bomby zapalające o wagomiarze 1181,6 ton. Dokonując nalotów dywersyjnych, 109 Mosquito zaatakowało Magdeburg, Bonn, Dortmund, Misburg i Norymbergę, nie ponosząc żadnych strat¹².

Istotnie straty brytyjskie okazały się nadspodziewanie niskie. Analitycy Bomber Command uznali, że przyczyniła się do tego zasłona chmur oraz skuteczne zastosowanie środków przeciwdziałania elektronicznego, a także zrzucanie pasków folii „Window”¹³. Piloci myśliwców nocnych Mosquito uczestniczący w operacjach dywersyjnych zameldowali o zestrzeleniu dwóch Me HO¹⁴. Analitycy po przestudiowaniu materiałów zawierających relacje lotników, uzyskane po zakończeniu nalotów przez oficerów wywiadu, uznali, że Niemcy nie przeciwstawili bombowcom żadnej obrony. Jedynie 9 spośród 1164 powracających do baz samolotów zameldowało, że zostały zaatakowane przez nieprzyjacielskie myśliwce, a załogi określiły naziemną obronę przeciwlotniczą

w samym Dreźnie jako „minimalną”¹⁵. Kilka bombowców musiało w drodze powrotnej lądować przymusowo we Francji -jeden z nich rozbił się, dokonując tego manewru¹⁶.

Brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa, powtarzając informacje zawarte w tych meldunkach, stwierdziło, że pożary Drezna były widoczne „w odległości blisko 300 kilometrów od celu”¹⁷. W oficjalnym komunikacie napisano również, że na miasto spadło około 650 tysięcy ładunków zapalających, zrzucanych pojedynczo i w wiązkach¹⁸.

Początkowo ogłoszono, że straty w operacji, w której uczestniczyło 1400 samolotów Bomber Command, wyniosły 16 maszyn, czyli znacznie mniej niż 1 procent. Ze 128 samolotów należących do 100. grupy (przeciwdziałania elektronicznego) 111 maszyn wykonało zadanie przy zerowych stratach własnych. Nazajutrz po nalocie straty zmniejszyły się do 6 Lancasterów; pozostałych 10 samolotów z powodu wyczerpania paliwa wylądowało na kontynencie¹⁹. Nad Bóhlen utracono tylko 1 samolot, a 1 podczas nalotu pierwszej fali bombowców na Drezno (został trafiony bombami zrzucanymi przez maszynę lecącą powyżej) 4 inne spadły na ziemię podczas ataku drugiej fali bombowców - pierwszy został zestrzelony przez niemiecki myśliwiec na wschód od Stuttgartu, drugi stał się ofiarą powietrznej kolizji na południowy wschód od Frankfurtu, trzeci zaginął, zbliżając się do ujścia Sommy, ostatni zaś przepadł nad Dreznem z nieznanymi przyczyn²⁰. Szczątki 2 Lancasterów utraconych nad Dreznem odnaleziono przy Nord Strasse i Albert Platz; w kabinach były ciała lotników²¹.

Najbardziej skuteczny nalot w historii Bomber Command, w którym samoloty poleciały najdalej w głąb Niemiec, przyniósł mniej niż półprocentowe straty²².

14 lutego o 6.49 rano dalekopisy całego anglojęzycznego świata przekazały komunikat następującej treści:

Z OSTATNIEJ CHWILI. TEJ NOCY BOMBER COMMAND WYŚLAŁ DO AKCJI 1400 SAMOLOTÓW. GŁÓWNYM CELEM NALOTU BYŁO DREZNO. KONIEC KOMUNIKATU. GODZ. 06.50, 14.2.1945²³.

Dla Drezna nie był to jednak koniec. Dla tego miasta krwawa rzeźnia rozpoczynała się od nowa. W powietrze wznosiła się już bowiem druga formacja bombowców, tym razem amerykańskich. Celem armady złożonej z 1350 „Latających Fortec” i Liberatorów była ponownie stolica Saksonii. Zbliżał się trzeci ciężki nalot w ciągu 14 godzin.

Tymczasem w Berlinie Adolf Hitler udał się na spoczynek dopiero o 6.14 rano. Nigdy nie szedł spać, dopóki ostatni nieprzyjacielski samolot nie opuścił niemieckiej przestrzeni powietrznej. Kompletnie znużony i wyczerpany wstał o 13.00 i wtedy dowiedział się, że Drezno stoi w płomieniach i że bombowce amerykańskie powróciły nad miasto, by dokończyć krwawego dzieła zniszczenia.

Gdy syreny odwołały alarm, Hitler natknął się w korytarzu na doktora Erwina Giesinga, którzy przybył do Kancelarii Rzeszy; ów młody lekarz wojskowy leczył urazy głowy i ucha fuh-rera po zamachu na jego życie dokonany siedem miesięcy wcześniej. Hitler mówił ochryłym, załamującym się głosem i błdził wokół martwym spojrzeniem. Wspominał o broni zwycięstwa (Siegwaffe), którą miał jakoby w zanadrzu. „Odniesiemy wspólnie sukces. Niedawno nasi uczeni rozwiązali pomyślnie problem rozszczepienia jądra atomowego i rozwinęli tę technikę tak dalece, że już dziś możemy wykorzystać w celach wojskowych uzyskaną w ten sposób energię. Wróg nawet nie będzie wiedział, co w niego uderzy! Jest to broń przyszłości. Dysponując nią, możemy być spokojni o przyszłość Niemiec. To nie kto

inny jak
Opatrzność
wskazała mi
tę drogę,
drogę
wiodącą ku
zwycięstwu”*.

Potem
powlókł się na
dół: w
rozmowie z
lekarzem
świadomie
kłamał - albo
być może
fantazjował²⁴.

Potrójne uderzenie

Radziecki Sztab Generalny przyjął bez komentarzy wiadomość, że siły brytyjskie i amerykańskie zamierzają zaatakować Drezno.

Przestrzegając procedur ustalonych na początku lutego 1945 roku, dowódcy aliancy za pośrednictwem kanałów wojskowych przekazywali Rosjanom wszelkie informacje, przekazali więc i tę 7 lutego generał Spaatz poinformował generała dywizji Johna R. Deane'a, szefa amerykańskiej misji wojskowej w Moskwie, że „celami o znaczeniu komunikacyjnym” bombardowań strategicznych, które ma przeprowadzić 8. Air Force, są - według obowiązującego priorytetu - Berlin, Lipsk, Drezno, Chemnitz oraz inne mniej ważne cele; Spaatz zobowiązał się do informowania Rosjan 24 godziny wcześniej o każdej planowanej operacji¹. Nazajutrz sztab Deane'a przekazał radzieckiemu Sztabowi Generalnemu, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, rzeczoną informację, że Drezno figuruje w wykazie celów, które mają zostać zbombardowane².

Jak już napisałem wcześniej, niewiele brakowało, a pierwsi zbombardowaliby Drezno Amerykanie. 12 lutego generał Spaatz

zawiadomił amerykańską misję, wojskową w Moskwie, że jeśli utrzyma się sprzyjająca pogoda, proponuje zbombardowanie kolejowych stacji rozrządowych w Dreźnie za pomocą 1200

- 1400 ciężkich bombowców amerykańskiej 8. Air Force³. Tego samego dnia szef sekcji lotniczej w Moskwie generał dywizji Edmund W. Hill przekazał tę informację do radzieckiego Sztabu Generalnego⁴.

„Jak wynika z tej depechy - stwierdził radziecki rzecznik rządowy w korespondencji z autorem - zachodni alianci poinformowali dowództwo radzieckie jedynie o swoich zamiarach zbombardowania stacji rozrządowych w Dreźnie. Sztab radzieckich sił lądowych nie otrzymał żadnej wiadomości dotyczącej przeprowadzenia zmasowanych nalotów na to miasto”⁵. Jednakże, znając skutki ataków na inne główne niemieckie węzły kolejowe, dowództwo radzieckie bezsprzecznie zdawało sobie sprawę z następstw dużego alianckiego nalotu na stacje rozrządowe.

Tymczasem choć 13 lutego, po przekazaniu Rosjanom tej informacji, amerykańskie załogi uczestniczyły w odprawie poprzedzającej nalot, odwołano go z powodu złej pogody⁶. Tego samego dnia

generał dywizji Hill oświadczył w Moskwie Rosjanom, że jeśli pogoda będzie sprzyjająca, wówczas 8. Air Force zaatakuje nazajutrz stacje rozrządowe w Dreźnie i w Chemnitz. W kolejnej informacji zapowiedziano, że Drezno oraz inne cele

- należące do niemieckiego systemu komunikacyjnego, którym przyznano tak wysoki priorytet - zostaną zaatakowane, kiedy tylko pozwoli na to pogoda⁷.

14 lutego we wczesnych godzinach porannych, gdy okazało się, że pogoda jest odpowiednia, dowództwo amerykańskich sił lotniczych wydało rozkaz operacyjny dotyczący nalotu na Drezno - był to ów trzeci cios, jaki miał spaść na miasto w ciągu 14 godzin. Niemal jednoczesny amerykański nalot miał dotknąć również leżące 50 kilometrów na południowy zachód od Dreżna Chemnitz. Planowano, że będzie on przygotowaniem do nalotu na właśnie miasto-cel, którego miałyby dokonać tej samej nocy bombowce sir Arthura Harrisa. Tak oto Chemnitz miał spotkać los przygotowywany początkowo dla Dreżna - nalot amerykański miał poprzedzić podwójny nalot brytyjski, nie odwrotnie.

Nim powracające znad Dreżna Lancastery Bomber Command przekroczyły linię brytyjskiego wybrzeża, załogi ponad 1350 B-17 „Latających Fortec” oraz B-24 Liberatorów, jak również wszystkich amerykańskich myśliwców zasiadły do „śniadania kata”, składającego się z zimnej jajecznicy przyrządzonej z proszku oraz kawy. Odprawę rozpoczęto o 4.40, na długo zanim pierwszy brzask rozjaśnił spowite mrokiem równiny wschodniej Anglii.

Do 1. Air Division, formacji, która miała zadać Dreżnu trzecie uderzenie, należało 450 „Latających Fortec”. Miasto miały zaatakować najcięższe bombowce, zabierające największy wagomiar bomb; wszystkie pozostałe wyznaczono do przeprowadzenia nalotów na cele drugorzędne - Magdeburg, Wesel i Chemnitz.

Amerykańskim nawigatorom prowadzącym, tak jak brytyjskim, nastęczała kłopotów kwestia, jak poprowadzić tę powietrzną armadę, żeby samoloty nie *znalazły* się nad obszarem zajęтым przez Rosjan. Ustalili oni zatem, że gdy bombowce znajdą się nad terenem nieprzyjacielskim (co nastąpi, kiedy miną Egmond położone na wybrzeżu holenderskim), wezmą kurs na „punkt początkowy”, wyznaczony nad Łabą. Spotkanie z grupami Mustangów P-51 miało zaś nastąpić nad punktem położonym na południe od Zuider Zee. Zaplanowano, że myśliwce będą eskortować formacje bombowców lecących w zwartych „boksach”, liczących od 36 do 40 ciężko uzbrojonych samolotów, do Quakenbriick na południowy zachód od Bremy. Stamtąd bombowce polecą 320 kilometrów na południowy wschód, a trasa ich lotu będzie przebiegać w linii prostej przez H6xter do Probstzella. Liberatorzy wyznaczone do zbombardowania

Magdeburga miały polecieć tą samą trasą, a nad punktem wyznaczonym nieopodal H6xter zmienić kurs na taki, który doprowadzi je wprost do Magdeburga albo do Berlina. 450 „Latających Fortec” 1. Air Division, wyznaczonych do przeprowadzenia nalotu na Drezno, wraz z około 300 bombowcami należącymi do 3. Air Division, mającymi zaatakować Chemnitz, miało skierować się potem na północny wschód, zmierzając ku swoim celom.

Chemnitz znajdowało się ponad 160 kilometrów od linii frontu wschodniego, toteż możliwość popełnienia błędu nawigacyjnego była mniejsza.

W wypadku Dreżna nawigatorzy prowadzący grupy bombowej otrzymali instrukcje, żeby obrać kurs na punkt początkowy nad Torgau, miasto leżące nad Łabą, 80 kilometrów na północ od Dreżna. Stamtąd samoloty miały polecieć na południe nad pierwsze duże miasto położone po obu stronach rzeki: było to Drezno. Właściwym celem grupy był dworzec kolejowy usytuowany w okolicy Neustadt. Wydaje się, że załogi nie otrzymały polecenia, żeby wypatrywać dymu wiszącego nad miastem--celem; Niemcy tak sprytnie i tak umiejętnie przygotowywali cele pozorowane, że bombardierom prowadzącym nakazywano korzystać wyłącznie ze wskazówek swoich nawigatorów, w żadnym wypadku natomiast nie uwzględniać w

obliczeniach obiektów dostrzeganych poniżej. Załogi poinformowano, że drez-deńska obrona przeciwlotnicza jest „średnia do ciężkiej/do nieznanej”.

Ustalono ponadto, że sygnałem wywoławczym bombowców będzie słowo VINEGROVE. Gdyby pogoda nad kontynentem pogorszyła się, hasłem odwołującym atak na Drezno miało być słowo CARNATION. Eskadry myśliwców należących do eskorty miały posługiwać się różnymi sygnałami wywoławczymi, między innymi COLGATE, MARTINI, SWEEPSTAKES, RJPSAW i ROSELEE.

Warto nadmienić, że choć oficjalnym celem uderzenia na stolicę Saksonii miało być zniszczenie miasta oraz uniemożliwienie Niemcom przeniesienia tam z ewakuowanego Berlina urzędów administracji państwowej, podobnie jak dziesięć dni wcześniej, w przypadku nalotu na stolicę Rzeszy, załogi poinformowano, iż zaatakują „obiekty infrastruktury kolejowej”.

Tamtego ranka amerykańscy lotnicy czuli się nietęgo. Na stanowiskach bojowych w samolotach mieli znaleźć się już o 6.30. Z radością przyjęli więc wiadomość, że zapuszczenie silników, które według wstępnych ustaleń miało rozpocząć się o 6.40, zostało przesunięte o godzinę. Najwidoczniej prognozy meteo dotyczące pogody nad Europą nie zostały jeszcze potwierdzone.

Amerykańscy lotnicy, oczekujący obok swoich maszyn na sygnał do startu, widzieli, jak do macierzystych baz powracają Lancastery. Wreszcie o 8.00 odpalono flary Yereya i „Fortece” ruszyły pasem startowym; nawigatorzy ustalili kurs na pojawiające się na ekranach radarowe „zajaczki”, ponad którymi mieli spotkać się z pozostałymi grupami bombowców, by wreszcie połączyć się z całą 1. Air Division zmierzającą ku wybrzeżom Holandii. Eskortą Spitfire’ów miała towarzyszyć im aż do tego punktu. Nad Zuider Zee na bombowce czekały grupy Mustangów: stamtąd cała wyprawa miała podążyć w głąb Niemiec. Zbliżając się do Drezna, niektóre grupy rozproszyły się na smugach kondensacyjnych. Formacje miały znaleźć się nad celem punktualnie w południe, była to dla nich godzina „zero”. Bombowce leciały w szyku obronnym, a piloci poszczególnych samolotów utrzymywali ze sobą kontakt wzrokowy, od amerykańskich nawigatorów nie wymagano więc tak dużej precyzji jak od nawigatorów nocnych bombowców RAF-u. Piloci RAF-u musieli w ten sposób kierować swoimi maszynami, żeby utrzymać pozycje w obrębie strumienia o szerokości 8 kilometrów; gdyby go opuściły, utraciłyby ochronę zapewnianą przez „Window”

i byłyby bardziej narażone na ataki niemieckich myśliwców nocnych.

Ponad bombowcami oraz poniżej zalegały warstwy chmur; nad całym kontynentem panowało wciąż zachmurzenie „dziesięć dziesiątych”. Wzrokowe bombardowanie celu wydawało się mało prawdopodobne. Nad Kassel Amerykanie zostali ostrzelani gęstym ogniem artylerii przeciwlotniczej, ale samoloty odniosły tylko nieznaczne uszkodzenia.

Pierwsze dwie grupy bombowców należące do 1. Air Division eskortowała do Drezna 20. grupa myśliwska. Pozostałe grupy myśliwskie to 346., 356. i 479, ale dla potrzeb tej książki wystarczy opisanie roli, jaką w operacji drezdeńskiej odegrała grupa 20. Była to jej 260. misja; formację podzielono na podgrupy „A” i „B”, liczące ogółem 72 samoloty R-51S, które miały się spotkać z bombowcami nad Zuider Zee tuż po 10.45. Pilotom myśliwców z podgrupy „B” polecono utrzymywać kontakt wzrokowy z „boksami” bombowców; pilotom myśliwców należących do podgrupy „A” polecono na odprawie przed startem, żeby - po zakończeniu właściwego nalotu - obniżyli lot do poziomu dachów budynków i ostrzeliwali „cele okazyjne”. Kolumny wojska chodzące do zniszczonego miasta lub opuszczające je należało ostrzeliwać z broni maszynowej, pojazdy ciężarowe - z działek pokładowych, lokomotywy zaś oraz inne mechaniczne cele ruchome - rakietami. Samoloty należące do podgrup „A” i „B” miały opuścić formacje bombowców nad punktem wyznaczonym blisko Frankfurtu: tam eskortowanie miały przejąć maszyny P-47 Thunderbolt.

Tymczasem formacje bombowców dotarły nad punkt początkowy wyznaczony nad Torgau i podążając wzdłuż rzeki, skierowały się ku Dreznu. Punkty celowania: trzy duże dworce kolejowe oraz stacje rozrządowe - dwa z nich usytuowane w starej części miasta, trzeci w Neustadt - miały zostać oznaczone markerami dymnymi. Pierwsze bomby zaczęły spadać na miasto, w którym nadal szalały pożary wywołane poprzednim nalotem, o godzinie 12.12. Przez 11 minut wiązki bomb leciały ze świstem z niemal całkowicie zachmurzonego nieba na północny obszar miasta, Dresden Neustadt. „Chmury unosiły się wysoko, niedaleko od nas - wspominał jeden z bombardierów - jednak «dziesięć dziesiątych») nie ustępowało, a nad Dreznem było «dziewięć dziesiątych»). Ponad celem nikt do nas z ziemi nie strzelał. Zrzut bomb nastąpił o 12.22”.

Kapitan James R. Rich, bombardier jednego z samolotów należących do pierwszej grupy, która znalazła się nad celem, zameldował, że niebo jest mocno zachmurzone, ale udało mu się rozpoznać w drodze nad cel większość punktów kontrolnych. „Nim zrzuciłem bomby, dostrzegłem kilka pożarów - wspominał po powrocie do bazy - lecz z powodu grubej warstwy dymu zalegającego nad całym obiektem, nie rozpoznałem ich rozmiarów”. Samoloty B-17 zrzuciły ogółem bomby burzące o masie 474,5 tony oraz bomby zapalające o masie 296,5 tony⁸.

Wraz z zakończeniem amerykańskiego nalotu, co nastąpiło o 12.23, 37 P-51S należących do podgrupy „A” 20. grupy myśliwskiej zeszło nisko nad miasto towarzyszyły im maszyny z podgrup „A” trzech pozostałych grup myśliwców⁹. Z relacji obserwatorów, które nie muszą być jednak prawdziwe, wynika, że większość pilotów uznała, iż najbezpieczniej będzie atakować wzdłuż biegu Łaby. Inne atakowały pojazdy na zatłoczonych uchodźcami drogach wyjazdowych z miast. Według pewnej relacji, pilot jednego z P-51 należącego do 55. dywizjonu myśliwców tak obniżył pułap lotu, że uderzył w furmankę, po czym samolot eksplodował¹⁰.

Pozostałych pilotów rozczarował jednak brak okazji do bezpośrednich starć z przeciwnikiem, choć zapewne nie żalowali, że nad obszarem celu nie było straszliwych odrzutowych Messerschmittów 262. Tamtego dnia zameldowano o trzech samolotach tego typu przelatujących nisko nad formacjami bombowców w okolicy Strasbourga. Żaden z odrzutowców nie ostrzelał jednak przeciwnika, jeden zaś uznano za uszkodzony. Pełne samolotów lotnisko myśliwców w Dresden-Klotzsche jeszcze raz pozostawiono w spokoju. Personel latający ewakuowano; ponieważ Y./NJG.5 był nocnym dywizjonem myśliwskim, jego piloci nie potrafiliby skutecznie walczyć w dzień. Obserwowali amerykański nalot z lotnisk położonych na północ od miasta.

Dowódca policji drezdeńskiej wysłał swoim przełożonym wstępny raport dotyczący skutków nalotu. W szyfrowanej depeszy (szybko odczytanej przez Brytyjczyków) napisał między innymi, co następuje: „Ponowny nalot od 12.15 do 12.25. Bomby burzące i zapalające. Na razie nie sposób ustalić bliższych szczegółów, ponieważ wszystkie środki łączności oraz większość posterunków policji są wyłączone z akcji. Nalot średnio ciężki, bombardowano zwłaszcza składy kolejowe Wehrmachtu z amunicją, oczekujące na torach pomiędzy dworcami towarowymi Dresden-Neeln i Pieschen”.

Większość B-17 odnalazła Drezno i 316 z nich wykonało, jak to nazwano, „skuteczne misje operacyjne przeciwko stacjom rozrządowym”¹². Na Drezno spadło kolejne 771 ton bomb¹³. Niemcy poderwali w powietrze w trybie alarmowym 140 myśliwców, które miały przechwycić bombowce, lecz ich piloci zameldowali tylko o dwóch strąconych samolotach przeciwnika.

Dla jednej formacji amerykańskiej operacja drezdeńska była nieudana. 42 samoloty B-17 398. grupy bombowej zmyliły trasę, lecąc przez chmury na ustalonym wcześniej pułapie. Gdy znalazły się nad ławicą obłoków, nawigator prowadzący nie potrafił określić pozycji¹⁴. Piloci powinni byli po zlokalizowaniu Torgau podążyć na południowy wschód ku pierwszemu miastu położonemu nad rzeką.

(Nawigatorzy prowadzący w „Latających Fortecach” korzystali z doskonałego urządzenia radiolokacyjnego APS.15. „Mickey-man” obsługujący APS.15 odczytywał z ekranu wartości sześciu kolejnych kątów celowania pomiędzy samolotem a leżącym na kursie miastem: uzyskane wielkości były następnie przenoszone do zbioru kątów celowania pokładowego celownika bombowego „Norden”. Bombardierzy przesuwali dźwignię zrzutu bomb do najwyższego poziomu, kiedy widzieli, jak z jednostki prowadzącej zaczynają spadać bomby). Ku zaskoczeniu niektórych pilotów, ich samoloty zaatakowały niemieckie myśliwce - bo własna eskorta myśliwska gdzieś się zapodziała. Amerykańska formacja przez jakiś czas krążyła w powietrzu, żeby przybyć nad cel o ściśle wyznaczonym czasie, co jednak tylko zwiększyło wielkość błędu. Wreszcie nawigator prowadzący zlokalizował punkt, który uznał za Torgau, i skierował swój samolot na kurs prowadzący w jego mniemaniu ku Dreznu.

Dopiero po pewnym czasie nawigator jednej z „Fortec”, nazywanej „Stinker Junior”, wicelider grupy, połączył się przez radio z dowódcą grupy i powiedział, że domniemane Torgau to w rzeczywistości Freiberg; jednak inni lotnicy uznali, iż nie ma on racji i nakazano koledze utrzymywać ciszę radiową. Co pewien czas bombardierzy meldowali, że widzą rzekę. Istotnie, miasto leżące przed nimi przecinała rzeka. Lotnicy nie dostrzegli jednak żadnych charakterystycznych szczegółów, co uniemożliwiało atak z naprowadzaniem wzrokowym; w tej sytuacji wykonano nalot, kierując się wyłącznie wskazaniem radaru. Po chwili nawigator ze „Stinkera Juniora” ponownie przerwał ciszę radiową, twierdząc, że wcale nie zbombardowali Drezna,

inni nawigatorzy również kwestionowali obliczenia nawigatora prowadzącego. Uznali, że ich grupa licząca 40 bombowców dokonała nalotu na Pragę - co boleśnie dotknęło pilota „Stinkera”, obywatela Czechosłowacji, urodzonego i wychowanego w Pradze, który wyemigrował do USA, gdy naziści wkroczyli do jego ojczyzny.

Podobne błędy nie były niczym wyjątkowym u Amerykanów podczas dalekich lotów. Załogi „Latających Fortec” miały poważne kłopoty z paliwem w drodze powrotnej do Wielkiej Brytanii. Wiele samolotów musiało lądować przymusowo w Belgii i we Francji; niektórym skończyło się paliwo, nim po wylądowaniu dokołowały do hangarów.

Załogi „Fortec” powracające z 8,5-godzinnego lotu meldowały, że: „po nalocie, jakiego ostatniej nocy dokonał RAF, w mieście wciąż płoną potężne pożary; nad całym obszarem miasta zalega warstwa dymu”. Do nazistowskich najwyższych władz w Berlinie dopiero zaczęły docierać informacje na temat rozmiarów tragedii, która dotknęła Drezno. Oto notatka z dziennika działań bojowych Naczelnego Dowództwa Luftwaffe:

„Na zachodzie w nocy z 13 na 14 lutego Brytyjczycy wykonali kolejny wielki nalot, ukryci za szczelną radioelektroniczną kurtyną zagłuszającą; bombowce zrzuciły pokaźne ilości «Window». Około 300 ciężkich bombowców oraz Mosquito zaatakowało Böhlen i Tróglitz. Około 300 ciężkich bombowców zaatakowało Drezno. 300 ciężkich bombowców oraz Mosquito przeprowadziło kolejny nalot na Drezno około trzech godzin później”.

Na skutek tego podwójnego nalotu Drezno doznało bardzo znacznych zniszczeń, główna część śródmieścia została niemal całkowicie zburzona.

W ciągu dnia około 1200 nadlatujących od zachodu amerykańskich ciężkich bombowców kontynuowało ofensywę przeciwko Rzeszy. Ich naloty skupiały się na Dreźnie i Magdeburgu. „Terrorystyczne naloty wywołały u ludności zaatakowanych miast efekt psychologiczny. Do walki z przeciwnikiem mogliśmy skierować tylko 145 samolotów”¹⁵.

Zaskoczone Oberkommando der Wehrmacht sporządziło bilans tego, co się stało, w tajnym raporcie

sytuacyjnym:

„Po raz pierwszy wszystkie amerykańskie ciężkie bombowce stacjonujące na zachód od Drezna dokonały dziennego nalotu; nalot ów, jak również naloty przeprowadzone ostatniej nocy, wywołał burze ogniowe. Dworzec Główny został doszczętnie zniszczony. W mieście liczącym 650 tysięcy mieszkańców jest teraz 500 tysięcy osób pozbawionych dachu nad głową - wśród nich jest ogromna liczba uchodźców. Mogliśmy przeciwstawić przeciwnikowi jedynie 146 naszych myśliwców dziennych; jednak 700 myśliwców amerykańskich eskorty dokonało wśród nich okrutnej masakry. Zostały zestrzelone 2 nieprzyjacielskie bombowce, straciliśmy jednak 20 myśliwców”¹⁶.

Przeprowadzony przez Amerykanów jednoczesny nalot na Chemnitz przyniósł skromniejszy sukces: 295 samolotów zaatakowało miasto oraz jego stacje rozrządowe, zrzucając ogółem 718 ton bomb. Jednakże wiele formacji należących do 3. Air Division, które miały uczestniczyć w nalocie, nie zidentyfikowało poprawnie celu; 34. grupa bombowa zamiast Chemnitz zaatakowała Hof i Sonneberg. Gdy 390. grupa bombowa nadleciała nad Drezno, prowadzący bombardier nie mógł zlokalizować celu szczelnie osłoniętego warstwą chmur i zrzucił bomby na lotnisko Luftwaffe w czeskim Cheb oraz na Plauen, stosując podczas nalotu metodę pathfinderów. Amerykanie zrzucili jeszcze 811 ton bomb na zakłady utwardzania tłuszczów Brabar

Bergins w Magdeburgu. Pogoda, która sprzyjała Brytyjczykom, znacznie się pogorszyła.

Nalot na Chemnitz przyniósł również pewną korzyść, ustalono po nim metody prowadzenia dalszej ofensywy przeciwko niemieckim skupiskom ludności położonym na wschodzie. Plan Harrisa, który uznał, że należy zadać tym miastom serie, nagłych i katastrofalnych w skutkach ciosów, nie został zrealizowany. Albert Speer, były niemiecki minister przemysłu zbrojeniowego, przyznał jednak, że kilka takich uderzeń mogłoby rzeczywiście zmusić naród niemiecki do szybkiej kapitulacji. Przesłuchiwany w lipcu 1945 roku oświadczył, że: „w każdym wypadku, ilekroć RAF **nagle** zwiększał intensywność nalotów [...], co miało miejsce na przykład w wypadku Drezna, działało to straszliwie, nie tylko na ludność zbombardowanego miasta, lecz również na resztę Rzeszy”.

Tego że naloty na Drezno nie przyspieszyły kapitulacji Niemiec, nie należy przypisywać, jak twierdzono, zbyt małym zniszczeniom, których dokonały. Wprost przeciwnie, zniszczenia te okazały się ogromne: przez jedną noc dotknęły obszar o powierzchni ponad 6,5 kilometra kwadratowego, w porównaniu z 2,4 kilometrami kwadratowymi obszaru Londynu zniszczonego przez Luftwaffe w ciągu całej wojny.

Sir Arthur Harris postanowił jednak nie spoczywać na laurach. Uznał, że należy, by ująć rzecz obrazowo, obracać nożem w świeżo zadanej ranie. Zmęczonych lotników, którzy tuż po 9.00 rano udali się do łóżek, wyrwano ze snu przed 15.00; zostali poinformowani, że tej nocy mogą oczekiwać kolejnej operacji na dużą skalę. Idąc do baraków, gdzie miała się rozpocząć odprawa, widzieli tankowanie Lancasterów, a ładunki bomb podnoszone do wyrzutników nasuwały przypuszczenie, że oto po raz kolejny mają w perspektywie daleki lot.

Tym razem w mniejszym stopniu niż poprzednio próbowano ukryć przed nimi charakterystykę miasta-celu. Choć w Chemnitz znajdowało się bezsprzecznie wiele celów wojskowych - zakłady produkcji czołgów, fabryki włókiennicze i zakłady krawieckie szyjące mundury, jak również należące do największych w Niemczech warsztaty naprawcze lokomotyw - oficerowie wywiadu udzielili niemal identycznej informacji lotnikom dwóch dywizjonów należących do dwóch grup bombowych. Tak oto załogi samolotów należących do grupy I. usłyszały, co następuje: „Dziś w nocy waszym celem będzie Chemnitz. Polecicie, żeby zaatakować gromadzących się na tamtym obszarze uchodźców, których liczba znów wzrosła, zwłaszcza po naszym ostatnim nalocie na Drezno”. Załogom 3. grupy powiedziano: „Chemnitz

jest miastem leżącym około 50 kilometrów na zachód od Drezna i znacznie mniejszym celem. Lecicie tam dziś w nocy po to, żeby wykończyć uchodźców, którzy mogli ujść z Drezna. Zabierzecie tyle samo bomb co poprzednio, a jeśli nalot okaże się równie skuteczny jak poprzedni, będzie to wasza ostatnia wizyta na rosyjskim froncie".

Słowa te zapisał w swoim dzienniku celowniczy uczestniczący w jednej z odpraw grupy 3.

Sir Arthur Harris ponownie podzielił swoje siły na dwie fale. Jednakże tym razem, będąc przekonany, iż Niemiec kontrolerzy myśliwców w Dóberitz odkryją, że celem tej skoncentrowanej ofensywy są miasta na wschodzie, dowódca Bomber Command przygotował znacznie bardziej skomplikowaną strategię operacji pozorowanych oraz ataków dywersyjnych, aby wprowadzić w błąd nocne myśliwce przeciwnika. *Znaczna* liczba Lancasterów (ogółem 244 maszyny należące do grupy 5.) miała zaatakować rafinerię Deutsche Petroleum w Rositz leżącym niedaleko Lipska. 329 ciężkich bombowców, w tym 120 Halifaksów i Lancasterów

z grupy 6., należących do pierwszej fali samolotów uczestniczących w głównym nalocie na Chemnitz, miało wzniesić w tym mieście pożary; zaplanowano, że nalot ów poprzedzi znakowanie celu przeprowadzone przez pathfindery. Trzy godziny później płonące miasto miało zaatakować 388 bombowców - formacja złożona z Halifaksów należących do grupy 4. i 150 Lancasterów z grupy 3. Przewidywano operacje dywersyjne prowadzone na Bałtyku przez samoloty stawiające miny z powietrza; jednocześnie złożona z Mosquito Light Night Striking Force generała Bennetta miała zaatakować Berlin.

Pomimo to nalot na Chemnitz okazał się mało udany. Według prognozy pogody, sporządzonej przez służby meteo Bomber Command, niebo nad miastem miało być wolne od chmur, jednak prognozę potem skorygowano, wprowadzając do niej ostrzeżenie przed cienkimi i nieregularnymi altocumulusami, altostratusami, albo też jednocześnie obu tymi rodzajami chmur; przewidywano ponadto cienką warstwę stratusów na niewielkiej wysokości. W przeciwieństwie do trafnej prognozy sporządzonej przed nalotem na Drezno, ta zawierała poważne błędy. Pewien australijski pilot Lancastera zameldował, że gdy znajdował się w odległości 190 kilometrów od Chemnitz, niebo zaczęło zachodzić chmurami, nad samym celem zaś panowało zachmurzenie „dziesięć dziesiątych”, a warstwy obłoków piętrzyły się do pułapu 4500 metrów, co uniemożliwiło wzrokowe zlokalizowanie punktu celowania.

Gdy nadleciała pierwsza grupa bombowców, nad miastem zalegały gęste ławice chmur, toteż do znakowania celu piloci pathfinderów zastosowali z konieczności technikę „sky-marking”. Zrzucone flary natychmiast jednak zniknęły w obłokach.

„Mistrz ceremonii”, który był z pochodzenia Kanadyjczykiem, podobnie jak „mistrz ceremonii” prowadzący drugą falę brytyjskiego nalotu na Drezno, najwyraźniej nie wiedział, który punkt wskazać bombardierom: nieustannie domagał się przez radio, żeby zrzucono jeszcze więcej flar, lecz spadło ich już niewiele. W przeciwieństwie do swojego odpowiednika pełniącego obowiązki poprzedniej nocy, Kanadyjczyk wydawał się niezdecydowany: nawet ogólna lokalizacja celu nastęrczała mu kłopotów.

Na dobitkę, Amerykanów zaciekle atakowały niemieckie myśliwce nocne. Ich pilotów nie wprowadziły w błąd wymyślne fortele Harrisa. O tym, w jak trudnych warunkach przyszło walczyć młodemu niemieckim lotnikom, których pokładowe urządzenia radiolokacyjne zagłuszały samoloty należące do grupy 100., świadczy ten oto fragment dziennika jednego z nich:

„14 lutego 1945. Zgodnie z oczekiwaniami wieczorem start w trybie alarmowym. Tym razem poderwano w powietrze również załogi z podgrupy „B”, i to we właściwym czasie. Cel: Chemnitz, na które to miasto przeprowadzano ciężki nalot. Nasze działania już od początku prześladował pech: nawalił EiV [Ergenverstandigungsanlage, samolotowy telefon pokładowy], nie zabraliśmy żadnej radiolatarni, zagłuszany Fug. 16 [odbiornik fal radiowych], służący unikaniu trafienia przez ogień naszej artylerii przeciwlotniczej, wychwytyjący sygnały zagłuszające emitowane przez przeciwnika oraz impulsy

wysyłane przez aparaturę radiolokacyjną zainstalowaną w nieprzyjacielskich bombowcach [Fishpond], sygnalizującą obecność wrogich myśliwców. Łączność radiowa z Pragą nagle ustała, tak więc musieliśmy lecieć na południowy zachód. Nie mogliśmy *znaleźć* lądowiska, wystrzeliliśmy ES [Erkennungssignale, flary awaryjnego rozpoznania], nasza ostatnia nadzieja: małe lotnisko remontowe w [Windisch-] Laibach. Niemniej jednak, lądowanie bez problemów. Jeszcze kwadrans, a musielibyśmy skakać ze spadochronami".

Zaiste, wysiłki podejmowane przez Luftwaffe w celu przeciwdziałania wypadom sił Arthura Harrisa w samo serce Rzeszy

chyba najlepiej oddają notatki tego młodego Niemca, usiłującego zwalczać przeciwnika znacznie przewyższającego go pod względem technicznym.

Tymczasem załogi samolotów należących do grupy 5. atakującej Rositz zaobserwowały skutki burzy ogniowej, którą wzniciły bomby zrzucone przez nie poprzedniej nocy. Przelatując w odległości zaledwie 80 kilometrów od Drezna, lotnicy widzieli wciąż szalejące pożary. (Tego dnia pewien jeniec brytyjski zanotował w swoim dzienniku, że miasto płonęło siedem dni i siedem nocy). Infrastruktura kolejowa i tory w Chemnitz niemal nie ucierpiały. Na miasto to spadło blisko 750 tysięcy ładunków zapalających, jednak pożary nie wywołały tam burzy ogniowej, a w porównaniu z Dreznem było niewiele ofiar. Nieliczne były przypadki masowej śmierci - na przykład z 700 dzieci przebywających w trafionym bombami sierocińcu ocalało tylko 36¹⁷. Wszyscy historycy badający nalot na Chemnitz zgadzają się w jednym, że zarówno drugi nalot amerykańskich „Latających Fortec”, jak i brytyjskie podwójne uderzenie, nie spowodowały w mieście wielkich zniszczeń. „Bomby nie spadły w zbytnim skupieniu, a liczne pożary, których blask oświetlał chmury, rozwijały się na dużej przestrzeni” - czytamy w kronice działań bojowych kanadyjskiej grupy bombowej.

Powyższe fakty stanowią kolejny dowód na to, że bombardowania na oślep, gdy cel zasłonięty był warstwą chmur czy też z zastosowaniem zrzuconych na spadochronach „sky-markers”, nie wywołały zniszczeń porównywalnych z tymi, które spowodowała grupa 5., stosująca bombardowanie sektorowe. Być może gdyby sir Arthur Harris skierował do nalotu na Chemnitz tę ostatnią formację - ostatecznie wykazała ona swoją przydatność podczas podwójnego uderzenia na Drezno - wywiązałyby się burza ogniowa tak intensywna, że załogi bombowców dokonujących drugiego nalotu mogłyby wykorzystać jej blask do dokładnego celowania.

Nie zachowały się żadne materiały informujące o tym, co nim powodowało, gdy zlecał to zadanie pathfinderom 8. grupy Bennetta. Być może dowódca Bomber Command w jakimś stopniu pragnął udobruchać generała Bennetta, który był niezadowolony, ilekroć honor rozpoczynania ciężkich nalotów przypadła jego rywalom. Ale ważniejszym motywem było zapewne jego przekonanie, iż w obecnej sytuacji - gdy Rosjanie zajęli wreszcie rumuńskie pola naftowe, a naloty bombowe sparaliżowały w znacznym stopniu niemiecki transport kolejowy - grupę 5., specjalizującą się w bombardowaniu precyzyjnym, należy skierować do ataku na Rositz. Jak się wkrótce przekonamy, po nalocie na Chemnitz dowódca amerykańskiego lotnictwa bombowego szybko wznowił ofensywę przeciw zakładom przemysłu paliwowego przeciwnika.

Dwa lata później przesłuchiwany Albert Speer wypowiadając się o stoczonych w lipcu 1943 roku bitwie o Hamburg, kiedy morale Niemców było chyba najwyższe podczas całej wojny, powiedział: „[...] Zameldowałem fuhrerowi, że jeśli te naloty będą kontynuowane, mogą wydatnie przyspieszyć koniec

wojny".

W nalotach na Hamburg trwających ponad tydzień zginęło około 48 tysięcy mieszkańców tego portowego miasta, najwięcej ofiar pochłonęła burza ogniowa w nocy z 27 na 28 lipca 1943 roku. W podwójnych nalotach brytyjskich na Drezno oraz, w mniejszym stopniu, w amerykańskich nalotach dziennych zginęło prawie 100 tysięcy osób. Po raz pierwszy w II wojnie światowej bombardowanie lotnicze było tak dotkliwe, że ocalałej ludności zdolnej do pracy fizycznej okazało się zbyt mało.

by pochować wszystkie ofiary. Jednakże próba powtórzenia w Chemnitz tragedii Drezna nie powiodła się. Stracono szansę podkopania morale niemieckiej ludności cywilnej poprzez zgotowanie jej „dwóch Drezn” w ciągu 48 godzin.

Gdyby dwa naloty, na Drezno i na Chemnitz, osiągnęły swój cel, gdyby rzeczywiście przyspieszyły kapitulację narodu niemieckiego, tak jak przewidywał to Albert Speer, zapewne nie wywołałyby oburzenia. Gdyby ich następstwem było natychmiastowe poddanie się przeciwnika, tak jak w Japonii po Hiroszimie i Nagasaki, nie padłoby tyle wzajemnych oskarżeń.

Jednak były one wyłącznie brutalnym pokazem przewagi sprzymierzonych w powietrzu. Drezno legło w gruzach, ale wojna trwała jeszcze trzy miesiące.

Ci, którzy wydali rozkazy przeprowadzenia nalotu, a także ci, którzy oczekiwali na aplauz i uznanie, wycofali się w cień. Teraz należało *znaleźć* kozła ofiarnego.

ROZDZIAŁ 12

Środa popielcowa

Gdy 14 lutego 1945 roku, w środę popielcową[^] nad środkowymi Niemcami wstawał świt, z północnego zachodu wiał silny wiatr. W Dreźnie nadejście ranka było niemal niezauważalne. Nad miastem zalegała wciąż gruba na 5 kilometrów warstwa żółtobrunatnego dymu i oparów, które powstały w następstwie burzy ogniowej. Być może całunowi pogrzebowemu unoszącemu się nad stolicą Saksonii ten niezwykły odcień nadały unoszące się w powietrzu zwęglone i zniekształcone żarem fragmenty murów, kawałki drzew i gruzy, które *znalazły* się w zasięgu sztucznie stworzonej przez człowieka trąby powietrznej i które potężny wir nadal ssał ku niebu.

Kłęby dymu popłynęły wzdłuż Łaby w stronę Czechosłowacji, mieszkańcy miast i miasteczek, nad którymi się snuły, niewątpliwie domyślali się, że nie jest to efekt zwykłego nalotu lotniczego - nad głowami widzieli szczątki doczesne miasta, które 12 godzin wcześniej dało schronienie milionowi ludzi wraz z ich własnością.

Gdy dym odsunął się dalej od płonącego miasta, powietrze ochłodziło się, co spowodowało, że przesycone pyłem i dymem

wilgotne chmury zaczęły się przerzedzać. Wzdłuż całej doliny Łaby spadł deszcz.

Jednakże z nieba nie spadały wyłącznie krople wody: obszary położone po zawietrznej stronie Drezna skąpał strumień czarnego, wilgotnego popiołu. Brytyjczy jeńcy wojenni zatrudnieni w dużej sortowni paczek w Stalagu IV b, oddalonym od Drezna o ponad 40 kilometrów na północny wschód, zapamiętali,

że całun utrzymywał się przez trzy doby, a cząsteczki tłących się włókien materiału i zwęglonego papieru opadały na ich obóz jeszcze przez wiele dni¹. Do ogródka właściciela domu w Mockethal oddalonego od Drezna o około 25 kilometrów spadały sterty pudełek po lekach, które według informacji na etykietach pochodziły z apteki znajdującej się w samym sercu śródmieścia Drezna². Papiery i dokumenty pochodzące ze spalonego Urzędu Ziemskiego w centrum spadły na wieś Lohmen niedaleko Pirny, około 28 kilometrów od Drezna; przez kilkanaście dni zbierali je na polach zatrudnieni do tej pracy uczniowie³.

Były to skutki najstraszliwszej burzy ogniowej w całej historii Strategicznej Ofensywy Bombowej RAF-u przeciwko niemieckim miastom. Według raportu policyjnego, burza ta wywiązała się przypuszczalnie w 30 - 45 minut po rozpoczęciu pierwszego nalotu i słabła stopniowo, aż wreszcie około 3.00 w nocy, kiedy spadł lekki deszcz, najwyraźniej traciła gwałtowność. Niemniej jednak, zabiła tysiące słabych, starszych ludzi, którzy - gdyby nie pożary - zdołaliby ująć z życiem.

Pierwsza burza ogniowa w Niemczech wywiązała się w następstwie bitwy o Hamburg w lipcu 1943 roku; obszar miasta o powierzchni 20 kilometrów kwadratowych płonął wtedy niczym wielkie ognisko. Nalot na Pforzheim, niewielkie miasteczko w Wirtembergii znane z produkcji biżuterii, dokonany dziesięć

dni po zniszczeniu Drezna, wywołał ostatnią w tamtej wojnie burzę ogniową, w której przez 20 minut zginęło 17 600 osób

- niemal jedna czwarta ludności miasta.

To, co się stało w Hamburgu, wywołało tak przerażające skutki, że prezydent tamtejszej policji nakazał sporządzenie analizy naukowej przyczyn powstawania takich niecodziennych zjawisk - raport miał służyć informacji i przestrodze władz innych miast. „Jedynie analizując tę burzę ogniową jako zjawisko czysto meteorologiczne, można ocenić jej siłę - napisał prezydent policji - na skutek nagłego połączenia dużej liczby pożarów, znajdująca się powyżej warstwa powietrza uległa ogrzaniu do tak wysokiej temperatury, że powstał gwałtowny prąd wstępujący, który ze wszystkich stron centralnego punktu pożaru zasysał świeże powietrze. To potężne ssanie wywołało przemieszczanie się powietrza o energii znacznie większej niż energia zwykłego wiatru”.

„W meteorologii różnica temperatury, jaka wtedy zachodzi, jest rzędu 20 - 30 °C. W burzy ogniowej była ona rzędu 600

- 800, lub nawet 1000 °C. Stąd też towarzyszące jej gwałtowne wiatry”.

Prezydent hamburskiej policji przedstawił dalej ponury wniosek: oto żadne działania przeciwpożarowe prowadzone przez obronę cywilną nie mogły powstrzymać burzy ogniowej, gdy już się wywiązała⁴. Była ona stworzonym przez człowieka potworem, którego żaden człowiek nie potrafił okiełznać.

Uwzględniając teren zniszczony w stopniu większym niż 75 procent, wydaje się, że w Dreźnie burza ogniowa szalała na obszarze o powierzchni około 20 kilometrów kwadratowych. Była ona bezsprzecznie najbardziej niszczącym zjawiskiem tego typu, jakiego doświadczyły Niemcy. Wszystko to, co stało się w Hamburgu, powtórzyło się również w Dreźnie, w wielokrotnie większej skali. Ogromne drzewa były wyrwane z korzeniami

lub rozszczepiane na pół. Huraganowy wicher przewracał ludzi, po czym włókł ich ulicami, niczym rośliny oderwane od podłoża, jednocześnie zdzierając z nich ubrania. Uchodzące przed ogniem tłumy zagarniała trąba powietrzna, po czym ciskała w płomienie, gdzie nieszczęśnicy płonęli żywcem - oto holokaust w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Nienasycony moloch nieustannie zaspokajał swój

morderczy apetyt. Dachówki i meble zalegające na ulicach po pierwszym nalocie unosił gwałtowny wiatr i wrzucał wprost w płonąca część śródmieścia. Burza ogniowa osiągnęła punkt kulminacyjny podczas trzygodzinnej przerwy, jaka nastąpiła pomiędzy dwoma nalotami. To właśnie wtedy ludzie, którzy schronili się w piwnicach i sklepionych korytarzach, powinni byli uchodzić do bezpieczniejszych przedmieść.

Pewien oficer SS doszedł do Post-Platz - niegdyś ważnego węzła komunikacyjnego, który wkrótce zamienił się w martwe morze ruin, chwastów i zarośli - i wtedy rozbłysły na niebie „bożonarodzeniowe choinki” zwiastujące początek drugiego nalotu. Niewiele myśląc, oficer ten wskoczył do otworu kanału ściekowego, usytuowanego na skraju chodnika. Miał teraz osobliwy punkt obserwacyjny, z którego oglądał rozgrywające się wokół piekielne sceny. Ognisty tajfun podążał z głuchym łoskotem wzdłuż wszystkich ulic, a miał tyle mocy, że pochłaniał ludzi, którzy znaleźli się na jego drodze, jakby to były zeschnięte liście. „Byli dosłownie obłuskiwani z odzieży - opisywał to ów oficer - potem ślizgali się, upadali i toczyli w płomienie, co wyglądało tak, jakby ciągnął ich tam jakiś niewidzialny magnes o potężnej mocy”⁵. Pewien kolejarz, który również schronił się niedaleko Post-Platz, dostrzegł, jak huragan porwał kobietę z wózkiem dziecięcym i cisnął brutalnie w ogień⁶. Inne osoby uciekające wzdłuż nasypów kolejowych, które były jedynymi drogami ucieczki, niezniszczonymi zbyt eksplozjami bomb ani niezablokowanymi przez spadający gruz, wspominali, że wichur przewracał wagony stojące na nieosłoniętych torach⁷.

Nawet otwarta przestrzeń rozległych placów i wielkich parków nie zapewniała ochrony przed tym niezwykle huraganem. Kilka tysięcy osób uciekło do usytuowanego na planie czworokąta, liczącego 2,5 kilometra kwadratowego Wielkiego Ogrodu, parku znajdującego się w centrum południowej części miasta, gdzie wśród stawów, krzewów, kęp drzew i ozdobnych pałaców czuło się nieco bezpieczniej. „Biegliśmy przez jeden z trawników Ogrodu - wspominał później pewien mężczyzna - kiedy zobaczyłem, że w powietrzu leci w moim kierunku coś białego. Chwyciłem ów przedmiot, który okazał się dużą kołdrą puchową. Jednocześnie słyszeliśmy, jak w odległości kilkuset metrów wali się potężny dąb. Odsunęliśmy gałęzie i wcisnęliśmy się pod leżący na ziemi pień”⁸.

Gdy powstała burza ogniowa, oddziały przeciwpożarowe nie mogły jej powstrzymać. Podczas wszystkich ciężkich nalotów na niemieckie miasta do szybkiego rozprzestrzeniania się tego zjawiska przyczyniło się przerywanie łączności telefonicznej pomiędzy centralą dowodzenia obrony cywilnej a jednostkami wsparcia zewnętrznego.

W Niemczech, podobnie jak w Wielkiej Brytanii, służby pożarnicze poddano na czas wojny reorganizacji, tworząc z nich ogólnokrajowe struktury paramilitarne; w obu państwach utrzymywano ruchome rezerwy drużyn strażackich, stacjonujące poza obszarami głównego zagrożenia.

W tym czasie większość dużych miast niemieckich dysponowała zapasowym systemem łączności telefonicznej, a z głównymi posterunkami kontrolnymi można było nawiązać łączność radiową. Kiedy jednak nadszedł czas próby, wszystkie te systemy

zawiodły, toteż dowództwo obrony cywilnej korzystało z konieczności ze zwykłej państwowej sieci telefonicznej. Wiele zależało więc od tego, jak długo system działał w sytuacji krytycznej, nim został sparaliżowany. W lipcu 1943 roku w Hamburgu nastąpiło to bardzo szybko, gdy zaś trzeciej nocy wywiązała się burza ogniowa, łączność przywrócono jedynie częściowo, i to w stopniu niewystarczającym. Na dodatek, jak pamiętamy, pożar w głównym budynku dowództwa policji, w którym usytuowano centralę dowodzenia obrony cywilnej, zahamował na pewien czas akcję zwalczania pożarów. W październiku 1943 roku w Kassel bomby ugodziły centralę telefoniczną 20 minut po rozpoczęciu nalotu, a system przekazywania rozkazów przez gońców na motocyklach okazał się mało

wydajny, dlatego zastępy strażaków, które przybyły z pobliskich miast, przez wiele godzin nie otrzymały żadnych rozkazów.

W Dreźnie niemal natychmiastowe zniszczenie łączności telefonicznej przesądziło o losie miasta. Ponieważ dysponowano tam wyłącznie municypalną strażą pożarną w sile poniżej tysiąca ludzi, niedostatecznie wyposażonych w sprzęt gaśniczy, miasto było uzależnione od pomocy z zewnątrz.

Zarówno elektrownia miejska, jak i gmachy mieszczące główne urzędy partii, landu oraz miasta znajdowały się w obrębie obszaru w kształcie wachlarza, wyznaczonego jako cel zmasowanego bombardowania przez samoloty grupy 5. Posterunki wczesnego ostrzegania przed nalotami (Luftschutzwarnkom-mando) miały przekazywać wszystkie meldunki do XVI Dowództwa Strefy Powietrznej (Luftgaukommando) przy General Wever-Strasse; jednostka ta utrzymywała bezpośredni kontakt z główną kwaterą fuhrera, znajdującą się w tym czasie w Kancelarii Rzeszy w Berlinie. Wkrótce jednak po zrzuconiu na miasto pierwszych bomb centrala telefoniczna, w podziemiach której znajdował się miejski posterunek wczesnego ostrzegania przed nalotami, została pozbawiona prądu, a zapasowe zasilanie odcięta powalona ściana domu.

Przerwanie łączności z posterunkiem uniemożliwiło informowanie Berlina o nalotach, jak również przekazywanie meldunków otrzymywanych z posterunków obserwacyjnych w Saksonii do dowództwa lotnictwa myśliwskiego w Dóberitz pod Berlinem. Dopiero gdy zakończył się drugi nalot, udało się przekazać do Berlina prośbę o przysłanie awaryjnych ekip strażackich. Dowództwo berlińskiej straży pożarnej natychmiast wysłało autostradą ludzi i sprzęt przeciwogniowy, pomoc dotarła jednak do Drezna dopiero po trzech godzinach⁹.

O 1.05 Georg Feydt, technik z formacji obrony cywilnej, udał się do gauleitera miasta Martina Mutschmanna, przebywającego w centralnym ośrodku dowodzenia, usytuowanym w betonowym bunkrze pod Albertinum, naprzeciw dowództwa policji. W niewielkim pomieszczeniu tłoczyli się funkcjonariusze partyjni i członkowie kierownictwa obrony cywilnej. Wciąż próbowali uzyskać ogólny obraz sytuacji i zlokalizować ognisko burzy ogniowej. Jednak zniszczenie przewodów telegraficznych oraz central telefonicznych uniemożliwiło przekazywanie na zewnątrz prośb o pomoc, zakłóciło również poważnie łączność z dozorem pożarowym oraz lokalnymi placówkami obrony cywilnej.

W końcowym raporcie policji czytamy, że pełny alarm przeciwlotniczy ogłoszono o 1.07 - choć syreny już zostały wtedy odcięte od zasilania - i że bomby zaczęły spadać na miasto kwadrans później, o 1.22, co w pełni odpowiada ustaleniom RAF-u dotyczącym poszczególnych faz nalotu. Burza ogniowa rozpoczęła się od 30 do 45 minut później. Według policyjnego raportu, ostatnie bomby zrzucono o 1.54 - w rzeczywistości były to zapewne bomby zaopatrzone w zapalniki opóźniające¹⁰. Komendant drezdeńskiej policji porządkowej napisał w swoim raporcie sporządzonym bezzwłocznie po nalocie (został on przechwycony

i rozszyfrowany przez aliantów, a obecnie znajduje się w amerykańskich archiwach), że drugi atak trwał 24 minuty". Drezno, używając terminologii bokserkiej, doznało miażdżącego nokautu. Według ocen policji, najwięcej zrzucono bomb burzących, które spadły na płonące centrum oraz na obszary, gdzie schronili się mieszkańcy (Wielki Ogród, inne parki oraz otwarty teren). Nie było ostrzeżenia o nalocie, a w końcowym raporcie policyjnym stwierdzono, że zablokowanie głównej sieci syren sygnalizacyjnych oraz łączności telefonicznej i radiowej uniemożliwiło nadanie sygnału o odwołaniu alarmu, który obwieściłby odlot znad miasta ostatnich brytyjskich bombowców¹².

Według ocen niemieckich, w pierwszym nalocie samoloty RAF-u zrzuciły 3000 bomb burzących, 400 tysięcy ładunków zapalających i 25 tysięcy bomb typu „J” (wypełnionych gazoliną i fosforem), z kolei drugim 45 tysięcy bomb burzących, 170 tysięcy ładunków zapalających i 2000 bomb typu „J”. Szef policji zauważył, że choć zostały zrównane z ziemią całe kwartały domów, na ulicach powstało stosunkowo niewiele lejów od bomb - wysnuł z tego bezsprzecznie fałszywy wniosek, że bombowce atakowały z

niskiego pułapu. Jedną trzecią bomb zapalających zaopatrzone w niewielkie ładunki wybuchowe, mające odstraszać drużyny przeciwogniowe. Zrzucono też znaczną liczbę bomb zwłocnych, eksplodujących z dużym opóźnieniem. Do połowy marca saperzy niemieccy znaleźli 331 niewybuchów. Bombowce zrzuciły również wiązki ulotek propagandowych oraz miliony fałszywych kart żywnościowych. Drugi nalot w poważnym stopniu sparaliżował działania ekip obrony cywilnej oraz oddziałów ratowniczych. Główna siedziba NSDAP w Albertinum w ciągu zaledwie kilku minut *znalazła* się w otoczeniu płonących budynków, a jej masywny gmach z piaskowca został zagrożony. Gauleiter wraz z najbliższymi współpracownikami uciekli ze śródmieścia wśród płomieni i walących się domów na położone dalej otwarte obszary; tej samej nocy (według oficjalnego sprawozdania) wszyscy zameldowali się w zapasowym stanowisku kierowania, usytuowanym w Lockwitzgrund. Lockwitz było wioską położoną w odległości około 8 kilometrów na południowy wschód od Drezna: właśnie tam przygotowano rezerwową siedzibę władz okręgu (gau) NSDAP, przeznaczoną na taką okoliczność.

Gauleiter zdołał przekazać wezwanie o pomoc do jednostki wojsk lądowych stacjonującej w Neustadt, na północy od rzeki, gdzie znajdowały się również koszary, które uniknęły zniszczeń w pierwszym nalocie, podobnie jak cały obszar nowego miasta. Wojsko pośpiesznie podzieliło 500 żołnierzy na drużyny liczące od 8 do 15 ludzi, którym nakazało zameldować się w dowództwie miejskiej policji. Gdy żołnierze schodzili z północnego zbocza doliny Łaby, ujrzeli w perspektywie miasto - całe stało w ogniu.

Pod budynkiem dowództwa policji były podziemia, sięgające kilku pięter w głąb. W przerwie pomiędzy nalotami brytyjskimi i nalotem amerykańskim przynoszono tam rannych. W pomieszczeniach panował duży ruch. Wszędzie widziało się policjantów, członków oddziałów obrony cywilnej oraz wielu umundurowanych funkcjonariuszy partyjnych. „Większość tych osób oczekiwała, jak się wydaje, na instrukcje” - wspominał dowódca jednej z drużyn wojskowych, podkreślając, że system łączności nie działał sprawnie. „Jednakże odniosłem wrażenie, że choć każdy był bardzo zdenerwowany i spięty, panował tam względny porządek”.

Wśród osób oglądających z daleka tragedię miasta była Tania, która po latach opowiadała o swoich przeżyciach przed kamerami telewizji kanadyjskiej. W 1944 roku zesłano ją do

Oświęcimia, okrutnego obozu przejściowego i obozu pracy przymusowej zarządzanego przez SS. „W Oświęcimiu, po całonocnym staniu nago, wydano nam drewniaki na nogi i ubrania - mówiła łamaną angielszczyzną - po czym odwieziono nas bydłym wagonem, nie wiedziałyśmy dokąd, jednak po przybyciu na miejsce okazało się, że jesteśmy we Freibergu w Saksonii”. W jej grupie było 500 dziewcząt polskich i 500 czeskich - pochodzenia żydowskiego. „Przybyłyśmy wszystkie z Oświęcimia”. We Freibergu skierowano je do pracy w fabryce samolotów. „Znajdowała się ona w bardzo wysokim budynku na wzgórzu, zakwaterowano nas na czwartym lub piątym piętrze. Pracowałyśmy tam codziennie przez 12 godzin na dobę”.

13 lutego wieczorem na drugim i ostatnim apelu (stały wtedy w rzędach po pięć) policzono je i nakazano powrócić do sal, gdzie stały zawsze barłogi.

Tamtej nocy strażnicy wyłączyli światło wcześniej niż zwykle, choć syreny nie ogłosiły żadnego alarmu. Za oknami więźniarki nie dostrzegły, co było rzeczą niecodzienną, strażniczek i posterunków wartowniczych. Najwyraźniej coś się działo. „Potem usłyszałyśmy odległy pomruk, przypominający stłumiony grzmot burzy, i wiedziałyśmy, że coś się dzieje. Poczuliśmy się bardzo szczęśliwe... Wszystkie podeszłyśmy do okien i naszym oczom ukazał się najbardziej fantastyczny obraz, jaki kiedykolwiek każda z nas widziała w życiu, przypominało to różnokolorowe bajkowe sztuczne ognie, a trwało przez całą noc, były tam błękit, żółć i zieleń, widok oczywiście był przepiękny. Miałyśmy wspaniałą powód, żeby się

cieszyć".

Tania często się bała, że bomby spadną na ich fabrykę. „Skąd jednak wzięły się wtedy te piękne fajerwerki, tego nigdy się nie dowiedziałam. Byłam tego bardzo ciekawa”¹³.

Dowództwo drezdeńskiej straży pożarnej znajdowało się przy Annen-Strasse w starej części miasta. Stacjonowali tam strażacy należący do najlepszych w środkowych Niemczech. Często uczestniczyli w akcjach gaśniczych i ratunkowych organizowanych po ciężkich nalotach na okoliczne miasta, toteż nie brakowało im doświadczenia. Ortloph straży skrupulatnie zdecentralizował swoje siły; rozlokował drużyny wzmocnienia w Neustadt na stanowisku pożarniczym usytuowanym przy Luisen-Strasse oraz w Striesen; ponadto umieścił motopompy blisko gmachów oraz budynków o szczególnym znaczeniu historycznym, między innymi przy Zamku i ewangelickiej Katedrze Frauenkirche.

Po pierwszym nalocie większość miejskich drużyn strażackich wraz ze sprzętem wysłano na Zamek, który usiłowano ocalić od spalenia. Na miejsce przybyło jednak niewielu ludzi, a strażakom, którzy się tam znaleźli, prowadzenie akcji ratowniczej uniemożliwił brak wody w hydrantach. Inne jednostki próbowały ugasić Ratusz, lecz także bez powodzenia, ponieważ grube węże gaśnicze podziurawiły opadające rozżarzone węgielki. Strażacy przeciągnęli węże wzdłuż całej Ostra-Allee do jeziora znajdującego się blisko Pałacu Zwinger; przybyli jednak zbyt późno, żeby ugasić płonący teatr, którego budynek spłonął. W wyniku nalotów uległo zniszczeniu 23 kilometry węży pożarniczych.

Natychmiast po pierwszym nalocie z miast całej Saksonii wysłano do Drezna jednostki pożarnicze. Gdy *znalazły* się w jego pobliżu, widok jaśniejącej nad horyzontem łuny powiedział strażakom wszystko. Do 1.00 w nocy pierwsze zastępy które przybyły z innych miast, znalazły się już na peryferiach miasta. W raporcie policyjnym napisano, że w akcji uczestniczyły cztery kompanie policji, współdziałając z zastępami strażaków z Frauenbergu, Berlina, Lipska, Gery, Senftenbergu, Chemnitz, Halle, Riesy i Opolą, jak również 20 strażackich zastępów ochotniczych i fabrycznych¹⁴.

W Dreźnie spotkał ich jednak nagły i nieoczekiwany koniec. Pozbawione dopływu energii elektrycznej syreny nie obwieściły ostrzeżenia przed drugim nalotem. O tym, co się stało w późniejszych dramatycznych godzinach, świadczą niektóre dane. Brygada strażacka z odległego o 16 kilometrów Bad Schandau przybyła tuż po 1.00; nie przeżył z niej nikt: wszyscy zginęli w drugim nalocie. Z 66 koni policyjnych zostało zabitych 44. Ponad połowa pojazdów policyjnych i strażackich była zniszczona. „Siły pożarnicze oraz bierna obrona miasta - podsumowali to zwięźle alianccy dowódcy sił lotniczych - zostały obezwładnione na skutek naszego podwójnego uderzenia”.

Drezdeńska obrona cywilna, podobnie jak w całym Niemczech, została włączona w nazistowskie struktury partyjne, a dowódca policji (polizeipräsident) sprawował z urzędu funkcję szefa obrony cywilnej¹⁵. Każdemu przydzielono jakieś obowiązki. Dotyczyło to nie tylko członków Hitlerjugend, ale także dzieci, które należały do Deutsches Jungvolk, organizacji podobnej do brytyjskich Wolf Cubs*.

„W lutym 1945 roku miałem 15 lat - wspominał później pewien należący do niej chłopiec - a podczas «wojny totalnej» pełniłem obowiązki luftschutzmeldera, czyli gońca przewożącego meldunki w czasie nalotów lotniczych”. Z jego relacji dowiadujemy się, jak dalece do zupełnego sparaliżowania łączności na obszarze Drezna przyczynił się drugi nalot dokonany przez RAF. „13 lutego odbył się u nas ostatkowy karnawał i wieczór spędziłem w cyrku Sarassani, mającym własny budynek w Dresden--Neustadt. Gdy odbywał się ostatni numer programu, przez

* „Wilczęta”, brytyjska organizacja dla młodych skautów - chłopców w wieku od 8 do 11 lat.

głośniki nadano ostrzeżenie przed zbliżającym się nalotem. Klauni dowcipkowali z areny, ale publiczności polecono zejść do podziemi. Pozwolono mi opuścić cyrk, kiedy okazałem swoją przepustkę".

Gdy Lancastery zrzuciły na spadochronach pierwsze białe ładunki świetlne, chłopiec ujrzał, że w mieście jest jasno jak w dzień. Tak jak większość drezdeńczyków nie wiedział, co oznaczają te osobliwe światła. „W tamtej chwili iluminacja wywarła na mnie ogromne wrażenie. Dresden-Neustadt nie został zbombardowany podczas pierwszego nalotu, toteż natychmiast pobiegłem do domu. Tam jednak nie miałem nic do roboty, więc zgodnie z otrzymanymi wcześniej rozkazami, zamledowałem się jako goniec w dowództwie lokalnej struktury partyjnej (Orts-gruppe) Hansa przy Grossenhainer-Strasse. Ortsgruppenfuhrer w brudnym mundurze SA przekazał mi oraz pozostałym kolegom raporty o zniszczeniach i polecił zawieźć je na stanowisko dowodzenia w centrum miasta. Wydano nam błękitne hełmy stalowe, maski gazowe i rowery, po czym wyruszyliśmy w drogę". Zamek, kościół zamkowy i gmach opery ogarnął już ogień, a mosty nad Łabą zalegała warstwa pozostałości po materiałach zapalających oraz płonące ładunki. Pojedyncze wozy pożarnicze, których kolor karoserii wskazywał, że należą do straży drezdeńskiej, próbowały podjechać jak najbliżej pożarów. Ulice zalewała woda z popękanych na skutek eksplozji rur. Już wtedy czuć było pierwsze ostre podmuchy burzy ogniowej. Dzielni, lecz niewystarczająco zaopatrzeni w sprzęt gońcy należący do formacji obrony cywilnej dotarli nawet na Post-Platz, gdy rozpoczął się drugi nalot. Mogli się schronić tylko w podziemiach szpitala usytuowanego blisko tego placu. W dłoniach trzymali wciąż kartki z meldunkami, które nigdy nie zostały doręczone. Obrona cywilna w centrum miasta została w znacznej mierze pozbawiona informacji dotyczących rozprzestrzeniania się ognia.

Drugi nalot rozpoczął się w fatalnym dla Niemców momencie. Żołnierze, którzy przybyli z koszar w Neustadt i przystąpili do działań, zostali uwięzieni wśród płonących zabudowań, skąd nie mieli drogi odwrotu. Zastępy strażackie z sąsiednich miast znalazły się również na obszarach oznakowanych do bombardowania. Dowódcy grup obrony cywilnej nie wiedzieli, gdzie płoną największe pożary, ponieważ stopniowemu paraliżowi ulegała łączność telegraficzna, telefoniczna i radiowa, a w końcu - łączność utrzymywana za pośrednictwem gońców.

Po wojnie utrzymywano, że Drezno, to nieszczęsne miasto, pozbawione było nie tylko naziemnej obrony przeciwlotniczej oraz ochrony myśliwców, ale tamtejsze dowództwo obrony cywilnej nie przygotowało się na ewentualność nalotów; opinię taką propagowały też władze okupacyjne.

Była to jednak tylko część prawdy. W Dreźnie uznano za zbędne wnoszenie schronów przeciwlotniczych, takich jak te, które uratowały życie setkom tysięcy ludzi w innych miastach zniszczonych przez burzę ogniową. W Hamburgu nawet szpitale dysponowały specjalnymi bunkrami, a w czerwcu 1943 roku w schronach tego miasta były cztery sale operacyjne oraz trzy izby porodowe. W Dreźnie żaden z największych szpitali znajdujących się na przedmieściach Friedrichsstadt i Johannstadt nie dysponował takim wyposażeniem¹⁶. Nie przygotowano zapasowych źródeł wody i energii elektrycznej dla stacji pomp na wypadek, gdyby sieć wodociągowa uległa poważnym zniszczeniom lub przerwano dostawę prądu. Nie powinno to jednak dziwić, nikt się bowiem nie spodziewał, że Drezno zostanie zbombardowane. Gdy w końcu 1944 roku w ramach „rozszerzonego programu fuhrera” przeznaczono pewne fundusze na urządzenia obrony cywilnej, mieszkańcy Drezna przyjęli ów fakt kpinami i niedowierzaniem¹⁷.

Od początku wojny brygady policji, która miała pełnić obowiązki podczas nalotów (Luftschutzpolizei), pracowały na dwie zmiany przy drążeniu sieci tuneli ewakuacyjnych; przy Altmark, Seidnitzer-Platz i

Sidonien-Strasse wzniesiono obszerne stałe zbiorniki wody, rozpoczęto także budowę zbiorników podziemnych. „Szły na to nie ciężarówki betonu, lecz całe pociągi” - wspominał jeden z inżynierów zatrudnionych wtedy w formacjach obrony cywilnej; pracami budowlanymi kierowali starsi architekci z miejskiej Wyższej Szkoły Architektury. Bezsprzecznie mieszkańcy Drezna dysponowali wtedy lepszą ochroną przeciw nalotom niż obywatele brytyjskich miast porównywalnej wielkości, którzy uważali, że bezpieczeństwo zapewnią im „morrisonki” i „andersonki”*. Urządzenia te, gdyby wywiązała się burza ogniowa, stałyby się dla nich śmiertelnymi pułapkami.

Gdy Drezno wypełniły tłumy uchodźców ze wschodu i z zachodu, gdy słychać już było pomruk dział dochodzący z frontu wschodniego, władze miasta podjęły ograniczone działania, aby zapewnić mieszkańcom lepszą ochronę. Uczniów zatrudniono przy kopaniu zygzakowatych okopów (dających ochronę przed odłamkami) przy Bismarck-Platz i Wiener-Platz (po obu stronach głównego dworca kolejowego), przy Barbarossa-Platz oraz w większości parków i zieleńców. Wybudowano również system Mauerdurchbrüche - specjalnie osłabionych miejsc w ściankach działowych między piwnicami sąsiadujących domów; w sytuacjach alarmowych, gdyby podczas bombardowania domy stanęły w płomieniach, lokatorzy mogli przedostawać się do sąsiednich piwnic, wybijając otwory odpowiednimi narzędziami, które musiały się znajdować w podziemiach każdego budynku.

Wszystkie te środki znajdowały zastosowanie podczas niewielkich nalotów na Drezno i na inne miasta do lutego 1945 roku. Nie sposób było jednak przewidzieć, że stolicę Saksonii pochłonie ogniste tornado. Gdy rozpoczynał się nalot, w piwnicach i podziemiach każdego dziewiętnastowiecznego domu chroniło się 80 - 90 osób, a potem coraz więcej przybyszało wprost z ulic. Po zakończeniu pierwszego nalotu ludzie zaczęli szukać schronienia. Uchodźcy z moczarów na wschodzie, którzy nigdy przedtem nie słyszeli wycia syreny i wybuchów bomb, znaleźli się w potrzasku, uchwyceni w ogniste kleszcze jednego z największych pożarów w historii. Nie mogli uciec na ulice, ponieważ jezdnie i chodniki omiały piętnastometrowe jezory ognia. Mogli przedostawać się z jednej piwnicy do drugiej, krusząc specjalnie osłabione fragmenty ścian działowych, żeby ostatecznie znaleźć się na otwartej przestrzeni. Niekiedy w piwnicy ostatniego domu tłoczyło się kilkaset osób; czasem dalszą ucieczkę uniemożliwiał zburzony dom. W takich sytuacjach ludzie starali się jakoś wydostać z zamknięcia, by na wolnym powietrzu zginąć w płomieniach, lub oczekiwali biernie w piwnicy na rozwój wydarzeń. Tylko w ten sposób można wyjaśnić fakt, dlaczego w podziemiach zamykających labirynty połączonych piwnic znajdowano później tak wiele zwłok.

Prezydent policji Hamburga gruppenfuhrer SS Kehrl przewidział taką ewentualność, nalegał więc na zbudowanie podziemnego systemu dróg ewakuacyjnych. Pamiętając o „przerazającej” liczbie ludzi, którzy zginęli w piwnicach na obszarach dotkniętych burzą ogniową, zaproponował, by tam, gdzie szeregi domów dzielą przecznice, połączyć budynki usytuowane naprzeciw tunelami¹⁸. Jego pomysły nie zostały jednak w Dreźnie zrealizowane. Tymczasem system, który - gdyby został ukończony - mógłby zapobiec tragedii, przyniósł śmierć wielkiej liczbie ludzi, którym wcześniej nie *zagrozały* ani tlenek węgla, ani dym.

Większość ludności miała nadzieję, że pożary wywołane pierwszym bombardowaniem rychło przygasną i że będzie można bezpiecznie wyjść ze schronów wraz z ocalałym majątkiem osobistym. Toteż o godzinie 1.30 niemal wszyscy wciąż przebywali w piwnicach i tunelach, gdy bez żadnego ostrzeżenia znów zaczęły spadać bomby.

„Detonacje wstrząsały ścianami piwnicy. Hukowi wybuchów towarzyszył dziwny, niesłyszany

wcześniej dźwięk, który wydawał się zbliżać; przypominał odgłosy ryczącego wodospadu" - wspominał dowódca grupy transportowej Reicharbeitsdienst, Służby Pracy Rzeszy (RAD), zaskoczony drugim nalotem brytyjskim, który przybył wraz ze swoimi ludźmi z pobliskiej wsi, by nieść pomoc miastu. „Był to dźwięk potężnego tornado, szalejącego w centrum, tam, gdzie podczas pierwszego nalotu zrzucono w dużym skupieniu bomby zapalające". On sam wraz z podkomendnymi schronił się w piwnicy jednego z domów. Po krótkiej chwili budynek, trafiony bombą, zawalił się, jednak na szczęście dla przebywających w podziemiach ludzi, słabo podtrzymywany sklepiony sufit jakoś wytrzymał¹⁹.

„Gdy nalot zaczął tracić na sile - wspominał inny dowódca z RAD, który podobnie jak tamten schronił się wraz ze swoimi ludźmi w piwnicy domu - dokonałem przeglądu sytuacji i przekonałem się, że zewsząd otacza nas morze ognia; ulice omiatały monstrualne płomienie. Gdyby ludzie wyszli z domu, natychmiast spłonęliby żywcem. Dowiedziałem się od innych, że mniej więcej dziesięć domów dalej znajduje się otwarty plac, sąsiadujący z gmachem cyrku Sarassani. Nakazałem ludziom przedzierać się piwnicami z domu do domu, tak że wszyscy razem, a po drodze przybywało ludzi, wydostaliśmy się wreszcie na zewnątrz. Pośrodku placu stał okrągły budynek cyrku; przed nalotem trwał tam chyba specjalny program wieczorny. Gmach płonął żywym

ogniem i widzieliśmy, jak wali się w gruzy. W pobliskiej uliczce dostrzegłem grupę przerażonych jaskrawokolorowych rzędach; zwierzęta stały kołem, przytulone do siebie"²⁰.

Te wspaniałe araby nie żyły długo. Podczas drugiego nalotu bombowców RAF-u, zginęło 48 koni z cyrku Sarassani. Po nalotach ich padlinę przeniesiono na północne nabrzeże Łaby, Königsufer, pomiędzy mostami Albertbrücke i Augustusbrücke, gdzie 16 lutego stado sępów - uciekinierów z miejskiego zoo - odegrało makabryczną scenę.

Często ludzie stłoczeni w pozbawionych wentylacji piwnicach, do których z górnych kondygnacji przedostawał się gęsty, duszący dym, wyłamywali ścianki działowe - i wtedy dym przepływał przez powstałe otwory do sąsiednich podziemi. Zapewne nawet mieszkańcy Hamburga i Kolonii, solidnie doświadczeni przez alianckie naloty, mieliby trudności w takiej sytuacji. Tamtej nocy z 13 na 14 lutego dla miliona obywateli Drezna, których czujność została uspijona złudnym poczuciem bezpieczeństwa i którzy nie znali ustalonych przez obronę cywilną zasad postępowania w sytuacjach nadzwyczajnych, był to makabryczny koszmar, który wielu z nich doprowadził do zguby.

Pewien kapitan kawalerii, powracający do swojej jednostki na froncie wschodnim, wspomina szczegółowo, co spotkało ludzi, którzy przebywali wraz z nim podczas drugiego nalotu. Od 60 do 80 osób, przeważnie starców i dzieci, zginęło, ponieważ do ich prowizorycznego schronu wdarł się dym zawierający tlenek węgla. Kwatera przydzielona kapitanowi znajdowała się przy Kaulbach Strasse, w centrum obszaru, nad którym wywiązała się burza ogniowa. „Kaulbach Strasse wypełniła się dymem i snopami iskier. Jakiś idiota przebił ściankę oddzielającą nas od sąsiedniej piwnicy; tamten dom gwałtownie płonął: usłyszeli-

śmy trzask płomieni, a do naszego schronienia zaczął napływać gęsty dym. Trzeba było działać. Powiedziałem ludziom, że się udusimy, jeśli nie wyjdziemy na otwartą przestrzeń. Poleciałem, żeby każdy zmoczył swoje wierzchnie okrycie w przeciwpożarowych wiadrach z wodą znajdujących się w piwnicy. Jednak tylko nieliczne osoby wykonały to polecenie, ponieważ kobiety nie chciały niszczyć swoich cennych futer: były to pierwsze przedmioty, jakie zabierały ze sobą, uciekając z mieszkań. Nakazałem, żeby wszyscy zgromadzili się na klatce schodowej, a kiedy krzyknę «teraz!», żeby pobiegli za mną na ulicę. Jednak na klatkę schodową wyszło tylko kilka osób, z których połowa, widząc płomienie, biegiem powróciła. Moje prośby i zaklęcia nie odnosiły żadnych skutków, toteż wreszcie wykrzychałem rozkaz i wybiegłem na ulicę. Podążyła za mną zaledwie garstka osób"²¹.

Oficer tak odważny jak ów kapitan kawalerii (który, nawiasem mówiąc, otrzymał jedno z najwyższych niemieckich odznaczeń wojskowych) mógł zaryzykować życiem, by ujsć poźodze. Jednak większość mieszkańców Drezna nie była ani młoda, ani odważna; wielu dokonało mimowolnego wyboru - wołało zostać w domu, gdzie czekała ich śmierć, niż zaryzykować wejście w płomienie. Przebicie ścian działowych stało się przyczyną śmierci ludzi, którzy znaleźli się w piwnicy wraz z oficerem.

„Po krótkiej chwili - wspomina kobieta, uciekinierka z Kolonii, uwięziona w innej piwnicy - musieliśmy nałożyć maski gazowe i okulary ochronne. Dym i wyziewy przedostawały się z obu stron przez wyłomy w ściankach działowych. Jednak nie dysponowaliśmy maskami dla maleńkich dzieci, dlatego najwięcej ofiar było wśród starszych osób i właśnie dzieciaków. Widziałam na własne oczy, jak trzytygodniowe dziecko udusiło się w ramionach matki”²².

Pod powierzchnią Post-Platz rozciągała się rozbudowana sieć tuneli. Jednakże w chwili próby nie na wiele się przydały; tunele rzeczywiście łączyły główne budynki administracyjne okalające plac, znajdowały się też pod ulicami, ale rozmiary burzy ogniowej sprawiły, że wszystkie okazały się w praktyce nieprzydatne. System wentylacyjny tunelu pod Ostra Allee uległ awarii, na skutek czego zginęło wiele osób²³. Ponieważ płonęło całe śródmieście, wyjścia z tuneli zostały zablokowane przez ogień.

Pełniąca dyżur operatorka centrali telefonicznej wspomina, jak cały personel jej placówki schronił się w centrali zapasowej, usytuowanej w pomieszczeniu odpornym na bombardowanie, znajdującym się w podziemiach budynku. Po drugim nalocie cały blok stanął w ogniu i wszyscy zorientowali się, że będą musieli uciekać przez któryś z sąsiednich budynków. Gdy jednak podążyli ku tunelom ewakuacyjnym, ujrzeni, że z przeciwka zbliżają się ludzie. „Gmach Poczтового Banku Depozytowego został trafiony miną lotniczą- wspominała dziewczyna - a w podziemiach pobliskich domów mieszkalnych strumień ludzi wydo- stał się z tuneli łącznikowych. Zapamiętałam starą kobietę, która straciła nogę. Niektóre dziewczęta proponowały, żeby pobiec ulicami. Z podziemi centrali klatka schodowa prowadziła na wewnętrzne podwórze przykryte szklanym dachem. Budynek centrali okalał ze wszystkich stron ów dziedziniec. Koleżanki chciały uciekać na Post-Platz przez główne wyjście. Nie spodobał mi się ten pomysł, toteż się zatrzymałam; w chwili gdy dziewczęta - było ich 12 albo 13 - pobiegły przez podwórko i próbowały otworzyć bramę główną, rozgrzany do czerwoności szklany dach runął ze straszliwym hukiem, grzebiąc je pod swoimi szczątkami. Płonął teraz cały gmach centrali”²⁴.

Gdyby przedsięwzięcia z zakresu obrony cywilnej doprowadzono w Dreźnie do końca, gdyby - podobnie jak w innych niemieckich miastach - wzniesiono odpowiednią liczbę wentylowanych bunkrów, gdyby zainstalowano zapasowy system syren, niewrażliwy na odcięcie od podstawowego źródła energii, oraz zapewniono rezerwową dopływ wody do hydrantów, wówczas tragedii jaka dotknęła stolicę Saksonii, można by zapewne uniknąć. *Zważywszy* jednak na przeświadczenie nazistowskich przywódców, że Drezno nie będzie bombardowane, wszystkie te zaniedbania można w pewnej mierze wytłumaczyć. Niemniej, dziesiątkom tysięcy mieszkańców przyszło zapłacić życiem za brak przewidywania swoich przywódców.

ROZDZIAŁ 13

Ofiary

W południe, kiedy ze środkowych Niemiec zaczęły przybywać do Drezna pierwsze grupy ratowników, amerykańskie bombowce jeszcze nie nadleciały. Lokalni dowódcy jednostek obrony cywilnej zdołali wysłać przez radio apel o pomoc i ku miastu zmierzały kolumny samochodów wiozące żywność i środki medyczne oraz kilka drużyn specjalistów z TN (Technische Nothilfe). Nawet w położonych daleko od Drezna miastach, jak Berlin czy Linz w Górnej Austrii, organizowano grupy przeciwpożarowe, wcielając zdolnych do pracy mężczyzn, które kierowano następnie do akcji ratunkowej¹. Uczestniczyli w niej także funkcjonariusze policji, obrony cywilnej i prewencji przeciwpożarowej².

Na Nord Platz w Dresden-Neustadt przybył konwój z pomocą „Hermann Göring”: w jego składzie znajdowały się ruchome kuchnie polowe, przewożone na platformach samochody sanitarne oraz generatory energii elektrycznej. Drugi konwój „Goebbels” zmierzał ku drezdeńskiemu przedmieściu Seidnitz³. Choć każdy z konwojów składał się tylko z około 20 ciężarówek, miasto otrzymało niezbędną i niecierpliwie oczekiwaną pomoc. Do 16 lutego ze wszystkich części Saksonii przybyło 16 następnych konwojów, żeby zapewnić ciepłe i zimne posiłki pozbawionym dachu nad głową rodzinom oraz ratownikom. „Nikt nie będzie głodny” - obwieściła dumnie 17 lutego lokalna gazeta partyjna⁴. Otwarto magazyny z zapasami strategicznymi żywności, a ocalałym z masakry mieszkańcom i ratownikom polecono wydawać specjalne „racje podnoszące morale”. Poczynając od 20 lutego, wszystkim mieszkańcom Drezna liczącym ponad 18 lat wydawano porcje kawy (ważące znacznie mniej niż 5 dag) oraz pół butelki sznapsa; młodszym przydzielono po puszcze skondensowanego mleka.

Niemal wszystkie szpitale, o czym wkrótce wspomnimy szerzej, zostały unieruchomione: pilnie potrzebowano środków pierwszej pomocy medycznej. Fenholz, inspektor zdrowia w okręgu NSDAP, nakazał ocalałym lekarzom i farmaceutom zgłosić się natychmiast do tymczasowej siedziby niemieckiego Czerwonego Krzyża założonej przy Wąsa Strasse, gdzie przydzielano im zadania. Ci specjaliści, którzy nie mogli tam dotrzeć piechotą - budynek znajdował się blisko 8 kilometrów na północny zachód od centrum - mieli zgłaszać się do najbliższej partyjnej Ortsgruppe, która zajmowała mieszkania i domy prywatne, zarządzając w nich prowizoryczne ambulatoria i sale operacyjne.

Organizacja partyjna dobrze wykonywała swoje obowiązki. Razem z Czerwonym Krzyżem zapewniła dziesiątkom tysięcy matek niemowląt i małych dzieci mleko oraz pokarm dla ich potmostwa. Na głównych dworcach drezdeńskich, choć były poważnie zniszczone, szybko uruchomiono punkty pomocy prowadzone przez członkinie Bund deutscher Madchen i Frauenschaften, niemieckie odpowiedniki brytyjskich Girl Guides i Women's Yoluntary Service*. „Zapewnienie pokarmu

dla niemowląt, gorących posiłków dla dzieci i chleba dla dorosłych było prawdziwym dobrodziejstwem ze strony partii” - wspominała jedna z kobiet, wtedy matka dziesięciodniowego dziecka, której dom został zburzony w nalotach⁵.

Podobne akty dobroci partii wcześniej przywracały morale mieszkańców innych miast, które odwiedziły samoloty Bomber Command, jednakże w Dreźnie ciepłe napoje i żywność dla dzieci nie dokonały tej sztuki.

Do Drezna przybył również generał Erich Hampe, nadzorujący prace naprawczo-remontowe prowadzone po nalotach na kolei. Gdy tylko poinformowano go o bombardowaniu miasta, wyruszył w drogę i wraz z adiutantem jechał całą noc. „Nie mogłem udać się natychmiast po przybyciu na Dworzec

Główny - napisał potem w raporcie - ponieważ dojazd do miasta został całkowicie zablokowany. Ominąłem je szerokim hakiem i wjechałem przez część północno-wschodnią, przekraczając rzekę mostem Loschwitzbrücke. Zobaczyłem najpierw - nie, nie człowieka: widziałem potem tylko kilku żywych, a za to wielu umarłych - lecz dużą lamę. Zwierzę najwyraźniej uciekło z cyrku. W obrębie centrum wszystko zostało zniszczone, ale mnie interesował tylko Dworzec Główny oraz urzędnicy kolejowe. Poszukiwałem naczelnika stacji, lecz się nie odnalazł. Nie zdołałem też dotrzeć do żadnego z urzędników kolejowych. Musiałem zażądać, żeby przybył z Berlina wysoki urzędnik Reichsbahn (koleje państwowe), który pomógłby mi rozwikłać ów węzeł; zastanowilibyśmy się też wspólnie, jakie działania należy podjąć, żeby przywrócić ruch pociągów".

Najpierw usunięto z pomieszczeń dworcowych szczątki i gruz oraz wypełniono leje wyżłobione przez eksplodujące bomby.

(Girl Scouts). WVS - ochotnicza organizacja kobiet uczestnicząca w przygotowaniach do obrony przeciw nalotom oraz przy usuwaniu ich skutków.

Zajęli się tym żołnierze, jeńcy wojenni i robotnicy przymusowi. Prace, które należało wykonać w dalszej kolejności - ułożenie torów awaryjnych - powierzono specjalnym brygadom technicznym Hampego. W Dreźnie dysponował on dwoma drużynami inżynieryjnymi, każda była złożona z 1500 mężczyzn, w większości starszych wiekiem inżynierów i techników, wolnych już od obowiązku wojskowego⁶.

Generał Hempe nigdy wcześniej nie oglądał tak straszliwej masakry jak wtedy na Dworcu Głównym. Budynek dworca zbudowany w XIX wieku był duży i masywny; perony osłaniał pojedynczy stalowy łuk, na którym wspierał się dach. Kiedy przeprowadzono nalot, przy peronach stały pociągi; po obu stronach platformy stacyjnej, wsparte na betonowych pylonach, znajdowały się - usytuowane na wyższym poziomie - dwa tory przeznaczone dla pociągów ekspresowych, obsługujących kierunek Czechosłowacja - Berlin.

Dwa dni wcześniej przyjechał do miasta ostatni pociąg z uchodźcami z frontu wschodniego; jego pasażerowie tłoczyli się w prymitywnych wagonach, często towarowych. Ale do Drezna wciąż napływali uciekinierzy przybywający pociągami ze wschodu; w większości nie mieli oni biletów, a często też w ogóle niczego. Oprócz ludzi, którzy w noc nalotu przyjechali koleją, byli też rolnicy i chłopci. Po rozpoczęciu przez Rosjan cztery tygodnie wcześniej wielkiej ofensywy przedzierali się furmankami przez oblodzone i pokryte śniegiem drogi. Te niekończące się, lecz dobrze zorganizowane konwoje - każdy miał swojego fuhrera - kierowano na wyznaczone tereny, między innymi do Wielkiego Ogrodu, gdzie wiele tysięcy przybyszów zginęło na skutek zrzuconych na ślepo ładunków zapalających i bomb burzących⁷. Pewien Szwajcar mieszkający w Dreźnie, który schronił się w ogrodach okalających pałac, był świadkiem wstrząsających scen: widział, jak ludzie usiłują zderzyć z siebie

dwucalowe ładunki zapalające, które gorzały jaskrawym płomieniem⁸. Inne konwoje kierowano na tereny wojskowe, gdzie setki osób spłonęły żywcem w strumieniach płonącego paliwa wylewającego się z rozbitych bombami zbiorników należących do transportu wojskowego.

Innym grupom uchodźców, którzy mieli zamiar kontynuować wędrówkę na zachód, przydzielono jako miejsce postoju tereny położone z obu stron Dworca Głównego. Jedynie garstka uchodźców, oczekujących w ostatkowy wieczór w długiej kolejce na dworcu, ocalała życie. Tylko jeden pociąg ze znajdujących się na stacji w chwili obwieszczenia zbliżającego się nalotu zdołał odjechać na zachód: był to ekspres do Augsburga i Monachium⁹.

W sklepionym podziemiu znajdującym się pod Dworcem Głównym było pięć przestronnych galeri, zdolnych pomieścić około 2000 osób. Chociaż pomieszczenia te chroniły od góry stropy wykonane ze zbrojonego betonu, dźwigające dwa rzędy torów, po których jeździły pociągi, specjaliści z obrony cywilnej nie podjęli żadnych kroków, by przekształcić je w schrony przeciwlotnicze. Nie zainstalowano w nich ani drzwi chroniących przed falą uderzeniową, ani urządzeń wentylacyjnych. Władze miasta

przeznaczyły ową podziemną powierzchnię pod dworcem na tymczasowe schronienie dla kilku tysięcy uchodźców, którzy przybyli wraz z bagażami ze Śląska i Prus Wschodnich. Osobami tymi opiekowali się przedstawiciele Czerwonego Krzyża i służby pracy kobiet, Frauenschaften, oraz NSV (partyjnych służb pomocy socjalnej). W każdym innym mieście zgromadzenie tak znacznej liczby ludzi wraz z dużą ilością łatwopalnego materiału w tak niepewnym i potencjalnie niebezpiecznym miejscu jak Dworzec Główny poczytano by zapewne za szaleństwo. Zważywszy jednak na przeświadczenie mieszkańców Drezna, że nie będzie ono bombardowane, jak również na to, że przeznaczano dla uchodźców każdy metr kwadratowy temu

- był przecież środek zimy - trudno doprawdy potępiać tych, którzy podjęli tę decyzję.

„Nawet schody prowadzące na perony znajdujące się na górnym poziomie były zablokowane przez sterty bagażu” - wspominał fuhrer jednego z konwojów uchodźców, który przybył na Dworzec Główny w noc nalotu. „Również na peronach panował potężny tłok; tłumy ludzi przemieszczały się w obu kierunkach, ilekroć z zachodu przyjeżdżał pusty pociąg. Szalonej przepychance, jaka się rozpoczęła, towarzyszyły nadawane przez głośniki apele, żeby jak najszybciej wsiadać do wagonów, sygnały dźwiękowe lokomotyw i świst pary. Obok Ślązaków widać było Nadreńczyków; berlińczycy popychali Bawarczyków, wciskając pękate torby i walizy przez okna do przedziałów”. Na zewnątrz, przy Bismarck-Platz i Wiener-Platz, dwóch placach przydworcowych, nieprzebrany tłum oczekiwał w kolejkach na transport.

W cały ten chaos i zamieszanie 13 lutego o 21.40 wdarł się sygnał alarmu lotniczego, który nieoczekiwanie, lecz wyraźnie, zabrzmiał w całym mieście, od Klotzsche na północy do Racknitz na południu, od położonego na zachodzie Friedrichstadt do przedmieść wschodnich. Na Dworcu Głównym wygaszono wszystkie światła, krótko świeciły tylko jeszcze lampy sygnałowe umieszczone na krańcach hali peronowej. Również to oświetlenie wkrótce wygaszono. Funkcjonariusze kolei ponaglali ludzi, aby wysiadali z pociągów, które zamierzano przetoczyć na otwartą przestrzeń. Jednak apatyczni pasażerowie twierdzili, że żadnego nalotu nie będzie. Wielu uchodźców oczekiwało kilka dni, aby dostać się do pociągu, toteż nie byli skłonni rezygnować z przydzielonych miejsc, tylko dlatego że w Dreźnie ogłoszono kolejny, być może fałszywy, alarm lotniczy. Na dobitkę, z Königsbrück przybyły dwa pociągi wypełnione ewakuowanymi

dziećmi - członkami Deutsches Jungvolk; dzieci te wysłano wcześniej do obozów ewakuacyjnych KLV we wschodnich landach, które teraz zajęła Armia Czerwona. Do natychmiastowego odjazdu gotów był tylko ekspres do Monachium. Na innych torach stało kilka pociągów szpitalnych o wagonach pomalowanych na biało; miały one w składzie także wagony sypialne. Obok czekał pociąg, który tuż po północy miał odjechać do Halle i Berlina. Pociągi szpitalne przywiozły tysiące żołnierzy ze wschodu, skąd ewakuowano wszystkie szpitale polowe. Mieli oni trafić do słynnych drezdeńskich szpitali i klinik, jak również do prowizorycznych placówek szpitalnych urządzonych w ostatnim tygodniu przez służby medyczne w szkołach i innych budynkach publicznych. Pewien brytyjski jeńiec wojenny, zmuszony do pracy w wielkim drezdeńskim gmachu poczty i w sortowni paczek blisko stacji rozrządowych we Friedrichstadt, był świadkiem przykłej sceny: widział, jak przybyłe z frontu wschodniego wagony z rannymi przetaczano powoli przez stację Rosen Strasse na szpitalne bocznicę, gdzie czekały karetki. Od tygodni codziennie przybywały do Drezna pomalowane na biało pociągi (drzwi wagonów były od zewnątrz zamknięte, a zasłony w oknach opuszczone), do Drezna - „miasta-szpitala”, które w powszechnym mniemaniu „nigdy nie zostanie zbombardowane”¹⁰.

Pomimo tłumów i zamieszania, do godziny 22.10, kiedy rozpoczął się nalot, wszystkie pociągi przetoczono na otwartą przestrzeń. Przez głośniki nadano komunikat wzywający ludzi do zejścia do przestrzennych pomieszczeń pod halą dworcową. Początkowo do wezwania zastosowało się niewiele osób, gdy jednak spadły bomby, tłum ruszył w popłochu na dół.

Dworzec Główny znajdował się poza sektorem oznaczonym do bombardowania w czasie pierwszego nalotu dokonanego przez 5. grupę bombową; wyjąwszy kilka drobnych pożarów, atak ów nie przysporzył mu żadnych zniszczeń. Potem jednak funkcjonariusze kolejowi popełnili fatalny w skutkach błąd. Z powodu przerwania łączności pomiędzy Drezniem i placówkami Korpusu Obserwatorów, dowództwo obrony cywilnej nic nie wiedziało o sytuacji panującej w powietrzu. Naczelnik stacji opierając się na opinii, że tej nocy nad Drezniem już się nie pojawi żaden samolot RAF-u, nakazał, żeby pociągi przetoczono z powrotem do hali dworcowej. Puste kolejno powracały, zatrzymując się przy peronach. Zapanowały chaos, dezorganizacja i zamieszanie. Znow zaroilo się od pracowników Czerwonego Krzyża i służby opieki społecznej, powrócił też tłum uchodźców, osób ewakuowanych i żołnierzy. Tymczasem bez żadnego ostrzeżenia rozpoczął się drugi nalot - tym razem dworzec kolejowy znalazł się w samym centrum bombardowanego obszaru. W pewnej odległości od dworca, nieopodal mostu Falken-briicke, stały dwa pociągi wypełnione ewakuowanymi dziećmi w wieku od 12 do 14 lat. Gdy zakończył się pierwszy nalot, dowódca obozu dla ewakuowanych, funkcjonariusz partyjny w wieku około 55 lat, wyjaśnił nierozsądnie dzieciom, że te białe „bożonarodzeniowe choinki” widoczne na niebie wyznaczają obszar, który mają zniszczyć bombardery. Nieoczekiwane ponowne pojawienie się na niebie samolotów spowodowało, że zapewne pożałował swoich słów, bo choć kazał dzieciom pośpiesznie zasłonić okna, jego podopieczni zdążyli dostrzec, że tym razem zrzucane na spadochronach białe flary oznaczają kontury wielkiego czworokąta, w którego centrum znajduje się ich pociąg”. Do hali dworcowej, przebijając kruchy szklany dach, zaczęły spadać tysiące bomb zapalających. Ciężka bomba spadła na stację rozrządową, fala podmuchu przewróciła lokomotywę, odrywając jedno z jej kół napędnych, które poszybowało niczym pocisk i uderzyło w pełen ludzi wagon pasażerski oddalony

o 150 metrów¹². Sterty bagażu zalegające w hali natychmiast zapaliły się; kłęby duszącego dymu zaczęły wypełniać pomieszczenie. W powietrze uniosły się chmury pary z rozbitych lokomotyw. Bomby zapalające wpadły do szybów wind przeznaczonych do transportowania bagażu na perony. Położone poniżej, pozbawione wentylacji tunele, do których schroniło się wiele osób, wypełniły się trującym dymem, a ogień płonących ładunków wysysał bezcenne, życiodajne powietrze. Pewna młoda matka, która przyjechała niedawno ze Śląska pociągiem pasażerskim, podróżując cztery dni bez biletu, po rozpoczęciu pierwszego nalotu schroniła się w tej sieci tuneli. Do Drezn przybyła z dwójką maleńkich dzieci, ponieważ jej mąż, który przebywał w mieście, napisał do niej w liście, że nie będzie ono bombardowane, gdyż „alianci chcą, żeby zostało ono powojenną stolicą Niemiec”. „Walczyłam wszystkimi siłami, żeby przedostać się do pustego narożnika w podziemiu. Udało mi się to. Mnie oraz pięć albo sześć innych osób w tym pomieszczeniu uratowało tylko jedno: przepychając się przez tłum, dotarłam do kotłowni znajdującej się w pomieszczeniu pod jednym z peronów. W jej cienkim stropie był otwór wybity przez niewybuch bomby zapalającej. Przez tę dziurę napływało z zewnątrz powietrze, którym oddychaliśmy. Nałożyłam dzieciom na buzie zmoczone szmaty: swoją zgubiłam gdzieś w ścisku, toteż zaczęłam gwałtownie kaszleć. Wydawało mi się, że wszyscy inni ludzie obecni w kotłowni napierają na nas. Upłynęło kilka godzin. Potem usłyszałam krzyki i jakiś oficer pomógł mi iść, szłam bardzo długo. Przebyliśmy całe podziemia. Było tam chyba kilka tysięcy ludzi, wszyscy leżeli pokotem nieruchomo”. Na placu stały w ogromnym ścisku tysiące zdjętych niemym strachem, milczących ludzi. Ponad nimi szalał ogień. U wejścia na dworzec zaczęto już przenosić i składać

na stopy ciała zabitych dzieci i dorosłych. „Na dworcu stał na pewno pociąg z dziećmi. Rosły stopy trupów.

Zabrałam któremuś koc dla jednego z moich dzieci, które żyły, ale trzęsły się straszliwie z zimna. Rano przyszła grupa starszych wiekiem członków SA i jeden z nich pomógł mi przedostać się przez miasto w bezpieczne miejsce”. Wśród ofiar nalotu była grupa dzieci w karnawałowych strojach - być może oczekiwały na dworcu na rodziców przybywających ze wschodu.

Otwór w suficie uratował kilkoro ludzi w dworcowej kotłowni, ale kilku tysiącom innych już się tak nie poszczęściło. Spośród około 2000 uchodźców ze wschodu ulokowanych w jednym tunelu, który przystosowano do tego, żeby spełniał funkcję schronu przeciwlotniczego, 100 spłonęło żywcem w wyniku eksplozji bomb zapalających, 500 zaś, jak napisał potem w raporcie szef obrony cywilnej Dworca Głównego, udusiło się dymem¹³. Ludzie leżeli w podziemnych tunelach dworcowych, opisywał któryś z przebywających tam uchodźców, Jakby ktoś nakazał wszystkim jednocześnie położyć się na podłodze”. Leżeli w grupach, obrócenii twarzami do ziemi, jakby chcieli się ukryć.

„Wszystkie ubranka dzieci i lekarstwa pozostawiłam w bagażu na peronie - wspomina dalej uciekinierka ze Śląska - początkowo po tych ciężkich nalotach dostać ubranka dla dzieci było niepodobieństwem, toteż zdobyłam się na odwagę i poszłam na dworzec drezdeński. Dostęp do podziemi zagradzały posterunki SS i policji. Ostrzegali przed epidemią tyfusu. Niemniej jednak, pozwolono mi wejść do głównego podziemia pod eskortą jakiegoś jednorękiego funkcjonariusza Reichsbahn. Powiedział mi, że na dole nie ma nikogo żywego, że wszyscy są martwi. W słabym świetle latarki kolejarza ujrzałam koszmar. Gdy poszukiwałam swoich rzeczy, sił dodawało mi tylko to, że myślałam o dzieciach. Wszystkie kosztowniejsze rzeczy zostały zrabowane. W podziemiu leżało kilka warstw ciał, wszystkie były martwe, martwe”.

Przeważająca część osób przebywających na dworcu nie zginęła od eksplozji bomb burzących: zabiło ich 650 tysięcy zrzuconych na miasto ładunków zapalających. W większości wypadków zgon nastąpił na skutek wdychania gorących gazów i zatrucia tlenkiem węgla oraz dymem. Radziej przyczyną śmierci był brak tlenu.

„Po ucieczce - wspominał pewien oficer formacji grenadierów pancernych - nie zobaczyliśmy rozrzuconych zwłok, tylko masę ludzi siedzących pod ścianami i opartych o nie. Wyglądali tak, jakby spali”. Oficer ów jechał do Berlina i miał przesiadkę w Dreźnie; wiedziony instynktem, opuścił tunel bagażowy, w którym schronił się wraz ze swoimi ludźmi; wkrótce tunel zaczął wypełniać dym. Spośród 86 jego podwładnych nalot przeżyło i powróciło do stolicy Rzeszy mniej niż 30. Fakt ów dowodzi, jak potężny był nalot, ale świadczy również o tym, że - przynajmniej na Dworcu Głównym - ofiarami tego strasznego w skutkach potrójnego ciosu nie byli wyłącznie starsi wiekiem cywile, kobiety i dzieci, jak każą nam wierzyć powojenni historycy¹⁴.

Nazajutrz po nalocie nad Drezno przyleciał pierwszy brytyjski samolot rozpoznawczy. Na negatywie K. 3 742 widać ogromne zniszczenia materialne, a interpretatorzy zdjęć dostrzegli, że część miasta zniszczyły pożary. Dwie stacje rozrządowe Dresden--Friedrichstadt doznały niewielkich uszkodzeń. Fotografia uwiłdociła 24 pociągi towarowe, pasażerskie i szpitalne na torach stacji rozrządowych i wszystkie budynki wokół stojące w płomieniach. Z trzech parowozowni znajdujących się na stacjach rozrządowych jedną ugodziły z boku ładunki zapalające. Na dworcach towarowych widać było ponad 400 wagonów krytych i lor, stojących w równych szeregach na bocznicach i wagach pomostowych. Tylko nieliczne zostały zniszczone. Na przedmie-
ściu robotniczym Friedrichstadt nadal płonęły domy, a z zabudowań tamtejszego szpitala wznosił się w górę

słup dymu. 15 lutego Brytyjczycy wysłali nad Drezno kolejny samolot rekonesansowy, jednak szalejącym wciąż pożarom (od nalotów minęło już 36 godzin) towarzyszył tak gęsty dym, że uzyskany materiał fotograficzny niezwykle trudno było poddać interpretacji¹⁵.

RAF uzyskał wyraźne zdjęcia miasta dopiero 22 marca. Ich interpretacja skłoniła specjalistów z sekcji badań operacyjnych Bomber Command do przedstawienia kilku zaskakujących wniosków: orzekli oni mianowicie, że na skutek dwóch nalotów brytyjskich uległo zniszczeniu 85 procent obszaru zabudowanego (specjaliści ci przypuszczali, że amerykańskie naloty z 7 października, 16 stycznia, 14 i 15 lutego oraz 21 marca zniszczyły te tereny w mniejszym stopniu). „Urządzenia kolejowe oraz obiekty i instalacje przemysłowe doznały ogromnych zniszczeń” - stwierdzili analitycy¹⁶. Drezdeńska Starówka została „praktycznie starta z powierzchni ziemi”, co dotyczyło również wewnętrznych przedmieść; natomiast peryferie miasta ucierpiały w stosunkowo niewielkim stopniu. Interpretatorzy zdjęć dostrzegli, że gazownia i dwie zajezdnie tramwajowe zostały poważnie zniszczone; ponownie orzekli, że dotyczy to również infrastruktury kolejowej. „Mosty na Łabie i budynki publiczne - czytamy w wymienionym raporcie - zostały dobrze trafione”. „Na koszary i obozy wojskowe nie spadło zbyt wiele bomb, albowiem większość z nich usytuowana jest na dalekich przedmieściach”; z tego samego powodu pewna liczba zakładów przemysłowych też uniknęła poważniejszych zniszczeń. „Jednak ogólne zniszczenia są bardzo rozległe”¹⁷.

Faktycznie zniszczenia infrastruktury kolejowej były więcej niż wątpliwe. Środki zapalające dowiodły swojej przydatności jako broń przeciw celom żywym, wzniciły też ogólny pożar miasta, ale okazały się niewielkiej wartości orężem do ataku na

„główny węzeł komunikacyjny i kolejowy”. Drezdeński system kolejowy - torowiska, instalacje oraz infrastruktura - doznał bardzo niewielkich zniszczeń nawet w trzecim nalocie, którego celem, jak ogłosiło dowództwo US Army Air Forces, były „stacje rozrządowe”. Dowódcy lotnictwa alianckiego byli świadomi, że infrastruktura kolejowa nie doznała większych zniszczeń, co potwierdza „Meldunek wykonania zadania nr 266” amerykańskiej 390. grupy bombowej, dotyczący nalotu na Drezno 2 marca. „Zła pogoda uniemożliwiła załogom wykonanie zadania skierowanego przeciw urządzeniom przemysłu petrochemicznego [chodziło o Ruthland]. Wielkie drezdeńskie stacje rozrządowe stały się obiektem ataku PFF [pathfinder force]. Był to jeden ze szlaków komunikacyjnych północ - południe, prowadzących do Czechosłowacji, który nie został poddany ciężkim bombardowaniom”.

Zważywszy na zapewnienia sprzymierzonych, że potrójny cios zadany Dreznu miał na celu sparaliżowanie ruchu tranzytowego przez miasto oraz że nalot przyniósł oczekiwane skutki, należy pokusić się o próbę opisu i oceny sytuacji, jaka zapanowała w mieście, gdy główne tranzytowe linie komunikacyjne zostały wyłączone z ruchu.

W raporcie szefa policji czytamy, że Dworzec Główny został doszczętnie zniszczony; zniszczeniu uległy jakoby wszystkie perony, budynki, urządzenia sygnalizacyjne i torowiska wraz z osprzętem; gdy rozpoczynał się nalot, na dworcu stało 10 pociągów, które zostały spalone. Na stacji Neustadt całkowicie spalony został pociąg z uchodźcami oraz pociąg szpitalny, inny zaś pociąg z uchodźcami poważnie uszkodzony. Na pobliskim dworcu towarowym eksplodował pociąg z amunicją, a na niewielkiej stacji rozrządowej Drezno Stare Miasto spłonęło 105 wagonów pasażerskich, 655 towarowych i 30 pocztowych. Zostały również zniszczone budynki poczty¹⁸.

Gdy do Drezna przybył generał Hampe wraz z dwoma batalionami specjalistów, rozpoczęto natychmiast przywracanie sprawności systemu kolejowego. Hampe nie zamierzał bynajmniej naprawiać i remontować budynków i urządzeń: zależało mu tylko na jak najszybszym przywróceniu tranzytowego ruchu kolejowego przez miasto. Okazało się, że most kolejowy Mariebriicke na Łabie ocalał, jedynym zniszczeniem uległ wypalony bombą fragment nawierzchni. „Gdyby rzeczywiście chcieli sparaliżować ruch tranzytowy - zauważył potem zaskoczony Hampe - wystarczyłoby zniszczenie tylko tego jednego

mostu. Jego naprawa musiałaby trwać wiele tygodni, a w tym czasie cały ruch kolejowy trzeba by kierować długimi objazdami. Wystarczyło pamiętać o utrudnieniach w transporcie kolejowym i rzeczonym, jakie nastąpiły po zniszczeniu w Kolonii mostu Hohenzollernów na Renie"¹⁹. „Drezno miało duże znaczenie jako węzeł kolejowy - stwierdził później Hampe - a węzeł ten naloty unieruchomiły co najwyżej na trzy dni".

Są to zaskakujące informacje, zważywszy na oświadczenia aliantów, że atak na infrastrukturę kolejową Drezna zakończył się sukcesem. Konstatacje te zostały wyrażone wystarczająco dobitnie: w oficjalnej kronice działań US Army Air Forces na europejskim teatrze wojny znajduje się wzmianka, iż w raporcie sporządzonym przez RAF po nalocie „bardzo dużo miejsca poświęcono wyjaśnieniu, że Drezno stało się wielkim ośrodkiem przemysłowym, a zatem ważnym celem"; po czym następuje tchnące powątpiewaniem stwierdzenie, że „jeśli nawet ofiar w ludziach było wyjątkowo dużo, a zniszczenia wyrządzone dzielnicom mieszkalnym duże, bezsprzecznie jednak zostały całkowicie zniszczone [drezdeńskie] zakłady przemysłowe oraz infrastruktura transportowa"²⁰.

Końcowy raport szefa policji drezdeńskiej (którym dysponujemy) potwierdza, że mosty nie zostały wyłączone z ruchu:

zarówno mosty drogowe: Carolabriicke Loschwitzbriicke i Nos-senbriicke, jak i most kolejowy Marienbriicke były w niewielkim stopniu zniszczone; jedynie Augustusbriicke na skutek zniszczeń zamknięty pozostawał jeszcze w połowie marca 1945 roku, kiedy sporządzono raport²¹.

Również linie kolejowe prowadzące przez miasto - rzekomy cel nalotów - niemal nie ucierpiały, jak ujawnił szef policji. Choć ruch na nich został na kilka dni zatrzymany, pod koniec miesiąca przywrócono kursowanie pociągów²². Oto co napisano po latach we wschodnioniemieckiej (radzieckiej) strefie okupacyjnej o historii zniszczenia i rekonstrukcji Drezna: „Linie kolejowe nie doznały szczególnie ciężkich zniszczeń, służby awaryjne naprawiły je tak szybko, że ruch nie został przerwany w sposób znaczący". W innym miejscu opisując zniszczenie skarbów architektury, autorzy opracowania napisali: „W przeciwieństwie do tych zabytków kultury oraz całego śródmieścia Drezna, urządzenia transportowe nie zostały zniszczone. Doznały one stosunkowo niewielkiego uszczerbku, tak że ruch z i do Drezna właściwie nie został przerwany; na przykład gruz i szczątki usunięto z torów przy Dworcu Głównym w ciągu zaledwie kilku godzin, a pociągi skierowano na prowizorycznie położone tory". 15 lutego dworzec Dresden-Neustadt odzyskał dawną przepustowość.

W powojennych zachodnioniemieckich opisach zniszczenia Drezna również podkreśla się, że urządzenia kolejowe cudem ich uniknęły. W ósmą rocznicę nalotów dziennikarz z pewnej gazety napisał, że był w Dreźnie trzy dni po nalotach. „Dostawy szły nieprzerwanie koleją na front wschodni. Koleje działały, pomimo ogólnego zniszczenia"²³. Prestiżowa gazeta monachijska, poirytowana oświadczeniem amerykańskiego Departamentu Stanu, że Drezno zostało zbornardowane na żądanie Rosjan, aby powstrzymać przemieszczanie się przez miasto wojska,

napisała w artykule wstępnym, co następuje: „Wyjaśnienie to [...] w sposób oczywisty przeczy faktom. Linia kolejowa łącząca Drezno z granicą z Czechosłowacją - ta, o którą chodzi - znajduje się pomiędzy łańcuchem gór i rzeką Łabą". W artykule napisano dalej, że zniszczenie tych linii byłoby bardzo prostym zadaniem dla snajperów z Royal Air Force. Żaden uczciwy strateg nie twierdziłby, że wojska niemieckie maszerowały na front wschodni przez centrum miasta w zwartych formacjach. „Wprost przeciwnie - kontynuowała gazeta - doprawdy zdumiewa, z jaką nadzwyczajną precyzją zniszczono drezdeńskie dzielnice mieszkalne, nie niszcząc jednak ważnego przemysłu drezdeńskiego. Na dworcach piętrzyły się sterty zwłok, jednak linie kolejowe były nieznacznie zniszczone i wkrótce przywrócono ich przepu-stosowść. To samo dotyczy linii kolejowej prowadzącej przez Łabę ku Meissen i Chemnitz"²⁴

ROZDZIAŁ 14

Abteilung Tote

Wczesnym rankiem 14 lutego 1945 roku tysiące brytyjskich jeńców wojennych, rozlokowanych w obozach pod Dreznem, wyprowadzono po pobudce do miasta, gdzie, tak jak poprzednio, mieli przystąpić do usuwania zniszczeń powstałych w wyniku bombardowania. Mimo iż w całym mieście wciąż płonęły pożary, wywołane dwoma ostatnimi nalotami, jeńców skierowano do ich dotychczasowego miejsca pracy, budynku szkolnego przy Wettiner Strasse, zniszczonego podczas niewielkiego amerykańskiego nalotu w październiku 1944 roku. Jednak o 11.00 zawrócono ich do obozów i oświadczone, że do końca dnia nie będą już pracowali. Prace ratownicze w starym centrum uniemożliwiał ogromny żar panujący w wąskich uliczkach, nie można było także wchodzić do piwnic, ponieważ budynki jeszcze nie ostygły.

Powrót do obozu ocalił życie wielu Brytyjczykom, gdyż zaledwie godzinę później rozpoczął się amerykański nalot. Najwidoczniej funkcjonariusze obrony cywilnej wyciągnęli wnioski z pierwszego i drugiego nalotu i nie chcieli narażać na śmierć

- w ewentualnych następnych nalotach - osób, które można by wcielić do grup ratowniczych. Dlatego niegaszone pożary trwały nieprzerwanie nawet 14 godzin, nie podejmowano też niemal żadnych wysiłków, by dotrzeć do tych, którzy przeżyli w przestronnych katakumbach. Jak pamiętamy, w Kassel, kiedy szybko zastosowano technikę pożarniczą „alei wodnej”, ocalono jeszcze przed zakończeniem nalotu kilka tysięcy osób uwięzionych w Hochbunker znajdującym się w centrum obszaru, na którym wywiązała się burza ogniowa.

Tymczasem w Dreźnie pierwsze większe działania ratownicze rozpoczęto dopiero o 16.00, trzy i pół godziny po odlocie amerykańskich samolotów. Żołnierzy przebywających w Koszarach im. Króla Alberta w Dresden-Neustadt załadowano do ciężarówek, zaopatrzywszy w sprzęt pożarniczy, maski gazowe, stalowe hełmy, pojemniki z wodą, narzędzia służące do kopania oraz racje żywnościowe na jeden dzień. Kolumny ciężarówek zatrzymały się jednak na wschodnim nabrzeżu Łaby. Choć z ruchu wyłączony był jedynie most Carolabrücke, a pozostałe były uszkodzone na ograniczonej przestrzeni, uznano, że przejazd przez nie pojazdów byłby zbyt ryzykowny. Poza tym, cztery dni wcześniej mosty zostały zaminowane i obawiano się, że drgania konstrukcji spowodują detonację założonych ładunków.

Wielu żołnierzy maszerujących w kolumnie mostem Augu-stusbriicke na pewno patrzyło z trwogą i przejęciem na straszliwie zniekształconą panoramę Drezna. Zniknęła większość dobrze im znanych charakterystycznych szczegółów miasta; runęły wieże kościołów i katedr. Zamek wciąż płonął, a ciemności zapadającego wieczoru pogłębiały kłęby wznoszącego się powoli ku niebu dymu. Jednak cudownym zrządzeniem losu najsylniejszy obiekt panoramy miasta: wysoka na 300 stóp kopuła Katedry Frauenkirche pozostała nienaruszona, tylko złoty krzyż umieszczony na jej szczycie owiewał szary całun dymu.

Katedra Frauenkirche przetrwała wiele wojen; to właśnie z jej kopuły młody Goethe oglądał w 1768 roku zniszczenia miasta wyrządzone długotrwałym ostrzałem artyleryjskim prowadzonym przez wojska króla pruskiego Fryderyka II podczas wojny siedmioletniej. Ruiny Drezna przedstawione na obrazie Canaletta przypominają ruiny powstałe po nalotach w lutym 1945 roku. Jeśli Katedra Frauenkirche ciągle stała,

oznaczało to, że Drezno jeszcze nie zostało doszczętnie zniszczone.

Grupę liczącą około 100 żołnierzy skierowano na Taras Brihla znajdujący się na zachodnim nabrzeżu Łaby. Wiele osób schroniło się do piwnic usytuowanych pod tarasem, przypominających strzelnice dział; nieszczęśliwymi tymi powodowało złudne przeświadczenie, że nie osiągnie ich tam ogień. Wydrążone przed 400 laty tunele, składające się na ciąg solidnie sklepionych pomieszczeń, biegnęły pod całym obszarem Tarasu. Gdyby Drezno figurowało w sporządzonym przez władze wykazie 60 najbardziej zagrożonych miast, wówczas niewątpliwie podziemia te, mogące zapewnić schronienie około 10 tysiącom osób, przekształcono by w znakomite schrony publiczne, zaopatrzone w niezbędne urządzenia wentylacyjne oraz specjalne drzwi zatrzymujące falę uderzeniową. Tak się jednak nie stało.

Większość osób, które się tam schroniły, zginęła: ich płuca rozerwała fala uderzeniowa, będąca następstwem eksplozji bomb burzących. Niemniej jednak, żołnierzom polecono zlokalizować ludzi, którzy mogli przeżyć tę hekatombę i przenieść rannych przez mosty do ciężarówek czekających na przeciwnym brzegu rzeki. Miały one przewieźć ich do wojskowych szpitali oraz luksusowych klinik w Weisser Hirsch, słynnym drezdeńskim przedmieściu. Brakowało noszy, ponieważ w ogniu pożarów spłonął cały ich zapas. Dotychczas nie podjęto żadnych prób, by wydobyć z ruin ciała zabitych.

Tymczasem do świadomości tej części cywilnej ludności miasta, która wyszła cało z nalotów, dotarły rozmiary tragedii, jaka dotknęła Drazno. Wojna, która przez długi czas toczyła się gdzieś daleko, ze straszliwym okrucieństwem spadła im teraz z nieba na głowy. Ich Drezno było dotychczas bajkowym miastem strzelistych wież kościołów i wybrukowanych ulic, gdzie podziwiali obfitość towarów na wystawach sklepowych, gdzie wraz z nastaniem wieczoru ulic i domów nie spowijał mrok zaciemnienia, gdzie szyby wciąż tkwiły nienaruszone w oknach, w których wisiały zasłony; było miastem wieczorami wypełnianym tłumami ludzi powracających do domów z galowych przedstawień w cyrku, ze spektakli w operze, licznych kin i teatrów, które to placówki - nawet wtedy, kiedy obowiązywały zakazy i obostrzenia „wojny totalnej” - grały przy pełnej widowni. Teraz jednak kolumny żołnierzy wchodziły do opustoszałego Drezna, w którym zaległa osobliwa cisza.

Gwałtowność amerykańskiego nalotu dziennego przeprowadzonego 14 lutego wreszcie jednak rzuciła drezdeńczyków na kolana. Bomby zrzucone z przemieszczających się po zachmurzonym niebie „Latających Fortec” spadły w szerokim rozrzucie wokół punktów celowania. Przed nalotem nie odezwały się syreny, których dźwięk mógłby ostrzec ludność; nie obwieściły one również rozpoczęcia i zakończenia ataku (o 12.15 i 12.25), ponieważ podczas wcześniejszych nalotów brytyjskich zniszczone zostały nawet przenośne sygnalizatory akustyczne¹. Według raportów policji, w pierwszym nalocie amerykańskim zostały zniszczone peryferie Lóbttau, Friedrichstadt i Gotta, w drugim zaś, 15 lutego, dzielnica Plauen, przedmieścia południowe oraz przedmieścia Tolkewitz, Laubegast, Loschwitz i Oberloschwitz.

Jednak to nie 474,5 tony bomb burzących i 296,5 tony bomb zapalających zrzuconych przez Amerykanów w pierwszym nalocie doprowadziło do upadku ducha mieszkańców Drezna - w porównaniu z brytyjskimi 2- i 4-tonowymi „blockbusterami” amerykańskie 500-funtowe bomby burzące mogły wydawać się „łagodnym” orężem. Ostateczny i rozstrzygający cios nadszedł wraz z chwilą, gdy myśliwce typu Mustang, lecąc na niskim pułapie nad ulicami miasta, przystąpiły do ostrzeliwania z pokładowej broni maszynowej wszystkiego, co się poruszało, w tym również kolumn samochodów ciężarowych zmierzających do miasta. „Ostrzeliwanie prowadzone przez samoloty przy użyciu karabinów maszynowych odnotowano podczas wszystkich nalotów” - napisał w swoim raporcie szef drezdeńskiej policji². Jeden klucz Mustangów zajął się nabrzeżami Łaby, gdzie zgromadziły się tłumy uchodźców ze zniszczonych

domów. Inny ostrzeliwał obszar Wielkiego Ogrodu. Celem tych ataków było najwidoczniej perfekcyjne wypełnienie zadania zapisanego w dyrektywach alianckich dowódców lotnictwa jako „blokowanie ewakuacji ludności cywilnej ze wschodu”. „Przebywaliśmy przy Lenne Strasse, tuż obok Wielkiego Ogrodu - wspominała pewna kobieta, urzędniczka ministerstwa ewakuowanego z Berlina do Drezna - i wraz z kilkoma innymi osobami schroniliśmy się pod jakimiś drewnianymi ławkami. Myśliwiec zszedł wprost na nas i nagle jedna ze znajdujących się opodal kobiet zaczęła krzyczeć, bo otrzymała postrzał w brzuch. Nie było w pobliżu żadnych samochodów ani lekarzy, ci ostatni przybyli później i odwieźli ranną na ręcznym wózku. Jeszcze długo po tym, jak zniknęła nam z oczu, słyszeliśmy jej krzyk”³. Amerykańscy lotnicy ostrzeliwali również Tiergarten Strasse, ulicę sąsiadującą z Wielkim Ogrodem od południa. Schroniły się tam niedobitki słynnego chóru dziecięcego istniejącego przy kościele św. Krzyża. Wśród ofiar byli ciężko ranny inspektor chóru oraz jeden zabity chłopiec⁴. Brytyjscy jeńcy wojenni, których uwolniono z płonących obozów, również byli ostrzeliwani na nabrzeżach Łaby; potwierdzili później, że wpływ tych działań lotniczych na morale ludności był piorunujący. Myśliwce ostrzeliwały ogniem broni maszynowej lub działek pokładowych kolumny ludzi przemierzające miasto lub jego najbliższe okolice⁵. Historycy US Air Force podkreślali, że: „W archiwach nie ma żadnych dokumentów potwierdzających ów fakt”; cóż, gwoździ uczciwości wypada podać również tę informację⁶.

Pamięć może być oczywiście zawodna, relacje naocznych świadków zawsze zaś należy traktować ostrożnie. „Znaleźliśmy się właśnie pod mostem kolejowym na Leipziger Strasse, gdy fale myśliwców obniżyły lot i zaczęły strzelać do nas oraz do osób uchodzących tłumnie z miasta” - wspomina inny uczestnik tamtych wydarzeń⁷. „Na brzegach rzeki stały ciężarówki Czerwonego Krzyża bez kierowców - opowiada kobieta ewakuowana z Wrocławia, która spędziła noc i wczesny ranek na nabrzeżu. - Nagle usłyszeliśmy ryk silników lotniczych. Ogarnęła nas straszliwa panika. Te ciężarówki wypełniali ranni żołnierze, ewakuowani z miast. Ci, którzy mogli poruszać się o własnych siłach, wyskakiwali z pojazdów i szukali schronienia w pobliskich ruinach. Pobiegłam za nimi wraz z siostrą. Na rogu ulicy stała kolejna ciężarówka, także wypełniona żołnierzami. Usłyszeliśmy warkot silników obniżających pułap samolotów, po czym zaczęły one strzelać ze wszystkich karabinów maszynowych. Miałyśmy szczęście, ponieważ zdążyłyśmy wczłochać się do jakiegoś wypalonego pomieszczenia. Tymczasem żołnierze wypełzali z ciężarówki, lecz tylko nieliczni uszli z życiem. Widziałyśmy, jak jeden z nich został trafiony i upadł na ziemię. Ciężarówka się zapaliła”⁸. Ostrzeliwanie z niskiego pułapu stało się później stałym elementem amerykańskich nalotów lotniczych.

Po podwójnym ciosie jaki spadł na Drezno, natychmiast trzeba było umieścić rannych w szpitalach. Jednakże sytuacja pod tym względem była rozpacзлиwa: dotychczas Drezno stanowiło główny niemiecki ośrodek hospitalizacyjny przeznaczony dla żołnierzy-rekonwalescentów oraz ranionych na frontach, lecz w nalotach zostały zniszczone niemal wszystkie szpitale utworzone w przejętych na ten cel budynkach szkolnych oraz innych gmachach publicznych. Spośród 19 największych stałych miejskich szpitali, 16 zostało zniszczonych w różnym stopniu, a 3 całkowicie zburzone. Według danych zawartych w raporcie policyjnym, w połowie marca w całym Dreźnie oraz w jego okolicy dysponowano zaledwie 780 łózkami szpitalnymi⁹. Jako przykład tego, co spotkało prowizoryczne szpitale wojskowe, niech posłuży przypadek Szkoły Wyższej Yitzthum, w której utworzono szpital na 500 łózek (w dniach nalotów były one zajęte). Przez pół godziny, jakie upłynęło od ogłoszenia alarmu lotniczego do nalotu, ewakuowano stamtąd około 200 niepełnosprawnych pacjentów. Pozostali zginęli¹⁰.

Niewielkiej liczbie rannych i chorych cywilów z Drezna zapewniono tymczasową opiekę medyczną w szpitalu w Pirnie, w którym poddawano eutanazji chorych umyślowo - noszącym niestosowną nazwę „Haus Sonnenschein”. Również bunkier, który jednostka budowlana SS wbudowała w skalną ścianę blisko

mostu Mordgrundbriicke z przeznaczeniem na ośrodek dowodzenia, dowódca formacji SS przekazał Czerwonemu Krzyżowi. Urządzono tam szpital polowy oraz schronisko dla osób pozbawionych dachu nad głową¹². Jego stropu grubości 18 metrów nie mogła przebić żadna bomba¹³.

Z dwóch największych miejskich szpitali, Friedrichstadt i Johannstadt, pierwszy nadawał się częściowo do użytku, jednak drugi został całkowicie zniszczony. Do kompleksu szpitala Johannstadt na wschodzie miasta należała również największa drezdeńska klinika położnicza Frauenklinik. „Gdy nad miastem pojawiły się pathfindery - napisał później jej ordynator - nie wszystkie nasze pacjentki zostały ewakuowane. Alarm ogłoszono zbyt późno. Bomby zaczęły spadać na zachód od naszego budynku i ostatnie pacjentki, wśród nich kobiety po niedawnych zabiegach chirurgicznych, zeszły szybko schodami do podziemi. «Blockbuster» trafił w skrzydło B. Uległy zniszczeniu dwie sale porodowe, sala zabiegowa, oddziały położnicze oraz instrumentarium chirurgiczne i sterylizacyjne na trzech oddziałach”¹⁴. Przystąpiono natychmiast do ewakuowania pacjentów ze skrzydła B do skrzydła A. Jednak część skrzydła A zaczęła płonąć, toteż trzeba było i ją ewakuować. W działaniach ratowniczych we Frauenklinik uczestniczyły ekipy francuskich robotników przymusowych; później niemieckie grupy ratownicze przeniosły w bezpieczne schronienie część pacjentek po zabiegach chirurgicznych, ponadto ewakuowały oddział dla noworodków.

„Dopiero w świetle dnia ujrzeliśmy, jak ogromna tragedia dotknęła naszą klinikę. W skrzydle A szalały pożary tak gwałtowne, że ich gaszenie okazało się niemożliwe. Skrzydło B zniszczyły w znacznej części eksplozje pięciu bomb burzących, które ugodziły w nie bezpośrednio. Ze skrzydła C pozostał tylko wypalony parter. Skrzydło D było bardzo zniszczone. Tylko skrzydło E wydawało się niezbyt naruszone, choć płonął jego dach”. Bomby zrzucone przez Amerykanów podczas dziennego nalotu ominęły Frauenklinik, lecz jeden myśliwiec Mustang ostrzelał z broni maszynowej skrzydła C, D i E.

O rozmiarze zniszczeń drezdeńskich szpitali świadczy najlepiej liczba poległych. We Frauenklinik w Johannstadt, czyli tam, gdzie zniszczenia są najlepiej udokumentowane, zginęło 200 osób; spośród nich zidentyfikowano tylko 138. Było to też

wynikiem znanej już Niemcom burzy ogniowej: w Kassel nie można było zidentyfikować 31,2 procent ogólnej liczby ofiar (5830). Wśród ofiar, które zidentyfikowano, było 11 pielęgniarek, 21 studentek medycyny zatrudnionych w charakterze położnych, pielęgniarek i salowych; zidentyfikowano też zwłoki 2 francuskich ratowników i 9 Niemców - członków ekipy ratowniczej. Wśród zabitych 95 pacjentek było 45 matek oczekujących na rozwiązanie.

Aż do końca wojny szpital ten pozostał nieczynny. Ciężarne kobiety, które przeżyły naloty, przeniesiono do niezniszczonego skrzydła szpitala Friedrichstadt. W tym celu należało jednak opróżnić kilka oddziałów, co wiązało się z zapewnieniem pomocy chirurgicznej tysiącom rannych. Tymczasem trzeba było również zapewnić ludności miasta codzienną opiekę medyczną; na przykład diabetycy musieli otrzymać swoją porcję insuliny, chorych zaś, którzy wraz z dobytkiem stracili także recepty, należało poddać powtórnemu badaniu i zaopatrzyć w nowe. Z przyczyn oczywistych czynności te wydłużały się w czasie, toteż wielu rannych i chorych zmarło, nie otrzymując odpowiedniej opieki medycznej. Stopniowo rosła i tak już potężna lista ofiar śmiertelnych. Ciągle jeszcze nie podejmowano zorganizowanych prób dotarcia do osób uwięzionych pod gruzami.

Jak już wiemy, jednostki wojska stacjonujące w koszarach na terenie miasta skierowano do działań ratowniczych dopiero późnym popołudniem we środę popielcową 14 lutego. Jednostki, których kwatery znajdowały się w dalszej odległości, otrzymały stosowne rozkazy z jeszcze większym opóźnieniem. W Königsbrück, gdzie znajdował się punkt zborny jednostek mających uczestniczyć w walkach na froncie

wschodnim, o wydarzeniach w Dreźnie dowiedziano się dopiero dwa dni po nalotach, zapewne z powodu przerwanej łączności. Pewien oficer wojsk lądowych, który przybył tam wprost z płonącego miasta, zgłosił się do dowództwa i zasugerował, że jednostka powinna wyruszyć do Drezna w celu ratowania osób pogrzebanych żywcem pod gruzami. Usłyszał jednak, że dopóki przełożeni nie wydadzą takich rozkazów, żołnierze pozostaną w koszarach.

Poważnych kłopotów nastroczał również fakt, że burza ogniowa wywiązała się w części miasta położonej na lewym brzegu Łaby (a zatem najwięcej zabitych i rannych było właśnie tam), podczas gdy koszary w Königsbriick oraz większość pozostałych miejsc, w których kwaterowało wojsko, znajdowały się na prawym brzegu. Brzeg lewy uznano bowiem za „front ojczyzniany” (Heimatkriegsgebiet), wszystko zaś, co znajdowało się na wschód od Łaby, zaliczono do „tyłowego obwodu wojsk lądowych” (riickwartiger Heeresgebiet)¹⁵. Dlatego też rozkazy kierujące żołnierzy do akcji ratowniczej musiały pochodzić od właściwych władz. Niezbędne wyposażenie marszowe otrzymano dopiero 16 lutego; wojska lądowe skierowały ostatecznie do działań ratunkowych od 1500 do 2000 żołnierzy¹⁶.

Jeśli chodzi o alianckich jeńców wojennych przetrzymywanych w Dreźnie lub blisko tego miasta (w chwili kiedy nastąpił nalot, było ich ogółem ponad 20 tysięcy), rozkazy dotyczące włączenia ich do działań nadeszły jeszcze później. Grupa robocza nr 1326, stacjonująca w Dresden-Ubigau, do której należało ponad 230 jeńców, podjęła 14 lutego próbę ucieczki, dlatego formowanie kolejnych grup rozpoczęto dopiero 21 lutego. Wtedy dowództwo IV Obwodu Wojsk Lądowych nakazało, żeby grupy jeńców liczące po 30, 50 i 70 mężczyzn przeprowadzono pod eskortą do miasta, gdzie miały uczestniczyć w działaniach porządkowych. Wcześniej, przez cały tydzień, jeńcy ci przebywali w zamkniętym obozie¹⁷. Ostatecznie do pomocy w działaniach ratowniczych skierowano od 500 do 1000 jeńców wojennych;

sformowano z nich kolumny marszowe i poprowadzono do miasta. Pewien jeńiec zamknięty w wielkiej drezdeńskiej *rzeźni* wspominał, że choć budynki wokół zostały zniszczone, strażnicy prowadzili go oraz jego towarzyszy niedoli przez miasto do punktu położonego we wschodniej części, a wieczorem wracali tą samą drogą. Jeńiec ów uznał, że Niemcom chodziło o to, żeby skłonić ich do skruchy i wyrzutów sumienia z powodu okropności, których sprawcami byli ich rodacy, liczyli również na to, że jeńcy *zaczyną* wstępować do Korpusu Wolnych Anglików, walczącego u ich boku z Rosjanami na froncie wschodnim. Istotnie, po nalotach na Drezno do jednostki tej zgłosiło się ochotniczo wielu jeńców, w tym mąż zaufania z jednego z obozów¹⁸.

Większość jeńców brytyjskich uczestniczyła ochotczo w akcji. Kilkuset nawet zgłosiło się do pracy, nim wydano im stosowne polecenia¹⁹.

Kilku zapłaciło życiem za tę gotowość. Już po paru tygodniach działań ratunkowych (kiedy otrzymywali coraz szczuplejsze racje żywnościowe) podczas jednej z akcji dotarli do zapasów żywności znajdujących się w zniszczonych magazynach i hotelach. U pewnego Amerykanina z obozu w Dresden--Plauen poddanego rutynowemu przeszukaniu znaleziono puszkę z mięsem, którą ukrył pod mundurem, z kolei młody jeńiec - Kanadyjczyk został przyłapany na szmuglowaniu do obozu w Dresden-Ubigau wędzonej szynki. Obaj zostali rozstrzelani. Ale wobec szabrowników, bez względu na to, czy byli to Niemcy, czy też osoby innych narodowości, stosowano drastyczne środki. Przy Grunauer Strasse pewien robotnik niemiecki ukrył w kieszeniach 150 - 180 zrabowanych obrączek - rozstrzelano go na miejscu²⁰. „Jak dotychczas policja, zwłaszcza patrole specjalne, zatrzymała 79 szabrowników” - napisał w połowie marca dowódca policji drezdeńskiej. „Duża ich liczba została już zlikwidowana”²¹.

Tymczasem 17 lutego władze Drezna wprowadziły stan wyjątkowy.

„Na polecenie gauleitera [obwieścił lokalny dziennik partyjny] w dniu wczorajszym pewną liczbę rabusiów i szabrowników rozstrzelano na miejscu natychmiast po zatrzymaniu. Przyłapanych na gorącym

uczynku rabusiów należy natychmiast przekazywać funkcjonariuszom partyjnym albo ich pełnomocnikom; gauleiter Mutschmann nie zamierza pozwalać na okazywanie jakiegokolwiek pobłażliwości w podległym mu, poddanym tak okrutnej próbie okręgu. Jest to sprawa całego naszego społeczeństwa: ten, kto popełnia zbrodnię przeciw społeczeństwu, może oczekiwać tylko śmierci".

W Dreźnie rozstrzelivano jednak nie tylko szabrowników. Jak ustalono, „pozbawione skrupułów elementy" szerzyły fałszywe i wrogie narodowi niemieckiemu pogłoski.

„Szerzyciel pogłosek działa tylko w interesie wroga, dlatego też niech się spodziewa tylko tego, że natychmiast zostanie zgładzony. Na mocy dekretu gauleiera wszystkich takich szerzycieli należy rozstrzeliwać na miejscu, jak to już kilkakrotnie miało miejsce"²².

Przez kilka dni zwłoki tysięcy ofiar nalotów leżały pokotem na ulicach, tam gdzie nieszczęśników tych dosięgła śmierć. Niekiedy ludzie pozbawieni zostali członków oderwanych energią fali uderzeniowej; niektórzy wyglądali tak, jakby przed chwilą ułożyli się do snu: jedynie zielonkawy odcień, jaki przybrała ich skóra, zdradzał, że od dawna nie żyją. W parkach z konarów drzew zwisały trupy rzucone tam impetem wybuchów bomb. Tam oraz na nabrzeżach Łaby leżały rozrzucone zwłoki tych,

k którzy padli od pocisków myśliwców ostrzeliwujących ulice Drezna z broni maszynowej. Niektórzy zmarli wkrótce potem, gdy ekipy ratownicze wydobyły ich z zasypanych piwnic. Z podziemia znajdującego się pod pomieszczeniem, w którym usytuowano salę operacyjną Frauenklinik w Johannstadt, uratowano 6 osób, z których 5 - wyłącznie kobiety - zaraz potem zmarły, „przypuszczalnie w wyniku obrażeń wewnętrznych". Pewien urzędnik, który po nalotach wizytował główny kompleks szpitala, napisał w raporcie, że w ogrodzie przyszpitalnym widział zwłoki dzieci rzucone na ściany, zwisające z drzew i rozrzucone na rozległym obszarze - taka była siła wybuchu ciężkich bomb. Grupy ratownicze, które przystąpiły do akcji z dwudniowym opóźnieniem, teraz mozolnie pracowały, poszukując gorączkowo tych, którzy przeżyli. Żołnierze pracowali przez całą dobę, otrzymując jedynie skąpe racje żywnościowe. Ze wszystkich sąsiadujących z Dreznem miast przybyły ekipy ratunkowe, zaopatrywane przez swoje władze. System ów działał na ogół sprawnie, chociaż w czasie gdy przeprowadzono naloty na Drezno, większość struktur organizacyjnych w Niemczech już nie funkcjonowała.

„Praca była bardzo trudna - wspominał pewien żołnierz skierowany do tych działań - każdego rannego musiało wynosić czterech ludzi. Inni żołnierze usuwali gruz i otwierali wejścia do piwnic. Schronienia przed bombami szukało w nich 20, a czasami nawet więcej osób. Pożary pozbawiły ich jednak powietrza, a panujący żar przysporzył zapewne straszliwych mąk. Ilekroć tu i ówdzie znajdowaliśmy jeszcze dwie, trzy żywe osoby, mogliśmy mówić o szczęściu. I tak to trwało godzinami. Później nakazano nam zająć się podziemiami budynków. Dotarliśmy do kilkunastu przerażonych kobiet i dzieci, które nie odważyły się opuścić schronienia. Ponieważ budynek wciąż się palił i w każdej chwili mógł się zawalić, wyciągnęliśmy ich przemocą".

„Wszędzie leżały na ziemi zwłoki - kontynuował - skurczone pod wpływem wielkiego gorąca do rozmiarów około 90 centymetrów. Całe miasto przenikał słodkawy odór zgnilizny i spalonego ludzkiego ciała - był ohydny i mdlący". Żołnierza tego skierowano następnie wraz z towarzyszami do ratowania osób znajdujących się pod ruinami gmachu opery, w którym podczas nalotu trwał specjalny koncert. W budynku tym, zaprojektowanym przez Gottfrieda Sempera*, odbyły się premiery oper *Rienzi*, *Latający Holender* i *Wolny strzelec* Wagnera, a ostatnio *Różo-krzyżowiec* Richarda Straussa. Opera nie miała już zaprezentować światu żadnych arcydzieł muzycznych. Podobnie jak cyrk Sarassani, legła w gruzach, które pogrzebały wiele osób.

„Kiedy dotarliśmy do podziemi opery, znaczna liczba odnalezionych tam osób odchodziła od zmysłów -

kontynuował ów żołnierz - ludzie ci nie chcieli wychodzić. Tamtej nocy, gdy powracaliśmy do koszar po 24-godzinnej pracy, mijaliśmy na ulicy przewrócony wóz. Leżał pod nim około 60-letni mężczyzna, uchodźca ze wschodu. Obie nogi miał złamane i błagał o wodę. Mężczyzna ów leżał pod wozem trzy dni, krzycząc o ratunek, lecz zniszczenia zadane miastu były tak wielkie, że nikt nie miał czasu, żeby się nim zająć".

Gdy żołnierze powracali do koszar, przekraczając Łabę dostrzegli, że kopuła Katedry Frauenkirche także runęła. W podziemiach świątyni znajdowało się bogate archiwum niemieckiego Ministerstwa Lotnictwa, gdy walczący z ogniem uznali, że pożar został już opanowany, celuloidowe rolki zapaliły się, po czym nastąpił gwałtowny wybuch.

Kopuła runęła we wtorek 15 lutego o 22.15.

Ów tragiczny epizod dopełnił dzieła zniszczenia architektury miasta.

14 lutego o 19.15 zmęczony i wyczerpany brakiem snu Adolf Hitler rozmawiał przez 45 minut z doktorem Goebbelsem. Był przybity i zrezygowany, drżały mu ręce. „Proszę, równaj z ziemią gmach opery i mordują uchodźców - wybuchnął - ale nie ruszają Zalewu Szczecińskiego zapchanego transportowcami z wojskiem!"*.

Siedziba dowództwa policji drezdeńskiej legła w gruzach. W amerykańskich archiwach znajduje się tekst przejętej i rozszyfrowanej przez Brytyjczyków depeszy radiowej (użyto tej formy łączności, ponieważ zostały zniszczone wszystkie linie telegraficzne) zawierającej pierwszy raport o nalotach, wysłanej przez dowódcę policji gruppenfuhrera SS Wernera von Alvenslebena.

„Raport wstępny. Ciężki nalot terrorystyczny na Drezno. Bombardowanie miasta od 22.09 do 23.35. Na cały obszar miasta zrzucono ciężkie bomby burzące, wybuchły tam również wielkie pożary - zwłaszcza w mieście wewnętrznym. Bomby ugodziły między innymi gmach opery, katolicki Kościół Dworski, Pałac Japoński, Muzeum Higieny, biura Zarządu Kolei", kilka szpitali, Pałac Wystawowy, Pałac Taschenberg - według naszych ocen na miasto spadło co najmniej 3000 bomb burzących i 25 tysięcy zapalających. Wezwano na pomoc siły z zewnątrz. Teren koszar w Alberstadt: koszary piechoty, Koszary im. Adolfa Hitlera, budynek Biura Zaopatrzenia Wojska, budynek magazynu, skład amunicji. Łączność ze światem również prze-

rwana. Od godziny 1.24 do 1.48 trwał jeszcze cięższy nalot, zrzucono głównie bomby burzące, niektóre największego wagomiaru.

Z uwagi na potężne pożary, jakie powstały, należy liczyć się z całkowitym zniszczeniem miasta - napisał w konkluzji dowódca policji - według ocen, 500 tysięcy osób zostało pozbawionych dachu nad głową. Niezbędna natychmiastowa, pilna pomoc władz państwowych"²³.

Reichsfuhrer SS Heinrich Himmler, któremu najwyraźniej nie spodobał się histeryczny ton, jakim tchnęła depesza Alvenslebena, odpowiedział mu w nonszalanckim tonie:

„Otrzymałem Pański raport. Naloty były bezsprzecznie nad wyraz ciężkie, jednak każdy pierwszy nalot zawsze sprawia wrażenie, że miasto, które padło jego ofiarą, zostało doszczętnie zniszczone. Proszę bezzwłocznie podjąć wszelkie niezbędne środki. Wysyłam Panu natychmiast szczególnie zdolnego wysokiego oficera SS, który w obecnej trudnej sytuacji może okazać się dla Pana przydatny. Pozdrowienia"²⁴

15 lutego Alvensleben wysłał Himmlerowi kolejny teleks. Reichsfuhrer odpowiedział radiogramem, który poprzedził przekazany szefowi policji służbową pocztą, utrzymany w szczególnie lodowatym tonie list:

„Mój drogi Alvensleben!

Otrzymałem Pański teleks z dnia 15 lutego.

1. Zgadzam się na przeniesienie Pańskiej siedziby, lecz tylko na któreś z przedmieść miasta. Gdyby przeniósłby Pan ją dalej, wywołałoby to niedobre wrażenie.

2. Obecnie nadeszła pora na wykazanie żelaznej konsekwencji w działaniu oraz na podjęcie natychmiastowych działań w celu przywrócenia porządku. Odpowiada Pan za natychmiastowe przywrócenie dostaw energii, wody oraz uruchomienie transportu publicznego. Zamierzam przysłać Panu do pomocy

obergruppenfuhrera SS Hildebrandta, dzięki czemu zyska Pan współpracownika, którego działania mogą okazać się dla Pana przydatne w kilku punktach znajdujących się poza Dreznem.

3. Proszę dawać odpowiedni przykład, zachowując spokój i zimną krew!

Heil Hitler

szczerze oddany H. Himmler"

Alvensleben przeniósł swoją siedzibę (jako gruppenfuhrer SS i polizeifuhrer), jak również siedzibę dowództwa policji bezpieczeństwa i SD (służba bezpieczeństwa SS) do w połowie wykończonego, wydrążonego w skale bunkra, usytuowanego na skarpie nieopodal mostu Mordgrundbrücke.

Cztery dni po nalotach lokalna gazeta partyjna opublikowała wezwanie skierowane do osób poszukujących zaginionych krewnych. Polecono im zgłaszać się do nowo powołanego Yermissten Suchstelle, biura poszukiwania osób zaginionych, któremu urządzono siedzibę w nietkniętym budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Saksonii na nabrzeżu Königsufer. „Karty pocztowe - nie listy czy też inne formy korespondencji - muszą zawierać nazwisko osoby poszukiwanej, jak również jej miejsce zamieszkania z okresu przed nalotami oraz nazwisko osoby poszukującej (lub osób) wraz z jej (ich) miejscem zamieszkania po nalocie”²⁵. Był to pierwszy niemiecki krok na drodze do wykonania kolosalnego zadania - połączenia tysięcy rodzin rozdzielonych przez naloty.

Powołano jednak również inną organizację, która miała sporządzić rejestr osób zaginionych i w odniesieniu do których istniała znikoma szansa na to, żeby przeżyły. W każdej z siedmiu dzielnic Drezna utworzono Yermissten-Nachweis, rejestr osób zaginionych. Rejestry dla Weisser Hirsch i Dresden-Central powstały w ratuszach dzielnicowych; rejestry dla Blassewitz, Strehlen i Cotta - w miejscowych szkołach podstawowych; rejestr dla Trachau w budynku przy Dobelner Strasse, dla Leuben zaś - w byłym przedszkolu przy Neuberin Strasse 15. Do tego ostatniego punktu należało kierować zapytania dotyczące ofiar bez stałego adresu w Dreźnie, między innymi uchodźców, żołnierzy, robotników przymusowych oraz innych osób przebywających w mieście czasowo. W tym punkcie natychmiast po nalotach założono Yermissten-Nachweiszentrale (VNZ), czyli centralne biuro poszukiwań osób zaginionych, zajmujące się gromadzeniem i zestawianiem danych uzyskanych z sześciu pozostałych biur.

15 lutego rankiem Hanns Yoigt, wicedyrektor jednej z drez-deńskich szkół, która - podobnie jak wiele tych placówek w mieście - została zamknięta 11 dni wcześniej i przekształcona w szpital Luftwaffe w Leuben, około 11 kilometrów na południowy wschód od Drezna, postanowił urządzić w niej wydział identyfikacji. Uznano, że obszar ten nie będzie bombardowany w ewentualnych następnych nalotach; inną jego zaletą było to, że znajdował się na lewym brzegu Łaby. W Dreźnie obawiano się powszechnie szybkiego nadejścia Rosjan. Ostatecznie ich wojska dzieliło obecnie od miasta zaledwie około 100 kilometrów.

Abteilung Tote, Departament Umarłych, miał przyjąć wszystkie dokumenty i dobytek osobisty osób, co do których istniała pewność, że nie żyją, a także tych, których jeszcze nie wydobyto spod gruzów.

Yoigt przez dwa tygodnie z typową niemiecką skrupulatnością dobierał sobie ekipę oraz przygotowywał plan, który miał się okazać bodaj największym i najtrudniejszym w historii przedsięwzięciem polegającym na identyfikacji i rejestracji, 1 marca były wicedyrektor szkoły zgłosił w YNZ, że jego departament gotów jest do działania; personel departamentu liczył ponad 70 urzędników (YNZ zatrudniało dalszych 300).
Zadaniem Departamentu

Umarłych miała być identyfikacja ofiar oraz sporządzenie przybliżonego wykazu osób poległych w nalotach. 6 marca rząd Rzeszy uznał oficjalnie istnienie tej placówki i włączył ją do struktur VNZ.

Ten makabryczny wydział działał z biurokratyczną dokładnością, która w powszechnym mniemaniu stanowi typową niemiecką cechę. Dla potrzeb procedur identyfikacyjnych Drezno podzielono na siedem stref operacyjnych: w każdej znajdowało się centralne biuro SHD (Sicherheits und Hilfsdienst, służby najczęściej działające w zbombardowanych miastach). W Dresden--Neustadt biuro SHD usytuowano w siedzibie władz dzielnicy, w Blasewitz urządzono je w komisariacie policji, a w szpitalu Friedrichstadt - w budynku należącym do jego kompleksu, jedynym ocalałym. Zbieranie zwłok nadzorowały cztery drużyny Służby Naprawczo-Remontowej (Instandsetzungdienst) oraz wchodzące w jej skład cztery kompanie sanitariuszy, dwa bataliony wojska i drużyny z formacji Technische Nothilfe. W betonowym bunkrze usytuowanym w podziemiach, pod siedzibą dowództwa policji w gmachu Albertinum, urządzono stanowisko dowodzenia Instandsetzungdienst.

Organizacja działań ratowniczych, identyfikacja oraz liczenie zwłok zostały ściśle skoordynowane z czynnościami prowadzonymi przez dowództwo policji, co odbywało się w budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Saksonii przy Königsufer. Stamtąd przekazywano polecenia grupom SHD, prowadzącym właściwą akcję ratowniczą za pośrednictwem Hauptsammelstelle (głównego punktu zbornego) usytuowanego przy Weisser Hirsch. Funkcjonariusze nowego VNZ nadzorowali na miejscu identyfikację ciał. W celu jej przeprowadzenia uprzątno chodniki z gruzu, po czym na uzyskanej przestrzeni układano zwłoki w szeregu na dzień lub dwa. Wszystkie przedmioty wartościowe znajdujące przy poległych - kosztowności, dokumenty, listy,

obrączki oraz inne mogące być przydatne przy identyfikacji - wkładano do papierowych kopert.

Każda z nich była oznaczona numerem identyfikacyjnym, obok którego umieszczano również istotne informacje: miejsce i datę odnalezienia zwłok, płeć ofiary oraz - jeśli były znane - jej personalia. Ciało zaopatrywano w kartę odpowiedniej barwy, opatrzoną identycznym numerem identyfikacyjnym co na kopercie. Funkcjonariusze liczyli głowy (w dosłownym znaczeniu tego słowa), a swoje codzienne raporty, wraz z ładunkiem zawierającym zgromadzone przedmioty wartościowe, przekazywali urzędnikom SHD ze wszystkich siedmiu biur dzielnicowych. Przedstawiciele VNZ co wieczór wpisywali imiona, nazwiska oraz numery identyfikacyjne umieszczone na kopertach do swoich centralnych rejestrów. Po dokonaniu spisu oraz oszacowaniu zawartości każdej . koperty, jak również po sporządzeniu wyciągu zawierającego wszelkie dane mające pomóc w identyfikacji, koperty pieczętowano i przekazywano na przechowanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Saksonii.

Na niektórych obszarach miasta wysoka temperatura utrzymywała się tak długo, że przez kilka tygodni nie można było dostać się do piwnic. Dotyczyło to zwłaszcza piwnic, gdzie

- wbrew przepisom porządkowym zgromadzono zapasy węgla
- który się zapalił. (W Hamburgu dowódca policji nakazał po nalotach, żeby węgiel i koks przechowywano **na strychach** do mów, gdzie, jak wykazała praktyka, opał ów był mniej narażony na zapalenie). Z tego powodu jedna z ulic miasta była niedo

stępna przez sześć tygodni²⁶. Podobnie jak w Hamburgu, w niektórych piwnicach w centrum miasta odnaleziono przerażająco groteskową masę stopionych weków, garnków i naczyń, a nawet spalone na węgiel cegły i ceramiczne dachówki²⁷. Jest to dowód, że na obszarze objętym burzą ogniową panowała temperatura ponad 1000 stopni.

„Najtrudniejszym zadaniem było wydobywanie zwłok” - wspominał później szef Instandsetzungsdienst w Dreźnie. „Gaz, który gromadził się w podziemiach, gdzie panowała wysoka temperatura, stanowił bardzo poważne zagrożenie dla naszych drużyn ratowniczych, ponieważ nie dysponowaliśmy odpowiednią liczbą masek gazowych”.

Ponadto, przez pierwszy tydzień jednostki Instandsetzungs-dienst, RAD i SHD musiały pracować bez grubych rękawic ochronnych - cały ich zapas bowiem spłonął. Doświadczenia uzyskane podczas prac ratowniczych na obszarach dotkniętych burzą ogniową wykazały, że członkowie ekip są narażeni na choroby oraz na coś, co nazwano „wirusem sekcyjnym”. Pilnie potrzebne były także gumowe buty: do piwnic oraz podziemi (w normalnych warunkach suchych) nie sposób było wejść, ponieważ z nagromadzonych tam zwłok wypływała surowicza ciecz. Przez kilka pierwszych dni mężczyźni i kobiety zatrudnieni przy wydobywaniu zwłok pracowali gołymi rękami albo zaopatrzeni tylko w prowizoryczną ochronę. Tydzień później z całych Niemiec zaczęto przysyłać gumowe rękawice, których zapasy tak w końcu urosły, że na artykuł ów powstał czarny rynek²⁸.

Pod tym względem na następstwa burzy ogniowej Drezno było równie niedostatecznie przygotowane jak Kassel. Również tam bowiem zapasy szybko się wyczerpały i trzeba było je uzupełniać drogą lotniczą. „W celu znieczulenia na fetor rozkładających się zwłok, który zapanował po kilku dniach, wszystkim osobom uczestniczącym w działaniach ratunkowych dawano koniak i papierosy²⁹. W Kassel zapewniono im nawet wodę ko-łońską oraz specjalne przydziały mydła. Niektóre tamtejsze drużyny ratownicze posługiwały się maskami gazowymi z filtrami, w których umieszczano tampony nasycone spirytusem.

W pierwszych tygodniach po nalotach policja miejska zajmowała się ładowaniem zwłok na furmanki oraz nadzorowaniem procedur ich rejestrowania. Była to ohydna i makabryczna robota, i dlatego członkowie ekip ratowniczych zostali specjalnie potraktowani. W głębokich podziemiach zarówno Albertinum, jak i Muezum Higieny nieopodal Wielkiego Ogrodu przechowywano pokaźne zapasy alkoholu przeznaczonego do użytku w sytuacjach nadzwyczajnych; pozostały one nietknięte przez bomby. Aby robotnicy i inni - Ukraińcy, Rumuni, żołnierze z koszar i jeńcy wojenni wcieleni przymusowo do grup wydobywających zwłoki - mogli wykonywać tę makabryczną pracę, otrzymywali regularne przydziały sznapsa oraz papierosów. Codziennie funkcjonariusz policji pobierał z zapasów 30 butelek koniaku, które następnie rozdzielano grupom ratowniczym. Z tego racjonowania wyłączono jednak alianckich jeńców wojennych, obarczonych zbiorową odpowiedzialnością za dokonaną masaker³⁰.

Kobietom należącym do tych ekip, w większości członkiniom organizacji Służba Pracy Rzeszy, nie pozwalano pić alkoholu, a dla uspokojenia nerwów każdej z nich przydzielano 30 papierosów dziennie³¹. Pierwszym zadaniem było usunięcie zwłok z ulic. „Jednego do końca życia nie zapomnę - napisał w liście mieszkaniec Drezna, który przeżył naloty - były to szczątki dwóch osób, zapewne matki i dziecka. Były skurczone, spaliły się razem na węgiel i mocno przywarły do asfaltu. Trzeba było siłą je odrywać. Dziecko musiało znajdować się pod ciałem matki, ponieważ można było wyraźnie odróżnić kształt jego sylwetki, obejmowały je ramiona matki³². Nikt nie zdołał zidentyfikować ani matki, ani dziecka.

Po nalotach na Hamburg w 1943 roku ktoś zasugerował doktorowi Goebbelsowi, który przejmował odpowiedzialność za koordynację obrony cywilnej, żeby każdy Niemiec nosił ognioodporny

identyfikator żołnierski, umożliwiający w razie czego identyfikację jego zwłok. Goebbels, autor nikczemnego

zarządzenia nakazującego każdemu Żydowi noszenia opaski z żółtą gwiazdą, odrzucił pomysł³³.

W Dreźnie identyfikacja zwłok była w ogromnej większości przypadków niemożliwa. „Wszędzie w mieście widzieliśmy ofiary leżące twarzami w dół, dosłownie przyklejone do asfaltu roztopionego w ogromnym żarze” - wspominał pewien żołnierz uczestniczący w działaniach ratowniczych³⁴. Georg Feydt, inżynier z obrony cywilnej, tylko na Ring Strasse naliczył od 180 do 200 zwłok³⁵.

„Mój kumpel poprosił, żebym pomógł mu odnaleźć żonę przy Muschinski-Strasse - wspominał inny żołnierz, który przybył do Dreżna z koszar w Neustadt. - Gdy dotarliśmy na miejsce, dom był już doszczętnie spalony. Kolega nieustannie krzyczał w nadziei, że usłyszą go ludzie, którzy schronili się w piwnicach. Jednak nikt nie odpowiadał. Na stosiku połamanych cegieł siedziała jakaś staruszka i cicho śpiewała. Kolega nie chciał rezygnować z dalszych poszukiwań i zaczął grzebać w piwnicach sąsiednich domów, a nawet odrywał zwęglone szczątki od asfaltu, żeby sprawdzić, czy któreś są szczątkami jego żony”. Jednakże nawet oglądając uważnie obuwie zabitych, nie zdołał jej zidentyfikować. Ta niemożność identyfikacji ciał najbliższych ilustruje trudności, jakie piętrzyły się przed VNZ.

„Nigdy nie myślałem, że śmierć może dotknąć ludzi na tak wiele sposobów - napisał Hanns Yoigt. - Nie spodziewałem się, że będę oglądać ludzi w takim stanie: zmarłych od oparzeń, żywcem spalonych, rozerwanych na strzępy, zmiażdżonych. Niektóre ofiary wyglądały zgoła zwyczajnie; wydawało się, że smacznie i spokojnie śpią, jednak twarze ich były naznaczone jakimś straszliwym bólem; ogromna ognista trąba powietrzna zdarła

z ich ciał niemal całą odzież. Widziałem nieszczęsnych uchodźców ze wschodu, których cały ubiór stanowiły jakieś łachmany, byli też wystrojeni ludzie, którzy tamtego dnia poszli na koncert do opery. Tu leżała bezkształtna kupa jakieś miękkiej masy, która była niegdyś człowiekiem; ówdzie tylko warstwa popiołu, zbieranego łopatami do blaszanej wanny. W całym mieście, na wszystkich ulicach unosił się jedyny w swoim rodzaju odór rozkładających się ciał³⁶.

Niektóre ofiary spotkał wyjątkowo przykry koniec, gdy pod wpływem eksplozji bomb popękały przewody centralnego ogrzewania, w następstwie czego piwnice wypełniły się wrzątkiem. W niektórych domach ludzie schronili się w zbiornikach wodnych i ugotowali się żywcem. Na przykład woda w zbiorniku ustawionym w narożniku Muschinski-Strasse zagotowała się w wysokiej temperaturze, jaką wytworzyła burza ogniowa. W zbiorniku tym odnaleziono 20 zanurzonych w wodzie ciał, których skóra przybrała kolor jaskrawoczerwony, niczym pancierz ugotowanego homara³⁷. Jednakże w innych dzielnicach miasta ten rodzaj schronienia okazał się bardziej skuteczny. Pewien kapitan wojsk lądowych widział, jak dwaj mężczyźni gramolą się z podobnego zbiornika ustawionego przy Grunauer Strasse, niedługo po zakończeniu pierwszego nalotu. Dzięki temu, że siedzieli zanurzeni po szyję w wodzie, uniknęli spalenia, nie zostali też wessani przez niewidzialny magnes trąby powietrznej, towarzyszącej burzy ogniowej³⁸.

W większości wypadków ludzie umierali jednak spokojną i powolną śmiercią. Prawdopodobnie ponad 70 procent ofiar zginęło z braku tlenu lub też od zatrucia tlenkiem węgla. W jednym z podziemi ekipa ratownicza odnalazła setkę ludzi, w większości kobiet, którzy udusili się w chwili, gdy desperacko usiłowali przedostać się do wyjścia. Dziesiątki tysięcy osób zginęło

w zamkniętych pomieszczeniach, które przeistoczyły się w śmiertelne pułapki; niekiedy odnajdywano je w pozycjach, jakie przybrały, kiedy zaskoczyła je śmierć, gdy na miasto, niczym na starożytne Pompeje, spadł ów straszliwy kataklizm.

ROZDZIAŁ 15

Anatomia tragedii

„Nie będzie to chyba zbyt dużą pomyłką, jeśli połączymy te naloty z konferencją na Krymie” - napisał w swoim dzienniku wysoki urzędnik niemieckiego Ministerstwa Propagandy. „Churchill już wcześniej zaakceptował plan przekazania Polsce, jako rekompensatę za terytoria położone na wschód od Linii Curzona, anektowane przez Rosję, ziem niemieckich. Zgodził się również na to, by wygnano stamtąd siedem do ośmiu milionów Niemców i obwieścił w Izbie Gmin, że dzięki «zmiennym kolejom wojny» na pozostałych obszarach Niemiec znajdzie się miejsce dla tych siedmiu, ośmiu milionów. Również Stalin najwyraźniej w rozmowach z nim poruszył kwestię bliskiego już końca wojny i zasugerował, iżby - według poczynionych ustaleń - stworzyć miejsce dla przesiedleńców. Dzięki nalotom na Drezno Churchill za jednym zamachem przekazał swój pierwszy kontyngent w liczbie 300 tysięcy osób”. Brytyjski premier, ironizował ów urzędnik, może być dumny z powodu zgładzenia 300 tysięcy kobiet, dzieci i bezbronnych cywilów; nikt bowiem w historii nie dokonał wcześniej takiego wyczynu¹.

Istotnie, wspomnieliśmy już, że w Jałcie, dziewięć dni przed pierwszym nalotem na Drezno, Churchill w sposób dosadny wypowiedział się w kwestii tego, czy Niemców można bezkarnie zabijać. Podczas omawiania kwestii, o której wspominał niemiecki urzędnik, dotyczącej zapewnienia zakwaterowania uchodźcom z terenów zajmowanych przez Armię Czerwoną, premier brytyjski stwierdził: „Czy znajdzie się dla nich miejsce w tym, co pozostało z Niemiec? Zgładziliśmy jak dotychczas sześć albo siedem milionów Niemców, a zapewne do końca wojny zgładzimy jeszcze milion albo coś koło tego”².

Nalot na Drezno sprawił, że wstrząsu doznali promineri nazistowskiej partii i rządu. Od trzech miesięcy doktor Goebbels roztaczał przed społeczeństwem ponure wizje dotyczące planu Morgenthaua - amerykańskiego planu nadania nowego kształtu pokonanym Niemcom i wprowadzenia nowych porządków, podobno rozważanego w Jałcie³. Obecnie, nieoczekiwanie i dramatycznie, koszmar ów, zrodzony przez ich chore umysły, najwyraźniej stawał się rzeczywistością. Dosłownie z dnia na dzień, jak wynikało z pierwszych danych przekazanych do Berlina, „od 200 do 300 tysięcy ludzi” padło ofiarą krwawej rzeźni, jaką im zgotowano w wielkim niemieckim mieście.

Po wojnie w obozach jenieckich dla wyższych oficerów niemieckich spierano się w kwestii tego nalotu. W obozie w Latimer w brytyjskim hrabstwie Buckinghamshire osadzonych tam generałów zmuszano do oglądania fragmentów kronik filmowych przedstawiających okrucieństwa popełniane na więźniach obozów w północno-zachodnich Niemczech. Karl Bodenschatz, najbliższy współpracownik Göringa,

należący też do otoczenia Hitlera, powiedział innemu generałowi Luftwaffe, że uwieńczone na taśmie filmowej sceny są ohydne i niegodziwe, [Schweinerei]. „Jednakże, zważywszy na to, co się stało w Niemczech, na naloty na obszary zamieszkane przez ludność cywilną, przeprowadzane przez ostatnie dwa lata, nie ma tu żadnego porównania, zgoła żadnego: gdyby pan widział Drezno - sam tam byłem - w jedną noc zginęło w tym mieście 51 tysięcy ludzi, kobiet i dzieci; no więc powiadam, że nie ma żadnego porównania ze zdjęciami 300 lub więcej rozstrzelanych osób. Przyznaję, było to okrucieństwo, lecz o zupełnie innej skali, nie może być żadnego porównania”⁴.

Podawano zazwyczaj różne liczby poległych w Dreźnie. Jeden z generałów niemieckich wojsk lądowych sądząc, iż nikt ich nie podsłuchuje, wspominał w rozmowie z innym, że jest wprost niepojęte, dlaczego SS nie zniszczyło materiałów dowodowych. „Ale przecież Brytyjczycy również zabili ponad 200 tysięcy w Dreźnie” - zauważył drugi generał⁵. Inni wyżsi oficerowie wypowiadali się na temat psychologicznych skutków zadanego temu miastu potrójnego ciosu. „Gdy Niemcy dowiedziały się o tej tragedii - powiedział przesłuchiwany pułkownik Luftwaffe, zatrudniony w ośrodku badań ekperymentalnych - wszędzie na stąpił upadek morale”⁶.

Z dziennika prowadzonego przez lekarza Hitlera dowiadujemy się, że nalot ów był ogromnym ciosem dla fuhrera. 15 lutego profesor Theo Moreli zanotował, że stan psychiczny jego pacjenta jest „zły”. „Nadto, jak się wydaje, wydarzenia na froncie wschodnim oraz pokłosie nalotów na Drezno spowodowały, że opuściły go wiara i nadzieja”⁷.

Na przeciwnym brzegu Morza Północnego, w Wielkiej Brytanii, brytyjski oficer zapytał przebywającego w niewoli pewnego niemieckiego generała, jakie skutki mogą mieć takie naloty. „Gdyby dziś podpalono Drezno - usłyszał w odpowiedzi - ogólne nastroje mogłyby zapewne wyrazić te oto słowa: «No

I proszę - toż to czysty wandalizm, oni niszczą i burzą nam wszystko, zrzucają bomby na niewinne kobiety i dzieci. Widać, że wszyscy oni nas nienawidzą - to zbrodniarze, co do jednego,

nawet i Anglicy, którzy kryją się pod maską obłudy, a w rzeczywistości to zbrodniczy element, Żydzi» - przy czym nie chodziłoby tu o Żydów jako takich, tylko o ów element zbrodniczy, diaboliczny. Takiej reakcji należy się spodziewać. Oprócz kolosalnych strat, jakie zadaje każdy nalot - wyzwała on głęboką nienawiść”⁸.

Wydaje się, że nie był to pogląd odosobniony. „Pożoga w Dreźnie wytworzyła u ludzi przeświadczenie, że jedynym celem zachodnich aliantów jest likwidacja niemieckiego Yoku” - napisał w swoich wydanych po wojnie pamiętnikach inspektor niemieckich służb pożarniczych. „Po raz ostatni Drezno zjednoczyło Niemców pod sztandarem ze swastyką i rzuciło ich w objęcia propagandy, która, w sposób bardzo wiarygodny, mogła obecnie grać strachem - strachem przed okrutnymi nalotami, przed zaakceptowaniem i wdrożeniem przez aliantów planu Morgenthaua, przed zagładą”⁹.

Ci, którzy przeżyli w Dreźnie pierwszy nalot, uświadomili sobie, że wszystko, co usłyszeli dotąd na temat planu Morgenthaua szybko, bardzo szybko, przybiera realny kształt.

W Dreźnie, przy placu Altmarkt, u stóp pomnika wzniesionego dla upamiętnienia zwycięstwa w wojnie francusko-pruskiej, ustawiono obszerne betonowe zbiorniki wody o powierzchni około 8 metrów kwadratowych. Pod koniec pierwszego nalotu plac ów, który stanowił środek sektora ataku 5. grupy bombowej i tym samym znalazł się w centralnym punkcie obszaru objętego burzą ogniową, szybko wypełnił się ludźmi uchodzącymi z okolicznych budynków. Ich odzież i bagaże zapalały się od snopów

iskier. Kilkaset osób próbowało ocalić życie i zgasić płonące ubrania, wchodząc do tych zbiorników. Ich ścianki wznosiły się zaledwie 75 centymetrów ponad poziom gruntu, ale głębokość zbiorników wynosiła kilka metrów. Pochylone pod kątem ścianki uniemożliwiały ludziom wydostanie się na zewnątrz. Tych, którzy potrafili pływać, wciągały pod wodę osoby pozbawione tej umiejętności. Gdy następnego dnia po południu ekipy ratownicze dotarły do Altmarkt, okazało się, że połowa wody w zbiornikach wyparowała, a wszyscy ludzie, którzy szukali w niej ratunku, zginęli¹⁰.

Burza ogniowa zebrała żniwo. Ludzie ginęli nawet na otwartej przestrzeni; od żaru, z braku tlenu i od zatrucia tlenkiem węgla. Ale również wówczas, gdy ciała ofiar nie tknęły ogniem, identyfikacja zwłok często była niemożliwa. W wielu przypadkach ubranie, w którym mogły znajdować się przedmioty służące identyfikacji, zdarł z ludzi podmuch burzy ogniowej o huraganowej sile.

Dowódca kompanii ciężarówek należącej do drezdeńskiego obwodu organizacji Speera przedostał się wreszcie wraz ze swoimi ludźmi na Lindenau Platz, znajdujący się na południe od Dworca Głównego (tani właśnie usytuowane było jego dowództwo). Ich oczom ukazał się przerażający widok. „Lindenau Platz mierzył około 90 na 135 metrów - napisał ów dowódca - a na środku leżał jakiś staruszek, obok zaś dwa padłe konie. Wokół zalegały pokotem setki rozrzuconych zwłok, wszystkie obnażone. Wiata, pod którą parkowały tramwaje, została spalona, jednak najosobliwsze było to, że wokół niej również leżeli nadzy ludzie. Niedaleko wiaty znajdowała się przenośna toaleta publiczna o skorodowanych stalowych ściankach. U wejścia do niej leżała zupełnie naga kobieta, licząca może 32 lata; spoczywała twarzą do dołu, na futrze; kilka kroków dalej leżał jej dowód osobisty: ze znajdujących się w nim danych wynikało, że kobieta przyjechała z Berlina. Kilka metrów dalej spoczywały zwłoki dwóch przytulonych do siebie chłopców w wieku około 8 i 10 lat. Leżeli twarzą do ziemi i także byli nadzy. Ich zeszywniałe nogi

były wykręcone w taki sposób, że sterczały w powietrzu. Wewnątrz przewróconego słupa Litfassa [słup reklamowy w kształcie walca - *przyp. aut.*] także leżały dwa obnażone trupy. Było nas 20, może 30, ów wstrząsający widok sprawił, że ugięły się nam kolana i ogarnęło nas przerażenie, na próżno staraliśmy się powstrzymać łzy. O ile mogliśmy zorientować się w sytuacji, wyglądało na to, że ludzie zbyt długo przebywali w piwnicach. Gdy wreszcie zostali zmuszeni do opuszczenia tych kryjówek, zaskoczył ich ogromny żar panujący na zewnątrz i bezsprzecznie zginęli z braku tlenu” (W tym wypadku jest jednak mało prawdopodobne, żeby przyczyną śmierci było zatrucie tlenkiem węgla, ponieważ nie wystąpiłoby wspomniane wyżej stężenie pośmiertne zwłok).

Niektóre obszary Drezna ucierpiały tak dotkliwie, że nikt z mieszkańców na pewno nie ocalał. Do takich obszarów należał teren wokół Seidnitzer Platz. Również tam usytuowano stały zbiornik wody o powierzchni około 4,5 metra kwadratowego; jego podstawę stanowiło szkolne boisko. Nie był on tak głęboki jak zbiorniki przy Altmarkt, toteż wiele osób stało w wodzie albo siedziało na krawężniach, czekając na zakończenie nalołów. 100 lub 200 osób wciąż znajdowało się tam, gdzie usiedli lub stanęli nocą, gdy nadlatywały samoloty. Tu i ówdzie w szeregu nieruchomych postaci była luka, ponieważ ktoś przewrócił się i wpadł do zbiornika. Jednak wszyscy siedzący byli martwi. Zginęli również z braku tlenu wysanego przez burzę ogniową.

W narożniku Seidnitzer Strasse i wspomnianego placu znajdował się hotel przeznaczony dla dziewcząt z RAD, obok zaś prowizoryczny szpital dla żołnierzy pozbawionych nóg. Kiedy 13 lutego ogłoszono alarm lotniczy, dziewczęta i kalesy żołnierze oglądali w szpitalnym podziemiu marionetkowe przedstawienie karnawałowe. Dwie członkinie RAD, które przeżyły naloty i uczestniczyły później w akcji ratunkowej, odnalazły zwłoki

blisko 50 pacjentów oraz 2 lekarzy; z pożaru uratowali się tylko dwaj inni lekarze i pielęgniarki. „Nigdy nie przypuszczałam, że w wysokiej temperaturze zwłoki mogą się skurczyć do tak niewielkich rozmiarów - powiedziała dowódczyni jednostki RAD, która wcześniej przeżyła burzę ogniową w Darmstadt. - Nigdy

czegoś takiego nie widziałam, nawet tam"¹².

Usytuowany w Wielkim Ogrodzie budynek restauracji, jak również pięknie zdobione pałace przekształcono w szpitale wojskowe. Placówki te zostały zniszczone w różnym stopniu. Wzdłuż południowego krańca Wielkiego Ogrodu znajdował się, rozrzucony na rozległym obszarze, ogród zoologiczny, mający wiele egzotycznych zwierząt, najslynniejszy w środkowych Niemczech. Wiele ich uciekło z rozbitych bombami klatek. Podczas drugiego nalotu widziano jak po parku niezgrabnie biega poszukująca schronienia żyrafa, a maleńkie rezusy skaczą po gałęziach płonących częściowo drzew¹³. (W Hamburgu w słynnym ogrodzie zoologicznym Hagenbeck zainstalowano specjalne wzmocnienia, żeby podczas nalotów uniemożliwić ucieczkę dzikim zwierzętom. Klatki zaopatrzone w podwójne kraty, a teren ogrodu otoczono rowami i pułapkami). W Dreźnie większość klatek została uszkodzona w stopniu uniemożliwiającym jakiegokolwiek naprawy; aby zapobiec masowym ucieczkom zwierząt, pierwszego dnia po nalotach wezwano wczesnym rankiem oficerów wojsk lądowych, żeby zastrzelili wszystkie pozostałe na miejscu zwierzęta¹⁴.

Ponieważ jeszcze nie odgradzono ulic i nie sforsowano wejść do zburzonych budynków, usunięcie zwłok z parków publicznych było wciąż odległą perspektywą. Nawet 10 dni po nalotach trupy nadal spoczywały pokotem na trawnikach Wielkiego Ogrodu. Pewien Szwajcar zamieszkały w Dreźnie wspominał, jak dwa tygodnie po nalotach wyruszył przez zniszczone miasto, gdyż chciał odwiedzić przyjaciela mieszkającego w Gruna.

Szedł wzdłuż szerokiego bulwaru Stubel Allee, gdzie miał swoją willę gauleiter Martin Mutschmann. Wędrówka była niełatwa, nie tylko dlatego, że przeszkadzały leje po bombach i gruz, ale wszędzie leżały złożone w makabrycznych stertach ciała osób zabitych w nalotach. „Widok był tak wstrząsający, że nie namyślając się długo, postanowiłem nie przedzierać się wśród tych stosów trupów. Dlatego też skierowałem się ku Wielkiemu Ogrodowi. Jednak to, co tam ujrzałem, było jeszcze bardziej wstrząsające: oderwane ręce i nogi, okaleczone korpusy, głowy oderwane od tułowia. Miejscami zwłoki leżały tak grubymi warstwami, że musiałem je odpychać, żeby nie stąpać po sztywnych rękach i nogach. Pałac w Wielkim Ogrodzie, jedna z najwspanialszych drezdeńskich budowli barokowych, był oczywiście spalony”.

Ową przerażającą relację dotyczącą następstw nalotów, z której pochodzi przedstawiony powyżej fragment, opublikowała, poczynając od 22 marca 1945 roku, w trzech kolejnych odcinkach prestiżowa gazeta szwajcarska; jej autor przes/mugłował notatki wyjeżdżając z Niemiec¹⁵. Jednak nie tylko Szwajcarzy doznali wstrząsu. Sześć dni później brytyjskie Foreign Office zwróciło się do Churchilla z prośbą o skomentowanie reakcji światowej opinii publicznej na operacje bombowe prowadzone na tak ogromną skalę.

Następstwa nalotów okazały się tragiczne dla członków RAD. Dziewczęta obowiązane były służyć w niej przez rok, a przez sześć następných miesięcy (na mocy dekretu fuhrera z lipca 1941 roku.) w oddziałach Pomocniczej Służby Wojennej (Kriegshilfsdienst, czyli KHD), pracując w urzędach pocztowych, jako konduktorki autobusów i tramwajów albo w szpitalach¹⁶. Męskie jednostki RAD podlegały drezdeńskiemu Arbeitsgau XV, ale Okręg VII RAD (Drezno) kierował wszystkimi jednostkami pracy kobiet (RAD w. J.) w Saksonii; tam też wielu rodziców kierowało prośby, żeby ich córki mogły służyć przez ostatnie sześć miesięcy w stosunkowo bezpiecznym Dreźnie, nie zaś na bardziej zagrożonych obszarach środkowych oraz zachodnich Niemiec. Według ocen jednej z przywódczyń kobiecych jednostek (Maidenfuhrerin), w trzech nalotach na Drezno zginęło około 850 dziewcząt z Kriegshilfsdienst¹⁷. Ich zwłoki złożono rzędami na König-Johann Strasse, w ten sposób, żeby mogli je rozpoznać krewni i sąsiedzi. Osobno ułożono ciała 12 konduktorek tramwajowych z KHD, młodych umundurowanych dziewcząt; do zwłok jednej z nich przypięto kartkę: „Proszę o przekazanie mi ciała. Chcę sama pochować swoją córkę”¹⁸. Wśród tych, którzy

przeżyli, szerzyły się pogłoski, że ofiary nalotów chowa się pod miastem w prymitywnych masowych grobach.

Jeśli chodzi o działania ratownicze, należy podkreślić, że dziewczęta z RAD i KHD skierowane do tej nieprzyjemnej, często makabrycznej pracy, okazały się równie twarde jak zatrudnieni przy niej żołnierze ukraińscy i robotnicy przymusowi. Bez wahania wchodziły do podziemi i piwnic, nawet w środku nocy - w pierwszych dniach działania ratownicze prowadzono nieprzerwanie przez całą dobę - i wносиły zwłoki na zewnątrz. Wszystkie przeszukiwano: znalezione przy nich papiery osobiste mogły bowiem ułatwić późniejszą identyfikację. Jeśli ustalono ją ponad wszelką wątpliwość, imię i nazwisko denata wypisywano na żółtej kartce opatrzonej numerem identyfikacyjnym; kartkę tę przypinano następnie do zwłok. Dodatkowo dziewczęta odcinały skrawki bluzek i bielizny osobistej niezidentyfikowanych ofiar; fragmenty tych kawałków przymocowywano do zwłok, a pozostałość wkładano do kopert z przedmiotami osobistymi. Niezidentyfikowane ciała oznaczano, w celu uniknięcia pomyłek, czerwonymi kartkami z numerami identyfikacyjnymi.

Dla dziewcząt z RAD najbardziej ponurym obowiązkiem było poddawanie tym procedurom swoich koleżanek i przyjaciółek.

Na przykład w dużym hostelu przy Weisse Gasse - małej uliczce tuż przy Altmarkt - szukało schronienia w podziemiu 90 dziewcząt: wszystkie zginęły. „Dziewczęta siedziały tak, jakby znajdowały się w trakcie rozmowy - wspominała dowód-czyni grupy, która pierwsza dotarła do tego podziemia. Wyglądały tak naturalnie, choć były martwe, że wprost trudno było nam uwierzyć, że nie żyją”. (W wersji wschodniemieckiej opisującej ten epizod akcenty zostały rozłożone inaczej: „Przy Weisse Gasse zginęło wiele dziewcząt, które odbywały służbę, pracując jako konduktorki tramwajowe. Ponieważ uznano, że piwnica nie jest bezpiecznym schronieniem, dziewczęta błagały, żeby zwolniono je do domu albo żeby pozwolono im zejść do bezpieczniejszego podziemia. Kierowniczka hostelu była jednak fanatyczną nazistką, toteż kierując się względami dyscyplinarnymi, nakazała im pozostać w piwnicy, w której wszystkie zginęły od eksplozji bomb burzących, które przebiły sklepienie. Ciężko okaleczone i zmiżdżone zwłoki dziewcząt nie nadawały się do identyfikacji”). „Przenosiłyśmy je wszystkie na górę - kontynuowała fuhrerin grupy ratowniczej - i ładowałyśmy na furmanki. Gdy zwłoki jednej z dziewcząt przerzucano na ciężarówkę, urzędnik zajmujący się odkażaniem zauważył, iż rzekomy trup lekko się poruszył. Dziewczynę zabrano do szpitala, gdzie osiem dni później odzyskała przytomność. Ale pamięć powróciła jej dopiero po następnych ośmiu dniach”.

Wiele osób bezsprzecznie pochowano żywcem. Pewien mężczyzna, który stracił przytomność, gdy w pobliżu miejsca, w którym się schronił, blisko Wielkiego Ogrodu, wybuchła bomba, odzyskał ją w chwili, gdy jego „zwłoki”, nakryte warstwą kilkunastu innych trupów, przewożono furmanką¹⁹.

„Przez pierwsze trzy dni - zanotował jeden z żołnierzy stacjonujących w koszarach w Neustadt, uczestniczący w pracach ratowniczych - szukaliśmy po prostu tych, co przeżyli”. On sam, weteran wielu bitew i potyczek, nigdy wcześniej nie oglądał jednak tego, co zobaczył podczas przeszukiwania podziemi budynków pomiędzy Altmarkt i Placem Pocztowym. „Moja jednostka odnalazła jedynie około 20 żywych osób, które przenieśliśmy na statki zakotwiczone na Łabie. Zauważyliśmy, że ci wszyscy, których zdołaliśmy uratować, leżeli płasko na ziemi, podczas gdy ci, którzy siedzieli albo stali, udusili się”. Przez następne kilka dni jego jednostka wydobyła z piwnic na niewielkim obszarze położonym pomiędzy Altmarkt i Placem Pocztowym ponad 1000 zwłok (głównie z budynków przy Waisenhaus Strasse). „Doprawdy, nie potrafię określić, ile zwłok wydobyliśmy przez trzy tygodnie, gdy uczestniczyłem w tych pracach. A przecież było wiele, wiele podobnych grup z Wehrmachtu oraz innych formacji”²⁰.

W działaniach ratowniczych uczestniczyli również z entuzjazmem alianccy jeńcy wojenni; skonstruowali oni nawet prymitywne urządzenia podsłuchowe z rur gazowych, które wprowadzali z góry, przez warstwy gruzu, do piwnic, nad słuchując szmerów, które wskazywałyby na to, że na dole są żywi ludzie; rury te zapewniały również uwięzionym dopływ świeżego powietrza. Jeńcy pracowali od 12 do 14 godzin na dobę, czyli tak długo jak Niemcy. Jednak kilkadziesiąt razy doszło do scen przemocy, gdy niemieccy cywile wyładowywali swoją wściekłość na bezbronnych więźniach. Nie widzieli nic zdrożnego w tym, że jeńcy wydobywają z ruin ich żywych rodaków, jednak z jakiegoś powodu drażnił ich widok wrogów wydobywających i przenoszących zabitych. Jeńcom zaś było wszystko jedno, czy wydobytą żywych ludzi, czy martwych. Wyciąganie z gruzów trupów było nawet łatwiejszym zajęciem, ponieważ nie wymagało zbyt wielkiej uwagi i ostrożności. Pewien żołnierz brytyjski, weteran

bitwy pod Arnheim, usuwał gruz zalegający wejście do piwnicy, gdy nieoczekiwanie dostrzegł sterczącą rękę. Bezmyślnie szarpnął nią i... wyciągnął samą kończynę. Jakby spod ziemi pojawiła się grupa rozszereżonych Niemców, którzy go pobili.

Mniej więcej 10 dni po nalotach dowódca drużyny jednej z jednostek SHD wezwał Hannsa Yoigta do budynku znajdującego się blisko Pirnaischer Platz, gdzie grupa rumuńskich żołnierzy uporczywie odmawiała zejścia do podziemia. Usunęli wprawdzie gruz ze schodów doń prowadzących, jednak najwyraźniej wewnątrz zaszło coś niezwykłego. Ratownicy z ponurymi obliczami skupili się wokół zejścia, gdy Yoigt, który chciał dać im przykład, sam zszedł na dół, trzymając w dłoni płonąca karbidówkę. Brak zwykłego fetoru rozkładu utwierdził go w przekonaniu, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Jednak dolne stopnie okazały się śliskie. Yoigt ujął tyczkę i wetknął ją w ciemność. Podłogę piwnicy pokrywała półpłynna mieszanina krwi, mięsa ludzkiego i kości. Niewielka bomba burząca przebiła podłogi i stropy czterech pięter budynku, po czym eksplodowała w podziemiu. Yoigt polecił oficerowi SHD włączyć do piwnicy chlorowane wapno i pozostawić wszystko do wyschnięcia. Z rozmowy z dozorcą budynku Hausmeisterem dowiedział się, że na dół zeszło około 200 - 300 osób; podczas poprzednich nalotów było ich również mniej więcej tyle²¹.

Przy Seidnitzer Strasse grupy ratownicze uczestniczyły w równie makabrycznych scenach. Długo nie wytrzymywali tego nawet zahartowani w boju starzy weterani. Dwaj mężczyźni wydobywający zwłoki z podziemi odmówili dalszej pracy. Dowódcy grup wezwali ich do zajęć, oni jednak powtórnie odmówili; wtedy zostali zastrzeleni przez jakiegoś funkcjonariusza partyjnego. Ich zwłoki załadowano na tę samą furmankę, na której leżały rozkładające się trupy ofiar nalotów²².

Szeregi ciał na ulicy wskazywały, że w najbliższym budynku znajdowało się kino albo gospoda, gdzie w karnawałowy wieczór przed nalotem zgromadziły się setki ludzi. Kiedy rozpoczął się pierwszy nalot, seanse w kinach oraz spektakle w teatrach jeszcze trwały, toteż gdy spadły bomby, było w nich uwięzionych wiele tysięcy ludzi. Z podziemi „Augustinus Keller”, ta-werny przy Weisenhaus Strasse, wydobyto około 600 ofiar. „Na całej ulicy piętrzyła się warstwa gruzu, sięgająca pierwszego piętra - zanotował jeden z żołnierzy uczestniczących w przewożeniu zwłok. - Wejście do piwnic było możliwe tylko od strony wychodzącej na Altmarkt”²³. W „Rothe Bar”, blisko Ratusza, odnaleziono 60 ciał, a w „Johanneshof” - 44²⁴.

Yoigt dokonując inspekcji, zobaczył sterty trupów ułożone na torach: podstawa niektórych mierzyła od 10 do 20 metrów kwadratowych, wysokość zaś 3 metry. Ciała żołnierzy, którzy przebywali w mieście przejazdem albo na urlopie, wydobywano z ruin i ładowano na furmanki na pobliskich wyznaczonych do tego celu placach; wszystkie układano warstwami, głowa przy głowie. W dniu, w którym Yoigt dokonywał swojej inspekcji, władze opublikowały pierwszy komunikat o liczbie ofiar śmiertelnych nalotu na tym dworcu - było ich 7-10 tysięcy.

Ci, którzy przeżyli, każdą wolną chwilę przeznaczali na poszukiwanie bliskich. „Kilku moich dobrych przyjaciół mieszkało przy Moritz Strasse - wspominał później pewien drezdeńczyk. - Chciałem sprawdzić, co się z nimi stało. Gdy dotarłem do budynku, w którym mieszkali, zobaczyłem, że przed bramą stoi wypełniona do połowy furmanka. Z piwnic wynoszono na tragach ciała ofiar. Wśród nich były także zwłoki moich przyjaciół; choć znajdowały się w stanie rozkładu, można je było rozpoznać po odzieży. Odór wywołał u mnie mdłości, lecz trzymałem się dzielnie. Ratownicy nieśli tragi i przerzucili zwłoki na furmankę.

Chlup! - ten odgłos usłyszałem, gdy ciała przyjaciół ześlizgnęły się na stos innych. Takie było nasze pożegnanie. Czy może pan sobie wyobrazić, co wtedy czułem?"

Mogło się zdarzyć, że jeden człowiek został mimowolnym świadkiem usuwania szczątków swoich przyjaciół. Jednakże dla tych, których skierowano do wydobywania spod gruzów dziesiątek tysięcy ofiar, przeszukiwania ciał, wciągania ich do rejestrów oraz identyfikowania, wreszcie zaś do wywożenia i grzebania, praca była początkowo obowiązkiem, lecz wkrótce stała się przeżywanym na jawie koszmarem.

Im dalej działania ratownicze przesunęły się w kierunku centrum miasta, tym bardziej beznadziejne wydawało się zadanie rejestracji wszystkich ofiar. Szybkość pracy grup ratowniczych ograniczało choćby zadanie polegające na zdejmowaniu ofiarom obrączek i odcinaniu skrawków ich odzieży, co miało później pomóc w identyfikacji. Ponieważ rosło zagrożenie tyfusem, zaniechano pozostawiania wydobytych z ruin zwłok na wolnym powietrzu w celu ewentualnego sprawdzenia i potwierdzenia tożsamości ofiar; usuwano je natychmiast. Hanns Yoigt, pracujący na przedmieściu Leuben, w ciągu kilku tygodni udoskonalił system rejestracji zwłok, który stał się na tyle prosty, by mógł się nim swobodnie posługiwać jego personel, a jednocześnie był odpowiednio wyczerpujący, co każdemu poszukującemu krewnych dawało szansę uzyskania informacji o ich losie.

19 kwietnia burmistrz Drezna ogłosił, że jego Centralne Biuro Poszukiwania Osób Zaginionych dysponuje najpełniejszym zbiorem danych dotyczących ofiar oraz osób, które przeżyły naloty, dlatego biuro, w którym dotychczas udzielano informacji, prowadzone przez policję kryminalną w gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zostało zamknięte. Policyjna kartoteka informacyjna, depozyty z przedmiotami należącymi do ofiar oraz ich rzeczy osobiste grupy ratownicze miały odtąd przekazywać do Centralnego Biura, stamtąd zaś do Departamentu Umarłych prowadzonego przez Hansa Yoigta.

On sam opracował cztery niezależne systemy gromadzenia i przechowywania dokumentów.

Pierwszy zbiór zawierał kilka tysięcy „kart odzieżowych", do których przyklejano kawałki tkanin o powierzchni 6 centymetrów kwadratowych, stanowiące fragmenty ubrań, jakie miały na sobie niezidentyfikowane osoby, a także zapisywano dane dotyczące miejsca i daty odnalezienia ciała, miejsca jego pochówku oraz numer identyfikacyjny. Karty te, ułożone według ulic i numerów posesji, udostępniano poszukującym w specjalnych segregatorach, które zgromadzono w baraczkę wzniesionym do tego celu w najbardziej oddalonej od biura części ogrodu (ponieważ nadal wydzielaty one woń rozkładu). Umożliwiały wyjaśnienie losu ponad tysiąca zaginionych, wspominał po latach Yoigt. „W chwili ogłoszenia kapitulacji kraju dysponowaliśmy niemal 12 tysiącami kart zawierającymi pełne dane".

Drugi zbiór zawierał karty (zgrupowane także według ulic), na które wprowadzano numery rozmaitych przedmiotów osobistych należących do niezidentyfikowanych ofiar, odnalezionych wewnątrz budynków albo w ich pobliżu. Karty te często umożliwiały przyjaciołom i znajomym identyfikację ofiar.

Trzeci rejestr zawierał alfabetyczny wykaz ciał, których tożsamość ustalono ponad wszelką

wątpliwość, dzięki temu, że przy zwłokach znajdował się dowód osobisty albo inne dokumenty. Według Yoigta rejestr ów był najkrótszy i został ostatecznie zamknięty 29 kwietnia 1945 roku.

Czwarty spis był najbardziej przejmujący - obejmował on obrączki i pierścionki zaręczynowe znajdujące przy zwłokach. Wycinano je z martwych palców w celu identyfikacji: według

niemieckiego zwyczaju inicjały posiadacza grawerowano po ich wewnętrznej stronie. Nie należały oczywiście wyłącznie do kobiet: w Niemczech mężczyźni również nosili obrączki. Yoigt wspomina, że do 6 maja zebrano 10-20 tysięcy pierścionków i obrączek, które zgromadzono w dwóch pojemnikach w budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy Königsufer.

Zdaniem Yoigta, te cztery zbiory danych pozwoliły ustalić tożsamość około 40 tysięcy zabitych. Inżynier należący do obrony cywilnej miasta podał autorowi inną liczbę, niezbyt jednak różniącą się od tamtej. „Oficjalna liczba zidentyfikowanych ofiar wynosiła - do rana 6 maja 1945 roku - 39 773”²⁵.

Podane liczby należałyby uznać za minimalne. Obie przewyższają o około 5000 liczbę zabitych podawaną konsekwentnie w publikacjach dotyczących nalotów na Drezno, wydawanych w latach powojennych w radzieckiej strefie okupacyjnej; jest to doprawdy osobliwy fakt, o którym jeszcze wspomnę później.

Praca Yoigta nigdy nie została zakończona. W następstwie interwencji Berlina działania identyfikacyjne kilkakrotnie wstrzymywano, a nawet z nich rezygnowano. Na początku maja 1945 roku do Drezna przybyło z Berlina komando SS i po zameldowaniu się w biurze YNZ jego dowódca oświadczył, że prace identyfikacyjne prowadzone przez wydział kierowany przez Yoigta hamują grzebanie ciał, co zwiększa niebezpieczeństwo wybuchu epidemii; zażądano więc, by procedury identyfikacyjne przekazano częściowo w gestię zarządów cmentarzy. Nie było to najwłaściwsze rozwiązanie, ponieważ placówkami tymi nie kierowali funkcjonariusze YNZ.

Źródła historyczne podają, że doczesne szczątki 28 746 ofiar nalotów spoczęły na podmiejskim cmentarzu Heidefriedhof, gdzie pomnik wzniesiony ku ich pamięci, ohydny blok marmuru, stoi po dziś dzień. Podana na nim liczba zabitych odpowiada

wyłącznie liczbie głów naliczonej przez ekipy ratownicze. Jednak naczelny grabarz tego cmentarza oświadczył później, co następuje: „Okaleczonych i zwęglonych zwłok, których głowy uległy całkowitemu spaleni lub zostały zmiażdżone, tym bardziej nie zawarto w tym spisie, skoro nie figurują w nim ci, którzy spłonęli żywcem w burzy ogniowej i z których pozostały tylko rozrzucone popioły”²⁶. Na tym cmentarzu spoczywały już zwłoki ofiar niewielkiego nalotu dokonanego przez Amerykanów na Drezno 16 stycznia - im przynajmniej zapewniono godny pochówek, ich ciała złożono do ziemi w trumnach, gdy potrójny cios spadł w lutym na miasto. O tych wcześniejszych ofiarach zapomniano, gdy na cmentarze popłynęła potężna rzeka nowych zwłok. Grabarzom, w większości powołanym do tego zajęcia lotnikom - słuchaczom szkoły obsługi urządzeń radiolokacyjnych oraz pilotażu znajdującej się przy lotnisku Dresden-Kotzsche - polecono chować ofiary bez trumien czy choćby całunów. Spychacze szybko wykopały rowy mające posłużyć jako masowe groby. Początkowo ustalono, że na każde zwłoki powinno przypadać 90 centymetrów gruntu. Gdy jednak przez bramy cmentarne zaczęły wjeżdżać nieprzeliczone kolumny ciężarówek i furmanek, stało się oczywiste, że zbyt hojnie szafowano miejscem. Ponieważ ocalał tylko jeden z 15 karawanów, którymi dysponowały drezdeńskie zakłady pogrzebowe, chłopom oraz rolnikom zamieszkałym wokół Drezna nakazano stawić się do przewożenia zwłok wraz z zaprzęgami konnymi. Jednocześnie na cmentarze przybywały tłumy osób przywożących na wózkach ciała swoich zmarłych, licząc, że otrzymają oni godny pochówek. Stopniowo strumyczek tych osób urósł do rozmiarów strumienia, a potem ogromnej rzeki: zwłoki przywożono ciężarówkami służącymi do transportu węgla i tramwajami; nikomu też nie przeszkadzało to, że trupy owijano starymi gazetami lub w brązowy

papier i przewiązywano szpagatem (żeńskim jednostkom RAD dostarczono zapasy papierowych worków pochodzące z jakiejś cementowni, miano do nich pakować szczątki ludzkie).

Grupy poszukujące zwłok znakowały żółtymi kartkami te, które zdołano zidentyfikować, wszystkie pozostałe zaś - kartkami czerwonymi. Cmentarz podzielono na 4 kwatery. Ofiary zidentyfikowane chowano w masowych grobach wykopanych w kwaterach A i B, wszystkie inne w kwaterach C i D. Ponieważ wzrastało niebezpieczeństwo wybuchu epidemii tyfusu, rosło też zniecierpliwienie funkcjonariuszy SS i policji długimi procedurami identyfikacyjnymi. Wraz z przybyszami przysłano ze stolicy policyjne ciężarówki, którymi zamierzano transportować zwłoki do miejsc pochówku. Oficerowie policji nakazali teraz, żeby do masowego grobu wyrzucano cały ładunek ciężarówka, a osoby wykonujące dalsze czynności pogrzebowe miały poddawać segregacji splątana gęstwę ciał i pojedynczych członków, by wprowadzić jakikolwiek porządek. Wraz z upływem czasu stało się jednak oczywiste, że 90 centymetrów ziemi przypadające na pojedyncze zwłoki to nazbyt wiele, niebawem trupy zaczęto układać w masowych grobach jeden obok drugiego. Gdy z Berlina przybyli funkcjonariusze policji, ponownie zmieniono zalecenia: zwłoki układano warstwami grubości 90 centymetrów. Cmentarz Heidefriedhof o powierzchni kilkunastu kilometrów kwadratowych był wystarczająco rozległy, żeby zapewnić odpowiedni pochówek wszystkim ofiarom. Niebawem jednak przewidywano wzrost temperatury, a miasto było przesycone wonią trupiego rozkładu, co skłoniło władze do podjęcia decyzji, by pomyśleć o bezpieczeństwie żywych.

Tymczasem wojsko odgrodziło Starówkę od reszty miasta zasiekami; ogrodzony obszar miał kształt kwadratu ograniczonego ulicami oddalonymi mniej więcej o trzy przecznice od Altmarkt. Początkowo nikt się nie domyślał, dlaczego wydano taki rozkaz. Wkrótce jednak grupy ratunkowe otrzymały nowe polecenia: zwłoki dotychczas przewożone na miejsce pochówku poza miastem teraz miały być przekazywane do przygotowanego obszaru na Altmarkt. Grzebanie ofiar na cmentarzu Heidefriedhof wymagało bowiem przejazdu długich kolumn furmanek wyładowanych zwłokami przez nadal gęsto zaludniony teren Dresden--Neustadt, który w niewielkim stopniu ucierpiał na skutek nalotów. Władze nie chciały, żeby ludność oglądała ów demoralizujący widok.

Nie wspominałem jeszcze o tym, w jaki sposób postępowano z dziesiątkami tysięcy zwłok wydobywanych z ruin w każdym tygodniu. Identyfikacja ofiar stawała się coraz bardziej chaotyczna. Na niektórych cmentarzach rosły sterty niezidentyfikowanych trupów. Mimo to, pracownicy cmentarni dokonywali prawdziwych cudów - na przykład na cmentarzu Johannis w Dresden-Tolkewitz dowódca jednostki policyjnej zdołał poddać procesowi identyfikacji niemal wszystkie ofiary. Jednakże gdzie indziej przybywało zwłok niezidentyfikowanych, co powodowało komplikacje. Oficerowie SS, którzy w Heidefriedhof zobaczyli stertę tysięcy ciał, nakazali pochowanie ich w zbiorowym grobie bez żadnej identyfikacji. Ciała zepchnięto spychaczem do przygotowanego dołu.

Pierwsze tygodnie marca były chłodne, lecz w połowie miesiąca zaczęło przygrzewać słońce. Ruiny wysychały, jednak jeszcze wiele tygodni później nie zostały otwarte setki przykrytych grubą warstwą gruzu piwnic. Wśród ruin pojawiły się szczury niespotykanej wielkości, na ich sierści białe smugi palonego wapna, którym polewano gruzy zburzonych domów. Żołnierze pracujący do późnych godzin nocnych w oddzielonej od reszty miasta Strefie Śmierci meldowali, że widzieli rezusy, konie,

Drezno. Apokalipsa 1945

a nawet lwa: wszystkie te zwierzęta ukrywały się w zakamarkach ruin, w których mieszkały i znajdowały żer, odkąd dwa miesiące wcześniej ich klatki zostały zniszczone.

Jednak plac Altmarkt był już świadkiem znacznie bardziej przerażających rzeczy, niż oddające się nocnej włóczędze i łowom dzikie zwierzęta.

Ci, co zebrali burzę

Jeżeliby ktoś mniemał, iż po chaosie, jaki zapanował w następstwie zadanego miastu potrójnego ciosu, połączonego z tragedią setek tysięcy ludzi, przywrócono w mieście bodaj częściowo spokój, porządek i dyscyplinę, należy przypomnieć, że nadejście cieplejszej pogody - w niecałe dwa miesiące po nalotach - wprowadziło zamieszanie w działania ratunkowe oraz identyfikacyjne. Realne niebezpieczeństwo wybuchu epidemii tyfusu przyspieszyło pracę ekip ratowniczych.

Ludzie poszukiwali uparcie zaginionych bliskich, po to, żeby oszczędzić im pośmiertnego poniżenia w postaci pochówku w masowym grobie. Gdy już zdołali odnaleźć właściwe zwłoki i oddalali się w poszukiwaniu taczek lub ręcznego wózka, by przewieźć je i pochować w rodzinnym grobie, bardzo często skrupulatne ekipy z SHD zabierały ciało, które potem leżało

- przykryte kilkunastoma innymi trupami w stanie rozkładu
- na podskakującym na wybojach wozie zmierzającym wraz z setkami innych przez Grossenhainer Strasse, ku sosnowym lasom na północy miasta. Po czyjej stronie leżała racja?

Krewnych, pragnących zapewnić godziwy pochówek członkom swoich rodzin, czy też władz, których obowiązkiem było oddalenie niebezpieczeństwa epidemii oraz przyspieszenie procedur identyfikacyjnych na cmentarzach? Wielu z tych, którzy widzieli niekończące się, jadące na północ kolumny furmanek i ciężarówek, na pewno przysięgali sobie w duchu, że nigdy, przenigdy nie pozwolą, żeby ich najbliższych zawożono w ten sposób na miejsce wieczystego spoczynku.

„Przy Markgraf-Heinrich Strasse zaczęli mnie trzej mężczyźni - wspominała jedna z kobiet ewakuowanych z Kolonii, przebywająca wtedy w Dreźnie - na rozpostartym czarnym płaszczu nieśli zwłoki. Jeden z nieznajomych zapytał mnie, co było w zrujnowanym nieopodal budynku? Wyjaśniłam, że szkoła, lecz przed nalotami urządzono tam szpital wojskowy. On powiedział tylko: «Muszę pochować żonę. To miejsce też się chyba do tego nadaje.» Potem widziałam, jak wszyscy trzej kopią płytki grób. Lecz trumny były artykułem nieosiągalnym, a mężczyzna ten wydawał się być spoza Drezna”¹.

Niektórzy, skarżył się udręczony pracą ponad siły Hanns Voigt, nie rozumieli tego, że nie mają prawa do zwłok swoich bliskich. Niekiedy krewni wykopywali je z masowych grobów i przenosili do grobów znajdujących się na tych samych lub innych cmentarzach. To jeszcze bardziej zniekształcało wszelkie obliczenia.

Oto relacja innego drezdeńczyka o podjętych przez jego krewną staraniach, żeby uniemożliwić drużynom ratowniczym zabranie ciał jej rodziców: „Żeby oszczędzić swoim rodzicom pogrzebu w masowym grobie, moja bratowa wywoziła najpierw z miasta na taczce zwłoki ojca, by je pogrzebać; zamierzała potem powrócić po ciało matki. Tymczasem zabrali je ludzie z ekipy ratunkowej. Tak oto zwłoki większości osób, które zaginęły, wywożono szybko i niepostrzeżenie, a w ich świadectwach

zgonu wpisywano, tak jak w wypadku matki mojej bratowej, adnotację: miejsce zgodnu: Drezno, 13 II 1945"².

Często rodzice załamywali się psychicznie, bezskutecznie poszukując dzieci, to dotyczyło również żon poszukujących współmałżonków. Pewna kobieta, która w jedną noc straciła wszystkich najbliższych, przesiadywała później wiele tygodni przed swoim zburzonym domem, wypytyując przechodniów, czy nie widzieli jej dwojga dzieci i męża; opowiadała, że jej ośmioletni synek miał na sobie strój kowbojski, a córeczka przebrana była za Indiankę: rodzeństwo powracało bowiem ze szkolnej zabawy karnawałowej.

Takie były skutki podwójnego ciosu zadanego Dreznu, jeśli rozpatrujemy je w kategoriach ludzkiego cierpienia. Również pod względem liczbowym naloty przyniosły, by tak rzec, nie mniej imponujące rezultaty. Przy założeniu, iż ich celem było doszczętne zniszczenie obszarów mieszkalnych oraz uniemożliwienie niemieckim siłom zbrojnym zakwaterowania żołnierzy w mieście, ponad wszelką wątpliwość okazały się wprost oszałamiającym sukcesem. W tajnej ocenie, sporządzonej przez Brytyjczyków, napisano, że w Dreźnie poważnie zniszczono 23 procent zabudowań przemysłowych, a 56 procent pozostałych budynków zostało ciężko zniszczonych. Według tego dokumentu, 78 tysięcy jednostek mieszkalnych całkowicie zburzono, 27 700 nie nadawało się przejściowo do zamieszkania, a 64 500 było mniej uszkodzonych³. Sir Arthur Harris napisał po latach w swoich wspomnieniach, że: „[...] spustoszony obszar (6,5 kilometra kwadratowego) nie był tak wielki jak w Hamburgu”*. The British Bombing Survey Unit, po przeprowadzeniu analizy zdjęć lotniczych wykonanych po nalocie, ocenił, że zniszczono 6,8 kilometra kwadratowego „zabudowanego obszaru (celu)”.

Jednak w listopadzie 1949 roku miejskie biuro planistyczne Drezna dokonało własnego bilansu strat i zniszczeń, w dokumencie tym napisano, że zostało spustoszone 12 kilometrów kwadratowych obszaru, co stanowiło ponad 75 procent; uznano też, że kolejne 4,2 kilometra kwadratowego, znajdujące się, poza centralną częścią miasta, stanowi ponad 25 procent⁴. Spośród 35 470 budynków mieszkalnych znajdujących się na obszarze Drezna uniknęło zniszczeń jedynie 7 421. Jeśli chodzi o wielorodzinne domy wolno stojące oraz mieszkania, spośród ogółem 220 tysięcy jednostek mieszkalnych uległo zniszczeniu lub nie nadawało się do ponownego zasiedlenia ponad 90 tysięcy. Całkowicie zostało zniszczone 4,7 kilometra kwadratowego powierzchni mieszkalnej, a zniszczenia średniego stopnia objęły powierzchnię 4,5 kilometra kwadratowego. Ujmując rzecz w kategoriach suchych danych, w czym celowali Niemcy urzędnicy oceniający skutki nalotów -jeśli w Monachium na jednego obywatela przypadało 6,5 metra sześciennego gruzu, w Stuttgarcie - 8,5 metra sześciennego, w Berlinie - 16,6 metra sześciennego, w Kolonii zaś - 31,3 metra sześciennego, to na każdego drezdeńczyka, w tym również na osoby poległe w nalocie, przypadało 42,8 metra sześciennego - czyli ponad 11 wypełnionych ciężarówek na głowę⁵.

Raport dowódcy policji dotyczący zniszczeń nadał tym liczbom więcej treści. W połowie marca pułkownik Thierig podał, że 11 916 budynków mieszkalnych (nie „domów”) zostało całkowicie zniszczonych; napisał też w raporcie, że ciężkim, mniej ciężkim oraz lekkim zniszczeniom uległa, ogólnie rzecz biorąc, zbliżona ich liczba⁶. Bomby zniszczyły całkowicie 24 banki i 26 towarzystw ubezpieczeniowych (w centrum miasta wszystkie zostały zburzone), 31 domów towarowych, 647 sklepów, 64 magazyny, 2 hale targowe, 31 dużych hoteli (w tym słynny „Hotel Bellevue”) oraz 26 hosteli. Kristall-Eisfabrik und Kuhlspeicher

przy Magdeburg Strasse, największe chłodnie w Niemczech, zostały poważnie zniszczone. Podobny los spotkał rzeźnię miejską - rzeźnię numer 5, o której tak porywająco pisał Kurt Yonnegut.

Legły w gruzach 62 budynki, w których mieściły się siedziby urzędów i organizacji, w tym siedziba gauleitera NSDAP Saksonii oraz kreisleitera, sądu krajowego i sądu apelacyjnego, starej Szkoły

Technicznej, jak również siedziba Frontu Pracy; w poważnym stopniu został zniszczony gmach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Saksonii, Ratusz i muzeum, dowództwo policji, więzienie oraz budynek nowej Politechniki Drezdeń-skiej. Oprócz słynnego gmachu opery zaprojektowanego przez Gottfrieda Sempera*, spłonęły 3 teatry: Teatr Centralny, gmach Teatru Komedii oraz Teatr Ludowy; Drezdeński Teatr Państwowy oraz słynny na całym świecie cyrk Sarassani zostały poważnie zniszczone. Całkowitemu zniszczeniu uległo też 16 kinote-atrów, 11 kościołów, 6 kaplic, 19 szpitali i klinik, 6 konsulatów (fiński, hiszpański, szwedzki, włoski, duński i węgierski), ogród zoologiczny i 39 szkół (33 inne budynki szkolne zostały poważnie zniszczone).

Bomby zniszczyły też niepowtarzalne zabytki architektury, w tym 3 pałace, dawny Ratusz, Zwinger (w projektowaniu niektórych jego elementów również uczestniczył Gottfried Semper), nową galerię sztuki", 4 muzea i dawny kościół zamkowy, słynną kolekcję zbiorów sztuki Zielone Sklepienie*** oraz perełki architektury projektu Schinkela; spłonęły też Albertinum wraz

ze znajdującym się tam bezcennym zbiorem rzeźb i Wyższa Szkoła Nauk Plastycznych⁷.

Zniszczenia infrastruktury miejskiej wydawały się katastrofalne. Uległo zniszczeniu 500 kilometrów miejskiej kanalizacji; go nalotach pozostało do wypełnienia 1750 lejów po bombach; ze słupów zostały zerwane 92 kilometry tramwajowej sieci trakcyjnej; całkowitemu zniszczeniu uległo 185 wozów tramwajowych (wagony z silnikami oraz doczepne), a 303 doznało zniszczeń w różnym stopniu. (Te ostatnie dane zapewne o czymś świadczą: w chwili nalotu tramwaje były najprawdopodobniej równomiernie rozrzucone na całym obszarze miasta; jednakże w roku 1943, podczas trwającej przez cały tydzień bitwy o Hamburg, zostało zniszczonych 600 wagonów tramwajowych, w Dreźnie podobny los spotkał 488 tylko w jedną noc).

Zniszczenia przemysłowej infrastruktury miasta okazały się mniej poważne. Jak wynika z zeznań przesłuchiwanego po wojnie Speera, usuwanie ich trwało krótko.

Początkowo wydawały się one nieodwracalne, ponieważ z 12 miejskich zakładów świadczących usługi komunalne, tylko 1 uniknął zniszczeń. Uszkodzenia miejskiej sieci elektrycznej, gazowej i wodnej okazały się (jak to wynika z podsumowującego raportu policyjnego) niewielkie, całkowicie zniszczona została 1 elektrownia oraz 2 zbiorniki gazu. Ocalała również stacja pomp znajdująca się w Wielkim Ogrodzie. Dlatego też dysponowano (aż w nadmiarze) niezbędnymi środkami oraz urządzeniami umożliwiającymi zaopatrywanie ludności w energię elektryczną, gaz i wodę. Zniszczeniu uległy natomiast usytuowane pod ziemią ich sieci rozdzielcze⁸.

Do 15 lutego przywrócono dostawy prądu do większej części obszaru Dresden-Neustadt, a szybkie przywrócenie ruchu tramwajowego świadczy o tym, że po tygodniu od nalotów większość przedmieść znów miała elektryczność. Główna stacja transformatorów zasilających trakcję szynową Drezna została jednak uszkodzona, a 73 procent sieci napowietrznej zerwano; ponadto blisko 200 wagonów zostało rozbitych tam, gdzie się akurat znajdowały, w chwili gdy zawyły syreny alarmowe⁹.

Do 19 lutego przywrócono kursowanie tramwajów pomiędzy strefą przemysłową, Weixdorfen i Hellerau, pomiędzy Weissig i mostem Mordgrundbrücken (wkrótce przedłużono tę linię aż do zniszczonego miasta), pomiędzy Mickten i Coswig, pomiędzy Cossebaude i Cotta, oraz pomiędzy Niedersiedlitz i Kreischa. Na Łabie przypadkowe bomby zatopiły 2 parowce, motorówkę, 5 barek, 2 łodzie mieszkalne, 2 pogłębiarki oraz kilkanaście innych jednostek pływających. Ruch tramwajowy na obszarze wewnętrznego miasta, z uwagi na zniszczenie taboru oraz infrastruktury, zastąpiono improwizowaną komunikacją promową, obsługiwaną przez parowce rzeczne, kursujące pomiędzy Pieschen i Laubegast, Blasewitz i Starówką oraz pomiędzy Dreznem, Bad Schandau i Pirną. Kursowanie statków zsynchronizowano z lokalnymi połączeniami tramwajowymi na przedmieściach.

Miejskie tereny przemysłowe zostały niewiele zniszczone w porównaniu z pozostałymi obszarami Drezna; według wspomnianego policyjnego raportu, spośród wielkich zakładów jedynie zakłady optyczne Zeiss-Ikon w Striesen zostały poważnie uszkodzone, tak że ich kierownictwo nie potrafiło określić daty wznowienia produkcji. Zakłady te, usytuowane na terenie ograniczonym ulicami Schandauer Strasse, Kipsdorfer Strasse i Glashiitter Strasse, były oddalone zaledwie o 5 kilometrów na wschód od centrum i znajdowały się na granicy obszaru całkowitego zniszczenia; według dostępnych źródeł, Zeiss-Ikon nie mógł wznowić produkcji do maja 1945 roku.

Żaden z innych zakładów przemysłowych nie został całkowicie zniszczony; 136 doznało poważnych zniszczeń, 28 mniej poważnych, a 35 lekkich. Typowym zakładem należącym do tej

pierwszej kategorii była Saksońska Wytwórnia Serum, w której tymczasowo przerwano produkcję; inne zakłady, informował szef drezdeńskiej policji, mogły osiągnąć 50- albo 100-procentową zdolność produkcyjną w okresie od 3 do 6 tygodni¹⁰.

Na terenie dwóch zakładów Sachsenwerk produkujących komponenty elektroniczne, znajdujących się w Dresden-Niedersedlitz (8 kilometrów na południowy wschód od centrum miasta) oraz w Radeberg (15 kilometrów na północny wschód), nie odnotowano żadnych trafień bombami burzącymi. Na fabrykę w Nie-dersedlitz spadło kilka przypadkowych ładunków zapalających, które ugasiły fabryczne ekipy przeciwpożarowe; jedyne straty, jakie tam powstały, to potłuczone szkło (w tym okienne). Nazajutrz po nalotach do zakładów zgłosiła się niewielka część załogi; początkowo tam również brakowało prądu i gazu. Wśród pracowników zakładów Sachsenwerk było jednak zaskakująco niewiele ofiar. Choć cała dokumentacja fabryczna została zniszczona przed kapitulacją Niemiec, z informacji kierownictwa wiadomo, że spośród 5000 osób tam zatrudnionych w ciągu tygodnia po nalotach zgłosiło się do pracy nie mniej niż 300 osób, które uznano za poległe; na tamtejszym wydziale obrabiarek do pracy stawiała się cała 80-osobowa załoga.

Wyjaśnienie przyczyn tej nadzwyczajnej odporności jest proste. Tylko niewielu robotników zatrudnionych w Niedersedlitz mieszkało w Dreźnie - większość pochodziła z około 80 okalających miasto wiosek i osiedli. Ponadto, choć całkowicie zostały zniszczone drezdeńskie przedmieścia zamieszkałe przez klasę średnią, to obszary robotnicze w Neustadt, Striesen, Lóbtau, Fredrichstadt, Mickten i Pieden uniknęły (w rozmaitym stopniu) zniszczeń.

Fabryka zapalników Goehlewerk przy Grossenhainer Strasse w Dresden-Neustadt, należąca do koncernu Zeiss-Ikon, była jedy-
nym zakładem w mieście, przy którego projektowaniu uwzględniono skutki ewentualnego bombardowania z powietrza, co uchroniło ją, jak można przypuszczać, przed zniszczeniem. Niezmieniony został również obszar przemysłowy usytuowany na terenie dawnego arsenału w Dresden-Neustadt. Wszystkie te zakłady ucierpiały oczywiście od bezpośrednich następstw nalotów: przejściowo nie było dostaw energii, doszło do demoralizacji załogi, miały też miejsce straty w ludziach oraz znaczne uszczuplenie środków transportowych. W żadnym jednak przypadku, wyjąwszy zakłady Zeiss-Ikon w Striessen, zniszczenia materialne nie okazały się decydujące i druzgocące.

Ile osób zginęło w Dreźnie w następstwie burzy ogniowej? Zważywszy na kontrowersje dotyczące ogólnej liczby zabitych, warto przytoczyć tu fragment raportu końcowego z 15 marca 1945 roku sporządzonego przez pułkownika Wolfganga Thieriga:

„Ofiary (stan na 10 III 1945, rankiem): 18 375 zabitych, 2212 ciężko rannych, 12 718 lekko rannych, 350

000 pozbawionych dachu nad głową i długoterminowo ewakuowanych.

Z uwagi na bieżące trudności (opuszczenie miasta przez liczną grupę ludności, przemieszczenie znacznej części rannych poza obszar miasta, zupełne zwęglenie i rozkład zwłok) niemożliwe jest jeszcze dokładne ustalenie, ilu wśród ofiar było mężczyzn, ile zaś kobiet. Skądinąd wiadomo, że największy odsetek wśród ofiar stanowią kobiety i dzieci.

Według informacji uzyskanych od policji kryminalnej, z czasem będzie możliwe zidentyfikowanie około połowy ofiar. Z dotychczasowych ustaleń policji oraz grup ratowniczych wynika również, że większość osób zginęła podczas nalotu w zamkniętych

pomieszczeniach oraz na wolnej przestrzeni bezpośrednio lub pośrednio na skutek działania ognia, lub też została żywcem pogrzebana".

W raporcie napisano także, iż w drugim nocnym nalocie zginęło bardzo wiele osób przebywających na ulicach i w parkach. „Na podstawie wcześniejszych doświadczeń oraz dzięki determinacji służb ratowniczych można określić ogólną liczbę zabitych, w tym cudzoziemców, na około 25 tysięcy. Prawdopodobnie pod gruzami zburzonych domów, zwłaszcza w centrum miasta, znajduje się jeszcze wiele tysięcy osób, do których jednakże w obecnej chwili nie można dotrzeć. Dokładne określenie liczby ofiar śmiertelnych będzie możliwe dopiero wtedy, kiedy prowadzone przez władze policyjne Biuro Osób Zaginionych oraz Biuro Rejestracyjne ustalą, ile osób wcześniej opuściło Drezno. W rejestrach Biura Osób Zaginionych oraz władz miejskich figuruje obecnie około 35 tysięcy nazwisk osób uznanych za zaginione".

Do tamtego dnia naliczono jedynie około 100 zabitych żołnierzy, ponieważ Drezno miało status strefy, w której obowiązywał zakaz ich stałego przebywania".

Mniej więcej wtedy, kiedy Thierig składał swój podpis pod raportem, w miesiąc po nalotach, nakazano wstrzymanie masowych pochówków. Drezdeńska gazeta codzienna opublikowała specjalny dekret prezydenta policji oraz dowódcy obwodu obrony cywilnej: „Szczególne okoliczności narzucają mi konieczność przypomnienia, że wchodzenie na tereny znajdujące się poza wytyczonymi szlakami, już udostępnionymi publiczności, jest surowo zakazane. Każdy zatrzymany na takim terenie, o ile nie przedstawi przekonujących wyjaśnień, dlaczego przekroczył wyznaczone granice, jak również o ile nie potwierdzi swojej tożsamości, będzie traktowany jak rabuś i odpowiednio ukarany, nawet jeśli nie będzie miał przy sobie nic podejrzanego". Patrole wojska, policji i Yolkssturmu zaopatrzone w stosowne instrukcje, czytamy dalej w dekreście; osobom, które pragną kopać w ruinach, żeby odzyskać swoją własność, zalecono, by uprzednio zgłosiły taki zamiar we właściwym posterunku policji, gdzie otrzymają przewodnika.

Kilka tygodni wcześniej władze postanowiły uciec się do środków bardziej elastycznych aniżeli te, które stosowano dotychczas podczas brytyjskiej Strategicznej Ofensywy Bombowej. Podjęto decyzję o wstrzymaniu masowych pochówków w podmiejskich sosnowych lasach niepogrzebanych dotąd ciał oraz tych, które codziennie wydobywano tysiącami spod ruin z powodu groźby wybuchu epidemii, której zarzewiem mogły stać się długie kolumny furmanek wywożące zwłoki w stanie rozkładu.

Obszar wokół Altmark został już wcześniej odgradzony. Krewnych ofiar, którzy poruszali się zamkniętymi ulicami wewnętrznego miasta, zawracali z drogi policjanci oraz funkcjonariusze partyjni. Ekipy z SHD i robotnicy przymusowi przywozili teraz zwłoki do granicy zasieków, gdzie przekazywali je kierowcom wojskowym. Pojazdy zmierzały do centrum Altmarkt, a tam makabryczny ładunek wyrzucano

wprost na bruk.

Na tym ogrodzonym obszarze pracowali oficerowie, którzy złożyli wcześniej przysięgę, że nie zdradzą nikomu, czym się zajmowali; podejmowali oni ostatnie próby identyfikacji ofiar. Z ruin domu towarowego Renner przy Altmarkt wydobyto stalowe dźwigary, które ustawiono na ułożonych prowizorycznie stertach bloków piaskowca. Powstało w ten sposób gigantyczne palenisko o szerokości 7,5 metra. Pod dźwigary i stalowe pręty

zbrojeniowe wpychano wiązki drzewa i słomy. Na palenisku układano zwłoki w partiach po 400 - 500 sztuk, przekładając każdą warstwę dodatkowymi wiązkami słomy. Żołnierze ugniatali nogami tę gnijącą stertę, wyprostowując zwłoki i tworząc wolne miejsce dla kolejnych; z najwyższą starannością budowali wysoki „stóg”. Wiele zwłok dzieci, które wniesiono na te straszliwe stosy, miało na sobie kolorowe karnawałowe ubranka, które radośnie i ochoczo wkładały dwa tygodnie wcześniej.

Na koniec stosy oblewano obficie benzyną, choć była ona w całej Rzeszy artykułem deficytowym. Wyższy oficer nakazywał opuścić plac wszystkim zbędnym osobom i podpalał stos. Kłęby gęstego czarnego dymu raz jeszcze wznosiły się z Altmarkt ku niebu, tak jak dwa tygodnie wcześniej i jak w roku 1349. Historia przekazuje nam bowiem, że niemal 600 lat wcześniej Fryderyk II, margrabia Miśni, rozkazał spalić na ustawionym na Altmarkt stosie swoich nieprzyjaciół. Byli to Żydzi, oskarżeni o rozsiewanie Czarnej Śmierci. Okrutnym zarządzeniem losu spalono ich wtedy również w Ostatki.

Późnym wieczorem podobny „ruszt” wzniesiono w innej części rynku. Funkcjonariusze partyjni pilnowali, żeby skrzętnie zbierano popioły oraz zwęglone kości i przewożono je na cmentarz w celu pochowania.

Pomimo starań, żeby utrzymać w tajemnicy dalszy los ofiar wchłoniętych przez leżącą w gruzach pustynną czelusć wewnętrznego miasta, informacje o płonących stosach szybko się rozeszły wśród tych, którzy przeżyli. Kilku mieszkańców, zapewne ryzykując życiem, przedostało się na Altmarkt, żeby sprawdzić, czy pogłoski są prawdziwe. 25 lutego Walter Hahn, foto-graf-weteran, któremu życie zeszło na uwiecznianiu na błonach filmowych „Florencji nad Elbą” oraz otaczających ją okolic, otrzymał oficjalną przepustkę, podpisaną przez gauleitera, i na czarno-białych oraz kolorowych filmach wykonał

kilkadziesiąt zdjęć infernalnych scen: fotografie te zadały później kłam oskarżeniom, jakoby masowe stosy pogrzebowe były wymysłem propagandy doktora Goebbelsa¹².

Popioły tysięcy ofiar przewieziono na cmentarz Heidefriedhof kilkunastoma małymi furmankami oraz dziesięcioma dużymi ciężarówkami. Pochowano je w dole o wymiarach 7,5 na 5 metrów. Oto fragment raportu pułkownika Thieriga, w którym potwierdza on liczbę zwłok spalonych do tamtego dnia:

„Z uwagi na szybki rozkład zwłok oraz wyjątkowe trudności z wydobywaniem ich z ruin, jak również na brak odpowiedniego taboru służącego do przewożenia ich na cmentarze, za zgodą gauleitera [Martina Mutschmanna] oraz władz miejskich skierowano na Altmarkt ogółem 68 650 ciał. Popioły przewieziono na cmentarz. Dowódca lokalnych struktur obrony cywilnej uratował też i zgromadził pozbawione właścicieli bagaże osobiste oraz podrózne należące do ofiar nalotów”¹³.

W Niemczech nie po raz pierwszy rozważano kwestię kremowania zwłok ofiar nalotów na placach publicznych w celu przyspieszenia działań ratowniczych. W raporcie prezydenta hamburskiej policji, dotyczącym powstawania, przebiegu oraz następstw burzy ogniowej, napisano między innymi: „w celu zapobieżenia epidemii oraz z powodów mających związek z morale ludności, postanowiono spalić zwłoki ofiar w miejscach ich odnalezienia albo na obszarze dotkniętym burzą ogniową. Jednakże po należytych rozważeniach tej kwestii uznano, że nie ma ryzyka wybuchu epidemii, toteż wznowiono chowanie zwłok we wspólnych grobach”¹⁴.

Naloty na Berlin, na miasta Zagłębia Ruhry oraz na inne ośrodki przemysłowe Niemiec nazistowscy przywódcy gotowi byli uznać za konieczny i nieunikniony element wojny. Jednakże

„barbarzyńcy”, którzy zbombardowali Drezno, co przyniosło tak tragiczne następstwa, narazili się na najgorsze inwektywy ze strony NSDAP. Hermann Göring, pocierając oczy, powiedział przesłuchującym go po wojnie oficerom: „To było przerażające. Mieszkańcy Drezna nie wierzyli, że możecie zbombardować ich miasto, ponieważ jest ono zbyt znane na świecie jako zabytek i centrum kultury”¹⁵.

Doktor Goebbels spotkał się z Hitlerem nazajutrz po nalotach, 14 lutego o 19.15. Minister propagandy domagał się nawet, żeby fuhrer postawił Göringa przed Trybunałem Ludowym za karygodne zaniedbanie obowiązków, lecz Hitler, który wciąż miał słabość do swojego dowódcy lotnictwa, z trudem odmówił. 17 lutego Goebbels zaproponował, żeby Niemcy wypowiedziały oficjalnie konwencję genewską (której notabene nigdy nie podpisał Związek Radziecki). Dlaczego argumentował - lotnicy Churchilla i Roosevelta mają pozostawać w przeświadczeniu, że nic im nie grozi za mordowanie, masakrowanie i podpalanie? Powinno się dokonywać egzekucji jeńców alianckich, po jednym za każdą śmiertelną ofiarę nalotów¹⁶.

Początkowo fuhrer zaakceptował ten plan¹⁷, jednak udało się zapobiec wprowadzeniu go w życie. Hitler przyznał się później Goebbelsowi, że odwiedli go od tego Himmler, Keitel i Bormann¹⁸. Hans Fritzsche, główny radiowy propagandysta Goebbelsa, powiedział, że Hitler postanowił *zładzić* 40 tysięcy jeńców alianckich w odwecie za zbombardowanie Drezna - co jednoznacznie wskazuje, jaką liczbę ofiar podano fuhrerowi, skoro chciał zabijać jednego jeńca za każdą ofiarę nalotów¹⁹. Baron von Steengracht, według którego to Ribbentrop powstrzymał Hitlera, podał jeszcze wyższą liczbę: „[...] Ribbentrop nie dopuścił do zamordowania na rozkaz Hitlera 80 tysięcy amerykańskich jeńców wojennych. Po zbombardowaniu Drezna Goebbels udał się do Hitlera i oświadczył mu: «Odtąd za jednego zabitego Niemca musi zostać zabity jeden Amerykanin»”. Steengracht poinformował Ribbentropa o tej rozmowie, a minister spraw zagranicznych powiedział: „Po moim trupie”, po czym natychmiast spotkał się z Hitlerem²⁰.

Zniszczenie Drezna pozostało dla doktora Goebbelsa już tylko instrumentem propagandowym. „To dzieło szaleńców - napisał - to dzieło jednego szaleńca, który dobrze wie, że sam nie potrafi wznosić potężnych świątyń, toteż pragnie za wszelką cenę pokazać światu, że wie przynajmniej, jak je niszczyć. Czy jego bezsensowne chuligaństwo, wymierzone przeciw niepowtarzalnym skarbowi cywilizacji europejskiej, można wyjaśnić czymś innym, jak tylko kompleksem niższości, właściwym osobnikowi będącemu przywódcą narodu, który nie wydał ani jednego wielkiego architekta, ani jednego *rzeźbiarza* obdarzonego potężną mocą twórczą i wizją, lecz tylko artystów zajmujących w najlepszym wypadku jedynie poślednią pozycję w królestwie sztuki europejskiej? Osobnik ów może teraz przypisać sobie niechlubną zasługę rozmyślnego i mściwego zniszczenia w kilku ostatnich latach wojny większej liczby skarbów kultury, niż jego ojczyzna wydała w całej swojej historii. Tej zbrodni nie wymaże nawet następne tysiąc lat. Dopiero wtedy, kiedy już opadnie popiół i gruz tej wojny, dopiero gdy czas złagodzi cierpienia i nieszczęścia, gdy pewnego dnia narody *sine ira et studio* sporządzą bilans tej wojny - dopiero wtedy ludzie dojrzą w całej jaskrawości nikczemność oraz przewrotność tego ohydnych dzieła podpalenia świata i pojmą podłość oraz małość umysłów jego autorów”²¹.

Naloty na Drezno skłoniły doktora Goebbelsa do radykalnej zmiany w taktyce propagandowej. Poprzednio szalenie zamykał on każde dotknięte bombardowaniem miasto, aby zapobiec przedostaniu się do publicznej wiadomości szczegółów, które mogłyby osłabić morale narodu. W jednym ze swoich szeroko

relacjonowanych komentarzy stwierdził, że „gdyby nie istniało coś takiego jak telefony i listy, otoczyłby

murem Zagłębie Ruhry i jego zbombardowane miasta". (Na początku lat czterdziestych pragnienie to znalazło swój wyraz w polityce rządu brytyjskiego, kiedy premier zwrócił się do wydawców gazet, żeby złagodzili relacje dotyczące przerażających i makabrycznych scen z nalotów bombowych, eksponując za to ludzki wymiar bohaterstwa ratowników). Podobnie jak alianci, którzy szybko docenili wartość propagandową okrutnych nalotów Luftwaffe, również doktor Goebbels zaczął uświadamiać sobie, jakie profity propagandowe można czerpać z alianckiej ofensywy. Po zbombardowaniu Coventry prasie brytyjskiej pozwolono publikować relacje dotyczące masakry dokonanej w centrum miasta; w tym samym roku wielki rozgłos w środkach przekazu nadano (całkowicie niezgodnemu z prawdą) oświadczeniu holenderskiego rządu emigracyjnego, iż w nalocie na Rotterdam w maju 1940 roku „zginęło okrutną śmiercią 30 tysięcy cywilów" (w rzeczywistości poniżej 900). Społeczeństwa państw sprzymierzonych zapalały słusznym oburzeniem na to nazistowskie *Schrecklichkeit*; ich żądze odwetu zaspokoiła dopiero informacja, że siły lotnicze RAF i US Army dokonują nalotów na porównywalną skalę. Ello Quandt, szwagierka doktora Josepha Goebbelsa, podobnie jak Angela Hammitzsch, przyrodnia siostra Hitlera, w nocy, w której dokonano nalotów na Drezno, przebywała na dalekich peryferiach miasta, dysponowała zatem informacjami z pierwszej ręki dotyczącymi tej tragedii. Hitler ponad wszelką wątpliwość otrzymał od Angeli list zawierający obrazowy opis tego horroru. Kilka dni później dziennik „Das Reich", na pewno za zgodą Goebbelsa, opublikował relację, która nie pozostawia wiele domysłów czytelników; tekst o podobnym charakterze nie mógłby się żadną miarą ukazać w roku 1940 czy też 1941. „Dziesiątki tysięcy ludzi, którzy mieszkali i pracowali w cieniu

wież tego zabytkowego miasta, zostało pochowanych w masowych grobach, przy czym było niemożliwe przeprowadzenie bodaj prób identyfikacji zwłok. Wiele osób - czytamy dalej w artykule - zginęło szybką śmiercią od uduszenia, ponieważ burze ogniowe wysysały tlen; w mieście przebywało tamtej nocy około miliona ludzi, w tym kilkaset tysięcy uchodźców oraz ewakuowanych, ponadto 600 tysięcy stałych mieszkańców". Autor tekstu po dosyć szczegółowym opisie przebiegu czterech nalotów dodał, co następuje: „Były to cztery akty wykalkulowanego na zimno planu mord i zniszczenia". Dalej napisano, że centrum miasta zostało doszczętnie zniszczone - nie ocalał tam ani jeden budynek, ani jeden żywy człowiek; obecnie w centrum można spotkać jedynie osoby poszukujące zabitych lub zaginionych²².

W końcu marca Magda Goebbels pojechała do Drezna²³. Odwiedziła tam swoją szwagierkę i przyjaciółkę od serca Ello Quandt, przebywającą w sanatorium na Weisser Hirsch. „Uratują nas nowe bronie" - próbowała dodać szwagierce otuchy. Lecz w chwilę później westchnęła: „Nie, kochanie, opowiadam ci bzdury. Nie ma żadnych broni. Upadek Niemiec jest kwestią tygodni"²⁴. Kilka dni po powrocie Magdy do Berlina Goebbels rozpoczął sprytnie pomyślaną kampanię „szepetaną", która miała popchnąć naród niemiecki do stawienia po raz ostatni zażartego, wywołanego strachem oporu najeźdźcom. Jak się wydaje, nakazał w tym celu - choć jak dotychczas nie ma na to dowodu - rozsiewanie pogłosek o liczbie osób poległych w Dreźnie, niesłuchanie przewyższającej rzeczywistość.

Należy wszelako opisać pokrótce atmosferę panującą wtedy w stolicy Rzeszy. Doktor Goebbels, jako minister propagandy, miał zwyczaj urządzać codziennie o 11.00 naradę ministerialną, podczas której ustalano strategię propagandową. 25 marca wyrażał się szczególnie nieprzychylnie o szefie prasowym Rzeszy

doktorze Ottonie Dietrichu, który cenzurował relacje o okrucieństwach popełnianych przez aliantów, które należało wykorzystać jako oraz propagandowy wymierzony przeciw nim. Ten fakt bardzo go zdenerwował. „Często wydaje mi się, że mam do czynienia z debilami" - oświadczył swoim współpracownikom. „Anglicy zdołali osiągnąć to, że świat gładko przelknął bajeczkę, jakobyśmy w Belgii, na oczach całego świata, odcinali rączki dzieciom. A my mamy ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach, którzy, powodowani jakimś fałszywym wstydem, nie chcą dopuścić do publikacji udowodnionego

niezbicie faktu, ponieważ wydaje im się, że takie mrozące krew w żyłach relacje mogą obniżyć w opinii światowej **naszą** wiarygodność".

„Naprawdę dochodzę do przekonania, że w naszym systemie propagandowym brakuje pierwiastka żydowskiego. Żydzi potrafią zrobić z byle muchy słonia, podczas gdy my zadajemy sobie wiele trudu, żeby udawać, że słonie, które miażdżą naszych ludzi na wschodzie i na zachodzie, to nieszkodliwe maleńkie owady. Gdzie jest, pytam, niemiecki Ilia Erenburg, który potrafiłby wprowadzić naród niemiecki w paroksyzm fanatycznego nacjonalizmu? Takiego Erenburga nie mamy. Ale za to mamy «szefa prasowego Rzeszy». No cóż, teraz sytuacja się zmienia".

Tego dnia wieczorem Hitler zwolnił Dietricha ze stanowiska, a Goebbels rozpoczął swoje propagandowe machinacje. Po latach we wschodnich i zachodnich Niemczech pojawił się jed-nostronicowy dokument nieznanego pochodzenia, napisana na maszynie kopia rzekomego wyciągu z raportu szefa policji, dotyczącego nalotów na Drezno. Dokument ów był datowany: „23 marca 1945", miał też nagłówek „Rozkaz dzienny nr 47"²⁵. Najprawdopodobniej wyciąg przeznaczony był dla tych berlińskich urzędników, co do których niedyskrecji istniała niezachwiana pewność. Dokument, odnaleziony nie tak dawno (1995 r.) w wersji oryginalnej, niemający żadnych uwierzytelniających go pieczęci oraz podpisów, określa liczbę zabitych w Dreźnie na 202 040. „W celu ukrócenia nieuzasadnionych pogłosek, sporządzono niniejszym krótki wyciąg z końcowego raportu szefa policji w Dreźnie, dotyczącego czterech nalotów przeprowadzonych na to miasto w dniach 13, 14 i 15 lutego 1945 roku.". W zakończeniu dokumentu czytamy następujące słowa: „Do wieczora 20 marca 1945 roku wydobyto 202 040 zabitych, głównie kobiety i dzieci. Należy uznać za pewnik, że całkowita ich liczba osiągnie 250 tysięcy. Zdołano zidentyfikować jedynie około 30 procent poległych. Policja ochronna w Dreźnie (Schutzpolizei) straciła 73 funkcjonariuszy, a 276 zaginęło i należy uznać, że w większości również poległi. Ponieważ wydobywanie i przewożenie na cmentarze zwłok w celu ich pochowania nie mogło być przeprowadzane odpowiednio szybko, poddano kremacji 68 650 zwłok, a popioły pochowano na cmentarzu. Ponieważ pogłoski nadzwyczaj zdeformowały prawdziwy obraz rzeczywistości, podane powyżej liczby przekazuje się do publicznej wiadomości. Ogólna liczba ofiar oraz zniszczenia są bardzo poważne"²⁶. Dokument ten pojawił się dopiero po wojnie. Zapewne można by go zlekceważyć jako prymitywne fałszerstwo, przypominające słynny „Ostatni list Göringa do pana Churchilla", gdyby nie to, że - pomijając pewną drobną nieścisłość, jeśli chodzi o straty w ludziach poniesione przez drezdeńską policję - wszystkie inne figurujące w nim liczby odpowiadają dokładnie liczbom podanym przez pułkownika Thieriga w jego tajnym raporcie z 15 marca 1945 roku, raporcie przedstawionym w 1965 roku przez wschodnioniemieckie władze komunistyczne. Chodzi o czas rozpoczęcia i zakończenia nalotów, szacunki policyjne odnoszące się do liczby zrzuconych na miasto bomb burzących oraz zapalających, dokładną liczbę zniszczonych lub uszkodzonych banków, hoteli itd. Wniosek jest prosty: ktokolwiek sporządził ów „Rozkaz dzienny" Grossego, miał przed sobą na

biurku oryginalny dokument Thieriga. Omawiany dokument był, jak już powiedziano, „wyciągiem". Nie ma żadnych poszlak świadczących o tym, że w dokumencie Thieriga dokonano jakichś manipulacji; jego prawdziwość ponadto potwierdzają akta pochodzące z archiwum Ministerstwa Finansów w Niemczech Zachodnich²⁷.

Kim był pułkownik Grosse, który wydał ów „Rozkaz dzienny"? Pułkownik Gerhard Gustav Hermann Grosse był niewysokim, noszącym się z junkierską, wąsatym szefem sztabu drezdeńskiego (dowódcą policji porządkowej) Befehlshaber der Ordnungspolizei. Człowiekiem głęboko religijnym; nie należał do SS, nazajutrz po brytyjskich nalotach przypadały jego 53. urodziny. Wojna osobiście go doświadczyła: pierwszy syn Reinhold zginął w lipcu 1944 roku na froncie wschodnim, a drugi, czteroletni, został zabity kilka tygodni po nalotach na Drezno, kiedy samoloty radzieckie ostrzelały konwój samochodów sztabo-

wych, ewakuujący się z miasta w ostatnim dniu wojny. Eva, wytworna i wyedukowana żona Grossego, wspominała, że mąż codziennie mówił jej o rosnącej liczbie osób zabitych. 20 lat później twierdziła, że - według jego słów - przybywało ich „około 10 tysięcy dziennie”. Mąż powiedział jej, że ostateczna liczba może sięgnąć ponad ćwierć miliona - powtarzał to wielokrotnie, dlatego słowa te trwale zapadły jej w pamięć. Obowiązkiem Grossego było sporządzenie tego ogólnego raportu: generał Karl Mehnert, dowódca garnizonu drezdeńskiego, raczej nie zajmował się podobnymi kwestiami²⁸.

Jakie było źródło raportu Grossego? Najbardziej prawdopodobna wydaje się wersja, że opracowało go od podstaw lub też adaptowało niemieckie Ministerstwo Propagandy, choć ani wtedy, ani później nie wykorzystano otwarcie w celach propagandowych zawartych w nim liczb. Format dokumentu rozpowszechnianego „w celu ukrócenia nieuzasadnionych pogłosek”

odpowiada formatowi okólników propagandowych wydawanych po wcześniejszych katastrofalnych nalotach - na przykład na Hamburg w 1943 roku. Jednakże nawet to niekoniecznie oznacza, że liczby podane w „Rozkazy dziennym” zostały celowo wyolbrzymione: liczba podana w raporcie Ministerstwa Propagandy opublikowanym po nalocie na Hamburg wynosiła 18 400 i była znacznie mniejsza, niż podawana później ostateczna liczba poległych²⁹.

6 maja Hanns Voigt został wezwany do dowództwa policji kryminalnej mieszczącego się w budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Saksonii; polecono mu przejąć zgromadzone depozyty złożone z przedmiotów wartościowych oraz wiadra wypełnione obrączkami i pierścienkami. Wysocy urzędnicy nazistowscy miasta najwyraźniej zacierali ślady przed ucieczką na zachód. Z całego miasta zebrano 7, 8 dużych wiader wypełnionych obrączkami, w większości złotymi. Voigt odmówił przyjęcia odpowiedzialności za te przedmioty o wartości, nawet wtedy, ponad miliona funtów. Gdy dwa dni później, 8 maja, Rosjanie wkroczyli do miasta, wciąż pozostawały one na prawym brzegu rzeki. Profesor Fetscher, lokalny przywódca komunistyczny, wyszedł na most, żeby przywitać „wyzwoliciele”, powiewając białą flagą; w chwilę później padł od serii pocisków wystrzelonych z broni maszynowej przez nadchodzących Rosjan³⁰. Był to ostatni dzień wojny. Całkowite zniszczenie Drezna nie zakończyło się nawet jeden dzień wcześniej.

Do budynków ministerstwa wprowadzili się urzędnicy Armii Czerwonej i wszystkie kosztowności, w tym także obrączki, zostały skonfiskowane, a następnie bez zbędnych ceregieli wysłane jako łup wojenny do Związku Radzieckiego. Rosjanie splądrowali też bezcenne kolekcje malarstwa, ich zdobyczą stał się między innymi wizerunek Madonny Sykstyńskiej, który przetrwał wojnę ukryty w tunelu kolejowym. Ponad 300 urzędników VNZ

zatrudnionych w Dresden-Laubegast zmuszono do opuszczenia swoich biur, przerwane więc zostały procedury identyfikacyjne. Yoigtowi polecono przenieść swój urząd wraz z rejestrami do nowej siedziby w Ratuszu w Dresden-Leuben. Nieuchronnie zakończyły się wszelkie prace rejestrowania nowo odnalezionych ofiar, a Yoigt i jego personel miał zająć się opracowywaniem około 90 tysięcy kart, które zgromadził w ciągu kilku miesięcy po nalotach, z przeznaczeniem dla zidentyfikowanych i niezidentyfikowanych ofiar.

Tymczasem było biuro Departamentu Umarłych w Laubegast przejęła Armia Czerwona; żołnierze radzieccy, wykazując charakterystyczną dla nich pogardę dla porządku, urządzili chlew dla stadka ukradzionych świń w szopie, w której zgromadzono kartki z fragmentami odzieży (dające ostatnią nadzieję na zidentyfikowanie około 11 tysięcy ofiar). Kilka dni później Yoigt dowiedział się, że kartki spalono, ponieważ wydzielają ohydny woń. Rosjanie przetrząsnęli segregatory oraz szafy na dokumenty i zniszczyli rejestry w poszukiwaniu kosztowności, a wśród wyrzuconych na podłogę teczek zawierających karty indeksowe i karty rejestracyjne urządzili sobie latrynę. Łączność z siedmioma obwodami została przerwana. W tej sytuacji Yoigt 11 maja rozwiązał swój Departament Umarłych drezdeńskiego Biura Osób Zaginionych. Władze radzieckie, wierne swojej tezie, że lotnictwo alianckie nie jest skutecznym

narzędziem wojny, zakwestionowały podaną im przez Yoigta liczbę ofiar nalotów. Yoigt oszacował ją na 135 tysięcy - według jego słów, Rosjanie „po prostu odrzucili pierwszą cyfrę”, otrzymując w ten sposób liczbę 35 tysięcy poległych.

Walter Weidauer, powojenny komunistyczny burmistrz Drezna, podał mniejszą liczbę w swojej autorytatywnej książce poświęconej nalotom³¹. Polemizował z Hannsem Yoigtem, stosując styl i technikę, w jakich celowali komuniści. Yoigt, który

mieszkał wtedy i pracował jako nauczyciel w Niemczech Zachodnich, przeklinał dzień, w którym dał się wciągnąć w tę dyskusję³². Liczbę podaną przez Weidauera przyjął także rząd zachodnio-niemiecki (zamiast 60 tysięcy, którą to przybliżoną liczbę ustalił jego własny Federalny Urząd Statystyczny), przywołując ją konsekwentnie w urzędowych publikacjach po zjednoczeniu Niemiec w 1990 roku³³. Rząd niemiecki skłonił też władze miejskie Drezna do zaprzestania organizowania uroczystości żałobnych.

Liczba osób, które zginęły w Dreźnie w następstwie nalotów, stanowi od zakończenia wojny przedmiot polemik i dyskusji, książka ta byłaby więc niepełna, gdybym jako jej autor nie podjął przynajmniej próby jak najściślejszego jej ustalenia. Gdy alianci przeprowadzili naloty, oprócz 650 tysięcy stałych mieszkańców miasta w czasie pokoju znajdowało się tam dodatkowo zapewne 300 tysięcy lub 400 tysięcy (a może nawet więcej) uchodźców ze wschodu. Według informacji prasowej, która ukazała się w Niemczech 17 lutego, w nocy, w której dokonano nalotów, znajdowało się w Dreźnie 2,5 miliona osób; liczba ta wydaje się jednak przesadzona.

Jak wspominałem w jednym z poprzednich rozdziałów, pasażerowie ostatniego pociągu z uchodźcami, jaki przybył do Drezna ze wschodnich obszarów Niemiec w ramach ewakuacji tamtych terenów, zostali zakwaterowani w mieście w przeddzień pierwszego nalotu. Wyjazd pierwszego pociągu z uchodźcami na zachód planowano dopiero za kilka dni. Dlatego tamtej pamiętnej nocy przebywała w Dreźnie tak duża liczba ludności. Miasto nie miało sieci schronów, po pierwszym nalocie przestały działać syreny alarmowe, nie istniała obrona przeciwlotnicza; ponadto nigdy wcześniej nie doświadczone tam nalotów bombowych na tak ogromną skalę. Wszystko to, w połączeniu

z najbardziej gwałtowną burzą ogniową w dotychczasowych dziejach wojen, musiało nieuchronnie zaowocować znacznie większymi stratami w ludziach aniżeli w Hamburgu.

W centrum obszaru Hamburga dotkniętego burzą ogniową w nalotach przeprowadzonych w roku 1943 zginęła co trzecia osoba. W tamtejszej dzielnicy Hammerbrook w następstwie burzy ogniowej zginęło 361 osób na tysiąc. Pod koniec lutego 1945 roku w burzy ogniowej wywołanej nalotami brytyjskimi również zginęła co trzecia osoba, ogółem około 20 tysięcy ludzi. Jeśli w Hamburgu, mieście, w którym dysponowano najbardziej rozbudowanym systemem zabezpieczeń, śmierć *zebrała* tak wielkie żniwo, można przypuszczać, że i w potrójnych nalotach na Drezno proporcje były co najmniej podobne. Należy przy tym nadmienić, że w Hamburgu naloty dzielił okres ponad tydzień, w czasie którego służby alarmowe były w pełnej gotowości, tutaj natomiast spadły niczym piorun na zaskoczone miasto w czasie 14 godzin. W Hamburgu ci, którzy mogli najszybciej stracić zimną krew, przeszkadzając w akcji strażakom lub ulegając panice - co mogłoby narazić na śmierć jeszcze większą liczbę osób - zostali na długo wcześniej ewakuowani. Tymczasem takie właśnie osoby, ewakuowane z innych niemieckich miast, znalazły się w Dreźnie w nadmiarze.

Podobnie jak w Hamburgu, burza ogniowa w Dreźnie objęła najgęściej zaludnioną część miasta; spośród 28 410 domów znajdujących się w jego centrum (Dresden IV, w tym dzielnice 1, 2, 5 i 6), jak wykazała ekspertyza przeprowadzona w listopadzie 1945 roku, 24 866 uległo całkowitemu zniszczeniu.

Pewien obywatel Drezna, powracający po nalotach do miasta, dowiedział się w biurze VNZ, że z 864 mieszkańców domów usytuowanych przy Seidnitzer Strasse i figurujących w chwili nalotu w policyjnych rejestrach, według posiadanych danych, przeżyło tylko 8. Drezdeńczyków, gdy dotarł do swojego domu przy Seidnitzer

Strasse 22, dowiedział się, że spośród 28 lokatorów ocalał tylko 1. Powyższe dwa przykłady świadczą najdobitniej, jak miazdząco skuteczne okazały się naloty na Drezno.

Natychmiast po nalocie, jak to zwykle bywało, nasiliła się tendencja - w tym wypadku podsycana przez doktora Goebbelsa - do przesadnego wyolbrzymiania liczby ofiar. Podczas gdy oficjalne źródła w Berlinie podały, że w Dreźnie zginęło od 180 tysięcy do 220 tysięcy osób, to urzędnicy Ministerstwa Propagandy podawali liczbę 200 - 300 tysięcy. Kilka dni później urząd zajmujący się udzielaniem pomocy miastom dotkniętym nalotami bombowymi już z większą rezerwą obwieścił, że „straty wyniosły od 120 tysięcy do 150 tysięcy osób”³⁴. Liczba ta, podana wkrótce po nalotach, była zbliżona do szacunkowej oceny Hannsa Yoigta, który z uwagi na funkcję oraz charakter wykonywanej pracy był, być może, osobą najlepiej poinformowaną.

W pierwszym wydaniu niniejszej książki, opublikowanym w kwietniu 1963 roku, uznałem liczbę zabitych podaną przez Yoigta, czyli 135 tysięcy, za „najlepszą liczbę szacunkową”, minimalna zaś i maksymalna granica tej liczby - według szacunkowej oceny władz berlińskich - wyznaczały w moim przeświadczeniu „poziom wątpliwości”.

Późniejsze odkrycie raportu szefa policji drezdeńskiej, w którym figurowały znacznie niższe liczby, musiało nieuchronnie doprowadzić do zakwestionowania tych ocen: w kwietniu 1966 roku, trzy lata po publikacji książki, napisał do mnie dyrektor drezdeńskiego archiwum miejskiego, informując, że odnaleziono „oryginalny rozkaz” pułkownika Wolfganga Thieriga, który w 1945 roku był dowódcą policji w Dreźnie, i że w tym jedenastostronicowym dokumencie figuruje, uznana jedynie za tymczasową, liczba 28 tysięcy zidentyfikowanych ofiar. Raport Thieriga został sporządzony stosunkowo wcześnie - choć nosi datę 15 marca, przedstawia obraz sytuacji do godziny 8.00 rano 10 marca 1945 roku.³⁵

Niemniej jednak, jest to ważny dokument. Opatrzony nagłówkiem „Hóherer SS i polizeiführer w Gau Halle-Merseburg i Gau Saksonia oraz w Okręgu IV Wehrmachtu”, a pod nagłówkiem: „Dowódca Policji Porządkowej” (Ordnungspolizei), stanowi jedyny znany raport końcowy dotyczący czterech nalotów na Drezno, przeprowadzonych 13, 14 i 15 lutego.

Autentyczność tego wschodnioniemieckiego dokumentu potwierdza ponad wszelką wątpliwość jednoczesne odkrycie w zachodnioniemieckich archiwach rządowych, wśród 27 tysięcy nowych nabytków składających się z akt Ministerstwa Finansów Trzeciej Rzeszy, „Raportów sytuacyjnych dotyczących nalotów bombowych na Terytorium Rzeszy”, datowanych od 23 lutego do 10 kwietnia 1945 roku.³⁶ „Raport sytuacyjny” nr 1404, datowany 22 marca 1945 roku, zawierał jako uzupełnienie cytowany już przeze mnie raport policyjny, powtarzając dokładnie tę samą liczbę: 18 375 zabitych (stan na 10 marca), szacunkową liczbę zabitych wynoszącą 25 tysięcy, jak również wzmiankę o 30 tysiącach osób wciąż uważanych za zaginione³⁷. Pomimo niezadowolenia Williama Kimbera, wydawcy książki, jako autor czułem się zobowiązany do natychmiastowego wysłania do redakcji „Timesa” listu, w którym poinformowałem o tych nowych dokumentach - pomimo że figurowały w nich liczby odmienne od przeze mnie podanych³⁸.

A zatem ile właściwie osób zginęło w Dreźnie? Prawdopodobnie kluczowym czynnikiem, znacznie ważniejszym niż liczba zidentyfikowanych zwłok, jest w tym wypadku ogromna liczba osób zaginionych, którą nawet szef drezdeńskiej policji określił na 35 tysięcy. Prezydent policji w Darmstadt w swoim raporcie dotyczącym nalotów przeprowadzonych na to miasto we wrześniu 1944 roku, podkreślił, że ofiarą katastrof na tak rozległą skalę padają bardzo często całe rodziny - a wtedy nie ma komu zgłosić,

że dane osoby zginęły; to samo dotyczy uchodźców.

Jest rzeczą nieprawdopodobną, zważywszy na rozmiary drezdeńskiej tragedii, by władze policyjne mogły dokonać realistycznych szacunków w krótkim czasie pomiędzy nalotami a datą figurującą w raporcie (czyli 10 marca), kiedy *znaczna* część miasta wciąż leżała w gruzach (których, prawdę powiedziawszy, nie uprzątnięto w całości po dziś dzień).

Mamy więc i odpowiedź: zginęło 60 tysięcy osób lub więcej, być może 100 tysięcy - była to bezsprzecznie największa masakra podczas II wojny światowej w Europie spowodowana przez naloty bombowe. (Naloty na Drezno są zatem porównywalne do ataku bombami zapalającymi na Tokio przeprowadzonego w nocy z 9 na 10 maja przez „superfortece” 21 Bombardment Command lotnictwa Stanów Zjednoczonych; zginęły wówczas 83 793 osoby, podczas gdy w ataku atomowym na Hiroszimę, pięć miesięcy później, zginęło 71 379 Japończyków).

Była w tym wszystkim także pewna niewielka pociecha. Oto w Niemczech zabrakło już wielkich miast, które mógłby spotkać równie dramatyczny los. „Przynajmniej - pocieszał się Goebbels - wiadomo teraz, że nie wydarzy się już nic, co mogłoby przewyższyć tragedię Drezna”.

ROZDZIAŁ 17

Reakcja świata

14 lutego 1945 roku, tuż przed 9.00, gdy nad Drezno podążały kolejne formacje „Latających Fortec”, brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa wydało pierwszy zwykłej objętości biuletyn, w którym poinformowano o przeprowadzeniu poprzedniej nocy przez RAF nalotów na to miasto.

W biuletynie, zawierającym być może nadspodziewanie szczegółową charakterystykę celu, podkreślono duże znaczenie, jakie Drezno miało dla przeciwnika. Jako węzeł komunikacyjny oraz wielkie miasto przemysłowe stanowiło ono arcyważny ośrodek koordynacyjny niemieckiej obrony przeciw nacierającym siłom Koniewa. Drezdeński system telefoniczny oraz komunikacji i łączności, czytamy dalej, był również niezbędny Wehrmachtowi, jak linie kolejowe i drogi, które się w nim krzyżowały. W biuletynie napisano również, że tamtejsze gmachy i budynki były bardzo potrzebne dla wojska oraz na siedziby urzędów administracji państwowej, ewakuowanych z innych miast. W mniejszym zaś stopniu odpowiadały prawdzie następujące zawarte tam twierdzenia: „oprócz innych zakładów produkujących na

potrzeby wojenne, w Dreźnie znajdowały się usytuowane w dawnym arsenale duże warsztaty, w których produkowano sprzęt wojenny, ponadto zaś była tam ogromna liczba niewielkich zakładów wytwarzających rozmaite artykuły przemysłu wojennego”. W Dreźnie znajdowały się również ważne zakłady produkujące silniki elektryczne, sprzęt precyzyjny i optyczny oraz chemikalia. Autorzy biuletynu napisali też, że Drezno jest miastem porównywalnym pod względem wielkości z Manchesterem¹.

W wewnętrznym tajnym tygodniowym przeglądzie, nieprze-znaczonej już do tak szerokiego rozpowszechniania jak biuletynu Ministerstwa Lotnictwa, Bomber Command zadowolilo się określeniem Drezna - bardzo nieprecyzyjnie -jako miasta, któremu nadano status celu o pierwszorzędym znaczeniu, z uwagi na to, że było ono ośrodkiem komunikacji i łączności, a także punktem koordynacji i kontroli niemieckiego dowodzenia na froncie wschodnim².

Brytyjczyków poinformowała o nalocie rozgłośnia BBC w serwisie informacyjnym nadanym o 18.00. Nazwano ów nalot „jednym z najsilniejszych ciosów, których wymierzenie Niemcom przyrzekli w Jałcie przywódcy aliancy”. „Nasi piloci meldowali, że nie napotkali na silny ogień artylerii przeciwlotniczej, dlatego mogli naprowadzić bombowce na wyznaczone cele dokładnie i bez konieczności stosowania manewrów unikowych. W centrum miasta nastąpiła ogromna koncentracja pożarów”. Być może należy przypisać jakieś znaczenie temu, że słów, iż naloty na Drezno obiecano Rosjanom w Jałcie, zabrakło w głównym dzienniku radiowym BBC nadawanym o 21.00. Naloty na Drezno, nazywane już „wielkim miastem przemysłowym”, porównywalnym z Sheffield, określono jako przykład „dalszej bliskiej współpracy pomiędzy sprzymierzonymi”³.

Gdy świat poznał rozmiary tragedii Drezna, a zwłaszcza po tym jak premier brytyjski przekazał dowódcom swojego lotnictwa bombowego pismo, w którym skrytykował ich za zadanie temu miastu potrójnego, śmiertelnego ciosu, rosła pokusa, a wraz z nią tendencja, do sugerowania, iż nalot przeprowadzono **na prośbę i życzenie** Rosjan. Jednocześnie w latach zimnej wojny władze radzieckiej strefy okupacyjnej nie zmarnowały okazji, żeby wykorzystać drezdeńską apokalipsę do szerzenia antyza-chodniej propagandy. We wschodnich i środkowych Niemczech wprowadzono zwyczaj bicia w kościelne dzwony każdego 13 lutego od 22.20 do 22.30, czyli przez tyle czasu, ile trwał pierwszy nalot RAF-u. Ku konsternacji zachodnich sojuszników. Aby zapobiec dalszym podobnym demonstracjom 11 lutego 1953 roku amerykański Departament Stanu obwieścił w Waszyngtonie, iż „niszczące bombardowanie Drezna podczas wojny przeprowadzono w odpowiedzi na prośby Sowietów o zwiększenie wsparcia powietrznego; zostało ono zawczasu uzgodnione z władzami sowieckimi”⁴.

Pomimo że, o czym się przekonaliśmy, oświadczenie to zasadniczo nie przeczy faktom, widać wyraźnie nadzieje autorów, iż z upływem czasu - i w tłumaczeniu na obcy język - stanie się dowodem świadczącym o tym, że Rosjanie zażądali nalotu na Drezno, nie może być natomiast mowy o współdziałaniu sprzymierzonych. Jeśli leżało to istotnie w ich intencjach, Amerykanie się nie zawiedli. Do lutego 1955 roku bowiem, czyli do 10. rocznicy nalotów, wszystkie prestiżowe gazety, choćby „Manchester Guardian”, nazywały bombardowanie Drezna „operacją, którą wykonało lotnictwo brytyjskie i amerykańskie w następstwie prośby Sowietów, domagających się zaatakowania tego ważnego węzła komunikacyjnego”.

W Niemczech pierwszą związlą informację o Dreźnie przekazało 15 lutego OKW w swoim oficjalnym komunikacie: „Dnia

14 lutego 1945. Wczorajszej nocy celem brytyjskich nalotów terrorystycznych stało się Drezno”⁵. W ogólnoniemieckiej prasie codziennej o nalotach oraz o ich skutkach zaczęto pisać dopiero na początku marca. Jednakże niemieckojęzyczne rozgłoszenie radiowe okazały mniej wstrzemięźliwości: w eter popłynął wartki strumień nieprzebierającej w słowach propagandy antybrytyjskiej i antyamerykańskiej.

Służby nasłuchowe BBC publikowały przez cały okres wojny codzienny 70-, 80-stronicowy poufny raport dotyczący audycji radiowych emitowanych zarówno przez kraje alianckie, jak i państwa Osi. 15 lutego streszczenie materiałów pochodzących z nasłuchu, poprzedzające zasadniczy tekst, było niezwykle, dotyczyło bowiem jednej kwestii - reakcji, nie tylko w Niemczech, lecz również w krajach neutralnych i należących do obozu sprzymierzonych - na pierwsze wiadomości o nalotach na Drezno. Z audycji nadawanych przez wszystkie kontrolowane przez Niemców rozgłoszenie wynikało niedwuznacznie, że Ministerstwo Propagandy zdjęło ograniczenia swoim propagandyście radiowym i zmierzało, stosując wszystkie dostępne środki, do jak najszerzego wykorzystania drezdeńskiej tragedii⁶.

Tak więc, o 15.00 brytyjscy specjaliści od nasłuchu przechwycili audycję w języku arabskim,

nadawaną przez rozgłośnię nazywającą się „Wolna Afryka” - niewątpliwie prowadzoną przez Niemców, rzekomo „podziemną” stację. „Jak donoszą z Londynu - obwieścił jej spiker - w Dreźnie w niesłychanym stopniu wzrosła liczba uchodźców; jednocześnie serwis informacyjny radia BBC podał, iż samoloty alianckie przeprowadziły na to miasto najcięższy nalot w dotychczasowych dziejach wojny. Takie wiadomości nie wymagają komentarza i jest oczywistym faktem, że celem tych wielkich nalotów były miliony uchodźców, nie zaś obiekty wojskowe”. Spiker stwierdził dalej, że to, co się stało w Dreźnie, stanowi niezwykle wyrazisty przejaw tak zwanego humanitaryzmu sprzymierzonych. „Lecz nie traćmy nadziei, zbliża się jutro!”.

O 15.57 oficjalny niemiecki serwis depešzowy przeznaczony dla zagranicy podał tchnący ironią opis Drezna, rzekomo ważnego węzła komunikacyjnego. „Fabryki w tym mieście produkowały głównie pastę do zębów i zasypkę dla niemowląt. A jednak zostały zbombardowane. Ponieważ w Dreźnie, podobnie jak w każdym dużym mieście, dworce towarowe znajdują się na peryferiach, w centrum usytuowany był tylko dworzec pasażerski. Lecz dworce pasażerskie nie są punktami załadunku żołnierzy oraz materiałów wojennych, są nimi wyłącznie dworce towarowe”. Tak więc nalotu na centrum Drezna, napisano w konkluzji, żadną miarą nie można uzasadnić z wojskowego punktu widzenia.

„Amerykanie, którzy jakoby dysponują najlepszymi na świecie celownikami bombowymi, wykazali przy innych okazjach, że ilekroć chcą, potrafią przeprowadzić precyzyjne bombardowania. Nic tedy nie stało na przeszkodzie, żeby oszczędzić dzielnice mieszkalne Drezna oraz historyczne centrum miasta. Użycie bomb zapalających świadczy zaś o tym, iż rozmyślnie zaatakowano skarby architektury oraz dzielnice mieszkaniowe. Stosowanie takich ładunków przeciwko urządzeniom kolejowym jest bezcelowe; dotychczas w tej wojnie nigdy ich nie używano do niszczenia tego typu urządzeń”.

Z sarkazmem napisano w zakończeniu, iż choć sprzymierzeni utrzymują, że mają zwycięstwo w zasięgu ręki, to jednak uznali za konieczne zamienić Drezno i Chemnitz w morze popiołu. (Wzmianka o Chemnitz jest charakterystycznym przykładem taktyki Goebbelsa: choć nalot na to miasto przyniósł mizerne efekty, minister propagandy już dawno uznał, że jeżeli nieprzyjaciel dowie się z niemieckich źródeł o zniszczeniu jakiegoś celu, będzie mniej skłonny ponownie wysłać na ów cel bombowce. W Chemnitz znajdowały się duże zakłady produkujące

silniki czołgowe, należało więc w ten sposób zapewnić im spokojne funkcjonowanie).

W krajach neutralnych informacje nadsyłane z Niemiec przez korespondentów wzbudziły bezsprzecznie grozę i przerażenie. 15 lutego o 22.15 szwedzki biuletyn informacyjny przekazywany do okupowanej Danii wspominał, że wiadomo już, iż w drez-deńskim holokaucie zginęło dotychczas od 20 do 35 tysięcy. „A wczoraj wieczór spod gruzów wydobyto zwłoki 6 tysięcy kolejnych ofiar”.

Kwadrans później „New British Broadcasting Station”, podobnie jak „Wolna Afryka”, kontrolowana przez Niemców radiostacja podszywająca się pod podziemne radio, nadała dla swoich brytyjskich słuchaczy osobliwy materiał propagandowy, dotyczący nalotów na Drezno, który specjaliści z BBC Monitoring Service uznali za konieczne przytoczyć *in extenso*: „Przedostatniej nocy wraz z kolegą, który rozumie coś niecoś po niemiecku, siedziałem przy radioodbiorniku, słuchaliśmy specjalnej audycji nadawanej przez Niemców, w której obywatele tego kraju są informowani, jaki obszar ich kraju aktualnie atakują nasze bombowce”. Oto dalszy ciąg monologu tego „Anglika”: „Szkop prowadzący program wciął się w muzykę gardłowym «Achtung, Achtung!». Potem mój kumpel tłumaczył jego słowa. Prawdę powiedziawszy, czułem się diabło dziwnie, siedząc tam i słuchając o tym, jak zgrupowania naszych bombowców nadlatują nad Drezno, żeby zrzucić na miasto swój ładunek śmierci i zniszczenia. I tak sobie przez chwilę pomyślałem: no, takiej ofensywy powietrznej te szkopy długo nie wytrzymają. Ale zaraz ogarnęła mnie refleksja: kto, do ciężkiej cholery, będzie z tego coś miał? Nasz wkład to bomby, samoloty, no i załogi, które z takich nalotów nie powracają. Naturalnie drezdeńscy także nic z tego nie mają. Ci,

którzy mają, to Rosjanie - dostaną Drezno na nasz koszt". „Nie zwracałem sobie niepotrzebnie głowy względami ludzkimi - zakończył - no bo w końcu musimy wygrać tę wojnę. Nie widzę jednak powodu, dla którego powinniśmy uczestniczyć w niej i zabijać ludzi wyłącznie dla dobra i korzyści Rosjan. A ty?"

Nazajutrz kontrolowane przez Niemców Skandynawskie Biuro Telegraficzne poinformowało, że Drezno jest „jednym wielkim morzem gruzów". W komunikacie podano również, że zostały przerwane wszystkie połączenia Drezna z resztą Niemiec, liczbę zabitych określono zaś na 70 tysięcy⁷.

Teraz o nalotach pisały nawet gazety moskiewskie.

Pragnąc uniknąć kolejnego potępienia przez światową opinię publiczną, głęboko wstrząśniętą relacjami nadsyłanymi przez agencje prasowe, a dotyczącymi tego, co spotkało skupiska niemieckiej ludności na wschodzie, amerykańskie dowództwo bombowe roztropnie wyznaczyło samolotom wysłanym w czwartek 15 lutego jako cel priorytetowy zakłady przetwórstwa ropy naftowej w Ruthland i w Magdeburgu. 1100 maszyn należących do 8. Bomber Command wyruszyło, żeby „uaktualnić ofensywę przeciwpaliwową"⁸.

Los ponownie okazał się niełaskawy dla Drezna: nad celem priorytetowym panowała zła widoczność, toteż samolotom nakazano zaatakować cele drugorzędne -jedynym celem priorytetowym, który z uwagi na dobrą widoczność pozostał do zbombardowania, była rafineria Brabag w Rothensee pod Magdeburgiem - tak więc 210 „Latających Fortec" zawrócono z trasy prowadzącej do Ruthland i skierowano nad Drezno, gdzie dokładnie w południe zrzuciły na obszar miejski 461 ton bomb, dokonując zrzutu wyłącznie na instrumenty.

Inne grupy bombowe, zwłaszcza należące do 1. Dywizji Powietrznej, otrzymały instrukcje, gdyby zbombardowanie celu

priorytetowego okazało się niemożliwe, zaatakowania Drezna jako celu drugorzędnego, nim jednak wystartowały, ich misje odwołano.

Należy nadmienić, że pozostali przy życiu mieszkańcy Drezna niemal nie zauważyli zrzucanych bomb, które z pewnością uznali za niepokazny ładunek w porównaniu z poprzednim bombardowaniem.

Warto też wspomnieć, że na odprawie przed lotem załogom 3. Dywizji Powietrznej przedstawiono jako cel „miasto" Cottbus. W oficjalnym amerykańskim wydawnictwie zawierającym historię kampanii lotniczej w II wojnie światowej figuruje określenie: „kolejowe stacje rozrządowe w Cottbus". Na ów cel zrzucano 1000 ton bomb, a w raporcie podano, być może nadając temu sformułowaniu specjalne znaczenie, iż nastąpił on „na oczach nadciągających jednostek Armii Czerwonej".

Tym zaś malkontentom w Wielkiej Brytanii, którzy chcieliby powtarzać opinie, iż naloty służyły tylko interesom rosyjskim, udzielono oficjalnej odpowiedzi w artykule redakcyjnym w „Timesie". „Front wschodni oraz front zachodni zbliżyły się do siebie w dostatecznym stopniu, żeby skutki ciosów *zadawanych* niemieckim miastom znajdującym się na obszarze należącym jeszcze do nieprzyjaciela oddziaływały jednocześnie na oba te fronty: stosownie do tego celu wybrano odpowiednie obiekty nalotów"⁹.

Do punktu krytycznego doprowadziła sprawę niewłaściwie sformułowana informacja, która obiegła cały glob. W SHAEF, we Francji, dowódcy lotnictwa sprzymierzonych bezsprzecznie zrozumieli, że światowa opinia publiczna jest zaniepokojona doniesieniami o masakrach - popełnionych najpierw w Berlinie, potem zaś w Dreźnie. Wtedy właśnie, 16 lutego po południu,

kiedy niemiecka kampania propagandowa osiągnęła największe natężenie, dowódcy ci powierzyli pewnemu brytyjskiemu komodorowi powietrznemu obowiązek informowania korespondentów prasy krajów alianckich o nowej strategii, którą realizowano, prowadząc ofensywę powietrzną¹⁰.

Oficer ów, komodor powietrzny C. M. Grierson, został skierowany do służby w SHAEF jako oficer ACS.2 (wywiad); do jego obowiązków należała cotygodniowa podróż samochodem z Reims do Paryża w celu organizowania tam konferencji prasowej, dotyczącej rozwoju ofensywy lotniczej przeciw Niemcom. Zważywszy, że rządy brytyjski i amerykański podkreślały, iż naloty na Berlin i Drezno są skierowane wyłącznie na obiekty wojskowe usytuowane w miastach - Grierson mógłby zaiste używać zgrabniej szych sformułowań.

Stwierdził on mianowicie, że nowy aliancki plan zakłada bombardowanie dużych skupisk ludności, a następnie uniemożliwienie przekazywania do nich pomocy - w postaci dostaw leków i sprzętu medycznego - jak również niedopuszczenie do ewakuacji atakowanych obszarów".

Innym razem zaprezentował się jeszcze gorzej: w odpowiedzi udzielonej jednemu z korespondentów nieświadomie, jak się zdaje, nawiązał do oskarżeń niemieckich dotyczących prowadzenia przez aliantów „nalotów terrorystycznych". Takie użyte przez niego sformułowanie zapadło w pamięć Howardowi Cowanowi, dziennikarzowi reprezentującemu agencję Associated Press¹². Depeszę Associated Press nadało w ciągu godziny Radio Paryż, a do Stanów Zjednoczonych przekazano ją za pośrednictwem łączy kablowych; nazajutrz opublikowała ją tamtejsza prasa codzienna. Oto fragment:

„Alianccy dowódcy lotnictwa podjęli długo oczekiwaną decyzję, żeby rozpocząć naloty terrorystyczne na niemieckie skupiska ludności; naloty te są w zamierzeniu okrutnym środkiem

mającym przyspieszyć upadek Hitlera. Przewiduje się przeprowadzenie większej liczby nalotów podobnych do tych, jakie ostatnio ciężkie bombowce alianckie przeprowadziły na dzielnice mieszkalne Berlina, Drezna, Chemnitz i Cottbus w celu jak największego zakłócenia niemieckiej komunikacji drogowej i kolejowej oraz podkopania morale ludności cywilnej. Zmasowana ofensywa lotnicza na Niemcy stała się oczywistym faktem, zapoczątkował ją zaś bezprecedensowy w dziejach tej wojny dzienny nalot na wypełnioną uchodźcami stolicę kraju, do której napływały tłumy ludności uciekające przed czerwoną «falą» na wschodzie"¹³.

Na krótką chwilę ukazało się prawdziwe oblicze alianckich dowództw bombowych. Z depeszy Cowana oraz z innych materiałów prasowych, w których wykorzystano komunikat SHAEF, wynikało, że amerykańskie i brytyjskie siły lotnicze rozpoczęły „bombardowania terrorystyczne", bez różnicowania celów, odchodząc przez to od zasad ustalonej wcześniej przez aliantów strategii użycia strategicznej broni powietrznej¹⁴. Depeszę agencji AP - zawierającą w istocie wysoce tendencyjną wersję informacji przekazanej dziennikarzom przez Gierzona - rozpowszechniono drogą radiową w całej wyzwolonej Francji, w Stanach Zjednoczonych zaś trafiła ona na pierwsze strony gazet. Z materiałów prasowych niedwuznacznie wynikało, iż nie tylko RAF Bomber Command, którego nocną ofensywę powietrzną od dawna traktowano w Stanach Zjednoczonych z dużą rezerwą, lecz nawet własne US Strategic Air Forces dokonuje nalotów terrorystycznych przeciw niemieckim cywilom.

Zanim do USA nadeszły pierwsze wiadomości dotyczące nalotów, wielu Amerykanów wysłuchało już informacji przekazanych przez niemiecką dalekosiężną radiostację, pracującą na falach krótkich; zawarto w nich ostre potępienie nalotu na Berlin. „Generał Spaatz wiedział, że wystawia niemieckie zdolności

organizacyjne na ciężką próbę, gdy zmusza nas do karmienia i zakwaterowania cywilnych uchodźców, których setki tysięcy uciekło przed zorganizowanym barbarzyństwem i terrorem komunistycznej Armii Czerwonej, wkraczającej na wschodnie obszary Niemiec. Generał Spaatz wiedział również, że siły lotnicze, jakimi jeszcze Niemcy dysponują, znajdują się na froncie wschodnim, dokąd je przerzucono, żeby

zwalczały czerwony potop, który *zagroza* zniszczeniem Niemiec i całej Europy. Są to akty bezprzykładnego tchórzostwa". Na zakończenie spiker oznajmił, że dowództwo Wehrmachtu postanowiło przyznać Spaatzowi za współudział w tej nikczemnej zbrodni „order białego pióra”*

Taka była nazistowska propaganda, a jej zarzuty zdawał się potwierdzać oficjalny rzecznik SHAEF, komodor powietrzny Grierson.

Jeśli chodzi o brytyjskich radiosłuchaczy, tym na szczęście oszczędzono konieczności rozważania dylematu, przed którym została postawiona amerykańska opinia publiczna. Rząd w Londynie otrzymał informację o nieszczęsnej konferencji prasowej w SHAEF 17 lutego o 19.30 i natychmiast zakazał jej publikacji w środkach przekazu.

Zważywszy na to, że z krajów neutralnych napływały informacje o masakrach w Berlinie i w Dreźnie, depeza wywołała w Waszyngtonie ogromne zaniepokojenie. 17 lutego generał H. H. Arnold, dowódca amerykańskich sił lotniczych, zapytał telegraficznie Spaatza, czy są jakieś istotne różnice pomiędzy bombardowaniem celów wojskowych na obszarach miejskich przy korzystaniu przez pilotów i bombardierów wyłącznie ze

wskazań aparatury radiolokacyjnej - stosowanie tej taktyki uzgodnili podczas lunchu w Bovington Spaatz i Bottomley - a nalotami „terrorystycznymi”, o których wspominał komunikat SHAEF (w wersji przekazanej przez Associated Press), utrzymując, że przeprowadzają je Amerykanie¹⁵. Generał Spaatz odpowiedział, być może nieco zagadkowo i wymijająco, iż nie zerwał z zasadami polityki stosowanej od dawien dawna przez Amerykanów w Europie - dotyczy to, kontynuował, również nalotu na Berlin 3 lutego oraz nalotu na Drezno 14 lutego. Wrzawa, jaka rozgorzała wokół tej kwestii, zaszokowała go. Dopiero co wysłał bowiem generałowi Eisenhowerowi wspinały zestaw zdjęć przedstawiających zniszczone bombami niemieckie cele. Walter Bedell Smith, szef sztabu Eisenhowera, pogratulował mu żartobliwie: „Fotki te świadczą bezsprzecznie, że przez ostatnich kilka lat miał Pan pełne ręce roboty, niczym zapracowana gospodyni domowa”¹⁶.

Teraz jednak poszukiwano kozła ofiarnego. 18 lutego generał Spaatz przekazał telegraficznie Arnoldowi wymijającą odpowiedź: „Zawsze uważałem, czemu starałem się dać wyraz w swoim postępowaniu, że ludność cywilna nie jest właściwym celem wojskowym. Jest mi przykro, że dałem Panu powody do niepokoju, przekazując niedokładnie swoje dyrektywy. Dyrektywy Bottomleya i moje, choć są zwykle identyczne pod względem podanych w nich priorytetów i wydawane po wzajemnych konsultacjach, często odzwierciedlają też różnice w możliwościach sił, które reprezentujemy. Tym razem nie wydałem nowej dyrektywy, albowiem należało tylko inaczej rozłożyć akcenty w części «Priorytety» dyrektywy nr 3. [...] Instrukcje, jakie wydałem 30 stycznia dowództwu 8. Air Force, można, ogólnie rzecz biorąc, ująć w sposób następujący: ponieważ priorytetem są ataki na obiekty przemysłu paliwowego prowadzone przy widoczności celu, przewiduje się, że bombardowanie celów w Berlinie zostanie dokonane z zastosowaniem pathfinderów. Bombardowanie Berlina stanowiło wtedy priorytet nr 2, po nalotach na obiekty przemysłu paliwowego przy widoczności celu, usytuowane zwłaszcza wokół Lipska; kolejnym zaś celem priorytetowym były linie komunikacyjne na obszarze Cassel - Zagłębie Ruhry - Kolonia. [...] W takich okolicznościach bombardowanie nie może być dokładne, jednak Berlin był, zwłaszcza wtedy, celem tak dalece ważnym jako ośrodek komunikacji, administracji i przemysłu, że jego znaczenie jako celu wojskowego uzasadniało bombardowanie go od czasu do czasu. [...] Drezno atakowano ostatnio kilkakrotnie, ponieważ jest ono węzłem komunikacyjnym o dużym znaczeniu dla frontu wschodniego. [...] Mam nadzieję, że to wyjaśnia sprawę ku Pańskiemu zadowoleniu”¹⁷.

Arnold wciąż jednak był niezadowolony¹⁸.

18 lutego generał brygady Frederick L. Anderson wysłał do Arnolda depezę tej oto treści:

„Zapewniam Pana, że nie nastąpiły żadne zmiany w amerykańskiej strategii precyzyjnego bombardowania celów wojskowych, również bombardowanie Berlina przy zastosowaniu aparatury H2S nie

stworzyło żadnego precedensu".

Anderson cytował też swoją dyrektywę z 30 stycznia, wyjaśniając: „Panowało wtedy przeświadczenie, że niemiecka 6. Armia Pancerna przemieszcza się z frontu zachodniego; wiele wskazywało też na to, iż liczne posiłki zmierzają na front wschodni". Berlin stanowił oś obrony przeciwko nacierającym czołwkom Żukowa. „Inne kluczowe węzły komunikacyjne, na przykład Drezno, Chemnitz, Cottbus i Lipsk, nabrały w tej sytuacji wielkiego znaczenia, co docenili zarówno Rosjanie, jak i my". „Przeczytałem ten materiał Howarda Cowana, przekazany przez Associated Press - zakończył - i jestem świadom tego, że artykuł ów może mieć godne pożałowania następstwa oraz że przysporzył on Panu poważnych problemów. Moje sugestie

w odniesieniu do kwestii dotyczących «public relations» przekazuję osobno. To tyle od Andersona. Generał Spaatz przebywa nad Morzem Śródziemnym i jest informowany o sprawie"¹⁹.

Tego samego dnia generał George C. McDonald, szef wywiadu Spaatza, wysłał Andersonowi trzystronicowe memorandum, w którym zawarł, sformułowane w szczerych aż do bólu słowach, swoje poglądy dotyczące nowej dyrektywy, nakazującej bombardowanie takich miast, jak Berlin, Lipsk i Drezno. Stwierdził, że za jej przyczyną wojskowe lotnictwo amerykańskie wpakowało się w sprawę bombardowania strefowego gęstych skupisk ludności. „Z żadnych danych o charakterze wywiadowczym, dostępnych naszemu dowództwu, nie wynika, iżby zniszczenie tych miast sparaliżowało nieodwołalnie «zdolność nieprzyjaciela do stawiania zbrojnego oporu»". „Pięć lat bombardowania celów bez wyboru - kontynuował - (ostatnio prowadzono je na wprost niewiarygodną skalę) nie przyniosło żadnych nieodwracalnych skutków. Nie złamało niemieckiego ducha walki. Również niszczenie całych miast nie doprowadziło do wystąpienia jakichkolwiek oznak, że niemiecka «zdolność do zbrojnego oporu» zmniejszyła się". Zniszczenie tych miast wpłynęło w znikomym stopniu na niemiecką gospodarkę wojenną, szlaki komunikacyjne zaś prowadzące przez te metropolie nie zostały przerwane. McDonald podkreślił, iż jest zdecydowanym przeciwnikiem takich nalotów terrorystycznych i posunął się nawet do tego, że nazwał je „eksterminowaniem ludności i ścieraniem miast z powierzchni ziemi"²⁰.

Ta depešowa dyskusja była prowadzona na ogromną odległość, stopniowo jednak spór wyciszono. Generał Spaatz postanowił zakończyć naloty prowadzone według strategii, którą ustalił wspólnie z Bottomleyem.

Skądinąd rząd niemiecki był świadom tego, że zarówno świat zewnętrzny, jak i obywatele Rzeszy żadną miarą nie mogą po- znać całej prawdy o tym, co się wydarzyło w stolicy Saksonii, i nie zamierzał zaprzepaścić tak świetnej propagandowej okazji. Do Berlina dotarła wspomniana depeša Associated Press. To, w jaki sposób ją opublikowano, a potem pospiesznie odwołano w SHAEF, i to, że rząd brytyjski zabronił jej rozpowszechniania, dowodziło, iż sprawa ma, by tak rzec, swoje drugie dno.

Choć dotychczas wielu Niemców posłusznie stosowało w odniesieniu do alianckich nalotów na ich ojczyznę określenie „terrorystyczne", obecnie znalazła się niemała grupa takich, którzy byli gotowi uwierzyć, że przymiotnik ów oddaje rzeczywisty stan rzeczy. Jeśli rząd brytyjski nie chce ujawnić swoim obywatelom poczynań Bomber Command, uznano w Berlinie, że obowiązek ten spoczywa na władzach niemieckich. William Joyce, Irlandczyk-renegat, który przygotowywał przeznaczone dla Anglików audycje propagandowe nadawane przez niemieckie radio, otrzymał polecenie, żeby w swojej najbliższej pogadance z cyklu „Views on the News" wypowiedział się na temat Drezna. Z uwagi na to, że audycje Joyce'a - nazywanego w Wielkiej Brytanii „lordem Haw-Haw"* - miały, jak oceniano, miliony słuchaczy na Wyspach, kierownictwo BBC uznało za konieczne podać tekst w całości. 18 lutego o 22.30 posiadacz znajomego i znenawidzonego głosu jak zwykle obwieścił: „Tu mówią Niemcy", i jął informować naród brytyjski o terrorystycznych nalotach:

„Brytyjscy propagandyści powtarzają z dumą, że atakując takie miasta jak Drezno, RAF oraz lotnictwo amerykańskie współdziałają z Sowietami. Nie potrafiliby jednak podać choćby jednego przykładu, żeby dowództwo sowieckie pofatygowało się i wspomogło brytyjski wysiłek wojenny. A nawiasem

mówiąc, dowództwo Eisenhowera wydało obecnie idiotyczne i bezczelne w swojej wymowie zaprzeczenie oczywistej prawdy, że bombardowanie miast niemieckich miało charakter terrorystyczny. Rzecznik Churchilla, zarówno na łamach prasy, jak i w radiu, chlubił się nalotami na Berlin i na Drezno, na uchodźców ze wschodu. Rozmaici brytyjscy dziennikarze pisali, że mordowanie niemieckich uchodźców było pierwszorzędnym osiągnięciem wojskowym. A ja zapamiętam do końca życia, jak jeden ze spikerów BBC, odnosząc się do nalotu na Drezno, we-solutko zaszczebiotał: «W Dreźnie wytłukła się dziś porcelana».

Może to miał być dowcip, lecz jeśli tak- w jakim stylu utrzymany? Jestem jak najdalej od uderzania w sentymentalne tony wśród ponurych i mrocznych realiów tego rozdziału gigantycznych zmagania, rozdziału, który zadecyduje o znacznie większej liczbie spraw aniżeli tylko losy porcelany...".

Na zakończenie swojego zgryźliwego, gorzko-ironicznego wystąpienia Joyce wymienił skarby architektury zniszczone w Dreźnie i opowiedział o masakrze dokonanej na uchodźcach.

W obliczu tej gwałtownej ofensywy propagandowej, prowadzonej przez wszystkie kontrolowane przez Niemców radiostacje w Europie, jedynym znanym alianckim przeciwdziałaniem był przeznaczony dla Niemców program nadawany przez francuskie Radio Bir-Hakeim. Podano w nim, że podczas nalotu na Drezno drużyny strażackie tworzone pośpiesznie z członków Hitlerjugend oraz starszych wiekiem mężczyzn. „Zamiast sprzętu przeznaczonego do gaszenia ognia, sprzętu, którego oczekiwali i pragnęli, wydano im karabiny, wysłano na dworzec kolejowy i zmuszono do wyjazdu na front, i to bez pożegnania z rodzicami". Pomijając już ów oczywisty fakt, że drezdeńskie dworce kolejowe, jak również linie komunikacyjne służące do transportu żołnierzy na front, zostały przecież jakoby zniszczone - należy się zgodzić, że niekiedy niemieckie argumenty propagandowe były znacznie bardziej przekonujące niż te, które podawały alianckie stacje radiowe.

17 lutego, w sobotę, SHAEF wydał drugi komunikat, który stanowił faktycznie zaprzeczenie pierwszego. Tym razem oficer prowadzący spotkanie z dziennikarzami stwierdził, że zabijanie uchodźców było przypadkowe; jedynym celem alianckich nalotów bombowych było, jak utrzymywano obecnie, zniszczenie węzłów transportowych oraz ośrodków produkcji paliw. Celem nalotu na Berlin było przerwanie linii komunikacyjnych krzyżujących się w stolicy Rzeszy. Cel nalotu na Drezno, stwierdził rzecznik SHAEF, był identyczny, a to, że w czasie bombardowania przebywały w mieście tłumy uchodźców, było czystym przypadkiem.

„Odkąd generał broni Harris, dowódca brytyjskich sił bombowych, oświadczył, że najważniejszym celem nalotu było złamanie morale niemieckich cywilów - napisano dwa dni później w serwisie niemieckiej agencji telegraficznej - odkąd premier brytyjski nakreślił posępny obraz Niemiec, w których głód i choroby doprowadzą do wyniszczenia wrogów Wielkiej Brytanii tak samo jak naloty lotnicze, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zbrodniarze wojenni z SHAEF nakazali z zimną krwią poddać eksterminacji niewinnych Niemców, wystawiając ich na pastwę nalotów terrorystycznych".

Tymczasem z państw neutralnych docierały do Londynu informacje o horrorze w Dreźnie. Podśluchano, jak berliński korespondent szwedzkiego dziennika „Expressen" wysłał depeszę do Sztokholmu: „Niemieckie koła rządowe są ogromnie wstrząśnięte tym najbardziej skoncentrowanym alianckim nalotem w dotychczasowych dziejach obecnej wojny, czyli nalotem na Drezno. Wszystkie połączenia ze

stolicą Saksonii zostały zerwane

z powodu zniszczenia tamtejszego głównego urzędu telegraficznego, poczty, dworców kolejowych oraz siedzib władz administracyjnych i wojskowych. Po raz pierwszy od skoncentrowanego nalotu na Hamburg w lipcu 1943 roku liczba ofiar śmiertelnych była bardzo wysoka, ponieważ w mieście tym znajdowało się wtedy więcej uchodźców z Czechosłowacji i ze Śląska aniżeli w Berlinie, i wszystkie koszary były przepełnione. Podawana liczba zabitych wynosi 70 tysięcy²¹. Następnego dnia inna szwedzka gazeta napisała, że Drezno zostało tak doszczętnie zniszczone, iż zarządzono całkowitą ewakuację miasta. „Jak podaje się obecnie, liczba ofiar śmiertelnych wynosi 100 tysięcy”. Pewien uchodźca, jadący pojazdem wojskowym do Jiiterbo-ga nieopodal Berlina, podał, że dawna część Drezna zniknęła z powierzchni ziemi i że łatwiej jest liczyć domy, które ocalały niż te, które zniszczono. W chwili nalotu w Dreźnie znajdowało się 2,5 miliona ludzi (stała liczba mieszkańców to 700 tysięcy). Żadne z sąsiednich miast nie mogło dostarczyć pomocy, ponieważ wszystkie drogi dojazdowe prowadzące do Drezna były zatłoczone uchodźcami, chłopskimi furmankami, ludźmi pchającymi ręczne wózki oraz pojazdami wojskowymi. To zbiorowisko ostrzeliwały z niskiego pułapu amerykańskie samoloty; obecnie drogi blokują pojazdy wojskowe²².

Wraz z nasileniem antybrytyjskiej i antyamerykańskiej kampanii propagandowej, gdy świat *zapoznał się* z pierwszymi przerażającymi relacjami opublikowanymi w Szwajcarii oraz w innych krajach, dotyczącymi losu, jaki alianci zgotowali Dreznu, niemiecki serwis informacyjny, w którym nieustannie powtarzano, iż RAF Bomber Command przeprowadziło naloty terrorystyczne na niemiecką ludność cywilną, zyskał niespodziewanego sojusznika w rządzie brytyjskim - właśnie tego, który mógł najwięcej powiedzieć o tle i rzeczywistych przyczynach nalotu.

Tymczasem jednak trwała nieprzerwanie ofensywa bombowa. 23 lutego grupy L, 6. i 8. Bomber Command (wśród pilotów byli Ziegenhirte, Schilchtinger i Schmidt - oto ironia losu) przeprowadziły 19-minutowy nalot na leżące w południowych Niemczech miasto Pforzheim, słynne na cały świat z obróbki kamieni szlachetnych oraz wyrobu biżuterii. W formacji pathfinderów leciało kilka najlepszych załóg uczestniczących w nalocie na Drezno, a „mistrzem ceremonii” był pochodzący z Południowej Afryki Edwain Swales z 582. dywizjonu. Odlatujące z miasta maszyny były lżejsze o 1825 kilogramów zrzuconych bomb; w następstwie burzy ogniowej, jaka się wywiązała, zostało zniszczone 1,2 kilometra kwadratowegoz ogólnej powierzchni zabudowanej miasta liczącej 1,4 kilometra kwadratowego²³. Zginęło blisko 24 tysiące mieszkańców, czyli niemal co czwarty²⁴. Major Swales zginął, gdy jego uszkodzony Lancaster dwie godziny później zahaczył w Belgii o przewody zasilania energetycznego (został odznaczony pośmiertnie krzyżem Yictoria Cross); pozostali członkowie załogi uratowali się, skacząc ze spadochronami²⁵.

Nagłą śmierć, jaka dosięgła z nieba 20 tysięcy ludzi, spalonych żywcem we własnych domach w ciągu 20 minut, prasa brytyjska skwitowała zaledwie drobną wzmianką, a niemiecka poświęciła jej nawet mniej miejsca. W opublikowanej w 1961 roku w Wielkiej Brytanii oficjalnej historii Strategicznej Ofensywy Bombowej o nalocie na Pforzheim wspomina się jedynie w przypisie. Oto i prawdziwe oblicze zamykającej wojnę ofensywy przeciw niemieckim miastom.

ROZDZIAŁ 18

Zasadnicza kwestia

Pomimo zaniepokojenia amerykańskiego sekretarza stanu do spraw wojny o reakcję opinii publicznej na tragedię Drezna, 2 marca 1945 roku samoloty należące do 3. Dywizji Powietrznej US Strategic Air Force przeprowadziły następny dzienny nalot na to miasto. Tuż po 6.30 rano z lotnisk wystartowało ponad 1200 bombowców eskortowanych przez wszystkie piętnaście grup myśliwców. Armada ta skierowała się ku rafineriom w Magdeburgu, Ruhland i Bohlen - celem nalotu miały być także zakłady produkcji czołgów w Magdeburgu. Jednak ponownie, z powodu złej pogody, bombowce skierowały się nad cele drugorzędne: kolejowe stacje rozrządowe w Dreźnie i w Chemnitz¹. Według źródeł niemieckich, nalot na Drezno trwał od 10.26 do 11.04; bombowce nadlatywały nad miasto falami, atakując wiele różnych celów. Miejscowi obserwatorzy nalotów twierdzili, że Amerykanie najwyraźniej zamierzali zniszczyć linię kolejową Drezno - Pirna, jednak znaczniki celu - rakiety dymne wystrzelone przez pathfindery - wiatr zepchnął z wyznaczonego toru lotu.

Udział w tej operacji wszystkich grup myśliwskich świadczył dobitnie o tym, jak zaciekle przeciwstawiały się najeźdźcom myśliwce odrzutowe Me 262. Niemcy poderwali w powietrze trzy liczne formacje tych maszyn i skierowały je nad Berlin, błędnie przewidując, iż celem alianckiego nalotu będzie stolica kraju. Ostatecznie około 75 Me 262 poleciało nad Drezno oraz nad pobliskie Ruhland i spadło niczym sępy na „Fortece” 3. Dywizji Powietrznej.

O 10.17, gdy Amerykanów dzieliło od Drezna dziewięć minut lotu, pierwsze niemieckie myśliwce odrzutowe zaatakowały bombowce prowadzące skrzydło, a jednocześnie wolniejsze myśliwce, napędzane silnikami tłokowymi, skierowały się ku tylnym formacjom przeciwnika, odciągając od czoła eskortę. 35 Me 262 złamało szyk prowadzących grup i przypuściło atak skrzydłami - po trzy samoloty - z różnych kierunków i z różnej wysokości. Do 10.35, kiedy odrzutowce zmusił do odwrotu brak paliwa, straciły one 6 bombowców należących do grupy prowadzącej. Pozostałe 406 - jak odnotowano w „Eight Air Force Target Summary” - „zaatakowały stacje rozrządowe w Dreźnie”. Z raportów poszczególnych grup bombowych wynika jednak, iż - tak jak poprzednio - pod tym eufemistycznym terminem rozumiano obszar miejski. Należącą do prowadzącego skrzydła 34 grupy bombowej formację pathfinderów zaopatrzoną w urządzenia radiolokacyjne zaatakowały zaciekle Me 262. Ich pilotom jako centralny punkt zrzutu markerów wyznaczono „centrum miasta”, bombardierowi prowadzącemu oświadczone zaś podczas odprawy przez lotem, że celem nalotu (co zapisał w swoim prywatnym dzienniku) jest „całkowite zniszczenie miasta”. Choć na zdjęciach celu wykonanych przez 44. grupę bombową widać Drezno, nad którym leży warstwa chmur poniżej „trzech dziesiątych”, widoczne są tam również eksplozje bomb zrzuconych przez samoloty należące do tej formacji. 288 500-funtowych

bomb burzących i 144 bomby zapalające o podobnym wagomiarze spadły na obszar Dresden-tJbigau, odległy o 3 kilometry od najbliższych stacji rozrządowych (znajdował się tam duży obóz brytyjskich jeńców wojennych, których *znaczna* liczba zgłosiła się ochotniczo do prac ratunkowych).

Bomby zrzucone przez samoloty należące do pozostałych grup również chybiły celów, jeśli istotnie celowano w stacje rozrządowe Dresden-Friedrichstadt. Z obserwacji wynikało, że wszystkie bomby

spadły na tereny znacznie oddalone od stacji. W raporcie dotyczącym „misji 266” 390. grupy bombowej napisano, że samoloty zawrócono z lotu nad rafinerie i skierowano przeciw wielkim drezdeńskim stacjom rozrządowym, które dotychczas zbyt nie ucierpiały w nalotach. Bombowce z 100. grupy zaatakowały („z dobrym skutkiem”) „teren zakładów przemysłowych” w Dreźnie, co nastąpiło po nieudanej próbie zbombardowania rafinerii w Ruthland.

Zniszczenia dotknęły rozległych obszarów, a jedynym godnym odnotowania „sukcesem” Amerykanów było zatopienie parowca „Leipzig”, przekształconego w statek szpitalny, przeznaczony dla tysięcy rannych w wielkich nalotach na Drezno dwa tygodnie wcześniej. Wiązka zrzuconych bomb spadła po obu stronach jednostki; w następstwie eksplozji oderwała się rufa, po czym parowiec zapalił się i powoli zatonął. Uratowała się zaledwie garstka osób. Niecelnie zrzucone bomby zniszczyły również obóz rosyjskich robotników przymusowych w Laubegast.

Tymczasem Niemcy nadal zbijali kapitał propagandowy na nalotach na Drezno, choć wciąż zbyt nisko szacowali liczbę zabitych. W berlińskich kołach rządowych podawano, że w stolicy Saksonii zginęło ponad 300 tysięcy ludzi, stołeczne instytucje zaś zajmujące się dostarczaniem mieszkańcom zbombardowanych miast żywności i środków do życia szacowały wstrzemięźliwie liczbę ofiar nalotu na 120 tysięcy do pół miliona; choć już wówczas liczba zwłok pochowanych w Dreźnie w wielkich wspólnych grobach przekroczyła 300 tysięcy. Nawet w marcu 1945 roku w niemieckiej ulotce propagandowej zrzuconej nad Włochami wspomniano o zaledwie „10 tysiącach dzieci uchodźców”, które zginęły. Na ulotce tej umieszczono wstrząsającą fotografię przedstawiającą ciała dwojga poparzonych i okaleczonych dzieci wydobyte z ruin miasta, znalazły się tam również takie oto słowa: „Mieszkańcy Drezna, jak również jeńcy wojenni i robotnicy cudzoziemscy niniejszym nadają Order Białego Pióra i Zajętego Serca* generałowi dywizji Jamesowi Doolittle'owi z United States Air Force za wybitne tchórzostwo - i za to, że stał się sadystą”².

6 marca niemieccy propagandziści osiągnęli sukces, o jakim nawet nie marzyli - pierwszy raz bowiem od lutego 1944 roku kiedy biskup Chichesteru podniósł kwestię bombardowań strefowych celów cywilnych w Europie dokonywanych przez swoich rodaków, odbyła się dyskusja dotycząca strategicznej ofensywy powietrznej. Tym razem, gdy o 14.43 głos w Izbie Gmin zabrał Richard Stokes, sytuacja zmieniła się o tyle, że brytyjska opinia publiczna miała inny niż niegdyś stosunek do tego tematu. Doktor Bell, biskup Chichesteru, przemawiał w Izbie Lordów w lutym 1944 roku w czasie niewielkiej w porównaniu z poprzednimi niemieckiej ofensywy bombowej na Wielką Brytanię i - naraził się wtedy na ostre potępienie społeczne, choć otrzymał także

setki listów wyrażających poparcie. Obecnie, w marcu 1945 roku, gdy najwyraźniej *zbliża* się koniec wojny, a jedynym zagrożeniem były pociski V-2, Anglicy wykazywali się większą wrażliwością na publikowane przez prasę codzienną opisy masakr spowodowanych przez naloty w miastach niemieckich. Kiedy Stokes wstał, chcąc zabrać głos, minister lotnictwa sir Archibald Sinclair demonstracyjnie opuścił salę: nie wrócił nawet wtedy, gdy Stokes - również demonstracyjnie - zwrócił posłom uwagę na jego nieobecność.

W swoim wystąpieniu Stokes wrócił do kwestii, którą poruszał uporczywie już od roku 1942. Twierdził, iż nie przekonują go powtarzane przez ministra zapewnienia o precyzji nalotów dokonywanych przez Bomber Command i kwestionuje zalety tego, co - jak oświadczył - on sam nazywa „bombardowaniem strategicznym”. Powiedział także, iż Rosjanie nie angażują się w „bombardowania dywanowe” i świetnie sobie bez nich radzą. Zwrócił uwagę, że Rosjanie wykorzystają później tę sytuację,

aby oświadczyć, iż wszystkie te brudne sprawy to robota zachodnich państw kapitalistycznych, a ich siły lotnicze ograniczyły swoją działalność bojową do, jak to nazwał, „bombardowań taktycznych” (jak wykazały wydarzenia z lat powojennych, Stokes wykazał się w tej kwestii dużą przenikliwością).

Stwierdził dalej z naciskiem, że trzeba się zastanowić, czy na obecnym etapie wojny bombardowanie dużych skupisk ludności jest rozsądną strategią. Odczytał Izbie fragment relacji „Manchester Guardian”, której źródłem była niemiecka depesza zawierająca informację, iż dziesiątki tysięcy drezdeńczyków spoczywa teraz pod gruzami zniszczonych domów, a próby identyfikacji ofiar są bezskuteczne. „Co się stało 13 lutego wieczorem?” - pytała gazeta. „W Dreźnie przebywało milion ludzi, w tym 600 tysięcy osób ewakuowanych ze wschodu oraz uchodźców z tamtych terenów. Szalejący ogień, którego nie można było ugasić, zabił wielu, którzy udusili się z powodu braku tlenu”. Stokes zauważył, że Rosjanie, jak się zdaje, potrafią zdobywać wielkie miasta, nie niszcząc ich wcześniej bombami; zadał też pytanie, które najwyraźniej dręczyło samego premiera: „Miasta te zostały już zamienione w morza gruzu, a tych, co przeżyli, dziesiątkują choroby, lecz chyba niemożliwe będzie powstrzymanie i odwrócenie następstw nalotów: epidemii, nieludzkich warunków życia, brudu i nędzy? Mocno się zastanawiam, czy działania w tym kierunku w ogóle są podejmowane na tym etapie wojny? Gdy usłyszałem, jak minister [sir Archibald Sinclair] mówi o «crescendo zniszczenia», pomyślałem sobie, jakież to wspaniałe słowa w ustach ministra rządu Wielkiej Brytanii w rym momencie wojny”.

Następnie wspominał o depeszy Associated Press z głównej kwatery SHAEF, już wycofanej; odczytał ją w całości, dzięki czemu dysponujemy dziś jej tekstem. Ponownie zadał pytanie, które często wcześniej zadawał: czy bombardowania terrorystyczne stały się obecnie elementem oficjalnej strategii rządowej? Jeśli tak jest w istocie, to dlaczego SHAEF najpierw przekazało światu taką informację, potem zaś ją wycofało? No i dlaczego, pomimo relacji przekazywanych przez Radio Paryż, ukazujących się drukiem w całych Stanach Zjednoczonych, a nawet nadawanych w audycjach przeznaczonych dla Niemców, Brytyjczycy są, jak to ujął, jedynymi ludźmi, którzy mogą być nieświadomi, czego dokonuje się w ich imieniu? Mówić jedno, a czynić drugie jest, stwierdził, „skończoną hipokryzją”.

W konkluzji Stokes powiedział, że rząd brytyjski będzie jeszcze przeklinać dzień, w którym zezwolił na dokonywanie tych nalotów, one zaś pozostaną trwałą „plamą na naszym honorze”. Wyrażone bardziej oficjalnym językiem argumenty Stokesa powtórzył kilka dni później brytyjski premier w notatce przeznaczonej wyłącznie dla szefów sztabów, w której zalecił Bomber

Command ponowne rozważenie zasadności strategii nalotów terrorystycznych.

Stokes skończył mówić tuż po 15.00, jednakże na odpowiedź rządu musiał czekać niemal do 20.00. Podpułkownik Brabner, podsekretarz stanu w Ministerstwie Lotnictwa, udzielił jej w imieniu Sinclaira, choć ten ostatni znów zasiadł na sali. Brabner zaczął od tego, że choć raport z SHAEF dotarł do Londynu 17 lutego, został wycofany niemal natychmiast. Skorzystał również z okazji, żeby zdezawuować jego tekst: „My nie trwonimy bombowców ani czasu i nie stosujemy wyłącznie taktyki nalotów terrorystycznych. Szanowny poseł naprawdę postępuje *bezzasadnie*, sugerując na forum tej Izby, iż jest wielu generałów dywizji i wielu pilotów czy też wielu innych, których myśli zaprzęta jedynie to, ile niemieckich kobiet i dzieci zdołają zabić”.

Stokes odpowiedział, że na wczesnym etapie rozpowszechniania depeszy Associated Press, kiedy Londyn sprzeciwił się jej dalszej publikacji, pierwsza reakcja SHAEF była następująca: depesza nie może zostać wycofana, gdyż „przedstawia oficjalną strategię SHAEF”. Poseł zapowiedział, że wesprze swoje słowa dokumentami. Tym razem sir Archibald Sinclair zerwał się gwałtownie i oświadczył, że tekst zawierał niewątpliwie nieprawdę, o czym on, Sinclair, może go zapewnić.

Tak zakończyła się ostatnia prowadzona podczas wojny debata dotycząca strategii Bomber Command. Rząd brytyjski zachował ją w tajemnicy, począwszy od grudnia 1940 roku, kiedy po raz pierwszy

zastosowano bombardowanie strefowe - dotknęło ono Mannheim - aż do końca.

W Waszyngtonie rozgorzały podobne kontrowersje w kwestii nalotów na Drezno i Berlin, nie miały one jednak, tak jak w Londynie, charakteru hałaśliwego sporu parlamentarnego, tylko bardziej dyskretnej wymiany listów pomiędzy przywódcami politycznymi i wojskowymi. 6 marca generał George C. Marshall otrzymał polecenie, żeby na interpelację sekretarza stanu do spraw wojny Henry'ego Stimsona odpowiedzieć, iż Drezno zostało zbombardowane, ponieważ był to nadzwyczaj ważny węzeł komunikacyjny, punkt tranzytowy, przez który wysyłano posiłki na front wschodni. Marshall oświadczył również, że naloty alianckie na Drezno zostały przeprowadzone według standardowych metod bombardowania oraz że Rosjanie „zażądali” jego neutralizacji³. Jednak powojenne poszukiwania archiwalne, prowadzone przez badacza dziejów amerykańskiego lotnictwa Josepha W. Angella jr., nie dostarczyły żadnych dokumentów potwierdzających, jakoby Rosjanie wskazali konkretnie na Drezno jako cel nalotów. Angell przypuszcza, że generał Marshall nadsłuchiwał memorandum przedstawione w Jałcie przez generała radzieckiego Antenowa. Co prawda, wspomniane tam zostały dwa skupiska ludności na wschodzie, ale ani raz nie pada słowo „Drezno”. W Waszyngtonie spory powoli zanikały za zamkniętymi drzwiami.

Amerykanie przeprowadzili wprawdzie później, 17 kwietnia, swój największy nalot (w którym uczestniczyły 572 samoloty) na „stacje rozrządowe” Drezna - o ataku tym nie wspominają jednak oficjalne dzieje lotnictwa amerykańskiego.

Tymczasem w Londynie debata prowadzona na prywatnym forum bynajmniej nie zamarła. Wprost przeciwnie, jeszcze się wzmogła, gdy dotarły tam pierwsze poufne relacje pochodzące ze źródeł neutralnych. W dniach od 22 do 24 marca jeden z największych dzienników w Zurychu opublikował trzy artykuły napisane przez szwajcarskiego obserwatora, który był świadkiem nalotu na Drezno. W stolicy Saksonii mieszkała liczna kolonia szwajcarska. Po nalotach Szwajcarów zdołał uciec do swojej ojczyzny, gdzie przekazał relację o tym, co widział. Był to

jeden z pierwszych odpowiadających prawdzie opisów nalotów. Szwajcar potwierdził w nim też, że Drezno pozbawione było schronów, systemu obrony przeciwlotniczej oraz rzeczywistych celów wojskowych.

Wiadomo również, że 22 lutego Drezno odwiedził przedstawiciel Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w celu uzyskania informacji o losie jeńców wojennych; jego raport wysłany do Genewy mógł bezsprzecznie zawierać także inne informacje aniżeli tylko dane o liczbie ofiar wśród jeńców⁴.

Wyszukanie kozła ofiarnego, którego można było w przekonujący sposób obciążyć winą za okrucieństwo ofensywy bombowej, nie nastąpiło zbyt wielkich kłopotów, zważywszy na fakt, iż samolot bombowy, jako oręż wojenny, okres świetności miał już za sobą. „Premier oraz inni członkowie najwyższych władz - napisali oficjalni historycy w roku 1961, używając sformułowań o tyle znaczących, że Winston Churchill żył jeszcze wtedy - odwrócili się od tej kwestii z niesmakiem, jakby zapomnieli o swoich podejmowanych niedawno działaniach mających na celu rozpoczęcie i prowadzenie ofensywy”⁵. „Sposób prowadzenia nalotów strefowych tylko pogłębiał wątpliwości niektórych osób, wątpliwości, jakie one same powzięły już dawno, a dotyczyły one moralnej strony tejże ofensywy” - to również napisali oficjalni historycy. Operację drezdeńską „podjęto ze złożonych przyczyn, niecałkowicie związanych z ogólną strategią nalotów”, a nawet: „w rezultacie wywołała ona bardzo ostre komentarze, skądinąd nie dotyczący moralnego aspektu zagadnienia, wygłoszone przez premiera, choć to nie kto inny jak on sam

w znacznej mierze był jej inicjatorem".

Co zdecydowało o tym, że te ostre słowa w ogóle padły? Początkowo Churchill, który wciąż przebywał w Jalcie, nie interesował się zbyt mocno nalotami czy też ich skutkami. Z Londynu otrzymał depeczę zawierającą wykaz wydarzeń wojennych z dnia nalotu, w której o zbombardowaniu Drezna wspomniano jak najbardziej ogólnie; fakt ów odnotowano jako dziesiąty wśród jedenastu⁶. Jednakże w marcu 1945 roku Anthony Eden wspomniał Churchillowi o tym, że w innych krajach wzrasta zaniepokojenie masakrą dokonaną na ludności tego miasta. Premier przebywał także kilka dni w Niemczech, gdzie obserwował forsowanie Renu przez jednostki marszałka polnego Bernarda Montgomery'ego, widział więc na własne oczy zniszczenia dokonane przez swoje bombowce. Bezsprzecznie kontynuowanie bombardowań na tak rozległą skalę budziło niepokój. Generał brygady Everett S. Hughes, doradca generała Eisenhowera, napisał w lutym w swoim dzienniku, że zastanawia się, czy działania amerykańskich bombowców ostatnio właściwie nie zahamowały alianckiego wysiłku wojennego; zanotował też, co następuje: „Przekonać Rossa, żeby sprzeciwił się jakimkolwiek dalszym bombardowaniom niemieckich linii kolejowych. Będą nam potrzebne”⁷.

Być może podobne refleksje powodowały Churchillem, gdy 28 marca złożył podpis na niezwyklej w swojej wymowie notatce dotyczącej kontynuowania ofensywy bombowej przeciwko niemieckim miastom; jej adresatami byli szefowie sztabów oraz sir Charles Portal. Był to znaczący dokument, ponieważ w dużym stopniu odzwierciedlał poglądy przedstawione przez Richarda Stokesa w jego przemówieniu parlamentarnym.

„Wydaje mi się [napisał Churchill], że nadeszła chwila, kiedy to kwestia bombardowania niemieckich miast tylko w celu zwiększenia terroru, choć odbywa się to pod różnymi pretekstami, powinna zostać zrewidowana. W przeciwnym bowiem wypadku zajmiemy całkowicie zniszczony teren. Nie będziemy mogli na przykład wykorzystywać niemieckich materiałów

budowlanych do naszych potrzeb, ponieważ trzeba będzie wznosić dla Niemców jakieś tymczasowe schronienia”.

Posel Stokes mówił o „plamie na honorze” rządu brytyjskiego, lecz w odniesieniu do tej akurat kwestii, premier gotów był przypisać winę dowódcom lotnictwa bombowego.

„Zniszczenie Drezna w zasadniczy sposób stawia pod znakiem zapytania to, czy alianckie bombardowania prowadzone są w sposób właściwy. Uważam, że jeśli chodzi o cele, jakie zamierzamy zniszczyć, będziemy musieli bardziej wnikliwie aniżeli obecnie kierować się naszymi interesami niż interesami przeciwnika.

Pan minister spraw zagranicznych rozmawiał o tym ze mną; sądzę, że należy w większym stopniu skupiać uwagę na celach wojskowych, takich jak na przykład zakłady przemysłu paliwowego oraz węzły komunikacyjne znajdujące się na zapleczu bezpośredniej strefy walki, aniżeli na dokonywaniu aktów terroru i bezsensownego niszczenia, bez względu na to, jak wydają się one imponujące”⁸.

Ów osobliwy dokument interpretowano dwojako: albo powstał on w ferworze doniosłych wydarzeń, a na dobitkę autor znajdował się w stanie wielkiego napięcia psychicznego, albo też należy uznać, iż staranny dobór treści stanowił próbę przeniesienia odpowiedzialności za naloty na Drezno na szefów sztabów bądź nawet konkretnie - na Bomber Command i jego dowódcę, sir Arthura Harrisa. Bez względu jednak na interpretację, stanowi on bezspornie próbę oczernienia wysokiego alianckiego dowódcy oraz usunięcia z pola widzenia historyków tego, że premier brytyjski ponosi dużą odpowiedzialność za ofensywę bombową przeprowadzoną w lutym przeciwko skupiskom ludności na wschodzie.

Wyżsi oficerowie Bomber Command niemal natychmiast dowiedzieli się o tym dokumencie. Sir Robert Saundby, zastę-

pujący Harrisa w gmachu przy High Wycombe, rozmawiał jak co dzień przez telefon wyposażony w zabezpieczenie przeciw-podśluchowe z sir Normanem Bottomleyem. Zastępca szefa sztabu lotnictwa poinformował go o sporze trwającym w Londynie oraz o konsternacji wywołanej w sztabie lotnictwa przez tę „monstrualną insynuację” premiera -jakoby dowódcy lotnictwa rozmyślnie wprowadzali go w błąd. Saundby usłyszał od swojego rozmówcy, że najbardziej zaskoczyła sztab sugestia Churchill-a, jakoby Bomber Command prowadziło ofensywę o charakterze terrorystycznym wyłącznie z własnej inicjatywy, „choć pod rozmaitymi pretekstami”. Czyż jednak pan Churchill nie napisał wcześniej dziesiątek innych notatek, z których wynikało coś zupełnie innego; czyż nie domagał się bombardowania, a nawet więcej - „przylania” miastom niemieckim oraz przebywającym w nich uchodźcom? „Szefowie sztabów - powiedział Saundby - uznali, że [premier] próbuje teraz udawać, iż nigdy nie opowiadał się za takim postępowaniem, a nawet, że nigdy nie wydał stosownych poleceń i rozkazów. Uznano również, że premier nie zapisze się w pamięci potomnych w zbyt korzystnym świetle, zważywszy na to, co poprzednio mówił i robił. [...] Jednakże na obecnym etapie wojny zaczęła już myśleć perspektywicznie o tym, co nastąpi po jej zakończeniu”.

Szef sztabu lotnictwa sir Charles Portal odrzucił zarzuty Churchilla zawarte w dokumencie z 28 marca. Powodowany bardziej emocjami aniżeli pragnieniem przedstawiania prawdziwego obrazu, wyjaśnił następnego dnia szefom sztabów, że miasta niemieckie bombardowano zawsze tylko w jednym celu - żeby zniszczyć przemysł oraz środki i linie komunikacyjne w nich skupione, „nie zaś terroryzować niemiecką ludność cywilną”⁹. Oświadczył też, że Churchill najwidoczniej pisał w pośpiechu lub w stanie wyczerpania, choć kwestia, którą poruszył, jest ważna i byłoby „nieuczciwością ze strony samego premiera”,

gdyby ów dokument pozostał w dotychczasowej formie. Obiecał, że wieczorem wspomni Churchillowi o tej sprawie. Gdy to uczynił, premier nie miał wyboru, jak uznać, że notatka była „wersją roboczą” i ją wycofać; poprosił Portala, żeby napisał tekst od początku, tyle że w łagodniejszym tonie¹⁰.

Nieczęsto zdarzało się, żeby Churchill musiał „odszczekiwać” swoje słowa, tym razem jednak miało to miejsce. Nowy szkic notatki nie zawierał już żadnego bezpośredniego odniesienia ani do Drezna, ani też do korzyści z „terrorystycznego bombardowania” przeciwnika; ale jednak rozpoczynał się wieloznacznym zdaniem: „Uważam, że nadeszła chwila, kiedy kwestię tak zwanego bombardowania strefowego niemieckich miast należy poddać rewizji z punktu widzenia naszych interesów”. Ponadto zawierała sformułowania znacznie różniące się od poprzedniej notatki utrzymanej w krytykanckim tonie: „Musimy dopilnować tego, żeby nasze naloty nie czyniły na dłuższą metę szkody nam, zamiast wysiłkowi wojennemu nieprzyjaciela”. Tę wersję sztab lotnictwa przyjął bez żadnych zastrzeżeń; jak stwierdził sir Robert Saundby, w każdym punkcie ściśle wyrażała zapatrywania jego dowódców.

Churchill zaakceptował nową wersję dokumentu, który podpisał 2 kwietnia”. Nie był jednak zadowolony z tego łagodniejszego tekstu, o czym świadczy fakt, że w swoich wspomnieniach poddał go skrótom¹². Jak przypuszczali oficerowie Bomber Command, zapoznawszy się z treścią jego notatki z 28 marca, *zamierzał* on zdjąć z siebie odpowiedzialność za tragedię Drezna, ponieważ, według słów Saundby'ego, „zaczął już myśleć perspektywicznie o tym, co nastąpi po zakończeniu wojny”, próbował wyrazić żal z powodu bezprecedensowego odrzucenia przez sztab lotnictwa zaakceptowanego dokumentu, zawierającego w pierwotnej wersji zwodnicze i oszukańcze sformułowania.

Dwa fakty wydają się znamienne. Po pierwsze, gdy z dokumentu usunięto sugestię, że odpowiedzialnymi za naloty na pewno są dowódcy alianckiego lotnictwa bombowego, sztab lotnictwa, który przecież wiedział, kto naprawdę ponosi odpowiedzialność, nie kwestionował już depechy, choć określenie nalotów słowem „terrorystyczne”, jak się zdaje, zaniepokoiło jego członków. Po drugie, premier brytyjski już wtedy trafnie przeczuwał, jakie zarzuty spadną po wojnie na aliantów zachodnich za dokonanie rzezi Drezna, toteż sam

nie chciał być przedmiotem oskarżeń, które nieuchronnie musiały paść.

Sir Charles Portal podzielił się swoimi poglądami na sprawę notatki z przebywającym w Waszyngtonie generałem „Hap” Arnoldem. Ten poinformował w depeszy Spaatz, iż dokonywanie następnych nalotów na miasta niemieckie straciło już sens. Jednakże słowa „naloty strefowe” trafiły w czuły punkt. „Amerykańskie strategiczne siły lotnicze - napisał generał Andersen w depeszy - nigdy nie prowadziły strategii, której elementem były naloty strefowe na niemieckie miasta. Nawet celem naszych nalotów na strefę Berlina były zawsze obiekty wojskowe”. Cóż, różnica była czysto semantyczna¹³.

Po wojnie premier brytyjski podtrzymywał wersję, że nie miał nic wspólnego z wydaniem rozkazu przeprowadzenia nalotów, a nawet, że nic nie wiedział, iż w Dreźnie przebywało tak wielu uchodźców. Gdy już opuszczały go władze umysłowe, zapytał przyjaciela, wydawcę Yictora Gollancza: „Czy to prawda, że w nalocie na Drezno zginęło 60 tysięcy uchodźców?” Gollancz odpowiedział, iż bezsprzecznie zginęło bardzo wielu, jednak nie wiadomo dokładnie ilu. Przeczytał w jakiejś amerykańskiej gazecie wojskowej, kontynuował, że liczba zabitych przewyższyła 60 tysięcy, a faktycznie w Dreźnie zginęło coś ponad 200 tysięcy ludzi. „Wstrząsające, wstrząsające” - westchnął

Churchill¹⁴. W innej wersji premier miał powiedzieć: „Panie Gollancz, nigdy mi nie powiedzieli, że bombardują cywilów”¹⁵.

W roku 1950, gdy Churchilla zawodziła już pamięć - chociaż miał przed sobą jeszcze 15 lat życia - Hilary St. George Saunders, oficjalny badacz dziejów Royal Air Force, zapytał go, jak wspomina nalot na Drezno. „Widzi pan - powiedział byłemu premierowi - w lutym 1945 roku na to miasto przeprowadzono nalot bombowy. Zginęło co najmniej 100 tysięcy ludzi. Był to najsilniejszy cios wymierzony Niemcom przez Bomber Command”. Ale Churchill utrzymywał, że żadnego nalotu nie pamięta. „Myślałem, że to robota Amerykanów - oświadczył historykowi - byłoby najlepiej, gdyby skontaktował się pan z generałem Harrisem”¹⁶.

Miało to oczywiście miejsce na kilka lat przed opublikowaniem w 1961 roku oficjalnej historii Strategicznej Ofensywy Bombowej przeciw Niemcom. Być może jest złośliwością wspominać w tym miejscu, że 26 stycznia 1945 roku nie kto inny tylko premier brytyjski zapytał ministra Sinclaira, czy „Berlin, no i na pewno inne duże miasta w środkowych Niemczech” nie powinny być obecnie zaliczone do kategorii szczególnie ważnych celów, z uwagi na to, iż są one głównymi węzłami komunikacyjnymi, przez które prowadzą szlaki przerzutowe uchodźców. Bezpośrednim następstwem tej sugestii było wydanie polecenia sir Arthurowi Harrisowi, żeby skierował swoje bombowce nad Drezno, Lipsk i Chemnitz.

Sprzeciw ministra spraw zagranicznych wobec prowadzenia ofensywy bombowej na tak wielką skalę, co wyrażał drugi akapit pierwotnej wersji notatki Churchilla, był również świeżej daty. Zaledwie bowiem trzy lata wcześniej w liście do sir Archibalda Sinclaira Eden uznał za wskazane bombardowanie niemieckich miast, nawet gdyby nie znajdowały się w ich strefie żadne cele o dużym znaczeniu wojskowym:

„Psychologiczne skutki bombardowania [napisał] pozostają jedynie w nikłym związku z wojskowym czy też gospodarczym znaczeniem celu; stanowią one wyłączne następstwo wyrządzonych zniszczeń i wywołanej destabilizacji. [...] Proponuję więc, żeby przy wyborze celów w Niemczech brano pod uwagę mniejsze miasta, liczące poniżej 150 tysięcy mieszkańców, które nie są zbyt silnie bronione, nawet jeśli na obszarach takich miast znajdują się cele wyłącznie o drugorzędnym znaczeniu”¹⁷.

Sir Arthur Harris pozostał lojalny w stosunku do swojego przyjaciela i premiera aż do końca wojny. I po wojnie nigdy słowem nie wspominał o roli, jaką Churchill odegrał w kwestii nalotów na Drezno. Nawet wtedy gdy poinformowano go, że w oficjalnej historii brytyjskiej Strategicznej Ofensywy Bombowej znalazły się materiały świadczące o tym, że premier próbował się go wyprzeć, a także zrzucić z siebie

odpowiedzialność za to, co się stało w Dreźnie, Harris w pierwszym odruchu stwierdził, że w to nie wierzy.

„Patrzając na to wszystko obecnie - powiedział po latach sir Robert Saundby, zastępca Harrisa - myślę, że niewielu obstawaloby przy tezie, iż naloty te były istotnie wojskową koniecznością. Należały one po prostu do tych straszliwych *rzeczy*, które od czasu do czasu zdarzają się na wojnie. Ci, którzy wydali rozkazy, nie byli ani niegodziwcami, ani okrutnikami. Możliwe, że byli oni po prostu tak znacznie oddaleni od brutalnych realiów wojennych, że nie zdawali sobie w pełni sprawy z tego, że naloty przeprowadzone wiosną 1945 roku spowodują tak straszliwe zniszczenia”¹⁸.

Podpułkownik Maurice Smith, którego doświadczenie taktyczne jako „mistrza ceremonii” sprawiło, że pierwszy nalot przyniósł tak wspaniały sukces, powiedział, co następuje: „Chyba nie mogę się wypowiadać o tym, czy to było uzasadnione. Myślę,

że podczas wojny nikt nie szuka uzasadnień. A już na pewno młody człowiek w mundurze. Ja wykonywałem rozkazy”¹⁹.

Premier brytyjski w swoich wspomnieniach poświęcił straszliwej dreźniejskiej masakrze zaledwie dwie linijki, pisząc, że miasto to stanowiło „wówczas centrum transportu dla frontu wschodniego”; nawet nie próbował opisać horroru, jaki dotknął miasto, nie wspominał też o kontrowersyjnych kulisach nalotów i o ich konsekwencjach. Co do Harrisa, nie był on oficerem ani mściwym, ani wylewnym, toteż gdyby nawet dowiedział się, jaki charakter miała notatka sporządzona 28 marca 1945 roku, którą premier przeznaczył dla szefów sztabu, jest mało prawdopodobne, żeby skomentował ów fakt.

W latach, jakie nastąpiły po nalocie na Drezno, Harris rzadko publikował wspomnienia o tym, jaką rolę w zwycięstwie wojennym odegrały podlegające mu siły; podobnej wstrzemięźliwości nie wykazali jego krytycy i oponenci, których był legion. Powojenny rząd laburzystowski nie uznał jego oficjalnego raportu (pod pozorem, iż nie zawiera danych statystycznych²⁰). Rząd brytyjski żywił głęboką niechęć do człowieka, który zyskał sobie wielkie poważanie i szacunek podwładnych, lecz który podczas wojny nieuchronnie wdawał się w konflikty z czołowymi politykami Partii Pracy. W roku 1960 Clement Attlee, laburzystowski premier Wielkiej Brytanii, stwierdził, że Harris „nigdy nie był specjalnie dobry”. Powiedział, że „całe to atakowanie ich miast” nie przyniosło oczekiwanych skutków, co niewątpliwie by nastąpiło, gdyby bomby zostały użyte skuteczniej - ot, gdyby na przykład Harris „w większym stopniu skupił uwagę na celach wojskowych”²¹. Harris poprzestał wtedy na przypomnieniu, iż strategię bombardowań, którą lord Attlee tak mocno krytykuje, ustalił i zatwierdził Rząd Jego Królewskiej Mości, którego Attlee był wszak przez większą część wojny prominentnym członkiem. „Postanowienie o bombardowaniu miast przemysłowych, po to, żeby zniszczyć morale przeciwnika, podjęto i realizowano, nim jeszcze zostałem dowódcą Bomber Command” - oświadczył. Żaden dowódca nie miałby prawa podejmować takich decyzji samodzielnie²². Harris ubolewał później, że dał się wciągnąć w publiczne rozważanie na temat tamtych wojennych wydarzeń.

A zatem, jak się przekonaliśmy, do maja 1945 roku przed Anglikami utrzymywano w tajemnicy wszelkie aspekty strategicznej ofensywy lotniczej przeciw Niemcom. Potem, po kapitulacji Trzeciej Rzeszy, na kontynent europejski zaczęli napływać brytyjscy cywile oraz personel wojskowy. Szczęśliwym zrzędzeniem losu dla wojennego rządu brytyjskiego Drezno, w którym co tydzień wydobywano spod gruzów tysiące zwłok ofiar nalotów, znalazło się za „żelazną kurtyną”, której zapadnięcie obwieściły gazety Adolfa Hitlera rankiem pamiętnego 13 lutego 1945 roku, nazajutrz po pierwszych nalotach RAF-u na miasto: Sowieci nie pozwolili nawet na inspekcję zniszczonego miasta ekipom amerykańskich specjalistów od bombardowań strategicznych. Przez kilka tygodni ekipy te

prowadziły pospieszne i gorączkowe badania w Lipsku, Magdeburgu i Halle

- miastach nadal znajdujących się w strefie amerykańskiej; zgodnie z postanowieniami układów międzynarodowych przekazano je Rosjanom. Również tak się szczęśliwie złożyło, że podczas sesji Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norimberdze Rosjanie nie starali się specjalnie, żeby „zdemaskować” fakt dokonania przez aliantów masakry w Dreźnie.

Harrisowi nie zabrakło jednak popleczników w Izbie Gmin. Wśród nowych posłów wybranych w 1945 roku do brytyjskiego parlamentu znalazło się wielu byłych oficerów oraz członków personelu cywilnego Bomber Command. 12 marca 1946 roku

jeden z nich przypomniał kwestię, czy operacje podejmowane przez to dowództwo w latach II wojny światowej były uzasadnione z wojskowego i ze strategicznego punktu widzenia.

„Do podjęcia tej sprawy skłonił mnie fakt, iż pod koniec ubiegłego roku, kiedy to dokonywano uhonorowań kwartalnych, lista uhonorowanych w nowym roku wyróżniała się tym, że zabrakło na niej nazwiska głównego architekta Bomber Command, sir Arthura Harrisa. Wiem, że sześć miesięcy wcześniej dowódca ów otrzymał Order *Łaźni*. Odszedł jednak z Royal Air Force, nie otrzymawszy żadnych wyrazów wdzięczności - nawet nie za to, co sam *zdziałał*, tylko za to, co Bomber Command *zdziałało* pod jego dowództwem. Wyjechał z kraju jak zwykły emigrant [...]”.

Wśród tych, którzy służyli w Bomber Command panuje przeświadczenie, że afront, jaki spotkał ich dowódcę, obraża w istocie ich wszystkich oraz oczywiście tych, którzy swoją służbę okupili życiem i zdrowiem. „Uważamy, że jeśli nasza instytucja wykonywała dobrą robotę pod każdym względem - a naszym zdaniem tak było - należało przynajmniej uhonorować jego dowódcę, tak jak uhonorowano dowódców podobnych jednostek, zwłaszcza innych rodzajów broni²³”.

Sir Arthur Harris okazał się idealnym kozłem ofiarnym do obarczenia winą za to, co się stało w Dreźnie. Nie został uhonorowany (wyjąwszy spóźnione baronostwo w roku 1953*) ani doceniony, a o jego podwładnych nie wspominało w dniach pamięci, nie przyznano im też medali wojennych za trud i wysiłek oraz za służbę w najbardziej krwawej i najdłuższej kampanii ostatniej wojny. Jego dywizjony zrzuciły ogółem 955 tysięcy ton bomb - z czego dwie trzecie (658 tysięcy ton) na Niemcy, a większość pozostałych na Francję. W akcjach tych stracono 8700 bombowców²⁴. Harris przez rok zachował milczenie, nie

wypowiadając się ani słowem na temat roli, jaką odegrał w wojnie; potem postanowił wyjechać z Anglii i rozpocząć cywilne zajęcia w Południowej Afryce, gdzie spędził większość lat swojej młodości.

13 lutego 1946 roku były dowódca RAF Bomber Command wyruszył z Southampton w pierwszą część rejsu wiodącego go na dobrowolne wygnanie. Tej samej nocy o godzinie 22.10 w całych wschodnich i środkowych Niemczech uderzono w kościelne dzwony. Biły przez 20 minut, a ich dźwięk rozchodził się nad obszarami poddanymi okupacji równie okrutnej i brutalnej jak wszystkie ofensywy lotnicze, których celem miało być ich zniszczenie. Była to pierwsza rocznica najkrwawszej masakry w dziejach Europy.